



WIECZNI

MIŁOŚĆ NIEMIEJSZY NIŻ ŚMIERĆ

ALMA
KATSU

Prószyński i S-ka



WIECZNI

To opowieść o sile miłości, która demoralizuje, skłania do popełnienia najgorszych zbrodni, i o odwadze, by dla miłości się poświęcić i zyskać rozgrzeszenie.

Kiedy doktor Luke Findley rozpoczyna wieczorny dyżur w szpitalu w St. Andrews, spodziewa się kolejnych pacjentów z drobnymi obrażeniami i ofiar awantur domowych. Tymczasem policja przywozi młodą kobietę, Lanny. Dziewczyna jest oskarżona o zamordowanie człowieka i pozostawienie jego ciała w lesie. Lanny twierdzi, że oboje mieszkali w miasteczku dwieście lat temu...

Człowiek w lesie, Jonathan, jest synem założyciela miasteczka i miłością Lanny. Dziewczyna, chcąc go zatrzymać, popełnia straszliwy występki. Wtedy na jej drodze staje utoczy, acz przerażający Adair, obdarzony ponadnaturalnymi mocami, wśród których jest też zdolność czynienia ludzi nieśmiertelnymi. Dzięki Adairowi Lanny wymyka się śmierci i wkracza w jego świat, świat niezwykłych rozkoszy zmysłowych i pozornie nieograniczonej władzy...

Fantastyka



Cena 38 zł (całkowicie)
ISBN 978-83-7648-710-6



9 788376 487106

www.proszynski.pl

WIECZNI ALMA KATSU

Przełożyła
Alina Siewior-Kuś

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału THE TAKER

Copyright © 2011 by Alma Katsu

All rights reserved

Projekt okładki Emma Grey

Zdjęcie na okładce Daren Newman/Synergy Art

Opracowanie graficzne okładki Irina Poźniak

Redaktor prowadzący Katarzyna Rudzka

Redakcja Wiesława Karaczewska

Hanna Szamalin

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-710-6

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej

03-828 Warszawa,

ul. Mińska 65

Część I

ROZDZIAŁ I

Cholerny mróz. Oddech Luke'a Findleya wisi w powietrzu, solidny, uformowany na kształt gniazda os, całkowicie pozbawiony tlenu. Jego dłonie leżą ciężko na kierownicy; jeszcze nie całkiem się obudził, mało brakowało, a zaspąłby na nocny dyżur. Sine usta drętwieją mu z hipotermii. W księżycowej poświacie pola po obu stronach drogi są upiornymi taflami błękitu, śnieg zasypał ścierniska i wybujałe jeżyny, nadając okolicy zwodniczo spokojny wygląd. Luke często się zastanawia, dlaczego jego sąsiedzi tkwią w tym najbardziej wysuniętym na północ zakątku Maine. Jest tu samotnie i mroźno, uprawa ziemi to ciężka harówka. Zima panuje przez pół roku, zaspy sięgają parapetów, przenikliwy, kłusający wiatr hula nad pustymi kartofliskami.

Od czasu do czasu ktoś zamarza, a ponieważ Luke jest jednym z kilku lekarzy w tej okolicy, widywał sporo ofiar niskiej temperatury. Jakiś pijak (a tych w St. Andrew nie brakuje) zapada w sen pod zaspą i do rana zmienia się w ludzki sopel. Chłopiec jeżdżący na łyżwach po rzece Allagash trafia na słaby punkt w lodzie, niekiedy ciało odkrywają w połowie drogi do Kanady w miejscu, gdzie Allagash łączy się z St. John. Myśliwy dostaje śnieżnej

ślepoty, nie potrafi znaleźć drogi wyjścia z potężnych północnych lasów, i znajdują go opartego o pień, z bronią leżącą bezużytecznie na kolanach.

- To nie był wypadek - oznajmił z niesmakiem szeryf Joe Duchesne, kiedy przywieźli ciało myśliwego do szpitala. - Stary Ollie Ostergaard chciał umrzeć. To był jego sposób na popełnienie samobójstwa.

Ale Luke podejrzewa, że gdyby istotnie tak było, Ostergaard strzeliłby sobie w głowę. Hipotermia to powolna śmierć, daje mnóstwo czasu na zmianę zdania.

Luke kieruje swojego pickapa na parking przed szpitalem hrabstwa Aroostook, wyłącza silnik i po raz kolejny przyrzeka sobie, że się wyprowadzi z St. Andrew. Musi tylko sprzedać farmę rodziców, a potem wyjedzie, choć jeszcze nie wie dokąd. Z przyzwyczajenia wzdycha, wyciąga kluczyki ze stacyjki i rusza do izby przyjęć.

- Luke. - Dyżurna pielęgniarka wita go kiwnięciem głowy. Luke ściąga rękawice. Wiesza kurtkę w maleńkiej dyżurce lekarzy i wraca do recepcji.

- Joe dzwonił - mówi Judy. - Przywiezie delikwenta, chce, żebyś go obejrzał. Powinien tu być lada chwila.

- Kierowca ciężarówki? - Problemy zwykle wywołują kierowcy z wyrębów. Znani są z picia na umór i prowokowania bójek w Blue Moon.

- Nie. - Judy pochłonięta jest pracą na komputerze. Światło z monitora połyskuje w jej dwuogniskowych okularach.

Luke chrząka, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Więc kto to jest? Jakiś miejscowy?

Luke'a znużyło łatanie sąsiadów. Wygląda na to, że to skutek lodem miasto znoszą jedynie pijacy, rozrabiacze i nieudacznicy.

Judy odrywa wzrok od monitora, pięść opiera o biodro.

- Nie. To kobieta. I nie jest stąd.

Rzecz niezwykła. Policja rzadko przywozi kobiety, chyba że jako ofiary. Czasami jest to żona po awanturze z mężem, latem bywa, że turystka zaszaleje w Blue Moon, ale o tej porze roku turystów ani na lekarstwo.

Dzisiaj wieczorem będzie miał odmianę. Luke bierze kartę.

- Okay. Co jeszcze mamy? - Jednym uchem słucha, podczas gdy Judy relacjonuje przebieg poprzedniego dyżuru. Wieczór był wypełniony zajęciami, ale teraz, o dziesiątej, jest spokojnie. Luke wraca do dyżurki i czeka na szeryfa. Nie znieśie kolejnej opowieści Judy o przygotowaniach do zbliżającego się ślubu córki, niekończącego się wykładu o kosztach ślubnych sukien, dań, kwiatów.

- Poradź jej, żeby uciekła - powiedział kiedyś, ale Judy spojrziała na niego tak, jakby się przyznał do członkostwa w organizacji terrorystycznej, po czym z naganą odparła:

- Ślub to najważniejszy dzień w życiu dziewczyny. Nie masz w sobie ani krzty romantyzmu. Nic dziwnego, że Tricia się z tobą rozwiodła.

Luke przestał replikować: „To nie Tricia rozwiodła się ze mną, ale ja z nią”, ponieważ nikt go nie słuchał.

Siada na zniszczonej kanapie w dyżurce i próbuje się rozerwać rozwiązywaniem sudoku. Bez skutku. Myśli o wieczornej jeździe do szpitala, o domach, które mijał na pustej drodze, o pojedynczych światłach rozpraszających nocny mrok. Co robią ludzie zamknięci w domach przez długie godziny zimowych wieczorów? Luke jest lekarzem, więc żadnego sekretu nie da się przed nim ukryć. Zna wszystkie grzechy: kto bije żonę, kto ma ciężką rękę do dzieci. Kto po pijaku wjeżdża ciężarówką w zaspę, kto ma chroniczną depresję z powodu złych zbiorów i braku perspektywy na horyzoncie. Lasy St. Andrew są gęste i mroczne od tajemnic. To przypomina Luke'owi, dlaczego chce się wynieść z tego miasta, zmęczyło go, że zna wszystkie sekrety mieszkańców i że

mieszkańcy znają jego tajemnice.

I jeszcze o czymś myśli za każdym razem, gdy ostatnimi czasy wchodzi do szpitala. Od śmierci matki upłynęło niewiele czasu, Luke wyraźnie pamięta wieczór, kiedy przeniesiono ją na oddział eufemistycznie zwany hospicyjnym, przeznaczony dla pacjentów, których koniec jest bliski i nie ma podstaw, by przewieźć ich do centrum rehabilitacyjnego w Fort Kent. Funkcje jej serca spadły poniżej dziesięciu procent i mimo maski tlenowej walczyła o każdy oddech. Tamtej nocy siedział z nią sam, ponieważ było późno i inni odwiedzający poszli do domu. Kiedy po raz ostatni nastąpiło zatrzymanie akcji serca, trzymał ją za rękę. Była już wtedy bardzo zmęczona i poruszyła się tylko nieznacznie, później jej dłoń zwiotczała, a ona odeszła spokojnie jak słońce niknące o zmierzchu. Monitor zabrzączał na alarm i niemal równocześnie do pokoju wbiegła pielęgniarka, ale Luke bez zastanowienia dał jej znać, by wyszła, i wyłączył urządzenie. Ujął wiszący na szyi stetoskop, by sprawdzić puls i oddech. Matka nie żyła.

Kiedy pielęgniarka zapytała, czy przez chwilę chce pobyc z nią sam, odparł twierdząco. Prawie cały tydzień spędził z matką na oddziale intensywnej opieki i teraz nie mieściło mu się w głowie, że może po prostu stąd wyjść. Siedział więc przy łóżku i wpatrywał się nie wiadomo w co, z całą pewnością nie w ciało, usiłując zebrać myśli i ustalić, co ma robić dalej. Powiadomić krewnych, wszyscy są rolnikami mieszkającymi na południu stanu... Zadzwońić do księdza Lymona z katolickiego kościoła, choć sam Luke nie był w stanie zmusić się do uczęszczania tam na nabożeństwa... Wybrać trumnę... Tyle szczegółów domagało się jego uwagi. Wiedział, co trzeba zrobić, przeszedł przez to zaledwie siedem miesięcy wcześniej, kiedy umarł ojciec, i myślał, że wszystko to znowu musi zrobić, odbierała mu siły. W takich chwilach jak

te najbardziej brakowało mu byłej żony. Dobrze było w trudnych czasach mieć obok siebie Tricię, pielęgniarkę. Nie należała do tych, co nawet w obliczu żałoby tracą głowę,

To nie była pora na żal, że stało się tak, a nie inaczej. Teraz był sam i sam musi sobie poradzić. Zarumienił się z zakłopotania na myśl, że matka chciała, by został z Tricią, ciągle męczyła go pytaniami, dlaczego pozwolił jej odejść. Z poczuciem winy spozjrzał na martwe ciało.

Oczy miała otwarte - minutę temu były zamknięte. Serce mu się ścisnęło z nadziei, chociaż wiedział, że to nic nie oznacza, po prostu impuls elektryczny przebiegł po nerwach, synapsy przestały działać, jak w przypadku samochodu, który wyrzuca obłok spalin, gdy resztki oparów benzyny przechodzą przez silnik. Wyciągnął rękę i zamknął jej oczy.

Naturalnie powieki uniosły się po raz drugi, jakby matka budziła się ze snu. Luke o mało nie odskoczył, ale zdołał jakoś zapamiętać nad strachem. Nie, nie strachem - zaskoczeniem. Powiesił na szyi stetoskop i pochylił się nad nią, przyciskając go do jej piersi. Cisza, żadnego szumu krwi płynącej przez żyły, żadnego wysiłonego oddechu. Ujął ją za przegub. Pulsu nie było. Spozjrzał na zegarek: minęło piętnaście minut, odkąd uznał matkę za martwą. Opuścił jej zimną dłoń, niezdolny oderwać od niej wzroku. Gotów był przysiąc, że patrzyła na niego, że jej oczy utkwione były w jego twarzy.

A potem jej dłoń się uniosła ku niemu. Wyciągała się, wnętrzem odwrócona do góry, wzywając, by ją ujął. Zrobił to, wołając matkę po imieniu, ale natychmiast się cofnął. Dłoń była zimna i martwa. Odskoczył od łóżka na pięć kroków, trąc czoło, zastanawiając się, czy nie ma halucynacji. Kiedy znowu się odwrócił, oczy były zamknięte, ciało nieruchome. Ledwo potrafił oddychać, serce tak waliło mu w gardle.

Minęły trzy dni, nim zdołał zebrać się w sobie i porozmawiać z innym lekarzem o tym, co się stało. Wybrał starego Johna Muellera, pragmatycznego lekarza rodzinnego, znanego z tego, że odbierał krowie porody u swego sąsiada rolnika. Mueller obrzucił go sceptycznym spojrzeniem, jakby podejrzewał, że Luke się upił.

- Skurcze palców u rąk i nóg, taa, to się zdarza - powiedział. - Ale ruchy mięśniowo-szkieletowe po piętnastu minutach? - Znowu zmierzył Luke'a spojrzeniem, jakby sam fakt, że o tym rozmawiają, był wstydlivy. - Myślisz, że to zobaczyłeś, ponieważ ci na tym zależało. Nie chciałeś, żeby odeszła.

Luke wiedział, że to nie było tak, nie zamierzał jednak więcej o tym rozmawiać, w każdym razie nie z lekarzami.

- Poza tym co to za różnica? - ciągnął Mueller. - Więc ciało nieznacznie się poruszyło - myślisz, że chciała ci coś powiedzieć? Wierysz w te kawałki o życiu po śmierci?

Choć minęły cztery miesiące, rozmyślając o tym, Luke wciąż czuje dreszcz na ramionach. Odkłada książkę z sudoku na stolik i zaczyna masować czaszkę w nadziei, że to przepędzi zamęt w myślach. Drzwi dyżurki otwierają się lekko: to Judy.

- Joe wjechał na parking.

Luke wychodzi na dwór bez kurtki, licząc na to, że mróz go otrzeźwi niczym siarczasty policzek. Patrzy, jak Duchesne parkuje przy krawężniku wielkiego, czarno-białego suwa z herbem stanu Maine na frontowych drzwiach i sygnalizacją świetlną na dachu. Luke zna szeryfa od dzieciństwa. Nie są rówieśnikami, ale chodzili do tej samej szkoły i Luke od ponad dwudziestu lat ogląda jego wąską jak u fretki twarz z paciorkowatymi oczami i lekko zakrzywionym nosem.

Grzejąc dłonie pod pachami, obserwuje, jak Duchesne otwiera tylne drzwi i pomaga zatrzymanej wysiąść. Luke jest jej ciekawy.

Spodziewa się potężnej kobiety o męskim wyglądzie, z czerwoną twarzą i rozciętą wargą, jest więc zaskoczony widokiem drobnej i młodej dziewczyny. Mogłaby być nastolatką. Szczupła i chłopcęca figura, śliczna twarz, burza żółtych kręconych włosów jak u cherubina.

Patrząc na tę kobietę (dziewczynę?), Luke czuje dziwne mrowienie, szum w uszach. Puls mu przyśpiesza, bo ma wrażenie, jakby ją znał. Znam ją, myśli. Nie z imienia, ale z czegoś bardziej fundamentalnego. Co to jest? Luke przygląda się jej bacznie przez przymrużone powieki. Już ją gdzieś widziałem? Nie, na pewno nie.

Duchesne prowadzi za łokieć skutą kobietę, tymczasem na parking wjeżdża drugi wóz policyjny. Wsiada z niego zastępca szeryfa Clay Henderson i przejmuje od szefa zadanie eskortowania więźniarki do izby przyjęć. Kiedy go mijają, Luke widzi, że koszula kobiety jest wilgotna, poznaczona czarnymi plamami, i czuje znajomą mieszaninę żelaza i soli, zapach krwi.

Duchesne zbliża się do Luke'a, głową wskazując tamtą parę.

- Znaleźliśmy ją w takim stanie. Szła poboczem drogi do Fort Kent...

- Bez kurtki? - Przy takiej temperaturze? Nie wytrzymałaby długo na dworze.

- Nie. Słuchaj, musisz mi powiedzieć, czy jest ranna i czy mogę ją zabrać do celi na posterunku.

Luke zawsze podejrzewał, że Duchesne obchodzi się brutalnie z zatrzymanymi, widział zbyt wielu pijanych, przywożonych z guzami na głowie i siniakami na twarzy. Ta dziewczyna to jeszcze dziecko - cóż takiego mogła zrobić?

- Za co ją aresztowaliście? Że przy tej pogodzie nie nosi kurtki?

Duchesne posyła Luke'owi ostre spojrzenie, nie jest przyzwyczajony do kpin.

- Ta dziewczyna jest morderczynią. Powiedziała nam, że za-
dźgała człowieka na śmierć i zostawiła ciało w lesie.

Luke bada zatrzymaną, ale ledwo może zebrać myśli, w głowie dziwnie mu pulsuje. Świeci jej w oczy latarką (ma najbledsze niebieskie oczy, jakie w życiu widział, przypominają odłamki lodu), by sprawdzić, czy źrenice nie są rozszerzone. Skóra w do-
tyku jest wilgotna, puls wolny i oddech nierówny.

- Jest bardzo blada - mówi do szeryfa. Odeszli na kilka kro-
ków od łóżka, do którego dziewczyna jest przywiązana za przegu-
by. - To może znaczyć, że zaczyna się sinica. Ogarnia ją szok.

- Czy to znaczy, że jest ranna? - pyta sceptycznie Duchesne.

- Niekoniecznie. To może być uraz psychiczny, niewykluczo-
ne, że po kłótni, po bójce z człowiekiem, którego, jak mówi, zabi-
ła. Skąd wiesz, że to nie była samoobrona?

Duchesne z dłońmi opartymi na biodrach przygląda się dziew-
czynie, jakby mógł odgadnąć prawdę z samego jej widoku. Prze-
stępuje z nogi na nogę.

- Nic nie wiemy... niewiele nam powiedziała. Nie możesz
stwierdzić, czy jest ranna? Bo jak nie, zabieram ją do...

- Muszę zdjąć tę koszulę, oczyścić krew...

- Więc do roboty. Nie mogę czekać przez całą noc. Zostawi-
łem w lesie Bouchera, szuka ciała.

Lasy są mroczne i rozległe, nawet księżyc w pełni niewiele tu
pomoże, i Luke wie, że zastępca szeryfa Boucher ma małe szanse
na znalezienie ciała w pojedynkę.

Chwyta lateksową rękawiczkę.

- Więc jedź do Bouchera, a ja w tym czasie ją zbadam...

- Nie mogę jej tu zostawić.

- Na litość boską. - Luke głową wskazuje młodą drobną kobietę. - Mało prawdopodobne, żeby mnie pokonała i uciekła. Skoro to cię martwi, zostaw Hendersona. - Obaj ostrożnie zerkają na Hendersona. Wielki zastępca opiera się o kontuar, jedną dłonią kartkując stary numer „Sports Illustrated” z poczekalni, w drugiej trzymając kawę z automatu. Ma posturę niedźwiedzia z kreskówek i podobnie jak tamten jest przyjacielsko tępy. - W lasach nie będziesz miał z niego pożytku... Tutaj nic się nie stanie - mówi Luke zniecierpliwiony, odwracając się od szeryfa, jakby sprawa już została załatwiona. Na plecach czuje jego spojrzenie, jakby Duchesne się zastanawiał, czy nie powinien sprzeciwić się Luke'owi.

Po chwili szeryf kieruje się w stronę podwójnych rozsuwanych drzwi.

- Zostań z zatrzymaną! - krzyczy do Hendersona, wciskając na głowę ciężką, podbitą futrem czapkę. - Jadę pomóc Bouchero-wi. Ten idiota nie potrafi znaleźć własnej dupy, nawet jak ma do dyspozycji obie ręce i mapę.

Luke i pielęgniarka zajmują się kobietą na łóżku. Luke bierze nożyce.

- Muszę rozciąć koszulę - ostrzega.

- Nie ma sprawy. I tak jest zniszczona - odpowiada kobieta z akcentem, którego Luke nie potrafi umiejscowić. Koszula wygląda na drogą. To odzież z rodzaju, którą widuje się w żurnalach mody, ale nigdy na mieszkańcach St. Andrew.

- Nie jesteś stąd, prawda? - pyta Luke, próbując luźną pogawędką oderwać jej uwagę.

Kobieta przygląda się bacznie jego twarzy, oceniając, czy może mu zaufać, tak przynajmniej odbiera to Luke.

- Prawdę mówiąc, urodziłam się tutaj. To było dawno temu.

Luke prychnął.

- Może dawno dla ciebie. Gdybyś się tu urodziła, znałbym cię. Mieszkam w tej okolicy prawie całe życie. Jak się nazywasz?

Kobieta nie daje się złapać na tę sztuczkę.

- Nie znasz mnie - odpowiada obojętnie.

Przez kilka minut słyhać tylko odgłos rozcinanej mokrej tkaniny, cienki czubek nożyczek z trudem brnie przez namoknięty materiał. Skończywszy, Luke cofa się i pozwala, by Judy obmyła dziewczynę gazą namoczoną w ciepłej wodzie. Krwawe plamy znikają, odsłaniając blade piersi bez jednego zadrapania. Pielęgniarka hałaśliwie upuszcza szczypce z gazą do metalowego naczynia i pośpiesznie wychodzi z gabinetu, jakby od samego początku wiedziała, że nic nie znajdą, a Luke po raz kolejny dowiódł swej niekompetencji.

Luke odwraca wzrok, przykrywając nagi tors dziewczyny papierowym prześcieradłem.

- Powiedziałabym, że nie jestem ranna, gdybyś mnie zapytał - mówi cichym szeptem dziewczyna.

- Ale szeryfowi nie powiedziałaś - odpowiada Luke, sięgając po taboret.

- Nie. Choć tobie bym powiedziała. Masz papierosa? Umieram z chęci zapalenia.

- Przykro mi, nie mam. Nie palę.

Dziewczyna patrzy na niego, jej błękitne jak lód oczy przesuwają się badawczo po jego twarzy.

- Rzuciłeś jakiś czas temu, ale znowu zacząłeś. Co nie znaczy, że cię obwiniam, wzięwszy pod uwagę wszystko, przez co ostatnio przeszedłeś. Jeśli się jednak nie mylę, masz parę papierosów w fartuchu.

Luke instynktownie wsuwa dłoń do kieszeni i jego palce wyczuwają bibułkę papierosów dokładnie tam, gdzie je zostawił. Dziewczynie udało się zgadnąć czy dojrzała je przez kieszeń?

I co rozumiała przez to „wziąwszy pod uwagę wszystko, przez co ostatnio przeszedłeś? „ Ona po prostu udaje, że czyta mu w myślach, usiłuje dostać się do jego głowy, jak zrobiłaby każda sprytna dziewczyna, gdyby znalazła się w kłopotach. Ostatnimi czasy Luke nosi swoje problemy na twarzy. Nie znalazł jeszcze sposobów na naprawienie swojego życia, problemy są powiązane, splątane ze sobą. Wiedziałby, jak je wszystkie rozwiązać, gdyby udało mu się to chociaż z jednym.

- W budynku obowiązuje zakaz palenia, a na wypadek, gdybyś zapomniała, jesteś przywiązana do łóżka. - Luke naciska czubek długopisu i sięga po kartę. - Dzisiaj wieczorem brak nam rąk do pracy, więc ja zbiorę wywiad do dokumentów szpitalnych. Nazwisko?

Dziewczyna czujnie patrzy na kartę.

- Wołałabym nie mówić.

- Dlaczego? Uciekłaś z domu? Dlatego nie chcesz podać nazwiska? - Luke przygląda się jej: jest spięta, czujna, ale opanowana. Miał do czynienia z pacjentami wplątanymi w przypadkową śmierć i zwykle wpadali w histerię: płakali, trzęśli się, wrzeszczeli. Ta młoda kobieta dygocze lekko pod prześcieradłem i nerwowo porusza nogami, ale z wyrazu jej twarzy Luke wnioskuje, że jest w szoku.

Wyczuwa także, że dziewczyna traktuje go z rosnącą serdecznością; wyczuwa chemię pomiędzy nimi, jakby chciała go zmusić, by zapytał ją o tę straszną rzecz, która wydarzyła się w lesie.

- Chcesz mi opowiedzieć, co się dzisiaj stało? - pyta, przysuwając się z taboretom bliżej łóżka. - Jechałaś autostopem? Może zabrał cię jakiś facet w lesie... On atakuje, ty się bronisz?

Dziewczyna wzdycha i wciska głowę w poduszkę, wpatrując się w sufit.

- Nic podobnego. My się znaliśmy. Przyjechaliśmy tu razem.

On... - Przerywa, z trudem wypowiada następne słowa. - On poprosił mnie, żebym pomogła mu umrzeć.

- Eutanazja? Już umierał? Miał raka? - Luke nie kryje sceptycyzmu. Ludzie pragnący popełnić samobójstwo zwykle wybierają spokojny i pewny sposób: trucizna, leki, pracujący silnik samochodu i długi wąż ogrodowy. Nie proszą, by ich zadźgać na śmierć. Jeśli ten jej przyjaciel naprawdę chciał umrzeć, mógł po prostu siedzieć przez całą noc pod gwiazdami, aż w końcu zamarznąłby na śmierć.

Spogląda na kobietę, która drży pod papierowym przykryciem.

- Przyniosę ci szpitalną koszulę i koc. Na pewno jest ci zimno.

- Dziękuję - odpowiada dziewczyna.

Luke wraca ze spraną flanelową koszulą obszytą różową taśmą i błękitnym akrylowym kocem. Kolory oddziału położniczego. Spogląda na jej ręce przywiązane do łóżka nylonowymi taśmami.

- Ręce włożymy po kolei - mówi Luke, odwijając taśmę na ręce od strony stolika, na którym leżą narzędzia: szczypce, zakrwawione nożyczki, skalpel.

Szybko jak królik kobieta rzuca się do skalpela, zaciska na nim szczupłą dłoń. Z dzikiem wzrokiem, z rozszerzonymi nozdrzami celuje skalpelem w Luke'a.

- Spokojnie - mówi Luke, schodząc z taboretu, cofając się poza zasięg jej ramienia. - W holu jest zastępca szeryfa. Jeśli go zawołam, będzie po wszystkim, wiesz o tym? Nie dasz rady zaatakować nas obu tym małym nożem. Może więc go odłóżysz...

- Nie wołaj go - mówi, ale rękę wciąż ma wyciągniętą. - Musisz mnie wysłuchać.

- Słucham. - Łóżko stoi pomiędzy nim a drzwiami. Kobieta może przeciąć taśmę na drugiej ręce w czasie, który jemu zabierze dobiegnięcie do drzwi.

- Potrzebuję twojej pomocy. On nie może mnie zaaresztować. Musisz mi pomóc uciec.

- Uciec? - Nagle Luke wcale nie martwi się tym, że dziewczyna ze skalpelem go zrani. Jest zażenowany, że stracił czujność, że pozwolił jej się na tym przyłapać. - Oszalałaś? Nie pomogę ci uciec.

- Wysłuchaj mnie...

- Dzisiaj wieczorem kogoś zabiłaś. Sama to powiedziałaś. Nie mogę ci pomóc uciec.

- To nie było morderstwo. On chciał umrzeć. Mówiłam ci.

- I przyjechał umrzeć tutaj, ponieważ też tu się wychował?

- Tak - odpowiada dziewczyna z widoczną ulgą.

- Więc mi powiedz, kim on jest. Może go znam.

Dziewczyna kręci głową.

- Mówiłam ci, nie znasz go. Nikt tutaj nas nie zna.

- Nie wiesz tego na pewno. Może jacyś twoi krewni... - Luke staje się uparty, kiedy jest zły.

- Moja rodzina nie mieszka w St. Andrew od bardzo długiego czasu. - Dziewczyna mówi zmęczonym głosem. Potem nagle się podrywa. - Myślisz, że wiesz, tak? Okay, nazywam się McIlvrae. Znasz to nazwisko? A ten człowiek w lesie? On nazywa się St. Andrew.

- St. Andrew jak miasto? - pyta Luke.

- Właśnie, jak miasto. - W głosie dziewczyny brzmi coś na kształt zadowolenia.

Luke czuje śmieszne bąbelki, bulgoczące mu za oczyma. Nie nazwałby tego rozpoznaniem... ale gdzie spotkał się z nazwiskiem McIlvrae? Wie, że gdzieś je widział lub słyszał, choć ta wiedza znajduje się poza jego zasięgiem.

- W mieście od co najmniej stu lat nie mieszkał nikt o nazwisku St. Andrew - mówi Luke rzeczowo, urażony tym, że zganiła go dziewczyna, która udaje, że się tu urodziła, która kłamie w zupełnie nieistotnej sprawie, czym zupełnie sobie nie pomoże. -

Od wojny secesyjnej. Tak przynajmniej mi mówiono.

Dziewczyna dźga skalpelem w jego kierunku, by zwrócić na nią uwagę.

- Posłuchaj, nie jestem niebezpieczna. Jeśli pomożesz mi się stąd wydostać, nikomu więcej nie zrobię krzywdy. - Mówi do niego tak, jakby to on zachowywał się nierozsądnie. - Pozwól, coś ci pokażę.

Bez ostrzeżenia wbija skalpel w swoją klatkę piersiową. Długa szeroka krecha zaczyna się od lewej piersi i biegnie przez żebra pod prawą pierś. Luke stoi jak sparaliżowany, podczas gdy krecha zakwita na białej skórze czerwienią. Krew tryska z rany, z której zaczyna wychodzić zgnieciona czerwona tkanka.

- O mój Boże - mówi. Do diabła, co jest z tą dziewczyną - to wariatka? Pragnie śmierci? Luke otrząsa się z oteźpiałej inercji i rusza w stronę łóżka.

- Nie zbliżaj się! - mówi dziewczyna, znowu kierując skalpel na niego. - Tylko patrz. Patrz.

Unosi tors, rozpościera ramiona, jakby chciała zapewnić mu lepszy widok, choć Luke widzi dobrze, tylko że nie potrafi uwierzyć własnym oczom. Krawędzie rany zbliżają się ku sobie jak pędy rośliny, łączą, zasklepiają. Krew przestaje płynąć, skóra odzyskuje normalny wygląd. Przez cały ten czas dziewczyna oddycha nierówno, ale nie zdradza oznak bólu.

Luke nie ma pewności, czy stoi na podłodze. Ogląda rzecz niemożliwą, nieprawdopodobną! Co właściwie ma myśleć? Zwariował, śni, leżąc na kanapie w dyżurce? Cokolwiek widział, jego umysł odmawia przyjęcia tego obrazu i zaczyna się zamykać.

- Co jest, cholera... - szepcze cicho. Znowu oddycha, jego klatka piersiowa podnosi się i opada, twarz jest zarumieniona. Czuje się tak, jakby zaraz miał wymiotować.

- Nie wołaj policjanta. Przysięgam, wszystko ci wyjaśnię, tylko nie wzywaj pomocy. Okay?

Chwiejąc się na nogach, Luke uzmysławia sobie, że w całej izbie przyjęć zapadła cisza. Czy gdyby zawołał, ktoś by mu odpowiedział? Gdzie jest Judy, gdzie jest zastępca szeryfa? To tak, jakby matka chrzestna Śpiącej Królowy rzuciła urok na oddział, usypiając wszystkich obecnych. Poza gabinetem jest ciemno, światła są przytłumione jak zwykle na nocnym dyżurze, natomiast odgłosy - daleki śmiech z programu telewizyjnego, metaliczne tykanie automatu z wodą sodową - wszystkie zniknęły. Nie słychać szumu automatycznej szczotki do podłogi, pracownicy przemierzającej puste korytarze. Są tylko Luke, jego pacjentka i stłumione porywy wiatru uderzającego w ścianę szpitala, usiłującego wedrzeć się do środka.

- Co to było? Jak to zrobiłeś? - pyta Luke, niezdolny ukryć przerażenia w głosie. Osuwa się na taboret, by uchronić się przed upadkiem na podłogę. - Kim ty jesteś?

Wydaje się, że ostatnie pytanie jest dla niej niczym cios w mostek. Dziewczyna zwiesza głowę, bujne blond loki zakrywają jej twarz.

- To... to jedyna rzecz, której nie mogę ci powiedzieć. Nie wiem, kim jestem. Nie mam pojęcia.

To niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają. Nie istnieje żadne wyjaśnienie - bo co, jest mutantem? Wykonano ją z syntetycznych, samoleczących się materiałów? Czy jest potworem?

A jednak wygląda normalnie, myśli lekarz, gdy serce znowu mu przyśpiesza i w uszach dudni krew. Pod jego stopami linoleum zaczyna się kołysać.

- Wróciliśmy tu, on i ja, bo tęskniliśmy za tym miejscem. Wiedzieliśmy, że wszystko tutaj będzie inne, nikogo nie zastaniemy, ale tęskniliśmy za tym, co niegdyś mieliśmy - mówi tęsknie młoda kobieta, patrząc ponad ramieniem doktora, nie zwracając

się do nikogo w szczególności.

Doznanie, które się pojawiło, kiedy po raz pierwszy tego wieczoru ją zobaczył, owo mrowienie, szum, łączy ich na podobieństwo elektrycznego łuku. Luke pragnie się dowiedzieć.

- Okay - mówi drżącym głosem, dłonie opierając na kolanach.
- To jakieś szaleństwo, ale mów. Słucham.

Dziewczyna bierze głęboki oddech i na moment zamyka oczy, jakby zaraz miała skoczyć do wody. A potem zaczyna.

ROZDZIAŁ 2

Terytorium Maine, rok 1 809

Zaczynam od samego początku, ponieważ to jest część, która wydaje mi się sensowna i którą zapisałam sobie w pamięci z obawy, że w przeciwnym wypadku zostanie utracona podczas mej wędrówki przez niekończący się czas.

Moje pierwsze wyraźne wspomnienie Jonathana St. Andrew łączy się ze słonecznym niedzielnym porankiem w zborze. Siedział na końcu rodzinnej ławki z przodu sali. Miał wtedy dwanaście lat i już wzrostem dorównywał mężczyznom z wioski. Był niemal tak wysoki jak jego ojciec Charles, który założył naszą małą osadę. Mówiono mi, że niegdyś Charles był przystojnym kapitanem straży obywatelskiej, ale teraz to mężczyzna w średnim wieku z patrycjuszowskim brzuszkiem.

Jonathan nie zwracał uwagi na nabożeństwo, choć, z drugiej strony, pewnie nieliczni to robili. Niedzielne nabożeństwa trwały cztery godziny, nawet osiem, jeśli kaznodzieja był przekonany o swym oratorskim talencie, któż więc mógł szczerze powiedzieć, że ze skupieniem słucha każdego słowa? Może Ruth, matka Jonathana, która siedziała obok niego w prostej ławie. Pochodziła z

rodziny bostońskich teologów i z pewnością nagadałaby pastorowi Gilbertowi do słuchu, gdyby uznała, że jego posługa nie jest dostatecznie rygorystyczna. Stawką było zbawienie dusz, a Ruth bez wątpienia sądziła, że dusze w tym położonym w dziczy miasteczku, z dala od wpływów cywilizacji, narażone są na szczególnie niebezpieczeństwo. Gilbert jednak nie należał do fanatyków, cztery godziny to był jego limit, wszyscy więc wiedzieliśmy, że wkrótce będziemy wolni, by cieszyć się pięknym popołudniem.

Przypatrywanie się Jonathanowi stanowiło ulubioną rozrywkę dziewcząt z wioski, chociaż tamtej niedzieli to on się przyglądał - otwarcie nie odrywał wzroku od Tenebraes Poirier. Jego sprytnie brązowe oczy przez dobre dziesięć minut utkwione były w ślicznej twarzy i łabędziej szyi Tenebraes, a przede wszystkim w jej piersiach, przy każdym oddechu napierających na obcisły stanik sukni. Najwyraźniej nie miało dla niego znaczenia, że Tenebraes była od niego kilka lat starsza, a w dodatku w wieku lat sześciu zaręczono ją z Matthew Comstockiem.

Czy to miłość, zadawałam sobie pytanie, obserwując go z chóru, gdzie mój ojciec i ja siedzieliśmy z innymi biednymi rodzinami. Tamtej niedzieli byłam tylko z ojcem, reszta naszej rodziny poszła do katolickiego kościoła na drugim końcu miasteczka, by praktykować wiarę mej matki, która pochodziła z francuskiej kolonii na północnym wschodzie stanu. Z policzkiem opartym o przedramię wpatrywałam się w Jonathana żarliwie, tak jak tylko zakochana dziewczyna potrafi. W pewnym momencie Jonathan wyglądał na chorego, z trudem przełykał ślinę, a w końcu odwrócił się od Tenebraes, która zdawała się nie mieć pojęcia o wpływie, jaki wywiera na ulubionego syna miasta.

Jeśli Jonathan jest zakochany w Tenebraes, to równie dobrze mogę się rzucić z balkonu na oczach całego miasta. W wieku

dwunastu lat wiedziałam bowiem z absolutną pewnością, że Kocham Jonathana z całego serca i jeśli nie będę mogła spędzić u jego boku życia, to wolę umrzeć. Siedziałam obok ojca do końca nabożeństwa, serce waliło mi w gardle, łzy wzbierały pod powiekami, chociaż powtarzałam sobie, że jestem dziecinna, tak się przejmując sprawą, która przypuszczalnie nie ma znaczenia.

Po zakończonym nabożeństwie mój ojciec Kieran wziął mnie za rękę i zeszedliśmy z balkonu, by przyłączyć się do sąsiadów zgromadzonych na wspólnej łące. To była nagroda za cierpliwe siedzenie na nabożeństwie, okazja do rozmowy z sąsiadami, odetchnięcia po sześciu dniach ciężkiej, mozolnej pracy. Dla niektórych stanowiło to jedyną możliwość kontaktu z kimś poza własną rodziną, wysłuchania najnowszych nowin i plotek. Stałam za ojcem rozmawiającym z sąsiadami i zerkałam zza jego nóg, szukając Jonathana; miałam nadzieję, że nie zobaczę go z Tenebraes. Stał koło swoich rodziców, wpatrzony tępo w ich głowy. Nie ulegało wątpliwości, że chciałby już pójść, ale to było równie nierealne jak życzenie, by w lipcu spadł śnieg: spotkania towarzyskie po nabożeństwie zwykle trwały co najmniej godzinę, a jeśli tak jak dzisiaj dopisywała pogoda, to nawet dłużej, i najbardziej zagorzałych uczestników trzeba było dosłownie znosić z łąki. Ojciec Jonathana był podwójnie obarczony, jako że mnóstwo mieszkańców miasteczka postrzegało niedziele jako możliwość porozmawiania z człowiekiem, od którego dzierżawili ziemię i który mógł w jakiś sposób poprawić ich los. Biedny Charles, dopiero wiele lat później pojęłam, jakie brzemię musiał dźwigać.

Skąd wzięłam odwagę na swój następny krok? Może powodem było desperackie postanowienie, że nie stracę Jonathana na rzecz Tenebraes, i to ono kazało mi ukradkiem odejść od ojca. Kiedy się upewniłam, że nie dostrzegł mojej nieobecności, pośpieszyłam

przez trawnik do Jonathana, zygzakiem wymijając grupki dorosłych. Byłam wtedy drobna, przed wzrokiem ojca bez trudu kryłam mnie obfite spódnice pań. Wreszcie stanęłam przed Jonathanem.

- Jonathanie. Jonathanie St. Andrew - powiedziałam piskliwie.

Po raz pierwszy jego piękne ciemne oczy spojrzały wyłącznie na mnie i serce podskoczyło mi w piersiach.

- Tak? Czego chcesz?

Czego chciałam? Teraz, kiedy zwróciłam na siebie jego uwagę, nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

- Jesteś z rodziny McIlvrae, prawda? - zapytał podejrzliwie Jonathan. - Nevin to twój brat.

Zarumieniłam się, wspominając tamto zdarzenie. Dlaczego o nim nie pomyślałam, zanim podeszłam do Jonathana? Zeszłej wiosny Nevin urządził zasadzkę na Jonathana przed sklepem i rozkwaślił mu nos, zanim dorośli ich rozdzielili. Nevin żywił gorącą nienawiść do Jonathana z powodów, które znał wyłącznie on. Ojciec przeprosił Charlesa za zdarzenie powszechnie postrzegane jako zwykła chłopięca bójka, pozbawiona złowrogich zamiarów. Żaden z ojców nie wiedział, że Nevin zabiłby Jonathana, gdyby tylko miał taką okazję.

- Czego chcesz? Czy to jedna ze sztuczek Nevina?

Zamrugałam.

- Ja... ja chciałabym cię o coś prosić. - Nie mogłam jednak mówić w obecności dorosłych. To tylko kwestia czasu, zanim rodzice Jonathana dostrzegą w swym otoczeniu dziewczynkę i zaczną się zastanawiać, co też wyprawia najstarsza córka Kierana McIlvrae, jakby istotnie dzieci z tej rodziny żywiły jakieś dziwne zamiary wobec ich syna.

Ujęłam jego rękę w obie dłonie.

- Chodź ze mną.

Poprowadziłam go przez tłum do pustego westybulu kościoła, a on z powodów, których nigdy nie poznam, szedł za mną posłusznie. Zaskakujące, ale nikt tego nie zauważył, nikt nie zawołał, by powstrzymać nas od odejścia we dwoje, nikt nie pośpieszył za nami w charakterze przyzwoitki. To było tak, jakby los sprzyjał temu, byśmy z Jonathanem mogli spędzić pierwsze chwile we dwoje.

Weszliśmy do zakrystii z zimną kamienną podłogą, mrocznymi zakamarkami, atmosferą odosobnienia. Głosy zdawały się dobiegać z wielkiej odległości, docierały do nas tylko pomruki i oderwane słowa. Jonathan wiercił się zdezorientowany.

- A więc co chcesz mi powiedzieć? - zapytał z lekkimi zniecierpliwieniem w głosie.

Zamierzałam zapytać go o Tenebraes. Pragnęłam zapytać o wszystkie dziewczęta z wioski, o to, które mu się podobają i czy już z którąś jest zaręczony. Nie mogłam jednak, słowa dławiły mnie w gardle i powodowały, że byłam na skraju łez.

W desperacji więc pochyliłam się i przycisnęłam usta do jego warg. Ze sposobu, w jaki lekko się odsunął, odgadłam, że jest zaskoczony. A potem zrobił coś nieoczekiwanego: odwzajemnił pocałunek. Przytulił się, łączywie zamykając usta na moich, karmiąc mnie swoim oddechem. To był mocny pocałunek, głodny i niezgrabny, przerastający wszelkie moje oczekiwania. Zanim zdążyłam się przestraszyć, oparł mnie o ścianę i przycisnął się do mnie. Poczułam wybrzuszenie w jego spodniach, pod fałdami kurtki. Z jego ust wydobył się jęk, wówczas to po raz pierwszy słyszałam jęk rozkoszy wydawany przez inną osobę. Bez słowa wziął moją rękę i położył sobie na spodniach, a ja poczułam, jak przebiega go dreszcz. Znowu jęknął.

Cofnęłam dłoń. Skóra mnie mrowiła, wciąż czułam jego pożądanie.

Oddychał ciężko, usiłując nad sobą zapanować, zdezorientowany tym, że się od niego odsunęłam.

- Czy nie tego pragnęłaś? - zapytał, przyglądając mi się uważnie, teraz już zaniepokojony. - Przecież mnie pocałowałaś.

- Tak... - Słowa płynęły chaotycznie. - Chciałam zapytać... o Tenebraes...

- Tenebraes? - Wyprostował się, poprawił kurtkę. - A co z nią? O co... - Urwał, przypuszczalnie uświadamiając sobie, że w kościele jej się przyglądał. Potrząsnął głową, jakby odpędzając samą myśl o Tenebraes Poirier. - A ty jak masz na imię? Którą z siostr McIlvrae jesteś?

Nie mogłam mieć do niego pretensji o to pytanie: byliśmy trzy.

- Lanore - odpowiedziałam.

- Niezbyt ładne imię, prawda? - rzekł, nie zdając sobie sprawy, że każde z tych słów może zranić serce młodej dziewczyny. - Będę mówił do ciebie Lanny, jeśli pozwolisz. Wiesz, że jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką, Lanny? - W jego głosie brzmiał żartobliwy ton, którym dawał mi do zrozumienia, że w gruncie rzeczy wcale się na mnie nie gniewa. - Czy nikt ci nigdy nie mówił, że nie powinnaś prowokować chłopców, zwłaszcza nieznajomych?.

- Ale ja cię znam. Wszyscy cię znają - odparłam, cokolwiek przestraszona, że uzna mnie za frywolną. Był najstarszym synem najbogatszego człowieka w miasteczku, właściciela lasów, wokół którego kręciło się życie całej osady: oczywiście, że wszyscy wiedzieli, kim jest. - I... i ja cię kocham. Chcę zostać twoją żoną.

Jonathan cynicznie uniósł brew.

- Wiesz, jak mam na imię, w porządku, ale skąd możesz mieć pewność, że mnie kochasz? Jak to się stało, że zwróciłaś serce ku mnie? Przecież wcale mnie znasz, Lanny, a mimo to mówisz, że jesteś moja. - Raz jeszcze wygładził kurtkę. - Powinniśmy wracać,

zanim ktoś zacznie nas szukać. Najlepiej będzie, jeśli nie zobaczą nas razem, zgadzasz się? Ty idź pierwsza.

Przez sekundę stałam tam wstrząśnięta. Miałam zamęt w myślach, wciąż byłam owładnięta ulotnymi znakami jego pożądania, wspomnieniem pocałunku i jego twardości w swej dłoni. Ale źle mnie zrozumiał: wcale mu się nie oddałam. Oznajmiłam, że on jest mój.

- Dobrze - powiedziałam i w moim głosie musiało zabrzmieć rozczarowanie, bo Jonathan obdarzył mnie swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- Nie martw się, Lanny. W następną niedzielę zobaczymy się po nabożeństwie, obiecuję. Może zdołam cię namówić, żebyś znowu mnie pocałowała.

Jeśli opowiem ci o Jonathanie, moim Jonathanie, zrozumiesz wtedy, dlaczego byłam taka pewna swego uczucia? Gdy przyszedł na świat pierworodny Charlesa i Ruth, oboje nie posiadali się z radości z narodzin syna i od razu nadali mu imię, a ochrztili go po miesiącu, postępując lekkomyślnie, inni rodzice bowiem nawet imię dla dziecka wybierali dopiero po jakimś czasie, kiedy dowiedło, że ma szansę na przeżycie. Jego ojciec urządził wielkie przyjęcie, podczas gdy Ruth wciąż jeszcze odzyskiwała siły po położeniu, zaprosił całe miasteczko na rumowy poncz i słodzoną herbatę, na ciasto śliwkowe i ciasteczka z melasy, wynajął skrzypka z Acadii, urządził wesołą zabawę z muzyką tak krótko po narodzinach chłopca, że wydawało się, iż rzuca wyzwanie diabłu: spróbuj przyjść i mi go zabrać! Tylko spróbuj, a zobaczysz, co cię spotka!

Od pierwszych dni jasne było, że Jonathan jest niezwykle: wyjątkowo mądry, wyjątkowo silny, wyjątkowo zdrowy, a nade wszystko wyjątkowo piękny. Kobiety siedziały zauroczone przy jego kołysce, błagały o pozwolenie wzięcia go na ręce i udawały,

że to cudownie ukształtowane ciało z kręconym czarnym puchem na główce należy do nich. Nawet mężczyźni, nie wyłączając najtwardszych drwali, zatrudnianych przez jego ojca, roztkliwiali się jak nigdy, gdy przebywali w pobliżu niemowlęcia.

Kiedy Jonathan skończył dwanaście lat, nikt nie mógł zaprzeczyć, że jest w nim jakaś dojrzałość, która wydawała się oczywistą częścią jego urody. Był cudowny. Był doskonały. A to stanowiło rzadkość w tamtych czasach, kiedy ludzkie ciała znaczyły najrozmaitsze deformacje: dzioby po ospie, blizny po oparzeniach, krzywica wywołana niedożywieniem, bezzębne dziąsła (już u trzydziestolatków), guzy po źle nastawionej kości, strupy będące rezultatem fatalnej higieny, a w naszych zalesionych okolicach także brakujące na skutek odmrożeń części ciała. Jonathan jednak nie miał żadnych blizn, żadnych zniekształceń. Wyrósł na wysokiego, prostego, barczystego chłopca, majestatycznego niczym drzewa jego ojca. Skórę miał nieskazitelną jak śmietana, włosy czarne i błyszczące jak skrzydło kruka, oczy ciemne i bezdenne jak najgłębszy wir w rzece Allagasti. Cudownie było na niego patrzeć.

To przekleństwo czy błogosławieństwo, że taki chłopiec Jonathan mieszkał wśród nas? Powiem, że nam, dziewczętom, należało współczuć: miasteczko było małe, każdy każdego gdzieś spotykał, rozrywek nie mieliśmy wiele i Jonathan stanowił ciągłą, nieuniknioną pokusę. Zawsze istniała możliwość, że go zobaczysz, jak wychodzi ze sklepu, jak konno jedzie przez pole, pozornie załatwiając jakąś sprawę, w rzeczywistości wysłany przez diabła, by nas kusić. Nie musiał nawet być obecny, by nami zawładnąć: kiedy z siostrami czy przyjaciółkami zasiadałyśmy do szycia, któraś zawsze zaczynała szeptać, że niedawno go widziała, i stawał się jedynym tematem rozmowy. Niewykluczone, że miałyśmy swój udział w tym zauroczeniu, nie potrafiłyśmy bowiem przestać o

nim myśleć, omawiałyśmy każde przypadkowe spotkanie (roz-
mawiał z tobą?, dopytywały się o inne, co powiedział?), dostrze-
żenie go z daleka, nawet drobiazg tak nieistotny jak kolor jego
kamizelki. Naprawdę jednak wszystkie myślałyśmy o jego imper-
tynenckim wzroku, o wyginającym się w namyśle kąciku ust, o
tym, że każda pragnie choć raz znaleźć się w jego ramionach. I nie
tylko młode dziewczęta tak czuły, bo kiedy skończył piętnaście,
szesnaście lat, sprawił, że inni mężczyźni w miasteczku wydawali
się zniszczeni, chropawi, za grubi lub za chudzi, i porządne żony
innym okiem zaczęły spoglądać na Jonathana. Można się było
tego domyślić z ich gorących spojrzeń, zarumienionych policz-
ków, przygryzionych warg, ulotnej nadziei w przyśpieszonym
oddechu.

Było w tym poczucie niebezpieczeństwa jak wtedy, gdy szalony
głos w głowie mówi nam, żeby położyć dłoń na rozpalonym
żelazie. Wiemy, że na pewno zrobimy sobie krzywdę, ale nie mo-
żemy się oprzeć. Nie zważamy na konsekwencje, na nieznośny ból
przypalonego ciała, który powraca przy każdym dotknięciu rany.
Bliznę będziemy nosić do końca życia: bliznę na sercu. Zranieni
przez miłość, nigdy więcej nie zachowamy się tak nierozsądnie.

Pod tym względem byłam obiektem zazdrości i kpin równo-
cześnie: inne zazdrościły mi czasu spędzanego w towarzystwie
Jonathana, a kpiły, bo jasno dawałam do zrozumienia, że nasz
związek nie jest romantyczny. To tylko utwierdzało dziewczęta w
przekonaniu, że brak mi kobiecych zalet, które wzbudzają zainte-
resowanie mężczyzn. Ale ja wcale się od nich nie różniłam. Wie-
działam, że Jonathan potrafi rozpalić mnie ogniem swej uwagi jak
płomień papier. Dziewczynę może zniszczyć chwila boskiej miło-
ści. Pytanie, czy warto.

Możesz zapytać, czy kochałam Jonathana z powodu jego uro-
dy, a ja odpowiem: to pytanie jest bez znaczenia, ponieważ jego

niezwykła, rzadka uroda stanowiła nieodłączną część całości. Obdarzała go spokojną pewnością siebie (niektórzy mogli ją nazwać obojętną arogancją) i spokojnym, rozbijającym sposobem traktowania płci pięknej. I nawet jeśli jego wygląd najpierw zwrócił moją uwagę, nie będę za to przeproszać, tak samo jak nie będę przeproszać za pragnienie, by posiadać Jonathana na własność. Nie ja jedna, niemal każdy próbował go osiąść. To było jego przekleństwo i przekleństwo wszystkich, którzy go kochali, lecz przypominało miłość do słońca: przebywanie w pobliżu zdaje się cudowne i oszałamiające, nie można jednak zachować go na wyłączność. Miłość do Jonathana okazywała się skazana na klęskę, a równocześnie niepodobna było go nie kochać.

Tak oto i na mnie spadła klątwa Jonathana, stałam się ofiarą jego straszliwego powabu, choć cierpieć z tego powodu musieliśmy oboje.

ROZDZIAŁ 3

Przez całe dzieciństwo mnie i Jonathana łączyła przyjaźń. Spotykaliśmy się po niedzielnym nabożeństwie, na weselach i pogrzebach, szeptaliśmy do siebie, idąc na końcu konduktu, albo całkiem odrzucaliśmy względy przyzwoitości i wędrowaliśmy do lasu, gdzie mogliśmy skupiać się na sobie wzajemnie. Głowy kręciły się z dezaprobatą, niektóre języki rozpuszczały plotki, ale nasze rodziny nie zrobiły nic, by powstrzymać naszą przyjaźń, w każdym razie ja nic o tym nie wiedziałam.

To wtedy z wolna zaczęłam sobie uświadamiać, że Jonathan jest bardziej samotny, niż mi się wydawało. Inni chłopcy rzadziej szukali jego towarzystwa, niżli sądziłam, on sam zaś często się wycofywał, kiedy na towarzyskich zgromadzeniach zbliżała się do nas jakaś grupka. Pamiętam: raz na wiosennym spotkaniu w kościele Jonathan skręcił na inną ścieżkę, widząc idących w naszym kierunku rówieśników. Nie miałam pojęcia, jak to rozumieć, i po kilku minutach niespokojnych rozmyślań postanowiłam zapytać.

- Dlaczego chciałeś pójść tą drogą? Bo jesteś zakłopotany, że widzą nas razem?

Prychnął pogardliwie.

- Nie bądź głupia, Lanny. Przecież widują mnie z tobą. Każdy może nas zobaczyć.

To była prawda i ogarnęła mnie ulga. Nie miałam jednak zamiaru zrezygnować z pytań.

- Więc to dlatego, że nie lubisz tych chłopców?

- To nieprawda, że ich nie lubię - odparł z irytacją.

- No to czemu...

Nie pozwolił mi skończyć.

- Dlaczego mnie wypytujesz? Uwierz mi na słowo: u chłopców inaczej to wygląda, i tyle. - Przyśpieszył i musiałam podwinąć spódnicę, żeby dotrzymać mu kroku. Nie wyjaśnił, do czego odnosi się owo tajemnicze „to”: co wygląda inaczej u chłopców? Z mojego punktu widzenia całe ich życie było inne. Chłopcy chodzili do szkoły, jeśli rodziny stać było na zapłacenie nauczycielowi, podczas gdy edukacja dziewcząt kończyła się na tym, co przekazywały im matki, i polegała na domowych umiejętnościach szycia, sprzątanía, gotowania, może też czytania Biblii. Chłopcy mogli się bić dla zabawy, mogli biegać i grać w piłkę, nieskrępowani długimi spódnicami, mogli jeździć konno. To prawda, im przypadały ciężkie prace i musieli doskonalić najróżniejsze umiejętności - Jonathan opowiadał, że raz ojciec kazał mu naprawić fundamenty piwnicy przy użyciu kamienia i zaprawy, żeby poznał, czym jest murarka - ale, według mnie, chłopcy mieli więcej wolności. A Jonathan się na to skarżył.

- Chciałabym być chłopcem - mruknęłam zadyszana, biegnąc za nim.

- Nie, nie chciałybyś - rzucił przez ramię.

- Nie rozumiem, co...

Odwrócił się do mnie gwałtownie.

- A co z twoim bratem Nevinem? On mnie nie lubi, prawda?

Przystanąłam, zbita z tropu. Nie, odkąd sięgałam pamięcią, Nevin nienawidził Jonathana. Przypomniałam sobie ich bójkę, to, jak brat wrócił do domu z zaschniętą krwią na twarzy i ojciec w duchu był z niego dumny.

- Jak myślisz, dlaczego twój brat mnie nie cierpi?

- Nie wiem.

- Nigdy nie dałem mu powodu, ale on i tak mnie nienawidzi - powiedział Jonathan, dokładając starań, by w jego głosie nie zabrzmiał ból. - I tak jest ze wszystkimi chłopcami. Nienawidzą mnie. Niektórzy dorośli też. Wiem, czuję to. Dlatego ich unikam, Lanny. - Oddychał ciężko, zmęczony wyjaśnieniami. - Proszę, teraz już wiesz - dodał i pobiegł przed siebie, zostawiając mnie samą, wpatrującą się w niego ze zdumieniem.

Przez cały tydzień zastanawiałam się nad tym. Mogłabym zapytać Nevina, dlaczego tak bardzo nienawidzi Jonathana, ale to rozpoczęłoby tylko od nowa starą kłótnię: Nevin nie mógł znieść naszej przyjaźni, a ja powody znałam doskonale, nie musiałam ó nie pytać. Mój brat uważał, że Jonathan jest dumny i arogancki, że chełpi się bogactwem, że domaga się specjalnego traktowania - i je dostaje. Znałam Jonathana lepiej niż ktokolwiek spoza jego rodziny (może nawet lepiej niż oni), wiedziałam więc, że to nieprawda... z wyjątkiem ostatniego zarzutu, choć przecież to nie była jego wina, że otoczenie traktuje go inaczej. A chociaż Nevin nigdy na głos by tego nie przyznał, widziałam w jego nienawistnym wzroku pragnienie zniszczenia urody Jonathana, pozostawienia znaku na jego wdzięcznej, przystojnej twarzy i pokonania ulubionego syna miasta.

Na swój sposób Nevin chciał się sprzeciwić Bogu, chciał naprawić to, co postrzegał jako niesprawiedliwość, którą Bóg rozmyślnie na niego spuścił, a która polegała na tym, że musiał żyć w cieniu Jonathana.

Jonathan uciekł ode mnie na kościelnym pikniku, bo zmusiłam go do wyznania mi swej wstydlivej tajemnicy, a może też sądził, że skoro ją poznałam, porzucę go. Jakże silnie czepiamy się naszych obaw w dzieciństwie! Jakby istniała jakakolwiek moc na ziemi czy w niebie, która zdołałaby mnie skłonić, bym przestała kochać Jonathana. Jeśli już, to jego wyznanie uzmysłowiło mi, że on też ma wrogów i krytyków, że on też jest ciągle oceniany i że mnie potrzebuje. Byłam jedyną przyjaciółką, przy której mógł się czuć swobodnie. I nie chodziło o jednostronny układ: mówiąc wprost, Jonathan jedyny traktował mnie tak, jakbym się liczyła. A to, że interesuje się nią najbardziej pożądanym, najważniejszym chłopcem w mieście, nie jest drobiazgiem dla dziewczyny niemal niewidzialnej dla rówieśników. To tylko pogłębiło moją miłość.

W następną niedzielę dałam to Jonathanowi do zrozumienia. Krążył na drugim końcu łąki, podeszłam więc do niego i ujęłam go pod ramię.

- Mój brat jest głupcem - rzekłam; nie dodałam nic więcej, spacerując z nim w milczeniu.

Jednej rzeczy wszakże nie cofnęłam z naszej rozmowy na pikniku, a mianowicie mego pragnienia, że wołałabym się urodzić jako chłopiec. Wciąż w to wierzyłam. To przekonanie wbili mi do głowy swym postępowaniem rodzice, a także zasady, według których żyliśmy, a które głosiły, że dziewczęta są mniej warte niż chłopcy, że naszym przeznaczeniem jest prowadzenie egzystencji mniej ważnej. Na przykład wiadomo było, że Nevin odziedziczy farmę rodziców. Gdyby jednak brakowało mu cech usposobienia czy zamiłowania do rolnictwa, mógł zostać czeladnikiem u kowala albo podjąć pracę jako drwal u St. Andrew - wybór ograniczony, ale wybór. Ja jako kobieta miałam mniej możliwości: wyjście za mąż i prowadzenie własnego domu, pozostanie u rodziców, praca

służącej w cudzym domu. Gdyby z jakiegoś powodu Nevin zrezygnował ze spadku, rodzice bez wątpienia przekazaliby ją mężowi którejs z córek, chociaż to także zależałoby od jego preferencji. Dobry mąż wzięłby pod rozwagę życzenia żony, ale nie wszyscy tak robili.

Istniał jeszcze jeden powód, dla mnie istotniejszy: gdybym była chłopcem, uprościłoby to moją przyjaźń z Jonathanem. Tyle rzeczy moglibyśmy robić razem: jeździć konno, bez przyzwoitki wyprawiać się na awanturnicze przygody, spędzać mnóstwo czasu ze sobą i nikt nie podnosiłby znacząco brwi ani nie uznawałby za stosowne komentować naszego zachowania. Nasza przyjaźń byłaby tak banalna i zwyczajna, że nie wymagałaby krytycznych spojrzeń otoczenia i mogłaby się swobodnie rozwijać.

Patrząc wstecz, rozumiem teraz, że to był trudny czas dla mnie, wciąż uwięzionej w okresie dojrzewania, ale powoli, chwiejnie zmierzającej do dojrzałości. Chciałam wielu rzeczy od Jonathana, lecz nie potrafiłam ich nazwać, mogłam je mierzyć wyłącznie wedle niezgrabnych kryteriów dzieciństwa. Łączyła nas bliskość, ja jednak pragnęłam być bliżej niego w sposób, którego nie rozumiałam. Widziałam, jak patrzy na starsze dziewczęta, widziałam, że wobec nich zachowuje się inaczej niż wobec mnie, i myślałam, że umrę z zazdrości. Po części wynikało to z natężenia jego uwagi, jego wielkiego uroku; kiedy był z tobą, jakimś sposobem sprawiał, że czułaś się centrum jego świata. Jego oczy, te bezdenne ciemne oczy, nie odrywały się od twej twarzy, jakby znajdował się tu wyłącznie dla ciebie. Może to było złudzenie, może po prostu radość, że ma się Jonathana dla siebie. Tak czy owak rezultat ten sam: kiedy Jonathan przestawał się tobą interesować, miałaś wrażenie, że słońce schowało się za ciemną chmurę i przenikliwie zimny powiew wiatru uderzył cię w plecy.

Pragnęłaś jedynie, by Jonathan wrócił, byś znowu mogła się cieszyć jego uwagą.

Z każdym rokiem się zmieniał. Kiedy się nie pilnował, dostrzegałam takie jego cechy, których wcześniej nie widziałam (lub umykały mojej uwadze). Potrafił się zachowywać brutalnie, jak drwale pracujący u jego ojca, zwłaszcza gdy myślał, że w pobliżu są sami mężczyźni; mówił ordynarnie o kobietach, jakby już poznał pełny wachlarz intymności możliwych pomiędzy płciami. Później miałam się dowiedzieć, że w wieku szesnastu lat został uwiedziony, a potem sam uwodził jako uczestnik (dość jednak młody) zakazanego walca, tańczonego przez potajemnych kochanków w miasteczku; to był ukryty świat, trzeba było wiedzieć, gdzie go szukać.

Tymi sekretami nie dzielił się ze mną.

Wiem tylko, że moje pragnienie Jonathana rosnęło, i czasami wydawało mi się, że przestaję nad nim panować. Było coś w jego błyszczącym wzroku, w półuśmiechu, w głądzeniu młodej kobiety po jedwabnym rękawie sukni, kiedy myślał, że nikt tego nie widzi, co sprawiało, że marzyłam, by tak samo patrzył na mnie, by mnie tak pieścił. A kiedy przypominałam sobie jego brutalne słowa, które podsłuchałam, chciałam, by ze mną też tak postępował. Rozumiem teraz, że byłam samotną, zagubioną dziewczyną, łaknącą intymności i fizycznej namiętności (choć stanowiła ona dla mnie zagadkę), a moja ignorancja - wiem to teraz - doprowadzi mnie do zguby. Oszalałam z pragnienia bycia kochaną. Nie mogę obwiniać wyłącznie Jonathana. Jakże często sami doprowadzamy do swego upadku.

ROZDZIAŁ 4

Szpital hrabstwa Aroostook, dzisiaj

Dym wiruje w smugach światła padającego z dwóch lamp w gabinecie. Teraz taśmy nie krępują już przegubów aresztantki, która z żarzącym się papierosem w palcach siedzi na podniesionym łóżku. Dwa niedopałki wypalone do filtrów leżą na dnie basenu. Luke prostuje się na krześle i kaszle, w gardle drapie go od dymu, głowa mu ciąży, jakby przez całą noc brał narkotyki, jakby budził się z narkotycznego transu.

Ktoś jednym palcem puka do drzwi i Luke zrywa się na nogi szybciej, niż wiewiórka wbiega na drzewo, ponieważ wie, że tak puka personel szpitalny. Blokuje drzwi własnym ciałem, uchylając je tylko odrobinę.

Spogląda na niego zimne oko Judy, zniekształcone przez soczewkę okularów.

- Dzwonili z kostnicy. Przywieziono ciało. Joe chce, żebyś wezwał patologa.

- Jest późno. Powiedz mu, że nie ma potrzeby go budzić. To na pewno może poczekać do rana.

Pielęgniarka krzyżuje ręce na piersiach.

- Pyta też o aresztantkę. Może już ją zabrać czy nie?

To jest sprawdzian, uświadamia sobie Luke. Zawsze uważał się za uczciwego, ale nie potrafi się zmusić, by już się z nią rozstać.

- Nie, jeszcze nie.

Judy wpatruje się w niego tak stanowczo, jakby chciała przewiercić go wzrokiem.

- Dlaczego nie? Nie ma nawet zadrapania.

Kłamstwo pojawia się jak na zamówienie.

- Była bardzo niespokojna, musiałem dać jej środek uspokajający. Teraz muszę się upewnić, że nie pojawią się skutki uboczne.

- Pielęgniarka westchnęła głośno, jakby wiedziała (nie podejrzewała, ale wiedziała), że Luke robi coś odrażającego z nieprzytomną dziewczyną. - Zostaw mnie w spokoju, Judy. Powiedz Joemu, że zadzwonię do niego, kiedy stan pacjentki się ustabilizuje. - Zamyka jej drzwi przed nosem.

Lanore miesza popiół w basenie końcem palącego się papierosa, świadomie unikając wzroku Luke'a.

- Więc Jonathan tu jest. Teraz nie musisz wierzyć mi na słowo - mówi, strzepując popiół i głową wskazując drzwi. - Idź do kostnicy. Sam zobacz.

Doktor Findley niespokojnie poprawia się na taborecie.

- No i co z tego, że w kostnicy jest martwy człowiek? To tylko dowodzi, że rzeczywiście kogoś dzisiaj zabiłaś.

- Nie, jest jeszcze coś. Pokażę ci. - Lanore podciąga rękaw szpitalnej koszuli, odsłaniając niewielki rysunek na białym wnętrzu przedramienia. Luke pochyla się, by lepiej widzieć: dość prymitywny tatuaż, wykonany czarnym tuszem, przedstawia zarys heraldycznej tarczy z jakimś gadem w środku. - U Jonathana zobaczysz to samo w tym samym miejscu...

- Taki sam tatuaż?

- Nie - odpowiada Lanore, przesuwając kciukiem po tatuażu.

- Ale jest tej samej wielkości i wykonany przez tę samą osobę, więc wygląda podobnie, jakby zrobiono go szpilkami zanurzonymi w tuszu, bo tak rzeczywiście było. U niego są to dwie zbliżające się do siebie komety z przedłużonymi ogonami.

- I co oznaczają? - pyta Luke.

- Nie mam pojęcia. - Lanore poprawia koszulę i pościel. - Po prostu idź i obejrzyj Jonathana, a potem powiedz, że mi nie wierzysz.

Luke Findley wiąże ją - niezgrabnie, rzadko używa tych taśm przeznaczonych dla agresywnych pacjentów - po czym wstaje z taboretu. Wymyka się przez wahadłowe drzwi, wpierw się upewniwszy, że nikt go nie widzi. W szpitalu wciąż jest ciemno i cicho, tylko na końcu korytarza mrok rozprasza światło z dyżurki pielęgniarek.

Buty Luke'a skrzypią na czystym linoleum, gdy zbiega po schodach do piwnicy, gdzie jest kostnica.

Nerwy ma napięte jak postronki. Jeśli ktoś go zatrzyma i zapyta, co robi poza izbą przyjęć, dlaczego idzie do kostnicy, powie, że... w umyśle ma pustkę. Luke nigdy nie był dobrym kłamcą. Uważa się za człowieka z gruntu uczciwego, choć nie zawsze przynosi mu to korzyści, jakie z tego ma. Pomimo uczciwości i strachu, że go przyłapią, zgodził się na niesamowitą propozycję zatrzymanej, ponieważ ciekawi go, czy ten zmarły jest najpiękniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi, i chce się przekonać, jak ów najpiękniejszy mężczyzna wygląda.

Pchnięciem otwiera ciężkie drzwi kostnicy. Słyszy muzykę - nocny pracownik, młody człowiek imieniem Marcus, lubi słuchać radia - ale nikogo nie widzi. Na biurku są ślady obecności Marcusa (lampa pali się jasno, leżą rozrzucone papiery, gumowy futerał, otwarty długopis), ale jego samego nie ma.

Kostnica jest mała, odpowiednia do skromnych potrzeb miasteczka. W głębi mieści się chłodzone pomieszczenie sekcyjne, ale ciała przechowywane są w czterech lodówkach tuż za drzwiami. Luke oddycha głęboko i sięga do zasuwy, wielkiej i ciężkiej jak zasuwy na starych ciężarówkach chłodniach.

W pierwszej szufladzie znajduje się ciało starszej kobiety, której Luke nie zna, co oznacza, że nieboszczka pochodziła z głębi stanu. Niska, krępa postać i białe włosy przypominają mu matkę i przez chwilę myśli o ich ostatniej świadomej rozmowie. Siedział przy niej na oddziale intensywnej terapii, a ona wodziła rozbieganym wzrokiem po jego twarzy i wyciągała do niego rękę po pociechę.

- Przepraszam, że musiałeś wrócić do domu, żeby się nami zaopiekować - powiedziała jego matka, która nigdy nie przeproszała, ponieważ nigdy nie pozwalała sobie na zrobienie niczego, co wymagałoby przeprosin. - Chyba za długo pozostaliśmy na tej farmie. Ale twój ojciec nie chciał zrezygnować... - Urwała, niezdolna do nieojalności wobec męża, tak upartego, że rankiem w dzień swej śmierci pokuśtykał do obory wydoić krowy. - Przepraszam za wpływ, jaki to miało na rodzinę....

Luke wspomina swoje wyjaśnienia, że jego małżeństwo już się rozpadało, kiedy przeprowadził się z rodziną do St. Andrew, ale matka nie chciała słuchać.

- Od dzieciństwa nie chciałeś mieszkać w St. Andrew. Na pewno nie jesteś teraz szczęśliwy. Po mojej śmierci nie zostawaj tu. Wyjedź i zacznij nowe życie. - Rozpłakała się i ciągle słabo ścisnęła go za rękę, a kilka godzin później straciła przytomność.

Mija minuta, nim Luke uświadamia sobie, że szuflada wciąż jest otwarta i że jest mu zimno, bo tak długo tu stoi. Jakby słyszał głos matki w głowie. Drży, zamykając szufladę, i dopiero po kolejnej minucie przypomina sobie, po co przyszedł do kostnicy.

W drugiej szufladzie jest czarny worek z ciałem; sapiąc z wysiłku, Luke ją wyciąga. Zamek rozsuwa się z satysfakcjonującym trzeszczeniem, jak przy odrywaniu rzepa.

Otwiera worek i patrzy. Przez lata widział wiele trupów, wie, że śmierć w żaden sposób nie poprawia wyglądu. W zależności od rodzaju śmierci nieboszczycy mogą być pokryci plamami, posiniaczeni, bladzi, sini. Zawsze ich rysy cechuje nieomylny bezruch. Twarz tego człowieka jest niemal biała, poznaczona wilgotnymi ciemnymi liśćmi. Czarne włosy kleją się do czoła, oczy są zamknięte. To bez znaczenia. Luke mógłby patrzeć na niego przez całą noc. Jest niezwykle nawet po śmierci. Jest oszałamiająco, boleśnie piękny.

Luke już ma zamknąć szufladę, ale przypomina sobie o tatuażu. Ogląda się przez ramię, na wypadek gdyby wrócił Marcus, a potem pośpiesznie odpina zamek i odsuwa rękaw. Istotnie, tatuaż jest tam, gdzie powiedziała Lanore, dwie splecione kule z ogonami ciągnącymi się w przeciwnych kierunkach, a kropki wyglądają podobnie, mają tę samą wielkość i odznaczają się lekką chwiejnością linii.

Wracając przez puste korytarze do izby przyjęć, Luke zmaga się z plątaniną myśli, głównie pytań. Są jak materia i antymateria, wzajemnie się wykluczają, dwie prawdy, które nie mogą istnieć równocześnie. Luke wie, że nie mogło się zdarzyć to, co widział w gabinecie, kiedy dziewczyna zadała sobie ranę nożem, a jednak się zdarzyło. Dotykał tego miejsca na jej klatce piersiowej przed i po cięciu, wiedział więc, że to nie była żadna sztuczka. Ale to, co widział na własne oczy, nie mogło się wydarzyć, nie w taki sposób.

Chyba że mówiła prawdę. A teraz w kostnicy leży przystojny mężczyzna i jeszcze te tatuáže... Wszystko to wywołuje w nim poczucie, że musi słuchać i dla odmiany nie pytać. Ale jako człowiek nauki jest uparty, nie zamierza odrzucać całej swej wiedzy.

Chciałby jednak dowiedzieć się więcej.

Wpada do gabinetu w mrocznej izbie przyjęć, energia i zderzenie szaleją mu w piersi jak świetlik w słoju, i widzi, że aresztantka kuli się na łóżku, oblana smugą światła, otoczona kłębem dymu. Mogłaby być upadłym aniołem z odciętymi skrzydłami, myśli Luke.

Lanore spogląda na niego natarczywie.

- Więc jak, widziałeś go? Był taki, jak mówiłam?

Doktor Findley potakuje. Piękno tego rodzaju jest swego rodzaju narkotykiem. Pociera twarz, bierze głęboki oddech.

- I teraz rozumiesz - ciągnie Lanore z powagą. - Jeśli mi wierzysz, Luke, pomóż mi. Rozwiąż mnie. - Wygina plecy, prężąc taśmę i unosząc ku niemu słodką twarz dziecka. - Pomóż mi uciec.

ROZDZIAŁ 5

St. Andrew, rok 1811

Może oboje z Jonathanem wyszlibyśmy na tym lepiej, gdybym się urodziła chłopcem. Nasza przyjaźń trwałaby bez przeszkód. Spędzilibyśmy całe nasze życie w zamknięciu małego miasteczka, nigdy nie wpadłabym w kłopoty, nigdy nie cierpielibyśmy tych straszliwych udręk. Nasze życie byłoby takie proste, ale pełne, satysfakcjonujące i kompletne, a ja czułabym się szczęśliwa.

Byłam jednak dziewczyną i tego mimo moich najszczerzych pragnień nie dało się zmienić. Czekala mnie tajemnicza przemiana z dziewczyny w kobietę, tak dla mnie niepojęta, jak sztuczka magika. Za czym przykładem powinnam podążać? Moja matka Theresa nie była w stanie udzielić mi wskazówek, których łaknęłam, zbyt była spokojna i skromna, nie chciałam być taka jak ona. Pragnęłam więcej, pragnęłam poślubić Jonathana i nie sądziłam, by matka mogła mnie nauczyć, jak stać się kobietą, która by potrafiła go zdobyć.

Wyglądało na to, że istnieją sekrety, do jakich nie wszystkie kobiety są dopuszczone. Na szczęście w miasteczku mieszkał ktoś, kto je znał. Powiadano o niej różne rzeczy, jej imię

wywoływało uśmiechy na twarzach mężczyzn (jeśli w pobliżu nie było ich żon). Różniła się od pozostałych mieszkańek miasteczka i musiałam znaleźć sposób, jak ją skłonić, by mi te sekrety powierzyła.

Przy często uczęszczanej drodze stał ukryty w cieniu kuźni mały domek. Jeśli ktoś w ogóle go zauważył, mógł pomyśleć, że to wygódka albo szopa. Chociaż zrujnowany i zbyt mały na dom mieszkalny, nie sprawiał wrażenia opuszczonego, a ścieżka do frontowych drzwi z czasem się poszerzała. Z całą pewnością mogła w nim mieszkać tylko jedna osoba, a na początku dziewiętnastego wieku w naszej surowej purytańskiej osadzie wciąż obowiązywało prawo zwyczajowe, zakazujące samotnego zamieszkiwania (bo byliśmy purytanami, pamiętaj o tym, ojcowie miasteczka wychowali się w Massachusetts i przywykli do mieszania religii z rządem). Trzeba jednak dodać, że w tym najbardziej wysuniętym na północ zakątku, który później został stanem Maine, jedynym powodem tego zakazu była konieczność: jedna osoba w żadnym razie nie poradziłaby sobie z licznymi zajęciami, niezbędnymi do przetrwania w trudnych warunkach. Dla kontrastu w miastach bardziej rygorystycznie przestrzegających purytańskich zasad uzasadnieniem było to, że samotność sprzyja schodzeniu na złą drogę, człowieka mogą kusić grzeszne występki. Zakaz zabraniający samotnego zamieszkiwania pozwalał na wtrącanie się w życie sąsiada, a obywatele St. Andrew cenili sobie niezależność i z większym żarem chronili swoją prywatność.

I rzeczywiście, w małym domku ktoś mieszkał samotnie: kobieta już wychodząca z wieku rodzenia dzieci, wciąż piękna, choć z blaknącą urodą. Rzadko pokazywała się w miasteczku, a kiedy już odważyła się wyjść na ulicę w biały dzień, mieszkańcy okrążali ją z daleka. Mężczyźni dokładali starań, by nie spojrzeć jej

w oczy, kobiety zbierały fałdy obfitych spódnic. Niektórzy obrzucali ją gniewnym spojrzeniem.

Nocami jednak było zupełnie inaczej. Pod osłoną mroku przyjmowała gości. Mężczyźni, pojedynczo, rzadziej dwójkami, przemykali się ścieżką i grzecznie pukali do zniszczonych drzwi. Jeśli nikt nie otwierał, gość wiedział, że powinien usiąść na schodku i udawać, że nie słyszy odgłosów dochodzących ze środka. W końcu odgłosy te zmieniały się w cichą rozmowę, potem zapadało milczenie i po minucie drzwi się otwierały.

Ci, którzy widzieli o jej istnieniu, nazywali ją Magdaleną. Tak się przedstawiła, kiedy przed siedmiu laty pojawiła się w miasteczku, i wówczas nikt się nie zastanawiał nad tym dziwnym imieniem. Przybyła z nieliczną grupą podróżników z terytorium francuskiej Kanady i została, gdy oni wyruszyli w dalszą drogę. Powiedziała, że jest wdową i postanowiła przenieść się bardziej na południe, to znaczy, jeśli mieszkańcy St. Andrew przyjmą ją do swego grona.

Kowal zaproponował, że przebuduje starą szopę na mały domek, a dobre kobiety pomogły jej się zadomowić, przynosząc wszelkie cenne resztki, które mogły oddać: chwiejny taboret, odrobinę herbaty, stary koc. Wysyłały mężów z drewnem i podpałką. Kiedy ją pytano, czym zarabia na utrzymanie, szyciem, przędzeniem, tkaniem, a może jest felczerką biegłą w uzdrawianiu i pielęgnowaniu chorych, ona skromnie się uśmiechała i spuszczała głowę, jakby mówiąc: „Ja? Jakież mogę mieć umiejętności? Mąż traktował mnie jak porcelanową lalkę. Jak powinna radzić sobie na tym świecie biedna, pozbawiona umiejętności wdowa?”. Dobre żony odchodziły zdumione, cmokając i kręcąc głowami, nie wiedząc, co powiedzieć poza tym, że Bóg zadba o wszystkie swoje dzieci, nie wyłączając tej niewinnej niewiasty, która zdawała

się myśleć, że w naszym surowym, samotnym miasteczku dobroczynność nie ma granic.

Jak się okazało, nie musiała zdawać się na dobre serca mieszkańców. Tajemniczym sposobem na jej progę pojawiały się produkty żywnościowe: osełka słodkiego masła, kosz ziemniaków, dzban mleka. Przy kuchennych drzwiach wznosił się stos drewna na opał. I pieniądze - należała do nielicznych w miasteczku, którzy dysponowali żywą gotówką i w sklepie płacili monetami. Były to dziwne zakupy: butelki dżinu, tytoń. Sąsiedzi zauważyli, że lampa świeci się do późna w jedynym oknie domku - czyżby nie spała przez całą noc, paląc i pijąc dżin?

Ostatecznie zdradzili ją drwale, którzy pracowali u Charlesa St. Andrew przez cały rok i przebywali z dala od swoich żon. Tacy mężczyźni potrafią wywęszyć kobiety w rodzaju Magdaleny z daleka, z drugiego końca doliny, jeśli wiatr wieje w dobrym kierunku, a oni są dostatecznie zdesperowani. Najpierw jeden, potem drugi, w końcu każdy po zachodzie słońca odnajdywał drogę do małego domku. Jej klientami byli nie tylko drwale, oni płacili gotówką, nie jajkami i wędzoną szynką, ale to przez nich wieść o jej reputacji rozlała się po mieście niczym brudna woda z beczki, budząc gniew wielu dobrych żon. Magdalena nadal milczała, w każdym razie dopóki słońce nie zaszło. Nie odpowiadała nawet wtedy, kiedy oburzona żona rzucała jej w twarz obelgi.

Wspomagane przez pastora żony chciały wyrzucić ją z miasteczka. Jej obecność była pierwszym objawem kiełkującego tu miasta grzechu, a tego osadnicy pragnęli uniknąć. Pastor Gilbert poszedł do Charlesa, on bowiem zatrudniał tych klientów Magdaleny, na których otwarcie można było się skarżyć.

Choć Charles wykazał zrozumienie dla żądania pastora, wskazał też inny aspekt usług zapewnianych przez Magdalenę, których

mieszkańcy nie dostrzegali. Drwale postępowali zgodnie z naturalnymi popędami - z tym pastor musiał niechętnie się zgodzić - a od żon dzieliła ich wielka odległość. Do czego mogliby się posunąć, gdyby nie Magdalena? Prawdę mówiąc, jej obecność zapewnia bezpieczeństwo żonom i córkom.

Kruchy rozejm pomiędzy kurwą a cnotliwymi niewiastami przetrwał siedem długich lat. W okresach kłopotów i choroby Magdalena pomagała, nie dbając o zdanie innych: opiekowała się chorymi i umierającymi, karmiła zbłąkanego wędrowca, wrzucała monetę do puszek w kościele, kiedy nikogo nie było w pobliżu i ukradkiem mogła tam wejść. Myślałam, że musi tęsknić za odrobiną kobiecego towarzystwa, chociaż z szacunkiem trzymała się na dystans i nie próbowała z nikim nawiązywać rozmowy.

Prawdziwe okoliczności życia Magdaleny dla wielu dzieci stanowiły tajemnicę. Widzieliśmy, że nasze matki unikają tej zagadkowej postaci. Większość młodszych dzieci uważała ją za czarownicę albo jakąś nadnaturalną istotę. Pamiętam, jak drwiąco krzyczały, jak czasem rzucały za nią kamykami. Ja nie - już w wieku dziesięciu lat uważałam, że jest w niej coś pociągającego. Właściwie nie powinnam była nigdy jej poznać. Moja matka nie należała do osób wydających pochopne sądy, ale niewiasty takie jak ona nie zadawały się z prostytutkami i ich córki także tego nie robiły. Ja postąpiłam wbrew tej zasadzie.

Stało się to pewnej niedzieli podczas długiego kazania. Szepnęłam ojcu, że muszę iść do wygódki, ale po załatwieniu potrzeby nie pośpieszyłam z powrotem na balkon, tylko zostałam, by cieszyć się ciepłem słońca na początku lata. Zawędrowałam do obory Tinky'ego Talbota, żeby obejrzeć nowo narodzone prosiaczki, różowe z czarnymi plamami, pokryte rzadką szorstką szczeciną. Głaskałam je po ciekawskich ryjkach, słuchałam cichego pochrząkiwania.

Potem spojrzełam w bok na ścieżkę - nigdy nie byłam tak blisko tajemniczego jednoosobowego domku - i zobaczyłam Magdalenę, która otulona kocem, ze skandalicznie rozpuszczonymi włosami siedziała na wąskim jak parapet ganku, w zębach trzymając długą, poczerniałą fajkę. Ona także cieszyła się słońcem. Części ciała wyłaniające się spod koca były szczupłe i delikatne, pod cienką skórą rysowały się ptasie kości obojczyka. Nie miała pudru na twarzy, tylko ślad sadzy w kąciakach oczu, cień szminki na ustach.

Tak bardzo różniła się od innych kobiet z miasteczka. Wystarczył choćby sposób, w jaki samotnie siedziała w promieniach słońca, zadowolona z własnego towarzystwa, nieprzepraszająca za to, że leniuchuje. Momentalnie poczułam do niej sympatię, choć także się jej bałam. Było w niej coś niegodziwego. W końcu nie uczęszczała na nabożeństwa, korzystała z niedzielnej pogody, podczas gdy reszta mieszkańców modliła się w kościele albo w zborze.

Przysłoniła oczy dłonią.

- Halo, kto tu jest?

W tamtej chwili decyzja należała wyłącznie do mnie. Mogłam pobiec z powrotem do zboru, ale nieśmiało się do niej zbliżyłam.

- Pani mnie nie zna. Nazywam się Lanore McIlvrae.

- McIlvrae. - Powtórzyła nazwisko, upewniając się, że go nie zna, a tym samym, że mój ojciec nie jest jej klientem. - Nie, moja droga, nie sądzę, bym miała przyjemność wcześniej cię poznać. - Uśmiechnęła się, kiedy dygnęłam. - Na imię mam Magdalena, chociaż podejrzewam, że już to wiesz, prawda?

Z bliska była śliczna. Wstała, by poprawić koc, i zobaczyłam, że ma na sobie gorset i halkę z jasnego lnu, ściągniętą nisko pod biustem cienką różową wstążką. Nasz dom był praktyczny, matka nigdy nie miała ani jednej równie kobiecej sztuki garderoby. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie kombinacja jej urody i tego

ślicznego stroju: wtedy po raz pierwszy naprawdę zazdrościłam innej osobie.

Zauważyła, że patrzę na jej halkę, i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Poczekaj tu - powiedziała i weszła do domu. Kiedy wróciła, podała mi wstążkę z różowego aksamitu. Nie wyobrażasz sobie, co za skarb mi ofiarowała, wytwarzane produkty były rzadkością w naszym ubogim miasteczku, a rzeczy frywolnych w rodzaju wstążek prawie wcale się nie widywało. W życiu nie dotykałam tak miękkiego materiału i trzymałam go delikatnie, jak małego króliczka.

- Nie mogę przyjąć takiego prezentu - odparłam, choć widać było wyraźnie, że bardzo bym chciała.

- Głupstwo! - roześmiała się Magda. - To tylko kawałek obszycia do sukienki. Co mam z tym począć? - skłamała. Patrzyła, jak przesuwam palcem po aksamicie, i radość sprawiała jej moja przyjemność. - Weź, nalegam.

- Ale rodzice zapytają, skąd to mam...

- Możesz powiedzieć, że znalazłaś - zasugerowała, chociaż obie wiedziałyśmy, że to wykluczone. Nikt by w to nie uwierzył. A równocześnie nie potrafiłam się zmusić, żeby oddać wstążkę Magdzie. Ucieszyła się, kiedy zacisnęłam dłoń na jej prezencie, i uśmiechnęła się - nie z triumfem, raczej z poczuciem solidarności.

- Pani jest bardzo hojna, pani Magdo - powiedziałam i znowu dygnęłam. - Muszę wracać na nabożeństwo, bo ojciec będzie się martwił, że coś mi się stało.

Zadarła głowę, spoglądając w stronę zboru.

- Ach, masz rację. Nie możesz niepokoić rodziców, ale mam nadzieję, że znowu mnie odwiedzisz, panno McIlvrae.

- Odwiedzę, obiecuję.

- To dobrze. A teraz biegnij.

Podreptałam ścieżką, unosząc spódnicę, by nie zabrudziła się w błocie. Tuż przed zakrętem obejrzałam się na domek: Magda znowu siedziała w fotelu i z zadowoleniem się kołysała, wpatrzona w lasy.

Ledwo mogłam się doczekać następnej niedzieli, tak bardzo pragnęłam znowu się wymknąć i odwiedzić Magdę. Wstążkę ukryłam w kieszeni halki, bo mogłam ukradkiem wsuwać do niej dłoń i głaskać aksamit. Przypominała mi Magdę, która była tak niepodobna do mojej matki i innych kobiet z wioski, że już to wystarczało, by ją podziwiać.

Jedno uważałam za szczególnie godne podziwu, chociaż w gruncie rzeczy tego nie rozumiałam: nie miała męża. Wszystkie kobiety w miasteczku miały mężów, i to oni byli głową rodziny. Magda jedyna przemawiała w swoim imieniu, mimo że, jak się orientowałam, bardzo rzadko to robiła. Wątpiłam, by chodziła na zebrania mieszkańców. A jednak żyła na swoich warunkach, dobrze jej się wiodło, i to wydawało się niezwykle.

Tak więc w następną niedzielę znowu wyszłam z nabożeństwa (choć ojciec obrzucił mnie surowym spojrzeniem) i pobiegłam do domku Magdy. A ona tym razem stała na ganku, w stroju wcale nie swobodnym, tylko w ładnej pasiastej spódnicy i dopasowanym wełnianym żakieciku niezwyklej barwy wrzosu. Jakby chciała zrobić mi przyjemność. To mi pochlebiło.

- Dzień dobry, pani Magdo - powiedziałam, biegnąc do niej zadyszana.

- Miłej niedzieli, panno McIlvrae. - Jej zielone oczy błyszczały. Rozmawiałyśmy; gdy zapytała o moją rodzinę, wskazałam w kierunku naszej farmy. Wreszcie powiedziałam, że powinnam wracać na nabożeństwo, wtedy nieśmiało zaproponowała:

- Chciałabym ci pokazać mój dom, ale przypuszczam, że twoi rodzice nie pochwaliliby tego. Wziąwszy pod uwagę, kim jestem. To nie byłoby stosowne.

Musiąca się domyślać, że ciekawa jestem, jak mieszka. Jej dom, ostoja niezależności! Czułam, że powinnam wracać do czekającego na mnie ojca, ale jak mogłabym odrzucić to zaproszenie?

- Mam tylko minutkę... - powiedziałam, wchodząc za nią po schodkach.

Wnętrze wydało mi się podobne do puzderka z biżuterią, choć w rzeczywistości pewnie było dość zniszczone i prowizoryczne. W małym pokoju dominowało wąskie łóżko przykryte pięknie haftowaną, żółto-czerwoną kołdrą. Butelki na parapecie jedyne okna rzuciły zielone i brązowe refleksy na podłogę. W glinianej misie, malowanej w małe różki, leżało kilka sztuk biżuterii. Odzież wisiała na tylnych drzwiach: mnóstwo spódnic w najróżniejszych kolorach, szarfy, zdobione falbankami halki. Nie jedna, lecz dwie pary delikatnych trzewików stały przy ścianie. Tylko jedno mnie rozczarowało: pokój był duszny, powietrze ciężkie od piżmowego aromatu, którego jeszcze nie znałam.

- Chciałabym mieć taki dom - oświadczyłam.

Magda się roześmiała.

- Mieszkałam w ładniejszych miejscach, ale to może być - odparła, siadając w fotelu.

Zanim wyszłam, udzieliła mi dwóch rad. Pierwsza dotyczyła pieniędzy: kobieta powinna mieć własne.

- Pieniądze są bardzo ważne - powiedziała, pokazując scheck, w którym przechowywała pełną monet sakiewkę. - Tylko dzięki nim kobieta może mieć prawdziwą władzę nad swoim życiem.

Druga brzmiała: kobieta nigdy nie powinna zdradzać innej kobiety dla mężczyzny.

- To rzecz powszechna - oznajmiła ze smutkiem. - I całkiem zrozumiała, skoro mężczyzn uważa się za najważniejszych. Każę się nam wierzyć, że wartość kobiety mierzy się wyłącznie wartością mężczyzny, z którym dzieli życie, ale to nieprawda. Tak czy owak, kobiety powinny się wspierać, bo poleganie na mężczyźnie jest szaleństwem. Mężczyzna zawsze cię rozczaruje. - Pochyliła głowę, ale przysięgam, że w jej oczach ujrzałam łzy.

Zbierałam się do wyjścia, kiedy ktoś zapukał do drzwi, i zanim Magda zdążyła odpowiedzieć, do środka wszedł przysadzisty mężczyzna; rozpoznałam w nim jednego z drwali.

- Witaj, Magdo, pomyślałem, że będziesz sama i ucieszysz się z towarzystwa, skoro wszyscy są na nabożeństwie... A to kto? - Na mój widok stanął jak wryty, a na jego ogorzałej twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech. - Masz nową dziewczynę, Magdo? Uczeńnicę? - Położył mi dłoń na ramieniu, jakbym nie była człowiekiem, ale jego własnością.

Magda wkroczyła pomiędzy nas i szybko poprowadziła mnie do tylnych drzwi.

- To przyjaciółka, Larsie Holmstrom, i nic ci do niej. Trzymaj przy sobie te swoje niezgrabne łapska. Idź już - zwróciła się do mnie, wypychając za próg. - Może w przyszłym tygodniu znowu się zobaczymy.

Zanim się zorientowałam, stałam w stosie zeschniętych liści i połamanych gałązek. Drzwi zamknęły mi się przed nosem, a Magda zajęła się swoimi sprawami, które były ceną za niezależność. Przedarłam się przez krzewy na ścieżkę i pobiegłam do zboru, z którego wierni już wychodzili na słońce. Tym razem ojciec każę mi odpowiedzieć za tę eskapadę, uznałam jednak, że warto; Magda była kustoszką tajemnic życia i wyczuwałam, że niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić za dalszą naukę, warto ją kontynuować.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy miałam piętnaście lat, pewnego letniego popołudnia całe miasteczko zgromadziło się na pastwisku McDougala, by posłuchać wędrownego kaznodziei. Wciąż widzę moich sąsiadów stąpających po złotym polu, wysoką trawę połyskującą w słońcu, obłoki kurzu unoszące się nad krętą miedzą. Pieszko, konno, wozami niemal wszyscy mieszkańcy St. Andrew zdążyli na farmę McDougala, chociaż mogę cię zapewnić, że nie z nadmiaru pobożności. Nawet wędrowni kaznodzieje byli rzadkością w naszym otoczonym lasami odludziu i korzystaliśmy z każdej możliwej rozrywki, by zapęłnić wlokący się długi letni dzień.

Ten akurat kaznodzieja pojawił się nie wiadomo skąd i w ciągu kilku zaledwie lat zebrał liczne grono wyznawców, a płomienne kazania i buntownicze słowa rozślawiły go w całym stanie. Krążyły plotki, że doprowadził do rozłamu wśród wiernych w najbliższym miasteczku (oddalonym o dzień jazdy na północ od Fort Kent), nastawiając tradycyjnych kongregacjonalistów przeciwko nowej fali reformatorów. Mówiono także, że Maine zostanie samodzielnym stanem i uwolni się od nadzoru Massachusetts, tak więc w powietrzu wyczuwało się podniecenie mogące doprowadzić

do rewolty przeciwko religii, którą osadnicy przynieśli właśnie stamtąd.

To matka przekonała ojca, żebyśmy poszli na spotkanie z kaznodzieją, chociaż wcale nie zamierzała porzucić katolicyzmu, po prostu chciała spędzić popołudnie z dala od kuchni. Rozłożyła na trawie koc i usiadła. Ojciec zajął miejsce obok niej, podejrzliwie się rozglądając po zebranych. Moje siostry usadowiły się blisko matki, skromnie osłaniając nogi spódnicami, a Nevin, w chwili gdy nasz wóz się zatrzymał, pobiegł do chłopców z sąsiednich farm.

Stałam, osłaniając oczy przed mocnym słońcem, i wodziłam wzrokiem po tłumie. Wszyscy tu byli, jedni z kocami, jak moja matka, inni z obiadem w koszyku. Jak zwykle szukałam Jonathana, ale nigdzie go nie dostrzegałam. To mnie nie dziwiło, jego matka była najbardziej zagorzałą kongregacjonalistką w mieście i nie pozwoliłaby, żeby jej rodzina brała udział w takich głupstwach.

Potem jednak wyśledziłam lśnienie czarnej skóry pomiędzy drzewami - tak, to był Jonathan na swym ogierze. Nie tylko ja go zobaczyłam, tłum zafalował. Jak to jest, kiedy wiesz, że dziesiątki oczu wpatrują się w ciebie uważnie, wodzą po twojej długiej nodze, wspartej o bok wierzchowca, po silnych dłoniach trzymających cugle? Tamtego dnia na suchym polu w tyłu kobiecych pierśsiach żarzyła się tłumiona żądza, aż dziw, że trawa się od niej nie zapaliła.

Podjechał do mnie, uwolnił stopy ze strzemion i zeskoczył z siodła. Pachniał skórą i spieczoną słońcem ziemią, a ja pragnęłam dotykać go całego, nie pominęłabym nawet rękawa, wilgotnego od potu.

- Co się dzieje? - zapytał, zdejmując kapelusz i ocierając czoło rękawem.

- Nie wiesz? Do miasta przyjeżdża wędrowny kaznodzieja. Nie z jego powodu tu jesteś?

Jonathan ponad moją głowę patrzył na tłum.

- Nie, sprawdzałem drzewa, które mamy ścinać. Stary Charles nie ufa nowemu zarządcy. Uważa, że za dużo pije. - Przymrużył powieki, by lepiej widzieć, które dziewczęta na niego patrzą. - Czy moja rodzina tu jest?

- Nie, i wątpię, by twoja matka pochwalą, że się tutaj pojawiłeś. Kaznodzieja ma okropną reputację. Możesz pójść do piekła za samo słuchanie jego mowy.

Jonathan uśmiechnął się do mnie.

- I dlatego ty tu jesteś? Bo pragniesz pójść do piekła? Wiesz, są przyjemniejsze drogi do potępienia.

Jego głębokie brązowe oczy przekazywały mi jakąś wiadomość, choć nie potrafiłam jej odczytać. Zanim zdążyłam poprosić, by mi to wyjaśnił, ze śmiechem rzekł:

- Wygląda na to, że jest tu całe miasto. Szkoda, że nie mogę zostać, ale, jak sama mówisz, dostałbym za swoje od matki, gdyby się dowiedziała. - Wsunął stopę w strzemień i wskoczył na siodło, zaraz jednak nachylił się ku mnie.

- A ty, Lanny? Nie należysz do osób żarliwie słuchających kazań. Dlaczego tu jesteś? Masz nadzieję, że kogoś spotkasz? Jakiś młodzieniec wpadł ci w oko?

To było kompletne zaskoczenie: ten zawstydzony ton, badawcze spojrzenie. Nigdy dotąd w żaden sposób nie okazał, że obezłoby go, gdybym zainteresowała się innym.

- Nie. - Zabrakło mi tchu i ledwo zdołałam wyjąkać odpowiedź.

Wolno uniósł cugle, ważąc je tak, jak mógłby ważyć słowa.

- Wiem, że nadejdzie dzień, kiedy zobaczę cię, moją Lanny, z innym chłopcem, i ten widok mi się nie spodoba. Ale to będzie sprawiedliwe.

Zanim zdążyłam pozbiierać się z szoku i powiedzieć mu, że w jego mocy jest temu zapobiec - z pewnością o tym wiedział! - zawrócił konia i pogalopował w las, zostawiając mnie po raz

kolejny patrzącą za nim z niedowierzaniem. Był zagadką. Przez większość czasu traktował mnie jak ulubionego przyjaciela, platonicznie, choć były momenty, kiedy wydawało mi się, że dostrzegam zaproszenie w jego wzroku albo - czy ośmielę się mieć nadzieję? - pożądanie w gorączkowych poruszeniach. Po jego odjeździe nie mogłam się nad tym zastanawiać, bo pewnie bym oszalała.

Oparta o drzewo patrzyłam, jak kaznodzieja wychodzi na małą polanę i staje twarzą do tłumu. Był młodszy, niż się spodziewałam (poza Gilbertem nie znałam innego pastora, a kiedy przybył do St. Andrew, już był siwowłosy i przygarbiony), wyprostowany jak kij, jakby nie wątpił, że po swej stronie ma Boga i słusność, i przystojny, rzecz niespodziewana, wręcz budząca zakłopotanie, u kaznodziei; siedzące najbliżej kobiety zaświergotały niczym ptaszki, kiedy obdarzył je szerokim, odślanającym białe zęby uśmiechem. A mimo to, gdy obserwowałam, jak wodzi wzrokiem po tłumie, przygotowując się do przemowy (czyinił to z taką pewnością siebie, jakby wszyscy należeli do niego), poczułam zimny dreszcz: czyżby miało nastąpić coś złego?

Kaznodzieja donośnym, czystym głosem rozpoczął, wspominając swoje wizyty w całym terytorium Maine i opisując, co tam zastał. Terytorium staje się kopia Massachusetts, przejmuje te same wielkopańskie metody. Grupka bogatych ludzi decyduje o losie sąsiadów. A jak to wpływa na życie zwykłego człowieka? Dla niego oznacza to ciężkie czasy. Prości ludzie się zadłużają. Uczciwi mężczyźni, ojcowie i mężowie, wędrują do więzienia, żonom i dzieciom odbiera się ziemię i sprzedaje. Zaskoczona zobaczyłam potakujące głowy w tłumie.

A przecież ludzie - Amerykanie, powiedział kaznodzieja z naciśnięciem, machając Biblią - pragną wolności. Nie po to walczyliśmy przeciwko Brytyjczykom, żeby nowi panowie zajęli miejsce

króla. Właściciele ziemscy z Bostonu i kupcy handlujący z osadnikami to zwykli złodzieje, żądają skandalicznie wysokich opłat dzierżawnych, a prawo traktują jak pokojowego pieska. Oczy mu błyszczały, gdy słyszał pomruki aprobaty. Krążył po polanie, całkiem wydeptując trawę. Nie byłam przyzwyczajona do słuchania w miejscu publicznym takich słów sprzeciwu, i sukces karności budził we mnie mglistą obawę.

Nagle obok mnie stanął Nevin, przyglądając się twarzom naszych sąsiadów.

- Patrz na nich, rozdziawili gęby jak głupki... - powiedział z pogardą. Nie ulegało wątpliwości, że skłonność do krytycyzmu odziedziczył po naszym ojcu. Skrzyżował ręce na piersiach i prychnął.

- Wygląda na to, że interesuje ich to, co ma do powiedzenia - zauważyłam.

- Czy ty masz najmniejsze pojęcie, o czym on mówi? - Nevin spojrzał na mnie z ukosa. - Nie masz, co? Jasne, że nie, jesteś tylko głupią dziewczyną. Nic nie rozumiesz.

Zmarszczyłam czoło i ujęłam się pod boki, ale nic nie odpowiedziałam, bo Nevin miał rację w jednym względzie: nie wiedziałam, o czym ten człowiek mówi. Zupełnie nie orientowałam się w tym, co się dzieje na świecie.

Wskazał grupę mężczyzn stojących nieco na uboczu.

- Widzisz ich? - zapytał. Byli to Tobey Ostergaard, Daniel Daughtery i Olaf Olmstrom. Wszyscy trzej należeli do najbiedniejszych ludzi w miasteczku, choć mniej życzliwi mogliby dodać, że byli też jednymi z najbardziej leniwych. - Coś knują. Wiesz, co to „biały Indianin”?

Nawet najgłupsza dziewczyna w mieście znała to określenie: wiele miesięcy temu doszły nas wieści o powstaniu w Fairfax, gdzie mieszkańcy przebrani za Indian napadli na miejskiego urzędnika, kiedy ten próbował wręczyć nakaz eksmisji farmerowi, który zalegał z płatnościami.

- To samo kroi się tutaj - ciągnął Nevin, kiwając głową. - Słyszałem, jak Olmstrom, Daughtery i kilku innych rozmawiają o tym z naszym ojcem. Narzekali, że Watfordowie wyznaczają za wysokie ceny... - Szczegółów Nevin nie mógł zrozumieć, nikt nie tłumaczył dzieciom zawiłości rachunków i cen w sklepie. - Daughtery powiada, że to spisek przeciwko zwykłym ludziom. - Z tonu brata wynikało, że Daughtery może mówić prawdę.

- No i co z tego? Co to mnie obchodzi, że Daughtery nie spłaci swojego długu Watfordom? - prychnęłam, udając, że jest mi to kompletnie obojętne. W istocie jednak byłam wstrząśnięta na myśl, że ktoś rozmyślnie nie wypełnia swoich zobowiązań, ojciec zawsze nas uczył, że taki postępek jest haniebnym i może brać go pod uwagę tylko człowiek całkowicie pozbawiony szacunku dla siebie.

- Ale to może się skończyć źle dla twojego Jonathana - rzucił sarkastycznie Nevin; cieszył się, że może mi z jego powodu dokuzyć. - Jeśli sprawy potoczą się w niedobrym kierunku, nie tylko Watfordom stanie się krzywda. Kapitan ma w posiadaniu papiery na ich ziemię... Co się stanie, jeśli odmówią płacenia dzierżawy? W Fairfax ludzie walczyli przez trzy dni. Słyszałem, że rozebrali konstabla, bili go pałkami i kazali wracać do domu nagiemu jak go Pan Bóg stworzył.

- Ale przecież w St. Andrew nie ma miejskiego urzędnika - powiedziałam, zaalarmowana opowieścią brata.

- Prawdopodobnie Kapitan pošle swoich największych, najsilniejszych drwali do Daughtery'ego i zażąda zapłaty. - W głosie Nevina brzmiała nutka podziwu; szacunek dla władz i pragnienie, by sprawiedliwość zwyciężyła (bez wątplenia cechy naszego ojca), były silniejsze od chęci zobaczenia, jak Jonathan cierpi zły los.

Daughtery i Olmstrom... Kapitan i Jonathan... nawet sztywna panna Watford i jej równie wyniosły brat... Czułam się upokorzona

własną ignorancją i z niechętnym podziwem patrzyłam na brata, który rozumiał świat w całej jego złożoności. Zastanawiałam się, o jakich jeszcze wydarzeniach nie mam pojęcia.

- Myślisz, że ojciec się do nich przyłączy? Aresztują go? - szepnęłam zmartwiona.

- Kapitan nie ma dokumentów na naszą farmę - oznajmił Nevin, cokolwiek zde gustowany, że jeszcze o tym nie wiem. - Ojciec jest pełnoprawnym właścicielem. Ale myślę, że się z nim zgadza. - Głową wskazał kaznodzieję.

- Ojciec przybył na to terytorium, myśląc jak inni, że tutaj będzie wolny, ale się pomylił. Jedni ledwo wiążą koniec z końcem, podczas gdy rodzina St. Andrew się bogaci. Jak mówiłem... - Nevin kopnął w ziemię, wzbudzając obłok pyłu - ...twój chłopiec może mieć kłopoty.

- On nie jest moim chłopcem - odpaliłam.

- Chcesz, żeby nim był - powiedział kpiąco mój brat. - Choć tylko Bóg w niebiosach wie dlaczego. Brakuje ci piątej klepki, Lanore, skoro w oko ci wpadł taki ciamajda.

- Ty po prostu jesteś zazdrosny i dlatego go nie lubisz.

- Zazdrosny? - parsknął Nevin kpiąco. - O tego pawia? - Odszedł, nie chcąc przyznać mi racji.

Około trzydziestu mieszkańców miasteczka podążyło za kaznodzieją do Dale'ów, gdzie miał dalej przemawiać. Położony po drugiej stronie wzgórz dom Dale'ów był wielki, ale i tak musieliśmy się tłoczyć, chcąc posłuchać tego porywającego mówcy. Pani Dale rozpałała ogień w ogromnym kuchennym palenisku, bo nawet latem wieczory bywały chłodne. Niebo pociemniało, przybierając barwę głębokiego fioleto z różową smugą na horyzoncie.

Jak zły musiał być na mnie Nevin: uprosiłam rodziców, by pozwolili mi posłuchać kaznodziei, co oznaczało, że potrzebowałam

eskorty, więc ojciec kazał Nevinowi mi towarzyszyć. Brat nadał się i poczerwieniał, ale nie mógł się sprzeciwić ojcu i całą drogę do domu Dale'ów naburmuszony maszerował za mną. Mimo swych tradycyjnych poglądów Nevin miał w sobie skłonność do rebelii, przypuszczałam więc, że w duchu się cieszy z okazji do uczestniczenia w dalszym ciągu.

Kaznodzieja stał przy ogniu i przyglądał się nam wszystkim z uśmiechem na twarzy. Z bliska przekonałam się, że mniej w nim duchownego, niż wydawało się na tamtym rozległym polu. Wypełniał swoją osobowością pomieszczenie, sprawiał, że powietrze wydawało się rzadkie jak na szczycie góry. Zaczął od podziękowań, że z nim zostaliśmy, swą największą tajemnicę zachował bowiem na teraz, chce się z nią podzielić z tymi, którzy rzeczywiście poszukują prawdy. A prawda owa brzmi następująco: Kościół - niezależnie od wyznawanej wiary, którą na tym terytorium był głównie kongregacjonalizm - jest największym ze wszystkich problemem, instytucją najbardziej elitarną, służącą wyłącznie umacnianiu *status quo*. Ostatnie stwierdzenie Nevin skwitował prychnięciem pogardy i zgody, mój brat bowiem dumny był, że chodzi z matką na katolickie nabożeństwa i w niedziele nie spotyka się w zborze z ojcami miasta i bardziej uprzywilejowanymi rodzinami.

Musimy odrzucić nakazy Kościoła, mówił kaznodzieja z ognistym błyskiem w oku, i przyjąć nowe, bardziej odpowiadające potrzebom zwykłego człowieka. Najważniejszą z tych przestarzałych regulacji jest instytucja małżeństwa.

W ciasnym pomieszczeniu, w którym stłoczyło się trzydzieści osób, można było usłyszeć spadającą szpilkę.

Kaznodzieja krążył jak wilk. Zapewnił, że wcale nie sprzeciwia się naturalnym uczuciom między kobietą a mężczyzną. Nie, on

buntuje się przeciwko prawnym ograniczeniom małżeństwa, więzom. Są przeciwne ludzkiej naturze, ciągnął z coraz większą pewnością siebie, bo nikt nie protestował. Mamy wyrażać nasze uczucia do tych, do których czujemy naturalny pociąg. Jako dzieci Boga powinniśmy praktykować „małżeństwa duchowe”, wybierać partnerów, z którymi łączy nas duchowa więź.

Partnerów?, zapytała młoda kobieta. Więcej niż jeden mąż? Albo żona?

Kaznodzieja wodził po nas wzrokiem. Tak, dobrze słyszeliśmy: mężczyzna powinien brać za żonę każdą kobietę, która duchowo go pociąga, i to samo dotyczy płci pięknej. On sam ma dwie żony i odnajdywał duchowe połowice w każdym mieście, które odwiedzał.

Zebrani nerwowo zachichotali, w pokoju zaiskrzyło od tłumionego pożądanania.

Kaznodzieja zatknął kciuki pod kłapy marynarki. Nie spodziewa się, by oświeceni z St. Andrew tylko za jego radą przyjęli duchowe małżeństwo. Nie, on oczekuje, byśmy się nad tą ideą zastanowili, pomyśleli o tym, jak bardzo pozwalamy prawu rządzić naszym życiem. W sercu będziemy wiedzieli, czy mówi prawdę.

Klasnął w dłonie i porzucił poważny wyraz twarzy; kiedy się uśmiechnął, cała jego postawa uległa zmianie. Dość tego gadania! Całe popołudnie spędziliśmy na słuchaniu i nadeszła pora na zabawę! Zaśpiewajmy hymny, te żwawe, i zacznijmy tańczyć! To była rewolucyjna odmiana w porównaniu ze zwykłymi niedzielnymi nabożeństwami: wesole hymny? Tańce? Sam pomysł był heretycki. Po krótkim wahaniu kilka osób wstało, zaczęło klaskać i nie minęło wiele czasu, a rozległa się pieśń bardziej przypominająca szantę niż hymn.

Szturchnęłam brata.

- Zabierz mnie do domu, Nevin.

- Masz dość, tak? - powiedział, gramoląc się na nogi. - Ja też. Zmęczyło mnie wysłuchiwanie bzdur tego człowieka. Poczekaj, poproszę Dale'ów o światło, na drodze na pewno jest ciemno.

Stałam koło drzwi, pragnąc, żeby Nevin się pośpieszył. W uszach wciąż brzmiały mi słowa kaznodziei. Widziałam miny kobiet, kiedy zwracał na nie swój hipnotyzujący wzrok, uśmiechy, które rozjaśniały ich twarze. Oczyma wyobraźni widziały siebie z nim, a może z innym mężczyzną z miasteczka, do którego czuły duchowy pociąg... i mogły tylko marzyć, by te pragnienia urzeczywistnić. Kaznodzieja przedstawił najbardziej nieprawdopodobną z możliwych ideę, moralnie nikczemną - lecz był człowiekiem Biblii, kapłanem. Przemawiał w najbardziej czcigodnych kościołach na wybrzeżu, tak wynikało z plotek, które poprzedziły jego przyjazd. To z całą pewnością nadaje mu niejaką wiarygodność.

Czułam, jak pod ubraniem płonę z gorąca i wstydu, bo prawdę mówiąc, ja także pragnęłabym cieszyć się wolnością dzielenia uczucia z każdym mężczyzną, którego pożądam. Oczywiście wówczas jedynym, którego pożałowałam, był Jonathan, ale kto może powiedzieć, że następny nie pojawi się na mej drodze? Ktoś tak czarujący i atrakcyjny jak, dajmy na to, on, kaznodzieja? Rozumiałam, dlaczego dla kobiety jest intrygujący: ciekawe, ile duchowych żon ma ten wędrowny głosiciel herezji?

Gdy tak stałam przy drzwiach, pogrążona w myślach, i obserwowałam tańczących sąsiadów (wyobraziłam to sobie, czy rzeczywiście kobiety i mężczyźni wymieniali pożądliwe spojrzenia, mijając się w tańcu?), nagle uświadomiłam sobie, że obok mnie pojawił się kaznodzieja. Ze swym przenikliwym wzrokiem i ostrymi rysami był urzekający i najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę; uśmiechnął się, odsłaniając ostre i białe siekacze.

- Dziękuję, że spędziłaś ten wieczór ze mną i sąsiadami - powiedział, pochylając głowę. - Rozumiem, że prowadzisz duchowe poszukiwania, pragniesz oświecenia, panno...?

- McIlvrae - odparłam, cofając się o pół kroku. - Lanore.

- Wielebny Judah Van der Meer. - Sięgnął po moją dłoń i ścisnął za palce. - Jak ci się podobało kazanie, panno McIlvrae? Ufam, że nie byłaś zbyt zszokowana... - oczy znów miał rozbiegane, jakby żartował sobie ze mnie -... szczerością, z którą przedstawiłem swoje przekonania?

- Zszokowana? - Ledwo byłam w stanie wykrztusić to słowo. - Czym, proszę pana?

- Ideą duchowego małżeństwa. Jestem pewien, że młoda kobieta, jak ty, sympatyzuje z kryjącą się pod tą zasadą bycia wiernym własnym namiętnościom, bo jeśli się nie mylę, wydajesz się kobietą wielkich, głębokich namiętności.

Mówił z coraz większą żarliwością, wodząc oczyma (nie sędzę, bym to sobie wyobraziła) po moim ciele, tak jakby to były jego dłonie.

- Powiedz mi, panno Lanore, jako że jesteś w wieku stosownym do małżeństwa, czy twoja rodzina już cię zakuła w niewolnicze więzy? To byłaby wielka szkoda, gdyby taka śliczna młoda dziewczyna jak ty musiała spędzić resztę życia jako żona mężczyzny, do którego nie czuje żadnego pociągu. Okropna to rzecz nie zaznać przez całe życie prawdziwej fizycznej namiętności. - Oczy mu połyskiwały, jakby zaraz miał znowu zacząć krążyć. - A to przecież dar od Boga dla jego dzieci!

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi i byłam jak królik hipnotyzowany ślepiami wilka. Ale potem on się roześmiał, położył mi dłoń na ramieniu (od stóp do głów przebiegł mnie dreszcz) i zbliżył się na tyle, bym na twarzy poczuła jego oddech, a mój policzek musnął kędzior jego włosów.

- Ależ ty wyglądasz, jakbyś zaraz miała zemdleć! Myślę, że potrzeba ci świeżego powietrza... wyjdiesz ze mną na dwór? - Już trzymał mnie pod ramię i nie czekając na moją odpowiedź, poprowadził na ganek. Nocne powietrze było znacznie chłodniejsze od dusznego pokoju, wzięłam więc oddech tak głęboki, na jaki pozwalał mi gorset.

- Lepiej? - Kiedy przytaknęłam, mówił dalej: - Muszę ci powiedzieć, panno McIlvrae, że bardzo byłem rad, kiedy przyłączyłaś się do nas tutaj, na tym mniej ludnym zgromadzeniu. Liczyłem na to. Po południu zauważyłem cię na polu i od razu wiedziałem, że muszę cię poznać. Momentalnie poczułem więź z tobą; czy ty też ją poczułaś? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ujął moją dłoń. - Przez większość życia podróżuję po całym świecie. Zawsze głodny jestem poznawania ludzi. Często spotykam kogoś wyjątkowego, tak bardzo się wyróżniającego, że jego zalety widać na polu pełnym ludzi. Kogoś takiego jak ty.

Miał błyszczący wzrok człowieka dręczonego wysoką gorączką, dziki wyraz twarzy osoby, której myśli gonią jak szalone, lecz nie jest w stanie się skupić, i zaczęłam się bać. Dlaczego wybrał mnie? A może wcale mnie nie wybrał, może w ten sposób wabił każdą dziewczynę na tyle podatną na sugestie, by rozważyła jego ofertę duchowego mariażu. Napierał na mnie w sposób poufały, wykraczający poza dobre maniery, i najwyraźniej bawiło go moje zakłopotanie.

- Niezwykła? Pan wcale mnie nie zna. - Wyminęłam go, ale on uparcie zagradzał mi drogę. - Nie ma we mnie nic niezwykłego.

- Och, wręcz przeciwnie, czuję to. Ty też musisz to czuć. Odznaczasz się wyjątkową zmysłowością, wyjątkową naturą pierwotną. Dostrzegam to w twojej uroczej, delikatnej twarzy. - Jego dłoń zawisała koło mojego policzka, jakby chciał mnie dotknąć, jakby coś go do tego zmuszało. - Wypełnia cię pragnienie, Lanore.

Jesteś istotą zmysłową. Płoniesz z pragnienia poznania fizycznej więzi między mężczyzną a kobietą... Myślisz tylko o tym. Łakniesz tego. Pewnie jest jakiś mężczyzna...?

Oczywiście był: Jonathan, ale wydało mi się, że kaznodzieja pyta, czy on mi się podoba.

- Ta rozmowa jest niestosowna, proszę pana. - Cofnęłam się i próbowałam go obejść. - Muszę wracać do środka...

Znowu położył mi dłoń na ramieniu.

- Nie było moim zamiarem wprawienie cię w zakłopotanie. Przepraszam. Nie będę więcej o tym mówił, ale proszę, jeszcze przez chwilę spraw mi przyjemność swoją obecnością. Muszę cię o coś zapytać, Lanore. Kiedy po południu wszedłem na pole, widziałem, jak rozmawiasz z młodzieńcem na koniu. Niezwykle przystojnym młodzieńcem.

- To był Jonathan.

- Właśnie, to imię mi podano. Jonathan. - Kaznodzieja przesunął językiem po wargach. - Później twoi sąsiedzi powiedzieli mi, że ten młody człowiek być może podziela moją filozofię. Jak myślisz, czy mogłabyś umówić mnie na spotkanie z Jonathanem?

Poczułam dreszcz na karku.

- Dlaczego chce się pan z nim spotkać?

Roześmiał się nerwowo, i chrypliwie.

- Cóż, jak mówiłem, z tego, co słyszałem, odniosłem wrażenie, iż może być wyznawcą, człowiekiem, który doceni prawdę moich słów, zaangażuje się w sprawę i będzie przedstawicielem mojego Kościoła w tej dzicy.

Spojrzałam mu w oczy i po raz pierwszy zobaczyłam w nich prawdziwą niegodziwość, miłość do chaosu i zniszczenia. Zamierzał zasiać tę samą niegodziwość w sercu Jonathanana, tak jak próbował uczynić to w naszym miasteczku. Jak liczył, że zasieje ją we mnie.

- Moi sąsiedzi bawią się pana kosztem, bo nie zna pan Jonathana tak dobrze jak ja. Wątpię, czy zaciekawiby go pana poglądy. - Nie wiadomo dlaczego czułam, że muszę bronić Jonathana przed tym człowiekiem. W jego zainteresowaniu było coś złowieszczego.

Kaznodziei moja odpowiedź nie przypadła do gustu. Może wiedział, że kłamię, albo nie spodobała mu się odmowa. Długo i groźnie mi się przyglądał, jakby się zastanawiając, co ma zrobić, żeby dostać to, na czym mu zależy, i po raz pierwszy w jego obecności poczułam prawdziwe niebezpieczeństwo, ogarnęło mnie wrażenie, że to jest człowiek zdolny do wszystkiego. Akurat w tamtej chwili pojawił się przy nas Nevin z płonąca pochodnią w dłoni - i ten jeden raz ucieszyłam się na jego widok.

- Lanore! Szukałem cię. Jestem gotowy. Ruszamy! -zawołał.

- Dobranoc - powiedziałam, odsuwając się od kaznodziei, którego miałam nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Kiedyśmy z Nevinem odchodzili, czułam na plecach jego płomienny wzrok.

- Zadowolona z naszej małej wycieczki? - burknął Nevin, gdy znaleźliśmy się na drodze.

- Spodziewałam się czegoś innego.

- Ja też. Ten człowiek jest niespełna rozumu, pewnie z powodu chorób, na które bez wątpienia cierpi. - Nevin miał na myśli syfilis. - Ale słyszałem, że ma wyznawców w Saco. Ciekawe, co robi tak daleko na północy?

Nie przyszło mu do głowy, że może kaznodzieja ucieka przed władzami, ponieważ w swym szaleństwie uwierzył w wizje i wspaniałe przepowiednie, ponieważ młodym łatwowiernym dziewczynom napycha głowy swoimi ideami i grozi tym, które nie są mu uległe.

Mocniej otuliłam ramiona szalem.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś nie powtarzał ojcu, co kaznodzieja mówił...

Nevin roześmiał się ponuro.

- Też tak uważam. Ledwo mogę sobie przypomnieć te wszystkie bluźnierstwa, a co dopiero powtarzać je ojcu! Wiele żon! „Duchowe mariaże”! Nie wiem, co ojciec by zrobił, mnie chyba by wychłostał pejczem, a ciebie zamknął w stodole do dnia dwudziestych pierwszych urodzin za to, że słuchaliśmy słów tego poganina. - Pokręcił głową. - Ale jedno ci powiem: nauki kaznodziei na pewno odpowiadałyby twojemu chłopciowi Jonathanowi. Już zrobił duchowe żony z połowy dziewcząt w miasteczku.

- Dość o Jonathanie - odparłam, nie wspominając o dziwnym zainteresowaniu kaznodziei jego osobą, bo to tylko utwierdziłoby złą opinię Nevina o moim przyjacielu. - Nie rozmawiajmy więcej o tym.

Resztę długiej drogi przebyliśmy w milczeniu. Pomimo nocnego chłodu wciąż czułam mrowienie na wspomnienie mrocznego wyrazu twarzy kaznodziei i rozmowy, która ujawniła jego prawdziwą naturę. Nie wiedziałam, jak rozumieć jego zainteresowanie Jonathanem ani co miał na myśli, mówiąc o mojej wyjątkowej zmysłowości. Czyżby moje pragnienie, by doświadczyć związku pomiędzy mężczyzną a kobietą, tak się rzucało w oczy? Przecież ta tajemnica tkwiła w samym sercu ludzkich doświadczeń, więc czy ciekawość tych spraw u młodej dziewczyny naprawdę jest niezgodna z naturą lub szczególnie zła? Moi rodzice i pastor Gilbert pewnie by tak uważali.

Szłam opustoszałą drogą, wewnątrz wzbudzona i podniecona tą otwartą rozmową o pożądaniu. Myśl o poznaniu Jonathana - o poznaniu innych mężczyzn z miasteczka w sposób, w jaki znała ich Magda - sprawiła, że byłam rozpalona i wilgotna. Tamtego wieczoru poznałam swą prawdziwą naturę, chociaż wciąż pozostawałam zbyt niedoświadczona, by o tym wiedzieć, zbyt

niewinna, by zdać sobie sprawę, że powinnam się zaniepokoić łatwością, z jaką budzi się we mnie żądza. Powinnam była bardziej stanowczo z tym walczyć, ale pewnie i tak nic by to nie dało, ponieważ prawdziwa natura zawsze zwycięża.

ROZDZIAŁ 7

Mijały lata, jak to mają w zwyczaju, a każdy następny rok pozornie niczym się nie różnił od poprzedniego. Widoczne jednak były drobne odmiany: z mniejszą ochotą stosowałam się do zasad głoszonych przez rodziców i marzyłam o odrobinie niezależności, znużyli mnie też moi krytykujący wszystkich i wszystko sąsiedzi. Charyzmatycznego kaznodzieję aresztowano w Saco, osądzono i uwięziono, ale uciekł i tajemniczo gdzieś przepadł. To jednak nie pomogło w stłumieniu niepokoju bulgoczącego tuż pod powierzchnią. W powietrzu wyczuwało się bunt, także u nas, w miasteczku tak odizolowanym od świata, jak St. Andrew, mówiono o uniezależnieniu się od Massachusetts i ogłoszeniu Maine samodzielnym stanem. Jeśli nawet posiadacze ziemscy w rodzaju Charlesa martwili się, że negatywnie wpłynie to na ich fortuny, nic nie dawali po sobie poznać i swoje troski zachowywali dla siebie.

Coraz bardziej interesowały mnie takie sprawy, aczkolwiek wciąż mało miałam okazji do zaspokojenia ciekawości. Wyglądało na to, że młoda kobieta może dyskutować wyłącznie o tajnikach prowadzenia domu: jak upiec miękki chleb z melasy, jak skłonić starą krowę do produkowania mleka, jak najładniej szyć, jak wylczyć gorączkę u dziecka.

Przypuszczam, że chodziło o sprawdzenie naszej przydatności do roli żon, choć mnie nie pociągała tego rodzaju rywalizacja. Był tylko jeden mężczyzna, którego chciałam za męża, a on nie dbał o to, czy chleb jest miękki.

Domowym obowiązkiem, którego najbardziej nie cierpiałam, było pranie. Lekkie rzeczy zabierało się do strumyka i tam dokładnie płukało, ale kilka razy na rok konieczne było wielkie pranie, co oznaczało rozpalenie ognia na podwórzu i gotowanie w ogromnym kotle wody. To była okropna praca: ręce zanurzone we wrzącej wodzie z ługiem, wykręcenie grubej wełnianej odzieży, rozkładanie jej na krzewach lub przewieszanie przez konar drzewa. Dzień należało wybrać starannie, ponieważ pranie wymagało dobrej pogody w okresie, kiedy nie było innych pilnych i pracochłonnych zajęć.

Pamiętam jeden z takich dni na początku jesieni, miałam wówczas dwadzieścia lat. Dziwne, ale matka wysłała Maeve i Glynnis do pomocy ojcu przy zbieraniu siana, twierdząc, że we dwie damy sobie radę. Tamtego poranka była dziwnie milcząca. Gdyśmy czekały, aż woda się zagotuje, marudziła przy niezbędnych do prania środkach: ługu, suszonej lawendzie, patykach do mieszania rzeczy w saganie.

- Pora, żebyśmy porozmawiały o ważnych sprawach - odezwała się wreszcie. - Czas, żebyś pomyślała o rozpoczęciu samodzielnego życia, Lanore. Przestałaś być dzieckiem. Dawno osiągnęłaś wiek odpowiedni do małżeństwa...

Prawdę mówiąc, już z tego wieku wychodziłam i od jakiegoś czasu zadawałam sobie pytanie, co rodzice zamierzają z tym zrobić. Nie aranżowali zaręczyn dla żadnego ze swoich dzieci.

- ...dlatego trzeba rozwiązać tę sprawę z paniczem St. Andrew. - Wstrzymała oddech i spojrzała na mnie ukradkiem.

Serce mi zadrżało. Jaki mogła mieć powód, by wymienić nazwisko Jonathana w kontekście małżeństwa, jeśli nie ten, że oboje z ojcem zamierzają nas swatać? Z radości i zaskoczenia odebrało mi mowę, wiedziałam bowiem doskonale, że mój ojciec Kieran nie akceptuje rodziny St. Andrew, już nie. Wiele się zmieniło od czasu, gdy inni podążyli za Charlesem St. Andrew na północ. Jego relacje z ludźmi, którzy niegdyś mu ufali, teraz były napięte.

Theresa spojrzała na mnie surowo.

- Mówię to jako kochająca matka, Lanore: musisz zakończyć tę przyjaźń z paniczem Jonathanem. Przestaliście być dziećmi. Z kontynuowania tej znajomości nic dobrego dla ciebie nie wyniknie.

Nie czułam żaru z sagana. Patrzyłam matce w oczy. Pośpieszenie zapełniła moje przerażone milczenie.

- Musisz zrozumieć, Lanore: jaki inny chłopiec cię zechce, skoro ty kochasz Jonathana?

- Nie kocham go. Łączy nas tylko przyjaźń - wykrztusiłam przez zduszone gardło.

Roześmiała się cicho, ale i tak ugodziła mnie w samo serce.

- Nie możesz się wyprzeć tej miłości. RzUCA się w oczy, moja droga, tak samo jak to, że Jonathan twego uczucia nie odwzajemnia.

- Nie musi niczego odwzajemniać - zaprotestowałam. - Zapewniam cię, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- O jego flirtach plotkuje całe miasteczko...

Przesunęłam dłonią po spoconym czole.

- Wiem o tym. O wszystkim mi mów.

- Posłuchaj mnie, Lanore - powiedziała matka, odwracając się do mnie, choć nie chciałam na nią patrzeć. - Łatwo jest zakochać się w mężczyźnie tak przystojnym i bogatym jak Jonathan, ale musisz zwalczyć to uczucie. Jonathan nie jest ci przeznaczony.

- Skąd możesz to wiedzieć? - Słowa sprzeciwu popłynęły z mych ust, choć wcale nic takiego nie zamierzałam powiedzieć. - Przecież nie wiesz, co czeka mnie lub jego.

- Och, głupia dziewczyno, nie mów mi, że nie oddałaś mu serca. - Ujęła mnie za ramiona i lekko mną potrząsnęła. - Nie możesz żywić nadziei na poślubienie syna Kapitana. Ani rodzina Jonathana, ani twój ojciec nigdy nie wyrażą na to zgody. Przykro mi, że to ja mówię ci tę straszłą, nieprzyjemną prawdę...

Nie musiała. Wiedziałam przecież, że nasze rodziny nie są sobie równe, że matka Jonathana wiąże wielkie nadzieje z małżeństwami swoich dzieci. Ale dziewczęce marzenia są nieustępliwe, a ja swoje hołubiłam, odkąd sięgałam pamięcią; wydawało się, iż przyszłam na ten świat z pragnieniem, by być z Jonathanem. Zawsze na dnie serca wierzyłam, że miłość tak gwałtowna i szczerą jak moja w końcu doczeka się nagrody, teraz jednak zmuszano mnie, bym pogodziła się z brutalną rzeczywistością.

Matka podniosła wielki patyk do mieszania prania.

- Ojciec zamierza poszukać ci męża, rozumiesz więc, dlaczego trzeba zerwać tę przyjaźń. Musimy znaleźć partię dla ciebie, zanim wydamy za mąż twoje siostry, i chyba nie muszę ci tłumaczyć, jakie to ważne, prawda, Lanore? Nie chcesz przecież, żeby twoje siostry zostały starymi pannami?

- Nie, matko - odparłam przygnębiona. Wciąż odwracałam się do niej plecami, patrząc w przestrzeń i walcząc ze łzami; wtedy też zauważyłam jakiś ruch w lesie za naszym domem. To mogło być cokolwiek, rzecz niewinna lub niebezpieczna: ojciec z rodzeństwem wracający z łąki, ktoś podróżujący pomiędzy farmami, jeleni pasący się na polanie, niedźwiedź. Po chwili zobaczyłam, że to wielkie, wdzięczne, połyskliwe czarne zwierzę. Koń z jeźdźcem. W miasteczku tylko jeden człowiek miał karego konia:

Jonathan. Po co by tu przyjeżdżał, jeśli nie do mnie? Ale on minął nasz dom, kierował się w stronę farmy sąsiadów, nowożeńców Jeremiaha i Sophii. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego Jonathan miałby odwiedzać Jeremiaha, zupełnie żaden.

Uniosłam dłoń, by schować niesforne loki pod czepek.

- Matko, mówiłaś, że Jeremiaha Jacobsa nie ma w domu w tym tygodniu, czy tak? Wyjechał?

- Tak - potwierdziła z roztargnieniem, mieszając w saganie. - Pojechał do Fort Kent, bo chce kupić parę koni pociągowych, i powiedział twojemu ojcu, że wróci w przyszłym tygodniu.

- I zostawił Sophię samą, tak? - Połyskliwa postać zniknęła w mrocznym lesie.

Matka przytaknęła.

- Tak, ale wie, że nie ma powodu do niepokoju. Sophia jest bezpieczna, nic jej nie grozi. - Wyłowiła patykiem z saganu parujące i kapiące sztuki garderoby, a ja wzięłam je od niej i zaniiosłam pod drzewo, gdzie razem je wykręciłyśmy. - Przrzeknij mi, że zrezygnujesz z Jonathana i nie będziesz więcej szukała jego towarzystwa. - Na tym zakończyła ten temat, ja jednak myślałam tylko o małym domku naszych sąsiadów i o wierzchowcu Jonathana, niespokojnie czekającym przy płocie.

- Przrzekam - powiedziałam do matki, kłamiąc tak zręcznie, jakby to nic nie znaczyło.

ROZDZIAŁ 8

Jesień mijała, liście przybrały kolor rdzy i złota, a romans Jonathana z Sophią Jacobs trwał. Podczas tych miesięcy moje spotkania z Jonathanem były rzadsze niż zwykle i boleśnie krótkie. Wina nie leżała wyłącznie po stronie Sophii, oboje z Jonathanem mieliśmy sporo zajęć, ale ja wyłącznie ją obwinałam. Jakie miała prawo, by aż tak zajmować jego uwagę? Przecież na niego nie zasługiwała, była mężatką i kontynuując ich związek, popełniała straszliwy grzech, bo zmuszała go do łamania chrześcijańskich zasad. Skazywała jego i siebie na piekło.

To jednak nie wszystko. Trudno ją było uznać za najśliczniejszą dziewczynę w miasteczku; wedle moich obliczeń, co najmniej dwadzieścia innych przewyższało ją urodą, nawet jeśli ze skromności wyłączałam z tej grupy siebie. Co więcej, ani jej pozycja towarzyska, ani majątek nie czyniły z niej odpowiedniej towarzyski dla mężczyzny ze statusem Jonathana. Z domowymi obowiązkami radziła sobie marnie: szycie było jeszcze do przyjęcia, ale ciasta, które przynosiła do kościoła, miały zakalec i były nierówno wypieczone. Bez wątplenia nie brakowało jej sprytu, gdyby jednak od kogoś zażądano wskazania najmądrzejszej kobiety w

miasteczku, jej nazwisko nie przysłoby zapytanemu do głowy. Na jakiej więc podstawie rościła sobie prawo do Jonathana, który powinien mieć tylko to, co najlepsze?

Przedłam len z ostatnich zbiorów, rozważając ten dziwny układ, przeklinając Jonathana za brak konsekwencji. Przecież tamtego dnia na polu McDougala powiedział, że będzie zazdrosny, jeśli zobaczy mnie z innym chłopcem, a mimo to w tajemnicy zalecał się do Sophii Jacobs. Mniej zakochana dziewczyna pewnie wyciągnęłaby wnioski z jego zachowania, ale ja wolałam wierzyć, że Jonathan wybrałby mnie, gdyby tylko poznał moje uczucia. Po niedzielnych nabożeństwach wędrowałam samotnie, rzucając w jego stronę spojrzenia, które pozostawały bez odpowiedzi, i miałam nadzieję, że nadarzy się okazja, by mu powiedzieć, jak strasznie go pragnę. Chodziłam ścieżkami prowadzącymi do domu rodziny St. Andrew i zastanawiałam się, co w tej chwili robi Jonathan. W tych snach na jawie próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym czuła dotyk jego dłoni, ciężar ciała, pocałunki. Rumienię się na tę myśl, tak bardzo niewinna i dziewicza była moja wizja miłości! Postrzegalam ją jako słodką i czystą.

Bez Jonathana byłam samotna. Miałam przedsmak tego, jak będzie wyglądało moje życie, kiedy Jonathan się ożeni i przejmie rodzinną firmę, a ja poślubię innego. Każde z nas pograży się we własnym życiu i nasze drogi nigdy się nie skrzyżują. Lecz ten dzień jeszcze nie nadszedł, a Sophia Jacobs nie była prawowitą żoną Jonathana, tylko uzurpatorką, która zawłaszczyła sobie jego serce.

Tuż po pierwszych mrozach Jonathan przyszedł zobaczyć się ze mną. Jakże inaczej wyglądał, jakby się postarzał o wiele lat. A może chodziło tylko o to, że z jego zachowania zniknęła wesołość, sprawiał wrażenie bardzo poważnego, bardzo dorosłego. Zastał mnie na łące, gdzie z siostrami zbierałyśmy ostatni pokos siana,

żeby przewieźć go do stodoły, w której gromadziliśmy paszę dla bydła.

- Daj, pomogę ci - powiedział, zeskakując z konia. Moje siostry, tak jak ja ubrane w stare suknie, w chustkach na głowach, zerknęły na niego z ukosa i zachichotały.

- Nie bądź śmieszny - burknęłam. Uważnie przyjrzałam się jego kurtce z dobrej wełny i skórzanym bryczesom. Zbieranie siana było uciążliwą pracą, a ja wciąż dąsałam się na niego za dezercję i mówiłam sobie, że nic od niego nie chcę. - Powiedz mi po prostu, co cię tu sprowadza.

- Obawiam się, że moje słowa przeznaczone są wyłącznie dla twoich uszu. Moglibyśmy chociaż kawałek się przejść we dwoje? - zapytał, kłaniając się moim siostronom na znak, że nie zamierza ich lekceważyć.

Rzuciłam na ziemię widły, ściągnęłam rękawice i zygakiem ruszyłam w stronę lasu.

Podążył za mną, prowadząc konia na luźnych lejcach.

- Cóż, od jakiegoś czasu się nie widzieliśmy, prawda? - zaczął mało przekonująco.

- Nie mam czasu na próżne gadanie - odparłam. - Zostało mi sporo pracy do zrobienia.

Zrezygnował z uprzejmości.

- Ach, Lanny, nie jestem w stanie cię oszukać. Brakowało mi twojego towarzystwa, ale nie dlatego tu jestem. Potrzebuję twojej rady, nie potrafię właściwie ocenić swoich problemów, a ty zawsze wszystko, cokolwiek by to było, widzisz jasno.

- Możesz się nie silić na pochlebstwa - powiedziałam, ocierając czoło brudnym rękawem. - Daleko mi do króla Salomona. W tym mieście są o wiele mądrzejsi ludzie, a skoro przyszedłeś do mnie, to znaczy, że wpadłeś w kłopoty, o których nie ośmieliłbyś się mówić z nikim innym. Wyrzuć to wreszcie: co zbroiłeś?

- Masz rację, nie mam nikogo poza tobą. - Jonathan z zakłopotaniem odwrócił ode mnie swą przystojną twarz. - Chodzi o Sophię, na pewno już się tego domyśliłaś, i wiem, że jej imię jest ostatnie, które miałabyś ochotę słyszeć...

- Nawet nie masz pojęcia - mruknęłam, utykając fałdę spódnicy za pasek, żeby rąbek nie włókł się po ziemi.

- Jesteśmy ze sobą szczęśliwi, Lanny. Nigdy bym nie podejrzewał, że będzie aż tak. Bardzo się różnimy, a równocześnie... Niezwykle polubiłem jej towarzystwo. Ma niezależny umysł i nie boi się wygłaszać własnych opinii. - Mówił, nie zważając na to, że z otwartymi ustami stanęłam jak wryta. Czy ja nie mówiłam mu tego, co myślę? Cóż, może nie wszystkie sprawy stawiałam jasno, ale czy nie rozmawialiśmy jak równi sobie, jak przyjaciele? Do szaleństwa doprowadzało mnie, że uważa zachowanie Sophii za wyjątkowe i godne uznania. - Tym bardziej to niezwykle, jeśli się wie, z jakiej pochodzi rodziny. Mówi, że jej ojciec to pijak i hazardzista, bije żonę i córki.

- Tobey Ostergaard - powiedziałam. Zaskoczyło mnie, że Jonathan nie znał fatalnej reputacji Tobeya, choć to tylko dowodziło, jak niewiele ma do czynienia z mieszkańcami.

Problemy Ostergaardów znali wszyscy. Nikt nie uważał Tobeya za dobrego ojca czy głowę rodziny. Marny był z niego rolnik, więc w weekendy kopał groby, żeby trochę dorobić, ale całą zapłatę przepijał. - Jej brat uciekł rok temu. Bił się z ojcem i Tobey uderzył go w twarz łopatą do kopania grobów.

Jonathan wydawał się szczerze przejęty losem Sophii.

- Trudne dzieciństwo sprawiło, że jest twarda, ale nie rozgorączkzona. Nawet to żalosne małżeństwo tak na nią nie wpłynęło. Bardzo żałuje, że się zgodziła wyjść za mąż, zwłaszcza teraz, kiedy... - Urwał.

- Kiedy co? - ponagliłam. Czulałam, jak w gardle wzbiera mi strach.

- Mówi, że jest w ciąży - wyrzucił z siebie Jonathan, odwracając się do mnie. - Przysięga, że dziecko jest moje. Nie wiem, co robić.

Na jego twarzy malowało się przerażenie i tak, zażenowanie, że musiał mi o tym powiedzieć. Spoliczkowałam go, gdybym nie widziała tak wyraźnie, że naprawdę nie chciał mnie zranić. Na usta cisnęło mi się pytanie: czemu się dziwi, skoro od miesięcy spotyka się z tą kobietą? Miał szczęście, że nie stało się to wcześniej.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam.

- Życzenie Sophii jest jasne: chce, żebyśmy się pobrali i razem wychowali dziecko.

Z gardła wyrwał mi się gorzki śmiech.

- Musi być szalona. Twoja rodzina nigdy na to nie pozwoli.

Posłał mi przelotne, pełne gniewu spojrzenie, i pożałowałam tego wybuchu.

- Chodzi o to - zaczęłam bardziej pojednawczym tonem - co ty chcesz zrobić?

Pokręcił głową.

- Powiadam ci, Lanny, zupełnie się pogubiłem.

Nie byłam pewna, czy mu wierzyć. W jego głosie brzmiało wahanie, jakby się obawiał wyrazić na głos wszystkie swoje przemyślenia. Bardzo się zmienił, zupełnie nie przypominał Jonathana, którego znałam, lekkoducha zamierzającego korzystać z wolności tak długo, jak się da.

Gdyby tylko wiedział, w jaki konflikt wpędził mnie jego dylemat. Z jednej strony, nie ulegało wątpliwości, że jest nieszczęśliwy i bezradny, nie mogłam mu nie współczuć, z drugiej zaś, urażona duma kłuła mnie niczym surowa wełna. Krążyłam wokół niego, przyciskając pięść do ust.

- Dobrze, postaramy się myśleć jasno. Na pewno wiesz tak

samo dobrze jak ja, że istnieją sposoby rozwiązania takiego problemu. Sophia musi wybrać się do akuszerki... - Pomyślałam o Magdzie: ona z całą pewnością wie, jak radzić sobie z tą katastrofą, ciągle czyhającą na kobiety takie jak ona. - Słyszałam, że sprawę może załatwić napar z ziół albo zabieg.

Zarumieniony Jonathan pokręcił głową.

- Nie robi tego. Chce urodzić dziecko.

- Ale nie może! Szaleństwem byłoby afiszowanie się własnym występkiem.

- Jeśli takie zachowanie jest szaleństwem, to istotnie brak jej piątej klepki.

- A... twój ojciec? Zastanawiałeś się, żeby poradzić się Charlesa?

Ta propozycja miała trochę sens: Charles znany był z ugania się za służącymi i przypuszczalnie raz czy dwa znalazł się w podobnej sytuacji.

Jonathan parsknął jak spłoszony koń.

- Pewnie będę musiał w końcu powiedzieć o wszystkim starem Charlesowi, choć ta perspektywa wcale mnie nie cieszy. On będzie wiedział, jak załatwić sprawę z Sophią, ale obawiam się rezultatów.

Możliwości było kilka: Charles zmusi syna do zerwania z Sophią, i nigdy więcej się nie zobaczą, niezależnie od jej decyzji, czy urodzić dziecko, czy nie, albo gorzej, każe o wszystkim powiedzieć Jeremiahowi, który ze swej strony zażąda rozwodu od niewiernej żony i wytoczy proces Jonathanowi. Niewykluczone też, że Jeremiah zgodzi się wychowywać dziecko jako swoje, jeśli rodzina St. Andrew zapłaci mu za milczenie. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się stanie, kiedy w sprawę wkroczy Charles.

- Mój drogi Jonathanie - mruknęłam, gorączkowo się zastanawiając, co mu poradzić. - Współczuję ci bardzo. Zanim jednak pójdziesz do Charlesa, pozwól mi przez dzień o tym pomyśleć.

Może znajdzie się jakieś rozwiązanie.

- Moja najdroższa Lanny. - Przez ramię obejrzał się na moje siostry, które teraz przed naszym wzrokiem zakrywał stóg siana. - Jak zawsze, jesteś moim zbawieniem.

Zanim się zorientowałam, położył mi dłonie na ramionach i przyciągnął ku sobie, zmuszając przy tym, bym wspięła się na czubki palców. Pocałował mnie, ale to nie był braterski pocałunek: stanowił przypomnienie, że zawsze będę pożądana Jonathana, że do niego należę. Tuląc mnie mocno, drżał, a kiedy w końcu wypuścił mnie z objęć, obojgu nam brakowało tchu.

- Jesteś moim aniołem - szepnął mi chrapliwie do ucha. - Bez ciebie byłbym zgubiony.

Czy wiedział, co robi, mówiąc takie rzeczy dziewczynie rozpaczliwie w nim zakochanej? Od początku planował, że skłoni mnie do zajęcia się jego nieprzyjemnym kłopotem, czy też przyszedł, szukając pociechy u jedynej osoby, na której mógł polegać, że nie przestanie go kochać, choćby popełnił zbrodnię? Lubiłam myśleć, że jakaś część jego serca kochała mnie miłością czystą, że było mu przykro, iż sprawił mi zawód. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy znałam wtedy prawdziwe intencje Jonathana, wątpię, by on sam je znał. W końcu był młodzieńcem po raz pierwszy zmagającym się z poważnym problemem; może wierzył, że jeśli Bóg wybaczy mu ten postępek, on zejdzie ze złej drogi i znajdzie szczęście u boku wybranki, która go głęboko pokocha.

Wskoczył na siodło i uprzejmie skłonił się moim siostram, potem ruszył w stronę swojego domu. Zanim miedzą dojechał do lasu i zniknął nam z oczu, do głowy wpadła mi pewna myśl, byłam bowiem sprytną dziewczyną, i nic tak nie mobilizowało mnie do koncentracji, jak sprawy dotyczące Jonathana.

Postanowiłam, że następnego dnia odwiedzę Sopię i porozmawiam z nią w cztery oczy. Najpierw zamknęłam na noc nasz drób w kurniku, żeby moja nieobecność nie rzuciła się w oczy, później poszłam na farmę Jacobsów. W ich obejściu panował większy spokój niż u nas, głównie dlatego, że mieli mniej zwierząt, a obowiązkami zajmowali się tylko mąż i żona. Ukradkiem wśliznęłam się do stodoły, licząc, że zastanę Sopię samą. Tak też było. Zapędzała trzy chuderlawe owce do zagrody.

- Lanore! - Drgnęła zaskoczona, dłonie przyciskając do serca. Była lekko ubrana jak na tę porę, bez peleryny, tylko w wełnianym szalu na ramionach. Musiała wiedzieć o mojej przyjaźni z Jonathanem i Bóg tylko wie, co jej o mnie opowiadał (a może byłam głupia, wierząc, że poświęcał mi choć jedną myśl, kiedy nie byliśmy razem). Obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem, bez wątpienia zaniepokojona powodem mojej wizyty. Pewnie wydawałam jej się dzieckiem, choć byłam tylko o kilka lat młodsza, wciąż jednak nie miałam męża i mieszkałam u rodziców.

- Wybacz, że pojawiając się bez uprzedzenia, ale muszę z tobą porozmawiać sam na sam - powiedziałam, zerkając przez ramię, czy w pobliżu nie kręci się Jeremia. - Będę mówiła bez ogródek, nie mamy czasu na grzeczności. Chyba się domyślasz, o co chodzi. Jonathan mi się zwierzył...

Skrzyżowała ręce na piersiach. Minę miała zdecydowaną.

- Powiedział ci, tak? Musiał się komuś pochwalić, że mi zrobił dziecko?

- Nic w tym rodzaju! Jeśli myślisz, że się cieszy, że będziesz miała dziecko...

- Jego dziecko - poprawiła. - I wiem, że się z tego nie cieszy.

Dostrzegłam możliwość. Od chwili, kiedy Jonathan wczoraj się ze mną pożegnał, zastanawiałam się, co powiem Sopi. Zwrócił

się do mnie, ponieważ potrzebował osoby, która w jego imieniu potraktuje Sophię bezwzględnie, która wyraźnie ukaże dziewczynie słabość jej położenia, przez co mniej będzie miejsca na domysły i apelowanie do uczuć. Moim postępowaniem nie kieruje nienawiść do niej, powtarzałam sobie w duchu, ani gniew, że uzurpowała moje miejsce w życiu Jonathana. Nie miałam złudzeń co do Sophii. Ratowałam Jonathana z pułapki zastawionej przez podstępą jędzę.

- Z całym szacunkiem, ale muszę zapytać, jaki masz dowód na to, że ojcem jest Jonathan? Na razie to tylko twoje słowo, a... - Urwałam, pozwalając, by sugestia zawisła w powietrzu.

- A ty co, jesteś jego adwokatem? - Twarz jej poczerwieniała, kiedy nie połknęłam przynęty. - Tak, masz rację, ojcem jest jeden z nich, ale ja wiem, że to dziecko jest Jonathana. Po prostu wiem. - Przycisnęła dłonie do płaskiego wciąż brzucha.

- Oczekujesz od Jonathana, że zrukuje sobie życie wyłącznie na podstawie o twoich zapewnieniach...

- Zrukuje sobie życie? - powtórzyła piskliwie. - A co z moim życiem?

- Właśnie, co z twoim życiem - powtórzyłam, prostując się na całą wysokość. - Pomyślałaś, co się stanie, jeśli publicznie powiesz, że Jonathan jest ojcem twojego dziecka? Osiągniesz tylko jedno: wszyscy się dowiedzą, że jesteś kobietą lekkich....

Sophia prychnęła i okręciła się na pięcie, jakby dłużej nie mogła mnie słuchać.

- ...a on się wyprze tego romansu. Zaprzeczy, że mógłby być ojcem dziecka. I kto ci uwierzy, Sophio? Czy ktokolwiek uwierzy, że Jonathan St. Andrew wybrał właśnie ciebie, skoro może mieć każdą kobietę z miasteczka?

- Jonathan się mnie wyprze? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie strzęp języka po próżnicy, Lanore. Nie przekonasz mnie, że

mój Jonathan kiedykolwiek mógłby się mnie wyprzeć.

Mój Jonathan, powiedziała. Policzki mi płonęły, serce waliło jak młotem. Nie wiem, skąd potem wzięłam tupet, żeby powiedzieć jej wszystkie te złe rzeczy. Jakby w moim wnętrzu kryła się inna osoba, obdarzona cechami, o których mi się nie śniło, i teraz wyłoniła się na powierzchnię jak dzinn z lampy. Zaślepiła mnie furia i wiedziałam tylko, że Sophie zagraża Jonathanowi, a ja nie pozwolę, by ktokolwiek go skrzywdził. On nie był jej Jonathanem, tylko moim. Wzięłam go sobie wiele lat temu w kościele, i choć może wydaje się to głupie, czułam teraz, jak ta zaborczość rośnie we mnie, gwałtowna i pierwotna.

- Wystawisz się na pośmiewisko: najbardziej pospolita kobieta w St. Andrew twierdzi, że najatrakcyjniejszy mężczyzna w mieście jest ojcem jej dziecka, on, a nie ten wół, za którego wyszła. Wół, którym pogardza.

- Ale to jest jego dziecko - odparła z uporem. - Jonathan o tym wie. Nie obchodzi go, co się stanie z jego potomkiem?

Ogarnęły mnie przepojone poczuciem winy wątpliwości.

- Wyświadczyć sobie przysługę, Sophio, i zapomnij o tym szalonym planie. Masz męża, powiedz mu, że dziecko jest jego. Jestem pewna, że się ucieszy z nowiny. Jeremiaś na pewno pragnie dzieci.

- Owszem, ale swoich - syknęła. - Nie mogę go okłamać, że to jego dziecko.

- Dlaczego nie? Przecież mówisz mu, że jesteś wierna, prawda? - rzekłam bezwzględnie. W tamtej chwili jej nienawiść była wręcz namacalna, myślałam, że zaatakuje mnie jak wąż.

Nadeszła pora, by wbić jej kołek w serce. Zmierzyłam ją wzrokiem od stóp do głów.

- Wiesz, karą za niewierność dla mężatki jest śmierć. Kościół nie zmienił w tej sprawie zdania. Rozważ to, jeśli upierasz się przy przeprowadzeniu swojego planu. Przypieczętujesz własny los.

To była pusta groźba: mężatki w żadnym razie nie skazano by na śmierć za rozwiązłość ani w St. Andrew, ani w żadnym pogranicznym miasteczku, gdzie kobiet w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci było mało. Gdyby jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności mieszkańcy uznali winę Jonathana, ukaraliby go, nakładając na niego podatek od bękarta, a przez jakiś czas unikaliby go najbardziej pobożni sąsiedzi. Niewątpliwie Sophia poniosłaby najcięższe konsekwencje.

Sophia kręciła się w kółko, jakby szukając niewidzialnych dręczycieli.

- Jonathanie! - zawołała, choć nie na tyle głośno, by usłyszał ją mąż. - Jak możesz mi to robić? Spodziewałam się, że postąpisz honorowo... Myślałam, że jesteś szlachetny... A ty przysyłasz do mnie tę żmiję... - tu rzuciła mi kolejne jadowite spojrzenie zażawionych oczu - ...żeby załatwiła to za ciebie. Nie myśl, że nie wiem, dlaczego to robisz - syknęła, celując we mnie palcem. - Wszyscy w mieście wiedzą, że się w nim kochasz, ale on cię nie chce. Po prostu mi zazdrościsz. Jonathan w żadnym razie nie życzyłby sobie, żebyś w jego imieniu tak okrutnie mnie potraktowała.

Zachowałam spokój. Cofnęłam się kilka kroków, jakby Sophia była szalona albo niebezpieczna.

- Oczywiście, że mi powiedział, żebym do ciebie przyszła, bo inaczej skąd bym wiedziała, że jesteś brzemienna? Wpadł w rozpacz, bo nie był w stanie przemówić ci do rozsądku, i prosił, żebym po kobiecemu z tobą porozmawiała. I jako kobieta mówię ci: wiem, co knujesz. Wykorzystujesz to nieszczęście, żeby poprawić swój los, zamienić ubogiego męża na majątnego. Może nawet nie

ma żadnego dziecka. Dla mnie wyglądasz tak samo jak zawsze. A jeśli chodzi o mój związek z Jonathanem, łączy nas wyjątkowa przyjaźń, czysta, niewinna i silniejsza niż pomiędzy bratem a siostrą, choć nie sądzę, byś to rozumiała - rzekłam wyniośle. - Wygląda na to, że nie jesteś w stanie pojąć związku między mężczyzną a kobietą, w którym nie trzeba podnosić spódnicy. Zastanów się nad tym, Sophio Jacobs. To twój problem, rozwiązanie zależy od ciebie. Wybierz najłatwiejszą ścieżkę. Daj Jeremiahowi dziecko. I więcej się nie zbliżaj do Jonathana, on nie chce cię widzieć - zakończyłam stanowczo, po czym wyszłam ze stodoły.

W drodze do domu drżałam ze strachu i triumfu. Zebrałam całą swoją odwagę, by bronić Jonathana, i uczyniłam to z determinacją, której u siebie nawet nie podejrzewałam. Rzadko podnosiłam głos i nigdy nikogo tak gwałtownie nie zmusiłam do przyjęcia swojego zdania. Świadomość, że posiadam taką wewnętrzną siłę, budziła strach, a równocześnie stanowiła ekscytujące objawienie. Szłam do domu przez las zarumieniona, oszołomiona, przekonana, że mogę zrobić absolutnie wszystko.

ROZDZIAŁ 9

Nazajutrz rano obudził mnie strzał z muszkietu. Strzał o takiej porze oznaczał kłopoty: pożar w domu sąsiada, bandycki napad, straszny wypadek, a ten dobiegł z farmy Jacobów: wiedziałam o tym już w chwili, gdy go usłyszałam.

Naciągnęłam koc na głowę i udawałam, że śpię, nasłuchując cichych głosów z sypialni rodziców na parterze. Ojciec wstał, ubrał się i poszedł do drzwi. Otulona kołdrą matka jak co rano zajęła się rozpalaniem ognia i nastawianiem wody. Odwróciłam się i usiadłam, z niechęcią myśląc o postawieniu stóp na zimnej drewnianej podłodze. Zapowiadał się dziwny i niefortunny dzień.

Kieran wrócił do domu. Minę miał ponurą.

- Ubieraj się, Nevin, musisz iść ze mną - zwrócił się do rozespanego pojękującego na posłaniu w kuchni.

- Muszę? - usłyszałam zaspany głos Nevina. - Trzeba nakarmić bydło...

- Ja pójdę z tobą, ojczy - zawołałam z góry, pośpiesznie wciągając ubranie. Serce waliło mi jak oszalałe, nie wysiedziałybym w domu, czekając na wiadomości. Lepiej już pójść z ojcem.

Nocą spadł pierwszy tej zimy śnieg; szłam za Kieranem, koncentrując się na tym, by stawiać stopy na śladach, które pozostawił w świeżym puchu, i usiłowałam uporządkować zamęt w myślach. Mój oddech wisiał w mroźnym powietrzu, z nosa mi ciekło.

Przed sobą mieliśmy usadowiony w dolinie brunatny dom Jacobsów. Ze wszystkich stron pieszo i konno schodzili się ludzie, małe i ciemne postaci na tle śniegu; na ten widok serce znowu szybciej zaczęło mi bić.

- Idziemy do Jacobsów? - zapytałam ojca.

- Tak, Lanore. - Związła, choć grzeczna odpowiedź: ojciec swoim zwyczajem był oszczędny w słowach.

Ledwo mogłam ukryć niepokój.

- Jak myślisz, co się stało?

- Niedługo się dowiemy.

Obecni byli przedstawiciele każdej rodziny z miasteczka - z wyjątkiem rodziny St. Andrew, ale oni mieszkali na najdalszym krańcu miasteczka i ledwo słyszeli strzał - wszyscy pośpiesznie i byle jak ubrani: szlafroki, płaszcze, spod których wystawał nierówny rąbek koszuli nocnej, rozczochrane włosy. Szłam za ojcem przez tłum, wreszcie dotarliśmy do domu, gdzie na zdeptanym, brudnym śniegu klęczał otulony kołdrą Jeremiah w naprędce wciągniętych spodniach i rozsznurowanych butach. Starożytny garłacz, z którego strzelił na alarm, stał oparty o ścianę. Wielka, brzydka twarz Jeremiaha ściągnięta była w wyrazie bólu, oczy miał czerwone, usta popękane i krwawiące. Zwykle nie okazywał uczuć, więc ten widok zbijał z tropu.

Pastor Gilbert przepchnął się przez sąsiadów i kucnął obok niego.

- Co się dzieje, Jeremiah? - zapytał cicho. - Dlaczego strzeliłeś na alarm?

- Nie ma jej, wielebny...

- Kogo?

- Sophia, pastorze. Odeszła.

Jego słowa sprawiły, że w tłumie rozległy się pomruki, każdy szeptał do osoby stojącej obok. Wyjątkiem byliśmy tylko my z ojcem.

- Odeszła? - Gilbert ujął twarz Jeremiaha w obie dłonie. - Co to znaczy: odeszła?

- Odeszła albo ktoś ją porwał. Kiedy się obudziłem, nie było jej w domu, nie było na podwórku, nie było w stodole. Nie ma jej peleryny, za to wszystkie rzeczy zostały.

Na wieść, że Sophia - rozgniewana, może czując, że nie ma nic do stracenia - nie zdradziła przed Jeremiahem mojej wizyty, zelżał ucisk w piersiach, z którego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy. W tamtej chwili, niech Bóg mi wybaczy, martwiłam się nie o kobietę zagubioną w gęstych lasach, ale o swój współdział.

Gilbert pokręcił białą głową.

- Jeremiahu, na pewno na chwilę wyszła, może na spacer. Niedługo wróci do domu i będzie jej przykro, że zmartwiła męża.

Od razu wiedzieliśmy, że pastor się myli. Nikt z samego rana w takim zimnie nie wychodzi dla przyjemności.

- Uspokój się, Jeremiahu. Pozwól, zaprowadzę cię do środka, musisz się ogrzać, zanim przemarzniesz do szpiku kości... Zostań tu z panią Gilbert i panną Hibbins, zaopiekują się tobą, a my poszukamy Sophii, prawda, sąsiedzi? - powiedział Gilbert z fałszywym entuzjazmem, pomagając temu wielkiemu mężczyźnie podnieść się na nogi. Małżonkowie, sąsiedzi wymieniali ukradkowe spojrzenia - więc młoda żona opuściła męża? - ale nikt nie miał serca, by zrobić coś innego poza przyjęciem propozycji pastora. Kobiety zaprowadziły oszołomionego, potykającego się Jeremiaha do domu, my natomiast podzieliliśmy się na grupy. Szukaliśmy śladów stóp oddalających się od domu, mając tylko nadzieję, że nie zostały zdeptane przez tych, którzy odpowiedzieli na strzał Jeremiaha.

Ojciec znalazł małe ślady, które mogły należeć do Sophii, i oboje ruszyliśmy za nimi. Oczywiście miałam utkwione w śniegu, a w głowie gonitwę myśli. Zastanawiałam się, co zmusiło Sophię do wyjścia z domu. Może przez całą noc rozważała moje słowa, a rano postanowiła rozmówić się z Jonathanem. Przecież to wykluczone, by nasza sprzeczka nie miała nic wspólnego z jej zniknięciem? Serce mi dudniło, gdy szliśmy za śladami, obawiałam się bowiem, że doprowadzą nas do domu rodziny St. Andrew, ale w głębi lasu śnieg zniknął, a razem z nim nasz trop.

Szliśmy dalej, choć nie wiodła nas żadna ścieżka, grunt był zwodniczą mozaiką gołej twardej ziemi, cienkich płatów śniegu i suchych liści. Nie miałem pojęcia, czy ojciec widzi znaki świadczące o tym, że Sophia była tu przed nami, jakieś połamane gałązki i zmiażdżone liście, czy też z poczucia obowiązku nie chce zrezygnować. Wędrowaliśmy równolegle do rzeki, po lewej słyszałam szum Allagasti. Zwykle odgłos wody płynącej wartko po kamieniach przynosił mi ukojenie, ale nie dzisiaj.

Sophia musiała być bardzo poruszona, skoro sama odważyła się wyjść do lasu. Zdobywali się na to tylko najtwardsi wieśniacy, ponieważ łatwo było zabłądzić w tej monotonnej scenerii. Las ciągnący się na wiele hektarów był taki sam, brzozy, świerki i sosny, porośnięte mchami i porostami głązy regularnie wyłaniające się z podłoża.

Może powinnam była wcześniej ojcu powiedzieć, że jego sąsiedzkie poświęcenie jest niepotrzebne, bo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Sophia poszła zobaczyć się z mężczyzną, z którym nie powinna się spotykać. Jest cała i zdrowa, a my niepotrzebnie marzniemy. Wyobraziłam sobie Sophię biegnącą polaną, uciekającą z nieszczęśliwego domu do Jonathana, swego kochanka.

Wzruszony i zdezorientowany Jonathan bez wątpienia otworzył przed nią drzwi. Żołądek mi się skręcał na myśl o Sophii leżącej wygodnie w jego łóżku, o jej ostatecznym zwycięstwie nade mną.

W końcu skręciliśmy w stronę rzeki i ruszyliśmy wzdłuż jej biegu. W pewnym momencie ojciec przystanął. Zrobił dziurę w cienkim lodzie i dłonią nabrał wody. Pomiędzy łykami spojrzał na mnie obojętnie.

- Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy musieli szukać. Wracaj do domu, Lanore, to nie jest miejsce dla dziewczyny. Pewnie przemarzłaś na kość.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie, ojczy, wołałabym pójść z tobą...

Nie dałabym rady czekać w domu na wiadomości. Straciłabym rozum albo porzuciła wszelkie względy przyzwoitości, by pobiec do domu Jonathana i stawić czoło Sophii. Oczyma wyobraźni widziałam jej triumfującą twarz. Nie sądzę, bym w tamtej chwili nienawidziła kogoś tak bardzo jak swoją rywalkę.

Pierwszy zauważył ją Kieran. Przez całą drogę patrzył przed siebie, podczas gdy ja oczy miałam utkwione w dezorientującym podłożu. Znalazł zamarznięte ciało w zatoczce uformowanej przez przewalone drzewo, niemal całkiem zakryte płataniną trzciny i dzikich winorośli. Jej delikatne ciało dryfowało, fałdy spódnicy i długie włosy unosiły się na powierzchni. Peleryna leżała starannie złożona na brzegu.

- Nie patrz, dziewczyno - polecił ojciec, kładąc mi ręce na ramionach i próbując mnie odwrócić. Ja jednak nie byłam w stanie oderwać od niej wzroku.

Kieran dał sygnał pozostałym, ja mogłam tylko tępo wpatrywać się w zwłoki. Wszyscy się zbiegli, podążając za głosem ojca. Dwaj mężczyźni weszli do lodowatej wody, by wyciągnąć

topielicę z uścisku zamarzniętych traw i wąskiej tafli lodu, która zaczynała ją pokrywać. Rozłożyliśmy pelerynę i na niej położyli ciało. Namoknięta suknia oblepiała jej nogi i tors, skórę miała siną, oczy na szczęście zamknięte.

Mężczyźni chwycili pelerynę za rogi i zmieniając się, ponieśli Sopię jak na noszach. Ja szłam za nimi. Zęby mi szczękały i ojciec masował moje ramiona, by mnie rozgrzać, ale nic to nie dało, dygotałam bowiem ze strachu, nie z zimna. Ręce przyciskałam do brzucha w obawie, że pochoruję się przed ojcem. Moja obecność zamknęła mężczyznom usta, powstrzymali się od spekulowania, dlatego Sophia odebrała sobie życie. Wszyscy jednak zgodzili się, by nie mówić pastorowi Gilbertowi o leżącej na brzegu pelerynie. W ten sposób się nie domyśli, że Sophia popełniła samobójstwo.

Kiedy z ojcem wróciliśmy do domu, pobiegłam prosto do kominka i stanęłam tak blisko, że ogień niemal przypiekał mi twarz, ale nawet żar nie powstrzymał moich dreszczy.

- Nie tak blisko - upomniała mnie matka, pomagając mi zdjąć pelerynę, bała się bowiem, że tkanina zajmie się od strzelających iskier. Ucieszyłabym się, gdyby tak się stało. Zasłużyłam na to, by spłonąć jak wiedźma.

Kilka godzin później matka przysłała do mnie. Prostując ramiona, powiedziała:

- Wybieram się do Gilbertów pomóc... w przygotowaniu Sopi. Myślę, że powinnaś pójść ze mną. Już czas, żebyś zajęła miejsce wśród kobiet w miasteczku i poznała obowiązki, których wypełniania sąsiedzi będą od ciebie oczekiwać.

Przebrałam się w grubą koszulę nocną, ale wciąż siedziałam skulona przy ogniu i piłam gorący cydr z rumem. Alkohol mnie otępił, stłumił impuls, by głośno zapłakać i przyznać się do mego

występku, wiedziałam jednak, że całkiem się rozkleję, jeśli zmuszona będę spojrzeć na ciało Sophii, zwłaszcza w obecności innych. Podparłam się na łokciu.

- Nie mogę... nie czuję się dobrze. Zimno mi...

Matka położyła dłoń na moim czole i gardle.

- Jeśli już, to powiedziałabym, że pali cię gorączka... - Spojrzała na mnie uważnie, sceptycznie, potem podniosła się i narzuciła pelerynę na ramiona. - Dobrze, tym razem nie musisz, sporo dziś przeszłaś... - Urwała. Znowu mi się przyjrzała w sposób, którego nie potrafiłam do końca zrozumieć, i ruszyła do drzwi.

Później mi opowiedziała, co się wydarzyło w domu pastora, gdzie kobiety przygotowywały Sophię do pogrzebu. Wpierw położyły ją przy ogniu, żeby się rozmroziła, potem zmyły rzeczny szlam z ust i nosa i delikatnie uczesały włosy. Skóra po czasie spędzonym w wodzie była biała, poznaczona cienkimi czerwonymi zadrapaniami, bo nurt rzucał ciałem na leżące na dnie kamienie. Ubrały Sophię w jej najładniejszą suknię, jasnożółtą, zdobioną wykonanym przez nią haftem i dopasowaną do jej szczupłej figury. Matka nie wspomniała o żadnym zniekształceniu ciała, o najdrobniejszym choćby zgrubieniu na brzuchu. Gdyby nawet ktoś coś zauważył, przypisałby to wzdęciu, wodzie, którą biedaczka, tonąc, wypiła. Na koniec lnianym całunem wyłożono prostą drewnianą trumnę. Kilku mężczyzn, którzy czekali, aż kobiety uporają się ze swoją pracą, załadowało trumnę na wóz i odwiozło do domu Jeremiaha.

Kiedy matka spokojnie opisywała ciało Sophii, czułam, jakby wbijano we mnie gwoździe, zmuszając do wyznania niegodziwości. Panowałam jednak nad sobą, choć z trudem, i płakałam, kryjąc oczy dłońią. Matka pogładziła mnie po plecach, jakbym znowu była dzieckiem.

- O co chodzi, droga Lanore? Dlaczego tak się smuczisz z powodu Sophii? Tak, stała się straszna rzecz i Sophia była naszą sąsiadką, ale nie myślałam, że dobrze ją znasz...

Posłała mnie na pięterko ze skórzanym workiem z gorącą wodą, a sama poszła zganić ojca za to, że zabrał mnie do lasu. Leżałam z workiem przyciśniętym do brzucha, choć nie dawało mi to ukojenia. Nie mogłam zasnąć i nasłuchiwałam odgłosów nocy, wiatru, szumu drzew, trzasków gasnącego ognia, a wszystkie one szeptały imię Sophii.

Tak jak ślub, pogrzeb Sophii Jacobs także był biedną i skromną uroczystością. Udział wzięli jej matka, rodzeństwo, mąż i tylko kilkoro mieszkańców miasteczka. Panował ziąb, ciemne chmury niosły groźbę śniegu jak codziennie od dnia, gdy Sophia odebrała sobie życie.

Jonathan i ja staliśmy na szczycie wzgórza, skąd widać było cmentarz, i patrzyliśmy na grupkę zgromadzoną wokół mrocznego, płytkiego grobu, który grabarze zdołali wykopać w zamarzającej ziemi, i nie mogłam się powstrzymać od myśli, czy zrobił to jej ojciec Tobey. Żałobnicy, czarne plamy na tle śniegu, niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, podczas gdy Gilbert odmawiał modlitwy za zmarłą. Twarz miałam opuchniętą od wielodniowego płaczu, choć teraz w obecności Jonathana nie roniłam już łez. Czułam się dziwnie, ukradkiem oglądając pogrzeb Sophii - ja, która powinnam być tam na dole i na kolanach błagać Jeremiaha o wybaczenie, ponieważ ponosiłam odpowiedzialność za śmierć jego żony, jakbym sama wepchnęła ją do rzeki.

Jonathan milczał. Śnieg wreszcie zaczął padać, co było niczym odprężenie po długim napięciu, małe płatki wirowały w zimnym powietrzu, nim lądowały na ciemnej wełnie płaszcza Jonathana i jego czarnych, lśniących niczym skrzydło kruka włosach.

- Nie potrafię uwierzyć, że jej nie ma - powtórzył po raz dwudziesty tego poranka. - W głowie mi się nie mieści, że odebrała sobie życie.

Powstrzymałam się od odpowiedzi. Wszystko, co mogłabym mu rzec, byłoby zbyt słabe, bezbarwne i kompletnie nieprawdziwe.

- To moja wina - wychrypiał, unosząc dłoń do twarzy.

- Nie możesz się obwiniać - pośpiesznie pocieszyłam go słowami, które przez ostatnie dni ciągle sobie powtarzałam, kryjąc się z gorączkowymi wyrzutami sumienia w łóżku. - Wiesz, że od wczesnego dzieciństwa miała wypełnione nieszczęściami życie. Kto wie, jakie rozpaczliwe myśli krążyły jej w głowie i od jak dawna? Wreszcie je urzeczywistniła. Trudno to uznać za twoją winę.

Postąpił dwa kroki do przodu, jakby pragnął być na cmentarzu.

- Nie wierzę, że nosiła się z myślami samobójczymi, Lanny. Była szczęśliwa - ze mną. To nieprawdopodobne, by Sophia, którą znałem, chciała się zabić.

- Tego nigdy nie wiadomo. Może pokłóciła się z Jeremiahem... może po waszym ostatnim spotkaniu...

Kurczowo zamknął oczy.

- Jeśli cokolwiek wprawiło ją w rozpacz, to moja reakcja na wiadomość o dziecku. W tej sprawie nie ma cienia wątpliwości. I dlatego się obwiniam, Lanny, obwiniam się za bezmyślność, jaką wtedy okazałem. Powiedziałaś... - nagle Jonathan podniósł głowę i spojrzał na mnie -... powiedziałaś, że może wymyślisz sposób na przekonanie jej, by nie urodziła tego dziecka. Mam nadzieję, Lanny, że nie poszłaś z czymś takim do Sophii...

Cofnęłam się przestraszona. Walcząc z poczuciem winy tak jałdowitym jak choroba, myślałam, żeby mu o wszystkim powiedzieć. Musiałam komuś powiedzieć, to nie była tajemnica, którą

można zachować, nie wyrządzając swej duszy nieodwracalnej szkody, a jeśli ktoś potrafiłby zrozumieć, to tylko Jonathan. W końcu zrobiłam to dla niego. Przyszedł do mnie po pomoc, a ja spełniłam jego prośbę. Teraz potrzebowałam rozgrzeszenia za swój uczynek, był mi to winien, prawda?

Kiedy jednak badawczo przyglądał mi się swymi czarnymi, stanowczymi oczyma, pojęłam, że nie mogę nic mu powiedzieć. Nie teraz, kiedy przepełnia go żal i może się dać ponieść emocjom. Nie rozumiałby.

- Co? Nie, nie wymyśliłam żadnego planu. Poza tym dlaczego miałabym sama zwracać się do Sophii? - skłamałam. Nie zamierałam okłamywać Jonathana, ale mnie zaskoczył, jego domysł był jak precyzyjny strzał w sam środek tarczy. Postanowiłam, że powiem mu później.

Jonathan obracał trójkątny kapeluszyk w dłoniach.

- Jak sądzisz... czy powinienem powiedzieć Jeremiahowi prawdę?

Podbiegłam do niego i potrząsnęłam go za ramiona.

- Wyrządziłbyś okropną krzywdę zarówno sobie, jak i biednej Sophii. Jaka byłaby z tego korzyść poza uspokojeniem twojego sumienia? Osiągnąłbyś tylko to, że zniszczyłbyś złudzenia Jeremiaha. Pozwól mu pochować Sophię w przekonaniu, że była dobrą, szanującą męża żoną.

Spojrzał na moje małe dłonie na swoich ramionach (odkąd wyrośliśmy z wieku dziecięcego, niezwykle rzadko się dotykaliśmy), a potem prosto w oczy z takim smutkiem, że nie byłam w stanie się powstrzymać. Przytuliłam się do niego i mocno go objęłam, myśląc tylko o tym, że potrzeba mu pociechy, kobiety w ramionach, nawet jeśli to nie jest Sophia. Nie będę kłamać, więc nie powiem, że dotyk jego mocnego, ciepłego ciała nie przyniósł mi ukojenia, mimo iż nie miałam do tego żadnego prawa. O mało nie rozplakałam się ze szczęścia. Trzymając go w objęciach, mogłam

sobie wyobrazić, że wybaczył mi mój straszliwy grzech przeciwko Sophii - choć oczywiście nic o nim nie wiedział.

Przyciskałam policzek do jego piersi, wciągałam w nozdrza jego zapach i słuchałam serca bijącego pod warstwami wełny i lnu. Czułam, że na mnie patrzy, więc także na niego spojrzałam, gotowa po raz kolejny wysłuchać go, jak mówi o swej miłości do Sophii. Postanowiłam, że jeśli to zrobi, jeśli wypowie jej imię, wyznam, co uczyniłam. On jednak zbliżył swą twarz do mojej i pocałował.

Chwila, na którą czekałam, minęła jak we mgle. Cofnęliśmy się w las, pod osłonę drzew. Pamiętam cudowny żar jego ust na moich, całujących mnie łapczywie, zachłannie. Pamiętam jego dłonie ciągnące za tasiemkę mej bluzki. Przycisnął mnie plecami do szorstkiego pnia i wpił się w moją szyję, niezgrabnie rozpinając spodnie. Uniosłam spódnicę, by mógł mnie podnieść. Żałuję, że nie zdołałam dostrzec jego męskości w tych warstwach ubrań, peleryn, spódnic, halek, ale nagle poczułam go w sobie, gorący i twardy raz po raz wchodził we mnie. Na końcu jęknął w moje ucho, a mnie przeszedł dreszcz; to oznaczało, że znalazł przy mnie rozkosz. Nigdy dotąd nie byłam taka szczęśliwa i bałam się, że nigdy więcej nie będę.

Jechaliśmy przez las na jego koniu, Jonathan trzymał mnie mocno w pasie, jak czynił to, kiedy byliśmy dziećmi. Wybieraliśmy najmniej uczęszczane szlaki, żeby nikt nas nie zobaczył. Oboje milczeliśmy, ja chowałam rozpaloną twarz w jego płaszczu, usiłując dojść do ładu z własnymi myślami. Znałam wiele dziewcząt w miasteczku, które oddawały się mężczyźnie przed ślubem - często był nim Jonathan - i patrzyłam na nie z góry. Teraz znalazłam się w ich gronie. Po części czułam, że się zhańbiłam, po części wierzyłam, że nie miałam wyboru: to mogła być moja jedyna szansa na zdobycie serca Jonathana i udowodnienie, że jesteśmy

sobie przeznaczeni. Musiałam z niej skorzystać.

Zsunęłam się z siodła i uścisnęłam mu dłoń, po czym pieszo przebyłam krótką drogę do domu. Idąc, nie mogłam się jednak opędzić od wątpliwości, ile nasza schadzka znaczyła dla niego. Sypiał z dziewczynami, nie myśląc o konsekwencjach, dlaczego więc wyobraziłam sobie, że tym razem będzie inaczej? I co z jego uczuciami do Sophii, a skoro o tym mowa, co z moją odpowiedzialnością wobec kobiety, którą popchnęłam do samobójstwa? W gruncie rzeczy ją zamordowałam, a teraz uprawiałam seks z jej kochankiem. Bardziej nikczemnej duszy nie ma na tym świecie, to pewne.

Przez kilka minut stałam i głęboko nabierałam zimnego powietrza w płuca, by odzyskać panowanie nad sobą. Nie mogłam się załamać na oczach rodziny. Nie miałam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Będę musiała zachować całą sprawę w tajemnicy do czasu, gdy odzyskam spokój na tyle, by zastanowić się nad nią racjonalnie. Zepchnęłam głęboko na dno duszy poczucie winy, wstyd, nienawiść do siebie. A równocześnie wypełniało mnie podniecenie, bo choć na to nie zasługiwałam, dostałam to, czego pragnęłam. Odetchnęłam, strzepnęłam świeży śnieg z peletyny, wyprostowałam się i poszłam dalej.

ROZDZIAŁ 10

Szpital hrabstwa Aroostook, dzisiaj

Zholu dobiegają hałasy. Doktor Findley patrzy na zegarek. Czwartą nad ranem, niedługo szpital ożyje, przyjdą ci z dziennego dyżuru. Rano zawsze jest dużo pacjentów z obrażeniami typowymi dla rolniczej okolicy: źebro złamane przez krowę wierzgającą podczas dojenia, noga zwichnięta na lodzie przy przenoszeniu beli siana.

Dziewczyna patrzy na niego wzrokiem, jakim pies mógłby się przyglądać niegodnemu zaufania panu.

- Pomożesz mi? Czy raczej pozwolisz, żeby szeryf zabrał mnie na posterunek?

- Jakie mam inne wyjście?

Jej twarz różowieje.

- Możesz mnie puścić. Zamknij oczy, a ja się wymknę. Nikt nie będzie cię obwinał. Powiesz, że zszedłeś do laboratorium, zostawiłeś mnie samą tylko na sekundę, a kiedy wróciłeś, mnie nie było.

Joe mówi, że to morderczyni, myśli Luke. Czy mogę pozwolić, żeby morderczyni stąd wyszła?

Lanore ujmuje go za rękę.

- Kochałeś kiedyś tak mocno, że byłeś gotów wszystko dla tej osoby zrobić? Że ważniejsze od własnych pragnień było dla ciebie jej szczęście?

Luke jest zadowolony, że Lanore nie może zajrzeć w jego serce, bo nigdy do tego stopnia się nie zapomniał. Jest obowiązkowy, owszem, ale nie potrafi dawać bez ukłucia żalu, choć wcale tej cechy u siebie nie lubi.

- Nikomu nie zagrażam. Mówiłam ci, dlaczego... zrobiłam to Jonathanowi.

Luke spogląda w lodowato błękitne oczy, napełniające się łzami, i przechodzi go dreszcz. Ogarnia go poczucie straty, co często mu się zdarza od śmierci rodziców. Wie, że Lanore przeżywa to samo, i na chwilę wspólnie pogrążają się w bezdennym smutku. Znużyło go bycie więźniem żalu po stracie rodziców, nieudanym małżeństwie, całym życiu, i uświadamia sobie, że musi się z niego wyzwolić - teraz lub nigdy. Nie jest pewien, dlaczego za chwilę zdecyduje się na ten krok, ale wie, że nie może się zastanawiać nad swymi motywami, bo zrezygnuje, nie robi go.

- Poczekaj tutaj. Zaraz wracam.

Luke przemyka korytarzem do szatni lekarzy. W wygiętej szarej szafce znajduje spłowiwały zielony komplet ze spodniami. Z sąsiednich szafek zabiera biały fartuch laboranta i czepek chirurga, a z szafki pediatrii damskie buty do biegania, tak stare, że noski się zawijają do góry. Znosi wszystko do gabinetu.

- Proszę, włóż to.

Najkrótszą drogą biegną na tyły szpitala, wejściem dla portiera wychodzą na rampę w części gospodarczej. Na parkingu macha do nich sanitariusz przychodzący na dzienny dyżur i Luke chce mu odpowiedzieć tym samym, ale przekonuje się, że z niepokoju dłoń mu zdrętwiała. Dopiero kiedy stają koło pickapa, przypomina

sobie, że zostawił kluczyki w kieszeni kurtki, która wisi w dyżurce.

- Cholera, muszę wracać po kluczyki. Ukryj się pomiędzy drzewami. Zaraz wracam.

Lanny bez słowa kiwa głową, kuląc się w cienkim bawełnianym fartuchu.

Przejście przez parking do wejścia jest najdłuższą drogą w życiu Luke'a. Spieszy się z powodu zimna i zdenerwowania. Judy lub Clay już mogli zauważyć jego nieobecność. A jeśli Clay wciąż śpi na kanapie, może się obudzić, kiedy Luke wejdzie do dyżurki, i to będzie koniec. Każdy następny krok jest trudniejszy, aż w końcu czuje się jak narciarz wodny, wleczony pod powierzchnią wody, bo coś strasznie złego stało się na drugim końcu liny.

Pcha ciężkie szklane drzwi, głowę chowając w ramiona. Judy w dyżurce pielęgniarek wpatruje się w komputer i nie podnosi nawet wzroku, kiedy Luke przechodzi obok.

- Gdzie byłeś?

- Na papierosie.

To przyciąga jej uwagę, Judy zwraca na niego oczy przypominające oczy kruka.

- Kiedy znowu zacząłeś palić?

Luke ma wrażenie, że w nocy wypalił dwie paczki, więc na gruncie rzeczy wcale Judy nie okłamał. Postanawia ją zignorować.

- Clay się obudził?

- Nie widziałam go, drzwi do dyżurki są zamknięte. Może powinienś go obudzić. Nie może przespać tu całego dnia, żona będzie się zastanawiała, gdzie przepadł.

Luke nieruchomieje: chce zażartować, zachowywać się wobec Judy tak, jakby wszystko było jak zwykle, ale przecież w przeszłości nigdy z nią nie żartował, więc właśnie to odbiegałoby od normy. Niezdolność do kłamstwa i zacierania śladów sprawia, że zwraca uwagę na każdy swój ruch. Ma wrażenie, jakby wpaść

do przerębla i tonął w lodowatej wodzie, ale Judy tego nie dostrzega.

- Muszę się napić kawy - mamrocze i rusza dalej.

Dyżurka oddalona jest o kilka kroków. Luke natychmiast dostrzega, że drzwi są lekko uchylone, a w środku panuje mrok. Otwiera je nieznacznie i widzi puste wgłębienie w kanapie, gdzie przedtem leżał policjant.

Krew napływa mu do uszu, gardło się ścisza. Nie potrafi oddychać. To gorsze niż tonięcie, to tak, jakby ktoś go dusił.

Kurtka wisi na haku na ścianie i czeka, by włożył dłoń do kieszeni. Szczęk mówi mu, że kluczyki są dokładnie tam, gdzie się spodziewa.

W drodze powrotnej stawia kroki energicznie i zdecydowanie. Z głową pochyloną, rękoma wepchniętymi głęboko w kieszenie laboratoryjnego fartucha, postanawia, że nie zejdzie schodami służbowymi, są zbyt odległe, i maszeruje prosto do wejścia dla karettek. Judy podnosi głowę, gdy Luke przechodzi obok dyżurki.

- Zdawało mi się, że idziesz po kawę.

- Zostawiłem portfel w samochodzie - rzuca Luke przez ramię. Jest prawie w progu.

- Obudziłeś Claya?

- Już wstał. - Luke ramieniem otwiera drzwi. Na drugim końcu korytarza pojawia się zastępca szeryfa, jakby zmaterializował się na dźwięk swego imienia. Widzi Luke'a i podnosi rękę gestem, którym zatrzymuje się autobus. Clay chce z nim porozmawiać, biegnie ku niemu, macha... *zatrzymaj się, Luke*. Ale Luke nie zwraca na niego uwagi. Z całej siły biodrem zatrząskuje za sobą drzwi.

Mróz uderza go w twarz i sprowadza na ziemię. *Co ja robię? To szpital, w którym pracuję. Znam tu każdą płytkę, plastikowe krzeselko i łóżko tak dobrze, jak wewnątrz własnego domu. Co ja wyprawiam, odrzucając całe swoje życie, by pomóc w ucieczce*

kobiecie podejrzanej o morderstwo? Całkiem straciłem rozum? Mimo to idzie dalej, popychany dziwnym mrowieniem w żyłach. Pośpiesznie przemierza parking, rozgorączkowany i chwiejny niczym człowiek usiłujący zachować pozycję pionową podczas schodzenia ze stromego zbocza, i zdaje sobie sprawę, że wygląda jak wariat.

Luke niespokojnie patrzy na ciężarówkę, ale dziewczyny nie ma, nigdzie nie widać charakterystycznej zieleni szpitalnego fartucha. Na początku poddaje się panice - jak mógł być taki głupi, żeby zostawić ją tutaj samą? Ale w jego piersiach zapala się nadzieja, gdy sobie uświadamia, że jeśli aresztantka zniknęła, to razem z nią zniknęły jego troski.

W następnej sekundzie jest przy nim, drobna, eteryczna, anioł w szpitalnym fartuchu... A jemu serce skacze na jej widok.

Luke nieporadnie wkłada kluczyk do stacyjki, Lanore kuli się i odwraca wzrok, by nie pogłębiać jego zdenerwowania. Wreszcie silnik zaczyna warczeć, wóz wyjeżdża z parkingu, ostro skręca na drogę.

Pasażerka patrzy prosto przed siebie, jakby samo jej skupienie wystarczyło, by uchronić ich przed zdemaskowaniem.

- Wynajęłam domek myśliwski Dunratty'ego. Wiesz, gdzie to jest?

Luke nie wierzy własnym uszom.

- Myślisz, że to rozsądne tam jechać? Policja na pewno wie już, gdzie się zatrzymałaś. O tej porze roku nie mamy tu wielu obcych.

- Proszę, wpadnijmy tam. Jeśli coś będzie wyglądało podejrzanie, nie zatrzymamy się, ale tam są wszystkie moje rzeczy. Paszport, pieniądze, ubrania. Założę się, że nie masz nic, co by na mnie pasowało.

Jest drobniejsza od Tricii, ale wyższa niż dziewczynki.

- Ten zakład byś wygrała - przyznaje Luke. - Paszport?

- Mieszkam we Francji. - Lanore zwija się na siedzeniu jak kot, który próbuje zachować ciepło.

Nagle własne dłonie na kierownicy wydają się Luke'owi niezwykle ogromne i niezgrabne. Napięcie wywołuje uczucie przebywania poza ciałem i musi się skupiać, żeby nie szarpnąć kierownicą i nie zjechać z drogi.

- Powinieneś zobaczyć mój dom w Paryżu. Jest jak muzeum, pełno w nim rzeczy, które zbierałam przez wiele, wiele lat. Chcesz tam pojechać? - Jej głos, słodki i rozgrzewający, działa niczym alkohol, zaproszenie brzmi intrygująco.

Luke zastanawia się, czy Lanore mówi prawdę. Kto nie chciałby pojechać do Paryża, zamieszkać w magicznym domu? Czuje, jak zdenerwowanie się rozplywa, kręgosłup i kark rozluźniają.

W lasach dużo jest myśliwskich domków jak ten Dunratty'ego. Luke nigdy w żadnym nie mieszkał, ale pamięta, że w dzieciństwie widział wnętrza kilku, choć nie potrafi sobie przypomnieć, z jakiej to było okazji. To tanie domki z lat pięćdziesiątych, zbite ze sklejki, umeblowane sprzętami z drugiej ręki i pleśnią, tandetnym linoleum i mysimi odchodami. Dziewczyna prowadzi Luke'a do ostatniego domku przy zwirowym podejździe Dunratty'ego. Panuje w nim ciemność. Lanore wyciąga rękę i mówi:

- Daj mi kartę kredytową, spróbuję otworzyć drzwi.

Kiedy wchodzi do środka, zaciągają zasłony i Lanore zapala światło. W domku jest chłodno. Rzeczy osobiste leżą rozrzucone, jakby mieszkańców nocą zmuszono do uciezki. Są tu dwa łóżka, ale tylko w jednym ktoś spał, pogniecione prześcieradła i poduszki wyglądają zmysłowo i jednoznacznie. Na chwiejnym stoliku, niegdyś stanowiącym część kuchenki, stoi laptop z podłączoną cyfrową

kamerą. Na kredensie zostały otwarte butelki z winem, na dwóch kieliszkach widać odciski palców i ust.

Dwie otwarte torby stoją na podłodze. Lanore kuca przy jednej i wrzuca do niej różne przedmioty, w tym laptopa z kamerą.

Zdenerwowany Luke szczęka kluczami.

Dziewczyna zamyka torbę, prostuje się i pochyla nad drugą torbą. Wyciąga z niej naręczce męskich ubrań i przyciska do twarzy, wciągając głęboko powietrze.

- Okay. Mogę iść.

Kiedy wracają podjazdem obok recepcji (z całą pewnością zamkniętej o tej wczesnej godzinie, Dunratty junior wciąż śpi w pokoju na piętrze), Luke'owi się wydaje, że zasłony w czerwonej kratę się poruszają, jakby ktoś przez nie wyglądał. Wyobraża sobie Dunratty'ego w szlafroku, z kubkiem kawy w dłoni, który słysząc odgłos opon na żwirze, podchodzi do okna; ciekawe, czy rozpozna pickapa? Daj spokój, mówi sobie Luke, to tylko kot chodzi po parapecie. Nie ma sensu wymyślać problemów.

Jest nieco zakłopotany, kiedy dziewczyna przebiera się w samochodzie, ale zaraz przypomina sobie, że przecież widział ją nagą. Lanny rzuca fartuch na podłogę, wkłada džinsy i kaszmirowy sweter - tak luksusowego ciuszka jego żona nigdy nie miała.

- Masz paszport, Luke?

- Jasne, w domu.

- Jedźmy po niego.

- A co, polecimy do Paryża, tak po prostu?

- Dlaczego nie? Kupię bilety, za wszystko zapłacę. Pieniądze to nie problem.

- Myślę, że powinniśmy natychmiast pojechać do Kanady, zanim policja wyśle za tobą list gończy. Do granicy mamy piętnaście minut.

- Potrzebujesz paszportu, żeby przekroczyć granicę? Zmienili

prawo, prawda? - pyta dziewczyna z nutą paniki w głosie.

Luke mocniej zaciska dłonie na kierownicy.

- Nie wiem... Od jakiegoś czasu nie jeździłem za granicę...
Och, dobra, jedziemy do mnie, ale tylko na chwilę.

Dom stoi na środku otwartej przestrzeni jak dziecko zbyt głupie, by wiedzieć, że w taki mróz trzeba się schować pod dach. Pickup wspina się po bryłach błota, teraz zamarzniętych, zastygłych niby lukier na torcie.

Przez tylne drzwi wchodzi do smutnej, zniszczonej kuchni, w której nic nie zmieniano od pięćdziesięciu lat. Luke zapala górną lampę i stwierdza, że nie spowodowało to żadnej widocznej zmiany w natężeniu światła. Brudne kubki po kawie stoją na stole, pod stopami chrzszczą okruchy. Bałagan wprawia go w nadmierne zażenowanie.

- To był dom moich rodziców. Mieszkam tu od ich śmierci - wyjaśnia. - Nie podobał mi się pomysł oddania farmy w obce ręce, ale nie jestem w stanie prowadzić jej jak oni. Kilka miesięcy temu sprzedałem zwierzęta. Mam już chętnego na dzierżawę pól. Szkoda, żeby leżały ugiorem.

Lanore krąży po kuchni, przesuwa palcem po popękany blacie, po oparciu obitego winylem krzesła. Zatrzymuje się przed rysunkiem przymocowanym magnesem do lodówki - zrobiła go jedna z córek, kiedy chodziła do przedszkola. Rysunek przedstawia księżniczkę na kucyku. W kucyku można od biedy rozpoznać podobne do konia zwierzę, za to księżniczka jest jak żywa, ma gęste blond włosy, niebieskie oczy, długą różową suknię. Gdyby nie ta długa suknia, to mogłaby być Lanny.

- Kto to narysował? Mieszkasz z dziećmi?

- Już nie.

- Wyprowadziły się z żoną? - domyśliła się Lanny. - Nikt nie dba o dom?

Luke wzrusza ramionami.

- Nie masz powodu, by tu zostać - konstatuje Lanore rzeczowo.

- Ale wciąż mam zobowiązania - odpowiada Luke, bo przyzwyczał się do myślenia w takich kategoriach o swoim życiu. Jest farma, której w ogólnej złej sytuacji gospodarczej nie będzie w stanie sprzedać. Jest jego praktyka, pacjentami są głównie ludzie starsi, bo dzieci i wnukowie wyprowadzili się z miasta, ale ich liczba z miesiąca na miesiąc się kurczy.

Luke wchodzi na piętro do sypialni i w nocnym stoliku odszukuje paszport. Wprowadził się do sypialni rodziców po odejściu żony, bo łóżko, w którym sypiał jako dziecko, było też łóżkiem małżeńskim, i nie chciał dłużej z niego korzystać.

Otwiera paszport. Nigdy go nie używał. Odkąd pracuje w szpitalu, nie ma czasu na podróże, a wcześniej jeździł tylko po terenie Stanów. Nie zdołał odwiedzić ani jednego z odległych zakątków świata, o których marzył jako nastolatek, gdy spędzał długie godziny na traktorze. Pusty paszport wprawia go w lekkie zawstydzenie, bo Lanore była w tych wszystkich egzotycznych miejscach. Jego życie miało się inaczej ułożyć.

Gdy schodzi na dół, Lanore w salonie ogląda rodzinne zdjęcia ustawione na niskiej biblioteczce. Odkąd Luke sięga pamięcią, matka trzymała tam fotografie, więc nie miał serca ich usunąć, choć tylko ona wiedziała, kogo przedstawiają i w jakim stopniu ci ludzie są z nim spokrewnieni. Ze starych czarno-białych fotografii patrzą na niego poważni, dawno umarli Skandynawowie, kompletnie dla niego obcy. Na jedynym kolorowym zdjęciu w grubej drewnianej ramce kobieta i jej dwie córki siedzą pomiędzy krewnymi, jakby tu było ich miejsce.

Luke gasi światła i nastawia termostat na niską temperaturę, żeby rury nie zamarzyły. Sprawdza zamki w drzwiach, chociaż sam

nie wie, dlaczego jest taki przezorny. Zamierza wrócić, jak tylko przewiezie dziewczynę przez granicę, mimo to gdy kładzie dłoń na kontakcie, gardło mu się ściska. Odnosi wrażenie, jakby się żegnał - ma nadzieję, że pewnego dnia to nastąpi, wyobraża sobie tę chwilę i zamierza zająć się tym na wiosnę - ale teraz pomaga w kłopotach dziewczynie, która poza nim nie ma nikogo. A on dzisiaj tu wróci.

- Gotowa? - pyta Luke, po raz kolejny dzwoniąc kluczami, ale Lanny z biblioteczki wyjmuje książkę niewiele większą od jej dłoni. Obwoluta dawno się rozpadła, rogi twardej okładki są zniszczone, spod wystrzępionej żółtej tkaniny niczym pączek wyłania się tektura. Mija minuta, nim Luke ją poznaje: w dzieciństwie to była jego ulubiona lektura i pewnie dlatego matka ją zachowała. „Nefrytowa pagoda”, klasyczna opowieść dla dzieci w stylu Kiplinga, choć nie przez niego napisana, o Brytyjczyku mieszkającym w egzotycznym kraju, chińskim księciu i europejskiej księżniczce (albo przynajmniej białej dziewczynie), ozdobiona ilustracjami wykonanymi w tuszu przez autora. Lanny przerzuca stronicę.

- Znasz tę książkę? - pyta Luke. - Uwielbiałem ją... Widzisz, jaka jest zniszczona, oprawa prawie całkiem popękła. Nie wydaje mi się, żeby można było ją dostać.

Lanore podaje mu książkę i wskazuje na ilustrację. I niech go piorun trafi, jeśli to nie ona. Ma na sobie suknię z epoki, włosy upięte jak dziewczyny Gibsona, ale to jest jej twarz w kształcie serca i nieco wyniosłe, rozbawione oczy.

- Poznałam Olivera, autora, kiedy oboje mieszkaliśmy w Hongkongu. Był brytyjskim urzędnikiem z reputacją pijaka, błagał żony oficerów, by pozowały mu do małego przedsięwzięcia, jak je nazywał. Tylko ja się zgodziłam, pozostałe myślały, że ta propozycja

jest skandaliczna, że z jego strony to pretekst, żeby zwabić nas do mieszkania.

Luke czuje drżenie w żołądku. Ogarnia go zazdrość. Dziewczyna z ilustracji stoi przed nim żywa, a to ucieleśnienie niematerialnego rysunku jest jak najdziwniejszy rodzaj magii. Przez sekundę się boi, że zemdleje.

Zaraz jednak Lanore podchodzi do niego i mówi:

- Jestem gotowa. Jedźmy już.

ROZDZIAŁ 11

St. Andrew, rok 1816

Zaspokoiliam swoje najgłębsze pragnienie, by Jonathan wziął mnie w ramiona jako kobietę i kochankę, ale nic ponadto. Żyłam w niepewności, ponieważ od tamtego ekscytującego, prze-rażającego popołudnia nie byłam w stanie się z nim skontaktować.

Przeszkadzała mi w tym zima.

W naszej części Maine zimy nie można było lekceważyć. Zamiemie przychodziły jedna po drugiej, przez dzień, dwa potrafiło napadać tyle śniegu, że człowiek zapadał się po pas, a wszelka podróż była wykluczona. Całą uwagę i energię kierowaliśmy na zachowanie ciepła, odżywianie i opiekę nad zwierzętami. Każda zwykła praca poza domem wymagała brnięcia przez śnieg, perspektywa wyczerpująca. Kiedy ścieżki do stodoły i na pastwisko zostały oczyszczone, w lodowej pokrywie na strumieniu wyrąbano otwór, by mieć dostęp do wody, a zwierzęta przywykły do radzenia sobie z zaspami na polu i wszystko wskazywało na to, że życie może wrócić do normy (a przynajmniej do codziennej rutyny), kolejna zamięć rozpętywała się nad doliną.

Siedziałam przy oknie i wpatrywałam się w szlak, na którym świeży śnieg wznosił się na wysokość ponad pół metra. Modliłam się żarliwie, by osiadł i na tyle się ubił, że moglibyśmy pojechać na niedzielne nabożeństwo, bo dla mnie to była jedyna szansa spotkania z Jonathanem. Potrzebowałam z jego strony stłumienia moich obaw, zapewnienia, że nie uprawiał seksu ze mną tylko dlatego, że nie mógł mieć Sophii, ale dlatego, że mnie pożądał. Może kochał.

Wreszcie po kilku tygodniach tego uwięzienia drogi stały się przejezdne i ojciec oznajmił, że w niedzielę pojedziemy do miasta. W każdej innej porze roku taką wiadomość przyjęlibyśmy ze spokojem, jeśli nie obojętnością, tym razem jednak można by pomyśleć, że ojciec zabiera nas na bal. Maeve, Glynnis i ja przez kilka dni gorączkowo się zastanawiałyśmy nad strojem i fryzurą. Nawet Nevin sprawiał wrażenie, że nie może się doczekać niedzieli, by uciec z naszego małego domu.

Ojciec i ja odwieźliśmy siostry, brata i matkę do katolickiego kościoła, a sami ruszyliśmy do zboru kongregacjonalistów. Kieran zdawał sobie sprawę, dlaczego chodzę z nim, musiał więc się domyślać powodu mojego większego niż zwykle zniecierpliwienia, gdy zbliżaliśmy się do zboru. Po nabożeństwie, jako że warunki na dworze na to nie pozwalały, wierni pozostali w budynku, tłocząc się w przejściach, na korytarzach i schodach. Powietrze dźwięczało od wesołego gwaru ludzi, którzy zbyt długo skazani byli na towarzystwo swoich rodzin i teraz pragnęli porozmawiać z kimś innym.

Przeciskałam się przez tłum, szukając Jonathana. Urywki sąsiedzkich pogawędek - jak ponury to był czas, jak nudny, jak wszystkim niedobrze się robi od suszonej fasoli w melasie i solonej wieprzowiny - odbijały się ode mnie niczym kulki gradu. Przez wąskie okno dojrzałam dziedziniec i grób Sophii. Niedawno

przekopana ziemia osiadła i grób się zapadł, pokrywająca go warstwa śniegu znajdowała się o dobre sześć, może osiem centymetrów niżej niż na sąsiednich mogiłach, przez co przyciągał wzrok patrzącego.

Wreszcie zobaczyłam Jonathana, który także wędrował wśród ludzi, sprawiając wrażenie, jakby szukał mnie. Spotkaliśmy się u stóp schodów prowadzących na balkon. Dookoła otaczali nas sąsiedzi, nie mogliśmy więc swobodnie rozmawiać. Ktoś z całą pewnością by usłyszał.

- Jak uroczo dzisiaj wyglądasz, Lanny - powiedział uprzejmie Jonathan. Nieszkodliwa uwaga, tak mogłaby pomyśleć osoba postronna, ale ten Jonathan, którego znałam od dzieciństwa, nigdy nie komentował mojego wyglądu, tak samo jak nie komentował wyglądu innego chłopca.

Nie mogłam odwzajemnić komplementu, mogłam się tylko zarumienić.

Jonathan pochylił się i szepnął mi do ucha:

- Ostatnie trzy tygodnie były nie do zniesienia. Dzisiaj przed zachodem słońca wyjdź do stodoły, a ja postaram się tam z tobą spotkać.

W tych okolicznościach naturalnie nie mogłam o nic go pytać ani szukać sposobów na uspokojenie mojego pełnego wątpliwości serca. A szczerze mówiąc, nie sądzę, by cokolwiek, co mógł mi powiedzieć, powstrzymało mnie od pójścia do niego. Płonęłam z pragnienia bycia z nim.

Tamtego popołudnia moje obawy zostały rozwiane. Przez godzinę czułam, że stanowią centrum jego świata, a niczego więcej nie chciałam. Cała jego istota wyrażała się w każdym dotknięciu, począwszy od sposobu, w jaki niezgrabnie rozwiązywał tasiemki mojego ubrania, skończywszy na palcach delikatnie wplecionych w moje włosy i pocałunkach składanych na moim nagim, pokrytym gęsią skórką ciele. Potem, przytuleni do siebie, wracaliśmy

do rzeczywistości i jego oplatające mnie ramiona były prawdziwą rozkoszą, bo przyciskał mnie tak, jakby on także nie chciał, by cokolwiek nas rozdzieliło. Żadne szczęście nie da się porównać ze szczęściem urzeczywistnionego marzenia. Byłam tam, gdzie pragnęłam być, ale zdawałam sobie sprawę z mijających sekund i wiedziałam, że rodzina będzie się zastanawiać, gdzie jestem. Niechętnie uwolniłam się z jego objęć.

- Nie mogę zostać. Muszę wracać... chociaż czasami bardzo bym chciała mieć inne miejsce... miejsce, do którego mogłabym pójść zamiast do domu.

Zamierzałam przez to powiedzieć tylko tyle, że żałuję, iż muszę opuścić jego słodkie towarzystwo, ale mimowolnie wyznałam prawdę, którą tłumiliłam na dnie serca. Poczułam wstyd, do tego sekretnego marzenia nie powinnam się głośno przyznawać, ale nie mogłam cofnąć swoich słów. Jonathan spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Dlaczego, Lanny?

- No cóż, czasami mi się wydaje, że w mojej rodzinie nie ma dla mnie miejsca. - Czułam się głupio, zmuszona wyjaśniać to jemu, może jednemu człowiekowi w miasteczku, który zawsze otoczony był miłością i nigdy nie miał wrażenia, że nie zasługuje na szczęście. - Nevin to jedyny syn, więc dla rodziców jest najcenniejszy. Pewnego dnia odziedziczy farmę. Moje siostry... są takie ładne, wszyscy w miasteczku podziwiają ich urodę. Mają dobre perspektywy na przyszłość. Ale ja... - Nie potrafiłam nawet Jonathanowi zwierzyć się z najgłębszej obawy: że moje szczęście dla nikogo nie jest ważne, że ja nie jestem ważna dla nikogo, nawet dla rodziców.

Pociągnął mnie na siano i przytulił mocno, choć chciałam się odsunąć, nie od niego, ale od mojego wstydu.

- Nie mogę znieść, jak tak mówisz, Lanny... ja ciebie wybrałam, prawda? Jesteś jedyną osobą, z którą czuję się dobrze,

jedyną, przed którą mogę się otworzyć. Gdybym mógł, spędzałbym cały czas w twoim towarzystwie. Ojciec, matka, drwale, brygadzysta... Zrezygnowałbym ze wszystkich, żeby być z tobą, tylko z tobą, na zawsze.

Chłonełam jego cudowne zapewnienia, przebiły się przez mój wstyd i zaszumiały mi w głowie jak solidny łyk mocnej whisky. Nie zrozum tego źle: w tamtym czasie Jonathan wierzył, że kocha mnie z całego serca, a ja nie wątpiłam w jego szczerość. Teraz, po wielu trudnych nauczках, których udzieliło mi życie, rozumiem, jacy byliśmy niemądrzy, mówiąc sobie takie niebezpieczne słowa! Aroganccy i naiwni, myśleliśmy, że to, co czujemy, jest miłością. Miłość bywa tanim uczuciem, dawanym lekką ręką, choć wtedy tak nie sądziłam. Patrząc w przeszłość, wiem, że wypełnialiśmy tylko pustkę w naszych duszach, tak jak piasek niesiony przytłumem zasypuje szczeliny w kamienistym brzegu. My - a może tylko ja - założyliśmy na swoje potrzeby opatrunek z doznań, które uznaliśmy za miłość. W końcu jednak przychodzi odpływ i znowu wszystko zabiera.

Jonathan w żaden sposób nie mógł dać mi tego, co obiecywał: nie mógł zrezygnować z rodziny i swoich obowiązków. Nie musiał mi mówić, że jego rodzice nigdy się nie zgodzą, by pojął mnie za żonę. Ale w tamto późne popołudnie w lodowatej stodole miałam jego uczucie i ze wszystkich sił pragnęłam je zatrzymać. Oboje wyznaliśmy sobie miłość, a to był dowód, że jesteśmy sobie przeznaczeni, że w boskim wszechświecie złączyła nas miłość.

Przez następne dwa miesiące spotkaliśmy się tylko dwa razy, smutny wynik dla kochanków. Przy każdej z tych okazji rozmawialiśmy niewiele (poza jego zapewnieniami, jak bardzo za mną tęsknił) i zaczynaliśmy się kochać, przy czym nasz pośpiech wynikał ze strachu, że ktoś nas przyłapie, i z zimna. Obnażaliśmy się

na tyle, na ile starczyło nam odwagi, a potem ustami i gołymi dłońmi pieściliśmy się, ściskali i całowali. Za każdym razem robiliśmy to tak, jakbyśmy więcej nie mieli się spotkać - może intuicyjnie odgadywaliśmy czyhającą za progiem nieszczęśliwą przyszłość, odliczając sekundy do chwili, gdy weźmie nas w przerazające objęcia. Równie pośpiesznie się rozstawaliśmy, zapach Jonathana wydobywał się spod mojej sukni, spomiędzy nóg spływała wilgoć, policzki płonęły, a ja liczyłam, że moi bliscy wezmą to za skutek mrozu.

Ale też po każdym rozstaniu zaczynały dręczyć mnie wątpliwości. Miałam miłość Jonathana - na razie - co to jednak oznacza? Znałam jego przeszłość lepiej niż ktokolwiek inny. Sopię także kochał, a przecież sprawiłam, że o niej zapomniał, w każdym razie tak z pozoru to wyglądało. Mogłam udawać, że będzie mi wierny, z własnej woli zamknąć oczy na rzeczywistość, jak czyni wiele kobiet, i mieć nadzieję, że z czasem ta niepewność minie. Moją ślepotę wspierało uparte przekonanie, że miłość przychodzi z rozkazu Boga, nieważne, jak jest trudna, nieprawdopodobna czy bolesna, człowiek tej więzi zerwać nie jest w stanie. Musiałam wierzyć, że moja miłość zwycięży każdą niedoskonałość miłości Jonathana; w końcu miłość to wiara, a każdą wiarę poddaje się próbie.

Teraz wiem, że tylko głupiec szuka gwarancji w miłości. Ponieważ miłość tak wiele od nas wymaga, w rewanżu usiłujemy zdobyć zapewnienie, że będzie trwała. Żądamy stałości, któż jednak może składać takie obietnice? Powinnam była znaleźć szczęście w miłości przyjacielskiej, niewzruszonej, którą Jonathan żywił do mnie od dzieciństwa. Ta miłość była wieczna. Ja natomiast starałam się zamienić jego uczucia w coś, czym nie były, i przez to zniszczyłam piękno, które do mnie należało.

Czasami najgorsze wieści przychodzą pod postacią nieobecności. Przyjaciel przestaje nas odwiedzać i tym samym zrywa przyjaźń. Oczekiwany list nie nadchodzi, a po jakimś czasie otrzymujemy wiadomość o przedwczesnej śmierci. W moim wypadku tamtej zimy był to brak miesięcznych krwawień. Jeden miesiąc, drugi.

Modliłam się, by przyczyna okazała się inna. Przeklinałam ducha Sophii, przekonana, że w taki sposób się na mnie mści. Raz sprowokowany, duch Sophii nie dał się jednak powstrzymać.

Sophia zaczęła nawiedzać moje sny. W niektórych migąta mi w tłumie jej rozgniewana i oskarżycielska twarz. W jednym, często się powtarzającym, byłam z Jonathanem, lecz on nagle mnie opuszczał, odwracał się, jakby wypełniając czyjś milczący rozkaz, i ignorował moje błagania. Potem widziałam, jak w oddali idzie z Sophią, trzymając ją za rękę. Budziłam się zraniona, w poczuciu, że mnie opuszczono.

Najgorszy ze wszystkich sprawiał, że zrywałam się gwałtownie niczym stający dęba koń i musiałam tłumić okrzyki albo ryzykować, że obudzę siostry. Tamte rojenia mogły być rezultatem wyrzutów sumienia, ten jednak musiał być przesłaniem od martwej dziewczyny. We śnie szłam główną drogą przez pustą wieś, porywy wiatru uderzały mnie w plecy. Nigdzie nie widać żywej duszy, nie słysząc codziennych odgłosów rąbania drewna czy stuku kowalskiego młota o kowadło. Wchodziłam do okrytego śniegiem lasu i podążałam wzdłuż na wpół zamarznętej rzeki Allagasti. Zatrzymywałam się w miejscu, gdzie koryto się zwęża, i na drugim brzegu widziałam Sophię. To jest Sophia, która popełniła samobójstwo, sina, z włosami zlepionymi w strąki, w ciężkim od wody ubraniu. To zapomniana kochanka, gnijąca w grobie, której kosztem zdobyłam dla siebie szczęście. Przez chwilę patrzy na

mnie martwymi oczyma, a potem wskazuje na rzekę. Nie wypowiada żadnych słów, ale ja wiem, co mi mówi: skocz do rzeki, zakończ życie własne i dziecka.

Nie ośmieliłam się nikomu z bliskich powiedzieć o swoim stanie, nawet siostrze, z którymi zwykle byłam blisko. Matka raz czy dwa zauważyła, że jestem ponura i pogrążona w myślach, choć zażartowała przy tym, że sądząc z mojego zachowania, pewnie miesięczne przekleństwo przyczynia mi cierpienie. Gdybym tylko mogła z nią porozmawiać o swojej sytuacji, ale cóż, niestety, uważałam, że winna jestem lojalność Jonathanowi. Nie mogłam bez jego zgody ujawnić nikomu naszego związku.

Wyczekiwałam na niedzielę, by się z nim spotkać, tylko że znowu wtrąciła się natura. Minęło kilka tygodni, nim szlaki stały się przejezdne, a wtedy czułam już presję czasu: nie będę w stanie długo zachować tajemnicy. W każdej minucie jawy modliłam się do Boga, by szybko dał mi okazję do rozmowy z ukochanym.

Bóg musiał wysłuchać moich prośb, w końcu bowiem wyszło słońce i świeciło przez kilka dni, roztapiając większość ostatniego śniegu. W niedzielę mogliśmy wreszcie zaprząć konie, otulić się w płaszcze, szale, rękawice i koce i, ciasno usadowieni na wozie, pojechać do miasta.

W zborze miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Bóg naturalnie wiedział o moim stanie, ale wyobrażałam sobie, że wie o nim całe miasteczko. Bałam się, że brzuch zaczął mi rosnać i oczy wszystkich zwrócone są na wałek pod moją spódnicą, choć przecież z całą pewnością było na to za wcześnie, wątpliwe zresztą, by pod tymi wszystkimi warstwami ubrania ktoś zauważył coś podejrzanego. Trzymałam się blisko ojca i kryłam za filarem przez całe nabożeństwo, żałując, że nie jestem niewidzialna, i czekając na okazję, by porozmawiać z Jonathanem na osobności.

Gdy pastor Gilbert zakończył nabożeństwo, zbiegłam po schodach, nie czekając na ojca. Stałam na ostatnim stopniu i wypatrywałam Jonathana. Szybko się pojawił i przez tłum ruszył w moją stronę. Bez słowa ujęłam go mocno za rękę i pociągnęłam za schody, gdzie mogliśmy liczyć na większą prywatność.

Moje śmiałe posunięcie wytrąciło go z równowagi i zerknął przez ramię, by się upewnić, że nikt nie zauważył, jak wymykamy się tylko we dwoje.

- Dobry Boże, Lanny, jeśli myślisz, że tu cię pocałuję...

- Posłuchaj mnie. Spodziewam się dziecka - wyrzuciłam z siebie.

Wypuścił moją dłoń i na jego przystojnej twarzy jedna po drugiej odmalowały się najróżniejsze emocje: szok, zaskoczenie, zrozumienie. Zbladł jak ściana. Chociaż nie spodziewałam się, że moja nowina go ucieszy, jego milczenie mnie przeraziło.

- Jonathanie, mów do mnie. Nie wiem, co począć. - Szarpnęłam go za rękę.

Spojrzał na mnie z ukosa, odchrząknął.

- Droga Lanny, brak mi słów...

- Nie to dziewczyna chce słyszeć w takiej chwili! - Do oczu napływały mi łzy. - Powiedz, że nie jestem sama, powiedz, że mnie nie opuścisz. Powiedz, że razem zdecydujemy, co robić dalej.

Po chwili sztywno, z ociąganiem rzekł:

- Nie jesteś sama.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo się bałam, nie mogąc z nikim porozmawiać. Wiedziałam, że tobie muszę powiedzieć pierwszemu, Jonathanie. Jestem ci to winna. - *Mów, mów, ponaglałam go w duchu, powiedz, że przed rodzicami przyznasz się do udziału w moim upadku, że postąpisz słusznie. Powiedz, że*

wciąż mnie kochasz. Że się ze mną ożenisz. Po policzkach płynęły mi łzy. Wstrzymałam oddech, niemal mdlejąc z pragnienia, by to wszystko od niego usłyszeć.

Jonathan spuścił wzrok.

- Lanny, muszę ci o czymś powiedzieć, ale uwierz mi, wolałbym umrzeć niż akurat teraz ci tę wiadomość przekazywać.

W głowie mi się zakręciło, przeszedł mnie dreszcz strachu.

- Cóż może być ważniejsze od tego, co przed chwilą ci powiedziałam...?

- Jestem zaręczony. Sprawę ustalono w tym tygodniu. Ojciec zaraz to ogłosi, ale ja musiałem cię znaleźć i powiedzieć ci osobiście. Nie chciałem, żebyś się dowiedziała od kogoś innego... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy sobie uświadomił, jak mało jego delikatność teraz dla mnie znaczy.

Kiedyśmy dorastali, czasami lekko rozmawialiśmy o tym, że Jonathan nie jest z nikim zaręczony. W miasteczku tak małym jak St. Andrew kwestia zaręczyn była sprawą skomplikowaną. Najlepsze partie wybierano wcześniej, małżeństwa aranżowano pomiędzy dziećmi zaledwie sześcioletnimi, więc jeśli rodzice się nie pośpieszyli, mogli nie znaleźć dobrej kandydatki czy kandydata dla swego potomstwa. Można by pomyśleć, że chłopiec z majątkiem i pozycją Jonathana będzie atrakcyjnym kawalerem dla rodziców każdej dziewczyny z miasteczka. I rzeczywiście był, ale nikogo mu nie swatano, tak samo zresztą jak jego siostrom. Jonathan mówił, że wynikało to z aspiracji towarzyskich jego matki: uważała, że w miasteczku nie ma rodziny dość dobrej dla jej dzieci, znajdzie dla nich współmałżonków wśród biznesmenów, z którymi Charles robi interesy, albo poprzez swoją rodzinę w Bostonie. Przez lata podejmowano różne próby, jedne bardziej

obiecujące niż inne, ale wszystkie jakoś się rozmywały i Jonathan zbliżał się do dwudziestych urodzin bez narzeczonej u boku.

Miałam wrażenie, jakby rozcięto mi brzuch rzeźnickim nożem.

- Z kim?

Pokręcił głową.

- To nie jest pora na rozmowę o tych sprawach. Teraz powinniśmy się zająć twoim stanem...

- Z kim? Musisz mi powiedzieć! - krzyknęłam. W jego oczach malowało się wahanie.

- Z jedną z córek McDougala. Z Evangeline.

Chociaż moje siostry przyjaźniły się z dziewczynami McDougalów, nie potrafiłam sobie przypomnieć, która z nich Evangeline, tyle ich było. McDougalowie mieli siedem córek, całe stadko bardzo ładnych na twardy szkocki sposób dziewcząt, wysokich i mocno zbudowanych, z rudymi kręconymi włosami i cerą latem piegowatą jak u pstrąga. Oczywiście wyobraźni widziałam panią McDougal, praktyczną i dobroduszną, z przenikliwymi oczami. Była mądrzejsza od męża, bo całe miasteczko wiedziało, że to dzięki niej gospodarstwo przynosi niezły dochód i pozycja rodziny nabiera znaczenia. Próbowałam zobaczyć Jonathana z kobietą w rodzaju pani McDougal przy boku, i to sprawiło, że miałam ochotę zwinąć się w kłębek u jego stóp.

- Zamierzasz się z nią ożenić? - zapytałam.

- Lanny, nie wiem, co powiedzieć... Nie sądzę, bym... - Wziął mnie za rękę i pociągnął głębiej w ciemny kąt. - Kontrakt z McDougalami podpisano, zaraz zostanie ogłoszona nowina o zaręczynach. Nie wiem, jak moi rodzice podejną do naszej... sytuacji.

Mogłabym się z nim sprzeczać, ale wiedziałam, że to daremne. Małżeństwo było transakcją mającą na celu polepszenie dobrobytu

obu rodzin. Okazji do zawarcia związku z rodziną taką jak St. Andrew nie można było odrzucić, nie z powodu tak błahego jak nieślubna ciąża.

- Mówię to z bólem, ale do naszego małżeństwa wiele byłoby obiekcji - powiedział Jonathan z całą łagodnością, na jaką było go stać.

Pokręciłam ze znużeniem głową: nie musiał tego mówić. Mojego ojca sąsiedzi szanowali za umiejętność spokojnego i trafnego osądu, ale rodzina McIlvrae nie miała wiele do zaoferowania potencjalnemu kandydatowi na męża, byliśmy bowiem biedni, a połowa z nas praktykowała katolicyzm.

Po chwili zapytałam przez zduszone gardło:

- A Evangeline, czy to ta młodsza od Maureen?

- Ona jest najmłodsza - odparł Jonathan. Po krótkim wahaniu dodał: - Ma czternaście lat.

Najmłodsza: przypominałam sobie kilkulatkę przyprowadzaną przez siostry, gdy przychodziły do naszego domu wyszywać z Maeve i Glynnis na tamborkach. Była małą różowo-białą istotką, śliczną laleczką z miękkimi złotymi lokami i nieznośną skłonnością do płaczu.

- Więc zaręczyny zawarto, ale skoro ma czternaście lat, datę ślubu trzeba odłożyć daleko w przyszłość.

Jonathan pokręcił głową.

- Stary Charles chce, żebyśmy pobrali się jesienią, jeśli to możliwe. Na pewno do końca roku.

Wyraziłam na głos prawdę oczywistą.

- Bardzo mu zależy na dziedzicu.

Jonathan objął mnie, a ja zapragnęłam na zawsze przywrzeć do tej nagłej siły i ciepła.

- Powiedz mi, Lanny, co, według ciebie, mamy zrobić? Powiedz, a ja dołożę wszelkich starań, by spełnić twoje życzenie. Chcesz, żebym poprosił rodziców o zwolnienie mnie z tego małżeńskiego kontraktu?

Poczułam lodowaty smutek. Powiedział to, co chciałam usłyszeć, ale widziałam wyraźnie, że boi się mojej odpowiedzi. Choć nie miał ochoty żenić się z Evangeline, teraz gdy klamka zapadła, pogodził się z wolą rodziców. Nie chciał, bym przyjęła jego ofertę. Zresztą, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, i tak nic by z tego nie wyszło: jako kandydatka na żonę byłam nie do przyjęcia. Jego ojcu może i zależało na następcy, ale Ruth z pewnością domagałaby się, by następcę spłodzono w ślubnym łóżu, by narodzinom chłopca nie towarzyszył skandal. Rodzice Jonathana zażądają od syna, by poślubił Evangeline McDougal, a kiedy rozejdzie się wieść o mojej ciąży, będę zrujnowana.

Było inne wyjście. Czy nie tak powiedziałam Sophii kilka miesięcy temu?

Scisnęłam dłoń Jonathana.

- Mogłabym pójść do akuszerki.

Jego twarz na moment rozjaśniła się wdzięcznością.

- Jeśli tego chcesz.

- Znajdę... znajdę sposób na pójście do niej tak szybko, jak to możliwe.

- Pomogę ci pokryć koszty - odparł Jonathan, grzebiąc w kieszeni. Wcisnął mi w dłoń wielką monetę. Zrobiło mi się niedobrze i musiałam powstrzymać chęć, by go spoliczkować, ale wiedziałam, że powodem jest gniew. Przez sekundę wpatrywałam się w pieniądz, potem wsunęłam go do rękawiczki.

- Przykro mi - szepnął i pocałował mnie w czoło.

Wołano Jonathana, jego imię odbijało się echem od niskiej sali. Wysunął się z kąta, by odpowiedzieć na wezwanie, zanim ktoś nas razem zobaczy, a ja ukradkiem wróciłam na balkon, skąd mogłam widzieć, co się dzieje.

Rodzina Jonathana stała w przejściu obok ich ławki, tej najbliższej pulpitu, miejsca dla najbardziej szacownych obywateli

miasta. Charles stał na środku i z uniesionymi rękoma przygotowywał się do oświadczenia, ale wyglądał na bardziej zirytowanego niż zazwyczaj. Co prawda, wyglądał tak przez całą jesień i mówiono, że to skutek wyczerpania albo nadmiernej ilości wina (jeśli już, to mogła być kombinacja nadmiernej ilości wina i nadmiernych igraszek ze służącymi). Ale to było tak, jakby Charles nagle się postarzał, posiwiął, mięśnie mu zwiotczały. Łatwo się męczył, zasypiał w zborze w chwili, gdy pastor Gilbert otwierał Biblię. Wkrótce nie będzie miał sił na udział w zebraniach rady miasta i w zastępstwie pośle Jonathana. Nikt wówczas nie pomyślał, że Charles umiera. W końcu własnymi rękoma ulepił to miasto, był niezniszczalnym, odważnym pionierem i przenikliwym biznesmenem. Z perspektywy patrząc, domyślałam się, że przypuszczalnie naciskał na Jonathana, by ten się ożenił i zaczął płodzić następców, bo wyczuwał, że jego czas dobiega końca.

McDougalowie pośpieszyli przejściem, by dołączyć do Charlesa: rodzice jak spłoszone kaczki, za którymi wedle wieku podążały rzędem kaczęta. Siedem dziewcząt, niektóre ze starannie związanymi tasiemką warkoczami, inne z włosami rozwianymi, z rąbkami halki lub koronką wystającą spod sukni.

A na końcu szła najmłodsza Evangeline. Gardło mi się ścisnęło na jej widok, taka była piękna. Nie miała w sobie nic z krzepkiej wiejskiej dziewczyny. Wdzięczna i smukła, z rozwijającymi się dopiero piersiami i biodrami, z ustami jak u cherubina. Włosy, które lokami spływały jej na plecy, wciąż miała złote. Widać było wyraźnie, dlaczego Ruth wybrała Evangeline: była aniołem zesłanym na ziemię, niebiańską postacią, wartą uwagi jej najstarszego syna.

Mogłabym się rozplakać, zamiast tego jednak zagryzłam wargę i patrzyłam, jak Evangeline mija Jonathana, nieznacznie kiwając głową i ukradkiem zerkając na niego spod koronki czepek. A on, błądy jak ściana, odkłonił się jej.

Cała kongregacja widziała tę przelotną wymianę i w mgnieniu oka pojęła, o co chodzi.

- Czas najwyższy, żeby znaleźć mu żonę - mruknął ktoś za moimi plecami. - Może teraz przestanie uganiać się za dziewczętami jak pies w rui.

- A ja powiadam, że to skandal! Ta dziewczyna to jeszcze dziecko...

- Bądź cicho, jest młodsza od niego tylko o sześć lat, są u nas małżeństwa z o wiele większą różnicą wieku...

- Prawda, za kilka lat, kiedy dziewczyna skończy osiemnaście, dwadzieścia lat, to przestanie mieć znaczenie. Ale czternastolatka! Pomyśl o swojej córce, Sarabeth, chciałabyś, żeby wyszła za syna Charlesa St. Andrew?

- Wielkie nieba, nie!

Na dole pozostałe siostry McDougal uformowały luźny krąg wokół Jonathana i swoich rodziców, Evangeline tymczasem stała nieśmiało krok za ojcem. *To nie jest pora na płochliwość*, pomyślałam, wyciągając szyję, by usłyszeć każde wypowiedziane na dole słowo. *Wychodzisz za mąż. Ten przystojny mężczyzna zostanie twoim mężem, co noc będzie cię zabierał do swojego łóżka. Ale trudno go do siebie przywiązać, musisz udowodnić, że dorastasz do wyzwania. Stań obok niego.* W końcu, po licznych napomnieniach rodziców, Evangeline niezgrabnie wyłoniła się zza pleców ojca, jak świeżo narodzone źrebki, próbujące stanąć na nogi. Dopiero kiedy stanęli obok siebie, ta prawda do mnie dotarła: ona rzeczywiście jest jeszcze dzieckiem. Jonathan górował nad nią, wyższy i potężniejszy. Wyobraziłam sobie, jak leżą razem w łóżku, i wydało mi się, że mógłby ją zmiażdżyć. Była mała i drżała jak liść, gdy się ku niej zwracał.

Wziął ją za rękę i postąpił bliżej. Było coś dwornego w tym geście, niemal opiekuńczego. Potem jednak Jonathan pochylił się

i pocałował ją. To nie był pocałunek, którego uczyłam się na pamięć, tak płomienny, że czułam go aż w palcach stóp. Ale całując Evangeline na oczach całej kongregacji, na moich oczach, Jonathan mówił, że przyjmuje kontrakt małżeński.

Wówczas to rozumiałam, co Sophia chciała mi w tamtym śnie powiedzieć. Nie próbowała mnie zmusić do samobójstwa w odwecie za to, co jej zrobiłam, ale ostrzegała, że czeka mnie życie pełne rozczarowań, jeśli nadal będę kochała Jonathana. Miłość zbyt silna może zmienić się w truciznę i przynieść wielkie nieszczęście. A wówczas jakie pozostaje lekarstwo? Czy można nakazać sercu, by zapomniało o swych pragnieniach? Czy można przestać kochać? Łatwiej się utopić, łatwiej skoczyć w toń - tak zdawała się mówić do mnie Sophia.

Wszystko to huczało mi w głowie, gdym patrzyła z balkonu, wbijając palce w miękki sosnowy filar, o który się opierałam. Znajdowałam się wysoko nad podłogą zboru, dostatecznie wysoko, by skoczyć. Nie zrobiłam tego, nawet w tamtej chwili myślałam o dziecku w swym łonie. Odwróciłam się i zbiegłam po schodach, uciekając od bolesnej sceny, która na moich oczach się rozgrywała.

ROZDZIAŁ 12

Ze zboru wracałam w milczeniu. Ojciec ciągle na mnie popatrywał. Byłam opatulona w pelerynę i szal, mimo to drżałam i zęby mi szczękały, choć zimowe słońce oblało nas swymi promieniami. Kieran także nic nie mówił, bez wątpienia przypisując moją powściągliwość i złe samopoczucie nowinie o zaręczynach Jonathana. Zatrzymaliśmy się przed dość zrujnowanym katolickim kościołem, gdzie zziębnięci, z sinymi ustami, czekali na nas matka, siostry i Nevin. Wsiadając na wóz, robili nam wyrzuty z powodu spóźnienia.

- Uciszcie się, mieliśmy powód - rzekł ojciec tonem, który oznaczał, że nie będzie tolerował dalszego marudzenia. - Po nabożeństwie ogłoszono zaręczyny Jonathana. - Moi bliscy wiadomość przyjęli z taktowną obojętnością, tylko siostry ukradkiem na mnie zerknęły, a brat syknął:

- Szkoda dziewczyny, kimkolwiek jest!

Kiedyśmy wrócili do domu, Nevin zajął się wyprzęganiem konia, ojciec poszedł do bydła, a siostry skorzystały ze słońca, by nakarmić kury i owce. Przygnębiona, podążyłam do domu za matką, która zaraz zaczęła się krzątać, przygotowując obiad. Nie zdejmując peleryny, usiadłam na krześle przy oknie.

Matka nie była głupia.

- Napijesz się herbaty, Lanny? - zawołała znad paleniska.

- Nie zależy mi - odparłam, starając się, by w mym głosie nie zabrzmiał smutek. Odwrócona plecami do niej, słuchałam szczęku, z którym zawiesiła ciężki garnek na haku nad ogniem, i plusku wody nalewanej z wiadra.

- Wiem, że jesteś smutna, Lanny, ale wiedziałaś, że ten dzień kiedyś nadejdzie - rzekła wreszcie stanowczo, choć łagodnie. - Wiedziałaś, że pewnego dnia panicz Jonathan się ożeni, a ty wyjdiesz za męża. Mówiliśmy ci, że taka bliska przyjaźń z chłopcem to nie jest dobra rzecz. Teraz rozumiesz, co mieliśmy na myśli.

Nie widziała mnie, pozwoliłam więc, by po moim policzku stoczyła się łza. Byłam słaba, jakby stratował mnie jeden z naszych byków. Musiałam do kogoś się zwrócić, w tamtej chwili czułam, że umrę, jeśli dłużej będę musiała zachowywać swój sekret. Pytanie brzmiało, komu w rodzinie mogę zaufać.

Matka, zawsze dla nas dobra, stawała w naszej obronie, gdy poczucie sprawiedliwości brało w niej górę, ponieważ nagany ojca zaczynały być nazbyt surowe. Była kobietą sześć razy brzemienną, dwoje dzieci pochowała na cmentarzu przy kościele, z pewnością zrozumie, co czuję, i ochroni mnie.

- Matko, muszę ci coś wyznać, ale strasznie się boję, jak na to zareagujecie, ty i ojciec. Obiecuj mi, proszę, że wciąż będziesz mnie kochała - rzekłam drżącym głosem.

Usłyszałam stłumiony okrzyk, potem szczęk łyżki spadającej na podłogę i wiedziałam, że nic więcej nie muszę dodawać. Na próżno udzielała mi rad, na próżno błagała i zrzędziła - jej najgorsza obawa stała się rzeczywistością.

Nevinowi ponownie kazano zaprząć konia i razem z siostrami pojechać do domu Dale'ów po drugiej stronie doliny, gdzie mieli czekać, aż ojciec po nich przyjdzie. Zostałam sama z rodzicami w mroczniejszym domu. Siedziałam na taborecie pośrodku pokoju, matka płakała cicho przy ogniu, ojciec krążył wokół mnie.

Nigdy dotąd nie widziałam go w takiej furii. Twarz miał pokrytą czerwonymi plamami, mocno zaciśnięte pięści pobiełały. Wierzę, iż jedyną rzeczą, która powstrzymała go od uderzenia mnie w twarz, były łzy płynące strumieniem po moich policzkach.

- Jak mogłaś to zrobić? - mówił z gniewem ojciec. - Jak mogłaś oddać się synowi Charlesa St. Andrew? Czyżbyś nie była lepsza od zwykłej dziwki? Co cię opętało?

- On mnie kocha, ojciec...

Tych słów nie zdzierzył, zamachnął się i mocno uderzył mnie w policzek. Nawet matka wstrzymała oddech z zaskoczenia. Szczękę przeszył mi promieniujący ból, choć w istocie oszołomiła mnie intensywność ojcowskiego gniewu.

- Tak ci powiedział? A ty jesteś taka głupia, żeś mu uwierzyła, Lanore?

- Mylisz się, on naprawdę mnie kocha...

Zamierzał uderzyć mnie po raz drugi, ale się powstrzymał.

- A nie sądzisz, że to samo mówił każdej dziewczynie, która chciała go słuchać, bo chodziło mu tylko o to, by uległa jego żądzy? Jeśli jego uczucia do ciebie są prawdziwe, dlaczego się zaręczył z córką McDougalów?

- Nie wiem - jęknęłam, ścierając łzy z policzków.

- Kieran - wtrąciła matka ostro - nie bądź okrutny.

- To trudna lekcja - odparł ojciec, oglądając się na nią przez ramię. - Współczuję McDougalom, to prawdziwy wstyd dla małej Evangeline, ale nie zgodzę się, żeby moim zięciem został St. Andrew.

- Jonathan nie jest złym człowiekiem - zaprotestowałam.
- Zastanów się, co mówisz! Bronisz mężczyzny, przez którego jesteś brzemienna, a któremu brakuje przyzwoitości, żeby stanąć koło ciebie i powiedzieć o tym twojej rodzinie! - huknął ojciec. - Rozumiem, że ten drań wie o twoim stanie...

- Wie.

- A Kapitan? Jak myślisz, Jonathan miał dość ikry, żeby powiedzieć ojcu?

- Nie... nie wiem.

- Wątpię. - Kieran znowu zaczął krążyć, stukając obcasami o sosnową podłogę. - I bardzo dobrze. Nie chcę mieć nic do czynienia z tą rodziną. Słyszysz mnie? Nic. Podjąłem decyzję, Lanore: odeślemy cię z domu, żebyś urodziła dziecko. Daleko stąd. - Patrzył prosto przed siebie, ani razu na mnie nie spojrzął. - Pojedziesz do Bostonu za kilka tygodni, kiedy drogi staną się przejezdne, i zamieszkaż w klasztorze. - Zwrócił się do matki, która kiwając głową, wpatrywała się w swoje dłonie. - Siostry znajdują dla dziecka rodzinę, dobrą katolicką rodzinę, żeby zdjąć ciężar z serca twojej matki.

- Zabierzecie mi moje dziecko? - Chciałam wstać z taboretu, ale ojciec położył mi dłoń na ramieniu i zmusił do pozostania na miejscu.

- Oczywiście. Nie możesz przywieźć swojej hańby z powrotem do St. Andrew. Nie pozwolę, żeby sąsiedzi się dowiedzieli, że jesteś kolejną zdobyczą syna Kapitana.

Zaniosłam się płaczem. Po Jonathanie pozostało mi tylko dziecko, jak mogłabym je oddać?

Matka podeszła do mnie i wzięła mnie za ręce.

- Musisz myśleć o rodzinie, Lanore. O swoich siostrach. O wstydzie, gdy wieść się rozejdzie po mieście. Który ojciec się zgodzi, żeby po takiej hańbie jego syn poślubił jedną z twoich siostr?

- Sądziłabym raczej, że moje błędy nie powinny mieć żadnego wpływu na siostry - odparłam szorstko, ale znałam prawdę. Prawomyślni mieszkańcy miasta każą moim siostronom - a i rodzicom także - cierpieć za moje grzechy.

Podniosłam głowę. - Więc... nie powiecie Kapitanowi o moim stanie?

Ojciec zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Nie dam temu staremu draniowi satysfakcji, nie powiem, że moja córka nie potrafiła oprzeć się jego synowi. - Kieran pokręcił głową. - Możesz źle o mnie myśleć, Lanore. Modłę się, żeby ta decyzja okazała się słuszna. Wiem tylko, że muszę podjąć próbę, by uratować cię przed kompletnym upadkiem.

Nie czułam wdzięczności. Nie chciałam, by mnie odesłano! Jestem samolubna, moja pierwsza myśl nie dotyczyła rodziny i szkód, które jej wyrządziłam, ale Jonathana. Zmuszą mnie do opuszczenia domu i nigdy więcej nie zobaczę swego ukochanego. Ta świadomość jak ostrze przeszła mi serce.

- Muszę wyjechać? - zapytałam łamiącym się głosem. - Dlaczego nie mogę pójść do akuszerki? Wtedy mogłabym zostać. Nikt by się nie dowiedział.

Lodowaty wzrok ojca zranił mnie dotkliwiej niż kolejny cios.

- Ja bym wiedział, Lanore. Ja i twoja matka. Niektóre rodziny może by na to przystały, ale... my nie pozwolimy, żebyś to zrobiła. To byłby potworny grzech, gorszy nawet od tego, który już popełniłaś.

Więc nie tylko byłam złą córką i bezwolną lalką zadowolającą chucie Jonathana, ale też w swym sercu bezbożną morderczynią. W tamtej chwili chciałam umrzeć, sam wstyd jednak nie wystarczył.

- Rozumiem. - Starłam z policzków zimne łzy, postanawiając, że przed ojcem więcej nie będę płakać.

Och, jaki tamtej nocy czułam wstyd, jakie przerażenie. Gdy dzisiaj o tym myślę, wydaje mi się to śmieszne. Wtedy jednak byłam tylko kolejną ofiarą religii i poczucia przyzwoitości, dygotałam i płakałam w domu rodziców, przygnieciona ciężarem ojcowskich wymagań. Maleńka bezbronna dusza, którą czekało wygnanie w mroczny, okrutny świat. Musiało minąć wiele lat, nim sobie wybaczyłam. Wtedy byłam przekonana, że moje życie dobiegło końca. Ojciec uważał mnie za dziwkę i potwora, zabierał mi jedyną rzecz, na której mi zależało. Nie potrafiłam sobie wyobrazić przyszłości.

Najgorsza część zimy minęła, krótkie dni nieznacznie się wydłużały, a niebo, które do tej pory ciągle było zachmurzone i miało barwę starej flaneli, zaczęło się rozjaśniać. Zastanawiałam się, czy ja także nieznacznie się zmieniam wraz z dzieckiem rosnącym w mym łonie, czy też zmiany te są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. W końcu zawsze byłam szczupłą, a w tej trudnej sytuacji straciłam apetyt. Wbrew oczekiwaniom, ubrania wcale się na mnie nie opinały, choć może to tylko poczucie winy zwodziło moją wyobraźnię. Od czasu do czasu zadawałam sobie pytanie, czy Jonathan myśli o mnie, czy wie, że mnie odsyłają, i czy jest mu przykro, że mnie opuścił. Może założył, że postąpiłam zgodnie z obietnicą, poszłam do akuszerki i pozbyłam się dziecka. Może zajęty był zbliżającym się ślubem. Nie miałam sposobu, by się dowiedzieć: zabroniono mi chodzić na niedzielne nabożeństwa i odebrano jedyną szansę spotkania się z Jonathanem.

Mijały dni, straszliwie do siebie podobne. Kieran zajmował mi pracę cały czas, od chwili, gdyśmy się budzili w półmroku nowego dnia, do chwili, gdy wieczorem kładłam głowę na poduszce. Noce nie przynosiły ukojenia, często bowiem śniłam o Sophii: podnosiła się z zamarzniętej Allagasti, stała niczym słup dymu

na cmentarzu, krążyła po moim pogrążonym w ciemności domu jak niespokojna zjawia. Może jej duch znajdował słabą pociechę w moich cierpieniach.

Wieczorami klęczałam przy łóżku i zadawałam sobie pytanie, czy bluźnierstwem byłoby prośenie Boga o uratowanie mnie z tej opresji. Karą za moje wielkie grzechy było wygnanie, czy nie powinnam pogodzić się z losem, zamiast błagać Boga o miłosierdzie?

Siostry posmutniały, gdy zima zaczęła ustępować i dzień mojego wyjazdu się zbliżał. Spędzały ze mną każdą wolną chwilę, nie rozmawiały o naszym rozstaniu, ale siedziały koło mnie, obejmowały mnie i przyciskały czoła do mojego. Razem z matką gorączkowo pracowały, naprawiając moją garderobę (nie chciały, bym wyjechała, wyglądając na zwykłą wieśniaczkę), a nawet uszyły mi nowy płaszcz z wełny utkanej zeszłej wiosny.

Nieuniknione nie dało się dłużej odwlekać; pewnego wieczoru, gdy w dolinie rozpoczęła się odwilż, Kieran oznajmił mi, że wszystko zostało przygotowane. Miałam wyjechać w następną niedzielę wozem dostawcy żywności, eskortowana przez miejskiego nauczyciela Titusa Abercrombiego. Z Presque Isle pojedziemy dyliżansem do Camden, a stamtąd statkiem popłyniemy do Bostonu. Rodzinny kufer z moim dobytkiem stał koło drzwi, papier z nazwiskami kapitana statku i matki przełożonej został wszyty w podszewkę halki razem ze wszystkimi pieniędzmi, które rodzina mogła dać. Tamtej nocy siostry nie chciały wypuścić mnie z objęć.

- Nie rozumiem, dlaczego ojciec cię wysyła.
- Nie chciał słuchać, choć go błagałyśmy.
- Będziemy za tobą tęsknić.
- Zobaczymy cię jeszcze? Przyjedziesz na nasze śluby? Będziesz z nami na chrzcie naszych dzieci?

Kiedy słuchałam tych pytań, w moich oczach także wezbrały łzy. Pocałowałam siostry łagodnie w czoło i mocno objęłam.

- Oczywiście, że mnie zobaczycie. Wyjeżdżam na krótko. Dość łez, dobrze? Tak wiele się wydarzy, kiedy mnie tu nie będzie, nawet nie zauważycie mojej nieobecności.

Głośno zaprotestowały i przyrzekły, że codziennie będą o mnie myśleć. Pozwoliłam im płakać tak długo, aż wreszcie wyczerpane zasnęły, ja natomiast leżałam bezsennie, usiłując odnaleźć spokój w tych ostatnich godzinach przed świtem.

Kiedyśmy rano stawili się na miejsce, woźnice zaprzęgali konie do wozów, teraz pustych, bo wszystkie towary, mąkę, bele tkanin, igły, herbatę, poprzedniego dnia dostarczyli do sklepu Watfordów. Sześciu krzepkich mężczyzn sprawdziło uprzęże, po czym ukradkiem na nas popatrywało. Siostry i matka z twarzami mokrymi od łez tuliły mnie do siebie. Ojciec i Nevin stali nieco z boku, zasępieni i milczący.

Jeden z woźniców zakaszał; nie chciał nam przeszkadzać, ale zależało mu, by odjechać według planu.

- Już czas - powiedział Kieran. - Wsiadaj do wozu, dziewczyno.

Nevin pomógł woźnicy załadować mój kufer, matka po raz ostatni mnie uściskała. Dopiero wtedy ojciec zwrócił się do mnie:

- To dla ciebie okazja do odkupienia win, Lanore. Bóg uznał za stosowne dać ci drugą szansę, nie igraj więc z Jego dobrocią. Matka i ja będziemy się modlić, żebyś bezpiecznie wydała na świat dziecko, ale nie myśl nawet o zatrzymaniu go. Nakazuję ci, byś je oddała, a jeśli postąpisz wbrew moim poleceniom, lepiej nie wracaj do St. Andrew. Nie chcę cię więcej widzieć, o ile nie zmienisz się w przyzwoitą, bogobojną chrześcijankę.

Oszołomiona poszłam do wozu, gdzie czekał na mnie Titus. Z szarmancką godnością pomógł mi wsiąść i zająć miejsce na ławce obok niego.

- Moja droga, to dla mnie przyjemność, że będę ci towarzyszył aż do Camden - rzekł sztywnym i oficjalnym (acz przyjacielskim) tonem, który Jonathan często przedrzeźniał. Nie znałam Titusa dobrze, bo nigdy nie miałam z nim lekcji i mogłam oceniać go jedynie poprzez historyjki opowiedane przez Jonathana. Był starszym dżentelmenem dość delikatnej budowy typowej dla uczonych: pałkowate ręce i nogi, hodowany przez lata niewielki brzuszek. Stracił większość włosów, a te, które mu pozostały, otaczały łysinę rzadkimi białymi kępkami w stylu Benjamina Franklina. Jako jeden z nielicznych mężczyzn w mieście nosił okulary w cienkich drucianych oprawkach, co sprawiało, że jego jasnoszare oczy wydawały się jeszcze mniejsze i bardziej załamane. Titus letnie miesiące spędzał w Camden, ucząc dzieci swego kuzyna łaciny w zamian za utrzymanie, jako że wszyscy jego uczniowie w St. Andrew aż do jesieni pracowali w rodzinnych gospodarstwach.

Poza nami był jeszcze jeden pasażer, drwal, który doznał obrażeń i wracał do Camden, by na łonie rodziny dochodzić do zdrowia. Rękę miał zabandażowaną czystymi szmatami. Kiedy wóz ruszył, zalałam się łzami, odpowiadając na gorączkowe machania matki i sióstr.

Wóz z grzechotem wytoczył się z miasteczka, a ja ze ściśniętym gardłem i rosnącym bólem w sercu patrzyłam, jak jedyne znane mi na świecie miejsce niknie w oddali, i żegnałam się ze wszystkimi - i tym jedynym - których kochałam.

ROZDZIAŁ 13

Droga Fort Kent, dzisiaj

Przejście graniczne jest dość blisko. Chociaż Luke nie był tam od lat, od czasu nieudanych rodzinnych wakacji, jest przekonany, że trafi bez konieczności patrzenia na mapę. Wybiera boczne drogi, wolniejsze i przez to wydłużające jazdę, ale sądzi, że tam z mniejszym prawdopodobieństwem natkną się na policjantów, jest ich za mało, by pilnowali mniej ważnych tras. Problemy są na autostradzie, kierowcy przekraczający prędkość i przeładowane tiry, wykroczenia karane mandatami, które wspomogą szczupłe dochody stanu.

Jedną ręką chwyta mocno kierownicę. Jego pasażerka uparcie wpatruje się przed siebie, przygryzając wargę. Teraz jeszcze bardziej wygląda na nastolatkę, kryjąc zmartwienie pod płaszczykiem zniecierpliwienia.

- No tak - mówi Luke, próbując poprawić nastrój. - Pozwolisz, że zadam ci kilka pytań?

- Proszę bardzo.

- Możesz mi powiedzieć, jak to jest, kiedy się jest... takim jak ty?

- To nic specjalnego.

- Naprawdę?

Lanore siada wygodnie i kładzie łokcie na oparciach.

- Nie czuję się wyjątkowo, w każdym razie nie pamiętam, żeby kiedyś było inaczej. Nie zauważam zmian, które zachodziłyby z dnia na dzień czy w sprawach naprawdę istotnych. Nie odznaczam się żadnymi nadnaturalnymi mocami, nic w tym rodzaju. Nie jestem bohaterką z komiksu.

- A to, co zrobiłaś na izbie przyjęć? Kiedy się przecięłaś? Bolało?

- Właściwie nie. Ból jest nieznaczny, tępy, pewnie taki, jaki byłby podczas operacji przy małej dawce znieczulenia. Tylko człowiek, który jest sprawcą twojej przemiany, może cię naprawdę zranić, zadać ci prawdziwy ból. To trwa tak długo, że prawie zapomniałam, czym jest ból.

- Człowiek sprawił, że taka jesteś? - pyta Luke z niedowierzaniem. - Jak to się stało?

- Zmierzam do tego - odparła Lanore, wciąż się uśmiechając. - Cierpliwości.

Od informacji, że ten cud jest dziełem człowieka, Luke'owi kręci się w głowie, jak wtedy, gdy nagle spogląda się na krajobraz z innej perspektywy. Rzecz wydaje się tym bardziej niewiarygodna, niemożliwa - rosną szanse, że to są kłamstwa, opowiedane przez ładną i obdarzoną talentem do manipulacji kobietę.

- Tak czy owak w gruncie rzeczy jestem taka jak przedtem, tylko że... właściwie się nie męczę. Nie czuję fizycznego wyczerpania. Ale męczę się emocjonalnie.

- Wpadasz w przygnębienie?

- Tak, chyba tak. Przypuszczam, że powodów jest mnóstwo. Przede wszystkim chodzi o to, że raz na jakiś czas dociera do mnie absurdalność mojej egzystencji, niemożność wyboru, konieczność przeżywania każdego kolejnego dnia. Jaki sens ma samotne

znoszenie czasu poza cierpieniem, ciągłym wspomnianiem złych uczynków i okrutnego traktowania innych? I nic nie mogę w tej sprawie zrobić. Nie mogę cofnąć się w czasie i naprawić swoich błędów.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Poprawia rękę na kierownicy, która mocno wibruje, bo przejeżdżają przez wyboisty fragment nawierzchni.

- Chcesz, żebym ci coś przepisał?

Lanore się śmieje.

- Coś w rodzaju antydepresantów, o to pytasz? Nie sądzę, by odniosły skutek.

- Leki na ciebie nie działają?

- Powiedzmy, że wytworzyłam sobie dość wysoką tolerancję. - Odwraca się od niego, patrzy w okno. - Czasami jedynym sposobem oderwania się od własnych myśli jest utrata świadomości.

- Masz na myśli alkohol? Narkotyki?

- Możemy przestać o tym rozmawiać? - Głos jej się załamuje na ostatnim wyrazie.

- Jasne. Jesteś głodna? Pewnie minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz jadłaś... Chcesz coś przegryźć? Pod Fort Kent jest knajpka z dobrymi pączkami.

Lanore kręci głową obojętnie.

- Nie bywam głodna. Potrafię tygodniami nie myśleć o jedzeniu. Czy o picciu, skoro o tym mowa.

- A co ze snaniem? Chcesz się zdrzemnąć?

- Mało śpiam. Po prostu o tym zapominam. W końcu najlepszą częścią snu jest to, że kogoś przy sobie masz, prawda? Ciepłe ciało, ciężar opierający się o ciebie. To bardzo... miłe, zgadzasz się? Kiedy wasze oddechy wpadają w ten sam rytm. Boska rzecz.

Czy to znaczy, że od jakiegoś czasu w jej łóżku nie było mężczyzny?, zastanawia się Luke. Ale co z martwym człowiekiem w

kostnicy, zgniecioną pościelą w domku - co to wszystko znaczy? A może Lanore bawi się z nim, ukrywa swą prawdziwą naturę?

- Brakuje ci żony w łóżku? - pyta Lanore po chwili.

Oczywiście, że brakuje, chociaż jego była żona miała bardzo lekki, niespokojny sen i często go budziła, gdy próbowała się wygodnie ułożyć albo pod wpływem sennych rojeń wykonywała gwałtowne ruchy. Z tego samego powodu, wracając późnym wieczorem ze szpitala, uwielbiał patrzeć, jak śpi w ich wspólnym łóżku: eleganckie ciało okryte kołdrą, delikatnie unoszące się i opadające zaokrąglenia, złote włosy otaczające głowę, lekko rozchylone usta. Było coś w widoku pogrążonej w nieświadomości żony, co sprawiało, że stawała się dla niego piękna. Na wspomnienie tych intymnych scen gardło mu się ścisnęło. Nie może się zwierzyć nieznanemu ze swej samotności i żalu, to za wiele, więc nic nie mówi.

- Jak dawno odeszła?

Luke wzrusza ramionami.

- Prawie rok temu. Niedługo wyjdzie za swojego ukochanego z młodości. Wróciła do Michigan i zabrała nasze dwie córki.

- To... straszne. Przykro mi.

- Nie marnuj na mnie swojego współczucia. Wygląda na to, że ty musisz sobie radzić z czymś o wiele, wiele gorszym. - Znowu ogarnia go to samo uczucie co przed kostnicą, ta sama dezorientacja, spowodowana zderzeniem jej opowieści ze światem, który on zna. Jak to możliwe, że Lanore mówi prawdę?

Na zakręcie wydaje mu się, że we wstecznym lusterku widzi czarno-biały wóz patrolowy. Ciekawe, czy jedzie za nimi cały czas, a on tego nie zauważył? Czy ściga ich policja? Ta myśl wywołuje szczególny rodzaj dyskomfortu u człowieka, który nigdy nie miał kłopotów z prawem.

- Co jest? - pyta nagle Lanny i prostuje się. - Coś się stało, widzę to po twojej minie.

Luke nie odrywa wzroku od wstecznego lusterka.

- Spokojnie. Nie chcę cię straszyć, ale myślę, że jesteśmy śledzeni.

Część II

ROZDZIAŁ 14

Boston, rok 1817

Podróż na południe wozem dostawcy trwała dwa tygodnie. Trasa wiodła wschodnim krańcem wielkich północnych lasów, omijała na tyle szerokim łukiem górę Katahdin, byśmy nie musieli oglądać pokrytego śniegiem szczytu, i prowadziła wzdłuż rzeki Kennebec do samego Camden. To była samotna wędrówka; ta część stanu, obecnie rzadko zaludniona, wówczas była pusta. Natykaliśmy się na traperów i czasami rozbijaliśmy z nimi obóz, a nasi woźnice się cieszyli, że mają towarzyszy do wypicia butelki whisky.

Traperzy, których spotykaliśmy, z reguły byli francuskimi Kanadyjczykami, stoickimi albo dziwakami, bo fach ten odpowiadał ludziom z usposobieniem pustelnika lub też obdarzonym gwałtowną niezależnością. Kilku wydało mi się w połowie obłąkanych, mamrotali do siebie niepokojąco, kiedy czyścili i oliwili narzędzia przed opracowaniem zdobyczy. Zamarznięte zwierzęta kładziono przy ogniu, a kiedy rozmarzły, traperzy wyjmowali wąskie noże i zaczęli zdejmować skórę, odsłaniając wilgotne czerwone mięso.

Ten widok budził we mnie niepokój i wywoływał mdłości, nie mając więc ochoty siedzieć z nimi, wracałam z Titusem do wozu, a woźniców zostawialiśmy z traperami przy ognisku i butelce.

Chociaż byłam nieszczęśliwa z powodu wygnania, zawsze pragnęłam zobaczyć trochę świata poza rodzinną wioską. Nasza miejscowość nie była przesadnie wyrafinowana, ale zakładałam, że jest cywilizowana w porównaniu z innymi częściami stanu, w większości niezasiedlonymi. Oprócz traperów rzadko spotykaliśmy innych ludzi. Indianie, rdzenni mieszkańcy tej okolicy, wyprowadzili się stąd lata temu, choć garstka mieszkała w osadach białych lub pracowała z traperami. Opowiadano o osadnikach, którzy przyjmowali zwyczaj Indian i zakładali obozy, ale było ich niewiele i zwykle poddawali się podczas pierwszej zimy.

Podróż przez gęste północne lasy zapowiadała się na mroczną i tajemniczą. Pastor Gilbert przestrzegał przed złymi duchami, które czyhają na wędrowców. Drwale rzekomo widywali trolle i gobliny - czego należało się spodziewać, jako że w większości pochodzili ze Skandynawii, gdzie takie stwory są bohaterami ludowych baśni. Lasy stanowiły dziką część kraju, która opierała się ludzkim wpływom. Wkroczyć w nie oznaczało ryzykować, że zostanie się połkniętym, że powróci się do pierwotnej natury, wciąż obecnej w każdym z nas. Mieszkańcy St. Andrew na głos mówili, że to zwykłe bajki, ale nocą rzadko który samotnie zapuszczał się w lasy.

Woźnice lubili wzajemnie się straszyć, wieczorami opowiadając przy ognisku o zjawach widzianych na cmentarzu i demonach napotykanych w lesie podczas podróży. Staralam się unikać takich okazji, ale często na próżno, bo mieliśmy tylko jedno ognisko, a wszyscy złaźnieni byli rozrywki. Słuchając tych opowieści, doszłam do wniosku, że woźnice albo są niezwykłymi śmiałkami, albo strasznymi kłamcami, bo wciąż gotowi byli przeprawiać się

przez ponure odludzia.

W ich opowieściach powtarzał się jeden element: duchy niewiedzą żywych, bo zostawiły niezakończony sprawy na ziemi. Ofiary morderstwa i samobójcy z jednakowym uporem odmawiają przejścia na tamten świat, bo czują, że ich miejsce jest tutaj, pragną się zemścić na swym zabójcy lub nie są w stanie opuścić ukochanych. Oczywiście pomyślałam o Sophii. Jeśli ktoś miał prawo wrócić jako duch, to właśnie ona. Czy Sophia rozgniewałaby się, gdyby po powrocie się przekonała, że osoba, która pchnęła ją do samobójstwa, opuściła miasto? Czy podążyłaby za mną? Może rzuciła na mnie klątwę zza grobu i spowodowała moje obecne niefortunne położenie. Słuchając woźniców, utwierdziłam się tylko w przekonaniu, że za swoją nikczemność skazana jestem na potępienie.

Dlatego ogarnęła mnie ulga, gdyśmy na swej drodze zaczęli częściej natykać się na osady: to oznaczało, że zbliżamy się do bardziej zaludnionej południowej części terytorium i już wkrótce przestaną zależeć od łaski woźniców. I rzeczywiście, po kilku dniach wędrówki z biegiem Kennebec przybyliśmy do Camden, wielkiego miasta na wybrzeżu. Po raz pierwszy miałam zobaczyć ocean.

Zgodnie z instrukcjami ojca wysiedliśmy z Titusem w porcie; pobiegłam na najdłuższe moło i stałam bez końca, wpatrując się w zieloną wodę. Zapach oceanu był wyjątkowy, słony, brudny, ostry. Wiał bardzo zimny i silny wiatr, tak porywisty, że niemal zapierał mi dech, smagał w twarz i rozwiewał włosy, jakby rzucając mi wyzwanie. A równocześnie ocean różnił się od wszystkiego, co do tej pory widziałam. Znałam wodę, tak, ale to była tylko Allagash. Choć koryto miała szerokie, w oddali widać było drugi brzeg i ciągnący się za nim las. Dla kontrastu płaska tafla oceanu i

nieskończony horyzont zdawały się końcem świata

- Wiesz, pierwsi odkrywcy, którzy przybyli do Ameryki, wierzyli, że mogą spaść z krańca ziemi - odezwał się Titus, przypominając mi o swej obecności.

Zielone fale przerażały mnie, ale też hipnotyzowały, i nie byłam w stanie ruszyć się stamtąd, aż przemarzłam na kość.

Nauczyciel odprowadził mnie do biura kapitana portu. Zastaliśmy tam staruszka z okropnie szorstką cerą; pokazał nam, gdzie cumuje mały statek, który miał mnie zabrać do Bostonu, ale uprzedził, że rejs zaczyna się dopiero przed północą, podczas odpływu, a mnie tak wcześnie z pewnością nie powitają serdecznie na pokładzie. Zasugerował, że powinnam spędzić dzień w tawernie, coś zjeść, może przekonać właściciela, żeby pozwolił mi się przespać. Powiedział nawet, jak dojść do tawerny najbliżej portu, bo jak podejrzewam, zrobiło mu się mnie żal, ze zdenerwowania bełkotałam niezrozumiale i na pierwszy rzut oka widać było, że brak mi obycia w świecie. Jeśli Camden jest tak wielkie i przerażające, jak na Boga poradzę sobie w Bostonie?

- Panno McIlvrae, muszę zaprotestować. Nie możesz bez eskorty pozostać w tawernie ani samotnie wędrować ulicami Camden do portu - oznajmił Titus. - Mnie jednak oczekują w domu kuzyna i nie mogę spędzić z tobą reszty dnia.

- A jaki mam wybór? - zapytałam. - Jeśli to uspokoi pańskie sumienie, proszę mnie odprowadzić do zajazdu i przekonać się na własne oczy, że jest przyzwoity, a potem niech pan postąpi, jak dyktuje panu rozum. Przecież nie proszę, by złamał pan słowo dane memu ojcu.

Do tej pory znałam tylko małą i urządzoną domowym sposobem karczmę Daughtery'ego w St. Andrew. Wydawała się

maleńka przy tawernie w Camden, w której były dwie barmanki, długie stoły i gorące dania. Piwo także lepiej smakowało i z bólem pojęłam, że ludzie w moim rodzinnym miasteczku pozbawieni są bardzo wielu rzeczy. Uderzyła mnie tkwiąca w tym niesprawiedliwość, chociaż nie czułam się uprzywilejowana, mogąc teraz poznawać lepsze strony życia. Przede wszystkim tęskniłam za domem i rozczulałam się nad sobą, ale ukrywałam swoje emocje przed Titusem, który jak najszybciej chciał pójść swoją drogą. Zgodził się, że tawerna wygląda na przyzwoitą, i zostawił mnie pod opieką właściciela.

Kiedy się posilałam, będąc obiektem ciekawskich spojrzeń innych gości, właściciel zaproponował, żebym się przespąła na przyczynie w składziku. Nie ulegało wątpliwości, że pasażerowie często w jego tawernie spędzają czas, który pozostał im do rejsu, i właściciel zapewnia im tę usługę. Obiecał, że obudzi mnie po zachodzie słońca i będę miała mnóstwo czasu na dojeżdżenie do portu.

Leżałam w składziku bez okien i zastanawiałam się nad swoją sytuacją. To wówczas, gdy kuliłam się w ciemności, mocno przyciskając ręce do piersi, uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem samotna. Dorastałam w miejscu, gdzie wszyscy mnie znali, gdzie bez cienia wątpliwości wiadomo było, kto się mną zaopiekuje. Ani tutaj, ani w Bostonie nie było żywej duszy, która by mnie znała lub się o mnie martwiła. Z żalu nad sobą zalałam się łzami; w tamtej chwili nie potrafiłam sobie wyobrazić, by ojciec mógł mi wyznaczyć okrutniejszą karę.

Obudziło mnie pukanie do drzwi.

- Czas wstawać, bo nie zdążysz na statek! - zawołał oberżysta.

Zapłaciłam monetami, które wyjęłam z zapasu pod podszewką, i przyjęłam jego propozycję, że odprowadzi mnie do portu.

Wieczór przyszedł szybko, wraz z nim spadła temperatura i znad oceanu zaczęła nadciągać mgła. Na ulicach niewielu było przechodniów, a i ci śpieszyli się, by jak najszybciej uciec z zimna do domu. Ogarnęło mnie niesamowite wrażenie, jakbym wędrowała po ulicach miasta umarłych. Szum oceanu narastał. Przez tuman dojrzałam statek, którym miałam popłynąć do Bostonu. Latarnie rozjaśniały ciemność na pokładzie, marynarze kończyli przygotowania do rejsu: wspinali się na maszty i rozwijali żagle, wtaczali po trapie beczki i skrzynie, wprawiając statek w łagodny kołysanie.

ROZDZIAŁ 15

Kilka dni później statek wpłynął do portu w Bostonie. Zaczekałam przy nabrzeżu po południu, ale ja czekałam do zmierzchu, nim odważyłam się wyjść na pokład. Teraz panował tu spokój, inni pasażerowie wysiedli zaraz po rzuceniu trapu, a marynarze wyładowali większość towarów. Nigdzie nie widziałam członków załogi, w każdym razie tych, których twarze zapamiętałam, zapewne na nowo odkrywali uroki przebywania na stałym lądzie, odwiedzając nadbrzeżne tawerny. Sądząc po ich liczbie, tawerny stanowiły integralny element morskiego transportu, ważniejszy nawet od drewna czy tkanin.

Dzięki pomyślnym wiatrom przybiliśmy do portu o wiele wcześniej, niż zakładano, ale tylko kwestią czasu było, kiedy klasztor zostanie powiadomiony i kogoś po mnie wyślą. Kapitan przyglądał mi się ciekawie, zastanawiając się pewnie, co mnie tu trzyma, i nawet zaproponował, że załatwi mi dorożkę, jeśli nie wiem, jak dotrzeć do celu.

Nie chciałam iść do klasztoru. W wyobraźni stworzyłam sobie obraz czegoś pośredniego między domem dla ubogich a więzieniem. To była moja kara: pobyt w miejscu, które miało mnie „sprowadzić na dobrą drogę” wszelkimi dostępnymi środkami,

wyleczyć z miłości do Jonathana. Zabiorą mi dziecko, jedyne i ostatnie ogniwo, łączące mnie z ukochanym. Jak mogłabym na to pozwolić? Przed natychmiastową ucieczką ze statku powstrzymywało mnie tylko tchórzostwo i brak zdecydowania.

Z drugiej zaś strony, straszliwie się bałam samotności. Niepewność, której doznałam w Camden, była sto razy większa w Bostonie, mieście ogromnym i rojnym. Jak znajdę w nim drogę? Do kogo się zwrócę o pomoc, gdzie znajdę dach nad głową, zwłaszcza w moim stanie? Nagle poczułam się niewykształconą i nieobytą dziewczyną z prowincji, która kompletnie straciła grunt pod nogami.

W ostateczności jednak myśl o utracie dziecka pchnęła mnie do działania. Wolałam raczej spać w brudnym zaułku i zarabiać na życie szorowaniem podłóg, niż pozwolić, by ktoś mi je odebrał. Rozgorączkowana, wyruszyłam na ulice Bostonu z małym sakwożadem w dłoni, kufer pozostawiwszy w porcie. Miałam nadzieję, że odbiorę go później, o ile oczywiście klasztor nie skonfiskuje mojego dobytku, kiedy wyjdzie na jaw, że zniknęłam.

Mimo że czekałam aż do zmierzchu, zaskoczyło mnie i przeraziło ożywienie panujące w mieście. Ludzie wylewali się z tawern, zapętniali chodniki, wsiadali do dorożek. Ulicami toczyły się wozy załadowane beczkami i skrzyniami wielkości trumien. Przemykałam się pod ścianami, ustępując przechodniom, cofając się przed wozami, i nie potrafiłam zapamiętać siatki ulic, po kwadransie nie wiedziałam już, gdzie znajduje się port. Zaczynałam myśleć, że Boston to niewesołe i okrutne miasto: tamtego wieczoru mijaly mnie setki ludzi, ale nikt nie zwrócił uwagi na moją przerażoną twarz, wyraz zagubienia w oczach, bezcelową wędrówkę. Nikt nie zapytał, czy potrzebuję pomocy.

Zmierzch ustąpił ciemności, zapłonęły uliczne latarnie. Ruch zaczął rzednąć, ludzie pośpieszyli do domów, sklepikarze zamknęli

okiennice i drzwi. Znowu ogarnęła mnie panika: gdzie tej nocy będę spała? I kolejnej, i następnej, skoro o tym mowa? Nie, powiedziałam sobie, nie mogę zbyt daleko wybiegać myślami w przeszłość, bo popadnę w rozpacz. Przetrwanie pierwszej nocy było wystarczającym wyzwaniem. Potrzebowałam dobrego planu, w przeciwnym razie zacznę żałować, że nie pojechałam do klasztoru.

Odpowiedzią była tawerna lub zajazd. Najtańsza z możliwych, myślałam, palcami przesuwając po kilku monetach, które mi zostały. Okolice, w której teraz byłam, wyglądała na mieszkalną, i próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mijałam jakąś tawernę. Czy to było bliżej portu? Pewnie tak, ale nie chciałam zawracać, bo myślałam, że w ten sposób sama sobie udowodnię, że nie wiem, co robię, a z tym nie potrafiłabym sobie poradzić. Zresztą i tak nie byłam pewna kierunku, z którego przyszłam. Z psychologicznego punktu widzenia najlepsze rozwiązanie stanowił marsz przed siebie.

Roztrzęsiona, stanęłam na środku drogi, zupełnie zapominając o pojazdach, które w bardziej zatłoczonej części miasta pewnie by mnie potrafiły. Byłam tak pogrążona w myślach, że dopiero po minucie uświadomiłam sobie, że koło mnie zatrzymał się powóz i ktoś z jego wnętrza do mnie woła:

- Panienko! Hej, panienko!

Powóz był elegancki, w niczym nie przypominał prymitywnych wiejskich bryczek, które dotąd widywałam, ciemne drewno lśniło od oliwy, okucia przyciągały wzrok misterną robotą. Ciągnęły go dwa wielkie ogiery, wystrojone jak konie cyrkowe, ale z czarnymi żałobnymi uzdami.

- Nie znasz angielskiego? - W oknie pojawił się mężczyzna w bardzo wymyślnym trójkątnym kapeluszu z burgundowymi piórami, spływającymi na jasne włosy. Miał pociągłą arystokratyczną twarz i nieprzyjemnie zaciśnięte usta, jakby wiecznie coś mu

się nie podobało. Zdumiałam się, że taki wytworny pan czegoś ode mnie chce.

- Och, pozwól, ja spróbuję - z wnętrza powozu dobiegł kobiecy głos i mężczyzna w kapeluszu cofnął się od okna, by zrobić miejsce swej towarzyszce. Miała suknię z bardzo ciemnej tafty, która nadawała jej skórze bezkrwisty wygląd, błękitne oczy tak jasne, że niemal lawendowe, i równie wymyślny kapelusz, nasadzony pod bardzo ryzykownym kątem na żółte jak jaskier, gładko uczesane i ozdobione biżuterią włosy. Była urocza, ale przerażająca, z ostrymi zębami odsłoniętymi w nieszczerym uśmiechu.

- Nie bój się - powiedziała, zanim sobie uświadomiłam, że istotnie ogarnął mnie strach. Cofnęłam się, kiedy otworzyła powóz i wysiadła na ulicę z szelestem sztywnej, obficie marszczonej sukni. To był najpiękniejszy strój, jaki w życiu widziałam, z mnóstwem falbanek i kokardek, mocno ściągnięty w talii. Kobieta wolno wyciągnęła ku mnie dłoń w czarnej rękawiczce, jakby się bała przestraszyć płochliwego psa. Jej miejsce obok blondyna w oknie powozu zajął drugi mężczyzna.

- Dobrze się czujesz? Moim przyjaciółom i mnie rzuciło się w oczy, że wyglądasz na zagubioną. - Uśmiechnęła się ciepłej.

- Ja... cóż, to znaczy... - wyjąkałam zakłopotana, że ktoś mnie przejrzał. A równocześnie desperacko łaknęłam odrobiny ludzkiej dobroci.

- Niedawno przyjechałaś do Bostonu? - zapytał drugi z mężczyzn. Wydawał się o wiele sympatyczniejszy od pierwszego. Miał ciemną cerę i oczy, w których malowała się dobroć, a swymi łagodnymi manierami budził zaufanie.

Przytaknęłam.

- I nie masz się gdzie zatrzymać? Wybacz, że pytam wprost, ale sprawiasz wrażenie sieroty. Bez domu, bez przyjaciół? - Kobieta pogładziła mnie po ramieniu.

- Dziękuję pani za troskę. Może mogłaby pani wskazać mi drogę do najbliższej tawerny? - zaczęłam, pewniej ujawszy sakwojaż.

Tymczasem z powodu wysiadł wyniosły blondyn i odebrał mi torbę.

- Mamy lepsze wyjście. Zapewnimy ci dzisiaj nocleg.

Kobieta wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do powozu.

- Wybieramy się na przyjęcie. Lubisz przyjęcia, prawda?

- Sama... nie wiem - wybąkałam, czując, że ogarnia mnie napięcie. Jak to możliwe, że troje majątnych ludzi pojawia się znikąd, by mnie uratować? Sceptycyzm wydawał się reakcją naturalną, wręcz rozważną.

- Nie opowiadaj głupstw, jak możesz nie wiedzieć, czy lubisz przyjęcia? Wszyscy je lubią. Będzie mnóstwo jedzenia, picia i dobrej zabawy. A na tym nie koniec, noc spędzisz w ciepłym łóżku - odparł mężczyzna, wkładając mój sakwojaż do powozu. - Zresztą czy masz lepszą ofertę? Wolisz spać na ulicy? Nie sądzę.

Miał rację, w tej sytuacji nie mogłam zważać na to, co podpowiada mi intuicja. Powiedziałam sobie, że to przypadkowe spotkanie jest szczęśliwym zrzędzeniem losu, rozwiązaniem moich problemów, choćby i tymczasowym. Nieznajomi mieli kosztowne stroje, byli bogaci, przecież nie zamierzają mnie obrabować? Na morderców też nie wyglądali. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego tak im zależy na obecności nieznajomej na przyjęciu, ale nie zamierzałam ryzykować i nadmiernie ich wypytywać.

Przez kilka minut jechaliśmy w napiętym milczeniu. Siedziałam pomiędzy kobietą a dobronudnym ciemnowłosym mężczyzną i usiłowałam ignorować baczny wzrok blondyna. Kiedy nie byłam w stanie dłużej powściągać ciekawości, zapytałam:

- Proszę wybaczyć, ale z jakiego właściwie powodu pragniecie, bym wzięła udział w tym przyjęciu? Czy gospodarz nie zirytuje się na widok nieoczekiwanego gościa?

Kobieta i wyniosły mężczyzna zachichotali, jakbym opowiedziała dowcip.

- Och, tym się nie przejmuj. Gospodarz jest naszym przyjacielem i wiemy, iż wielką przyjemność sprawia mu goszczenie młodych ślicznych kobiet - wyjaśnił blondyn ze śmiechem.

Kobieta uderzyła się wachlarzem w dłoń.

- Nie zwracaj na tych dwoje uwagi - wtrącił ciemnowłosy. - Bawią się twoim kosztem. Czeka cię serdeczne przyjęcie, masz na to moje słowo. Jak mówiłaś, potrzebujesz dzisiaj noclegu, a pewnie też oderwania się od problemów przynajmniej na ten jeden wieczór. Niewykluczone, że znajdziesz inne rzeczy, które są ci potrzebne.

Zmiękłam, słuchając jego łagodnego głosu. Potrzebowałam wielu rzeczy, ale przede wszystkim chciałam mu zaufać. Uwierzyć, że on wie, co będzie dla mnie najlepsze, chociaż sama nie miałam o tym pojęcia.

Z turkotem kół przemierzaliśmy mroczne ulice. Wyglądałam przez okno i próbowałam zapamiętać trasę jak dziecko w baśni, które być może będzie musiało odnaleźć drogę do domu. Na próżno się wysilałam, i tak nie byłam w stanie nic zapamiętać. W końcu zajechaliśmy przed jasno oświetlony budynek z cegły i kamienia, tak wspaniały, że dech mi zaparło. Najwyraźniej jednak przyjęcie jeszcze się nie rozpoczęło, nie widać było kobiet i mężczyzn w wieczorowych strojach, żadne powozy nie zajeżdżały pod dom.

Portier otworzył drzwi i kobieta weszła swobodnie, jakby była tu panią, ściągając rękawiczki palec po palcu.

- Gdzie on jest? - warknęła na kamerdynera w liberii.

Przelotnie uniósł oczy do góry.

- Na piętrze, proszę pani.

Kiedyśmy szli po schodach, czułam coraz większe zakłopotanie. Oto ja, w brzydkiej, szytej w domu sukni. Cuchnęłam statkiem i wodą morską, włosy miałam rozczochrane i pokryte solą. Spojrzałam na swoje stopy: proste, wiejskie trzewiki pokryte były błotem, noski zawijały się do góry, od długotrwałego noszenia.

Dotknęłam ręki kobiety.

- Nie powinnam tu być, moje odzienie nie jest odpowiednie na eleganckie przyjęcie. Nie nadaję się nawet na kuchenną dziewczynę w tym wspianiałym domu. Pożegnaj się teraz...

- Zostaniesz, dopóki nie pozwolimy ci odejść. - Kobieta okręciła się na pięcie i wbiła mi paznokcie w przedramię. Jęknęłam z bólu. - Przystań się zachowywać jak dziecko. Zapewniam, że będziesz dobrze się bawić. - Z jej tonu wywnioskowałam, że ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, jest moje samopoczucie.

Wszyscy czworo weszliśmy do sypialni, przestronnego pokoju tak wielkiego jak mój rodzinny dom w St. Andrew. Kobieta poprowadziła nas prosto do garderoby, gdzie plecami do nas stał jakiś mężczyzna. Miał na sobie spodnie z jaskrawego aksamitu, białe jedwabne pończochy, wymyślne pantofle, koszulę z tasiemkami i kamizelkę pasującą do spodni. Był bez surduta, więc mogłam obejrzeć go dokładnie, bez krawieckich sztuczek ukrywających wady figury. Wzrostem i muskulaturą nie dorównywał Jonathanowi (dla mnie to był wzorzec męskiej urody), ale zbudowany był doskonale, szeroki w plecach, wąski w biodrach. Sądząc z muskularnych i potężnych ramion, takich, jakie mieli drwale w St. Andrew, odznaczał się niezwykłą siłą. A potem się odwrócił, ja zaś dołożyłam starań, by ukryć zaskoczenie.

Był o wiele młodszy, niż się spodziewałam, miał dwadzieścia parę lat, niewiele więcej niż ja, i przystojny w jakiś obcy, mgliście

dziki sposób. Miał oliwkową karnację, podobnej nigdy nie widziałam w naszej wiosce zamieszkaną przez Szkotów i Skandynawów, rzadkie ciemne wąsy i taką samą brodę na kwadratowej szczęce, jakby niedawno dopiero ją zapuścił. Najdziwniejszym rysem w jego twarzy były oczy, oliwkowe, z szarymi i złotymi cętkami. Przypominały szlachetne kamienie, a mimo to spojrzenie miał wilcze i hipnotyzujące.

- Przyprawdziliśmy kolejną rozrywkę na twoje przyjęcie - oznajmiła kobieta.

Jego szacujący wzrok był tak namacalny jak dotyk dłoni; poczułam, że nie mam przed nim żadnych tajemnic. W gardle mi wyszło, kolana się pode mną ugięły.

- To nasz gospodarz - usłyszałam za plecami kobietę. - Dygnij, prostaczko. Stoisz przed osobą z królewskiego rodu. To jest księżę cel Rau.

- Na imię mam Adair. - Wyciągnął rękę, jakby chcąc mnie powstrzymać od ukłonu. - Jesteśmy w Ameryce. Jak rozumiem, Amerykanie nie mają arystokracji, więc przed nikim się nie kłaniają. Nie możemy oczekiwać, by kłaniali się nam.

- Niedawno przyjechał pan do Ameryki? - Jakimś cudem odnalazłam w sobie odwagę, by się do niego odezwać.

- Tydzień temu. - Wypuścił moją dłoń i odwrócił się do lokaja.

- Z Węgier - dodał ciemnowłosey. - Wiesz, gdzie to jest?

W głowie mi się kręciło.

- Niestety, nie. - Za moimi plecami rozległy się śmiechy.

- To bez znaczenia - warknął Adair, pan domu, na swych pomocników. - Nie możemy wymagać, że wszyscy będą wiedzieli, gdzie leży nasza ojczyzna. Dom znajduje się dalej niż połączenie lądu i morza, które za sobą zostawiliśmy. Tu jest zupełnie inny świat. Dlatego zresztą tutaj przybyłem, że tu jest inny świat. - Dłonią

wskazał na mnie. - Ty... masz imię?

- Lanore. Ale wolę, jak nazywają mnie Lanny.

- Jesteś stąd?

- Z Bostonu? Nie, przyjechałam tu dzisiaj. Moja rodzina... - urwałam na moment, bo gardło mi się ścisnęło - ...mieszka na terytorium Maine, na północy. Słyszał pan o nim?

- Nie.

- Więc jesteśmy kwita. - Nie mam pojęcia, skąd wzięłam odwagę, by z nim żartować.

- Może tak. - Adair pozwolił, by lokaj poprawił mu fular, potem spojrzął na mnie ciekawie i zwrócił się do tamtej trójki: - Nie stójcie tak. Przygotujcie ją na przyjęcie.

Zaprowadzono mnie do innego pokoju, wypełnionego stosami kufrów. Otworzyli wieka i grzebali tak długo, aż znaleźli strój, który na mnie pasował, ładną sukienkę z czerwonego batystu i satynowe pantofelki. Całość nie była dobrana, ale i tak o wiele bardziej elegancka niż wszystko, co do tej pory nosiłam. Służącej polecono przygotować kąpiel, a mnie kazano wyszorować się dokładnie, ale szybko.

- To spalimy - oznajmił blondyn, głową wskazując moje leżące na podłodze ubranie. Przed kąpielą przerażająca jasnowłosa kobieta wcisnęła mi w dłoń kielich, w którym było dobre czerwone wino.

- Wypij to - poleciła. - Na pewno jesteś spragniona.

Osuszyłam kielich dwoma łykami.

Zanim wyszłam z łaźni, wiedziałam, że do wino coś dodano. Podłogi i ściany kołysały się, musiałam więc bardzo się skupiać, by przejść korytarzem. Wtedy goście już zaczęli się pojawiać, w większości byli to dobrze ubrani mężczyźni w perukach i maskach. Znajome trio zniknęło, zostałam sama. W oszołomieniu

wędrowałam z pokoju do pokoju, usiłując pojąć, co tu się dzieje, bo wokoło trwały hałaśliwe bachanale. Pamiętam wielki pokój, w którym grano w karty, przy stołach siedzieli mężczyźni po czterech, pięciu, do wtóru głośnego śmiechu i rozgniewanych okrzyków rzucali na stoły pieniądze. Raz po raz jakiś nieznajomy próbował wziąć mnie za rękę, ale się wrywałam i uciekałam, o ile pozwalała mi na to moja dezorientacja. W tłumie dostrzegałam skonsternowanych młodych urodziwych mężczyzn i kobiety. Nie mieli masek i goście prowadzili ich ze sobą.

Zaczęłam mieć halucynacje. Byłam przekonana, że błędzę w labiryncie. Nikt nie potrafił mnie zrozumieć, z moich ust wychodził bełkot, zresztą nikt i tak nie miał ochoty mnie słuchać. Wyglądało na to, że z tego piekielnego przyjęcia nie ma wyjścia, nie ma możliwości ucieczki na ulice zapewniające relatywne bezpieczeństwo. Właśnie wtedy poczułam, jak ktoś ujmuje mnie za łokieć, i straciłam przytomność.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na plecach na łóżku, niemal się dusząc pod ciężarem mężczyzny. Jego twarz była nienaturalnie blisko mojej, gorący oddech owiewał mi policzki. Dygotałam pod ciężarem jego ciała, uderzającego o moje, i słyszałam własne jęki i okrzyki bólu, który jednak był odległy, stłumiony przez narkotyk. Instynktownie wiedziałam, że ból później powróci. Próbowałam zawołać o pomoc, lecz spocona dłoń zakryła mi usta, słone palce wepchnęły się między wargi.

- Cicho, mała - jęknął przygniatający mnie mężczyzna, który oczy miał na wpół zamknięte.

Oglądając się przez ramię, zobaczyłam, że jesteśmy obserwowani. Zamaskowani mężczyźni siedzieli na krzesłach ustawionych przy nogach łóżka, śmiali się i wykrzykiwali zachęty. W środku grupy, z nogą założoną na nogę siedział gospodarz. Księżę. Adair.

Obudziłam się przestraszona. Byłam w wielkim łóżku w mrocznym, cichym pokoju. Drobnym ruchu potrzebny do zmiany pozycji spowodował, że całe moje ciało przeszył ból. Miałam wrażenie, jakby wywrócono mnie na nice, taka byłam obolała i sztywna, od pasa w dół całkiem odrętwiała. W brzuchu bulgotała mi żółć. Twarz miałam napuchniętą, usta wyschnięte i popękane. Wiedziałam, co się wydarzyło ostatniej nocy, za cały dowód wystarczał mi ból. Teraz musiałam zrobić wszystko, by ująć z tej sytuacji z życiem.

A potem zobaczyłam leżącego obok mnie Adaira. We śnie jego twarz była niemal anielska. Z tego, co widziałam, był nagi, choć od pasa w dół okryty pościelą, a plecy miał poznaczone starymi bliznami, świadczącymi o straszliwej, powtarzanej co jakiś czas chłości.

Przechyliłam się przez krawędź łóżka i ściskając kurczowo materac, zwymiotowałam na podłogę.

Odgłosy obudziły gospodarza. Jęknął, dręczony kacem, tak przynajmniej pomyślałam, i uniosł dłoń do skroni, mrugając niepewnie.

- Dobry Boże, wciąż tu jesteś - powiedział.

Rozgniewana rzuciłam się na niego i chciałam go uderzyć, ale odepchnął mnie leniwym gestem potężnego ramienia.

- Nie zachowuj się głupio, bo złamię cię na pół jak patyczek - ostrzegł.

Pomyślałam o innych młodych kobietach i mężczyznach, których widziałam w nocy.

- Gdzie oni są? Ci inni? - zapytałam.

- Jak przypuszczam, wzięli zapłatę i odeszli - mruknął Adair, przesuając dłonią po rozczochranych włosach. - Sprowadź kogoś, żeby tu posprzątał - polecił i wyskoczył z łóżka.

- Nie jestem twoją służącą. I nie jestem... - Szukałam słowa, o którego istnieniu dotąd nie wiedziałam.

- Nie jesteś kurwą? - Ściągnął prześcieradło i owinął się w nie. - Ale dziewczicą też nie byłaś.

- To nie znaczy, że chcę, by podawano mi narkotyk i by gwałciło mnie wielu mężczyzn.

Adair nic nie powiedział. Przytrzymując prześcieradło na biodrach, podszedł do drzwi i głośno zawołał służącą, a potem odwrócił się do mnie.

- Więc myślisz, że źle cię potraktowałem? I co z tym zrobisz? Możesz opowiedzieć swoją historię konstablowi, ale on zamknie cię w areszcie za prostytucję. Proponuję więc, żebyś zabrała pieniądze i przed wyjściem zjadła coś w kuchni. - Przekrzywił głowę, znowu bacznie mi się przyglądając. - To ciebie Tilde znalazła na ulicy, nie miałaś dokąd pójść. Cóż... nikt nigdy nie powie, że nie jestem wielkoduszny. Możesz zostać z nami przez kilka dni. Odpoczniesz i zbierzesz myśli, jeśli ci to odpowiada.

- I będę musiała zarabiać na kolację tak samo jak wczoraj? - zapytałam zirytowana.

- Jesteś impertynentką, mówiąc do mnie w taki sposób. Zupełnie sama na świecie, nikt nie wie, że tu jesteś, mógłbym cię połknąć jak królika w potrawce. Czy to ani trochę cię nie przeraża? - Wykrzywił się, choć w jego grymasie była aprobata. - Zobaczmy, co przyjdzie mi do głowy. - Opadł na sofę, otulając się prześcieradłem. Jak na arystokratę, miał niezwykle grubiańskie maniery.

Próbowałam wstać i poszukać ubrania, ale w głowie mi się zakręciło i padłam z powrotem na łóżko. Do pokoju wszedł służący z wiadrem i szmatami. Nie zwracając na mnie uwagi, ukląkł i zajął się moimi wymiocinami. Dopiero wtedy poczułam pulsowanie we wnętrzościach, jedno doznanie zagubione w oceanie bólu. Od stóp do głów pokryta byłam zadrapaniami, pęcherzami i siniakami.

Wszystkie te zewnętrzne i wewnętrzne obrażenia zadały mi czyjeś brutalne dłonie.

Zamierzałam uciec z tego domu, nawet gdybym się miała czołgać. Zanim jednak doszłam do nóg łóżka, z wyczerpania straciłam przytomność.

Miało minąć wiele miesięcy, nim stamtąd wyszłam.

ROZDZIAŁ 16

Aroostook County, dzisiaj

S wit o tej porze roku ma charakterystyczny odcień, stłumioną żółtoszarą barwę jak otoczka żółtka gotowanego jajka. Luke mógłby przysiąc, że powietrze wisi nad ziemią niczym miazmat, przekleństwo ducha, ale wie, że przypuszczalnie to tylko gra światła w molekułach wody. Nieważne, czy są to fale świetlne, czy prastara klątwa, poranek ma szczególny wygląd: żółte niebo jest niskim sufitem z chmur złowieszczych kształtów, na którego tle odbijają się niemal gołe szare i brązowe drzewa.

Dostrzegłszy wóz policyjny we wstecznym lusterku, Luke decyduje, że nie mogą kontynuować podróży na kanadyjską granicę w jego pickapie. Jest zbyt rozpoznawalny, ma rejestrację lekarza i naklejkę na zderzaku z dawnej szkoły Jolene, która głosi, że dziecko kierowcy to wyróżniony uczeń podstawówki Allagasti River. (Ciekawe, od kiedy to w szkołach podstawowych są takie wyróżnienia, pytał Luke, kiedy Tricia się uparła, żeby umieścić tę naklejkę na zderzaku jego starego pickapa.) Tak więc od pół godziny wracają wyboistymi bocznymi drogami do St. Andrew;

kierują się do domu jedynej osoby, której Luke może zaufać. Zadzwoił z komórki, by zapytać o możliwość pożyczenia samochodu, głównie jednak chce się przekonać, czy szukała go policja.

Zatrzymuje samochód przed wielkim odnowionym domem poza granicami miasta. Dom jest piękny, jeden z największych i najlepiej utrzymanych, wieńce z gałązek wierzby zdobią taras biegnący wokół całego domu, podjazd oświetlają lampy solarne. Należy do nowego lekarza w szpitalu, anestezjologa imieniem Peter, który przeprowadził się tu z wielkiego miasta, bo wierzy, że wieś, gdzie nie ma przestępstw i narkotyków, to doskonałe miejsce dla dzieci. Jest niezwykle sympatycznym facetem, nawet dla Luke'a, który w ostatnich miesiącach odsunął się od ludzi, pogrążony w swoich problemach.

Drzwi otwiera Peter w płaszczu kąpielowym i pantoflach. Minę ma poważną. Wygląda na to, że telefon zerwał go z łóżka, i Luke'owi robi się nieprzyjemnie.

Peter kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku?

- Wybacz, wiem, że to dziwne żądanie - mówi Luke, przestępując z nogi na nogę. Głowę ma pochyloną. Przez ostatnie dziesięć minut ćwiczył w myślach to kłamstwo. - Chodzi o to, że... córka mojej kuzynki spędziła u mnie kilka dni, a ja obiecałem jej matce, że odwiozę ją na czas, by zdążyła na szkolną wycieczkę. Tylko że mój pickap kaprysi i obawiam się, że nie da rady przejechać w obie strony... - W głosie Luke'a brzmią we właściwych proporcjach niekompetencja i przeprosiny za postawienie przyjaciela w niewygodnej sytuacji, co sugeruje rodzaj niezgrabnej, dobroduszej bezradności, którą zignorować mógłby tylko ogr.

Peter ponad ramieniem Luke'a patrzy na pickapa zaparkowanego na końcu długiego podjazdu, gdzie (o czym Luke wie) Lanny

stoi z walizką u stóp. Jest zbyt daleko, żeby Peter zdołał dokładnie się jej przyjrzeć, więc niewiele będzie mógł powiedzieć, kiedy policja zacznie go wypytywać. Lanore macha do Petera.

- Skończyłeś dyżur, prawda? - Peter znowu patrzy na Luke'a tak uważnie, jakby sprawdzał, czy przyjaciel nie ma pcheł. - Nie jesteś zmęczony?

- Tak, ale wszystko w porządku. To była spokojna noc, trochę się przespałem - kłamie Luke. - Będę ostrożny.

Peter wyciąga z kieszeni kluczyki i kładzie Luke'owi na dłoni. Kiedy Luke chce mu wręczyć kluczyki do pickapa, Peter się cofa.

- Nie musisz mi ich zostawia... przecież nie wyjeżdżasz na długo, prawda?

Luke wzrusza ramionami, usiłując przybrać nonszalancką pozę.

- To na wypadek, gdybyś musiał go przestawić albo coś w tym rodzaju. Nigdy nic nie wiadomo.

Brama garażu na trzy samochody unosi się wolno. Luke sprawdza brelok przy kluczykach i przekonuje się, że Peter powierzył mu nowego luksusowego suwa w kolorze błyszczącej stali z ogrzewanymi skórzanymi fotelami i odtwarzaczem DVD w drugim rzędzie, żeby dzieci nie nudziły się w czasie długich podróży. Luke przypomina sobie, jak personel szpitala dokuczał Peterowi, kiedy po raz pierwszy przyjechał tym samochodem. W okolicy nikt takiego nie ma, jasne jest, że na koniec trzeciej zimy ze lśniącego lakieru nic nie zostanie, bo zeżre go sól z dróg.

Luke wycofuje samochód z garażu i czeka przy wyjeździe z podjazdu, aż Lanny wgramoli się na siedzenie.

- Ładny wóz - mówi Lanny, zapinając pas. - Umiesz korzystnie się wymieniać, co?

Nuci pod nosem, kiedy Luke kieruje się w stronę przejścia granicznego z Kanadą, tym razem dość dobrze ukryty za przyciemnianymi szybami. Luke ma wyrzuty sumienia z powodu swego

postępu. Nie potrafi dokładnie określić, dlaczego tak się czuje, choć podejrzewa, że nie zawróci zaraz po przekroczeniu granicy i dlatego zostawił kluczyki do starego, obitego wozu u przyjaciela. Nie chodzi o to, że Peter go potrzebuje, ma inne samochody, jeśli będzie musiał dokądś pojechać. To jednak poprawia mu samopoczucie, jakby zostawił dowód swych dobrych intencji, ponieważ zdaje sobie sprawę, że już niedługo Peter zacznie gorzej o nim myśleć.

Lanny łapie spojrzenie Luke'a, kiedy wjeżdżają na puste skrzyżowanie.

- Dziękuję ci - mówi dziewczyna z wdzięcznością. - Sprawiasz wrażenie człowieka, który nie lubi prosić o przysługę, więc... chcę, żebyś wiedział, jak bardzo doceniam, co dla mnie robisz.

Luke tylko kiwa głową, zadając sobie pytanie, jak daleko się posunie i ile go będzie kosztować pomoc w jej ucieczce.

ROZDZIAŁ 17

Boston, rok 1817

Obudziłam się w innym łóżku w innym pokoju. Siedział przy mnie ciemnowłosy mężczyzna z powozu i robił mi zimny kompres na czoło.

- Ach, wróciłaś do żywych - powiedział, kiedy otworzyłam oczy. Zdjął kompres z mojego czoła i wrzucił do wody, żeby nasiąkł.

Przez okno za jego plecami wpadało zimne światło, wiedziałam więc, że jest dzień, ale który? Zajrzałam pod kołdrę i przekonałam się, że mam na sobie prostą nocną koszulę. Umieścili mnie w osobnym pokoju, który - sądząc z wyposażenia - przeznaczony był dla wyższego rangą służącego.

- Dlaczego wciąż tu jestem? - zapytałam, wciąż nie całkiem przytomna.

Zignorował moje pytanie.

- Jak się czujesz?

Pojawił się ból w brzuchu, tępy i gorący.

- Jakby dźgnięto mnie zardzewiałym ostrzem.

Zmarszczył czoło, potem sięgnął po miskę z zupą, która stała na podłodze.

- Najlepszą rzeczą dla ciebie jest odpoczynek. Prawdopodobnie doszło do pęknięcia gdzieś tutaj... - dłonią wskazał mój brzuch - ...i musisz jak najszybciej wyzdrowieć, zanim zaczniesz się infekcja. Widywałem to wcześniej, sprawa bywa poważna.

Dziecko. Z wysiłkiem usiadłam.

- Chcę się widzieć z lekarzem. Albo akuszerką.

Zanurzył łyżkę w czystym bulionie, metal szczęknął o porcelanę.

- Za wcześnie na to. Przez jakiś czas cię poobserwujemy, zobaczymy, czy twój stan się pogarsza.

Pomiędzy przykładaniem kompresu a łyżkami bulionu odpowiadał na moje pytania. Najpierw się przedstawił. Na imię ma Alejandro i jest najmłodszym synem szlacheckiej rodziny z Toledo w Hiszpanii, nie może więc liczyć na odziedziczenie rodzinnego majątku. Drugi pod względem starszeństwa brat wstąpił do wojska i został kapitanem bojowego galeonu, trzeci służy na dworze hiszpańskiego króla i niedługo zostanie wysłany jako emisariusz za granicę. W ten sposób rodzina wypełniła zwyczajowe zobowiązania wobec króla i ojczyzny, a Alejandrowi pozostawiono swobodę podjęcia decyzji; poprzez rozmaite przypadki i zwroty losu w końcu znalazł się przy boku Adaira.

Adair, mówił Alejandro, jest prawdziwym arystokratą ze starego świata, bogactwem dorównuje księżtom, bo zdołał zachować posiadłość, która do jego rodziny należy od stuleci. Znużony Starym Kontynentem, przybył do Bostonu w poszukiwaniu odmiany, jako że słyszał wiele historii i zapragnął na własne oczy zobaczyć Nowy Świat. Alejandro i pozostali dwoje z powozu - kobieta imieniem Tilde i mężczyzna imieniem Donatello - byli dworzakami Adaira.

- Każdy arystokrata ma swój dwór - wyjaśnił Alejandro (wtedy usłyszałam to po raz pierwszy). - Musi otaczać się wykształconymi,

dobrze urodzonymi ludźmi, którzy dopilnują, by jego potrzeby były zaspokajane. Stanowimy bufor pomiędzy nim a światem.

Donatello pochodził z Włoch, gdzie był pomocnikiem i muzą wielkiego artysty, o którym nigdy nie słyszałam. Pochodzenie Tilde okryte jest tajemnicą, wyznał Alejandro. Wiedział o niej tylko tyle, że urodziła się w północnym kraju tak zaśnieżonym i zimnym jak mój. Tilde była już z Adairem, kiedy Alejandro wstąpił na dwór.

- Adair jej słucha, a Tilde potrafi wpadać w wielki gniew, więc bądź przy niej ostrożna - ostrzegł, zanurzając łyżkę w bulionie.

- Nie będę tu ani minuty dłużej niż trzeba - odparłam. - Odejdę, jak tylko poczuję się lepiej.

Alejandro nie skomentował moich słów, pozornie koncentrując się na przeniesieniu następnej pełnej łyżki do moich ust.

- Jest jeszcze jedna osoba na dworze Adaira - powiedział, po czym pośpiesznie dodał: - Pewnie jej nie spotkasz. Jest.... samotnicą. Ale się nie zdziw, jeśli ci się wyda, że widzisz ducha.

- Ducha? - Włosy stanęły mi dęba, powróciły opowieści woźniców o smutnych zmarłych, szukających swych ukochanych.

- Ona nie jest prawdziwym duchem - sprostował. - Choć równie dobrze mogłaby nim być. Trzyma się na uboczu, zobaczyć ją można tylko wtedy, gdy człowiek się na nią przypadkiem natknie jak na jelenia w lesie. Nie mówi i nie zwróci na ciebie uwagi, jeśli ty się do niej odezwiesz. Na imię ma Uzra.

Wdzięczna byłam Alejandrovi za to, że podzielił się ze mną wiedzą, ale każda informacja wprawiała mnie w zakłopotanie, bo stanowiła tylko kolejny dowód mojej ignorancji i zaściankowe wychowanie. Nigdy nie mówiono mi o zagranicznych krajach,

nie znałam nazwisk sławnych artystów. Najbardziej niepokojąca była Uzra - nie chciałam spotykać kobiety, która prowadzi życie zjawy. Co zrobił Adair, żeby powstrzymać ją od mówienia? Odciął jej język? Nie wątpiłam, że jest dostatecznie okrutny, by to uczynić.

- Nie wiem, dlaczego mi to wszystko mówisz - powiedziałam.

- Ja tu nie zostanę.

Alejandro obserwował mnie z pięknym uśmiechem chórzysty i błyskiem w oku.

- Och, to tylko sposób na zabicie czasu. Mam przynieść więcej zupy?

Kiedy wieczorem usłyszałam kroki Adaira i jego dworaków na korytarzu, wymknęłam się z łóżka na podest, żeby popatrzeć. Wyjeżdżali, by spędzić wieczór na mieście. Jacy byli piękni, odziani w aksamity i brokаты, upudrowani i uczesani przez służbę, która poświęciła na to wiele godzin. Tilde miała klejnoty wpięte w żółte włosy i usta pomalowane na czerwono. Nieskazitelnie biały fular podkreślał arystokratyczną szyję i długi podbródek Donatella. Alejandro w długim czarnym surducie spoglądał jak zawsze smutnym wzrokiem. Wymieniali błyskotliwe uwagi i mienili się barwami niczym bajecznie upierzone ptaki.

Przede wszystkim patrzyłam na Adaira, był bowiem zniewalający, dzikus w stroju dżentelmena. Wówczas przyszło mi to do głowy: wilk w owczej skórze wybiera się na wieczorne łowy z watahą szakali, które mają wykurzyć z nory jego zdobycz. Polowali na rozrywkę i w taki sposób upolowali mnie. On był wilkiem, ja królikiem z delikatną, pokrytą puchem szyją, w którą bez trudu mógł wbić swoje mocne zęby. Lokaj rzucił mu pelerynę na ramiona i kiedy Adair wychodził, spojrział w górę, jakby od początku wiedział, że tam jestem, posyłając mi półśmieszek, na którego widok się cofnęłam. Powinnam się go bać - bałam się go - a

równocześnie mnie hipnotyzował. Po części pragnęłam być jedną z nich, pragnęłam uwieszona na ramieniu Adaira wyruszać wraz z jego dworem na miasto w poszukiwaniu przyjemności i pochlebstw admiratorów.

Kiedy wrócili do domu, pogrążona byłam w półśnie, i wcale mnie nie zdziwiło, że Adair przyszedł do mojego pokoju i zaniósł mnie do swego łóżka. Pomimo mej choroby wziął mnie, a ja mu pozwoliłam, uległam podniecona jego ciężarem na moim ciele, obrzmiałym organem we mnie i dotykiem ust na skórze. Szeptał mi do ucha, choć były to bardziej jęki niż słowa, poza „nie możesz mi odmówić” i „moja” nic nie potrafiłam zrozumieć. To było tak, jakby tamtej nocy pieczętował fakt, iż do niego należę. Później leżałam obok niego i dygotałam z rozkoszy.

Kiedy następnego dnia rano obudziłam się w swoim cichym pokoiku, ból w dolnej części brzucha bardzo się nasilił. Próbowałam chodzić, ale każdy krok wywoływał ostre ułkucie i wydalałam kał z krwią. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że zdołam dotrzeć do drzwi, a co dopiero że znajdę kogoś, kto mi pomoże. Do wieczora rozwinęła się wysoka gorączka i przez kilka następnych dni na zmianę zapadałam w sen i budziłam się słabsza niż poprzednio. Skórę miałam bladą i wrażliwą na dotyk, oczy otoczone różowymi obwódkami. Siniaki i zadrapania goiły się wolniej, niż powinny. Alejandro, jedyny człowiek, który mnie odwiedzał, kręcąc głową, zawyrokował:

- Pęknięcie jelit.

- To z pewnością nie jest poważna choroba - odparłam z nadzieją.

- Jest, jeśli wda się zakażenie.

Mimo całej swej ignorancji w kwestii ludzkiej anatomii wiedziałam, że jeśli ból świadczy o powadze problemu, dziecko jest zagrożone.

- Lekarza - powiedziałam błagalnie, ściskając go za rękę.
- Porozmawiam z Adairem - obiecał.

Kilka godzin później do pokoju wpadł Adair. W jego twarzy nie było śladu świadczącego o tym, że pamięta o dzielonej przez nas rozkoszy. Usiadł koło łóżka i przycisnął palce do mojego czoła i policzków, by ocenić temperaturę.

- Alejandro mówi, że twój stan się nie poprawia.
- Proszę, poślij po lekarza. Zwrócę ci, kiedy tylko będę mogła...

Cmoknął, jakby chciał powiedzieć, że koszty nie mają znaczenia. Uniósł mi powiekę, pomacał okolice szczęki i wstał z taboretu.

- Zaraz wracam - rzucił, opuszczając pokój.

Drzemałam, gdy wrócił ze starym, powyginanym kuflem.

Posadził mnie i podał mi kufel. Zawartość miała zapach ziemi i wyglądała jak woda z trzęsawiska.

- Wypij - polecił.
- Co to jest?
- Poczujesz się lepiej, zobaczysz.
- Jesteś lekarzem?

Adair spojrzął na mnie z niesmakiem.

- Nie jestem lekarzem w takim sensie, w jakim ty to rozumiesz, powiedzmy raczej, że studiowałam medycynę tradycyjną. Gdyby ten napar dłużej postał na ogniu, smakowałby o wiele lepiej, ale nie ma na to czasu - wyjaśnił, jakby nie chciał, bym z powodu nieprzyjemnego smaku niżej oceniła jego umiejętności.

- To znaczy, że jesteś kimś w rodzaju akuszerki? - Rozumiało się samo przez się, że akuszerki (choć w naszej wiosce one jedyne praktykowały medycynę) nie miały wykształcenia, jako że kobietom nie wolno było wstępować na studia medyczne. Wiedzę

o porodach i działaniu ziół zdobywały w praktyce jako pomocnice doświadczonych babek, często ucząc się od matek lub innych krewnych.

- Niezupełnie - odparł kwaśno, najwyraźniej nie traktując akuszerkę ani trochę poważniej niż lekarzy. - Wypij to.

Zrobiłam, jak kazał, bo pomyślałam, że nie zgodzi się sprowadzić lekarza, jeśli zirytuje go odmową wypróbowania jego leku. Wydało mi się, że zaraz zwymiotuję, napar miał trawiasty smak i pełno w nim było piasku, którego nie potrafiłam wypluć z ust.

- A teraz odpocznij, potem zobaczymy, jak sobie radzisz - powiedział, sięgając po kufel.

Położyłam mu dłoń na przegubie. - Powiedz mi, Adair... - Zraz jednak zabrakło mi słów.

- Co ci mam powiedzieć?

- Nie mam pojęcia, jak rozumieć twoje zachowanie względem mnie... Ostatniej nocy...

Wykrzywił piękne usta w okrutnym uśmiechu.

- Czy to tak trudno zrozumieć? - Pomógł mi się położyć, okrył mnie kołdrą i bardzo delikatnie pogładził po włosach. Na moment kpiący wyraz jego twarzy złagodniał, w chłopięcych rysach i zielonych oczach dostrzegłam cień dobroci. - Nie pomyślałaś, że się do ciebie przywiązałem, Lanore? Zaskoczyłaś mnie, nie jesteś zwykłą obdartuską, którą Tilde znalazła na ulicy. Wyczuwam coś w tobie... jesteś pokrewną duszą, choć nie pojąłem jeszcze, na czym to polega. Ale to tylko kwestia czasu. Najpierw musisz wyzdrowieć. Poczekamy, zobaczymy, czy eliksir ci pomógł. Odpocznij teraz, później ktoś do ciebie zajrzy.

Jego wyznanie bardzo mnie zaskoczyło. Gdybym miała sądzić po tamtej nocy, łączył nas wzajemny pociąg. Pożądanie, ujmujące rzecz prosto. Z jednej strony, uderzyło mi do głowy, że szlachcic, mężczyzna majątny i utytułowany, zainteresował się mną, z drugiej jednak, widziałam wyraźnie, że jest sadystą i egoistą.

Dostrzegałam znaki ostrzegawcze, ale Adair darzył mnie przywiązaniem, będącym substytutem uczucia, którego z taką mocą pragnęłam od innego mężczyzny.

Żołądek mi się uspokoił, zapomniałam o gorzkim smaku eliksiru. Miałam nową zagadkę do rozwiązania, ale lek Adaira okazał się silniejszy od mojej ciekawości i dość szybko zapadłam w spokojny sen.

Minęła kolejna noc, po niej dzień, a lekarz nie przychodził i zaczęłam się zastanawiać, jaką grę prowadzi Adair. Od tamtej rozmowy mnie nie odwiedził, choć przysyłał służących z dodatkowymi dawkami eliksiru. Po trzydziestu sześciu godzinach jego motywy znowu zaczęły budzić we mnie podejrzliwość.

Musiałam wydostać się z tego domu. Jeśli zostanę, umrę w tym łóżku, a dziecko umrze ze mną. Musiałam znaleźć medyka, który przywróci mnie do zdrowia albo w najgorszym wypadku utrzyma przy życiu do dnia połogu. Dziecko będzie jedynym dowodem na miłość Jonathana do mnie i zamierzałam zrobić absolutnie wszystko, by ów dowód żył po mojej śmierci.

Wygramoliłam się z łóżka, by poszukać swej torby, kiedy jednak schylałam się pod łóżko i kredens, uświadomiłam sobie lodowatą wilgotną tkaninę pomiędzy nogami. Zdjęli ze mnie bieliznę i owinęli w rodzaj pieluchy, w którą wsiąkały wyciekające ze mnie cuchnące brudy; w żaden sposób nie mogłam wędrować ulicami w takim stroju, nie ryzykując, że wezmą mnie za wariatkę i zamkną w zakładzie dla obłąkanych. Potrzebowałam ubrania, mojej peleryny, ale wszystko mi zabrali.

Oczywiście wiedziałam, gdzie znajdę odzienie - w pokoju pełnym kufrów, dokąd zabrali mnie w tamtą pierwszą, brzemienną w skutki noc.

Na korytarzu panowała cisza, z dołu dobiegała tylko rozmowa prowadzona przez dwoje służących. Nikogo nie widziałam. Powlokłam się do schodów, ale taka byłam osłabiona, że na następne piętro musiałam się wczołgać na czworakach. Gdy się tam znalazłam, oparłam się o ścianę, by wyrównać oddech i połapać się w sytuacji. Który korytarz prowadzi do pokoju z kuframi? Wszystkie wyglądały tak samo, tyle tu było drzwi... Nie miałam czasu ani siły, by kolejno je sprawdzać...

Gdy tak stałam, walcząc ze łzami bólu i rozpacz, podtrzymując w sobie pragnienie ucieczki, ujrzałam ją. Zjawę.

Kącikiem oka dostrzegłam ruch. Pomyślałam, że to podku-chenna idzie do swej kwatery na strychu, ale postać, która zatrzymała się na podeście, nie była zwykłą służącą.

Niewysoka i drobna, można by ją wziąć za dziecko, gdyby nie pełny biust i okrągłe biodra. Kobięcą figurę osłaniał egzotyczny kostium z cienkiego jak bibułka jedwabiu: marszczone spodnie i tunika bez rękawów z wielkim dekoltem, odsłaniającym piersi. Były cudowne, okrągłe, jędrne i sterczące. Wystarczyło spojrzeć na nie, by wiedzieć, jak ciężko spoczną w dłoni - na widok takich piersi każdemu mężczyźnie cieknie ślinka.

Ponętnemu ciału towarzyszyła piękna twarz. Migdałowe oczy, podkreślone czarną kredką, wydawały się większe niż w rzeczywistości, włosy w odcieniach miedzi, kasztanu i złota spadały burzą loków na plecy. Alejandro idealnie określił odcień jej skóry: cynamon jakby posypany minką, przez co lśniła niczym drogocenny klejnot. Opisuję ją teraz tak dokładnie, bo po tamtym incydencie spotykałam ją wielokrotnie i wiedziałam, że jest istotą z krwi i kości, wówczas jednak mogła być zjawą, idealną fantazją seksualną, wysnutą przez męski umysł. Jej widok zapierał dech i przerażał. Obawiałam się, że jeśli wykonam jakiś ruch, kobieta zniknie.

Wpatrywała się we mnie czujnym wzrokiem.

- Nie odchodź, proszę. Potrzebuję twojej pomocy. - Zmęczona staniem, oparłam się o balustradę. Kobieta bezszelestnie zrobiła krok do tyłu. - Błagam, nie zostawiaj mnie. Jestem chora i muszę się stąd wydostać. Potrzebuję twojej pomocy, jeśli mam żyć. Na imię masz Uzra, prawda?

Słyszając swe imię, kobieta tanecznym krokiem cofnęła się i pobiegła na strych. Nie wiem, czy w tamtym momencie siły mnie opuściły, czy też moja determinacja osłabła, ale osunęłam się na podłogę. Sufit zawirował mi przed oczyma niczym latarnia kręcąca się na sznurze, a potem wszystko utonęło w ciemności.

Ustłyszałam cichy głos, dotyk dłoni.

- Co ona robi poza swoim pokojem? - To był głos Adaira, brzmiał w nim gniew. - Mówiłeś, że nie jest w stanie wstać z łóżka.

- Najwyraźniej jest silniejsza, niż na to wygląda - mruknął Alejandro.

Ktoś mnie podniósł i wydało mi się, że nic nie ważę.

- Zanieś ją z powrotem i zamknij na klucz - polecił Adair, choć słyszałam go coraz słabiej. - Czy ona umrze?

- Cholera, skąd mam to wiedzieć? - szepnął Alejandro, po czym głośniejszym głosem dodał: - Jak przypuszczam, to zależy od ciebie.

Zależy od niego? Na Boga, jak to możliwe, by od niego zależało, czy będę żyła, czy umrę? Nie miałam czasu dłużej się zastanawiać nad tą zadziwiającą rozmową, bo znowu osuwałam się w pozbawioną światła, bezdźwięczną otchłań.

ROZDZIAŁ 18

Ona umiera. Nie dożyje wieczoru. Słowa Alejandra nie były przeznaczone dla moich uszu. Powieki mi zadrżały. Alejandro i Adair stali przy łóżku, ręce mieli skrzyżowane na pierśsiach w geście rezygnacji, miny poważne.

Oto zbliżał się ostateczny koniec, a ja wciąż nie miałam pojęcia, co zamierzają ze mną zrobić, dlaczego Adair fatygował się wyznaniem miłości czy podawaniem mi leczniczych naparów, ale odmawiał opieki lekarza. Na tym etapie jego dziwne zachowanie nie miało najmniejszego znaczenia, czekała mnie bliska śmierć. Jeśli chodziło im o moje ciało - do sekcji czy medycznego eksperymentu, do wykorzystania w satanistycznym rytuale - w żaden sposób nie mogłam ich powstrzymać. Kimże bowiem byłam, jeśli nie włączęgą bez grosza przy duszy, bez przyjaciół? Znalazłam się w położeniu gorszym niż służąca, pozwoliłam bowiem, by w zamian za schronienie i strawę nieznajomi robili ze mną, co dusza zapagnie. Płakałabym nad sobą, gdyby gorączka nie wypaliła wszystkich moich łez.

Musiałam się zgodzić z wnioskiem Alejandra: to z całą pewnością agonია. Ciało nie może czuć się tak okropnie i nadal żyć.

W mym wnętrzu szalał pożar, mięśnie płonęły. Cierpiałam. Przy każdym oddechu żebra trzeszczały jak zardzewiały zawiasy. Gdyby nie żal, że zabiorę ze sobą dziecko Jonathana, i strach przed wielkim ciężarem grzechów, za które zostanę osądzona, modliłabym się do Boga, by okazał mi łaskę i pozwolił mi umrzeć.

Żałowałam tylko jednego: że nigdy więcej nie zobaczę Jonathana mego ukochanego. Z całej siły wierzyłam, iż jesteśmy sobie przeznaczeni, w głowie mi się nie mieściło, że umrę, nie mogąc dotknąć jego twarzy, że nie będzie trzymał mnie za rękę, gdy wydam ostatnie tchnienie. W tamtej chwili uświadomiłam sobie powagę swej sytuacji: umrę tutaj, nic na to nie jestem w stanie poradzić, żadne modły nie skłonią Boga do zmiany tego wyroku. A ja nade wszystko pragnęłam ujrzeć Jonathana.

- Decyzja należy do ciebie - mówił Alejandro do milczącego Adaira. - Jeśli ta kobieta ci odpowiada. Dona i Tilde wyrazili się jasno...

- Ta sprawa nie podlega głosowaniu - warknął Adair.

- Żadne z was nie decyduje o tym, kto dołączy do mojego orszaku. Wszyscy żyjecie wyłącznie dla mojej przyjemności. - Czy usłyszałam go dobrze? Wydawało mi się, że nie, słowa zniekształconym echem odbijały się w mojej głowie.

- I służycie moim rozkoszom - Nachylił się i przesunął dłonią po moim spoconym czole. - Widzisz wyraz jej twarzy, Alejandro? Wie, że umiera, ale się nie poddaje. Ten sam wyraz widziałem na twojej twarzy i na twarzy Tilde... zawsze jest taki sam. - Ujął mnie pod brodę. - Posłuchaj, Lanore, zamierzam wręczyć ci rzadki dar. Rozumiesz? Jeśli nic nie uczynię, umrzesz. Oto umowa... W chwili gdy umrzesz, złapię cię i sprowadzę twą duszę z powrotem na ziemię. To jednak oznacza, że będziesz do mnie należała bez reszty, nie tylko ciałem. Posiadanie twego ciała jest rzeczą prostą, mogę uczynić to teraz. Ja od ciebie chcę więcej, chcę twej

płomiennej duszy. Zgadzasz się na to? - zapytał, badawczo spoglądając mi w oczy. - Przygotuj się.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

Nachylił się nade mną jak ksiądz, który zaraz wysłucha mojej spowiedzi. W dłoni trzymał wysmukły niczym dziób kolibra srebrny pojemnik, z którego wyjął korek w kształcie igły.

- Otwórz usta - polecił, ale mnie sparaliżowało przerażenie. - Otwórz usta, do diabła, w przeciwnym razie złamię ci szczękę.

Byłam kompletnie zdezorientowana i w tym zamęcie wydało mi się, że chce mi dać ostatnie namaszczenie (pochodziłam przecież z katolickiej rodziny), a ja pragnęłam rozgrzeszenia za moje grzechy. Otworzyłam więc usta i zamknęłam oczy.

Adair przesunął zatyczką po moim języku. Nie poczułam tego (zatyczką była bardzo mała), ale język natychmiast mi zdrętwiał i poczułam okropny smak. Usta wypełniły mi się śliną, ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje. Adair siłą zamknął mi usta i przygwoździł mnie do łóżka. Czułam smak krwi, gorzki i kwaśny od eliksiru. Czyżby mnie otruił, by przyspieszyć agonię? Zatraciłam się we własnej krwi, nic więcej nie czułam. Słyszałam, jak Adair mamrocze słowa, które nie miały najmniejszego sensu. Panika usunęła z mej głowy wszystko, zwłaszcza logikę. Nie obchodziło mnie, co Adair mówi, dlaczego to robi. Byłam w szoku.

Klatkę piersiową ścisnął mi wielki ból. Panika wzrosła. Powróciło wrażenie, iż żebra to zardzewiałe zawiasy. Nie potrafiłam oddychać. Wiedziałam, że serce przestaje mi bić, płuca odmawiają dalszej pracy. W myślach miałam mętlik. Umierałam, lecz nie samotnie. Instynktownie przycisnęłam dłonie do brzucha, który zaczął przybierać jednoznaczny kształt.

Adair znieruchomiał, na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

- Mój Boże, ona jest brzemienna. Nikt o tym nie wiedział? - ryknął, okręcając się na pięcie i wymierzając cios Alejandrowi. Moje ciało kawałek po kawałku przestawało istnieć, przerażona dusza szukała schronienia.

A potem pogrążyła się w nieświadomości.

Obudziłam się.

Naturalnie najpierw pomyślałam, że ten straszliwy epizod mi się śnił, że mam za sobą najgorszy okres choroby i zaczynam odzyskiwać zdrowie. Te wyjaśnienia przyniosły chwilową ulgę, nie potrafiłam jednak zaprzeczyć, że przytrafiło mi się coś strasznego i nieodwracalnego. Jeśli bardzo się skupiłam, przypominałam sobie mgliste obrazy: ktoś przyciska mnie do materaca, ktoś wynosi wielką miedzianą misę, wypełnioną gęstą, cuchnącą krwią.

Obudziłam się w łóżku w moim małym pokoju, ale panował w nim upiorny chłód, ogień w palenisku dawno zgasł. Zastłony na jedynym oknie zaciągnięto, przez szparę jednak widać było skrawek nieba. W Nowej Anglii niebo ma taką szarą barwę jesienią, lecz dla moich oczu te drobne promienie światła okazały się jaskrawe i bolesne.

W gardle mnie paliło, jakbym wypita kwas. Postanowiłam poszukać wody, ale kiedy usiadłam, natychmiast bezwładnie padłam z powrotem na pościel, bo cały pokój zawirował. Światło, poczucie równowagi: byłam strasznie wrażliwa, jak to osoba zmieniona przez długotrwałą chorobę.

Choć w gardle i w głowie czułam ogień, resztę ciała miałam zimną. Moich mięśni nie spalała gorączka. Poruszałam się ociężale, jakbym przez wiele dni dryfowała w lodowatej wodzie. O jednej ważnej zmianie nikt nie musiał mi mówić: pod sercem nie nosiłam już dziecka. Nie było go.

Opuszczenie pokoju zajęło mi prawie pół godziny; najpierw powoli przyzwyczajałam się do stania, później do stawiania kroków. Gdy wolno pokonywałam korytarz, zbliżając się do pokoiów dworzan, słyszałam dokładnie, ze zwierzącą wprost wyrazistością, zwyczajne domowe odgłosy: prowadzoną szeptem rozmowę kochanków w łóżku, chrapanie głównego lokaja w składziku z pościelą, szum wody wylewanej z ogromnego sagana.

Chwiejąc się na nogach, przystanąłam przed drzwiami Alejandra. Zbierałam się woli, by wejść i zażądać od niego wyjaśnień, co stało się ze mną i moim nienarodzonym dzieckiem. Uniosłam dłoń, chcąc zapukać, ale się powstrzymałam. Cokolwiek mi się przytrafiło, było poważne i nieodwracalne. Wiedziałam, kto za to odpowiada, postanowiłam więc zwrócić się do niego, do człowieka, który położył truciznę na moim języku, szeptał mi do ucha magiczne słowa i sprawił, że wszystko się zmieniło. Do tego, który - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - odebrał mi dziecko. Ze względu na nie musiałam być silna.

Odwrociłam się i ruszyłam korytarzem. Znowu uniosłam dłoń, by zapukać, i znowu zmieniłam zdanie. Nie stanę przed Adairem jak służąca, która prosi o pozwolenie na rozmowę.

Drzwi otworzyły się od razu. Znałam pokój i zwyczaje jego lokatora, podeszłam więc prosto do alkowy, w której spał Adair. Leżał pod sobolową narzutą, nieruchomy jak trup, i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w sufit.

- Wróciłaś do nas - powiedział tonem bardziej deklaracji niż obserwacji. - Jesteś z powrotem między żywymi.

Bałam się go. Nie potrafiłam wytłumaczyć tego, co mi zrobił, nie rozumiałam, dlaczego nie uciekłam, gdy Tilde zaprosiła mnie do powozu, dlaczego na to wszystko pozwoliłam. Nadeszła jednak pora, by stawić mu czoło.

- Co mi zrobiłeś? Co się stało z moim dzieckiem?

Przesunął na mnie swe złowrogie jak u wilka oczy.

- Umierałaś z powodu zakażenia i uznałem, że nie chcę, byś odeszła, jeszcze nie. A ty nie chciałaś umrzeć, widziałem to w twoim spojrzeniu. Jeśli chodzi o dziecko, nie mieliśmy pojęcia, że jesteś w ciąży. Po podaniu eliksiru dziecka nie dało się uratować.

W oczach wezbrały mi łzy, bo po wygnaniu z St. Andrew, po pokonaniu straszliwego zakażenia odebrano mi bezmyślnie dziecko.

- Co zrobiłeś... jak zapobiegłeś mojej śmierci? Powiedziałeś, że nie jesteś lekarzem...

Wstał z łóżka i narzucił jedwabny szlafrok. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, złapał mnie za rękę i wyprowadził z pokoju.

- Nie można wyjaśnić tego, co się z tobą stało. Można to tylko pokazać.

Powłókł mnie po schodach na tyły domu. Po drodze minęliśmy Donatella. Adair strzelił palcami i polecił:

- Chodź z nami.

Zabrał mnie do pomieszczenia za kuchnią, gdzie w ogromnych garnkach gotowano dla licznych gości i trzymano inne sprzęty: formy do pieczenia, w które ryby wkładano jak do żelaznej dziewicy, blachy, beczkę z wodą do użytku domowego.

Adair wepchnął mnie w objęcia Donatella i głową wskazał beczkę. Dona przewrócił oczyma, podwijając rękaw, po czym zręcznym jak gospodyni, która łapie kurę na obiad, chwycił mnie za kark i zanurzył mi głowę w wodzie. Nie miałam czasu, żeby się przygotować, zachłysnęłam się wodą. Z siły jego uchwytu wiedziałam, że nie zamierza mnie puścić. Mogłam się tylko rzucać i wrywać w nadziei, że przewrócę beczkę albo on okaże mi litość. Dlaczego Adair uratował mnie z choroby, skoro teraz chce mnie utopić?

Krzyczał na mnie, słyszałam jego głos przez chłupot, ale nie rozumiałam słów. Minęło sporo czasu, chociaż wiedziałam, że musi mi się tak tylko zdawać. Mówiono, że ogarnięci paniką ludzie w agonii doświadczają ostatnich sekund z wielką wyrazistością. W moich płucach nie pozostała ani drobina powietrza, śmierć z pewnością nadejdzie lada chwila. Odrętwiała z przerażenia i zimna, czekałam na swój koniec. Pragnęłam połączyć się z moim dzieckiem, po tym wszystkim, co mi się zdarzyło, byłam gotowa się poddać. Zaznać spokoju.

Donatello szarpnięciem wyciągnął mi głowę z beczki, z włosów na moje ramiona pociekła woda, rozchlapując się po podłodze. Pomógł mi się wyprostować.

- No i co myślisz? - zapytał Adair.

- Próbowałeś mnie zabić!

- Ale nie utonęłaś, prawda? - Podał Donie ręcznik, którym ten z niesmakiem wytarł sobie rękę. - Donatello trzymał cię pod wodą przez dobre pięć minut, ale ty stoisz i jesteś żywa. Woda cię nie zabiła. Jak myślisz, dlaczego?

Zamrugałam, bo w oczach wciąż miałam wodę.

- Nie... nie mam pojęcia.

Uśmiechnął się jak trupia czaszka.

- Bo jesteś nieśmiertelna. Nigdy nie umrzesz.

Kucałam przy ogniu w sypialni Adaira. Dał mi szklankę i butelkę brandy, a sam położył się na łóżku. Patrzyłam w płomienie, nie korzystając z poczęstunku. Nie chciałam mu wierzyć, nie chciałam od niego niczego. Skoro nie mogłam go zabić za to, że zabrał mi dziecko, pragnęłam od niego uciec. Znowu jednak nie potrafiłam się poruszyć ani zebrać myśli ze strachu, a resztki zdrowego rozsądku ostrzegały mnie, że nie powinnam tego robić. Musiałam najpierw go wysłuchać.

Obok łóżka znajdował się dziwny instrument z miedzi i szkła, zbudowany z rurek i komór - teraz wiem, że to hookah, fajka wodna, ale w tamtym czasie to było tylko egzotyczne urządzenie, wydziela słodki dym. Adair pociągnął z fajki i wydmuchnął długi strumień dymu w kierunku sufitu. Oczy mu się zaszkliły, członki odprężyły.

- Rozumiesz wreszcie? - zapytał. - Przestałaś być śmiertelna. Znajdujesz się poza życiem i śmiercią. Nie możesz umrzeć. - Podsunął mi ustnik, ale odmówiłam. - Nieważne, jak ktoś będzie chciał cię zabić: nożem, bronią palną, trucizną, wodą, zakopując głęboko w ziemi. Choroba ani plaga głodu też tego nie dokonają.

- Jak to możliwe?

Znowu pociągnął z fajki, przez chwilę trzymał w płucach narkotyczny dym, potem go wypuścił.

- Na to pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć. Długo się nad tym zastanawiałem, rozważałem, próbowałem rozgryźć tę tajemnicę za pomocą wszelkiego rodzaju narkotyków. Nie uzyskałem odpowiedzi. Nie potrafię tego wyjaśnić i przestałem szukać wytłumaczenia.

- Mówisz, że nie umrzesz?

- Mówię, że żyję od setek lat.

- A kto w boskim wszechświecie jest nieśmiertelny? - zapytałam i zaraz sama sobie odpowiedziałam: - Aniołowie.

Adair prychnął.

- Zawsze aniołowie, zawsze Bóg. Dlaczego tak jest, że kiedy człowiek słyszy głos przemawiający do niego, zakłada, że to Bóg?

- Chcesz powiedzieć, że to dzieło szatana?

Podrapał się po płaskim brzuchu.

- Powiadam, że szukałem odpowiedzi, ale żaden głos do mnie nie przemówił. Ani Bóg, ani Szatan nie zadali sobie trudu, by mi wyjaśnić, w jaki sposób ten... ten cud... mieści się w ich planach.

Nikt mi nie rozkazał, bym postąpił wedle jego życzenia. Mogę z tego wywnioskować tylko tyle, że nie jestem niczym sługą, nie mam pana. Wszyscy jesteśmy nieśmiertelni, Alejandro, Uzra i pozostali. Ja wszystkich was takimi uczyniłem, rozumiesz? - I znowu pociągnął z fajki, woda zagulgotała. - Zostawiłaś śmierć za sobą.

- Proszę, przestań tak mówić. Przerażasz mnie.

- Przywykniesz i już niedługo przestaniesz się bać. Nie będziesz miała powodu do strachu. Teraz musisz stosować się do jednej tylko reguły, okazywać posłuszeństwo tylko jednemu człowiekowi, czyli mnie. Bo teraz zyskałaś na własność swoją duszę, Lanore. Swoją duszę i życie.

- Muszę być ci posłuszna? Czy to znaczy, że jesteś Bogiem? - prychnęłam z całą arogancją, na jaką w jego obecności było mnie stać.

- Bóg, w którego wierzyłaś od dziecka, zrezygnował z ciebie. Pamiętasz, co powiedziałem, zanim otrzymałaś dar? Jesteś moją własnością teraz i na zawsze. Ja jestem twoim bogiem, a jeśli mi nie wierzysz i chcesz poddać próbie to, co ci mówię, proponuję, byś się mi sprzeciwiła.

Pozwoliłam, by zaprowadził mnie do łóżka, i nie protestowałam, kiedy położył się koło mnie. Podał mi ustnik i gładził mnie po wilgotnych włosach, gdy wdychałam ciężkie opary. Narkotyk mnie otoczył, otulił, strach się rozpułynał. Teraz, gdy byłam znużona i śpiąca, Adair okazywał mi niemal czułość.

- Nie mogę podać ci żadnych wyjaśnień, Lanore, ale opowiem ci historię. Moją historię. Dowiesz się, w jaki sposób taki się stałem, a wtedy może zrozumiesz.

ROZDZIAŁ 19

Węgry, A. D. 1349

Gdy Adair zobaczył nieznanego, przeszło go złe przecucie i od razu wiedział, że starzec przyszedł po niego.

Zmierzch był czasem świętowania dla wędrownych robotników, z którymi podróżowała rodzina Adaira. Gdy zapadała noc, rozpalali wielkie ogniska, by radować się jedynym fragmentem dnia, który mogli nazwać swoim. Praca w polu dobiegła końca, teraz się gromadzili, by dzielić się jedzeniem i rozrywką. Jego wuj jeszcze nie zdążył się upić, grał ludowe melodie na skrzypkach, akompaniując śpiewającym kobietom, w tym matce Adaira. Ktoś przyniósł tamburyn, inny bałajkę. Adair siedział z całą rodziną, pięcioma braćmi, bratowymi i dwoma siostrami. Tego wieczoru jego szczęście było kompletne, bo po drugiej stronie ogniska przez strzelające płomienie ujrzał zbliżającą się w otoczeniu swej rodziny Katarinę.

Wszyscy w obozie prowadzili wędrowne życie. Dawno, dawno temu byli niewolnikami węgierskiego pana, ale uciekł, zostawiając

ich na pastwę bandytów. Opuścili wioski i od tamtej pory wynajmowali się do żniw, kopania rowów, plewienia, do każdej roboty, która się im trafiała. W tamtym czasie królestwo Węgier prowadziło wojnę z królestwem Rumunii, w kraju pozostało zbyt mało madziarskiej szlachty, która otoczyłaby opieką wagabundów, nawet gdyby miała na to ochotę.

Tyle czasu minęło, odkąd zmuszeni byli opuścić swój dom, że Adair zapomniał, jak to jest, kiedy się śpi pod dachem, dysponuje tym skromnym poczuciem bezpieczeństwa. Jego bracia Istvan i Radu byli małymi dziećmi, gdy musieli uciekać, i nie mieli żadnych wspomnień o wcześniejszym, szczęśliwszym życiu. Adair czuł się źle na myśl, że jego młodszy bracia nie pamiętali tamtego okresu i zdumiewała ich melancholia dręcząca rodzeństwo i rodziców.

Tamtego wieczoru przy ognisku pojawił się nieoczekiwane nieznanym. Adairowi rzuciło się w oczy przede wszystkim to, że był bardzo stary, wyglądał jak skurczony trup, oparty o łaskę, a gdy się zbliżył, to wrażenie jeszcze się pogłębiło. Skórę miał cienką niczym papier, pomarszczoną na podobieństwo skóry zasuszonej moreli i poznaczoną plamkami świadczącymi o wieku. Mimo iż oczy pokrywało mu młeczne bielmo, była w nich jakaś przenikliwość. Białe jak śnieg długie, gęste włosy, splecione w warkocz spadały na plecy. Najbardziej uwagę zwracało jednak jego odzienie, uszyte na modłę rumuńską z kosztownej tkaniny. Kimkolwiek był, dysponował majątkiem, a chociaż stary, nie bał się nocą samotnie wejść do obozu wędrowców.

Przepchnął się przez krąg ludzi i stanął w jego środku, tuż obok ogniska. Gdy wodził wzrokiem po twarzach, Adairowi krew zastygła w żyłach. Adair niczym się nie różnił od innych chłopców w obozie, wszyscy byli niewykształceni, brudni, niedożywieni. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego powodu, dla którego starzec miałby go wybrać, ale złe przecucie było tak silne, że

zerwałby się na równe nogi i uciekł, gdzie pieprz rośnie, gdyby nie powstrzymała go głupia młodzieńcza duma - nic nie zrobił temu starcowi, więc dlaczego miałby się przed nim chować?

Przyjrawszy się w milczeniu twarzom oświetlonym migotliwymi płomieniami, starzec uśmiechnął się nieprzyjemnie, uniósł rękę i wskazał Adaira, po czym obejrzał się na starszych. Wszyscy znieruchomieli, ucichła muzyka i śmiechy. Wzrok dotąd utkwiony w starcu przenieśli na chłopca.

Ciszę przerwał jego ojciec. Wyminął starsze dzieci i złapał Adaira za rękę, o mało nie wyrwijając jej ze stawu.

- Coś ty narobił, chłopcze? - syknął przez szczerbate zęby. - Nie siedź tutaj, chodź ze mną. - Pociągnął syna, stawiając go na nogi. - A wy na co się gapiacie? Wracajcie do opowiadania historyjek i do głupich piosenek!

Po tych słowach powlókł Adaira za sobą. Chłopiec czuł na plecach spojrzenia swoich bliskich i Katariny.

Przystanęli pod rozłożystym drzewem, poza zasięgiem słuchu zgromadzonych przy ognisku. Dołączył do nich nieznamomy.

Adair próbował pomniejszyć swój problem.

- Nie wiem, kogo szukacie, panie, ale przysięgam, że to nie ja. Bierzeć mnie za kogoś innego.

Ojciec uderzył go w twarz.

- Coś zrobił? Ukradłeś kurę? Zabrałeś ziemniaki albo cebulę z pola?

- Przysięgam - powtórzył Adair, trzymając się za palący policzek i wskazując starca. - Nie znam go.

- Nie pozwól, by poniosła cię przesiąknięta poczuciem winy wyobraźnia. Nie oskarżam chłopca o żadne przestępstwo - zwrócił się starzec do ojca Adaira. Spoglądał na obu z pogardą, jakby miał przed sobą złodziei lub żebraków. - Chcę, żeby twój syn dla mnie pracował.

Na plus ojcu zapisać trzeba, że ofertę potraktował podejrzliwie.

- A jaki możecie mieć z niego pożytek? Nie posiada żadnych umiejętności. Jest parobkiem.

- Potrzebny mi służący. Chłopiec z mocnymi plecami i krzepkimi nogami.

Adair widział, że w jego życiu dokonuje się nagły, niepożądany zwrot.

- Nigdy nie pracowałem jako służący. Nie wiedziałbym, co począć...

Drugi wymierzony przez ojca policzek skutecznie go uciszył.

- Nie umniejszaj swojej wartości - warknął ojciec. - Możesz się nauczyć, nawet jeśli umiejętność uczenia się nie jest twoją silną stroną.

- Naucz się, widzę to. - Nieznajomy wolno okrążył Adaira, przyglądając mu się szacująco niby koniowi na złodziejskim targu. W ślad za nim unosił się zapach, dymny i suchy jak kadzidło. - Nie potrzebuję pomocnika z błyskotliwym umysłem, tylko kogoś, kto pomoże słabemu starcowi radzić sobie z codziennymi wymaganiami, stawianymi przez życie... - Zmrużył oczy, w jego zachowaniu znowu pojawiła się gwałtowność. - Mieszkam daleko stąd i drugi raz w tę podróż się nie wybiorę. Jeśli twój syn chce tej pracy, musi dzisiaj w nocy ze mną wyjechać.

- Dzisiaj w nocy? - Adairowi ścisnęło się gardło.

- Gotów jestem zapłacić ci kontrybucję za utratę syna - rzekł nieznajomy. Słyszając to, Adair wiedział, że jest zgubiony, ojciec bowiem w żadnym razie nie zrezygnuje z pieniędzy. Teraz już była z nimi matka, stała w cieniu drzewa i mięta spódnicę w dłoniach. Czekwała z Adairem, podczas gdy ojciec i nieznajomy targowali się o cenę. Kiedy wreszcie ją uzgodnili i nieznajomy poszedł przygotować konia, matka Adaira podbiegła do męża.

- Co ty robisz? - krzyknęła, chociaż wiedziała, że mąż nie zmieni zdania. Dyskusja nie miała sensu.

Dla Adaira wszakże stawka była większa, a ponieważ nie miał nic do stracenia, zwrócił się do ojca z wyrzutami:

- Dlaczego tak mnie traktujesz? W obozie pojawia się nieznanomy, a ty mu sprzedajesz jedno ze swoich dzieci? Co o nim wiesz?

- Jak śmiesz mi się sprzeciwiać! - Ojciec jednym ciosem zwałił Adaira z nóg.

Pozostali członkowie rodziny opuścili miejsca przy ognisku i teraz stali poza zasięgiem ojcowskiego ramienia. Nie po raz pierwszy widzieli, jak ojciec bije któregoś z dzieci, choć widok i tak był niepokojący.

- Jesteś za głupi, żeby dojrzeć okazję, kiedy ci się trafia. Nie ulega wątpliwości, że to człek majątny. Będziesz służącym bogacza. Zamieszkasz w domu, nie w wozie, nie będziesz musiał pracować w polu. Gdybym myślał, że ten obcy się na to zgodzi, zaproponowałbym, żeby wziął także któregoś z twoich braci. Może Radu, on nie jest ślepy i widzi, kiedy w ręce wpadają mu dobre rzeczy.

Zawstydzony Adair wstał. Ojciec dla równego rachunku uderzył go w tył głowy.

- A teraz się spakuj i pożegnaj z rodziną. Nie każ temu człowiekowi czekać.

Matka wpatrywała się w twarz męża.

- Ferenc, co wiesz o człowieku, któremu oddajesz syna? Co ci o sobie powiedział?

- Wiem dość. Jest medykiem u księcia. Mieszka w domu w książęcej posiadłości. Adair będzie mu służył przez siedem lat. Kiedy ten okres się skończy, sam zdecyduje, czy chce odejść, czy pozostać na służbie.

Adair porachował w myślach: za siedem lat będzie miał dwadzieścia jeden, połowę życia za sobą. Wchodził w wiek pozwalający

na zawarcie małżeństwa, pragnął jak najszybciej pójść w ślady starszych braci, założyć rodzinę, być traktowany jak mężczyzna. Jako służącemu nie wolno mu będzie się żenić i mieć dzieci, jego życie w najważniejszym okresie ulegnie zawieszeniu. Odzyska wolność jako starzec. Jaka kobieta wówczas go zechce?

A co z jego bliskimi? Gdzie będą za siedem lat? Prowadzili wędrowne życie, szukając pracy, schronienia, uciekając przed złą pogodą. Nie potrafili czytać ani pisać. W żaden sposób nie zdoła ich odnaleźć. Utrata rodziny nie mieściła mu się w głowie. Należeli do najniższej klasy społecznej, wyklętej przez wszystkich. Kiedy wyjedzie z nieznajomym, jak bez nich przetrwa?

Z gardła matki wyrwał się krzyk. Ona tak samo dobrze wiedziała, co to oznacza. Ojciec jednak nie zamierzał zmienić raz podjętej decyzji.

- To najlepsze wyjście! Wiesz o tym. Popatrz na nas, ledwo zarabiamy na wykarmienie dzieci. Lepiej, żeby Adair wziął swoje brzemień na własne barki.

- Mówisz, że wszyscy jesteśmy dla ciebie brzemieniem! - Radu zaszlochał. Dwa lata młodszy od Adaira, był najbardziej wrażliwym członkiem rodziny. Podbiegł do brata i objął go mocno w pasie, mocząc mu łzami poszarpaną koszulę.

- Adair jest już mężczyzną i musi znaleźć własną drogę w życiu - rzekł ojciec. - A teraz dość tych lamentów, Adair musi się spakować.

Adair całą noc spędził w podróży, zgodnie z instrukcją unosząc się wraz z nieznajomym w siodle. Ku jego zaskoczeniu, starzec miał wspaniałego wierzchowca, w rodzaju tych, które należeć mogły do rycerza, i na tyle ciężkiego, że pod jego kopytami drżała ziemia. Adair wiedział, że zmierzają na zachód, w głąb rumuńskiego terytorium.

Przed świtem minęli zamek księcia, u którego zatrudniony był medyk. Pozbawiona romantyzmu, kwadratowa, przysadzista, i solidna budowla przeznaczona była do odpierania oblężenia; otaczały ją chaty, zagrody dla zwierząt, rozciągające się po horyzont pola uprawne. Przez jakiś czas jechali gęstym lasem, wreszcie dotarli przed małą kamienną wieżą, niemal ukrytą wśród drzew. Sama wieża sprawiała wrażenie wilgotnej, porastały ją bujnie mchy, bo nie dochodziły tu promienie słoneczne. Adair pomyślał, że to raczej piwniczka niż dom, w fasadzie nie dostrzegął nawet drzwi.

Starzec zsiadł i polecił Adairowi zająć się koniem. Chłopak nie śpieszył się, zdejmując siodło i uzdę z potężnego wierzchowca, przynosząc mu wodę, wycierając pękiem słomy spocony grzbiet. Wreszcie dłużej nie mógł pozostawać na dworze i wszedł do wieży.

W środku trudno było cokolwiek zobaczyć, bo na palenisku płonął mały ogień, a dym wydobywał się tylko przez jedno wąziutkie okienko. Rozglądając się, Adair stwierdził, że wieża to jedno wielkie, okrągłe pomieszczenie. Na słomie koło drzwi spała kobieta. Z pewnością była co najmniej dziesięć lat starsza od Adaira, miała wielkie czerwone dłonie i niemal bezpłciowe rysy. Wokół siennika leżały sprzęty przypisane jej płci: misy i niezgrabne drewniane łyżki, garnki, wiadra. Na topornym i pokrytym tłuszczem stole leżały deski służące jako talerze, beczułki wina i piwa. Na hakach wbitych w kamienną ścianę wisały warkocze czosnku, pęta kiełbas i twarde bochenki żytniego chleba.

Na drugim końcu pomieszczenia stało biurko z butelkami, dzbanami, stosami papieru, kałamarzem, piórami oraz osobliwością, której dotąd Adair nie widział: książkami w drewnianych oprawach. Za biurkiem w koszach znajdowały się osobliwości przyniesione z lasu: zakurzone suche korzenie, pęki trzciny i

chwastów. W głębi Adair dostrzegł schody prowadzące w dół, pewnie do piwniczki. Nagle przy jego boku pojawił się starzec.

- Zapewne chcesz poznać moje nazwisko. Jestem Ivor cel Rau, ale ty będziesz zwracał się do mnie „panie”.

Zdjąwszy ciężką pelerynę, ogrzewał dłonie nad ogniem i mówił, że jest ostatnim męskim potomkiem rumuńskiej szlacheckiej rodziny. Mimo że miał odziedziczyć rodową posiadłość, w młodości wyjechał do Wenecji studiować medycynę. Przez dziesięciolecia jako medyk służył kilku książętom, a nawet królom. Obecnie, na końcu długiej kariery, pozostaje w służbie księcia cel Batrina, właściciela zamku, który minęli po drodze. Wynajął Adaira nie po to, by uczyć go sztuki leczenia, lecz do pomocy w zbieraniu ziół i innych składników niezbędnych do wyrobu maści i eliksirów. Do obowiązków chłopca należeć będą także prace domowe, które zleci mu gospodyni Marguerite.

Starzec z otwartej skrzyni wygrzebał stary podarty koc z grubo tkanej wełny.

- Zrób sobie postanie ze słomy przy palenisku. Kiedy Marguerite się obudzi, da ci stawę i powie, co masz robić. Spróbuj także wypocząć, bo chcę, żebyś był gotowy, kiedy wieczorem się obudzę. Och, i nie zdziw się, jeśli Marguerite nie będzie odpowiadała na pytania - od urodzenia jest głuchoniema.

Po tych słowach starzec wziął świecę, która w oczekiwaniu na niego paliła się na kuchennym stole, i pokuśtykał w stronę mrocznych schodów. Adair zastosował się do poleceń; zwinął się przy palenisku i zasnął, zanim światło świecy medyka całkiem zniknęło.

Obudziły go poruszenia gospodyni. Kiedy podnosił się z posłania, przerwała swoje zajęcie i otwarcie się na niego gapiała. Jej wygląd bardzo go rozczarował, bardziej niż wtedy, gdy spała:

była gorzej niż pospolita, była brzydka, miała męskie rysy i rozrośnięte ciało robotnika rolnego. Dała Adairowi posiłek złożony z zimnego kleiku i wody, a kiedy skończył jeść, poprowadziła go do studni, gdzie wręczyła mu wiadro i na migi wydała polecenie. W ten sam sposób kazała mu porąbać drewno oraz przynieść wodę do kuchni i dla bydła. Później, kiedy zajęła się praniem w wielkiej drewnianej balii, Adair się zdrzemnął, pamiętając o napomnieniach starca.

Ze snu wyrwała go Marguerite, szarpiąc za ramię i wskazując schody. Zapadł już wieczór, słychać było starca krążącego po izbie. Gospodyni zapaliła świece w głównym pomieszczeniu i zaraz stary wolno, cicho wszedł po schodach. W dłoni niósł ten sam ogarek, który rano ze sobą zabrał.

- Nie śpisz, to dobrze - powiedział medyk, człapiąc obok Adaira. Podszedł prosto do biurka, gdzie zaczął przekładać stronicę zapełnione niemożliwym do odczytania pismem. - Roznieć ogień w palenisku i przynieś sagan - polecił. - Muszę dzisiaj przygotować napar i ty mi pomożesz. - Ignorując nowego służącego, zaczął przeszukiwać rzędy dzbanów, okrytych nawoskowaną materią, związaną sznurkiem; brał je po kolei, zbliżał do światła, by odczytać naklejkę, kilka odstawił na bok. Kiedy zawieszony nad ogniem kociołek się rozgrzał, Adair pomógł medykowi przenieść dzbany do paleniska. Siedząc z boku, patrzył, jak starzec odmierza składniki pomarszczoną dłonią i wrzuca je do kociołka. Niektóre zioła i rośliny poznawał, choć były zeschnięte na popiół, inne składniki pozostawały dla niego tajemnicą. Czy to łapka nietoperza czy myszy? Grzebień koguta? Trzy czarne pióra, ale z jakiego ptaka? Ze szczelnie zamkniętego pojemnika medyk nalał gęstego, ciemnego syropu, który w zetknięciu z powietrzem wydał ohydny odór. Na końcu dołał dzban wody i zwrócił się do Adaira:

- Pilnuj tego uważnie. Kiedy się zagotuje, przygaś ogień i uważaj, żeby napar nie wykypiał. Musi być gęsty jak smoła. Rozumiesz?

Adair potaknął.

- Czy mogę zapytać, na co jest ten napar?

- Nie, nie możesz zapytać - odparł starzec, ale po chwili zmienił zdanie. - Dowiesz się w swoim czasie, kiedy zasłużysz na taką wiedzę. Teraz wychodzę. Pilnuj kociołka, tak jak ci kazałem. Nie opuszczaj wieży i nie zasypiaj.

Starzec zdjął pelerynę z kołka i zniknął za progiem.

Zgodnie z poleceniem, Adair usiadł blisko paleniska, zmuszony wdychać ohydne opary wydobywające się z bulgoczącego płynu. W wieży panował spokój przerywany tylko chrapaniem Marguerite; Adair przez chwilę obserwował, jak jej wielki brzuch unosi się i opada pod kocem, słuchał trzeszczenia słomy, gdy przewracała się we śnie. Kiedy ta mizerna rozrywka go znudziła, podszedł do biurka i przyglądał się zapisanym kartom, żałując, że nie umie czytać. A może spróbuje przekonać swego pana, by nauczył go czytać? Z pewnością dla medyka pomocny byłby służący posiadający taką umiejętność.

Od czasu do czasu mieszał drewnianą łyżką w kociołku, oceniając konsystencję, a kiedy wydała mu się właściwa, wziął po-grzebacz i przesunął palące się szczapy na skraj paleniska, tak że pod naczyniem pozostał tylko żar. W tym momencie uznał, że śmiało może się odprężyć, owinął się więc w cienki koc i oparł o ścianę. Morzył go sen, był jak wyśmienite piwo, które dano mu do spróbowania, ale wiedział, że więcej nie może wypić. Próbował wszystkiego, by odpędzić senność: krążył po pomieszczeniu, łykał zimną wodę, stawał na rękach. Po godzinie był tak wyczerpany, że niewiele brakowało, a zwałiby się na podłogę nieprzytomny, ale wtedy drzwi nagle się otworzyły i wszedł starzec. Sprawiał

wrażenie ożywionego po swej wycieczce, jego mleczone oczy niemal błyszczały.

Zajrzał do kociołka.

- Doskonale. Napar wygląda właściwie. Zdejmij kociołek z ognia, niech wystygnie. Rano przelejesz zawartość do tego naczynia i przykryjesz papierem. Możesz teraz odpocząć. Już prawie świta.

W ten sposób minęło kilka tygodni. Adair cieszył się, że monotony rozkład zajęć odrywa jego myśli od utraconej rodziny i ślicznej Katariny. Rano pomagał Marguerite, popołudniami odpoczywał. Wieczory poświęcone były przyrządzaniu maści i eliksirów lub rozpoznawaniu i gromadzeniu składników. Medyk prowadził Adaira do lasu na poszukiwanie przy świetle księżycy konkretnej rośliny czy nasion. Kiedy indziej Adair wiązał zebrane zioła i wieszał na krokwi nad paleniskiem. Niemal co wieczór medyk znikał na kilka godzin, zawsze wracał przed świtem i natychmiast udawał się do swej sypialni w piwnicy.

Po miesiącu, może dwóch, medyk zaczął wysyłać Adaira do wioski otaczającej zamkowe mury, by tam wymienił buteleczkę maści na tkaninę, wyrób z żelaza, gliniane naczynie. Wtedy już Adair rozpaczliwie łaknął towarzystwa ludzi, choćby po to, by usłyszeć własny głos. Wieśniacy jednak nieodmiennie okazywali mu wrogość, gdy się dowiadawali, że służy u medyka. Nawet jeśli widzieli, że Adair jest samotny, że zależy mu na kilku dobrych słowach, szybko dobijali targu i odchodzili.

Mniej więcej w tym samym czasie w relacjach pomiędzy Adairem a Marguerite zaszła zmiana, co dla niego było powodem do wstydu. Pewnego popołudnia, gdy obudził się z drzemki i zaczął ubierać, przyszła do jego pośłania. Nie czekając na zachętę, pchnęła go na słomę, przesunęła dłońmi po jego piersiach pod tuniką, sięgnęła po jego męskość. Kiedy odpowiednio go pobudziła,

uniosła zakurzoną spódnicę i przysiadła na nim. W ich ruchach nie było czułości ani udawania, że chodzi o coś więcej niż fizyczne rozładowanie. Zaciskając dłonie na jej ciele, Adair myślał o Katarinie, ale w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, że ta przypominająca niedźwiedzicę kobieta jest jego delikatną, ciemnooką ukochaną. Kiedy było po wszystkim, Marguerite z gardłowym pomrukiem stoczyła się z Adaira, po czym opuściła spódnicę i wróciła do swoich zajęć.

Leżał na słomie, wpatrując się w sufit i zastanawiając, czy medyk ich słyszał, a jeśli tak, jak na to zareaguje. Może sam zaspokaja swoje żądze z Marguerite - nie, to nie wydawało się prawdopodobne, Adair przypuszczał, że podczas swych nocnych wypraw starzec w tym celu odwiedza nierządnicę w wiosce. Może w swoim czasie on też będzie mógł tak robić. Na razie wszystko wskazywało na to, że zaczął prowadzić dziwne życie, acz nie tak uciążliwe jak los parobka, poza tym istniała szansa na poprawę, jeśli zdoła przekonać medyka, by nauczył go sztuki uzdrawiania. Choć Adair wciąż tęsknił straszliwie za rodziną, myśli te przynosiły mu ukojenie, postanowił więc, że pozostanie tu i przekona się, co fortuna kryje dla niego w zanadru.

ROZDZIAŁ 20

Po miesiącach spędzonych u medyka, kiedy to Adair rzadko kontaktował się z kimkolwiek poza swym pracodawcą i Marguerite, nadeszła pora na jego pierwszą wizytę w zamku. To nie znaczy, że pragnął iść do twierdzy rumuńskiego arystokraty. Żywił wyłącznie nienawiść do diabłów, którzy najeżdżali maddziarskie wioski, niszczyli domy i zabierali ziemię. Nie potrafił jednak stłumić ciekawości, nigdy dotąd nie widział siedziby bogacza, nigdy nie był za zamkowymi murami, zawsze tylko pracował w polu. Pomyślał, że zniesie to jakoś, jeśli będzie przed sobą udawał, że właścicielem jest Węgier, nie Rumun. Wówczas może podziwiać wspaniałe komnaty i sprzęty. Jego zadanie polegało na niesieniu wielkiego dzbanu eliksiru, który poprzedniego wieczoru przygotowali. Jak zwykle, medyk nie zdradził mu zastosowania leku. Adair czekał przy drzwiach, podczas gdy jego pan się stroił, w końcu wybierając piękną tunikę wyszywaną złotą nicią i zdobioną kolorowymi kamieniami, co oznaczało, że okazja jest wyjątkowa. Medyk jechał na swoim wierzchowcu, Adair truchtał za nim, niosąc dzban na plecach jak starą babkę, której nogi odmówiły

posłuszeństwa. Opuszczono dla nich most zwodzony nad fosą, złowrogi i surowy, do komnaty zaprowadził ich oddział żołnierzy. Wzdłuż ścian stali gwardziści.

W głównej sali uczta trwała w najlepsze. Medyk zajął miejsce przy książęcym stole, Adair kucnął pod ścianą, wciąż tuląc do siebie dzban. Rozpoznał niektóre herby na tarczach wiszących na ścianach, pochodziły z posiadłości, gdzie pracował. Mowa księcia brzmiała znajomo, choć Adair nie rozumiał, o czym mówią, ponieważ przetykały ją gęsto rumuńskie słowa. Nawet taki prosty chłopiec jak Adair pojął, co to oznacza: księżę z pochodzenia był Madziarem, ale sprzymierzył się z Rumunami, by ocalić skórę i zachować majątek. To z pewnością dlatego wieśniacy traktowali go wrogo: sądzili, że Adair także jest zwolennikiem Rumunów.

Kiedy to sobie uświadomił, starzec wezwał go do siebie. Dostarczywszy dzban, Adair został odprawiony machnięciem dłoni i wrócił pod ścianę. Medyk zdjął nasączoną oliwą szmatkę, by księżę mógł sprawdzić zawartość. Arystokrata zamknął oczy i głęboko odetchnął, jakby śmierdzący napar pachniał słodko niczym łąka pełna polnych kwiatów. Dworzanie roześmiali się wesoło, najwyraźniej wiedzieli, co zaraz się wydarzy. Adair wstrzymał oddech na myśl, że pozna zastosowanie przynajmniej jednego naparu, ale poczuł na sobie przenikliwy wzrok starca.

- Myślę, że to nie jest odpowiednie miejsce dla chłopca - rzekł medyk, wzywając gestem gwardzistę. - Znajdź mu jakieś zajęcie, wprowadź w tajniki żołnierskiego rzemiosła. Niewykluczone, że pewnego dnia pomoże w obronie tego zamku, a w najgorszym razie uratuje moją starą i bezwartościową głowę.

Przy wtórze kpiącego śmiechu Adaira wyprowadzono na dziedziniec, gdzie leniwie krążyło kilku gwardzistów. To nie byli rycerze ani nawet najemnicy, tylko zwykli wartownicy, acz bardziej niż Adair doświadczeni w sztuce władania mieczem i kopią. Pod

pretekstem „szkolenia” z rozkoszą dręczyli Adaira przez długie dwie godziny, w czasie których próbował się bronić przy użyciu nieznanego sobie broni. Kiedy zezwolono mu wrócić do głównej komnaty, ręce bolały go od wymachiwania szerokim tępym mieczem, najcięższym, jakie gwardziści znaleźli, a ciało miał pokryte zadrapaniami i siniakami.

Widok, który zastał w komnacie, różnił się od jego oczekiwań. Książę i jego wasale wydawali się po prostu pijani, drzemali na krzesłach, leżeli na podłodze. Oczy mieli zamknięte, dziecinne uśmiechy rozjaśniały im twarze, muskularne ciała były zwiotczałe. Obojętnie patrzeli, jak medyk się żegna i wraz z Adairem opuszcza zamek. W szarym świetle brzasku przeszli przez most zwodzony i ruszyli w las. Adair biegł za koniem i chociaż był wyczerpany, cieszył się, że nie musi nieść dzbana.

Tajemnicze zwyczaje medyka z wolna zaczynały nabierać dla Adaira sensu. Z jednej strony, wdzięczny był za ciepłe i suche miejsce do spania, za to, że nie musiał w polu zaharowywać się na śmierć. W przeciwieństwie do swojej rodziny jadał do syta trzy razy dziennie i były to pożywne posiłki, gulasze, jajka, od czasu do czasu pieczone mięso, miał także chroniącą go od szaleństwa możliwość zaspokajania potrzeb seksualnych. Z drugiej zaś, nie mógł opędzić się od myśli, że wszystko to zyskał dzięki umowie z diabłem, nawet jeśli zawarto ją wbrew jego woli. Taka była cena za w miarę spokojne życie, i czuł, że kiedyś będzie musiał ją zapłacić.

Przedsmaku owej ceny zaznał pewnego wieczoru, kiedy medyk zabrał Adaira i Marguerite do lasu. Szli długo, a ponieważ całe ich zajęcie polegało wyłącznie na stawianiu jednej stopy przed drugą, Adair uznał, że to świetna okazja, by zadać starcowi kilka pytań.

- Czy mogę zapytać, panie, dlaczego pracujecie tylko nocą? - Dołożył starań, by jego głos zabrzmiał nieśmiało i naiwnie.

Na początku medyk burknął coś nieprzyjemnie, jakby nie zamierzał zniżać się do odpowiedzi, ale po chwili (któż bowiem nie lubi mówić o sobie, choćby pytania były najbardziej trywialne z możliwych?) odchrząknął i rzekł:

- To z nawyku... Moją pracę należy wykonywać z dala od wścibskich oczu. - Dyszał ciężko, pokonywali bowiem niewielkie zbocze, i dopiero gdy znowu znaleźli się na płaskiej ścieżce, mówił dalej: - Chodzi o to, Adairze, że najlepiej wykonywać ją nocą, bo w ciemności tkwi potęga. Z niej to eliksiry czerpią swą siłę. - Ton miał rzeczowy i Adair wyczuł, że obnaży własną ignorancję, jeśli poprosi o wyjaśnienia, dlatego zamilkł.

Wreszcie dotarli do miejsca tak dzikiego i zarośniętego, że wydawało się, iż nigdy nie oglądało go ludzkie oko. Na korzeniach topól i modrzewi krzewiła się dziwna roślina, szerokie liście w kształcie wachlarzy na smukłych łodygach chwiały się wysoko nad ziemią, machając do trojga nocnych gości w nocnym powietrzu.

Medyk gestem kazał Marguerite, by za nim poszła. Poprowadził ją do jednej z tych roślin, zamknął jej dłonie na łodydze i na migi polecił czekać. Potem się cofnął, wołając do siebie Adaira. Szli, aż służąca niemal zniknęła w mroku, tylko jej biały fartuch połyskiwał w świetle księżyca.

- Zatkaj dokładnie uszy, w przeciwnym razie gorzko tego pożałujesz - polecił medyk, gestem nakazując Marguerite, by pociągnęła. Służąca posłusznie szarpnęła z całej siły.

Mimo że dłonie przytknięte miał ściśle do uszu, Adair przysiągłby, iż słyszy stłumiony krzyk rośliny wyrwanej z ziemi. Spojrzał na medyka ze zdumieniem i opuścił ręce.

Marguerite niczym pies podążający za panem przybiegła, niosąc w dłoniach zdobycz. Medyk wziął ją, otrzepał z korzeni ziemię.

- Wiesz, co to jest? - zwrócił się do Adaira, oglądając uważnie grube, nieregularne kłącze, większe od rozpostartej dłoni mężczyzny. - To korzeń mandragory. Widzisz, że ma kształt człowieka? Tu są ręce, nogi, głowa. Słyszałeś krzyk, gdy ją wrywano? Ten głos zabije każdego, kto go usłyszy. - Wyciągnął korzeń do Adaira. Istotnie wyglądał jak przygarbiony, zdeformowany człowiek. - Pamiętaj, jak należy ją zbierać, bo pošlę cię po więcej. Niektórzy medycy wykorzystują czarnego psa, ale pies także zdechnie, słysząc ten krzyk. Po co mamy zabijać psy, skoro mamy Marguerite, prawda?

Adairowi nie spodobało się, że medyk jego też włączył w uwagę o gospodyni. Zawstydzony, zadawał sobie pytanie, czy starzec wie i zgadza się na ich związek. Medyk mógł sądzić, że obaj traktują ją podobnie, sam bowiem wykorzystywał Marguerite jak wołu do wrywania pni z pola i nie miał szacunku dla ludzkiego życia, bo choć była głuchoniema, nie dbał o to, czy kobieta przeżyje spotkanie z korzeniem. Naturalnie istniała też możliwość, że krzyk mandragory wcale by jej nie zabił, a starzec chciał tylko nastraszyć Adaira. Mimo to Adair zapamiętał informację o mandragorze, tak samo jak zapamiętywał inne ułamki wiedzy, którymi dzielił się z nim medyk, bo pewnego dnia zamierzał je wykorzystać.

Nikłe zadowolenie, które Adair czerpał ze swego nowego życia, zaczynało blaknąć, coraz bardziej bowiem był nieszczęśliwy z powodu cichej i samotnej monotonii, w jakiej mijaly dni. Obudziła się w nim ciekawość. Dokładnie obejrzał słoje i dzbany medyka, zbadał każdy cal pomieszczenia w wieży. Zachował dość zdrowego rozsądku, by nie zapuszczać się do piwnicy.

Nie pytając medyka o pozwolenie, popołudniami Adair wyprawiał się na konne przejażdżki po okolicy. Uznał, że z korzyścią dla wierzchowca będzie, jeśli zażyje trochę ruchu pomiędzy tymi rzadkimi okazjami, gdy dosiadał go starzec. Czasami, gdy od więzienia dzieliło go wiele mil, jakiś głos kusił go, by uciec, pogalopować przed siebie i nigdy nie wrócić. Bo przecież jak pozbawiony wierzchowca starzec zdołałby go odnaleźć? Z drugiej zaś strony, od jego przybycia do wieży minął szmat czasu i nie orientował się, gdzie teraz są jego bliscy, a bez rodziny, do której mógłby wrócić, ucieczka traciła sens. Tutaj miał strawę i dach nad głową. Gdyby uciekł, nie miałby nic, a co gorsza, do końca okresu służby u medyka byłby zbiegiem. Zawsze długo przyglądał się drodze prowadzącej w kierunku przeciwnym niż wieża i zawsze też z ociąganiem zwracał konia.

Adair odnosił wrażenie, że wraz z upływem czasu medyk traktuje go coraz serdeczniej. Kiedy nocami przyrządzali eliksiry, dostrzegwał, że starzec przygląda mu się bez zwykłej surowości w oczach, coraz częściej też opowiadał o zawartości dzbanów, podawał nazwy rzadszych roślin i sposób ich wykorzystania. Czekająca ich druga wizyta w zamku, która to okazja wprowadziła medyka w niezwykle ożywienie. Pocierając dłonie, krążył po pomieszczeniu.

- Mamy nowe zamówienie od księcia. Dzisiaj rozpoczniemy przygotowania - oznajmił, gdy Adair wieszał jego pelerynę na haku przy drzwiach.

- Co rozpoczniemy, panie?

- To specjalna prośba księcia. Zadanie niezwykle trudne, ale już wcześniej je wykonywałem. - Krzątał się po pomieszczeniu, gromadząc słoje z ingrediencjami na stole. - Przynieś kocioł i dołóż do ognia, prawie wygasł.

Adair obserwował go, siedząc przy palenisku. Po pierwsze, medyk wybrał kartę ze stosu ręcznie pisanych receptur, pośpiesznie ją przeczytał, po czym oparł o dzban. Zerkał na nią od czasu

do czasu, odmierzając składniki, które wsypywał do rozgrzewającego się kociołka. Z półek zdjął przedmioty, którymi nigdy wcześniej się nie interesował: ryje, wysuszone kawałki skóry, zmumifikowane cząstki ciał, proszki, błyszczące kryształy i miedź. Nalał do kociołka ściśle odmierzoną ilość wody, a następnie kazał Adairowi zawiesić go na haku. Kiedy woda zaczęła się gotować, medyk wysypał z fiolki na dłoń żółty proszek i rzucił go na ogień. Proszek zapłonął, uniósł się dym i dało się wyczuć nieomylny odór siarki.

- Tej mikstury jeszcze nie widziałem, prawda, panie? - zapytał Adair.

- Nie... Po jej wypiciu człowiek staje się niewidzialny. - Medyk uważnie przyjrzał się Adairowi, czekając na jego reakcję. - I co o tym myślisz, chłopcze? Wierzysz, że tak naprawdę może się stać?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. - Adair wiedział, że lepiej się nie sprzeciwiać starcowi.

- Niewykluczone, że zobaczysz to na własne oczy. Książę każe wypić eliksir swoim najlepszym ludziom i na jedną noc staną się niewidzialni. Możesz sobie wyobrazić, czego może dokonać armia, której nikt nie widzi?

- Tak, panie - odrzekł Adair i od tamtej chwili zaczął inaczej myśleć o urokach i naparach medyka.

- Teraz musisz pilnować kociołka, dopóki woda się zagotuje, tak jak czyniłeś to przedtem. Kiedy się zagotuje, zdejmiesz kociołek z ognia i zostawisz do ostygnięcia. Potem możesz iść spać, ale nie wcześniej. Ingrediencje są niezwykle rzadkością, nie mam zapasów, więc nie możemy pozwolić na zepsucie tej porcji. Uważaj na kociołek - rzucił jeszcze przez ramię, schodząc po schodach. - Wieczorem sprawdzę, jak się sprawiłeś.

Tamtej nocy Adair nie musiał walczyć z sennością. Siedział oparty o kamienną ścianę, uświadamiając sobie, że starzec okłamał

jego ojca. Nie był medykiem, ale alchemikiem, może nekromantą. Nie dziwota, że wieśniacy go unikali. Nie chodziło wyłącznie o zdradliwego arystokratę. Nie bez powodu bali się starca: przypuszczalnie zawarł pakt z diabłem. Bóg tylko wie, o co podejrzewali Adaira.

Ten eliksir różnił się od poprzednich, odparowywanie wody trwało w nieskończoność, zaczynało świtać, gdy napar zyskał właściwą konsystencję. Obserwując, jak obłok wolno unosi się nad kociołkiem, Adair raz po raz zerkał na stos kart na biurku. Z całą pewnością są wśród nich formuły bardziej intrygujące (i zyskowniejsze) niż możliwość zapewnienia człowiekowi niewidzialności na jedną noc. Starzec przypuszczalnie wiedział, jak przyrządzić napoje miłosne i talizmany zapewniające właścicielowi fortunę i władzę. Bez wątpienia też każdy alchemik potrafi zamienić pospolity metal w złoto. Chociaż Adair nie potrafił odczytać przepisów, to przecież znajdzie kogoś, kto za stosowną opłatą zrobi to dla niego.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większy niepokój go ogarniał. Mógłby ukryć papiery w rękawie i przemknąć obok Marguerite, zanim się obudzi. Szedłby przez cały dzień, oddalając się od wieży. Przelotnie pomyślał o zabraniu konia, ale tu odwaga go opuściła. Kradzież rzeczy tak cennej jak wierzchowiec była karana śmiercią. Starzec z mocy prawa mógłby zażądać głowy Adaira. Ale formuły... nawet gdyby starzec odnalazł swego sługę, przypuszczalnie nie odważyłby się zaprowadzić go przed oblicze księcia. Nie chciałby, żeby wieśniacy poznali jego prawdziwą potęgę czy też dowiedzieli się, że jego wiedza mistyczna została zapisana i można ją ukraść lub zniszczyć.

Adairowi waliło serce, aż wreszcie nie mógł już dłużej ignorować jego podszeptów. Poddanie się żądzy było niemal ulgą.

Zwinął jak najciaśniej tyle kart, ile ośmielił się wziąć, i wsunął je w rękaw. Marguerite zaczynała się budzić. Przed wyjściem zdjął kocioł z haka i postawił do ostygnięcia na skraju paleniska. Opuściwszy wieżę, wybrał ścieżkę, którą znał. Wiedział, że zaprowadzi go na terytorium węgierskie, gdzie stronnicy Rumunów nie będą chcieli się zapuszczać. Szedł przez wiele godzin, przeklinając swoją impulsywność, przez którą nie pomyślał, by zabrać prowiant. Kiedy słońce zaczęło chować się za horyzontem, znużony uznał, że przebył odpowiedni dystans, i umościł się na noc w stodole na środku łąki. Miejsce było opuszczone, nie dostrzegając nigdzie żywej duszy, nawet zwierząt domowych, pomyślał więc, że oddalił się dostatecznie od wieży i nikt nie będzie go tutaj szukał. Zasnął w sianie jako wolno człowiek.

Obudziła go czyjaś dłoń, zaciśnięta na jego gardle. Ktoś szarpnięciem postawił go na nogi, a potem w sposób niewytłumaczalny uniósł w powietrze. Na początku Adair nie widział, kto go dopadł, wciąż panowała ciemność, ale gdy oczy mu przywykły, nie chciał uwierzyć w to, co zobaczył. Postać, która go trzymała, była cokolwiek... pomarszczona... lecz odór siarki i rozkładu powiedział mu wyraźnie, że to starzec.

- Złodziej! W taki sposób odpłacasz mi za opiekę i zaufanie! - wrzasnął medyk z wściekłością i cisnął Adairem o ziemię z taką siłą, że ten na plecach przejechał pod stodołę. Zanim zdążył odzyskać oddech, starzec znów się na niego rzucił, łapiąc za ramię i podnosząc w górę. Adair płonął z bólu i dezorientacji: medyk był wiekowy, jak to możliwe, że słaby starzec z taką łatwością go podnosi? To musi być złudzenie, fantazja wywołana uderzeniem w głowę. Miał tylko minutę na rozważanie tej kwestii, bo starzec ponownie rzucił nim na ziemię, a potem zaczął go bić i kopać. Razy były niezwykle silne, Adairowi w głowie huczało z bólu

i był przekonany, że zaraz straci przytomność. Poczł, że znowu jest w górze, że wokół niego porusza się powietrze. Galopowali z ogromną prędkością, choć wydawało się nieprawdopodobne, by stary wierzchowiec zdolny był do takiego tempa. To na pewno złudzenie, mówił sobie Adair, spowodowane jakimś eliksirem, który starzec podał mu we śnie. Wypadki były zbyt magiczne i przerażające, by były prawdziwe.

Wciąż oszołomiony Adair poczuł, jak pęd powietrza słabnie, ciała na powrót przybierają ludzki ciężar. A potem zaczął uświadamiać sobie zapachy: zapleśniałą wilgoć wieży, aromat palonych ziół i siarki. Skulił się ze strachu. Opadając na podłogę, otworzył nieznacznie oczy i z rozpaczą stwierdził, że istotnie jest w wieży, z powrotem w więzieniu.

Zbliżał się ku niemu starzec. Zmienił się: może to była sztuczka wywołana kątem widzenia i konsternacją, ale wydawał się wysoki i przerażający. Sięgnął po pogrzebacz, a potem się pochylał po przetarty stary koc z siennika Adaira. Wolno, rozmyślnie owinał pogrzebacz kocem i ruszył w stronę chłopca.

Adair patrzył, jak medyk podnosi rękę, ale umknął wzrokiem, gdy pogrzebacz opadł. Koc złagodził uderzenie, zapobiegł złamaniu kości przez żelazo. Te ciosy w niczym nie przypominały rązów, które wcześniej dostawał, ojcowskich policzków i klapsów, chłosty wymierzonej wierzbowymi wtkami czy rzemieniem. Żelazny pręt miażdżył mięśnie aż do kości. Spadał na plecy, ramiona, kręgosłup. Adair toczył się, próbując go unikać, ale pogrzebacz nieodmiennie go odnajdywał, trafiając w żebra, brzuch, nogi. Wkrótce Adair przestał odczuwać ból, nie był w stanie się poruszyć czy nawet skrzywić. Kiedy nabierał powietrza w płuca, białą ogień rozpałał mu boki, we wnętrzu przelewała się gorąca ciecz. Starzec zamierza pobić go na śmierć.

- Mógłbym odciąć ci rękę, wiesz, to jest kara za kradzież. Ale jaki miałbym wtedy z ciebie pożytek? - Medyk sztywno się wyprostował, rzucając pogrzebacz na podłogę. - Może ci ją odrąbię, jak odśłużysz u mnie termin, tak by wszyscy widzieli, kim jesteś. A może cię nie zwolnię, tylko każę odpracować następne siedem lat, i to będzie kara za twoją zbrodnię. Jak mogłeś pomyśleć, że uciekniesz ode mnie i ukradniesz moją własność?

Jego słowa nie zrobiły na Adairze wrażenia. Stary się myli, skoro myśli, że jego służący przeżyje. Adair nie zobaczy wschodu słońca, a co dopiero mówić o siedmiu latach. Gorąca ciecz wzbierała mu w gardle. Z ust polała się krew, sącząc się ku stopom starca ciemnym strumieniem. Krew wyciekała z każdego otworu w ciele Adaira.

Zatrzepotał powiekami. Starzec umilkł i teraz z wielką uwagą mu się przyglądał. Zaczął się skradać w kierunku chłopca jak wąż lub jaszczurka, zgięty ku ziemi. Usta miał otwarte, język wysunięty. Zanurzył długi, kościsty palec w strumieniu krwi płynącej z ust Adaira. Uniósł palec do twarzy i oblizał, wzdychając cicho z podniecenia. W tamtym momencie Adair zemdłał i był za to wdzięczny losowi. Ostatnią rzeczą, którą zarejestrowała jego świadomość, były palce starego, gładzące go po twarzy i zlepionych potem włosach.

ROZDZIAŁ 21

Rano Marguerite znalazła Adaira w strasznym stanie. Nocą jego ciało przygotowało się na śmierć, jelita się wypróżniły, krew wsiąkała w ubranie, które przykleiło się do podłogi. Gospodyni musiała długo namaczać je ciepłą wodą, by chłopca oderwać.

Przez kilka dni leżał nieprzytomny na słomianym pościeliu, a kiedy się obudził, stwierdził, że całe ciało pokryte ma wielkimi czarnymi i fioletowymi plamami, skórę zaś rozpaloną i wrażliwą na dotyk. Jakimś sposobem Marguerite usunęła wszystkie ślady krwi i ubrała go w czystą bieliznę i koszulę nocną.

Adair tracił i odzyskiwał przytomność, chaotyczne myśli tańczyły mu w głowie. W najgorszych momentach wyobrażał sobie, że ktoś go dotyka, czyjeś palce przesuwają się po jego twarzy i ustach. Innym razem zdawało mu się, że przewrócono go na plecy, zdjęto odzież. To ostatnie można było wytłumaczyć, jeśli Marguerite z dobrego serca myślała go, jako że nie potrafił się załatwić do nocnika. Całkowicie bezwładny, nie ruszał się i nie mógł się opierać, pozostało mu tylko pogodzić się z tymi prawdziwymi lub wyobrażonymi pogwałceniami jego osoby.

Pierwszym zmysłem, który powrócił, był węch, i Adair rozpoznawał zapachy przez smak na języku, nutę żelaza w krwi, wołowy łój. Kiedy otworzył oczy - a musiała minąć chwila, nim wzrok nabrał ostrości i Adair przekonał się, że wciąż widzi - otoczenie znowu nabrało realności i zaczął się ból. Całe wnętrzości miał obolałe, każdy oddech odczuwał w połamanych żebrach. Z bólem powrócił głos. Uderzał dłońmi w koc, na próżno usiłując się podnieść.

Podbiegła do niego Marguerite, położyła mu dłoń na czole, zgięła ręce i nogi, szukając oznak świadczących o złamaniach, sprawdzając, czy potrafi się poruszać, czy może stracił władzę w kończynach. Bo jaki pożytek z robotnika, który ma bezwładne członki?

Przyniosła mu rosół, a potem zajęła się swoimi obowiązkami. Nie miał wyboru, mógł tylko wpatrywać się w sufit, mierzyć upływ czasu wędrówką słonecznego kwadratu po ścianie i czekać na wieczór, gdy starzec się obudzi. Spędził te godziny w wielkim przerażeniu. Lepiej by było, gdyby tamtej nocy umarł, nie obudziliby się w okaleczonym ciele. Ile czasu minie, nim odzyska zdrowie? Czy kości dobrze się zrosną? A może będzie kulawy albo garbaty? Przynajmniej twarz wydawała się wolna od blizn i zniekształceń: starzec oszczędził mu głowę, gdyby uderzył w nią pogrzebaczem, rozbiłby czaszkę na dwoje.

Kiedy kwadrat światła zblakł, obwieszczając nadejście zmierzchu, Adair pojął, że jego czas się skończył. Postanowił, że będzie udawał śpiącego. Marguerite także wyczuła, że zbliża się chwila konfrontacji, i pośpiesznie zajęła się przygotowaniem postania, ale starzec, który wszedł już po schodach, złapał ją za rękę i pytająco wskazał Adaira. Widziała, jak Adair zamyka oczy i układa się w pozycji pogrążonego w głębokim śnie, pokręciła więc głowę i położyła się, naciągając koc na ramiona.

Starzec podszedł do Adaira i nisko się pochylił. Chłopak usiłował równo oddychać i zapanować nad drżeniem, chciał bowiem poznać zamiary starca. Nie musiał długo czekać. Zimna, koścista dłoń musnęła go w policzek i jabłko Adama, potem zsunęła się po piersi i spoczęła na płaskim brzuchu. Starzec ledwo dotknął siniazków, a jednak to wystarczyło i Adair z całej siły musiał się powstrzymać, by nie zwinąć się z bólu.

Dłoń nie ustawała w swej wędrówce, z brzucha przesunęła się niżej i wstrząśnięty Adair o mało nie krzyknął. Jakimś sposobem zdołał leżeć bez ruchu, podczas gdy palce starca znalazły to, czego szukały, i zaczęły pieścić, masować, ugniatać, ścisnąć. Zanim męskość Adaira zdążyła zareagować, palce się cofnęły i starzec, nie oglądając się za siebie, wyszedł z wieży.

Adaira opanowało pragnienie ucieczki, ale wiedział, że to na nic, nie panował nad ruchami rąk, a nogi wcale nie chciały go słuchać. Starzec był o wiele silniejszy, niż z pozoru się wydawał, zdrowy Adair nie dałby mu rady, a co dopiero w takim stanie. Nie zdołałby nawet poczołgać się po podłodze, by znaleźć jakąś broń. Zrozpaczony pojął, że na razie w żaden sposób nie może sobie pomóc. Musi znieść wszystko, co medyk zechce z nim robić.

Dni mijały mu na rozmyślaniach o pracy, którą wykonywał dla medyka, o eliksirach i maściach, które robił, i zastanawiał się, czy nie ma pośród nich czegoś, co mógłby wykorzystać na swoją obronę. Choć taki pomysł z góry skazany był na niepowodzenie, rozważania te wzmocniły jego pamięć o składnikach potężnych naparów, o proporcjach, zapachach i konsystencji, wciąż jednak nie znał ich zastosowania - wyjątkiem był tylko eliksir zapewniający niewidzialność.

Przez dwa dni udawało mu się oszukiwać medyka. Na trzeci starzec sprawdził mu członki w taki sam sposób, w jaki wcześniej uczyniła to Marguerite, potem przyrządził eliksir i wlał młodemu człowiekowi do ust. Elixsyr zdradził Adaira, bo miał gorzki, piekący smak i spowodował konwulsje.

- Mam nadzieję, że dostałeś nauczkę, więc z twojego podstępu może wynikać jakiś pożytek - burczał medyk, obchodząc biurko. - A nauczka jest taka, że nigdy ode mnie nie uciekniesz. Znajdę cię, gdziekolwiek się skryjesz. Żadna droga nie będzie za długa, żadne schronienie dostatecznie głębokie, by mnie zmylić. Jeśli jeszcze raz spróbujesz pozbawić mnie swoich usług, za które zapłaciłem, albo ukraść moją własność, ten drobny epizod będzie ci się wydawał najłagodniejszą z możliwych kar. Jeśli choćby wyczuję, że jesteś niełojalny, przykuję cię łańcuchami do murów tej wieży i nigdy więcej nie zobaczysz dziennego światła, rozumiesz? - Najmniejszego wrażenia nie zrobiło na nim pełne nienawiści spojrzenie, które posłał mu Adair.

Po kilku tygodniach Adair był w stanie się podnieść i podparty laską, kuśtykał po pomieszczeniu. Żebra bolały go przy każdym podniesieniu ręki, nadal więc był bezużyteczny dla Marguerite, mógł za to wieczorami asystować medykowi. Ale przestali rozmawiać, starzec warknięciem wydawał rozkazy, a Adair schodził mu z oczu w chwili, gdy je wypełnił.

Po dwóch miesiącach dzięki regularnym dawkom pięknego eliksiru stan Adaira wyraźnie się poprawił, mógł teraz nosić wodę, rąbać drewno, biec, choć nie za długo, i z pewnością dałby radę jechać konno, gdyby pojawiła się okazja. Czasami, kiedy zbierając w lesie zioła, zapędzał się na szczyt wzgórza, spoglądał na rozległą zieloną dolinę i myślał o kolejnej próbie ucieczki. Gorąco pragnął uwolnić się od starca, a mimo to... Perspektywa kary wywoływała

w nim mdłości i z myślami samobójczymi krążącymi mu w głowie wracał do wieży.

- Jutro pójdziesz do wioski i znajdziesz mi dziewczynkę. Musi być dziewicą. Nie możesz nikogo o nic pytać ani w żaden sposób zwracać na siebie uwagi. Znajdź dziecko, wróć i powiedz mi, gdzie mieszka.

Panika chwyciła Adaira za gardło.

- Skąd mam wiedzieć, czy dziecko nie jest popsute? Mam sprawdzić....

- Z pewnością musisz znaleźć bardzo małe dziecko. Co do badań, zostaw je mnie - odparł starzec lodowatym tonem.

Nic więcej nie dodał, ale teraz Adair nie potrzebował już wyjaśnień. Wiedział, że rozkazy medyka są diabelskie, a mimo to w żaden sposób nie mógł się im sprzeciwić. Zwykle wyprawy do wsi traktował jako rzadką możliwość przebywania w znajomym gwarze rodzinnego życia, nawet jeśli nie byli to jego bliscy, lecz tym razem skutki miały być straszliwe. Znalazłszy się we wsi, Adair kręcił się w pobliżu domów, usiłując nikomu nie rzucić się w oczy, ale wioska była mała, a mieszkańcy go znali. Gdy tylko natykał się na dzieci zajęte zabawą lub pracą, rodzice natychmiast je zabierali, obrzucając Adaira groźnymi spojrzeniami.

Obawiając się reakcji medyka na niepomysłną wiadomość, wybrał nową ścieżkę w nadziei, że to przyniesie mu szczęście. Zaprowadziła go na polanę, gdzie ku jego zaskoczeniu stały wozy całkiem podobne do tych, w których żyła jego rodzina. Tabor Romów przybył do wioski i w sercu Adaira obudziła się nadzieja, że może krewni go szukają. Kiedy jednak wodził wzrokiem po twarzach wędrowców, nikogo nie poznawał. Były tu dzieci w każdym wieku, rumiani chłopcy i dziewczynki o słodkich buziach. A ponieważ Adair pochodził z tego samego ludu, mógł poruszać

się między nimi swobodnie, chociaż był dla nich obcy.

Czy jestem zdolny do takiego diabolicznego czynu, pytał siebie, przyglądając się członkom taboru. Już miał uciec, owładnięty nienawiścią do siebie - jak ma wybrać niewinne dziecko, które przekaże w ręce potwora? - gdy natrafił na dziewczynkę bardzo podobną do jego Katariny z czasów ich pierwszego spotkania. Ta sama kremowa cera, te same przenikliwe ciemne oczy, ten sam zniewalający uśmiech. Poczul, że los podjął za niego decyzję. Zwyciężył instynkt przetrwania.

Wieści uradowały medyka, rozkazał Adairowi, by nocą, gdy wszyscy zasną, udał się do obozu Romów i zabrał dziewczynkę.

- To odpowiednie rozwiązanie, prawda? - zaśmiał się starzec, myśląc może, że jego słowa stłumią wyrzuty sumienia Adaira. - Twoi bliscy wyrzekli się ciebie, oddali bez namysłu. Teraz masz okazję zemścić się na nich.

Zamiast uznać, że ma prawo porwać dziecko, chłopak się zirytował.

- Po co wam ta dziewczynka? Co z nią chcecie zrobić?

- Twoim obowiązkiem nie jest myślenie, tylko posłuszeństwo - burknął medyk. - Dopiero zacząłeś wracać do zdrowia. Szkoda byłoby znowu połamać ci kości.

Adair nawet nie błagał Boga o interwencję, wierzył, że oboje z dziewczynką są przeklęci i nic ich nie uratuje. Późnym wieczorem wrócił do obozu. Chodził od wozu do wozu, zaglądając do środka przez okna albo otwarte wejścia, aż znalazł dziewczynkę, która spała zwinięta jak kociak. Ze wstrzymanym oddechem rozchylił poły i złapał dziecko, po części pragnąc, by krzykiem obudziła rodziców, nawet jeśli miałyby go to zdemaskować. Ale dziewczynka spała w jego objęciach jak zaczarowana.

Uciekając, nie słyszał nic za plecami, żadnych kroków, odgłosów z wozu, okrzyków alarmujących o intruzie. Dziecko zaczęło się niespokojnie wiercić i nie wiedział, co począć, przytulił ją tylko mocniej do swego walącego jak młotem serca w nadziei, że to ją ukoi. Mimo iż pragnął gorąco sprzeciwić się złowieszczemu rozkazowi starca, zapłakany biegł przez las.

Gdy zbliżał się do wieży, znalazł w sobie rozpaczliwą odwagę. Bez względu na konsekwencje nie mógł wypełnić poleceń medyka. Jego stopy z własnej woli zwolniły i zawróciły. Kiedy dotarł na skraj polany, dziewczynka nie spała, ale zachowywała ufny spokój. Postawił ją na nogi i ukląkł.

- Wracaj do rodziców. Powiedz im, że natychmiast muszą wyjechać z wioski. Czai się tu wielkie niebezpieczeństwo i jeśli nie postąpią zgodnie z tym ostrzeżeniem, sprowadzą na siebie tragedię.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i dotknęła jego zalanego łzami policzka.

- Od kogo jest ta wiadomość?

- To bez znaczenia - odparł. Wiedział, że gdyby Romowie przyszli po niego, by wymierzyć mu karę za porwanie dziecka, nie zastaliby go przy życiu.

Kłęczał w trawie i patrzył, jak dziewczynka biegnie do wozu. Żałował, że także nie może ruszyć pędem przez las, ale zdawał sobie sprawę, że nic dobrego by z tego nie przyszło. Lepiej, jak od razu wróci do wieży i przyjmie karę.

Kiedy otworzył drzwi, starzec siedział za biurkiem. Na jego twarzy wyraz oczekiwania ustąpił miejsca pogardzie i rozczarowaniu, gdy zobaczył, że Adair jest sam.

Wyprostował się, nagle wysoki jak olbrzymie drzewo.

- Zawiodłeś mnie. Nie powiem, że jestem zaskoczony.

- Mogę być waszym niewolnikiem, ale nie zrobicie ze mnie mordercy. Nie wykonam tego rozkazu!

- Wciąż jesteś słaby, bardzo słaby. Tchórz. Musisz być silniejszy. Gdybym pomyślał, że cię na to nie stać, dzisiaj bym cię zabił, ale nie jestem przekonany, jeszcze nie... więc cię nie zabiję, tylko ukarzę. - Medyk uderzył służącego z taką siłą, że ten padł na podłogę i stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, starzec uniósł mu głowę i przystawił kielich do ust.

- Wypij to.

- Co to jest, trucizna? W taki sposób chcecie mnie zabić?

- Rzekłem przecież, że cię nie zabiję, co wszakże nie oznacza, że nie mam innych planów. Wypij to. - Oczy starca lśniły złowrogo. - Wypij, a nie będziesz czuł bólu.

W tamtej chwili Adair z radością powitałby truciznę, wypił więc wielkimi łykami. Natychmiast też ogarnęło go dziwne uczucie, całkiem podobne do oszołomienia wywołanego naparami leczniczymi. Zaczęło się od mrowienia w członkach, a zakończyło utratą kontroli nad ciałem. Adair miał wrażenie, że całkiem zwiotczał, powieki mu opadły jak u ofiary paraliżu, z trudem oddychał. Kiedy mrowienie dotarło do podstawy czaszki, szum w głowie był zapowiedzią, że zaraz stanie się coś ponadnaturalnego.

Starzec stał przed służącym i przyglądał mu się w lodowaty, niepokojący sposób. Adair poczuł, jak medyk podnosi go i schodzi w dół, do piwnicy. Chłopak nigdy nie był w sypialni starca, ogarnęła go panika. Było tu brudno, duszno i wilgotno jak w prawdziwym lochu, w kątach roiło się od robactwa. Starzec rzucił młodzieńca na cuchnący stary materac z zapleśniałego pierza. Adair pragnął zsunąć się z posłania, lecz uwięziony był w ciele, które go nie słuchało.

Starzec wszedł na materac i zaczął rozbierać swego jeńca, ściągnął mu tunikę, rozpiął pasek.

- Dzisiaj wieczorem przekroczyłeś ostatni próg swego oporu. Od tej chwili nie istnieje rzecz, której nie mógłbym ci uczynić. Powiadam więc, byś mi się oddał i nie żywił głupich złudzeń.

Zsunął młodzieńcowi spodnie i sięgnął dłonią pod cienki len, okrywający jego lędźwie. Adair znowu zamknął oczy, podczas gdy palce medyka przesuwają się przez włosy łonowe. Dokładał wszelkich starań, by nie podnieciły go pieśszoty starca. Po chwili, która wydawała się trwać w nieskończoność, tamten zrezygnował z zabawki i przesunął dłonie do twarzy Adaira. Naciskał skórę na kościach policzkowych i pod oczyma. Młodzieniec robił, co mógł, by w oszołomieniu narkotycznym oprzeć się temu przerażającemu gwałtowi.

- Dajże spokój, głupi chłopcze. Zmiażdżę cię, jeśli nie będziesz mi posłuszny. Musisz oddychać, prawda? - Zacisnął mu dłoń na nosie. Adair zastanawiał się oszołomiony, czy najpierw umrze, czy straci przytomność...

W końcu jednak odruch zwyciężył i otworzył usta, łykając powietrze. Starzec natychmiast wepchnął do środka swój penis. Na szczęście narkotyk okrył cieniem mroku przerażenie i poczucie straszliwego upokorzenia; ostatnią rzeczą, którą Adair zapamiętał, były słowa medyka mówiącego, że wie o jego spółkowaniu z Marguerite i nakazuje mu zaprzestać, nie zgodzi się bowiem, by Adair wydatkował energię i marnował nasienie na kogoś innego.

ROZDZIAŁ 22

Rano Adair obudził się na swoim słomianym pościaniu; ubranie miał w nieładzie. Dręczony mdłościami, przypomniał sobie ostrzeżenie medyka, nie miał jednak pojęcia, co tamten jeszcze mu zrobił. Owładnęło nim pragnienie, by zbiec na dół i zadźgać starego na śmierć, pomysł ten przez sekundę zapłonął w jego umyśle. Zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś tajemniczego i nadnaturalnego, siły i potęga starca wykraczały poza wszelkie rozsądne przypuszczenia, z całą pewnością więc nie pozwoli, by ktoś go zabił na jego pościaniu.

Przez cały dzień Adair zbierał odwagę do ucieczki, lecz znany strach przykuwał go do miejsca, ból w kościach przypominał o cenie nieposłuszeństwa. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem i zapadł zmierzch, chłopak siedział w kącie, utkwivszy wzrok w schodach.

Starca nie zaskoczył widok służącego. Po jego twarzy przemknął nieprzyjemny uśmiezek, ale nie zbliżył się do Adaira. Zdjął z haka pelerynę i powiedział:

- Dzisiaj wieczorem idę do zamku ze specjalnym zleceniem. Jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie, będziesz tu, gdy wrócę.

Po jego wyjściu Adair upadł przy palenisku, żałując, że brakuje mu odwagi, by się rzucić w płomień.

Upływały miesiące. Bicie stało się rutyną, choć medyk nie korzystał więcej z pogrzebacza. Adair szybko się domyślił, że chłosty następują bez powodu, jego uległe zachowanie nie mogło przecież stanowić pretekstu. Chodziło wyłącznie o utrzymanie go w posłuszeństwie, więc nigdy się nie skończą. Gwałty także się powtarzały, choć nieregularnie. Marguerite z polecenia medyka dodawała Adairowi narkotyków do jedzenia lub picia, by owe sesje odbywały gładko, w końcu jednak młodzieniec odkrył podstęp i odmawiał spożywania czegokolwiek. Starzec bił go wtedy i zmuszał do połknięcia środka odurzającego.

Upadek moralny medyka nabierał rozpędu. Może w jego wnętrzu utworzyła się jakaś tama i gdy raz oddał się rozpuście, nic nie mogło go powstrzymać, a może zawsze taki był. Adair zastanawiał się, czy starzec zabił poprzedniego służącego i dlatego musiał znaleźć następcę. Księżę co jakiś czas przysyłał mu pokojówkę, jakąś nieszczęśnicę pojmaną przez żołnierzy podczas najazdów na węgierskie wioski. Medyk prowadził ją do alkowy i łańcuchami przykuwał do łoża. Krzyki biedaczki przez cały dzień dobiegały na górę, dręcząc Adaira i karząc za to, że brakuje mu odwagi, by pomóc jej w ucieczce.

Czasami, gdy starzec wyprawiał się na nocne wędrówki, Marguerite posyłała Adaira na dół ze stawą dla biednej więźniarki. Pamiętał, jak zrobił to pierwszy raz, z ociąganiem wchodząc do pokoju. Zobaczył kobietę, która, naga pod kocem, drżała z szoku i przerażenia, ślepa na wszystko, co się wokół niej dzieje. Pierwsza nie błagała o uwolnienie, nie wyciągnęła ręki po jedzenie. Adair ze wstydem stwierdził, że podniecił go widok szczupłego niewieściego ciała, płaskiego brzucha, unoszącego się i opadającego w drżącym oddechu. Współczucie dla niej i straszliwe wspomnienia

o tym, co przydarzyło mu się w tym łóżku, nie wystarczyły, by stłumić jego żądze. Nie odważył się wziąć jej siłą, była bowiem własnością starca, i wrócił na górę, dygocząc z pożądania.

Dziewczęta zwykle umierały po trzech dniach i Adair z rozkazu starca musiał się ich pozbyć. Leżały na ziemi niczym przewrócone posągi, gdy w lesie kopał grób. Potem wkładał je do grobu, posypywał wapnem, przykrywał warstwą ziemi. Śmierć pierwszej napelniła go wstydem, odrazą do siebie i rozpaczą, więc nawet na nią nie patrzył, gdy czekała na swoją anonimową mogiłę.

Później jednak, przy następnych, Adair przekonał się, że zaszła w nim zmiana i jego żądze (o których wiedział, że są obrzydliwe) są silniejsze od strachu przed profanacją. Drżącymi dłońmi dotykał piersi, teraz twardych i nieludzkich, gładził krągłości ciał. Przy każdej nieszczęsnej ofierze medyka powtarzał te pieszczoty i drżał, czując, jak jego męskość się podnosi. Nigdy jednak nie posunął się dalej, nigdy nie popełnił czynu, który był dla niego bardziej odrażający niż fascynujący, dlatego zmarłym oszczędzono dalszych gwałtów.

W ten sposób minęło kilka lat. Bicie i gwałty były coraz radsze, może dlatego, że Adair wyrósł i nabrał siły, przez co medyk bardziej się go obawiał, niewykluczone też, że przestawszy być młodym chłopcem, nie pociągał swego pana.

Po pewnej szczególnie ostrej i mroźnej zimie starzec obwieścił, że pojedą do jego posiadłości w Rumunii. Wysłał wiadomość do wasala zarządzającego majątkiem, by uporządkował rachunki i przygotował wszystko do inspekcji. Uzyskał pozwolenie od księcia i zakupił drugiego wierzchowca dla Adaira. Kiedy nadeszła pora wyjazdu, okazało się, że zabierają niewiele prowiantu, trochę ubrań oraz dwa małe, zamknięte na kłódki kufry. Wyruszyli o zmierzchu, kierując się na wschód.

Siódmej nocy dotarli w głąb terytorium Rumunii i musieli przez przełęcz u podnóża gór pokonać Karpaty, by dostać się do posiadłości starca.

- Nasza podróż dobiegła końca - oznajmił medyk, głową wskazując słabe smugi światła, padające z okien zamku w oddali. Wysokie wieże wznosiły się w rogach kwadratowej, złowieszczej budowli, dobrze widocznej w promieniach księżyca. Ostatni etap podróży wiódł ich przez żyzne pola, winnice tulące się do zboczy, zagrody ze śpiącym bydłem. Kiedy się zbliżyli, otworzyły się potężne wrota. Na dziedzińcu oczekiwała ich służba z pochodniami w dłoniach. Stojący na jej czele starszy mężczyzna narzucił futro na ramiona medyka, gdy ten zsiadł z konia.

- Ufam, że wielmożny pan miał bezpieczną podróż - rzekł z księżowską troską.

- Jestem tu, prawda? - warknął starzec.

Gdy weszli do środka, Adair chłonał każdy szczegół. Zamek był potężny, stary, ale dobrze utrzymany. Na twarzy służby malowało się przerażenie, uczucie, które Adair doskonale znał. Służący ujął go pod ramię i poszli do kuchni, gdzie przed chłopcem postawiono pieczone mięsiwa i drób. Po kolacji odprowadzono go do małej alkowy. Tę noc Adair spędził w prawdziwym łóżku, ułożony wygodnie pod obszytą futrem narzutą.

Pokochał ten czas spędzony w zamku; dotąd nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł żyć w takim wykwincie. Uwolniony od rygorów wieży, dnię spędzał na zwiedzaniu zamku, medyk bowiem zajął się sprawami majątku i stracił zainteresowanie Adairem.

Zarządca Lactu polubił chłopaka. Był dobrym człowiekiem i zdawał się rozumieć niewypowiedziane brzemie, które na swych barkach nosi sługa medyka. Znał węgierski i Adair mógł po raz pierwszy od dnia, gdy opuścił rodzinny tabor, naprawdę z kimś

porozmawiać. Lactu pochodził z rodziny służących, którzy pracowali u medyka od pokoleń. Nie dziwiło go, że właściciel prawie wcale nie bywa w zamku, panowie tej posiadłości zawsze tak czynili, bo podejmowali służbę u rumuńskiego króla. Lactu z własnego doświadczenia wiedział, że medyk wraca raz na siedem lat, by załatwić ważne sprawy.

Dzięki zarządcy Adair mógł wejść do wszystkich specjalnych komnat. Obejrzał pomieszczenie, w którym w skrzyniach spoczywały uroczyste szaty starca, i piwnicę pełną dzbanów wina tłoczonoego w posiadłości. Największe wrażenie zrobił na nim skarbiec z wojennymi zdobyczami rodziny cel Rau, były tu korony i berła, ubrania zdobione klejnotami, dziwne monety. Na widok tego ogromnego bogactwa Adair pomyślał o alchemicznych recepturach: potężny zamek w odległym kraju po prostu się marnował. Przystępstwem było posiadanie takiego skarbu i niekorzystanie z niego.

Mijały tygodnie, a Adair rzadko widywał swego pana. Pewnego wieczoru wezwano go na uroczystość w głównej komnacie. Młodzieniec patrzył, jak medyk podpisuje dokumenty, które będą miały wiążący skutek dla wszystkich mieszkańców posiadłości. Na szyi starca wisiała na sznurku ciężka pieczęć. Lactu brał każde obwieszczenie, odczytywał je na głos, a następnie kładł przed medykiem do podpisu. Pod podpisem upuszczał kroplę szkarłatnego wosku, w którym starzec odciskał pieczęć z rodzowym herbem, smokiem dzierżącym miecz. Później Lactu wyjaśnił Adairowi, że właśnie ta pieczęć stanowi podstawę prawa obowiązującego w rodzie cel Rau: ponieważ panowie często umierali z dala od posiadłości, nie przedstawiając rumuńskim władzom czy nawet zarządcy swego dziedzica, podpisy były bez znaczenia. Tylko człowiek będący w posiadaniu pieczęci uważany był za pana majątku.

Tygodnie zmieniały się w miesiące. Adair byłby szczęśliwy, gdyby nigdy nie musiał wracać na Węgry. Cieszył się tutaj podwójną korzyścią, bo traktowano go jak ulubionego syna, a równocześnie nie musiał znosić awansów starca. W wolnym czasie ćwiczył szermierkę z gwardzistami albo konno jeździł po wioskach i obserwował życie wieśniaków. To, co widział, omawiał z zarządcą, pogłębiając swą wiedzę o posiadłości i jej wielu aspektach, takich jak uprawa ziemi, produkowanie wina, hodowla zwierząt. Nie wątpił w sympatię zarządcy, a choć odwzajemniał to przywiązanie po dziesięciokroć, nie ośmielił się opowiedzieć mu o życiu w wieży. Obawiał się, co Lactu pomyślałby o nim, gdyby usłyszał o jego cierpieniach i o pomocy starcowi w magicznych praktykach. Pragnął ujawnić przed nim złą naturę pana, ale musiałby zdradzić własny udział, a nade wszystko nie chciał utracić afektu zarządcy.

Pewnej nocy pod koniec wiosny Adaira obudziła czyjaś obecność w alkowie. Zapalając świecę, widział, że nie jest sam, mimo to przestraszył go widok medyka stojącego w nogach łóżka.

Serce zaczęło mu walić na wspomnienie przerażających rzeczy, do których ten człowiek jest zdolny.

- Panie, zaskoczyliście mnie. Potrzebujecie moich usług?

- Od dawna cię nie widziałem, Adairze, chciałem ci się przyrzec. Klnę się, że ledwo cię poznałem - odparł tamten drżącym głosem. - Życie tutaj bardzo ci odpowiada. Wyrosłeś. Jesteś wyższy i silniejszy. - W jego oczach pojawił się błysk dawnego pożądania, którego Adair wolałby nie oglądać.

- Wiele się tutaj nauczyłem - rzekł Adair, chcąc udowodnić, że nie marnował czasu, gdy medyk go nie pilnował. - Wasza posiadłość jest wspaniała. Nie rozumiem, jak możecie przebywać gdzie indziej.

- Tutejsze życie jak na mój gust jest zbyt spokojne. Myślę, że w swoim czasie też doszedłbyś do takiego wniosku. I to jest powód, dla którego dzisiaj do ciebie przyszedłem. Nie zostaniemy tu zbyt długo. Zbliża się lato i potrzebny jestem na Węgrzech.

Słowa starca zaalarmowały Adaira. Wiedział, że pobyt tutaj kiedyś się skończy, ale jakimś sposobem zdołał siebie przekonać, iż będzie trwał wiecznie. Dołożył starań, by nie okazać paniki. Tymczasem starzec okrążył łóżko, uważnie przyglądając się twarzy służącego, potem ściągnął z niego przykrycie. Adair zebrał się w sobie w oczekiwaniu na dotyk jego dłoni, ale medyk się nie poruszył. Wpatrywał się tylko w młodzieńca, nie kryjąc swego głodu, najwyraźniej jednak wystarczał mu sam widok jego ciała. A może powstrzymała go dojrzałość Adaira, bo po długiej chwili odwrócił się i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 23

Adair spodziewał się, że po powrocie do wieży życie będzie takie jak przedtem, ale to okazało się niemożliwe. Zbyt wiele mu się przydarzyło. Owładnęła nim idea, której nie mógł usunąć z myśli, zwłaszcza w ciągu dnia, gdy nie było przy nim medyka. Nie potrafił zapomnieć tego, co widział w jego posiadłości: potężny zamek, żyzne pola, skarbiec, służba, poddani chłopci... Brakowało tylko pana, a na drodze Adaira stały dwie proste przeszkody: pieczęć, teraz ukryta gdzieś w wieży, i starzec.

Odnalezienie pieczęci nie powinno być trudne, zabicie medyka to zupełnie inna kwestia. Adair myślał o tym wielokrotnie w latach swego uwięzienia, rozważał każdy szczegół i w końcu dochodził do wniosku, że to szalone mrzonki. Za każdym razem, gdy stary kładł na nim rękę w gniewie lub pożądaniu, tłumił upokorzenie, przysięgając sobie w duchu, że któregoś dnia każe swemu prześladowcy zapłacić, lecz wspomnienie brutalnego pobicia pogrzebaczem i wielomiesięcznego, trudnego powrotu do zdrowia powstrzymywało go od urzeczywistnienia tego zamiaru.

Wiele lat jednak minęło od tamtego dnia, a Adair bardzo zmędział. Teraz medyk nie był taki prędko do bicia i chociaż nadal spoglądał na służącego z pożądaniem, napastował go rzadko i zawsze starannie wybierał okazję. Adair żywił do niego nienawiść od dawna, była dla niego równie naturalna jak oddychanie. Jego myśli nabrały precyzji, potrzeba zemsty stała się bardziej dojmująca i niezaprzeczalna. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się zmienił, dopóki pewnego wieczoru nie grzebał kolejnej dziewczki. Spojrzał na jej śliczne ciało i pojął, że pozbył się ostatniego tabu. Bez trudu mógłby zaatakować tę pustą skorupę, chociaż w rzeczywistości pragnął splugawić martwe ciało medyka, zanim pogrzebie go w wilgotnej ziemi. Co więcej, cieszyłby się, gdyby to uczynił. Wszystkie skrupuły zniknęły, warstwa po warstwie, jak u zwierzęcia obdzieranego ze skóry przez myśliwego. Teraz stał się równorzędnym partnerem dla starca, i ta myśl sprawiła, że po raz pierwszy od lat był szczęśliwy.

Pierwszym krokiem było zapewnienie sobie pomocy. Potrzebował sprzymierzeńców, wieśniaków, którzy nienawidzili medyka pozostającego w sojuszu z rumuńskim najeźdźcą i gotowi byłiby wyładować wściekłość na starym, celu łatwiejszym niż księżę. Gdyby Adair zdołał udowodnić, że medyk popełnił wielkie zbrodnie przeciwko wieśniakom, wówczas księżę musiałby przymknąć oko, gdyby zemsta zakończyła się morderstwem. Chodzi o to, by odnaleźć właściwych ludzi, wybrać właściwe drogi i sprokurować niezbędny dowód.

Pewnego dnia Adair wybrał się do wioski, by porozmawiać z duchownym, uznał bowiem, że to najlepsze rozwiązanie. W opactwie zastał młodego mnicha, zwolnionego z ciężkiej pracy na polu i różowiotkiego jak noworodek. Mnich zdumiał się, widząc w proggu służącego nikczemnego medyka, kiedy jednak Adair padł

mu do stóp, błagając o radę, nie mógł go odprawić. Usiedli w cichej celi i mnich słuchał, jak Adair wylewa swoje żale. Jest służącym człowieka, który uciska i gnębi wieśniaków, lecz musi mu służyć wbrew swej woli. Nie rozwodził się przy tym zbyt nad szczegółami. Kiedy mnich począł go uspokajać, początkowo niepewnie, później z większym przekonaniem, Adair wiedział, że ma sojusznika, którego szukał. Na zakończenie zrobił aluzję do okropnych grzechów, popełnianych przez medyka i księcia. Mnich zapewnił, że może w każdej chwili do niego wrócić, by zrzucić z serca brzemię.

Adair tak zrobił. Podczas drugiej wizyty opowiedział, jak medyk kazał mu porwać dziecko z taboru. Mnich pobladł i wzdrygnął się, jakby miał przed sobą żmiję, wiedział bowiem, że wędrowcy wyjechali nagle, bez słowa wyjaśnienia.

- Przypuszczam, że zamierzał wykorzystać dziecko do jednego ze swoich diabelskich eliksirów, choć w jakim celu, tego nie potrafię powiedzieć. Ale to musi być robota szatana, skoro wymaga ofiary z człowieka? - zapytał Adair z niedowierzaniem i całą niewinnością, na jaką mógł się zdobyć.

Mnich błagał go, by umilkł. Nie potrafił w to uwierzyć.

- Przysięgam, że to prawda. - Adair padł na kolana. - Mogę przynieść dowód. Czy wystarczy pergamin, na którym spisano zaklęcia?

Wstrząśnięty mnich tylko kiwnął głową.

Adair wiedział, że wyniesienie dokumentów z wieży w ciągu dnia, gdy medyk śpi, jest sprawą łatwą, mimo to nazajutrz drżącymi rękoma sięgnął do stosu. *Nie bądź głupi*, napominał się w myślach. *Minęło tyle lat. Jesteś mężczyzną czy wciąż tylko przestraszonym chłopcem?* Znużony dręczącym go strachem, z brawurą chwycił karty, zwinął je ściśle i wsunął w rękaw. Nie mówiąc nic Marguerite, wyruszył do opactwa.

Oczy młodego mnicha płonęły, gdy czytał spłowiałe wyrazy na pergaminie. Przeprosił, że wątpił w słowa Adaira, po czym oddał mu dokumenty i polecił, by jak najszybciej odniósł je do wieży. Powiedział też, by powiadomić go, gdyby medyk planował kolejną zbrodnię. Potrzebował jednak czasu, by opracować plan schwytania heretyka, który był przecież zaufanym księcia. Adair zaprotestował: medyk sprzymierzył się z samym diabłem i nie zasługuje na kolejny dzień wolności. Mnich się wahał, widać było wyraźnie, że brakuje mu odwagi, by otwarcie zaatakować księcia. By wzmocnić jego zdecydowanie, Adair przyrzekł, że wróci z kolejnymi dowodami na czarną magię.

Wieczorem obecność starca okazała się torturą. Gdy z ukosa spoglądał na Adaira, ten podskakiwał w przekonaniu, że starzec wyczuje, iż służący dotykał jego bezcennych pergaminów. Kiedy medyk przeglądał karty w poszukiwaniu potrzebnej receptury, Adair obserwował go zdenerwowany, czy nie znajdzie jakiegoś niepokojącego śladu: zagiętego rogu, smugi, zapachu palonej lawendy i kadzidła z opactwa. Starzec jednak spokojnie kontynuował pracę.

Niedługo po północy uniósł wzrok znad biurka.

- Czy wciąż pragniesz nauczyć się czytać, chłopcze? - zapytał przyjaźnie. Adairowi wydało się dziwne, że mówi o tym teraz, tak nieoczekiwanie, musiał jednak odpowiedzieć twierdząco, w przeciwnym wypadku medyk zorientowałby się, że coś jest nie tak.

- Oczywiście.

- Jak sądzę, dzisiejszy wieczór jest równie dobry jak inne. Podejdź tu, nauczę cię kilku liter z tej karty. - Pomachał do niego palcem. Ze ściśniętym sercem Adair wstał z podłogi i podszedł do biurka.

Medyk spojrział na dzielącą ich odległość.

- Podejdź bliżej, stamtąd nie będziesz widział liter. - Wskazał

miejsce tuż koło siebie. Adairowi pot wystąpił na czoło, lecz usłu-
chał. Gdy tylko stanął przy biurku i pochylił się nad kartą, starzec
zacisnął mu dłoń na gardle. Adair nie potrafił złapać tchu. - Dzi-
siejszy wieczór będzie dla ciebie bardzo ważny, Adairze, mój
piękny chłopcze. Niezwykle ważny - mówił śpiewnie medyk,
podnosząc się z krzesła. - Nie zamierzałem tak długo zatrzymy-
wać cię na służbie, dawno temu miałem cię zabić, lecz pomimo iż
popeliłeś tamtą zbrodnię, przywiązałem się do ciebie. Zawsze
odznaczałeś się dziką urodą, ale też twoja lojalność wykroczyła
poza moje wyobrażenia. Tak, sprawiłeś się lepiej, niż przypusz-
czałbym tamtej nocy, gdym po raz pierwszy cię zobaczył. Posta-
nowiłem więc, że na zawsze zatrzymam cię jako mego służącego.
- Rzucił Adairem jak szmacyaną lalką na ścianę, głowa z hukiem
uderzyła o kamień. Wszystkie siły opuściły jego ciało. Starzec
wziął go na ręce i znowu zniósł po schodach do podziemnej alko-
wy.

Leżąc na łóżku, Adair tracił i odzyskiwał przytomność, świa-
dom dłoni starca na twarzy.

- Mam dla ciebie bezcenny dar, mój buntowniczy wieśniaku.
Myślałeś, że nie dostrzegam tego w twych oczach, ale oczywiście
się myliłeś... - Na te słowa Adaira ogarnęła panika, bał się bo-
wiem, że medyk czyta w jego myślach i wie o pakcie z mnichem. -
A kiedy ów dar otrzymasz, nigdy więcej nie będziesz w stanie
niczego mi odmówić. Połączy nas nierozzerwalną więzią, przeko-
nasz się...

Starzec nachylił się, przerażającym wzrokiem przyglądając się
służącemu. To wtedy Adair zauważył na jego szyi amulet. Starzec
zamknął amulet w dłoni i zerwał rzemień, chłopak jednak w sła-
bym świetle świecy zdążył dostrzec, że to maleńka srebrna fiołka
z korkiem.

Jakimś sposobem medyk drżącymi palcami zdołał wyciągnąć
korek zakończony długą igłą, na końcu której wisiała kropla

złowrogiej cieczy barwy miedzi.

- Otwórz swoje niegodne usta - rozkazał medyk, przysuwając igłę do warg Adaira. - Zaraz otrzymasz bezcenny dar. Większość ludzi gotowa byłaby za niego zabić lub zapłacić fortunę. A ja marnuję go na takiego prostaka jak ty! Rób, co ci każe, ty niewdzięczny psie, zanim zmienię zdanie. - Nie musiał z nim walczyć, igła była tak cienka, że bez trudu wsunął ją w zaciśnięte usta i wbił w język Adaira.

Bardziej szok niż ból sprawił, że Adair rzucił się na niego, szok wywołany dziwnym odrętwieniem, które ogarniało całe jego ciało. Przerażony pojął, że znalazł się w szponach demonów. Ciśnienie mu spadło, serce zaczęło szybciej bić, desperacko usiłując dostarczyć krew do pozbawionych jej członków i mózgu. Przez cały ten czas starzec przyciskał go do łóżka, mamrocząc coś w niezrozumiałym, bez wątpienia diabelskim języku. Znowu robił mu coś dziwnego, tym razem przy użyciu atramentu i igły. Adair usiłował go odepchnąć, ale na próżno, a po minucie nie miał już sił na kolejne próby. Płuca mu się zapadły, nie był w stanie nabrać powietrza. Dusił się, skręcał konwulsyjnie na postaniu w okowach śmierci i zimna... Miał wrażenie, że grzebią go żywcem, uwięzionego w ciele, które wirującym ruchem spada w dół.

Wola gwałtownie sprzeciwiła się śmierci. Jeśli umrze, starzec nigdy nie zostanie ukarany, a Adair pragnął dożyć tego dnia.

Medyk wpatrywał się w twarz umierającego Adaira.

- Jaki silny. Masz niezłomną wolę, to dobrze. Patrzysz na mnie z nienawiścią. Tego się spodziewałem. Twoje ciało przejdzie przez ostatnie etapy agonii, to na jakiś czas zajmie twoją uwagę. Leż spokojnie.

Kiedy ciało Adaira nie było w stanie się uratować, rozpoczęło się umieranie. Mięśnie zeszytywniały, więżąc w środku świadomość.

Gdy tak leżał, medyk opowiadał o tym, co przyciągnęło go do alchemii - nie spodziewał się, że Adair, prosty wieśniak, zrozumie powab nauki - do której bramę otworzyły mu studia. Wykroczył jednak poza granice alchemii, przyłączył się do nielicznej grupki najbardziej wtajemniczonych, którzy poznawszy sekrety świata naturalnego, przeszli do świata ponadnaturalnego. Przemiana metali w złoto to alegoria, czy Adair to rozumie? Prawdziwi magowie nie dążą do przemiany ziemskich materiałów w rzeczy szlachetniejsze, ale do przemiany natury samego człowieka! Poprzez psychiczne oczyszczenie i oddanie się bez reszty zgłębianiu tajników alchemii medyk znalazł się w gronie posiadających największą wiedzę, najpotężniejszych ludzi na ziemi.

- Mogę rozkazywać wodzie, ogniewi, ziemi i wiatrowi. Widziałeś to, wiesz, że mówię prawdę - chełpił się. - Mogę uczynić człowieka niewidzialnym. Jestem tak silny jak w młodości, to cię zaskoczyło, prawda? W rzeczywistości jestem silniejszy niż w przeszłości, czasami czuję się silny jak dwudziestu mężczyzn! Mam także władzę nad czasem. Dar, który ci wręczam... - na jego twarzy odmalowało się okropne poczucie wyższości i samozadowolenia - ...to nieśmiertelność. Ty, mój niemal doskonały sługo, nigdy nie przestaniesz mi służyć. Nigdy mnie nie zawiedziesz. Nigdy nie umrzesz.

Umierając, Adair słyszał te słowa i miał nadzieję, że źle je rozumiał. Ma wiecznie służyć medykowi! Błagał śmierć, by go zabrała. W panice odepchnął od siebie resztę opowieści medyka, lecz to nie miało znaczenia.

Gdy połknęła go ciemność, usłyszał jedynie ostatnie zdanie. Stary mówił, że istnieje dla niego tylko jeden sposób ucieczki przed wiecznością. Może go zabić wyłącznie jeden człowiek, ten, który spowodował jego transformację. Jego Twórca, medyk.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy Adair się obudził, wciąż był w łóżku medyka, który leżał obok pogrążony w podobnym śmierci śnie. Adair usiadł, czując się dziwnie. Jakby wszystko się zmieniło, kiedy spał, nie potrafił jednak dokładnie powiedzieć, w jaki sposób. Niektóre zmiany były oczywiste, na przykład wzrok. Widział w ciemności. Zobaczył szczury rojące się w rogach pomieszczenia, wdrapujące się jeden na drugiego. Każdy odgłos słyszał oddzielnie i wyraźnie, jakby znajdował się tuż przy jego źródle. Najsilniejszy był jednak zmysł węchu, zapachy konkurowały o jego uwagę, choć wyróżniał się jeden, słodki, intensywny, miedziany. Nie potrafił go zidentyfikować, mimo iż był taki drażniący.

Po kilku minutach medyk się poruszył, a potem obudził. Widząc oszołomienie Adaira, wybuchnął śmiechem.

- To część daru. Cudowna, prawda? Masz zmysły zwierzęcia.

- Co to za zapach? Czuję go wszędzie. - Adair spojrział na swoje dłonie, na pościel.

- To krew. Szczury są nią opite, a otaczają cię ze wszystkich stron. Na górze śpi Marguerite. Czujesz także minerały w kamieniach,

w ścianach. Słodka ziemia, czysta woda, wszystko jest lepsze, wyrazistsze. To dar. Wynosi cię ponad ludzi.

Adair padł na kolana.

- A ty? Też jesteś taki jak ja? Stąd bierzesz swoje moce? Wszystko widzisz?

Starzec uśmiechnął się tajemniczo.

- Czy jestem taki jak ty? Nie, Adairze, nie poddałem się transformacji, przez którą ty przeszedłeś.

- Dlaczego nie? Nie pragniesz wiecznie żyć?

Medyk pokręcił głową, jakby miał przed sobą łąpca.

- To nie jest po prostu spełnieniem życzenia. Być może nie jesteś w stanie tego pojąć. Tak czy owak, jestem starcem i muszę znosić niewygodę starości. Nie chciałbym wiecznie żyć w takiej postaci.

- W takim razie jak zamierzasz mnie zatrzymać, starcze? Teraz, gdy uczyniłeś mnie silnym, nie będzie bicia. Bóg wie, że gwałty także się skończą. Jak możesz mieć nadzieję na zatrzymanie mnie przy sobie?

Starzec szedł w stronę schodów, oglądając się surowo przez ramię.

- Między nami nic się nie zmieniło, Adairze. Myślisz, że obdarzyłem cię mocą, dzięki której odzyskałbyś wolność? Ja nadal jestem silniejszy. Mogę zgasić twoje życie jak płomień tej świecy. Jestem jedynym, który może spowodować twój koniec. Pamiętaj o tym. - I po tych słowach zniknął w mroku.

Adair klęczał, dygocząc na całym ciele. Nie wiedział, czy wierzy w słowa starca, w dziwną moc płynącą w swoich członkach. Spojrzał na ramię; pamiętał, że medyk pracował przy nim z igłą i atramentem, i myślał, że może to mu się śniło, lecz nie, zobaczył dziwny wzór, dwa okręgi tańczące jeden wokół drugiego. Wzór wydał mu się dziwnie znajomy, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie go widział.

Może medyk ma rację i Adair jest za głupi, żeby pojąć kwestię

tak skomplikowaną. Ale życie wieczne - w tamtej chwili nic nie mogłoby go mniej obchodzić. Nie dbał o to, czy będzie żył, czy umrze. Zależało mu tylko na tym, by przekonać mnicha do realizacji planu, i nie przejmował się, czy przy tym zginie.

Adair zastał mnicha modlącego się w oświetlonej świecami kaplicy. Stojąc w progu, zadawał sobie pytanie, czy zdoła teraz, po ponadnaturalnej przemianie, wkroczyć w poświęcone miejsce. Czy nie pojawią się aniołowie, którzy zabronią mu wejścia? Odetchnął głęboko i pokonał dębowy próg bez żadnych przeszkód. Najwyraźniej Bóg nie miał władzy nad istotą, którą on się stał.

Na widok Adaira mnich podbiegł, wziął go pod ramię i pośpiesznie zaprowadził w ciemny kąt.

- Odejdź od drzwi, gdzie mogą zobaczyć nas razem. Co się stało? Wyglądasz na poruszonego.

- Bo jestem. Wczoraj w nocy dowiedziałem się o medyku czegoś bardziej przerażającego niż sprawy, o których już ci mówiłem. - Adair zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie igra z ogniem, ale nie wątpił, że jest dostatecznie sprytny, by pokonać starca, siebie przy tym nie obciążając.

- Gorszego niż czczenie Szatana?

- On... on nie jest człowiekiem, tylko jednym ze stworzeń Szatana. Wyznał mi to osobiście, ujawniając całe swoje zło. Nauki pobierałeś w kościele, wiesz o sprawach nie z tego świata, nikczemnych stworach, które Szatan wypuszcza na nieszczęsnych śmiertelników ku swej rozrywce i naszej udręce. Jaką najgorszą rzecz możesz sobie wyobrazić, bracie?

Ku swej uldze Adair nie dostrzegł sceptycyzmu na okrągłej twarzy mnicha. Zakonnik ze strachu poblądł i wstrzymał oddech, zapewne wspominając niesamowite historie, które przez lata słyszał, opowieści o niewyjaśnionych zgonach, zaginionych dzieciach.

- On jest demonem, bracie, stał się nim z własnej woli. Nie potrafisz pojąć, czym jest przebywanie w bliskości takiego zła. W jego oddechu czuję odór piekła. W jego dłoniach tkwi siła Lucyfera.

Mnich uciszył go, unosząc palec.

- Demon! Słyszałem historie o demonach, które krążą pomiędzy żywymi i przybierają różne postaci. Nigdy, przenigdy jednak nikt, kto się z nimi spotkał, nie przeżył, by móc o tym opowiedzieć. - Wytrzeszczył oczy, odsuwając się od Adaira. - A jednak ty tu jesteś, cały i zdrowy. Jakim cudem?

- Rzekł, że jeszcze nie jest gotowy, by mnie zabić. Wciąż potrzebuje mnie jako służącego, i to samo dotyczy Marguerite. Ostrzegł, bym teraz, gdy wiem o wszystkim, nie próbował uciekać, bo czeka mnie sroga kara... - Adair nie musiał udawać, że się wzdraga.

- Diabeł!

- Tak. Niewykluczone, że to diabeł we własnej osobie.

- Ty i Marguerite musicie natychmiast opuścić jego dom! Wasze dusze są w niebezpieczeństwie, nie wspominając już o życiu.

- Nie możemy podejmować takiego ryzyka, dopóki nie będziemy mieli planu. Marguerite jest bezpieczna. Nigdy nie widziałem, by podniósł na nią rękę. Co do mnie, pozostało niewiele rzeczy, których już mi nie zrobił.

Mnich odetchnął głęboko.

- Mój synu, może odebrać ci życie.

- Znalazłbym się wówczas w licznym gronie.

- Zaryzykujesz życie, by wypędzić z wioski demona?

Adair zaczerwienił się z nienawiści.

- Z radością.

W oczach zakonnika wezbrały łzy.

- Bardzo dobrze, synu, w takim razie przystąpimy do działania.

Porozmawiam z wieśniakami - zapewniam, że dyskretnie - i przekonam się, na kogo możemy liczyć w naszej akcji przeciwko medykowi. - Wstał, by odprowadzić Adaira do drzwi. - Obserwuj uważnie opactwo. Kiedy będziemy gotowi, przywiążę białą ścierkę do słupa z latarnią. Do tego czasu bądź cierpliwy i silny.

Minął tydzień, potem drugi. Chwilami Adair zastanawiał się, czy mnich nie uciekł z wioski, zbyt tchórzliwy, by wystąpić przeciwko księciu. Cały wolny czas poświęcał na szukanie w wieży pieczęci, którą widział na szyi starca. Po ceremonii gdzieś zniknęła, chociaż Adair wiedział, że medyk nie ryzykowałby przechowywania jej z dala od siebie, wówczas bowiem nie mógłby w razie potrzeby z niej skorzystać. Nocami, gdy Marguerite zasypiała, a starzec wychodził na swe nocne wycieczki, Adair przeszukiwał każdą skrzynię, kosz i kufer, nie znalazł jednak ciężkiej złotej pieczęci na cienkim łańcuszku.

Kiedy zaczął się bać, że dłużej nie powstrzyma niecierpliwości, wieczorem na słupie przy kościele zawisła biała ściereka.

Zakonnik stał w wejściu do opactwa, opierając się na wielkiej świecy, jakby to był miecz. Cierpiał od ostatniego spotkania z Adairem i bardzo się zmienił. Policzki, niegdyś okrągłe jak u wiewiórki, teraz miał zapadnięte. Oczy, szczerze i czyste, były zachmurzone i pełne smutku, wywołanego wiedzą, którą posiadał.

- Rozmawiałem z ludźmi ze wsi i są po naszej stronie - rzekł, biorąc Adaira pod ramię i konspiracyjnie ciągnąc w mrok westybulu.

Adair starał się ukryć radość.

- Jaki masz plan?

- Jutro o północy zbierzemy się i ruszymy do wieży.

- Nie, nie o północy - przerwał Adair, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Żeby zaskoczyć medyka, najlepiej pojawić się w samo południe. Jak każdy demon, on także cały dzień śpi. Podejdźcie do wieży w świetle dnia, wtedy wasze szanse wzrosną.

Zakonnik pokiwał głową, choć ta wiadomość go zaniepokoiła.

- Tak, rozumiem. Ale co z patrolem księcia? Czy nie ryzykujemy, że w dzień nas odkryją?

- Patrol nigdy nie zbliża się do wieży. Jeśli nikt nie podniesie alarmu, nie macie czego się bać ze strony gwardzistów księcia. - To niezupełnie była prawda. Gwardziści kilka razy odwiedzili wieżę, ale z jednego tylko powodu: by dostarczyć starcowi dziewczkę. Czynili to jednak nieregularnie. Prawda, księżę od dłuższego już czasu nie przysłał dziewczyny, więc możliwość była większa, ale... Adair uznał, że to mało prawdopodobne i nie warto o tym ryzyku wspominać mnichowi, który może to wykorzystać jako pretekst do rezygnacji z działania.

- Tak, tak... - Mnich znowu pokiwał głową. Oczy miał szkliste.

Wymyka mi się, pomyślał Adair.

- A co zamierzacie zrobić ze starcem, kiedy go pojmiecie?

Zakonnik nie krył szoku.

- Nie do mnie należy decydowanie o przyszłości tego człeka...

- Wręcz przeciwnie, ojcze, to twój obowiązek jako przedstawiciela Boga. Pamiętaj, co Pan rzekł o czarnoksiężnikach: nie możecie pozwolić im na to, by żyli ku waszej udręce. - Mocno ścisnął go za ramię, jakby chciał w jego żyły przelać odwagę.

Po długiej chwili zakonnik spuścił wzrok.

- Tłum... Nie mogę zagwarantować, że zapanuję nad gniewem

tłumu. Tyle jest nienawiści do starego medyka... - rzekł z rezygnacją.

- Tym nie powinieneś się przejmować - odparł Adair z przekonaniem. - Nie możesz ponosić odpowiedzialności za to, co się stanie. To wola Boga. - Musiał stłumić dziki śmiech. Znienawidzony starzec w końcu dostanie należną zapłatę! Być może Adair w pojedynkę nie pokonałby człowieka, który po swojej stronie ma Szatana, ale przecież medyk nie zdoła odeprzeć ataku połowy wioski.

- Muszę powiadomić wieśniaków, że pójdziemy do wieży w dzień - dodał zakonnik.

Adair pokiwał głową.

- Wyruszymy pojutrze w południe. - Zakonnik westchnął głósno i przeżegnał się.

Jeden dzień. Adair miał jeden dzień na odnalezienie pieczęci, w przeciwnym razie ryzykował, że trafią na nią wieśniacy i zabiorą ją. Wrócił do wieży, próbując zapanować nad paniką. Gdzie może być ta pieczęć? Przeszukał każdą półkę, każdą szufladę, każdą sztukę odzieży medyka, posunął się nawet tak daleko, że rozwinął każdy kawałek materii w kufrach, by się upewnić, że pieczęć nie została pomiędzy nimi ukryta. Niepowodzenie powiększyło jego rozpacz, już widział, jak wszystkie plany rozpadają się w proch: nigdy nie ucieknie od medyka, nigdy nie zamieszka w odległym zamku, nigdy nie zobaczy bliskich i ukochanej Katariny. Równie dobrze może umrzeć. Taki był przygnębiony, że poprosiłby starca, by z litości zakończył jego żywot, gdyby nie ta gorąca nienawiść, którą do niego czuł.

Gdy Adair wrócił z sekretnego spotkania, medyk siedział za biurkiem. Na widok służącego uniósł wzrok.

- Muszę jutro pójść do wioski po paszę dla koni - rzekł Adair i zaraz w jego umyśle pojawiła się nowa możliwość.

Starzec zabębnił palcami po blacie.

- Odłożysz to na następny dzień. Przyrządę kataplazm, który wymienisz z kwatermistrzem na owies...

- Przykro mi, ale z powodu mego lenistwa zapasy się wyczerpały. Od kilku dni konie nie dostały ziarna, a trawy jest za mało, żeby długo mogły się tylko nią żywić. To nie może poczekać. Za twoim pozwoleniem, panie, zakupię niewielką ilość, tylko na ten tydzień, a z kwatermistrzem spotkam się po niedzieli, będziesz więc miał czas na przyrządzenie kataplazmu.

Adair wstrzymał oddech; gdyby starzec mu odmówił, trudno będzie w tak krótkim czasie znaleźć inny podstęp, skłaniający go do ujawnienia kryjówki, w której chowa pieniądze. Medyk pokręcił głową nad niekompetencją służącego, potem wstał i zszedł na dół. Adair wiedział, że lepiej za nim nie iść, ale nasłuchiwał niczym pies myśliwski, wyłapując każdy dźwięk, każdą aluzję. Pomimo grubej drewnianej podłogi usłyszał odgłosy kopania i szelest towarzyszący przesuwaniu ciężkiego przedmiotu. Rozległ się szczęk monet, po nim znowu szuranie. Wreszcie starzec wrócił na górę i rzucił na stół małą skórzaną sakiewkę.

- Wystarczy na tydzień. Upewnij się, że dobiłeś dobrego targu - burknął ostrzegawczo.

Kiedy nocą wyszedł, Adair zbiegł do piwnicy. Brudna podłoga wyglądała na nietkniętą i dopiero po uważnych poszukiwaniach dojrzał wilgotne, pokryte szczurzymi odchodami miejsce pod ścianą, gdzie z kamienia zdrapano osad brudu. Padł na kolana i złapał kamień. Kiedy go wyszarpnął, zobaczył niewielką niszę, w której znajdowało się zawiniątko z grubego płótna. Wyjął je i rozwinął. W środku była spora sakiewka i okryta aksamitem pieczęć do królestwa jego marzeń.

Wziął obie te rzeczy i wepchnął kamień na miejsce. Klęcząc na brudnej podłodze, nie posiadał się z radości, szczęśliwy, że udało

mu się odnaleźć pieczęć, że po wszystkich niesprawiedliwościach, które go spotkały, zdołał odnieść to jedno zwycięstwo nad swym dręczycielem.

Powinien był zabić ojca, zamiast pozwalać mu na bicie matki i rodzeństwa.

Powinien był nie zgodzić się na to, by go sprzedano.

Powinien był wykorzystywać każdą okazję do ucieczki i nigdy nie rezygnować.

Powinien był zamordować nikczemnego księcia. Zasłużył na śmierć, był wrogiem madziarskiego ludu i sojusznikiem wysłannika Szatana.

A teraz musi pomóc Marguerite w ucieczce, zabrać ją do dobrej rodziny albo do klasztoru, znaleźć ludzi, którzy się nią opiekują.

Dla Adaira to nie była kradzież. Medyk winien był mu królestwo, i on je weźmie albo umrze.

W wyznaczony dzień Adair obserwował słońce wędrujące po niebie tak czujnie jak jastrząb polną mysz. Zakonnik z wieśniakami przyjdą do wieży za godzinę, dwie. Pytanie brzmiało, czy Adair powinien zostać na miejscu i być świadkiem marnego końca medyka.

Pomysł był oszałamiająco kuszący. Obserwować, jak wieśniacy wywlekają starca z jego brudnego barłogu, patrzeć na jego twarz wykrzywioną przerażeniem i zaskoczeniem. Słuchać jego krzyków, gdy biją go kijami, tną na pasy kosami. Zachęcać, gdy plądrują wieżę, wyrzucają zawartość skrzyń na ziemię, rozbijają butelki i słoje z cenną zawartością, a potem podkładają ogień, by nikczemna forteca spłonęła na popiół.

Nawet z pieczęcią Adair nie mógł jechać do posiadłości, nie wiedząc na pewno, że medyk nie będzie go ścigał. Istniał jednak jeden poważny powód, by zniknąć, zanim pojawi się tłum: a

gdyby starcowi jakimś cudem udało się uniknąć śmierci? Jeśli wieśniacy stracą odwagę albo starzec sobie też zapewnił nieśmiertelność (tego nie można było wykluczyć - medyk nigdy wprost nie powiedział, że tego nie uczynił), Adair nie wyplątałby się od odpowiedzialności. W żaden sposób nie wyparłby się przed medykiem swego udziału w ataku, gdyby wyszedł na jaw jego sojusz z zakonnikiem. W tej sytuacji rozważa nakazywała, by zapewnić sobie ten ostatni cień wątpliwości.

Podszedł do Marguerite, która obierała ziemniaki, wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi. Opierała się, nie chcąc przerywać pracy, ale Adair nie ustępował; kazał jej czekać, podczas gdy sam siodłał starzejącego się wierzchowca medyka. Wywiezie Marguerite do wsi, tam będzie bezpieczna, a co więcej, nie będzie musiała oglądać napadu. To najlepsze wyjście. Sam przyjedzie później, by obejrzeć rezultaty.

Słońce zachodziło, gdy Adair wrócił do wieży. Nie śpieszył się, pozwolił wierzchowcowi kluczyć po nieznanym ścieżkach przez las, nie miał bowiem ochoty natknąć się na wieśniaków ogarniętych podnieceniem i żądzą krwi po sądzie dokonanym nad medykiem.

Na horyzoncie dostrzegł chmurę czarnego dymu, która zrzędała do mgiełki, kiedy zbliżył się do wieży. Popędził konia.

Drzwi wieży były wyłamane, ziemia przed wejściem przerażająco poczerniała, z rozwalonej zagrody zniknął drugi koń. Adair zsunął się na ziemię i ostrożnie podszedł do drzwi, czarnych i złowieszczych jak wybite oko w głowie.

Smugi sadzy bieły po ścianach, jakby próbowały uciec, i wszystko było tak, jak się spodziewał: odłamki szkła i gliny pod stopami, przewrócone kociołki, garnki i wiadra, biurko połamane na kawałki. Nigdzie nie dostrzegł stosu receptur ani szczątków

starca. Chyba że... krew zastygła mu w żyłach na myśl, że może jednak tłumowi zabrakło odwagi. Zaczął szukać, przewracając meble, podnosząc z podłogi odzież i przedmioty ze splądrowanych kufrów, ale nie znalazł medyka. Przecież gdyby wieśniacy go zabili, coś musiało pozostać, kawałek kości, poczerniała czaszka.

Inna, bardziej przerażająca myśl przyszła Adairowi do głowy: może medykowi udało się zbiec do lasu lub ukryć gdzieś w wieży. Skoro za kamieniem w ścianie była mała nisza, kto wie, czy gdzieś nie znajduje się większy schowek? A może - rzecz bardziej jeszcze niebezpieczna - starzec uratował się jakimś zaklęciem lub dzięki interwencji samego Pana Piekieł, który przybył na pomoc swemu wiernemu słudze?

Z paniką wzbierającą w sercu Adair zbiegł do sypialni. Tu widok był jeszcze straszniejszy niż na górze. W powietrzu wciąż unosił się czarny dym, najwyraźniej ogień podłożono tutaj, i nie pozostały żadne sprzęty prócz rozgrzanych popiołów w miejscu, gdzie przedtem znajdowało się łożo medyka.

Adair potrafił jednak wyczuć zapach śmierci ukryty w dymie. Podeszedł do popiołów i wsunął w nie palce. Znalazł kawałki kości, wciąż gorące w dotyku, a także prawie całą czaszkę z kępką poczerniałych długich, kręconych włosów.

Podniósł się i otrząpał sadzę z dłoni. Nie śpieszył się z wyjściem z wieży, po raz ostatni spoglądając na miejsce, w którym spędził pięć wypełnionych udręką lat. Szkoda, że kamienne ściany także nie spłonęły. Adair nie miał nic poza odzieniem na grzbiecie oraz pieczęci i sakiewki z pieniędzmi w kieszeni. W końcu wyszedł przez wyrwane drzwi, wsiadł na konia i ruszył na wschód, do Rumunii.

Zamieszkał w posiadłości medyka na wiele lat, chociaż otrzymanie prawa własności nie było takie proste, jak liczył. Po przybyciu oznajmił zarządcy, że starzec umarł. Żona i syn nie istnieli, medyk wymyślił ich, by zyskać przykrywkę dla prawdziwego powodu swego kawalerskiego stanu, a były nim dziwne skłonności. Nie mając dziedzica, zostawił posiadłość wiernemu słudze i towarzyszowi, na dowód czego Adair pokazał zarządcy pieczęć.

Lactu nie krył wątpliwości i uprzedził, że Adair ze swymi roszczeniami musi się zwrócić do rumuńskiego króla, który ma prawo do majątku w sytuacji, gdy dziedzic nie jest potomkiem zmarłego. Król z podjęciem decyzji zwlekał wiele lat, a gdy ją podjął, rozczarowała Adaira. Zezwolono mu na pozostanie w posiadłości i zatrzymanie tytułu rodzinnego, ale ziemia przeszła na własność króla.

Nadszedł jednak dzień, gdy Adair nie mógł dłużej tam mieszkać. Lactu i wszyscy inni się postarzeliz, podczas gdy Adair nie zmienił się od dnia, gdy przyjechał do zamku bez starca. Nie chcąc wzbudzać podejrzeń, zdecydował, że na jakiś czas wyjedzie, by znowu tu wrócić, może za kilka dziesięcioleci, i ze złotą pieczęcią w dłoni poda się za własnego syna.

Serce kazało mu wyruszyć na Węgry i odszukać rodzinę. Pragnął zobaczyć bliskich (wyjątkiem był ojciec, którego nienawidził niemal tak jak medyka). Teraz matka się zestarzała, z pewnością mieszka u najstarszego syna Pętu. Pozostali są dorośli, mają własne dzieci. Płonął z pragnienia, by się dowiedzieć, jak potoczyło się ich życie.

Dwa lata zajęło mu odszukanie rodziny. Rozpoczął w posiadłości, z której zabrał go medyk, i żmudnie odtwarzał ich wędrówki, opierając się na strzępach informacji uzyskanych od dawnych sąsiadów i panów. Wreszcie na początku drugiej zimy

zatrzymał się nad Balatonem i we wsi szukał twarzy takich jak swoja.

Gdy dotarł do skupiska chat na skraju wsi, ogarnęło go wrażenie, że ktoś, kogo zna, jest w pobliżu. Zsiadł z konia, w ciemności podkraść się do zabudowań i zaglądał do okien. Przyciskając oko do szpary w okiennicach, przez które ledwo sączyło się światło świec, zobaczył kilka znajomych twarzy.

Mimo że wszystkie się zmieniły z upływem czasu, zaokrągliły i pomarszczyły, poznał je. Bracia siedzieli wokół paleniska, pili wino, grali na skrzypkach i bałajkach. Były z nimi kobiety, których nie znał, zapewne żony, nigdzie natomiast nie widział matki. Wreszcie dostrzegł Radu, dojrzałego, barczystego, wysokiego... Adair zapragnął wbiec do chaty, rzucić się Radu na szyję i dziękować bogu, że brat wciąż żyje, że oszczędzono mu piekła i tortur, które stały się jego udziałem, ale uświadomił sobie ze wstrząsem, że Radu wygląda starzej niż on, że wszyscy bracia tak wyglądają. Potem zobaczył, że do Radu podchodzi z uśmiechem kobieta, on zaś obejmuje ją i przyciska do siebie. To była Katarina, teraz dojrzała i piękna, zakochana w Radu, podobnym do Adaira jak dwie krople wody. Tylko starszym.

Stojąc na mrozie, wciąż pragnął porozmawiać z bliskimi, dać im znać, że uszedł z życiem z rąk medyka, ale wtedy w pełni pojął straszliwą prawdę. Patrzy na nich po raz ostatni. Jak mógłby wyjaśnić im wszystko, co mu się przydarzyło i co wciąż go czeka? Że nigdy się nie zestarzeje. Że jest nieśmiertelny. Że stał się czymś, czego sam nie rozumie.

Podszedł do drzwi i położył przed nimi sakiewkę z pieniędzmi. Suma była wysoka, dzięki niej mogli zaprzestać wędrówek. Minie trochę czasu, nim z radością przyjmą szczęśliwy los i będą dziękować Bogu za szczodrość i łaskę. A wtedy Adair znajdzie się od nich siedem dni drogi na północ, by pośród tłumów zapełniających

ulice Budy i Szentendre uczyć się, jak radzić sobie ze swym przeznaczeniem.

Przed końcem opowieści wysunęłam się z ramion Adaira, narkotyczny dym przestał na mnie działać. Nie wiedziałam, czy podziwiać go, czy się go bać.

- Dlaczego mi to opowiedziałeś? - zapytałam, uchylając się przed jego dotknięciem.

- Potraktuj to jako przestrożę - odparł tajemniczo.

ROZDZIAŁ 25

Granica Maine, dzisiaj

Luke skręca z autostrady na polną drogę, potężny silnik suwa bez problemu pokonuje wyboje. Przed zakrętem parkuje na poboczu drogi dojazdowej, ale nie gasi silnika. Przez nagie zimowe drzewa, które nie zasłaniają widoku, mogą się przyjrzeć przejściu granicznemu. Wygląda jak dziecięcy zestaw zabawek wyobrażających miejsce budowy: ciągnące się długim rzędem boksy, zatłoczone ciężarówkami i samochodami osobowymi, nad którymi unoszą się kłęby spalin.

- Tam jedziemy - mówi Luke.

- Jest ogromne - odpowiada dziewczyna. - Myślałam, że to jakieś małe przejście, wiesz, dwaj celnicy z psem, którzy sprawdzają samochody, przyświecając sobie latarkami.

- Na pewno chcesz z niego skorzystać? Są inne sposoby na dostanie się do Kanady. - Luke nie jest pewien, czy powinien zachęcać ją do łamania prawa, w końcu Lanore jedno przestępstwo już ma na koncie.

Jej spojrzenie go rozczuła, dziewczyna patrzy jak dziecko szukające u rodzica zapewnień.

- Nie. Zawiołeś mnie aż tutaj i wierzę, że przeprowadzisz mnie przez granicę.

Gdy się zbliżają do przejścia, Luke'a zaczynają zawodzić nerwy. Dzisiaj ruch jest niewielki, mimo to perspektywa spędzenia godziny w korku nie wydaje się zachęcająca. Teraz policja na pewno wydała za nimi list gończy: zbiegła morderczyni i lekarz, który jej pomaga... O mało nie wyjeżdża z kolejki, ale w porę się powstrzymuje. Dłonie mu drżą.

Dziewczyna spogląda na niego nerwowo.

- Dobrze się czujesz?

- To tak długo trwa... - mruczy Luke. Pomimo zimna zaczyna się pocić.

- Wszystko w porządku - mówi śpiewnie Lanore.

Nagle zielone światło zapala się nad sąsiednim boksem. Z zaskakującą prędkością Luke skręca kierownicę i naciska pedał gazu, przeskakując na drugi pas. Kobieta w samochodzie dwa wozy przed nim pokazuje mu środkowy palec, ale Luke się nie przejmuje. Hamuje gwałtownie przed celnikiem.

- Śpieszy się pan? - pyta celnik, maskując ciekawość nonszalancją, i bierze paszport Luke'a. - Kiedy otwieramy nowy pas, zwykle zaczynamy od osoby pierwszej w kolejce.

- Przepraszam - mówi Luke. - Nie wiedziałem...

- Następnym razem, dobrze? - odpowiada celnik przyjaźnie, nie unosząc wzroku znad prawa jazdy Luke'a i paszportu Lanore. Jest mężczyzną w średnim wieku, na sobie ma granatowy mundur, kieszenie kamizelki wypchane są walkie-talkie, długopisami i Bóg wie czym jeszcze. Jego młodsza partnerka obchodzi samochód z lusterkiem na długim drążku, jakby spodziewała się znaleźć bombę przymocowaną do podwozia suwa. Luke obserwuje ją w bocznym lusterku, na nowo ogarnięty bezpodstawnym zdenerwowaniem.

I wtedy to do niego dociera: jeśli zapytają o dokumenty wozu,

będzie miał kłopoty. Bo samochód nie jest zarejestrowany na niego. *Nie jest pan właścicielem tego samochodu*, powie celnik.

Luke próbuje się uspokoić, mówiąc sobie, że ludzie pożyczają samochody codziennie. To żadne przestępstwo.

Muszę przepuścić numer seryjny przez system, żeby sprawdzić, czy samochód nie jest kradziony...

Nie pytaj o dokumenty, nie pytaj o dokumenty, powtarza w myśli Luke, jakby tą mantrą mógł powstrzymać celnika. Jeśli nazwisko Luke'a zostało w bazie zaznaczone - *poszukiwany w celu przesłuchania* - zmaleją ich szanse na ucieczkę. Ta przeszkoda w planie sprawia, że Luke jeszcze bardziej się denerwuje, bo nigdy dotąd, nawet jako nastolatek, nie miał kłopotów z prawem, więc brak mu odpowiedniego przygotowania do oszukiwania władz. Boi się, że się zaczerwieni, spoci, będzie wyglądał na niespokojnego i...

- Jest pan lekarzem? - pyta agent przy oknie, wrywając go z zamyślenia.

- Tak. Chirurgiem. - *Idioto*, upomina się w duchu, *nie obchodzi go twoja specjalizacja*. To próżność lekarza domaga się uwagi jak zmęczone, rozpieszczone dziecko.

- Powody wyjazdu do Kanady?

Zanim Luke ma czas otworzyć usta, Lanore się wychyla, by mógł ją zobaczyć celnik.

- Wyświadcz mi przysługę. Mieszkałam u niego, a teraz zamierzam przenieść się do innego krewnego. A on, zamiast wsadzić mnie do autobusu, wielkodusznie zaproponował, że sam pojedzie.

- A gdzie mieszka kuzyn? - pyta agent; w jego słowie kryje się delikatna zachęta.

- Lac-Benne - odpowiada dziewczyna krótko. - Umówiliśmy się w Lac-Benne. Mieszka bliżej granicy Quebecu. - Zna nazwę

miasteczka, co w oczach Luke'a wygląda na cud. Lekarz zaczyna się odprężyć.

Celnik wchodzi do budki i Luke obserwuje go przez porysowane okno z pleksiglasu. Tamten pochyla się nad komputerem, bez wątpienia wpisuje dane. Luke ze wszystkich sił powstrzymuje się przed naciśnięciem na gaz. Przed nim nie ma żadnej przeszkody, żadnej pasiastej automatycznej bariery ani metalowych kółców, które przebiłyby opony.

Funkcjonariusz nagle pojawia się w oknie budki, w wyciągniętej ręce trzyma prawo jazdy i paszport.

- Proszę... życzę miłego pobytu - mówi i machnięciem daje znak, by jechali, już zajęty następnym samochodem.

Luke wstrzymuje oddech do chwili, gdy przejście graniczne niknie we wstecznym lusterku.

- Dlaczego tak się denerwowałeś? - śmieje się Lanore, patrząc przez ramię. - Przecież nie jesteśmy terrorystami ani przemytnikami papierosów, tylko porządnymi amerykańskimi obywatelami, jadącymi do Kanady na lunch.

- Nieprawda - sprzeciwia się Luke, choć ogarnięty ulgą także się śmieje. - Przepraszam, nie jestem przyzwyczajony do takich szpek w stylu płaszczka i szpady.

- Przykro mi, nie chciałam się z ciebie śmiać. Wiem, że nie jesteś przyzwyczajony. Doskonale sobie poradziłeś. - Ściska go za rękę.

Na obrzeżach Lac-Benne zatrzymują się w jakimś motelu, nienależącym do żadnej sieci. Luke czeka w samochodzie i patrzy, jak Lanore załatwia formalności. Gawędzi ze starszym panem w recepcji, który się nie śpieszy, wykorzystując jedyną tego poranka okazję do rozmowy z ładną dziewczyną. W końcu Lanore wsiada do suwa i jadą do budynku na tyłach, skąd widać kępę drzew i boisko do baseballu. Ich samochód jest jedyny na parkingu.

W pokoju Lanore krząta się żwawo, rozpakowuje torbę, zagląda do łazienki, narzeka na jakość ręczników. Luke siada na łóżku, bo nagle nogi się pod nim ugięły. Kładzie się na poliestrowej narzucie i wpatruje w sufit. Pokój wiruje jak karuzela.

- Co jest? - Lanore przysiadła obok niego, kładzie mu dłoń na czole.

- To chyba wyczerpanie. Po nocnym dyżurze zwykle się kładę zaraz po powrocie do domu.

- Więc się prześpij. - Lanore ściąga mu buty, nie rozwiązując sznurowadeł.

- Nie, powinienem wracać. To tylko pół godziny stąd - protestuje Luke, ale się nie rusza. - Muszę oddać samochód...

- Bzdury. Poza tym wzbudzisz podejrzenia, jeśli od razu wrócisz. - Przykrywa go kocem, a potem ze swojej torby wyciąga woreczek z największymi paczkami marihuany, jakie Luke w życiu widział.

Siada na łóżku i zabiera się do pracy. Po kilku minutach trzyma w dłoni grubego jointa, zapala i łakomie wciąga dym. Wypuszczając go z płuc, zamyka oczy i na jej rozluźnionej twarzy pojawia się wyraz satysfakcji. Luke myśli, że chciałby czasami wywołać taki wyraz na twarzy tej kobiety.

Lanore podaje mu jointa. Po krótkim wahaniu Luke przysuwa go do ust. Zaciąga się i zatrzymuje dym w płucach, zaraz też czuje, jak narkotyk dociera do mózgu, zatyka uszy. Słodki Jezu, ten joint jest mocny. I szybki.

Luke kaszle, oddaje skręta Lanore.

- Od dawna nie paliłem. Skąd wzięłaś ten towar?

- Kupiłam w mieście. W St. Andrew.

Jej odpowiedź zaskakuje go i równocześnie wywołuje strach, bo stanowi przypomnienie, że niewidzialne światy egzystują tuż pod jego nosem. Cieszy się, że nie wiedział o marihuanie, kiedy

przekraczali granicę, w przeciwnym razie nie zapanowałby nad sobą.

- Często to robisz? - Luke głową wskazuje skręta.

- Bez tego nie dałabym rady. Nie masz pojęcia, jakie wspomnienia mi towarzyszą... Żal, że w ciągu tych dziesięcioleci zrobiłam pewne rzeczy... że widziałam innych, jak robią pewne rzeczy. Sprawy, od których bez pomocy tego nie da się uwolnić. - Przygląda się skrętowi. - Bywa, że chciałabym się otumanić na dziesięć lat. Zasnąć, przerwać to wszystko. Nie istnieje sposób na wymazanie złych wspomnień. Wiesz, trudne jest nie samo robienie, ale życie ze świadomością własnych uczynków.

- Jak ten człowiek w kostnicy.

Lanore przyciska palec do ust Luke'a, by go uciszyć. Luke wyobraża sobie, że będzie na to czas później; w istocie Lanore ma wyłącznie nieskończony czas na uświadomienie sobie nieodwracalności tego, co zrobiła swej prawdziwej miłości, i ta myśl będzie dudniła jej w głowie w każdej minucie każdego dnia. Na świecie nie ma tyle trawki, by zmyć to wspomnienie. Piekło na ziemi.

Jego postęпки w porównaniu z tym wydają się drobne. Mimo to sięga po skręta.

- Wracam - mówi, jakby musiał ją przekonać. - Tylko najpierw się prześpię. Będzie bezpieczniej, jeśli się prześpię. Ale muszę wracać... mam sporo rzeczy do zrobienia... samochód Petera...

- Jasne - odpowiada Lanore.

Kiedy Luke się budzi, hotelowy pokój skąpany jest w szarości. Słońce zachodzi, ale nie świecą się lampy. Luke leży nieruchomo, próbując zebrać myśli. Przez długą chwilę głowę ma wypchaną bawełną i nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie jest i dlaczego wszystko wygląda obco. Jest rozgrzany i spocony, czuje się jak

ofiara porwania, którą w opasce na oczach wyprowadzono z samochodu, zakrecono dokoła i wepchnięto do pokoju. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

Z wolna jego wzrok nabiera ostrości. Przy stole nieruchomo jak kamień siedzi nieznajoma i patrzy przez okno.

- Hej - mówi Luke, dając jej znak, że się obudził.

Dziewczyna odwraca się do niego z uśmiechem.

- Lepiej się czujesz? Przyniosę ci wody. - Wstaje z krzesła i znika w aneksie kuchennym. - To woda z kranu. Wstawiłam ją do lodówki, żeby była zimna.

- Jak długo spałem? - Luke sięga po rozkosznie lodowatą szklankę. Czuje pokusę, by przycisnąć ją do czoła. Cały płonie.

- Cztery, pięć godzin.

- O Jezu, lepiej już pojedę. Będą mnie szukać, o ile już nie zaczęli. - Zrzuca koc, siada na skraju łóżka.

- Po co ten pośpiech? Mówiłeś, że w domu nikt na ciebie nie czeka - odpowiada dziewczyna. - Poza tym nie wyglądasz za dobrze. To pewnie przez to świństwo, jest naprawdę mocne. Może powinieneś jeszcze poleżeć.

Lanore bierze laptopa z poobijanej komody i podchodzi do łóżka.

- Załadowałam te zdjęcia z aparatu, kiedy spałeś. Pomyślałam, że będziesz chciał go zobaczyć. To znaczy wiem, że widziałeś jego zwłoki, mimo to...

Luke krzywi się, słuchając tej makabrycznej przemowy, nie sprawia mu przyjemności przypomnienie martwego ciała w kostnicy i jego związku z Lanore, ale bierze od niej laptopa. W mrocznym pokoju obrazy rysują się wyraziście na ekranie: to jest ten sam mężczyzna, a jednak zupełnie inny. Tutaj jego oczy, twarz tryskają życiem, jest kompletny.

Jest taki piękny, że Luke'a ogarnia smutek. Pierwsze zdjęcie

zrobiono w samochodzie przy opuszczonym oknie. Dość długie włosy okręcają się wokół głowy, oczy otaczają zmarszczki, bo mężczyzna śmieje się do kobiety z aparatem, śmieje się z czegoś, co Lanore zrobiła lub powiedziała. Na następnym leży w łóżku, które z pewnością dzielili w domku Dunratty'ego. Głowa spoczywa na białej poduszce, włosy spadają na twarz, rzęsy muskają lekko zarumienione policzki. Pod kremowym przykryciem widać szyję i kości obojczyka.

Dość szybko Luke uświadamia sobie, że piękną cechą mężczyzny na fotografiach jest nie tylko uroda, ale wyraz jego twarzy, związek pomiędzy zachwytem w oczach a uśmiechem. Widać, że jest szczęśliwy z osobą, która go fotografuje.

Luke'owi ściska się gardło i gwałtownym ruchem oddaje laptopa dziewczynie. Nie chce dłużej oglądać zdjęć.

- Wiem. - Lanore przestaje walczyć ze łzami. - Nie mogę znieść myśli, że go nie ma. Odszedł na zawsze. Odczuwam jego nieobecność jak dziurę w sercu. Uczucie, które żywiłam przez dwieście lat, zostało mi siłą odebrane. Nie wiem, jak dam sobie radę, i dlatego proszę... zostań ze mną. Nie mogę być sama. Zwaruję. - Kładzie laptopa na podłodze i bierze Luke'a za rękę. Jej dłoń jest mała i ciepła, spocona, choć Luke nie potrafi stwierdzić, czyj to pot. - Nie jestem w stanie ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłeś - mówi, patrząc mu w oczy. Luke odnosi wrażenie, że Lanore widzi wszystko, co kłębi się na dnie jego serca. - Ja... nigdy... to znaczy nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry. Nikt dla mnie tyle nie ryzykował.

Nagle przyciska usta do jego ust. Luke zamyka oczy i cały pogrąża się w pocałunku. Opada z powrotem na wznak, czując na sobie jej lekkie ciało. Ma wrażenie, że jakaś część jego osoby rozrywa się na pół. Jest przerażony własnym postępowaniem, a jednak pragnął to zrobić od chwili, gdy ją zobaczył. Nie wróci do

St. Andrew, w każdym razie jeszcze nie, pojedzie z nią - jak mógłby ją zostawić? Jakby jej potrzeba jego obecności była haczykiem wbitym w pierś, za który Lanore bez wysiłku go ciągnie, a on nie jest w stanie się sprzeciwić. Skacze ze skały w czarną wodę, nie widzi, co czeka na niego pod taflą, ale wie, że żadna siła na tym świecie go nie zatrzyma.

ROZDZIAŁ 26

Boston, rok 1817

Wysłuchawszy opowieści Adaira, wróciłam do swojego pokoju owładnięta strachem i żalem nad sobą. Wczołgałam się pod pościel i skuliłam. Bałam się wspominać o rzeczach, które mi opowiadał, i starałam się je od siebie odepchnąć.

Zapukał Alejandro, a kiedy nie zareagowałam, pchnął drzwi i wszedł, niosąc tacę z herbatą i ciastkami. Zapalił kilka świec - „Nie możesz siedzieć w ciemności, Lanore, to takie ponure” - po czym spokojnie postawił filiżankę i spodek na nocnym stoliku, ale mnie nie zależało na jego uprzejmości. Udawałam, że przez okno patrzę na spokojny bostoński zaułek, choć w rzeczywistości niczego nie widziałam, oślepią furią i rozpaczą.

- Och, moja droga, nie bądź taka smutna. Wiem, że to przerażające. Też się bałam, kiedy mi się to przydarzyło, ponieważ było... nieznane. Tajemnica, mroczna głęboka otchłań.

- Alejandro, kim jesteśmy? - zapytałam, tuląc poduszkę do piersi.

- Jesteś sobą, Lanore, nie stanowisz części magicznego świata. Nie potrafisz przenikać przez ściany jak duch ani odwiedzać Boga w jego raju. Musimy spać i budzić się, jeść i pić, przeżywać kolejne dni jak wszyscy ludzie. Jedyne różnica polega na tym, że inni od czasu do czasu może się zastanawiają, kiedy nadejdzie ich koniec, ty i ja zaś wiemy, że nasze dni nigdy się nie skończą. Trwamy, przyglądając się zdarzeniom dziejącym się wokół nas. - Powiedział to wszystko obojętnie, jakby owa niekończąca się parada dni pozbawiła go całej radości. - Kiedy Adair wyjaśnił, co mi zrobił, chciałem się zabić. Pragnąłem uciec od straszliwego nieznanego, nawet gdyby oznaczało to odebranie sobie życia - ale to była jedyna rzecz, której nie mogłem uczynić. Ty jednak straciłaś przy tym dziecko... to potworne. Biedna Lanore. Ale twój smutek przemianie - ciągnął swym śpiewnym angielskim, wciąż naznaczonym wyraźnym hiszpańskim akcentem. Napił się, patrząc na mnie przez parę unoszącą się z filiżanki. - Z każdym dniem będzie się oddalał, a życie z Adairem będzie się stawać coraz bardziej znajome. Jesteś częścią rodziny. Pewnego dnia przypomnisz sobie jakieś element poprzedniego życia, brata lub siostrę, święto, dom, w którym mieszkałaś, ulubioną zabawkę, i pojmiesz, że już nie płaczesz po ich stracie. To wydarzyło się dawno, już do ciebie nie należy. Wtedy będziesz wiedziała, że zmiana jest całkowita. Obejrzałam się na niego przez ramię.

- Ile czasu upłynie, zanim ból odejdzie?

Alejandro maleńkimi szczypcami wyjął kostkę cukru z cukiernicy i wrzucił do filiżanki.

- To zależy od tego, czy jesteś sentymentalna. Ja mam bardzo czułe serce. Kochałem rodzinę i po zmianie długo tęskniłem za nimi. Za to Dona chyba nigdy nie oglądał się wstecz. Nie zostawił za sobą nic cennego. Rodzina porzuciła go, kiedy był małym chłopcem, bo sypiał ze starszym mężczyzną. - Alejandro przy

ostatnich słowach zniżył głos, chociaż w tym domu wszyscy byliśmy sodomitami, i gorzej jeszcze. - Jego życie pełne było niepewności i niedostatku. Lincze. Głody. Uwięzienie. Nie, nie wyobrażam sobie, że Donatello czegoś żałuje.

- Nie wydaje mi się, żeby mój ból kiedyś zelżał. Straciłam dziecko! Chcę je odzyskać. Chcę odzyskać moje życie.

- Nigdy nie odzyskasz dziecka, wiesz o tym - powiedział łagodnie, wyciągając rękę, by pogłodzić mnie po ramieniu. - Ale dlaczego chcesz odzyskać dawne życie, moja droga? Z tego, co mi opowiadałaś, nie masz do czego wracać: rodzina cię wyrzuciła, zostawiła samą w potrzebie. Nie widzę nic, czego warto by żałować. - Alejandro przypatrywał mi się swymi ciemnymi, łagodnymi oczyma, jakby potrafił odpowiedź odczytać z mego serca. - W trudnych chwilach zwykle chcemy wrócić do tego, co dobrze znamy, ale to minie.

- Cóż, jest pewna rzecz - mruknęłam.

Nachylił się, czekając na moje wyznanie.

- Przyjaciel. Tęsknię za przyjacielem.

Jak Alejandro sam powiedział, był wrażliwy, uwielbiał nostalgię. Zamknął oczy, przypominał kota wygrzewającego się w słońcu na parapecie.

- Zawsze najbardziej tęsknimy za ludźmi. Opowiedz mi o nim.

Od opuszczenia St. Andrew z całej siły starałam się nie myśleć o Jonathanie. Naturalnie nie byłam w stanie całkowicie wyrzucić go z pamięci, rzadko więc sobie pobłażałam, zwykle na kilka minut przed zaśnięciem, wspominając dotyk jego rozgrzanego policzka na mojej twarzy i dreszcz przebiegający mi po kręgosłupie, kiedy mnie brał, przytrzymując w talii. Nie umiałam zapanować nad emocjami, gdy Jonathan był tylko duchem na obrzeżach mej pamięci, mówienie o nim sprawiałooby zbyt wielki ból.

- Nie mogę. Tak bardzo za nim tęsknię.

Alejandro usiadł wygodnie.

- Ten przyjaciel wiele dla ciebie znaczy, prawda? Jest miłością twojego życia. Ojcem dziecka.

- Tak. To miłość mojego życia. - Alejandro czekał na dalszy ciąg, jego milczenie było niczym ponaglenie, w końcu więc mu uległam. - Na imię ma Jonathan. Kocham go, odkąd oboje byliśmy dziećmi. Większość ludzi powiedziałaaby, że dla niego małżeństwo ze mną byłoby mezaliansem. Do jego rodziny należy nasze miasteczko i choć nie jest wielkie czy bogate, życie każdego mieszkańca zależy od ojca Jonathana. I jeszcze jest jego niezwykła uroda. - Zarumieniłam się. - Musisz uważać mnie za strasznie płytką osobę...

- Ależ nie! - zaprotestował przyjaźnie. - Nikt nie jest odporny na piękno. Ale szczerze, Lanore, jak piękny może być ten mężczyzna? Weźmy na przykład Donę. Jest oślniewający, zauroczył jednego z największych artystów Italii. Twój przyjaciel przewyższa go urodą?

- Gdybyś go zobaczył, zrozumiałbyś. Przy nim Dona wyglądałby jak troll.

Alejandro zachichotał; nikt z nas nie przepadał za nieznośnie próżnym Doną.

- Tylko przy nim tego nie mów! Bardzo dobrze, w takim razie co powiesz o Adairze? Przecież jest przystojny, prawda? Widziałas kiedyś takie oczy jak jego? Są wilcze...

- Adair odznacza się wdziękiem. - *Zwierzęcym wdziękiem*, choć tego na głos nie powiedziałam. - Ale uwierz mi, Alej, nie ma porównania. To jednak bez znaczenia. Nigdy więcej go nie zobaczę.

Alejandro poklepał mnie po dłoni.

- Nie mów tak. Nigdy nic nie wiadomo.

- Nie wyobrażam sobie powrotu do domu. Nie teraz. To samo mówił Adair. Jak mogłabym im to wytłumaczyć?

- Istnieją sposoby... Z całą pewnością nie mogłabyś z nimi żyć, to wykluczone, ale krótka wizyta... - Z namysłem skubał dolną wargę.

- Nie dawaj mi nadziei, to zbyt okrutne. - Z oczu trysnęły mi łzy. - Proszę, Alejandro, muszę odpocząć. Strasznie boli mnie głowa.

Przelotnie dotknął mojego czoła.

- Nie masz gorączki... A powiedz mi, ten ból to nieustanne klucie w tyle głowy? - Potaknęłam. - Tak? Moja droga, lepiej do tego przywyknij. To nie jest ból, tylko część daru. Teraz jesteś połączona z Adairem.

- Połączona z Adairem? - powtórzyłam.

- Pomiędzy wami istnieje łączność, a to doznanie jest jej elementem. - Nachylił się ku mnie konspiracyjnie. - Pamiętasz, jak mówiłem, że zmieniłaś się w jeden tylko sposób, że nie jesteś istotą magiczną? Cóż, w drobnym stopniu staliśmy się jednak magiczni. Czasami myślę, że jesteśmy jak zwierzęta, wiesz? Musiałaś zauważyć, że wszystko wydaje się bardziej jaskrawe, że słyszysz najcichszy odgłos, że każdy zapach mocno drażni twoje powonienie. To także część daru, przemiana uczyniła nas doskonalszymi. Masz większe możliwości. Usłyszysz z daleka głos i będziesz wiedziała, kto do ciebie idzie, poczujesz zapach wosku na pieczęci i zorientujesz się, że ten człowiek ma przy sobie ukryty list. W swoim czasie przestaniesz dostrzegać te zdolności, ale dla innych będzie to wyglądać tak, jakbyś czytała w myślach, jakbyś była czarodziejką! I druga ważna sprawa. Nie będziesz odczuwała bólu. Myślę, że to ma jakiś związek z nieśmiertelnością. Nie będziesz doznawała głodu czy pragnienia. Och, odruchy potrzebują czasu, trochę potrwa, nim zniknie przyzwyczajenie, że człowiek musi jeść i pić... Możesz jednak pościć tygodniami i nie będziesz głodna, nie osłabiesz, nie zemdlejesz. Zdepcze cię cwałujący koń i w złamanych kościach poczujesz zaledwie niewielki

dyskomfort, ale ból zaraz minie, bo kości się zrosną. To tak, jakbyś była ulepiona z ziemi i wiatru, możesz się leczyć siłą woli. - Zadrżałam, uświadamiając to sobie. - A owa łączność z Adairem, to klucie w mózgu jest przypomnieniem o mocy, ponieważ tylko on może znowu uczynić cię śmiertelną. On, i tylko on, jest w stanie zadać ci ból. Wszelkie spowodowane przez niego rany będą tymczasowe, chyba że zdecyduje inaczej. Może siłą woli narzucić ci wszystko, ból, deformację, śmierć. *Z jego ręki i woli*, takich słów używa w zaklęciu. I właśnie te słowa cię z nim połączyły.

Położyłam dłoń na brzuchu. Alejandro miał rację, stłumione pulsowanie, które wcześniej odczuwałam w pustym łonie, teraz całkowicie zniknęło.

- Z pewnością ci to powiedział. Uwierz mu, jest teraz twoim bogiem. Z jego kaprysu będziesz żyła lub umrzesz. - Wyraz twarzy Alejandra złagodniał, jakby ten na moment przestał się pilnować. - Powinnaś być wobec niego ostrożna. Daje ci wszystko, czego śmiertelnik może pragnąć, ale to będzie trwało tak długo, jak długo będziesz sprawiała mu przyjemność. Jeśli go rozgniewasz, odbierze ci wszystko bez chwili wahania. Nigdy o tym nie zapominaj.

Szybko pojęłam, że czy chcę tego, czy nie, jestem częścią tego dziwnego domu, i z korzyścią dla mnie będzie, jeśli szybko znajdę w nim swoje miejsce. Moje życie zmieniło się nieodwracalnie, a ja nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzę. Adair miał wielowiekowe doświadczenie, a pozostali, których wybrał, trwali przy nim z uzasadnionego powodu.

Postanowiłam także, że spróbuję zapomnieć o Jonathanie. Pomimo słów Alejandra wierzyłam, że nigdy więcej go nie zobaczę. Moje dawne życie odeszło pod każdym względem: Boston tak różnił się od St. Andrew jak śmietana od wody, a ja nie byłam już

biedną wiejską dziewczyną, którą czeka ponura przyszłość. Straciłam dziecko, jedyne ogniwo wiążące mnie z Jonathanem. Lepiej wszystko to zostawić za sobą.

W ciągu kilku dni przekonałam się, że rozkład dni w moim nowym domu zupełnie nie przypomina życia w małym, ciężko pracującym purytańskim miasteczku, w którym się wychowałam. Przede wszystkim nikt z wyjątkiem służby nie wstawał przed południem. Dworzanie i goście pozostawali w swoich pokojach do drugiej, trzeciej, chociaż zza drzwi dobiegały ciche odgłosy, pomruki, śmiechy, trzask krzesła przesuwanego po podłodze. Alejandro wyjaśnił, że to styl europejski: wieczory, najważniejsza pora dnia, poświęcone były spotkaniom towarzyskim (kolacjom, balom, grom), a pozostałe godziny spędzano na przygotowaniach: układaniu fryzur, dobieraniu eleganckich strojów. Z Europy przywieźli służących, którzy się na tym znali. Według mnie był to dekadenski sposób życia, lecz Alejandro zapewniał, że myślę tak, ponieważ jestem purytańską Amerykanką. W końcu dlatego purytanie opuścili Anglię.

A to zwróciło moją uwagę na drugą dziwną cechę domu Adaira: nikt tutaj nie miał w życiu celu. W mojej obecności nie omawiano żadnych interesów ani kwestii finansowych. Nie wspomniano dawnego kraju, nie snuto historii o przeszłości (jak to ujął Alejandro: „Pozwalamy zmarłym spokojnie spać”). Nikt nie przysyłał listów, były tylko wizytówki od członków bostońskiej socjety, którzy nie mogli się doczekać spotkania z tajemniczym europejskim arystokratą. Z tacy w holu wysypywały się zaproszenia na przyjęcia, podwieczorki i salony.

Jedyną sprawą, która interesowała Adaira i jego orszak, jedynym zajęciem, które traktowali poważnie i którym wypełniali dni, był seks. Każdy członek dworu miał partnera albo na wieczór,

albo na tydzień; to mógł być ktoś z bostońskich najwyższych kręgów poznany na wieczorku lub przystojny portier zaproszony na noc. Przez dom przewijała się procesja kobiet, zarówno prostytutek, jak i hardych córek z dobrych domów. Nikt nigdy nie spał sam, chociaż ani Alejandro, ani Donatello nie wykazywali zainteresowania mną. Kiedy zapytałam Aleja, czy uważa mnie za atrakcyjną, roześmiał się i powiedział, żebym nie była głupia.

Rodzina oddawała się poszukiwaniu i doświadczaniu przyjemności, to było takie proste. Moje nowe otoczenie stanowiło całkowite przeciwieństwo dawnego życia - wychowali mnie ciężko pracujący szkoccy i skandynawscy emigranci w trudnym i niewdzięcznym miejscu na ziemi - i z czasem ten brak zajęć miał wywołać u mnie niesmak, wówczas jednak uwiodły mnie luksusy, o których wcześniej nawet mi się nie śniło. W St. Andrew len tkano w domach, a sprzęty wykonywano z nieheblowanej sośniny. Teraz żyłam pośród eleganckich przedmiotów, a każda nowa pokusa była lepsza od poprzedniej. Jadłam potrawy i piłam napoje, których nazw nigdy dotąd nie słyszałam, nosiłam suknie i płaszcze uszyte przez zawodową krawcową z egzotycznych europejskich tkanin. Nauczyłam się tańczyć i grać w karty, z radością czytałam powieści, które otwierały przede mną nowe światy,

Adair lubił przyjęcia, a ponieważ w Bostonie wciąż był sensacją, niemal co wieczór gdzieś go zapraszano. Zawsze zabierał swój dwór, pozwalając Alejandrovi, Donie i Tilde uwodzić bostończyków swoimi kontynentalnymi manierami, ekstrawagancką modą z Paryża, Wiednia i Londynu, opowieściami o dekadencej europejskiej arystokracji.

W największe oszołomienie wprawiał ich Adair, kiedy zabierał z nami Uzrę. Opuszczała dom, od stóp do głów owinięta w burkundową oponczę, znalazłszy się zaś pomiędzy gośćmi, zrzuciła

ją na podłogę i odstaniała jeden ze swoich kostiumów, obcisły stanik z organdy i spódnicę z woalu. Oczywiście miała obwiedzione czarnym tuszem, na obnażonej talii, rękach i nogach nosiła miedziane bransolety. Wielobarwne jedwabie były śliczne, acz przezroczyście, w porównaniu z pozostałymi kobietami, odzianymi w halki, gorsety, pończochy Uzra była niemal naga. Bransolety dźwięczały cicho, gdy szła ze spuszczonej oczyma, świadoma, iż zebrani pozerają ją wzrokiem jak łowną zwierzynę. Kobiety przyciskały dłonie do otwartych szeroko ze zdumienia ust, a mężczyźni... cóż, powietrze gęstniało od piżmowego aromatu ich pożądania, pośpiesznie poprawiali stroje, by ukryć nagłą erekcję. Adair śmiał się później z propozycji, jakie mu składali, gotowi zapłacić wielkie sumy za godzinę z jego odaliską. Sprzedaliby duszę, gdyby dał im szansę, mówił Adair, kiedy po przyjęciu wracaliśmy do domu i siadaliśmy przy kuchennym stole koło wciąż ciepłego pieca, popijając wino.

- Ty też mogłabyś tego dokonać - głosem miękkim jak aksamit powiedział do mnie, gdyśmy szli na górę do naszych sypialni.
- Męska żądza to rzecz potężna. Może zmienić siłacza w bezsilną istotę. Na widok kobiety, która go fascynuje, odda wszystko, byle ją mieć. Zapamiętaj, Lanore: wszystko.

- Odda wszystko za mnie? Jesteś szalony. Dotąd żaden mężczyzna z niczego nie zrezygnował, żeby cieszyć się moim towarzystwem - odparłam szyderczo, myśląc o Jonathanie, który nie potrafił oddać mi się cały. Pogrążona w żalu nad sobą, byłam wobec niego niesprawiedliwa, wiem o tym, ale mój niewierny kochanek zranił mnie głęboko i cierpiałam.

Adair spojrzął na mnie z sympatią i rzekł coś, o czym nigdy, przenigdy nie pomyślałam:

- To smutne, kiedy coś takiego mówi kobieta, zwłaszcza taka

jak ty. Może powodem jest to, że nigdy nie prosiłaś o nic w rewanżu za swoje uczucia. Nie znasz własnej wartości, Lanore.

- Wartości? Ależ ja ją znam doskonale, jestem prostą dziewczyną z biednej rodziny.

Wsunął moją rękę pod swoje ramię.

- Z pewnością nie jesteś prosta. Pociągasz określony typ mężczyzn, takich, którzy cenią sobie dyskretną świeżość i pogardzają wulgarnym pokazem kobiecych wdzięków.

Za wiele piersi wylewających się z gorsetu, zbyt wydatna tiurniura, zbyt bujne kształty, rozumiesz?

Nie rozumiałam, z mojego doświadczenia wynikało, że mężczyźni szaleją na widok tych właśnie wypukłości, a to, że ja ich nie posiadam, negatywnie wpłynęło na całe moje życie.

- Twój opis „wulgarnych” kobiecych wdzięków bardzo mi przypomina Urzę, a jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś mężczyzna na jej widok nie zaczął się ślinić. A przecież obie tak się od siebie różnimy, jak tylko to możliwe - powiedziałam kpiąco.

- Nie istnieje wyłącznie jedna miara piękna, Lanore. Wszyscy podziwiają czerwoną różę, a przecież to pospolity rodzaj piękna. Ty jesteś jak złota róża, kwiat rzadki, ale wcale przez to nie mniej uroczy - odparł, chcąc mi pochlebić, ale ja o mało nie wybuchnęłam śmiechem. Byłam szczupła jak chłopiec i niemal tak samo płaska, z kręconymi jasnymi włosami, sztywnymi jak oset. Mogłam tylko przypuszczać, że Adair prawi mi komplementy z jakiegoś sobie znanego powodu, ale jego słodkie słowa mimo to sprawiły mi przyjemność. - Więc jeśli mi ufasz... pozwól, że cię poprowadzę... Nauczę cię, jak zdobyć władzę nad zwykłymi ludźmi. Jak nauczyłem Tilde, Aleja, Donę - mówił, gładząc mnie po dłoni. Może to był ich cel, ich główne zajęcie. Wydawało się, że są zdolni skłonić większość ludzi - głównie mężczyzn, i to

tych, którzy się liczyli - by postępowali zgodnie z ich życzeniami, jakimś sposobem zyskiwali nad nimi kontrolę, a taka umiejętność wydała mi się pożyteczna.

- Nie wystarczy pokonać wrogów, aby nad nimi zapanować, musisz także wiedzieć, jak ich uwieść.

- Uważaj mnie za swoją uczennicę - odparłam, pozwalając się poprowadzić do jego sypialni.

- Nie będziesz żałowała - przyrzekł.

ROZDZIAŁ 27

Tak oto rozpoczęłam naukę w szkole uwodzenia. Lekcje najpierw odbywały się w łóżku Adaira. Po tamtej nocy, kiedy otworzył mi oczy, zdawało się, iż ze wszystkich sił pragnie dowieść, że jestem warta męskiej uwagi. Nadal chodziliśmy na przyjęcia, na których czarował bostończyków, ale do domu zawsze wracał ze mną. Codziennie brał mnie do swojego łóżka. Rozpieszczał mnie i dawał wszystko, o co poprosiłam. Miałam piękną bieliznę, gorsety (choć w gruncie rzeczy wcale ich nie potrzebowałam do podtrzymywania moich drobnych piersi) i halki z barwnych jedwabiów, obszyte wstążkami. Podwiązki zdobione małymi jedwabnymi różami. Cudowności, które Adair odkrywał, zdejmując ze mnie ubranie. Dokładałam wszelkich starań, by zostać jego złotą różą.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że w tamtym okresie nie myślałam o Jonathanie, moim pierwszym kochanku. Usiłowałam jednak zabić miłość do niego wspomnieniami złych chwil: kiedy słyszałam plotki, że zadaje się z nową dziewczyną, kiedy stałam obok niego na wzgórzu i patrzyliśmy na pogrzeb Sophii, a ja wiedziałam, że myśli o niej, kiedy pocałował Evangeline na oczach

całej kongregacji, choć chwilę wcześniej dowiedział się o mojej ciąży. Usiłowałam postrzegać uczucie do niego jak chorobę, gorączkę płonącą mi w sercu i mózgu, a te okropne wspomnienia, gdy ranił mnie do żywego, jako lek na nią.

Miałam wrócić do zdrowia dzięki pieczętom nowego kochanka. Porównując moje doświadczenia z tymi dwoma mężczyznami, odnosiłam wrażenie, że akt seksualny z Jonathanem wypełniał mnie po brzegi szczęściem, i czułam, że mogłabym umrzeć. W takich momentach ledwo miałam świadomość swego ciała, w jego objęciach mogłabym unieść się pod sufit. To było wysublimowane. Przy Adairze chodziło wyłącznie o doznania, o potrzeby ciała i moc zaspokojenia tego głodu. W tamtym okresie nie bałam się łaknienia, które Adair we mnie obudził. Czerpałam z niego rozkosz, Adair zaś zamiast uznać mnie za rozwiązłą, cieszył się, że mnie tego nauczył.

Potwierdził to pewnej nocy w łóżku, kiedy po akrobatycznej sesji zapalał fajkę wodną.

- Uważam, że odznaczasz się naturalną skłonnością do rozkoszy - rzekł, uśmiechając się lubieżnie. - Ośmielam się twierdzić, że lubisz przygody w sypialni. Zrobiłaś wszystko, o co poprosiłem, prawda? I nic, co ja zrobiłem, nie przestraszyło cię? - Kiedy potaknęłam, mówił dalej: - Nadeszła pora, byś poszerzyła swoje doświadczenia, ponieważ sztuka miłości polega na tym, że im więcej masz zręcznych kochanków, tym większą zręczność sama zyskujesz. Rozumiesz?

Przyjęłam jego słowa ze zmarszczonym czołem, wyczuwając, że coś jest nie tak. Czyżby się mną znużył? Czy więź, która się między nami wytworzyła, była iluzją?

- Nie bądź zła. - Pocałował mnie, przekazując mi przy tym dym ze swych ust. - Sprawilem, że jesteś zazdrosna, prawda? Musisz walczyć z takimi odczuciami, Lanore, teraz jesteś ponad nie.

Masz przed sobą nowe życie, wypełnione bogactwem doświadczeń, jeśli nie będziesz się bała.

Nie zamierzał na razie nic więcej mi tłumaczyć, ale nazajutrz się przekonałam, o co mu chodzi, bo razem z nami do łóżka wsunął się Dona, następnej zaś nocy Tilde. Gdy protestowałam, że jestem zbyt wstydliva, by odczuwać przyjemność w obecności innych, zawiązali mi oczy. Rano na schodach spotkałam Tilde i posłałam jej nieśmiałe spojrzenie, wciąż oszołomiona rozkoszami, których mi dostarczyła w łóżku, ale ona burknęła:

- To był tylko występ, ty głupia dziewczko.

Potem odeszła, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że mogło w tym być coś więcej. Zapewne byłam naiwna, ale uciechy ciała wciąż były dla mnie nowością, doznania oszałamiały. Dość szybko jednak stałam się na nie obojętna, nie zważałam też, jaki skutek mają dla mojej duszy.

Niedługo potem nastąpiło niezwykle ważne wydarzenie, aczkolwiek wówczas nie pojąłam jego prawdziwego znaczenia. Zaczęło się od wykładu o astronomii i nawigacji, na który poszliśmy do Harvardu. W tamtym czasie nauka była modna i uczelnie urządzały publiczne wykłady. W takich miejscach należało się pokazywać, by udowodnić, że osoba z towarzystwa nie jest pozbawiona rozumu, dlatego Adairowi zależało na naszym udziale. Temat wykładu zupełnie mnie nie interesował, siedziałam więc koło Adaira i przez jego operową lornetkę przyglądałam się widowni. Wiele twarzy widziałam wcześniej, choć nie pamiętałam nazwisk, i zaczynałam już myśleć, że całe to wyjście jest stratą czasu, kiedy zauważyłam Tilde rozmawiającą z jakimś mężczyzną na końcu sali. Dostrzegałam tylko fragment jego profilu, ale to wystarczyło, by stwierdzić, że odznacza się uderzającą powierzchownością.

Oddałam lornetkę Adairowi.

- Wygląda na to, że Tilde znalazła sobie nowego mężczyznę - szepnęłam, głową wskazując kierunek.

- Hm, chyba masz rację - odparł, patrząc przez szkła. - Nasza Tilde to urodzona łowczyni.

Do zwyczaju należało spotykanie się z innymi osobami z towarzystwa w pobliskim pubie. Tamtego popołudnia jednak Adair nie miał cierpliwości do pogawędek przy kawie i piwie, nie odrywał za to oczu od drzwi. Wkrótce pojawiła się w nich Tilde, trzymając pod ramię młodzieńca, którego widzieliśmy w college'u. Był olśniewający, z piękną twarzą (może nieco zbyt delikatną), małym nosem, dziurką w brodzie i cudownymi jasnymi lokami. Przy wyrafinowanej Tilde wyglądał jeszcze młodziej i chociaż trudno byłoby wziąć ją za jego matkę, różnica wieku pomiędzy nimi rzucała się w oczy.

Usiedli przy naszym stoliku i Adair zasypał młodego człowieka gradem pytań. Studiujesz na Harvardzie? (Tak). Ma rodzinę w Bostonie? (Nie, pochodzi z Filadelfii i w tej okolicy nie ma krewnych). Jaki przedmiot studiujesz? (Pasjonuje się nauką, ale jego rodzice życzą sobie, by kontynuował rodzinną tradycję jako prawnik). Ile ma lat? (Dwadzieścia). Słyszając to, Adair się skrzywił, jakby niezadowolony z odpowiedzi, zadziwiająca reakcja w wypadku równie prostego pytania. A potem zaprosił go na kolację do naszego domu.

Nie będę owijała w bawełnę: może i kucharka tamtego wieczoru podała udziec jagnięcy, ale jasnowłosy młodzieniec był daniem głównym. Adair wciąż zadawał mu pytania osobiste (Ma w college'u bliskich przyjaciół? Narzeczoną?), a kiedy tamten się znużył, Alejandro zaczął bawić nas dowcipami i autoironicznymi historyjkami. Płynęło więcej wina niż zwykle, zwłaszcza do kieliicha młodzieńca, po kolacji mężczyźni dostali koniak, a potem

wszyscy przeszliśmy do sali bilardowej, by grać w karty. Na koniec wieczoru Adair uznał, że nie można naszego gościa wysłać do college'u w takim stanie, bo gdyby przyłapali go nauczyciele, dostałby naganę za pijaństwo, i musi zostać na noc. Wtedy student już ledwo się trzymał na nogach, nie mógł więc protestować.

Lokaj pomógł mu wejść po schodach, a my zgromadziliśmy się pod drzwiami sypialni niczym szakale przygotowujące się do podziału zdobyczy. Adair zdecydował, że zajmiemy się nim we dwoje, i odprawił pozostałych. Młodzieniec, chociaż pijany, zręcznie się rozebrał i ochoczo poszedł ze mną do łóżka. To był dziwny moment: gdy chłopak zrzucił odzienie, Adair obserwował go uważnie, nie z radością (jak się spodziewałam), ale okiem analityka. Dopiero wtedy się zorientowaliśmy, że ma szpotawa stopę - to nie była wielka deformacja, a dzięki specjalnemu obuwiu nie kulał, ale na jej widok Adair wyraźnie stracił zapał.

Usiadł w fotelu i patrzył na nas. Ponad ramieniem młodzieńca zobaczyłam rozczarowanie na jego twarzy, obojętność, z którą starał się walczyć. Wreszcie Adair także się rozebrał i przyłączył do nas, zaskakując młodego mężczyznę swymi awansami. Zostały jednak przyjęte, w każdym razie tamten się nie opierał, choć krzyknął, gdy Adair potraktował go brutalnie. Spaliśmy tej nocy razem, owładniętego skutkami alkoholu i seksu gościa ułożyliśmy w nogach łóżka.

Rano młodzieńcowi wezwano dorożkę, a Adair i Tilde w zamkniętym pokoju gorąco się spierali. Siedzieliśmy z Alejandrem przy śniadaniu i słuchaliśmy, czy raczej staraliśmy się nie słyszeć stłumionej kłótni.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Adair rozkazał, byśmy wszędzie wypatrywali przystojnych mężczyzn, tych najprzystojniejszych, i przyprowadzali do niego.

Cóż mogę rzec, Adair lubi ładne buzie, ale interesuje go wyłącznie doskonałość. Mam rozumieć, że młodzieniec, którego wybrała Tilde, nie był doskonały?

- Miał szpotawa stopę. - Nie pojmowałam, jaką to robi różnicę, twarz miał cudowną.

Alejandro wzruszył ramionami.

- Więc wszystko jasne. - Zamilkł, smarując masłem piętę chleba, ja natomiast mieszałam herbatę i zastanawiałam się nad dziwnymi obsesjami Adaira. Chodzi o to, że uprawiał seks z tym chłopakiem, jakby wymierzał mu karę, bo tamten czymś go rozczarował. To mnie niepokoiło.

Nachyliłam się nad stołem i ujęłam Alejandra za rękę.

- Pamiętasz naszą rozmowę sprzed kilku tygodni o moim przyjacielu? Przystojnym przyjacielu? Przyrzeknij, Alejandro, że nie powiesz o nim Adairowi.

- Myślisz, że tak bym postąpił? - zapytał dotknięty. Wiem teraz, że udawał. Alejandro był świetnym aktorem. Taką grał rolę w grupie: uspokajał zdenerwowanych i niepewnych, uśmierzał strach ofiar, by nie dostrzegły zbliżającego się ciosu. Wówczas sądziłam, że jest dobry, podczas gdy Tilde i Dona są źli do szpiku kości, teraz rozumiem, że każde miało rolę do odegrania.

Wtedy jednak mu wierzyłam.

ROZDZIAŁ 28

Coraz bardziej intrygowali mnie ludzie, z którymi mieszkałam. Zaczynałam dopiero postrzegać ich jako bandę wspólników, w której każdy z członków ma swój cel, każdy odgrywa rolę ze swobodą wynikającą z wielokrotnego jej wykonywania. Wybór ofiary, otumanienie jej i skuteczne pojmanie, nieważne, czy chodziło o młodzieńca ze szpotawa stopą, czy oszustwa podczas gry w karty. Cała trójka była jak psy myśliwskie trzymane na smyczy, wystarczyło, że Adair je spuszczał, i ruszały, dobrze wiedząc, czego od nich oczekuje. Ja byłam czwartym psem, nowym w bandzie i wciąż niepewnym swej roli. Oni zaś, doskonale ze sobą zgrani, nie chcieli zrobić dla mnie miejsca, ponieważ byli przekonani, że wytrącę ich z rytmu, zepsuję lodowaty wdzięk i skuteczność. Mnie to odpowiadało, nie miałam najmniejszej ochoty przyłączyć się do nich.

Adair nie krył swego uczucia do mnie, spodziewałam się więc zemsty i byłam zdziwiona, że nic takiego nie następuje. W końcu musiałam zepchnąć kogoś z pozycji faworyta i powiernika, ale żadne nie było przygnębione, w powietrzu nie wyczuwało się zazdrości. Prawdę mówiąc, z wyjątkiem Alejandra rzadko ze mną

rozmawiali. Teraz wszyscy troje obchodzili mnie szerokim łukiem, choć bez złości. Unikali mnie i Adaira, spotykaliśmy się tylko wtedy, gdy jechaliśmy na przyjęcia, a wówczas wymuszona jowialność otaczała nas niczym mgła. Gdy napotykałam spojrzenie Tilde, wykrzywiła ponuro usta i marszczyła czoło, ale to nie była zazdrość. Wszyscy troje snuli się po domu jak bezsilne zjawy.

Pewnej nocy postanowiłam zapytać o nich Adaira, uznałam bowiem, że on z większym prawdopodobieństwem powie mi prawdę niż oni. Adair poszedł po brandy i kieliszki, a mnie służące pomogły się rozebrać i wyjęły szpilki z włosów. Kiedy nalał brandy, powiedziałam:

- Wiesz, chciałam porozmawiać z tobą o pewnej sprawie, która nie daje mi spokoju...

Upił wielki łyk i podał mi szklanę.

- Spodziewałam się tego. Ostatnio jesteś zamyślona.

- Chodzi... chodzi o pozostałych... - Nie miałam pojęcia, co powiedzieć dalej.

- Och, nie żądaj, bym ich odesłał. Nie zrobię tego. Możesz prosić, żebyśmy cały czas spędzali ze sobą, ale odesłanie ich nie wchodzi w grę. Poza tym musimy pozostać razem. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz potrzebowała pomocy któregoś z nas, kogoś, kto rozumie twoje położenie. Pewnego dnia to pojmiesz - wyjaśnił pośpiesznie.

- Wcale nie chcę, żebyś ich odesłał, tylko się zastanawiam, Adairze, które z nich ma złamane serce teraz, gdy tyle czasu poświęcasz mnie? Które z nich najdotkliwiej odczuwa utratę twojej uwagi? Na ich widok robi mi się przykro... dlaczego się ze mnie śmiejesz? Nie miałam zamiaru cię rozbawić.

Oczekiwałam, że moje pytanie skwituje uśmiechem, może zgani tę niemądrą wrażliwość i zapewni, że nikt nie ma do mnie pretensji, że tamci po kolei byli jego faworytami i wiedzą, że ta

przyjemność nie trwa wiecznie, że harmonia naszego domu nie została zburzona.

On wszakże zareagował inaczej. Wybuchnął śmiechem, ale w tym śmiechu nie było uznania, tylko drwina.

- Utratę mojej uwagi? Myślisz, że wieczorami wyplakują się w poduszkę, bo przestali być dla mnie najważniejsi? Pozwól, że coś ci opowiem o ludziach, z którymi dzielisz dom. Masz prawo wiedzieć, jesteś z nimi związana na wiečność. Moja droga, najlepiej zrobisz, jeśli będziesz się przy nich pilnować. W żadnym razie nie mają na względzie twojego dobra. Nic o nich nie wiesz, prawda?

- Alej trochę mi opowiedział - mruknęłam, spuszczać wzrok.

- Idę o zakład, że nie było to nic ważnego, a już z całą pewnością nic, co kazałoby ci źle o nim pomyśleć. Co mówił o sobie?

Zaczęłam żałować, że poruszyłam ten temat.

- Tylko tyle, że pochodzi z dobrej rodziny w Hiszpanii...

- Bardzo dobrej. Nazywali się Pinheiro i byli grandami, tylko że dzisiaj w Toledo nie znajdziesz nikogo o tym nazwisku. Wiesz dlaczego? Słyszałaś o inkwizycji? Alejandro i jego rodzinę pojmała inkwizycja, sam wielki inkwizytor Tomas de Torquemada. Jego matka, ojciec, babka, młodsza siostra, wszyscy zostali wtrąceni do więzienia. Dano im wybór: albo wyznają swoje grzechy i nawrócą się na katolicyzm, albo pozostaną w więzieniu, gdzie czeka ich pewna śmierć.

- Dlaczego się nie nawrócił? - wykrzyknęłam. - Czy to byłoby takie straszne, gdyby uratował życie?

- Ależ zrobił to. - Adair znowu nalał brandy do szklanek i stanął przed kominkiem. Migotliwe płomienie oświetlały jego twarz.

- Spełnił ich żądania. Byłby głupcem, gdyby się sprzeciwił, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Inkwizytorzy dumni byli ze

swych umiejętności łamania ludzi, uczynili z tego naukę. Trzymali go w celi tak małej, że musiał się zwijać w kłębek, i do wschodu słońca słuchał krzyków i modlitw. Kto w takiej sytuacji nie postradałby zmysłów? Kto nie zrobiłby absolutnie wszystkiego, by siebie uratować?

Przez chwilę ciszę mąciło tylko trzaskanie ognia. W duchu błagałam Adaira, by więcej nie mówił. Pragnęłam zachować obraz Alejandra takiego, jakiego znałam, słodkiego i troskliwego, nie mieć pojęcia o niegodziwości, którą z egoizmu popełnił.

Adair wylał resztę brandy w ogień; wzrok miał utkwiony w płomieniach.

- Wydał im siostrę. Zależało im na kimś, z kogo mogliby zrobić przykład zła czającego się pomiędzy niewinnymi, powód do wyrzucenia z kraju Żydów. Powiedział więc, że jego czternastoletnia siostra jest czarownicą, zapiekłą w swych praktykach. W rewanżu księża puścili go wolno. Wtedy go znalazłem, bełkotał jak szalenciec o swym postępku.

- To straszne. - Drżąc na całym ciele, otuliłam ramiona sobolową narzutą.

- Dona wydał władzom swego mistrza, kiedy go aresztowano za sodomię. Człowiek ów zabrał go z ulicy, karcił i odziewał, portretował na murach Florencji. Uwielbiał Donę z całego serca, a on go wydał bez chwili wahania. Byłbym głupcem, spodziewając się od niego lepszego traktowania.

Jest jeszcze Tilde, najbardziej z nich wszystkich niebezpieczna. Pochodzi z kraju położonego daleko na północy, gdzie zimą słońce wychodzi tylko na kilka godzin w ciągu dnia. W jedną z takich mroźnych nocy spotkałem ją na szlaku. Sąsiedzi oblali ją wodą i wyrzucili na dwór. Rozumiesz, zagięła parol na bogacza z sąsiedniej wioski, ale w realizacji planu przeszkadzał jej pewien drobiazg: już była mężatką. Jak rozwiązała ten problem? Zabiła

męża i dwoje dzieci. Otruła ich w przekonaniu, że nikt się tego nie domyśli. Ale sąsiedzi odkryli jej zbrodnię i skazali ją na śmierć przez zamrażnięcie. Kiedy ją znalazłem, od śmierci dzielił ją krok. Włosy, rzęsy i skórę miała pokryte lodem. Umierała, a mimo to zdołała posłać mi spojrzenie pełne czystej nienawiści.

- Przestań - szepnęłam, chowając się pod futrem. - Nie chcę dłużej tego słuchać.

- Prawdziwą miarą człowieka jest jego zachowanie w obliczu śmierci - odparł Adair pogardliwie.

- To nie w porządku. Ludzie mają prawo zrobić wszystko, by się uratować.

- Wszystko? - Uniósł brew i prychnął. - Tak czy owak uznałem, że masz prawo wiedzieć, że nie są godni współczucia. Pod urodą i manierami kryją się potwory, każde z nich takie jest. Nie bez powodu ich wybrałem. Mają miejsce w moich planach... choć żadne nie jest zdolne do miłości, chyba że jest to miłość własna. Nie będą dwa razy się zastanawiać nad wydaniem ciebie, jeśli coś przez to zyskają. Mogą nawet zapomnieć o zobowiązaniach wobec mnie, jeśli pomyślą, że taka zdrada ujdzie im na sucho. - Wsunął się do łóżka i przytulił mnie do siebie. Wydało mi się, że w jego dotyku jest jakaś dziwna potrzeba. - To właśnie tak mnie w tobie fascynuje, Lanore, Odznaczasz się wielką potrzebą miłości. Pragniesz oddać komuś serce, a kiedy je oddasz, poświęcisz się wybrankowi bez reszty. Myślę, że zrobiłabyś wiele dla ukochanego. Szczęściarzem będzie ten, kto pewnego dnia zdobędzie twoje serce. Chciałbym myśleć, że może ja się nim okazać.

Zasypiając, gładził mnie po włosach, a ja zastanawiałam się, ile Adair wie o Jonathanie, do jakiego stopnia potrafi czytać w moich myślach. Wspominając jego słowa, czułam dreszcze, nie potrafiłam dostrzec sensu w obdarzaniu życiem bez kresu ludzi, którzy tak mało na to zasłużyli, otaczaniu się na wieczność tchórzami

i mordercami, zwłaszcza jeśli zależało mu na lojalności. Umykała mi istota jego planów, w których istnienie nie wątpiłam.

A najgorsze było pytanie, dlaczego wybrał mnie na kolejnego członka swej perwersyjnej rodziny. Musiał dostrzec we mnie coś, co powiedziało mu, że jestem podobna do tamtych, może w mej duszy wyczytał, że byłam na tyle egoistyczna, by inną kobietę doprowadzić do samobójstwa, bo tak bardzo pragnęłam jej ukochanego. Jeśli zaś chodzi o tę prośbę, bym go pokochała - cóż, nie pomyślałabym, że ktoś taki jak Adair odczuwa potrzebę bycia kochanym... Ani że ja należę do kobiet zdolnych kochać potworów. Tamtej nocy leżałam, dygocząc obok śpiącego smacznie Adaira.

A co z Uzrą? Nie trzeba być mistykiem, by zrozumieć, że Uzra nie pasuje do pozostałych członków rodziny Adaira. Unosiła się ponad domownikami. Nie chodzi o to, że pozostali zapomnieli o jej istnieniu, po prostu nigdy o niej nie mówili. Nikt się nie spodziewał, że usiądzie z nami, kiedy po powrocie z przyjęcia popijaliśmy i rozmawialiśmy, nigdy nie towarzyszyła nam przy posiłkach. My jednak słyszeliśmy jej ciche kroki na piętrze, były jak skrobanie myszy.

Niekiedy Adair wzywał ją do sypialni. Pojawiała się z zaciśniętymi ustami i spuszczonej oczami, uległa, ale niebiorąca udziału. Później jednak, kiedy byłam sama, szukała mego towarzystwa, pozwalając, bym szcztokowała jej włosy lub czytała, a ja odbierałam to jako sposób na zapewnienie, że nie obarcza mnie winą za to, co się dzieje w łóżku Adaira, albo w najgorszym razie wybacza mi mój związek z nim. Pewnego razu zrobiła mi makijaż typowy dla jej ludu, z grubymi kreskami czarnego tuszu wokół oczu i liniami prowadzącymi do skroni. Potem owinęła mnie w jedną z swoich długich, powiewnych szat, w której widać było tylko moje

oczy, i muszę wyznać, że wyglądałam bardzo egzotycznie.

Czasami Uzra rzucała mi dziwne spojrzenie, jakby próbowała przemówić do mojej duszy, znaleźć jakiś sposób na przekazanie mi wiadomości. Ostrzeżenia. Nie sądziłam, by musiała mnie ostrzegać, wiedziałam, że Adair jest niebezpieczny i narażam się na wielki uszczerbek na duszy lub psychice, jeśli nazbyt się do niego zbliżę. Myślałam, że wiem, gdzie przebiega granica, że w porę będę w stanie się powstrzymać. Jaka byłam głupia.

Bywało, że przychodziła do mojego pokoju i przytulała mnie, jakby pocieszając. Kilkakrotnie wyciągnęła mnie z łóżka i kazała iść za sobą do jednej ze swoich kryjówek. Teraz rozumiem, co nią powodowało: chciała, żebym wiedziała, gdzie mam się schronić w dniu, gdy będę musiała uciec przed Adairem.

Pewnego popołudnia Tilde bez ostrzeżenia wzięła mnie za rękę, wdychając z poirytowaniem i ignorując moje pytania, po czym stanowczo poprowadziła do jednego z rzadziej używanych pokoi. Na małym stoliku przy kominku zobaczyłam butelkę tuszu, igły ułożone w wachlarz i poplamioną starą chusteczkę do nosa. Tilde usiadła w fotelu i zatknęła luźne włosy za uszy, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem.

- Zdejmij stanik i zsuń - poleciła rzeczowo.

- O co chodzi? - zapytałam.

- To nie jest prośba, głupia zdziro. - Wyjęła korek z butelki i wytarła palce w chusteczkę. - To rozkaz Adaira. Ramię masz mieć gołe.

Zgrzytając zębami, posłuchałam jej, wiedziałam bowiem, że Tilde uwielbia mnie tyranizować. Usiadłam na taborecie naprzeciwko niej. Chwyciła mnie za prawą rękę, przyciągając ją do siebie, po czym przekreśliła wnętrzem do góry, a następnie wsunęła mój przegub pod swoją pachę w sposób, w jaki kowal chwyta końską nogę, by ją podkuć. Patrzyłam podejrzliwie, jak Tilde

wybiera igłę, zanurza ją w tuszu i wbija w białą, delikatną skórę mego ramienia.

Podskoczyłam, choć nie poczułam nic poza naciskiem metalu.

- Co ty wyprawiasz?

- Mówiłam ci, rozkaz Adaira - burknęła. - Robię ci igłami znak, to się nazywa tatuaż. Jak rozumiem, nigdy nic podobnego nie widziałaś.

Wpatrywałam się w czarne kropki: trzy, cztery, Tilde pracowała szybko. Wyglądały jak pieprzyki, tusz rozlewał się nieco poza miejsce ukłucia. Po mniej więcej półgodzinie Tilde ukończyła zarys godła wielkości jednodolarowej monety i zaczęła tworzyć zwierzęcą postać, trochę podobną do węża i fantastyczną. Dopiero po minucie uświadomiłam sobie, że to smok. Wtedy też do pokoju wszedł Adair. Z przekrzywioną głową obserwował Tilde przy pracy, a potem przesunął palcem po mojej zalanej krwią i tuszem skórze, by lepiej widzieć.

- Wiesz, co to jest? - zapytał z niejaką dumą w głosie.

Pokręciłam głową.

- To godło mojej lub raczej adoptowanej rodziny. Jest na pieczęci, o której ci mówiłem.

- Dlaczego mi to robisz? O co w tym chodzi? - zapytałam.

Adair wziął chusteczkę i wytarł tatuaż.

- A jak myślisz? Znaczą cię jako swoją własność.

- Czy to naprawdę konieczne? - zapytałam, usiłując przekreślić rękę, czym zasłużyłam sobie na klapsa od Tilde. - Przypuszczam, że robisz to wszystkim swoim nieszczęsnym ofiarom. A jaki jest twój, Tilde? Mogę go zobaczyć, żebym wiedziała, jak będzie wyglądał...?

- Ja nie mam tatuażu - przerwała mi, nie podnosząc wzroku znad pracy.

- Nie? - Spojrzałam na Adaira. - Więc dlaczego ja?

- Bo to rzecz wyjątkowa, którą chciałem ci dać. Oznacza, że na zawsze jesteś moja.

Nie podobał mi się zaborczy błysk w jego oczach.

- Są inne sposoby na przekazanie takiego pragnienia dziewczynie. Pierścioneł, naszyjnik, jakiś symbol świadczący o przywiązaniu to ogólnie przyjęta metoda, jak mi się wydaje - rzekłam cierpko.

Wyglądało na to, że moja arogancja sprawia mu przyjemność.

- To tylko symbole, trywialne i tymczasowe. Pierścioneł możesz zdjąć, tatuażu nie.

Wpatrywałam się w dzieło Tilde.

- Chcesz powiedzieć, że... te ślady na zawsze pozostaną na mojej skórze?

Uśmiechnął się dziwnie (nauczyłam się oczekiwać tego uśmiechu, kiedy Adair miał zrobić coś nieprzyjemnego), wyrwał moją rękę z uchwytu Tilde i wsunął sobie pod pachę. Odetchnął głęboko, wybrał igłę i wbił ją w sam środek tatuażu. Ostry ból przeszył moje ciało, wszystkie ukłucia Tilde nagle ożyły.

- Z mojej ręki i woli - oznajmił. Rana zapiekła, jakby wtarto w nią sól. Gwałtownie przekreślił mi rękę, żeby jeszcze raz przyjrzeć się tatuażowi, a ja krzywiłam się z bólu. Wreszcie mnie puścił. - Lanore, zaskakujesz mnie - powiedział z przesadną emfazą. - Myślałem, że się ucieszysz, przecież cenię cię tak wysoko, że chcę cię mieć na wieczność.

Chodzi o to, że miał rację: istotnie sprawiała mi perwersyjną radość myśl, że mężczyzna gotów jest wypalić swoje imię na mojej skórze, bo tak bardzo mnie pragnie. Nie dałam jednak do końca się zwieść i czułam także strach, że traktowana jestem jak domowe bydło.

Mijały tygodnie. Zasadniczo towarzystwo Adaira sprawiało mi przyjemność: był dostatecznie troskliwy, dostatecznie uprzejmy, dostatecznie wielkoduszny. Często się kochaliśmy. Bywały jednak

okresy, kiedy bez żadnego powodu poza własną uciechą zachowywał się okrutnie. W takich chwilach Alejandro, Tilde, Dona i ja stawaliśmy się dworskimi błaznami, próbującymi ułagodzić mściwego króla i poprawić mu fatalny humor, by nie stać się obiektem jego okrucieństwa. Czułam wtedy, że jestem uwięziona w domu wariatów, i desperacko pragnęłam uciec, lecz nie wierzyłam, że to możliwe. Po wielu latach takiego traktowania pozostali wciąż trwali przy Adairze. Mówiono mi, że Uzra podejmowała niezliczone próby ucieczki. Gdyby to było możliwe, z pewnością już by ich tu nie było.

Pomimo że Adair dominował w moich myślach, coraz częściej wkradał się w nie Jonathan. Na początku czułam wyrzuty sumienia, ponieważ był przy mnie inny mężczyzna - jakbym w tej sprawie miała wybór! Choć usiłowałam przywoływać logiczne argumenty, choć wspominałam, jak źle mnie potraktował, tęskniłam za nim i czułam, że jestem wobec niego niewierna. Nie miało znaczenia, że poślubił inną i sam zrezygnował z praw do mego serca - to, że sypiałam z jednym, kochając drugiego, wydawało się złe.

Tak więc wciąż kochałam Jonathana. Mówiło mi o tym moje serce. Pochlebiała mi uwaga okazywana przez Adaira, cieszyłam się, że taki światowy mężczyzna jak on mnie pożąda, wiedziałam jednak, że gdyby jutro w mieście pojawił się Jonathan, bez słowa pożegnania opuściłabym Adaira. Żyłam z dnia na dzień. Mogłam tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia znowu zobaczę mego ukochanego.

ROZDZIAŁ 29

Straciłam poczucie czasu. Od jak dawna byłam z Adairem: sześciu tygodni, sześciu miesięcy? Nie wiedziałam i byłam przekonana, że to bez znaczenia; w mojej nowej sytuacji nie muszę zwracać uwagi na upływ czasu, który w całej swej nieskończoności otwierał się przede mną jak ocean, zbyt rozległy, bym mogła objąć go myślą.

Pod koniec słonecznego lata ktoś zapukał do drzwi. Tak się złożyło, że byłam w pobliżu, a służący gdzieś znikli (bez wątplenia odsypiali w kuchni skradzione wino), otworzyłam więc, sądząc, że to jakiś komiwojażer lub gość do Adaira, tymczasem zobaczyłam charyzmatycznego, dzikookiego kaznodzieję z Saco, który w dłoni trzymał sakwojaż.

Na mój widok otworzył usta i jego przebiegła twarz zapłonęła z radości.

- Znam cię, panienko, prawda? Pamiętam te śliczne rysy, taką buzię trudno zapomnieć - powiedział, bez zaproszenia wchodząc do holu i zdejmując z głowy trójkątny kapelusz.

- Ja też cię znam - odrzekłam. Cofnęłam się przerażona, niezdolna odgadnąć, co też sprowadza tutaj tego człowieka.

- W takim razie nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Jak się nazywasz i gdzie się poznaliśmy? - zapytał, wciąż się uśmiechając; pod tym uśmiechem skrywał próby przypomnienia sobie okoliczności naszego spotkania.

Zamiast mu odpowiedzieć, sama zadałam pytanie:

- Dlaczego tu jesteś? Znasz Adaira?

Moja rezerwa najwyraźniej go rozbawiła.

- Naturalnie, że tak, po co w przeciwnym razie pukałbym do jego drzwi? Idę o zakład, że znam go w taki sam sposób jak ty.

Więc to prawda - teraz byliśmy tacy sami, on i ja. Istoty stworzone przez Adaira.

Wtedy sobie przypomniał i twarz mu pojaśniała lubieżną uciechą.

- Och, już wiem! Mała wioska w Maine, niedaleko osady akadiańskiej! Tam się spotkaliśmy! Nie masz na sobie ponurej brązowej sukni, trudno cię poznać w błękitnym jedwabiu i francuskich koronkach! Słowo daję, zdumiewająca transformacja. Opuściłaś purytan bez żalu, prawda?

Zawsze się okazuje, że ci najcichsi mają najgwałtowniejsze serca - mówił, przyglądając mi się przez zmrużone powieki; zapewne sądził, że istnieje szansa, iż wylądujemy razem w łóżku. Musiał tylko poprosić Adaira, który nigdy w takich sytuacjach nie odmawiał.

Przerwał nam jego głos, dobiegający ze szczytu schodów:

- Popatrzcie, kto mnie odwiedził! Jude, chcesz odpocząć po podróżach? Wchodź, wchodź, dawno cię nie widziałem - mówił Adair, schodząc ku nam. Objął kaznodzieję serdecznie, a potem zauważył, że ten przygląda mi się wyczekująco, zapytał więc: - O co chodzi? Wy się znacie?

- Istotnie, znamy się - odparł Jude, okrążając mnie i teatralnie napawając się moim widokiem. - Jakiś czas temu pisałem ci o tej

młodej kobiecie. Pamiętasz list opisujący obiecującą i niezepsutą piękność z dzikością w sercu?

Zadarłam brodę.

- A cóż to ma znaczyć?

Adair jednak tylko się zaśmiał i pogładził mnie po policzku.

- Daj spokój, moja droga, sens jego słów jest jasny. Nie byłoby cię tutaj, gdyby nie była to prawda.

Oczy niemiłego gościa przesuwwały się po mnie jak dłonie gospodyni sprawdzającej jędrność owocu.

- Cóż, załóżę się, że już nie jest niezepsutą, he? Uczyniłeś z tej małej ognistej istotki swą duchową żonę, prawda? - zapytał Jude kpiąco, po czym zwrócił się do mnie: - To, że tutaj trafiłaś, moja droga, było twoim przeznaczeniem, nie sądzisz? A ty masz szczęście, Adairze, że nie musiałeś odbywać podróży do jej wioski, uwierz mi, nikomu takiej przeprawy nie życzę. Ta dziewczyna przysporzyła mi sporo kłopotów. Nie chciała przedstawić mi chłopaka, o którym ci pisałem.

Na pewno mówił o Jonathanie. Ugryzłam się w język.

- Wolałbym, żebyś dał sobie spokój z tymi bzdurami o „duchowych żonach”, przynajmniej w moim domu. Nie mam cierpliwości do religijnych dyrdymałek - oświadczył Adair, obejmując go i prowadząc do salonu, gdzie nasz gość od razu ruszył w stronę karafek z winem. - Ale o czym ty mówisz? Co to za chłopak?

Judah Van der Meer nalał sobie pełny kieliszek i upił wielki łyk, jakby po podróży był bardzo spragniony.

- Nie czytałeś moich listów? Dlaczego prosisz, żebym przekazywał moje obserwacje, skoro nie zwracasz na nie uwagi? Pisałem ci, co znalazłem w tej zapomnianej przez Boga wiosce w północnym zakątku stanu. Twój najnowszy nabytek... - znowu się napił, wskazując mnie głową - ...uniemożliwił mi poznanie niezwykłego

młodego człowieka. O ile mogłem się zorientować, pilnowała go zazdrośnie. Jeśli historie o nim są prawdziwe, to jest właśnie człowiek, jakiego szukasz.

Poczułam dreszcz: w powietrzu wisiała zapowiedź strasznego wydarzenia. Stałam sparaliżowana niepokojem.

Adair nalał sobie wina, mnie nie proponując poczęstunku.

- Czy to prawda, Lanore?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, zresztą w tamtej chwili zdrowy rozsądek mnie opuścił.

- Z twego milczenia domyślałam się, że tak. Kiedy zamierzałaś mi o nim opowiedzieć? - zapytał.

- Twój szpieg myli się całkowicie. Ten człowiek nie jest wart twojej uwagi. - Nigdy nie pomyślałam, że kiedykolwiek powiem tak o Jonathanie. - To mój przyjaciel z dzieciństwa.

- Rzeczywiście, niewart uwagi. Rozmawiamy o Jonathanie, którym przechwalałaś się przed Alejandro? Nie bądź zaskoczona, Alejandro wszystko mi powtórzył. Wie, że nie można mieć przede mną tajemnic. Uporządkujmy więc: ów Jonathan, wzór piękna, to człowiek, którego kochasz? Jestem rozczarowany, Lanore, że tak łatwo dałaś się uwieść przystojnej twarzy...

- I ty to mówisz! - rzekłam z oburzeniem. - Skoro mowa o miłości do piękna, to kto niczym kolekcjoner sztuki gromadzi wokół siebie ładne istoty? Jeśli miłość do piękna oznacza płytkość, to ciebie dotyczy to w o wiele większym stopniu niż mnie...

- Och, nie obrażaj się tak szybko. Ja tylko się z tobą drażnię. Twoje przekonanie, że kochasz Jonathana, jest wystarczającym powodem, bym chciał go poznać, nie sądzisz?

Jude uniósł brwi.

- Gdybym lepiej cię nie znał, Adairze, powiedziałbym, że wydajesz się cokolwiek zazdrosny.

Desperacko pragnąc skłonić Adaira do zmiany zdania, zaczęłam go błagać:

- Oszczędź Jonathana. Ma rodzinę na utrzymaniu. Nie chcę go w to wciągać... A jeśli chodzi o miłość do niego... masz rację, ale przecież zniknął z mojego życia. Kiedyś go kochałam, teraz nie.

Adair przyjrzał mi się, przekrzywiając głowę.

- Och, moja droga, kłamiesz. Gdyby tak było, zapomniałabyś o nim, ale ty wciąż go kochasz, czuję to tutaj - powiedział, dotykając mej piersi nad sercem. Wbił we mnie błyszczące oczy, w których malował się ból. - Sprowadź go do mnie. Chcę poznać człowieka o zadziwiającej urodzie, który zafascynował naszą Lanore.

- Jeśli twoim celem jest pójście z nim do łóżka, nic z tego nie będzie. On nie jest taki... jak Alejandro czy Dona.

Jude wybuchnął aroganckim śmiechem, ale szybko zakrył usta dłonią; przez chwilę wydawało się, że rozwścieczony Adair mnie uderzy.

- Myślisz, że ten człowiek interesuje mnie tylko dlatego, że chcę uprawiać z nim seks? Myślisz, że człowiek taki jak twój Jonathan jedynie w taki sposób może być wykorzystany? Nie, Lanore. Ja chcę go poznać, przekonać się, czym zasłużył na twoją miłość. Może on i ja jesteśmy bratnimi duszami. Przydałby mi się nowy towarzysz, przyjaciel. Mam dość przebywania z lizusami i pochlebcami. Wszyscy jesteście niewiele więcej niż służącymi, zdradzieckimi, intrygującymi, pełnymi pretensji. Robi mi się niedobrze na wasz widok. - Adair cofnął się i głośno odstawił kieliszek na kredens. - Poza tym, czy możesz się skarżyć na swoje życie? Dni spędzasz otoczona przyjemnościami i luksusem. Daję ci wszystko, czego zapragniesz, traktuję cię jak księżniczkę. Otworzyłem ci świat, prawda? Wyzwoliłem twój umysł z ograniczeń nałożonych przez ignoranckich duchownych, zapoznałem z tajemnicami, które uczeni przez całe życie próbują odkryć.

Wszystko to dałem ci za darmo, moja droga, czyż nie? Szczerze mówiąc, twoja niewdzięczność mnie obraża.

Ugryzłam się w język, dobrze wiedząc, że nic dobrego nie przyjdzie z wyliczenia cierpień, na które mnie naraził. Mogłam tylko schylić głowę i mruknąć:

- Przepraszam, Adairze.

Szczęka mu drgała, pięści przyciskał do stołu. Jego milczenie mówiło wyraźnie, że próbuje opanować furję.

- Sądziłbym, że skoro ten Jonathan naprawdę jest twoim przyjacielem, zechcesz podzielić się z nim swym szczęśliwym losem.

Adair mógł w taki sposób postrzegać moje obecne życie, ale to stwierdzenie tylko pokazywało, do jakiego stopnia trwa w ułudzie. Prawda była bardziej skomplikowana: czułam dla niego wdzięczność, ale też się go obawiałam i miałam wrażenie, że w jego domu jestem więźniarką. Przez niego stałam się prostytutką, a nie chciałam, by Jonathan taką mnie zobaczył, nie wspominając już o wciąganiu go w tę sytuację.

Wychodząc z pokoju, Adair rzucił przez ramię:

- Ani przez chwilę nie myśl, że mnie oszukasz, Lanore.

Zaprzeczasz, ale na dnie serca tego pragniesz.

Nigdy, przenigdy nie pozwolę, by Jonathan cierpiał ten sam los.

- Jude nie przesadza, Jonathan mieszka bardzo, bardzo daleko - rzekłam, ignorując jego oszczerstwa. - Trzeba podróżować przez trzy tygodnie lądem i wodą, a i tak widzi się wokół wyłącznie lasy, pola i ubogich farmerów.

Adair przez sekundę mi się przyglądał.

- Bardzo dobrze. Nie podejmę tej podróży, skoro jest taka nużąca. Ty po niego pojedziesz. To będzie doskonały sprawdzian twojej lojalności, nie sądzisz?

Serce mi się ścisnęło.

Podczas swego pobytu Jude chodził z nami na przyjęcia, ale gdy wieczorem udawaliśmy się na górę do sypialni, Adair nie pozwalał mu iść z nami i z zimnym uśmiechem życzył dobrej nocy.

Jude nie zabawił z nami długo. Jedno popołudnie spędził zamknięty z Adairem w gabinecie; potem zobaczyłam, jak wrzuca monety do sakiewki, najwyraźniej Adair za coś mu płacił.

W dniu wyjazdu odszukał mnie w saloniku, gdzie siedziałam nad szyciem, korzystając z jasnego światła. Z kapeluszem w dłoni skłonił się, jakbym była panią domu.

- Robótki ręczne? Zdumiony jestem, że wciąż się tym zajmujesz, Lanore. Z pewnością masz służbę do wykonywania tego rodzaju obowiązków. Chociaż dobrym pomysłem jest doskonale nie swoich umiejętności. Wiesz, życie z Adairem nie zawsze takie będzie: wielki dom, służba, bogactwa. Jak wynika z mojego doświadczenia, nadejdą lata chude, kiedy będziesz musiała sama o siebie zadbać. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Dziękuję za radę - odparłam lodowato, z teatralną przesadą dając mu do zrozumienia, że z trudem toleruję jego obecność. - Widzisz jednak, że jestem zajęta. Czy jest jakiś powód, dla którego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Nie będę dłużej nadużywał twojej dobrej woli, panno Lanore - rzekł niemal nieśmiało. - Dzisiaj wyjeżdżam.

- Mojej dobrej woli? Ależ moje uczucia nie mają nic wspólnego z tym, czy jesteś tutaj intruzem, czy pożądanym gościem. Liczą się tylko pragnienia Adaira.

Kaznodzieja zachichotał, otrzepując kapelusz o kolana.

- Lanore, z pewnością wiesz, że w większości spraw Adair bierze pod uwagę twoje życzenia? Jest do ciebie bardzo przywiązany. Musisz być dla niego wyjątkową osobą. Chętnie ci powiem, że nigdy wcześniej nie widziałem, by tak się zachowywał... Nigdy do tego stopnia nie zadurzył się w żadnej kobiecie.

Przyznać muszę, że pochlebiły mi jego słowa, chociaż głowę trzymałam pochyloną nad szyciem i starałam się nic po sobie nie dać poznać.

Jude utkwiał we mnie swe szalone oczy.

- Przyszedłem cię ostrzec. Prowadzisz niebezpieczną grę. Nie bez powodu staramy się nie zbliżać zanadto do Adaira, a zrozumienie tego sporo nas kosztowało. Ty jednak okazałaś mu miłość, przez co on zaczął sądzić, iż zasługuje na takie przywiązanie. Przyszło ci kiedyś do głowy, że może jedyną rzeczą utrzymującą diabła w ryzach jest świadomość, jak bardzo inni nim pogardzają? Także diabeł niekiedy pragnie współczucia, ale współczucie dla diabła podsyca tylko ogień. Twoja miłość doda mu śmiałości, przypuszczalnie w sposób, którego będziesz żałowała.

To ostrzeżenie zdenerwowało mnie i zaskoczyło, nie tego spodziewałam się od kaznodziei. Nic jednak nie mówiłam, czekając na dalszy ciąg.

- Mam do ciebie pytanie i ufam, że odpowiesz mi szczerze. Co taka dziewczyna jak ty widzi w Adairze? Zajrzałem w twoje serce i wydało mi się dzikie, złaknione przygód.

Adair wprowadził cię w świat zmysłowych rozkoszy, w który wkroczyłaś tak, jak uczynić to może tylko dziecko wychowane przez purytan - mógłbym dodać, że ku jego wielkiej radości. Może twoja dzikość jest po prostu głupotą, Lanore, nie pomyślałaś o tym? Oddawaj swe uroczę ciało Adairowi, jeśli takie jest twoje życzenie, ale dlaczego chcesz oddać serce człowiekowi, który z całą pewnością cię zrani? Beztrosko obchodzisz się ze swym sercem,

Lanore, myślę, że wciąż jesteś zbyt niewinna na związek z takimi jak on. Wybacz, że to wszystko mówię, ale chodzi mi o twoje dobro.

Jego przemowa zbiła mnie z tropu. Kimże on był, by nazywać mnie głupią, przecież tak samo jak pozostali znalazłam się w pułapce, zmuszona ulegać kaprysom potwora, jeśli chciałam przetrwać, czyż nie? Uważałam, że postępuję najlepiej jak można w tej okropnej sytuacji. Teraz oczywiście widzę to inaczej, wiem, że byłam lekkomyślna i nie potrafiłam sama przed sobą przyznać się do prawdy. Powinnam była okazać wdzięczność kaznodziei, że zaryzykował i ostrzegł mnie w domu Adaira, ale byłam wobec niego zbyt podejrzliwa, by mu zaufać. Zamiast tego wmawiałam sobie, że wiem, co robię.

- No cóż, dziękuję za radę... wybacz jednak, jeśli powiem, że sama będę decydowała o swoich uczynkach.

- Ale nie chodzi wyłącznie o ciebie, prawda? Wyjeżdżasz, by sprowadzić tu Jonathana, człowieka, którego, jak twierdzisz, obdarzasz wielką miłością. Ochota, z jaką zgodziłaś się na propozycję Adaira, każe mi myśleć, czy przypadkiem nie miał racji. Ty chcesz spełnić jego polecenie, prawda? Chcesz, by twój ukochany znalazł się w pułapce zastawionej przez Adaira, bo wtedy będziesz z nim.

- Wiesz, co myślę? - podniosłam głos i wstałam, zrzucając szycie z kolan. - Ty wcale nie chcesz udzielać mi rad. Jesteś zazdrosny... chciałeś sam przyprowadzić tu Jonathana, ale nie byłeś w stanie. Mnie się uda przedsięwzięcie, w którym ty poniosłeś porażkę... - Byłam rozgniewana i nie miałam pojęcia, o czym mówię; z całą pewnością miałam większy wpływ na Jonathana niż Jude, ale o co w tym chodziło? Jude wiedział, ja nie.

Pokręciłam głową, cofając się o krok.

- Ciągłe się przekonuję, że ludzie, na których zwracam uwagę

Adaira, na swój sposób na to zasługują. Idą do niego z własnej woli. Ja w żadnym razie nie sprowadziłbym do niego osoby, którą kocham. Przenigdy.

Powinnaś była go zapytać, co przez to rozumie, ale - jak większość młodych ludzi - uważałam, że lepiej blefować, niż ujawnić, iż nie mam pojęcia, co robię. Poza tym nie ufałam kaznodziei, pokazał mi zupełnie inną twarz i nie wiedziałam, jak to rozumieć. Liczył, że przyłapie mnie na braku lojalności wobec Adaira, pana, któremu służył o wiele dłużej, niż trwała nasza znajomość? Może w bandzie pełnił funkcję informatora, prowokatora.

Siłą przywołałam na twarz oburzenie, choć ze zdenerwowania cała dygotałam. Jude sprawił, że straciłam panowanie nad sobą.

- Dość usłyszałam. Wyjdź, zanim pójde do Adaira i powiem mu o twoim podstępie.

Cofnął się zaskoczony, choć zaraz zgarbił ramiona. Chyląc głowę w kpiącym ukłonie, wycofał się do drzwi.

- Widzę, że bardzo się pomyliłem co do ciebie, Lanore... Wcale nie odnosisz się beztrosko do swego serca... Doskonale wiesz, co robisz, prawda? Mam nadzieję, że przeprosiłaś Boga za to, co chcesz uczynić.

Usiłowałam zapanować nad oddechem i szalejącym sercem, powtarzając sobie, że ani jedno z jego słów nie jest prawdziwe.

- Wynoś się - powtórzyłam, ruszając w jego stronę, jakbym mogła wypędzić go z domu. - Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę.

- Niestety, to sprzeczne z naszym przeznaczeniem. Przekonasz się, że świat jest bardzo mały, jeśli żyjesz w nim wiecznie. Chcesz tego czy nie, nasze ścieżki znowu się skrzyżują - powiedział na odchodnym.

ROZDZIAŁ 30

Natychmiast rozpoczęto przygotowania do podróży: za cztery dni miałam popłynąć statkiem towarowym do Camden. Dona, uszczęśliwiony, że się mnie pozbywają, pomógł mi wybrać dwa solidne kufry spośród kilkudziesięciu, z którymi przyjechali z Europy. Do jednego spakowaliśmy moje najlepsze ubrania, do drugiego prezenty dla mojej rodziny: belę chińskiego jedwabiu, kołnierzyk i mankiety z belgijskiej koronki, złoty naszyjnik z bładoróżowymi opalami. Adair nalegał, bym wzięła też podarki dla Jonathana, które mu pokażą, jakie rozliczne przyjemności czekają na niego w świecie rozciągającym się poza potężnymi północnymi lasami. Kiedy odparłam, że mój przyjaciel ma tylko jedną słabość, kobiety, Dona z pudeł wygrzebał talię kart z rozpustnymi, lubieżnymi figurami, zwłaszcza damę kier namalowano w niezwykle śmiałej pozie, książkę z pornograficznymi wierszami (Jonathan nigdy nie był miłośnikiem literatury, ale gdyby jakaś książka mogła przekonać go do lektury, to właśnie ta), rzeźbę z nefrytu, podobno pochodzącą z Dalekiego Wschodu, która przedstawiała trzy osoby podczas aktu seksualnego, oraz zdobiony klejnotami futerał

z aksamitu, zawierający zamiast bransolet czy pierścionków rzeźbione penisy z drewna, kości słoniowej i hebanu.

Skrzywiłam się na widok tego ostatniego daru.

- Nie jestem pewna, czy to przypadnie mu do gustu - powiedziałam, podnosząc największy, ten z hebanu, by przyjrzeć się szczegółom.

- Przecież to nie dla niego - odparł Dona, odbierając mi dildo i chowając je z pozostałymi do futerału. - Mówiłaś, że jest rozwiązły. Te przedmioty można wykorzystać do zabawiania dam, do pobudzenia ich apetytu, wprowadzenia w odpowiedni nastrój. Chcesz, żebym ci pokazał, jak się ich używa? - zapytał, zerkając na mnie z ukosa. W głowie mu się nie mieścił taki brak seksualnego wyrafinowania i pewnie myślał, że nie nadaję się do tego zlecenia.

Dona grzebał w kufrach, szukając drobiazgów, ja zabijałam czas, także odwijając tajemnicze pakunki i dziwiąc się tajemniczym skarbom (wysadzana klejnotami pozytywka w kształcie jaja, miniaturowy ptak, machający metalowymi skrzydełkami i śpiewający piosenkę). W końcu w zakurzonej skrzyni, wepchniętej w najciemniejszy kąt, znalazłam przedmiot, na widok którego przeszedł mnie dreszcz. Ciężka pieczęć barwy złota (choć bez wątplenia wykonana z miedzi, złota warta byłaby fortunę), owinięta w aksamit i schowana w skórzanej sakiewce. Pieczęć dawno zmarłego medyka, o którym opowiadał Adair? Trzyma ją jako pamiątkę?

- Proszę, gotowe. - Głos Dony przywołał mnie do rzeczywistości, pośpiesznie więc zamknęłam kufer i wepchnęłam go na miejsce. Dona owinął upominki dla Jonathana w czerwony jedwab i związał złotym sznurkiem. Prezenty dla mojej rodziny, owinięte w niebieską tkaninę, związane były białą wstążką.

- Nie pomył tych dwóch paczek.

Zapewne wszystkie te przygotowania uśpiły moją czujność. Adair obrzucał mnie prezentami, organizował luksusową podróż. Zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie mam wyboru, czy to nie jest szansa na oddzielenie się od grupy. Pewnie nie mogłam sobie pozwalać na takie śmiałe rozmyślenia, gdy leżałam z nim w łóżku, ale setki mil dalej będę bezpieczna. Odległość musi osłabić łączącą nas więź.

Ta myśl mnie pocieszyła, może nawet dodała odwagi. Zaczęłam postrzegać podróż jako okazję do ucieczki, może nawet zdolałam przekonać Jonathana, by opuścił rodzinę i uciekł ze mną.

Tak sądziłam do następnego popołudnia.

Zobaczyłyśmy tę dziewczynę, kiedy wracałyśmy od modystki z nowym kapeluszem dla Tilde. Stała w zaułku i zerknęła na ruch uliczny. Była chuda i szara, mała myszka, odziana w lachmany. Tilde ruszyła w jej stronę, zmuszając dziewczynę do wycofania się głębiej w zaułek.

Zadawałam sobie pytanie, dlaczego Tilde podeszła do dziewczyny i czy powinnam do niej dołączyć, ale już zawróciły. W zmierzchającym świetle popołudnia zobaczyłam, jak żałośnie wyglądała ta mała - zużyta i wyrzucona ścierka. W oczach miała wypisaną świadomość, że w każdej chwili można się jej pozbyć.

- To jest Patience - powiedziała Tilde, mocno ściskając jej małą dłoń. - Potrzebuje dachu nad głową, pomyślałam więc, że na kilka dni zabiorę ją do nas. Chyba nie sądzisz, że Adair będzie miał coś przeciwko temu? - Uśmiechnęła się przebiegle i triumfująco, a ja przypomniałam sobie, jak we troje znaleźli mnie na ulicy kilka miesięcy wcześniej. Osiągnęła zamierzony cel. Widząc strach na mej twarzy, posłała mi ostre, ostrzegawcze spojrzenie, pojęłam więc, że mam milczeć.

Tilde wezwała powóz i kazała dziewczynie wsiąść pierwszej. Ta przycupnęła na skraju ławki i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w okno, za którym przesuwiał się Boston. Czy ja też tak wyglądałam, żalosna ofiara drapieżnika, wręcz błagająca, by ją pożreć?

- Skąd pochodzisz, Patience? - zapytałam.

Obrzuciła mnie czujnym spojrzeniem.

- Uciekłam.

- Z domu?

Pokręciła głową, ale nic więcej nie powiedziała.

- Ile masz lat?

- Czternaście. - Wyglądała na dwanaście i najwyraźniej zdawała sobie z tego sprawę, jej rozbiegane oczy umykały przed moim badawczym spojrzeniem.

W domu Tilde zaprowadziła ją na górę.

- Przyślę służącą z wodą, żebyś mogła się umyć - powiedziała, dziewczynka zaś mimowolnie uniosła dłoń do brudnego policzka. - A także z jedzeniem. Poszukam ci ciepłego ubrania. Lanore, może pójdziesz ze mną.

Skierowała się prosto do mojego pokoju i zaczęła przeglądać garderobę, nie pytając mnie o pozwolenie.

- Wydaje mi się, że wszystkie mniejsze rzeczy daliśmy tobie... Na pewno masz coś, co będzie pasowało na tę dziewczynę...

- Nie rozumiem... - Stanęłam przed Tilde, zamykając drzwi szafy. - Dlaczego ją tu przywiozłaś? Co zamierzasz z nią zrobić?

Tilde prychnęła.

- Nie udawaj głupiej, Lanore. Ty akurat powinnaś to wiedzieć...

- Ale to jeszcze dziecko! Nie możesz dać jej Adairowi, jakby była zabawką. - Z tego, co o nim wiedziałam, nigdy nie molestował dziecka. Nie byłabym w stanie tego znieść.

Tilde podeszła do kufra.

- Może jest młodziutka, ale z pewnością nie jest niewinna. Powiedziała mi, że uciekła z przytułku, dokąd wysłano ją, by urodziła dziecko. Czternastolatka z dzieckiem. Doprawdy! Wyświadczamy jej przysługę - odparła, wybierając wąską halkę z bawełnianymi tasiemkami.

Opadłam na łóżko.

- Weź to i pomóż jej się umyć. - Tilde podała mi ubranie. - Ja każę przygotować coś do zjedzenia.

Kiedy wróciłam do pokoju, Patience stała przy oknie i patrzyła na ulicę. Odgarnęła kosmyki brudnych brązowych włosów z oczu, ukradkiem zerkając na rzeczy w moich objęciach..

- Włóż je, nie krępuj się. - Stałam do niej plecami, gdy się rozbierała. - Tilde mówiła, że uciekaś z przytułku...

- Tak, panienko.

- ...gdzie urodziłaś dziecko. Powiedz, co się z nim stało? - Serce mi waliło; przecież nie uciekła i nie zostawiła dziecka w ochronce.

- Odebrali mi je - odparła obronnie. - Nie widziałam go od chwili, gdy się urodził.

- Przykro mi.

- Skończyło się, nie ma o czym mówić. Żałuję... - Urwała, pewnie myśląc, że nie powinna się zwierzać tym dwom podejrzanym damom, które zabrały ją z ulicy. Wiedziałam, co czuje. - Ta druga pani powiedziała, że może znajdzie się tu dla mnie praca, na przykład w kuchni?

- Odpowiadałoby ci to?

- Ale mówiła, że najpierw muszę spotkać się z panem domu, bo to od niego zależy. - Przyglądała się badawczo mojej twarzy, szukając znaku, że też o tym wiem, że nikt nie próbuje spłatać jej dziwnej sztuczki. Tilde się myliła, dziewczyna wciąż była bardzo

niewinna. W uszach zabrzmiały mi słowa Jude'a: zbyt niewinna, by iść do łóżka z mężczyznami pokroju Adaira. Nie mogłam pozwolić, by przydarzyło się jej to, co mnie. Chwyciłam ją za rękę.

- Chodź ze mną, ale cicho. Nic nie mów.

Zbiegłyśmy do kuchni tylnymi schodami (wiedziałam, że Tilde nigdy z nich nie korzysta). Na pniaku do rąbania mięsa leżała garść monet, pewnie przygotowana dla dostawcy. Zgarnęłam je i wcisnęłam Patience do ręki.

- Idź. Weź pieniądze i zatrzymaj ubranie.

Patrzyła na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

- Ale dokąd mam pójść? Jeśli wrócę do przytułku, ukarzą mnie, a do domu iść nie mogę...

- W takim razie przyjmij karę albo zdaj się na łaskę rodziny. Wiem, że widziałas wiele niegodziwości, ale jest jej na świecie o wiele więcej, niż podejrzewasz, Patience. Idź! To dla twojego dobra. - Wypchnęłam ją za próg i zatrasnęłam drzwi. W tej samej chwili do kuchni weszła pomywaczka, przyglądając mi się z zaciekawieniem. Szybko wróciłam do swego pokoju.

Krążyłam gwałtownie od ściany do ściany. Skoro wyrzuciłam dziewczynę dla jej dobra, jaką wymówkę miałam dla siebie? Wiedziałam, że to, co robię z Adairem, jest złe, wiedziałam, że znajduję się w nikczemnym miejscu, a mimo to... strach nie pozwalał mi się ruszyć. Teraz wszakże ten sam strach popychał mnie do działania: to tylko kwestia minut, nim Tilde się zorientuje, że pozabawiono ją zdobyczy, a wówczas oboje z Adairem rzucą się na mnie jak para lwów. Wrzucając ubrania do torby, czułam, jak każdy nerw w ciele ponagla mnie do ucieczki. Alternatywą było stawienie czoła straszliwemu gniewowi.

Bez namysłu wybiegłam na ulicę i wsiałam do dorożki, licząc pieniądze w torebce. Niewiele, choć wystarczy, bym wydołała się

z Bostonu. Dorożka zawiozła mnie na przystanek dyliżansów, gdzie kupiłam bilet na najbliższy dyliżans do Nowego Jorku.

- Odjazd dopiero za godzinę - poinformował mnie urzędnik. - Po drugiej stronie jest pub, w którym pasażerowie mogą poczekać.

Siedziałam przy dzbanku herbaty, torbę postawiwszy na podłodze. Od chwili, gdy uciekłam z domu, po raz pierwszy mogłam złapać oddech. Choć serce waliło mi ze strachu, czułam dziwny optymizm. Opuszczam dom Adaira. Ile razy myślałam o tym, ale brakowało mi odwagi? Teraz uczyniłam to w pośpiechu, i nic nie wskazywało na to, że zostałam odkryta. Z całą pewnością nie znajdą mnie w ciągu godziny, Boston to wielkie miasto, a potem będę w drodze, gdzie mnie nie wysledzą. Przycisnęłam ręce do białego czajnika, by je ogrzać, i z ulgą cicho westchnęłam. Może dom Adaira był złudzeniem... złym snem, który zdawał się rzeczywistością, póki się nie skończył, a Adair nie jest w stanie wyrządzić mi krzywdy. Może chodziło o to, by zebrać się na odwagę i przekroczyć próg. Teraz pytanie brzmiało, dokąd mam się udać i co zrobić ze swoim życiem.

A potem nagle uświadomiłam sobie czyjąś obecność. Adair, Alejandro, Tilde. Adair kucnął obok mnie i szepnął mi do ucha:

- Pójdiesz ze mną, Lanore, i nie myśl nawet o urządzeniu sceny. Pewien jestem, że w torbie masz biżuterię, więc jeśli wezwiesz pomoc, ja powiem władzom, że ukradłaś ją z mojego domu. Pozostali przysięgną, że to prawda.

Niemal zmiażdżył mi łokieć, ciągnąc mnie za sobą. Czułam jego gniew, promieniujący niczym żar z paleniska. W dorożce nie byłam w stanie patrzeć na żadne z nich, siedziałam milcząca, z ustami zaciśniętymi ze strachu. Tuż za progiem domu uderzył mnie w twarz z taką siłą, że padłam na podłogę. Alejandro i Tilde

pośpiesznie mnie wyminęli niczym ptaki zrywające się z pola przed burzą.

W oczach Adaira malowała się wściekłość, jakby chciał rozerwać mnie na strzępy.

- Co ty sobie myślałaś? Dokąd się wybierasz?

Nie znalazłam żadnych słów, ale nie czekał na odpowiedź. Wymierzał mi ciosy, zatracając się w furii. W końcu leżałam u jego stóp jak bezwładna lalka, patrząc na niego przez spuchnięte, przekrwione oczy. Jego gniew nie malał, widać to było po sposobie, w jaki pocierał o siebie dłonie i krążył przede mną.

- W taki sposób odpłacasz się za moją szczodrość, zaufanie? - ryknął. - Zabieram cię pod swój dach, przyjmuję do rodziny, ubieram cię, zapewniam bezpieczeństwo... pod pewnymi względami jesteście dla mnie jak dzieci. Zrozumiałe więc, że bardzo mnie rozczarowałaś. Ostrzegałem cię: jesteś moja, czy ci się to podoba, czy nie. Nigdy, przenigdy ode mnie nie odejdziesz, chyba że ci na to pozwolę.

Wziął mnie na ręce i zaniósł na tyły domu, do kuchni i pomieszczeń dla służby, chociaż wszyscy pochowali się gdzieś jak myszy. Zszedł na dół do piwnicy, mijał skrzynie z winem, worki mąki, nieużywane meble, okryte płachtami, by wreszcie wąskim, zimnym i wilgotnym przejściem dojść do starych, porysowanych dębowych drzwi. Światło w pomieszczeniu było przytłumione, obok wejścia stał Dona, otulony ciasno szatą i przygarbiony niczym człowiek złożony chorobą. Zaraz miało się stać coś strasznego, jeśli Dona, któremu zwykle uciechę sprawiały nieszczęścia innych, jest taki przerażony. W dłoni trzymał płataninę skórzanych rzemieni, rodzaj uprzęży, acz niepodobną do żadnej końskiej uprzęży, które widywałam.

Adair rzucił mnie na podłogę.

- Przygotuj ją - polecił Donie, ten zaś zaczął zdejmować ze

mnie przesiąknięte potem i krwią ubranie. Za jego plecami Adair także się rozbierał. Gdy byłem naga, Dona założył mi uprząż, rzecz prosto z najgorszego koszmaru, w której byłem kompletnie bezbronna. Ręce miałam związane z tyłu, głowę wyciągniętą tak bardzo, że groziło to złamaniem karku. Dona jęknął, zapinając pasy, choć wcale ich nie poluźnił. Adair pochyłał się nade mną złowrogo. Jego zamiary nie ulegały wątpliwości.

- Nadeszła pora, by nauczyć cię posłuszeństwa. Dla twego dobra miałem nadzieję, że nie będzie to konieczne. Wszystko wskazywało na to, że twoim przeznaczeniem jest coś innego... - Zreflektował się i urwał. - Każdy musi raz zostać ukarany, tak by wiedział, co się stanie, jeśli znowu spróbuje się buntować. Powiedziałem ci, że nigdy mnie nie opuścisz, a ty chciałaś uciec. Nigdy więcej tego nie zrobisz. - Złapał mnie za włosy i zbliżył moją twarz do swojej. - Pamiętaj o tym, kiedy wrócisz do rodziny i swojego Jonathana: nie ma takiego miejsca, w którym cię nie odnajdę. Nigdy ode mnie nie uciekniesz.

- Dziewczyna... - wykrztusiłam przez usta zlepione zaschniętą krwią.

- Nie chodzi o dziewczynę, Lanore, chociaż musisz zaakceptować to, co dzieje się w moim domu. Tak, zaakceptujesz i będziesz w tym brała udział. Tu chodzi o to, że się ode mnie odwróciłaś, odrzuciłaś mnie. Nie pozwolę na to nikomu, zwłaszcza tobie. Nie spodziewałem się, że właśnie ty... - Nie skończył, choć wiedziałam, co zamierzał powiedzieć: nie chciał żałować, że dał mi część swego serca.

Nie powiem ci, co się wydarzyło w tamtym pomieszczeniu. Nie broń mi tego prawa do odrobiny prywatności, do zachowania w tajemnicy szczegółów mego upokorzenia, wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że w całym życiu nie cierpiałam straszniejszych

tortur. Katem był nie tylko Adair, lecz także Dona, choć nie ulegało wątpliwości, że wbrew swej woli wykonuje polecenia. Zasmakowałam diabelskiego ognia, przed którym przestrzegał mnie Jude, dostałam nauczkę, że wystawianie na próbę diabelskiej miłości to wielkie ryzyko. Taka miłość, o ile można użyć tego słowa, nigdy nie jest słodka. W końcu poznasz jej prawdziwą istotę: to witriol, trucizna, kwas wlewany prosto do gardła.

Kiedy skończyli, dryfowałam na granicy przytomności. Uchyliłam powieki i zobaczyłam, że Adair zbiera swoje ubranie z podłogi. Był zlany potem, ciemne loki miał przyklejone do karku. Dona włożył szatę i czołgał się, blady i rozdygotany, jakby w każdej chwili miał zwymiotować.

Adair przeczesał mokre włosy dłonią.

- Zabierz ją na górę, niech ktoś się nią zajmie - rozkazał Donie.

Krzywiłam się z bólu, kiedy Dona rozpiął skórzane rzemienie. Wpiły się w ciało dziesiątkami ran, które się otwierały, gdy je odrywał. Zostawił straszliwą uprzęż na podłodze - pasy ułożyły się w pusty ludzki kształt - i wziął mnie na ręce z czułością, której nigdy wcześniej ani później u niego nie widziałam.

Zaniósł mnie do pomieszczenia z miedzianą wanną, gdzie czekał Alejandro z wiadrami gorącej wody. Umył mnie delikatnie, usuwając krew i płyny, ale ja ledwo mogłam znieść jego dotyk i nie potrafiłam opanować płaczu.

- Jestem w piekle, Alejandro. Jak mogę dalej żyć?

Ujął mnie za rękę, by lekko przetrzeć ją ściereczką.

- Nie masz wyboru. Może pomocna będzie świadomość, że wszyscy przez to przeszliśmy, każde z nas. Nie musisz się wstydić, wśród nas to nie jest powód do wstydu.

Kiedy mnie mył, rany się leczyły, zadrapania znikwały, siniaki

zółkły. Wytarł mnie i owinął w czystą koszulę, a potem się położyliśmy. Alejandro nie pozwolił, bym się od niego odsunęła.

- Co teraz się stanie? - zapytałam, splatając palce z jego palcami.

- Nic, będzie tak jak przedtem. Musisz zapomnieć, co dzisiaj z tobą zrobiono, ale w żadnym razie nie zapominaj o nauce. Zawsze o niej pamiętaj.

Wieczór przed wyjazdem z Bostonu był straszny. Chciałam zostać sama ze swymi troskami, lecz Adair nalegał, bym spędziła z nim noc. Nie muszę mówić, że teraz mnie przerażał, ale on nie zwracał uwagi na zmianę w moim zachowaniu; przypuszczam, że przywykł do takiej reakcji swych dworzan i oczekiwał, że z czasem mi to przejdzie. A może nie obchodziło go, że zburzył moje zaufanie do niego. Pamiętałam radę Alejandra i dokładałam starań, by traktować go jak zwykle.

Adair dużo wypił - może chciał wymazać swój uczynek, którym tak mnie przeraził - i zaciągał się fajką, aż pokój wypełnił się narkotycznym dymem. Tamtej nocy byłam roztargnioną, nieobecna partnerką, myślałam bowiem tylko o krzywdzie, którą wyrządził Jonathanowi. Miałam skazać go na wieczność przy boku tego szaleńca. Niczym sobie na to nie zasłużył, choć, z drugiej strony, ja także nie.

Jeszcze nie wiedziałam, co powiem rodzinie. Zniknęłam z ich życia, kiedy rok temu uciekłam z portu. Z pewnością pytali w klasztorze i kapitanacie, gdzie usłyszeli, że natychmiast po przybyciu do Bostonu ślad po mnie zaginął. Czy mieli nadzieję, że wciąż żyję, że uciekłam, bo pragnęłam zatrzymać dziecko? Czy zwrócili się do władz w Bostonie, zadręczali policję, by mnie szukała, aż zyskali pewność, że padłam ofiarą morderstwa? Ciekawe, czy w St. Andrew urządzono mi symboliczny pogrzeb? Nie, ojciec nie pozwoliłby, żeby poniosły ich emocje. Matka i siostry noszą

pewnie żal jak ciężkie głązy na sercu.

A skoro o tym mowa, co, zdaniem Jonathana, mi się przytrafiło? Może uważa mnie za zmarłą - jeśli w ogóle o mnie myśli. Z moich oczu popłynęły łzy: przecież na pewno czasami mnie wspomina, kobietę, która kochała go najmocniej na całym świecie! Musiałam jednak stawić czoło prawdzie, że dla całego St. Andrew jestem martwa. Żywi godzą się z myślą, że ukochani odeszli. Płaczą po nich przez jakiś czas, przez kilka tygodni lub miesięcy, w końcu jednak wspomnienie blaknie i powraca tylko czasami - jak w wypadku niegdyś ulubionej zabawki, o którą potykamy się na strychu, gładzimy ją z uczuciem, ale zostawiamy na miejscu.

Obudziłam się przed świtem, spocona po niespokojnym śnie. Statek odbijał wraz z porannym odpływem, musiałam stawić się w porcie przed wschodem słońca. Szukając pod pościelą rozrzuconej bielizny, napawałam się widokiem Adaira. Jak przypuszczam, prawdą jest, że nawet diabły pogrążone we śnie wyglądają jak anioły. Oczy miał zamknięte, długie rzęsy rzuciły cień na policzki, włosy błyszczącymi lokami opadły na ramiona, młodzieńczy zarost nadawał mu wygląd chłopca, a nie mężczyzny zdolnego do niehumanitarnego okrucieństwa.

Głowa mnie bolała od narkotyku, który wdychałam przez całą noc. Jeśli ja czułam się tak fatalnie, Adair musiał być nieprzytomny. Uniosłam jego dłoń i opuściłam - upadła bezwładnie. Nawet nie jęknął ani się nie poruszył.

Wówczas to do głowy przysła mi perwersyjna myśl. Przypomniałam sobie małą srebrną fiołkę, zawierającą eliksir życia, którego jedna kropla zmieniła mnie nieodwracalnie. *Weź ją, przemówił głos w mej głowie, z tej fiołki Adair czerpie swą moc. To twoja szansa na zemstę. Ukradnij jego moc i zabierz ze sobą do St. Andrew.*

Mając napój, mogłabym związać Jonathana ze sobą, tak jak ja byłam związana z Adairem. Na tę myśl zrobiło mi się słabo. Nigdy nie mogłabym go wykorzystać, nigdy nie mogłabym przekształcić drugiej osoby w coś, czym jestem teraz.

Zemścij się na Adairze. Ta fiołka to jedyna magia, którą dysponuje. Pomyśl, jaka ogarnie go panika, kiedy sobie uświadomi jej brak!

Pragnęłam wziąć odwet za to, co mi uczynił w piwnicy. Nie podobało mi się, że mnie zmusza, bym skazała ukochanego na wieczność przy boku potwora. Marzyłam o zemście.

Wolę myśleć, że opanowała mnie siła o wiele większa niż rozsądek, ponieważ ostrożnie wstałam z łóżka, bezszelestnie spuściłam bose stopy na podłogę. Włożyłam szlafrok Adaira i rozejrzałam się po pokoju: gdzie mógł ukryć fiołkę? Widziałam ją tylko raz tamtego dnia, nigdy wcześniej ani później.

Weszłam do garderoby. Jest na tacy z przyborami do szycia czy w szkatułce z biżuterią, upchnięta pomiędzy pierścieniami i spinkami? A może leży w rzadko noszonym pantoflu? Klęcząc, przeglądałam obuwie, ale pojęłam, że Adair nigdy nie zostawiłby równie cennej rzeczy w miejscu, gdzie lokaj mógłby ją znaleźć i ukraść. Albo się z nią nie rozstaje (a wiele razy widziałam go kompletnie nagiego i fiołki z pewnością nie miał), albo ukrył ją tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy jej szukać. Gdzie nikt szukać by się nie odważył.

Ze świecą w dłoni wymknęłam się z pokoju i tylnymi schodami zeszałam do piwnicy. Ruszyłam podziemnymi korytarzami, cuchnącymi zimną stojącą wodą, dłonią przesuwając po kamiennych ścianach. Zwolniłam, zbliżając się do pomieszczenia, do którego nikt nie wchodził i którego wszyscy się bali. Pchnęłam

porysowane drzwi i przekroczyłam próg, stawiając stopy na ubitej ziemi, na której niedawno leżałam skrwawiona.

Ze wstrzymanym oddechem podeszłam na palcach do skrzyni na drugim końcu pokoju i uniosłam wieko. W środku była owa znieawidzona rzecz, koszmarna uprząż, wciąż sztywna od mojego potu i uformowana w kształt mojego ciała. Na jej widok o mało nie spuściłam wieka, ale powstrzymałam strach, gdy w rogu dostrzegłam małe zawiniątko. Podniosłam je: była to męska chusteczka do nosa.

Pociągnęłam ją za róg i zobaczyłam fiolkę. W świetle świecy połyskiwała jak ozdoba na choince, pokryta nieco startą błyszczącą farbą. Zdawało się, że światło złowieszczo pulsuje, jakby przekazując ostrzeżenie. Ja jednak doszłam tak daleko i nie zamierzałam się cofać. Fiolka jest moja. Zamknęłam ją w dłoni, przycisnęłam do serca i wymknęłam się z piwnicy.

ROZDZIAŁ 31

Quebec, dzisiaj

Za motelowym oknem niebo jest granatowe jak tusz w długopisie. Zostawili podniesioną żaluzję, gdy razem opadli na łóżko, a teraz, gdy minęła gorączka poznawania swych ciał, Lanny i Luke leżą obok siebie i patrzą na rozgwieżdżone północne niebo. Luke przesuwa palcem po jej gołym ramieniu i podziwia połyskliwą kremową skórę, poznaczoną delikatnymi złotymi piegami. Jej ciało składa się z gładkich, łagodnych krzywizn. Pragnie ciągle od nowa ją pieścić, jakby robiąc to, mógł zabrać sobie jej cząstkę. Zastanawia się, czy krążąca w niej magia uczyniła ją piękniejszą, poprawiła naturalny wygląd.

Nie potrafi uwierzyć w swój szczęśliwy los, choć czuje się trochę jak lubieżny starzec, bo nie trzymał w objęciach tak jędrnego kobiecego ciała, odkąd się ożenił, odkąd skończył trzydzieści lat, choć nawet wtedy seks nie był tak świetny, może dlatego, że oboje z partnerką byli nazbyt zakłopotani. Potrafi sobie wyobrazić, co

jego była żona i przyjaciele powiedzieliby, gdyby zobaczyli Lanny: uznaliby, że Luke zmaga się z potężnym kryzysem wieku średniego, pomagając młodziutkiej kobiecie w ucieczce przed policją w zamian za seks.

Lanny patrzy na niego z uśmiechem na swej pięknej twarzy i Luke zadaje sobie pytanie, co taka dziewczyna może w nim widzieć. Zawsze uważał siebie za zwyczajnego: przeciętny wzrost, raczej szczupła figura, kondycja niezastługująca na podziw, postrzępione, kręcone włosy barwy ni to piaskowej, ni to blond. Jego pacjenci przypuszczają, że jest hipisem, jak niektórzy turyści, odwiedzający latem St. Andrew, ale Luke sądzi, że to wrażenie bierze się stąd, że pozostawiony sam sobie ma skłonność do niechlujstwa. Co kobieta taka jak ona może widzieć w mężczyźnie takim jak on?

Już chce zadać to pytanie, ale za oknem coś się dzieje, przesuwające się cienie świadczą, że ktoś jest na podjeździe. Luke ledwo ma czas usiąść, gdy rozlega się pukanie do drzwi i głęboki męski głos warczy:

- Otwierać! Policja!

Luke wstrzymuje oddech, niezdolny zebrać myśli, ale owinięta w prześcieradło Lanny jednym susem wyskakuje z łóżka, bezszelstnie lądując na podłodze. Z palcem na ustach przekrada się do łazienki. Kiedy znika za drzwiami, Luke wstaje, wiąże koc w pasie i otwiera drzwi.

W progu stoją dwaj policjanci i latarkami świecą Luke'owi w twarz.

- Dostaliśmy informację o mężczyźnie uprawiającym seks z nieletnią... czy może pan zapalić światło? - pyta jeden z irytacją, jakby największą przyjemność sprawiło mu, gdyby przygwoździł Luke'a do ściany i przycisnął mu pałkę do gardła. Obaj funkcjonariusze patrzą na gołą klatkę piersiową Luke'a i koc okrywający mu biodra. Luke przekręca wyłącznik.

- Gdzie jest dziewczyna, która wynajęła pokój?

- Jaka dziewczyna? - pyta Luke, choć gardło ma wyschnięte na pieprz. - Zaszła pomyłka. To mój pokój.

- I pan załatwił formalności w recepcji?

Luke potakuje.

- Nie wydaje mi się. Recepcjonista powiedział, że po tej stronie budynku tylko jeden pokój jest zajęty. Wynajęła go dziewczyna, twierdziła, że jest z ojcem. - Policjanci tłoczą się przy drzwiach. - Sprzątaczką mówiła, że z pokoju dobiegały odgłosy, jakby uprawiano tu seks, a ponieważ recepcjonista wiedział, że zajmują go ojciec z córką...

Spanikowany Luke usiłuje jakoś wyplątać się z kłamstwa.

- No właśnie, to miałem na myśli. Jesteśmy tu razem, dlatego mówiłem, że to mój pokój... ale ona nie jest moją córką. Nie wiem, dlaczego tak powiedziała.

- Jasne. - Policjanci nie wyglądają na przekonanych. - Pozwoli pan, że wejdziemy i się rozejrzemy? Chcielibyśmy porozmawiać z tą dziewczyną. Gdzie ona jest?

Luke nieruchomieje, nasłuchując - nie słyszy nic, co by świadczyło, że Lanore się wymknęła. W oczach policjantów dostrzega ledwo hamowane oburzenie, zapewne najchętniej rzuciliby nim o podłogę i skopali do nieprzytomności w odwecie za wszystkie wykorzystywane córki, które w swej pracy spotykali. Już ma wyjąkać jakąś wymówkę, kiedy dostrzega, że funkcjonariusze patrzą na coś za jego plecami. Odwraca się, tani koc okręca mu się wokół nóg.

Lanny stoi, wciąż owinięta w prześcieradło, i pije wodę z obtłuczonego plastikowego kubka. W jej oczach maluje się wyraz zaskoczenia i udawanego zakłopotania.

- Och, zdawało mi się, że słyszałam kogoś przy drzwiach.

Dobry wieczór, panowie policjanci. Czy coś się stało?

Funkcjonariusze mierzą ją wzrokiem od czubka głowy do gołych stóp, dopiero potem jeden odpowiada:

- Wynajęła pani ten pokój?

Lanore potakuje.

- A ten człowiek to twój ojciec?

Dziewczyna się miesza.

- Wielkie nieba, nie. Nie... właściwie nie wiem, dlaczego tak powiedziałam recepcjoniście. Chyba się bałam, że nie wynajmie nam pokoju, bo nie jesteśmy małżeństwem. Wydawał mi się... sama nie wiem... typem wydającym pochopne sądy. Uznałam, że to nie jego sprawa.

- Aha. Ale musimy obejrzeć dowód tożsamości. - Funkcjonariusze usiłują zachować obojętność, stłumić słuszny gniew, bo jednak nie ma żadnego zboczeńca, którego mogliby postawić przed obliczem sprawiedliwości.

- Nie macie prawa nas legitymować. To, co zrobiliśmy, zrobiliśmy za obopólną zgodą - mówi Luke, obejmując Lanny i przyciągając ją do siebie. Chce, żeby policjanci natychmiast wyszli, chce mieć za sobą to żenujące, denerwujące doświadczenie.

- Musimy jednak mieć dowód, że nie jesteście... no wiecie - mówi młodszy z funkcjonariuszy, pochylając głowę i wykonując zniecierpliwiony gest latarką. Nie pozostaje nic innego, jak tylko pokazać im prawo jazdy Luke'a i paszport Lanore w nadziei, że listy gończe z St. Andrew nie dotarły jeszcze do Kanady.

Luke szybko zdaje sobie sprawę, że niepotrzebnie się martwił: policjanci są tak rozczarowani i zakłopotani, że obrzucają dowody tożsamości pobieżnym spojrzeniem, przypuszczalnie nie studiują nawet wszystkich rubryk, po czym wycofują się do drzwi, mamrocząc ledwo słyszalne przeprosiny. Zaraz po ich wyjściu Luke spuszcza żaluzje na oknie wychodzącym na podjazd.

- O mój Boże - mówi Lanny i pada na łóżko.

- Powinniśmy wyjechać. Odwiozę cię do miasta.

- Nie mogę prosić, byś znowu dla mnie ryzykował...

- Przecież nie mogę cię tu zostawić, prawda?

Ubiera się, podczas gdy Lanny jest w łazience, skąd dochodzi szum płynącej wody. Luke przesuwa dłonią po brodzie; czując zarost, uświadamia sobie, że po raz ostatni golił się dobę temu. Postanawia sprawdzić, czy parking jest pusty. Palcami odsuwa żaluzję i zerka: wóz patrolowy parkuje koło suwa.

Odsuwa się od okna.

- Cholera jasna. Wciąż tam są.

Lanny podnosi wzrok znad walizki.

- Co?

- Ci dwaj gliniarze, wciąż tam są. Chyba sprawdzają rejestrację.

- Tak myślisz?

- Pewnie chcą wiedzieć, czy jesteśmy notowani. - Luke z namysłem pociera dolną wargę. Zapewne policjanci nie mogą sami sprawdzić amerykańskich tablic rejestracyjnych i praw jazdy, muszą czekać, aż odpowiedź zgodnie z międzynarodowymi ustaleniami przejdzie przez stosowne instytucje. Niewykluczone, że zostało jeszcze trochę czasu...

Luke wyciąga rękę do Lanny.

- Musimy jechać, natychmiast.

- Nie będą próbowali nas zatrzymać?

- Zostaw walizkę, wszystko. Po prostu się ubierz.

Trzymając się za ręce, wychodzą z pokoju i ruszają w stronę suwa. W wozie policyjnym otwiera się okno.

- Hej - woła funkcjonariusz siedzący na miejscu pasażera - nie możecie na razie wyjechać!

Luke puszcza dłoń Lanny i sam podchodzi do wozu.

- Dlaczego nie możemy wyjechać? To zaczyna przypominać nękanie.

Policjanci lekko się irytują; nie podoba im się brzmienie tego słowa.

- Popatrzcie - ciągnie Luke, pokazując puste dłonie. - Wybieramy się na kolację. Wyglądamy, jakbyśmy zamierzali zwiać? Zostawiliśmy w pokoju bagaże, zapłaciliśmy za nocleg. Jeśli po otrzymaniu informacji nadal będziecie mieli pytania, złapiecie nas po kolacji. Nie pozwolę się jednak zatrzymać, chyba że mnie aresztujecie. - Luke mówi spokojnie i rozsądnie, ręce trzyma rozpostarte jak człowiek, który próbuje odwieść złodziei od zamiaru okradzenia go. Lanny wsiada do suwa, posyłając policjantom wrogie spojrzenie. Luke idzie w jej ślady, włącza silnik i gładko wyjeżdża z parkingu, po raz ostatni się upewniając, że wóz nie jedzie za nimi.

Dopiero po dłuższej chwili Lanny wyciąga spod kurtki laptopa i kładzie sobie na kolanach.

- Nie mogłam go zostawić, zawiera za dużo obciążających informacji, które łączą mnie z Jonathanem. Policja mogłaby wykorzystać je jako dowód - wyjaśnia, jakby czuła się winna, że ryzykowała, ratując urządzenie. Po sekundzie wyciąga z kieszeni woreczek z trawką niczym magik królika z kapelusza.

Luke'owi serce podchodzi do gardła.

- Trawka też?

- Uznałam, że kiedy się domyśla, że jednak nie wrócimy, na pewno przeszukają nasz pokój... To dałoby im powód do aresztowania nas... - Chowa woreczek do kieszeni i wzdycha. - Myślisz, że jesteśmy bezpieczni?

Luke znowu zerka we wsteczne lusterko.

- Nie mam pojęcia, teraz znają numer rejestracyjny.

A jeśli zapamiętają nasze nazwiska, moje nazwisko... - Będą musieli porzucić suwa; Luke'a ogarniają wyrzuty sumienia, że pożyczyl samochód Petera. Nie może teraz o tym myśleć. - Nie chcę się w tej chwili nad tym zastanawiać. Opowiadaj dalej swoją historię.

Część III

ROZDZIAŁ 32

Dwupasmowa autostrada do Quebec City jest ciemna jak opuszczone lotnisko. Pozbawione liści drzewa i nijaki krajobraz przypominają Luke'owi Marquette, miasteczko w rzadko zaludnionym zakątku Michigan, gdzie osiedliła się jego była żona. Niedługo po jej przeprowadzce Luke pojechał odwiedzić dziewczynki. Partner Tricii, jej młodzieńcza miłość, miał syna i córkę, którzy także kilka razy w tygodniu u niego nocowali.

Podczas wizyty Tricia wcale nie wyglądała na szczęśliwszą z ukochanym niż z Lukiem, choć może po prostu była zakłopotana, że eksmąż widzi ją w tym zrujnowanym domu z dwunastoletnim córką na podjeździe. Co nie znaczy, że dom Luke'a w St. Andrew był w lepszym stanie.

Dziewczynki, Winona i Jolene, nie były szczęśliwe, ale tego należało się spodziewać, mieszkały tu od niedawna i nikogo nie znały. Serce Luke'a ścisnęło się boleśnie, kiedy siedział z nimi w pizzerii, do której zabrał je na lunch. Niewiele mówiły, były za małe, żeby wiedzieć, kogo obwiniać i na kogo się złościć. Dąsały się, kiedy próbował je rozbawić, i Luke nie potrafił znieść myśli,

że odwiezie je do matki i pożegna się, choć wszyscy troje tak bardzo cierpią. Wiedział także, że nic na to nie można poradzić - obecnej sytuacji nie da się rozwiązać w jeden weekend.

Kiedy nadeszła pora rozstania na betonowych schodach, sprawy zaczęły układać się lepiej pomiędzy nim a córkami. Przestały tak bardzo się bać, znalazły solidny grunt pod stopkami. Płakały, gdy przytulał je na pożegnanie, i machały, gdy odjeżdżał wynajętym samochodem, mimo to serce rwało mu się na strzępy.

- Mam dwie córki - wyrzuca z iewie, ogarnięty pragnieniem, by zwierzyć się jej ze swego życia.

Lanny patrzy na niego.

- One były na tym zdjęciu w twoim domu? Ile mają lat?

- Cztery i pięć. - Luke czuje nieznaczną dumę; tylko to pozostało mu z ojcostwa. - Mieszkają z matką i facetem, za którego ona zamierza wyjść. - Teraz ktoś inny opiekuje się jego córkami.

Lanore siada bokiem, by widzieć jego twarz.

- Jak długo byłeś żonaty?

- Sześć lat. Rozwiedliśmy się - dodaje, ale zaraz uświadamia sobie, że to przypuszczalnie niepotrzebne. - To małżeństwo było błędem, teraz to widzę. Skończyłem staż w Detroit, rodzice zaczęli chorować i wiedziałem, że muszę wrócić do St. Andrew... Chyba nie chciałem wracać sam, a nie wyobrażałem sobie, że znajdę tutaj kobietę dla siebie. Znałem wszystkich, wychowałem się w tym miasteczku. Myślę, że uważałem Tricię za swoją ostatnią szansę.

Lanny wzrusza ramionami, w wyrazie jej twarzy przebija skrępowanie. Nadmierna szczerość własna lub cudza zawsze powoduje, że odczuwa dyskomfort.

- A ty? Byłaś kiedyś mężatką?

Jego pytanie wywołuje wybuch śmiechu.

- Przez cały ten czas nie ukrywałam się przed światem, jeśli

tak myślisz. Nie, w końcu wrócił mi rozsądek. Zrozumiałam, że Jonathan nigdy nie będzie mój. Nie miał tego w sobie.

Luke myśli o mężczyźnie w kostnicy. Kobiety rzucają się na takich mężczyzn. Niekończące się propozycje, tyle pożądania i pragnień, tyle pokus. Jak można oczekiwać, że ktoś taki odda serce jednej wybrance? Ze strony Lanny naturalne było pragnienie miłości na tyle silnej, by Jonathan pozostał jej wierny, ale kto mógłby go obwiniać, że ją rozczarował?

- Więc spotkałaś innego i zakochałaś się? - Luke dokłada starań, by w jego głosie nie zabrzmiała nuta nadziei.

Lanny znowu się śmieje.

- Jak na faceta, który ożenił się z desperacji i skończył jako rozwodnik, wydajesz mi się beznadziejnym romantykiem. Powiedziałałam, że wyszłam za mąż, o miłości nie wspominałam. - Odwraca się do okna. - Choć to nie do końca prawda. Kochałam wszystkich moich mężów, ale nie tak jak Jonathana.

- Wszystkich? Ile razy byłaś zamężna? - Luke'a znowu ogarnia to nieprzyjemne uczucie, z którym patrzył na rozgrzebaną pościel w domku Dunratty'ego.

- Cztery. Dziewczyna mniej więcej raz na pięćdziesiąt lat była samotna - odpowiada kpiąco Lanny. - Wszyscy byli mili, każdy na swój sposób. Opiekowali się mną, akceptowali taką, jaka jestem, mimo że nie wszystko mogłam im powiedzieć.

Luke nie chce poprzestać na tych drobnych ułamkach jej życia.

- A ile im mówiłaś? Wiedzieli o Jonathanie?

Lanny potrząsa głową, wciąż ukrywając przed nim twarz.

- Nigdy wcześniej nikomu nie wyznałam prawdy o sobie, Luke. Ty jesteś jedyny.

Ciekawe, czy mówi tak, by mi pochlebić, myśli Luke. Nauczyła się odgadywać, co należy powiedzieć ludziom. To umiejętność

niezbędna, jeśli chcesz przeżyć setki lat i uniknąć zdemaskowania, stanowi część subtelnej sztuki wprowadzania innych w swoje życie, przywiązywania ich do siebie, budzenia w nich sympatii, może nawet miłości.

Luke pragnie usłyszeć jej historię, poznać każdy szczegół, ale czy może zaufać, że powie mu prawdę? Niewykluczone, że Lanny nim manipuluje, by utrzymać go przy sobie do czasu, aż policja przestanie ich ścigać. Lanny pogrąża się w zadumie, a Luke się zastanawia, czy po przyjeździe do Quebec City dziewczyna nie zniknie, zostawiając go tylko z tą historią.

ROZDZIAŁ 33

Boston, rok 1819

Przygotowywałam się do podróży do St. Andrew z entuzjazmem typowym dla pogrzebu. Za pieniądze, które dał mi Adair, wykupiłam miejsce na statku towarowym, płynącym z Bostonu do Camden, skąd miałam jechać wynajętym dyliżansem. Jedynym dostępnym środkiem transportu do St. Andrew był wóz dostawcy, który dwa razy w roku przywoził do sklepu Watfordów świeże towary, ja natomiast chciałam przybyć do rodzinnego miasteczka z klasą, w pięknym powozie z poduszkami na twardych ławkach i zasłonkami w oknach, by pokazać, że nie jestem tą samą kobietą, która stąd wyjechała.

Była wczesna jesień, w Bostonie panowały wilgoć i chłód, ale przełęcz w północnej części hrabstwa Aroostook z pewnością pokrywał już śnieg. Zaskoczyło mnie, że tęsknię za śniegiem w St. Andrew, wysokimi zaspami, białym po horyzont krajobrazem i koniuzkami sosnowych igieł, wystających spod śniegowej pierzynki. W dzieciństwie wyglądałam przez zamarznięte okna na wiatr unoszący tumany śniegu drobniotkiego niczym piasek i

cieszyłam się, że jestem w domu, gdzie grzeje mnie ogień z paleńska i pięć innych ciał.

Tak więc tamtego poranka stałam w bostońskim porcie i czekałam na statek do Camden, ale teraz moja sytuacja była całkowicie inna niż poprzednio, miałam dwa kufry z pięknymi strojami i prezentami, sakiewkę z kwotą pieniędzy większą niż cała wioska oglądała przez pięć lat, i luksusowe warunki podróży. Opuściłam St. Andrew jako zhańbiona młoda kobieta bez żadnych perspektyw, wracałam jako wyrafinowana dama, która trafiła w tajemnicze obszary świata i szczęśliwym zrzędzeniem losu zdobyła bogactwo.

Bez wątpienia wiele zawdzięczałam Adairowi, to jednak wcale nie umniejszało mego smutku.

Podczas rejsu kryłam się w kabinie, wciąż ogarnięta wyrzutami sumienia. Próbując stępić burzę uczuć, piłam jedną brandy za drugą i usiłowałam przekonać samą siebie, że nie zdradzam swego dawnego kochanka. Ja tylko miałam w imieniu Adaira przedstawić Jonathanowi ofertę, dar, o którym nikomu nawet się nie śniło: możliwość wiecznego życia. Każdy człowiek z radością przyjąłby taki dar, ba!, zapłaciliby za niego fortunę. Jonathana zaproszono do ukrytego świata, dano mu możliwość przekonania się, że życie, które znamy, to nie wszystko. Nie miał powodu się skarżyć.

Ja jednak wiedziałam, że za ów nowy poziom egzystencji trzeba zapłacić, choć nie rozumiałam jeszcze, w jaki sposób. Nie czułam się lepsza od śmiertelników, nie czułam się bogiem. Jeśli już, to odnosiłam wrażenie, że opuściłam sferę przynależną ludzkości i wkroczyłam w królestwo wstydlivych tajemnic i żalów, mroczny świat podziemny, miejsce kary. Ale przecież musi w nim być możliwość zadośćuczynienia za grzechy, odpokutowania.

W Camden wynajęłam dylizans i rozpoczęłam samotną podróż na północ, podczas której myśl o buncie przeciwko Adairowi

znowu zaczęła się wkradać w moją głowę. Krajobraz w niczym nie przypominał Bostonu, wydawało się, że Adair przebywa bardzo, bardzo daleko... Z drugiej zaś strony, wspomnienia o karze za pomoc w ucieczce tamtej dziewczynie wciąż były świeże, myśl o nieposłuszeństwie napełniała mnie przerażeniem. Targowałam się ze sobą: jeśli zobaczę, że Jonathan jest szczęśliwy ze swą apodyktyczną rodziną i młodziutką żoną, oszczędzę go. Konsekwencje przyjmę na siebie. Wyruszę w świat, bo w żadnym razie nie mogę bez niego wrócić do Bostonu. Jak na ironię, Adair dał mi środki umożliwiające ucieczkę: pieniądze, ubrania. Miałabym od czego zacząć. Ale te fantazje były przelotne, pamiętałam przestrogę Adaira, że albo wykonam jego polecenie, albo będę cierpiała z jego ręki. Adair w żadnym razie nie pozwoli mi odejść.

Przygnębiona, zebrałam siły, by tamtego październikowego popołudnia wjechać do St. Andrew i stawić czoło rodzinie i znajomym. Wiedziałam, że najpierw będą zaskoczeni, widząc mnie żywą, a potem rozczarowani tym, kim się stałam.

Przyjechałam w pochmurną niedzielę. Miałam szczęście, pogoda dopisywała i pokryte śniegiem drogi były przejezdne. Na tle szarego nieba rysowały się gołe korony drzew, ostatnie liście, wiszące na gałęziach, straciły kolor, skurczone i zwinięte przypominały nietoperze uczepione krokwi.

Akurat skończyło się nabożeństwo i wierni wysypywali się przez szerokie drzwi zboru na trawnik. Mimo zimna i wiatru zbierali się w grupy, jak zawsze nie chcąc zbyt szybko rezygnować z rozmowy i wracać do domu. Nigdzie nie dostrzegałam ojca, może nie mając towarzystwa, dla wygody zaczął uczęszczać na katolickie msze. Moje oczy od razu wypatrzyły Jonathana i serce zabiło mi szybciej. Na dalekim końcu łąki, gdzie zostawiono konie i

wozy, wsiadał do rodzinnego amerykana. Jego siostry i brat czekali na swoją kolejkę. A gdzie są jego matka i Kapitan? Zaniepokoiła mnie ich nieobecność. Jonathan pomógł wsiąść drobnej młodej kobiecie, bladej ze zmęczenia. W ramionach trzymała zawiątko: dziecko. Młodziutka żona dała Jonathanowi coś, czego ja nie mogłam mu dać. Na ten widok o mało nie opuściła mnie odwaga i już chciałam kazać woźnicy, by zawrócił.

Nie zrobiłam tego.

Mój powóz wjechał na trawnik, budząc powszechną ciekawość. Dałam znak woźnicy, by się zatrzymał, i z sercem w gardle wysiadłam prosto w tłum, który wokół się zgromadził.

Powitali mnie serdeczniej, niż się spodziewałam. Pomimo nowego stroju, ułożonych włosów i wynajętego powozu rozpoznałam mnie. Otoczyli mnie sąsiedzi, których nigdy nie podejrzewałam o sympatię: Watfordowie, kowal Tinky Talbot i jego umazane sadzą potomstwo, Jeremiah Jacobs z nową żoną, której twarz pamiętałam, ale nazwiska nie mogłam sobie przypomnieć. Ze zboru wypadł pastor Gilbert w rozwianej wiatrem sutannie, tymczasem sąsiedzi szeptem wymieniali uwagi:

- Lanore McIlvrae, jak pragnę zdrowia!
- Popatrzcie na nią, jak się wyelegantowała!

Ze wszystkich stron wyciągały się do mnie dłonie do uścisku, chociaż kącikiem oka dostrzegłam także cmokające języki i głowy kręcące się z dezaprobatą. Tłum się rozstał, robiąc miejsce za czerwienionemu z wysiłku pastrowi Gilbertowi.

- Dobry Boże, czy to ty, Lanore? - zapytał, ale ledwo go usłyszałam, tak wstrząsnął mną jego wygląd. Jakże się postarzał! Skurczył się, stracił po części solidny brzuch, twarz mu się zmarszczyła jak jabłko zapomniane w kącie piwnicy, oczy miał

czerwone i zażawione. Chwycił moją dłoń z mieszaniną afektu i niepokoju. - Twoi bliscy tak się ucieszą na twój widok! Uzналиśmy cię za... - zarumienił się, jakby zaraz miał użyć niewłaściwego słowa. -... zaginioną. A tymczasem ty wracasz do nas, cała i zdrowa, w dodatku najwyraźniej sprzyja ci fortuna.

Na wzmiankę o mojej rodzinie tłum się poruszył, choć nikt słowem się nie odezwał. Dobry Boże, co przydarzyło się mojej rodzinie? I dlaczego wszyscy wydają się o wiele starsi? Nie pamiętałam tych siwych pasm we włosach panny Watford. Chłopcy Ostergaardów całkiem dorośli, ledwo mieścili się w przekazywanych ze starszego na młodszego ubraniach, z przykrótkich rękawów wystawały im gołe przeguby.

Tłum znowu się rozstał i do kręgu wkroczył Jonathan. Och, on także się zmienił. Utracił resztę chłopięcego uroku, beztroski błysk w oczach, zamaszysty krok. Był wciąż przystojny, ale teraz emanował powagą. Przyjrzał mi się uważnie, zarejestrował zmiany, które we mnie zaszły, i wyraźnie posmutniał. Chciałam się roześmiać i zarzucić mu ramiona na szyję, by wytrącić go z tego ponurego nastroju, lecz tego nie zrobiłam.

Ujął moją dłoń.

- Lanny, nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę!

Dlaczego wszyscy to powtarzają?

- Z twojego wyglądu wnoszę, że w Bostonie dobrze ci się wiedzie.

- Istotnie - odparłam krótko, chcąc podsyć jego ciekawość.

Młoda dama z niemowlęciem na ręku przepchnęła się przez tłum i stanęła za Jonathanem. Objął ją i pociągnął ku sobie.

- Lanny, pamiętasz Evangeline McDougal? Pobraliśmy się krótko po twoim wyjeździe. I wystarczyło nam czasu na pierwsze

dziecko! - Roześmiał się nerwowo. - Dziewczynka, uwierzysz, że moim pierwszym dzieckiem jest dziewczynka? Nie miałem szczęścia, ale następnym razem to naprawimy, prawda? - zwrócił się do zarumienionej Evangeline.

Wiedziałam, że Jonathan się ożenił i przypuszczalnie będzie miał dziecko, ale widok jego żony i córki okazał się trudniejszy do zniesienia, niż sobie wyobrażałam. Nie potrafiłam nabrać powietrza w płuca ani wykrztusić gratulacji. Byłam jak sparaliżowana. Jak to możliwe, że wypadki potoczyły się tak szybko? Przecież wyjechałam kilka miesięcy temu.

- Wiem, że wcześniej zostałem ojcem i w ogóle - mówił Jonathan, patrząc na kapelusz w dłoniach. - Ale staremu Charlesowi bardzo zależało, żebym się ustatkował, zanim odejdzie na łono Abrahama.

Gardło mi się ścisnęło. - Twój ojciec nie żyje?

- A tak, zapomniałem, że o tym nie wiesz. Umarł tuż przed moim ślubem. To już ponad dwa lata temu. - Oczy miał suche, głos spokojny. - Zachorował zaraz po twoim wyjeździe.

Wyjechałam stąd ponad dwa lata temu? Jak to możliwe? To było nierealne, jak w baśni. Czy ktoś rzucił na mnie urok i spałam, podczas gdy reszta świata zajmowała się swoimi sprawami? Jonathan ścisnął moją dłoń, wyrывая mnie z transu.

- Nie powinniśmy dłużej cię zatrzymywać, pewnie nie możesz się doczekać spotkania z rodziną. Przyjdź do nas na obiad. Chciałbym usłyszeć, jakie to przygody nie pozwalały ci wrócić do nas. Aż do teraz.

Otrząsnęłam się z oszołomienia.

- Tak, oczywiście.

Myślami jednak byłam gdzie indziej: jeśli takie zmiany zaszły w rodzinie Jonathana, to co się zdarzyło z moją? Jakie nieszczęścia

mogły spać na moich bliskich? Z tego, co mówił Jonathan, wynikało jasno, że upłynął więcej niż rok od mojego wyjazdu, choć to nie miało sensu. Czy czas mija szybciej tutaj, czy raczej zwalnia w Bostonie, w wirze nocnych przyjęć i pokus czekających w pokojach Adaira?

Powiedziałam woźnicy, żeby zatrzymał powóz w pewnej odległości od domu moich rodziców. Dom się zmienił, to rzucało się w oczy. Od początku skromny, wyraźnie podupadł podczas mojej nieobecności. Ojciec zbudował go sam, tak jak robili to inni pierwsi osadnicy (wyjątkiem był tylko Kapitan, który sprowadził cieśli z Camden). Budynek z jedną izbą zaprojektowano w taki sposób, by można go było powiększyć. I ojciec dokładał nowe elementy: alkowę na dole dla Nevina, stryszek dla nas, gdzie przez tyle lat spałyśmy rzędem jak lalki na półce.

Dom się zapadł i obwiśł niczym ciało starego konia. Spomiędzy bali wypadły fragmenty ocieplenia, na dachu brakowało kilku klepek. Na wąskim ganku nagromadziły się śmieci, cegły w kominie się poluzowały. Pośród drzew za domem dostrzegłam plamy brunatnej zwierzęcej skóry, co znaczyło, że bydło wciąż się pasie na odległej łące. Moi bliscy zachowali przynajmniej część stada, ale sądząc z wyglądu domu, przydarzyło się im coś straszego. Znaleźli się na skraju nędzy.

Wodziłam uważnym wzrokiem po obejściu. Wrócili do domu z kościoła, wóz stał koło stodoły, w zagrodzie skubał paszę wiekowsy kasztan, ale nikt się nie krzątał po podwórku. Z komina unosiła się poszarpana wstążka dymu: mizerny ogień w taki mroźny dzień. Zerknęłam na stos opału. Niewiele tego, ledwo trzy rzędy, a przecież zima za pasem.

W końcu poleciałam woźnicy, by podjechał pod dom. Czekałam, czy ktoś wyjrzy, ale na próżno. Zebrałam się na odwagę, wysiadłam i zapukałam do drzwi.

Otworzyła Maeve. Z otwartymi ustami zmierzyła mnie wzrokiem, potem z piskiem rzuciła mi się na szyję. Tanecznym krokiem wpadłyśmy do środka.

- Dobry Boże, ty żyjesz! - wykrzykiwała mi radośnie do ucha.
- Kochana Lanore, myśleliśmy, że więcej cię nie zobaczymy! - Rąbkami fartucha wytarła łzy z policzków. - Kiedy nie mieliśmy od ciebie wiadomości... zakonnice napisały do rodziców, że najprawdopodobniej... przepadłaś.

- Przepadłam? - powtórzyłam.

- Umarłaś. Zamordowano cię. - Maeve zwróciła na mnie czyste oczy. - Pisały, że w Bostonie to na porządku dziennym. Nowo przybyli padają ofiarą zbirów. Więc skoro - żyjesz, siostrze, co ci się przydarzyło? Gdzie byłaś przez te trzy lata?

Trzy lata! Po raz kolejny musiałam się zmagać z utraconym czasem. Świat poza kręgiem Adaira był jak pociąg jadący według własnego rozkładu, niezamierzający zwolnić ze względu na mnie.

Przed koniecznością natychmiastowych wyjaśnień uratowała mnie matka, która ciężko szurając nogami, wyszła po schodkach z piwnicy z warzywami. W fartuchu niosła kilka ziemniaków. Na mój widok rozsypała je i zbladła jak ściana.

- To niemożliwe! Serce przestało mi bić.

- Możliwe, matko. To ja, twoja córka.

- Wróciłaś z martwych!

- Nie jestem duchem - odparłam przez zaciśnięte zęby, usiłując powstrzymać łzy. Kiedy ją objęłam, poczułam, że opór w jej chudym ciele znika. Odwzajemniła mój uścisk, a ja pojęłam, że matka straciła wiele ze swej siły.

Ona też wytarła łzy. Spojrzała przez ramię na moją siostrę i poleciała:

- Przyprowadź Nevina.

Żołądek mi się ścisnął.

- Koniecznie tak szybko?

Matka kiwnęła głową.

- Tak, koniecznie. On teraz jest panem domu. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Lanore: twój ojciec nie żyje.

Człowiek nie może przewidzieć swojej reakcji na taką wiadomość. Zaczynałam już podejrzewać, że stało się coś strasznego, ale słowa matki mną wstrząsnęły. Opadłam na krzesło. Obie stały nade mną, załamując ręce.

- To było rok temu - dodała matka ze smutkiem. - Byk kopnął go w głowę. Ojciec umarł od razu. Nie cierpiał.

Ale one od tamtego dnia cierpiały, świadczyły o tym ściągnięte twarze, zniszczone ubrania, wygląd domu. Matka dostrzegła, że dyskretnie się rozglądam.

- Dla Nevina to szczególnie trudne. Przyjął na siebie prowadzenie farmy, a sama wiesz, że jeden człowiek sobie z tym nie poradzi. - Niegdyś łagodne usta matki teraz zaciskały się w twarde grymasie. Musiała zmagać się ze strasznym położeniem.

- Dlaczego nie wynajmiecie parobka, chłopaka z którejś z sąsiednich farm? Można też wydzierżawić ziemię. Na pewno jest ktoś, kto chciałby powiększyć swoje gospodarstwo.

- Twój brat nie chce o tym słyszeć, nie próbuj nawet słowem zahaczyć o ten temat. Wiesz, jaki jest dumny - odparła matka, odwracając głowę, bym nie zobaczyła goryczy na jej twarzy. Jego duma stała się ich nieszczęściem.

Musiałam zmienić temat.

- Gdzie jest Glynnis?

Maeve załała się rumieńcem.

- W sklepie Watfordów. Układa towar na półkach.

- W niedzielę? - Uniosłam brwi.

- Prawdę mówiąc, odpracowuje nasz dług - wyjaśniła matka i wzdychając z irytacją, zajęła się ziemniakami.

Pieniądze Adaira ciążyły mi w torebce. Nie ulegało kwestii, że dam im całą kwotę, a z konsekwencjami poradzę sobie później.

Drzwi się otworzyły i do mrocznej izby wszedł Nevin. Dopiero po chwili, gdy wzrok mi się przystosował, zobaczyłam go wyraźnie. Stracił na wadze, stał się żylasty. Ostrzygł włosy tak krótko, że równie dobrze mógł je zgolić, brudną twarz i dłonie znaczyły blizny. W oczach miał tę samą pogardę dla mnie jak w dniu, gdy wyjeżdżałam, teraz wzmocnioną jeszcze żalem nad sobą z powodu nieszczęść, które spadły na rodzinę.

Chrząknął gardłowo i ominął mnie łukiem, podchodząc do wiadra z wodą.

Wstałam. - Witaj, Nevinie.

Wytarł dłonie w ścierkę, dopiero potem zdjął podniszczoną kurtkę. Otaczał go zapach bydła, ziemi, zmęczenia.

- Chciałbym porozmawiać z Lanore w cztery oczy - oznajmił.

Matka i siostra wymieniły spojrzenia i ruszyły w stronę drzwi.

- Nie, poczekajcie! - zawołałam. - My z Nevinem wyjdziemy, a wy zostańcie w ciepłe.

Matka pokręciła głową.

- Nie, mamy sporo do zrobienia przed kolacją. Porozmawiajcie. - Wyprowadziła moją siostrę z izby.

Prawdę mówiąc, bałam się zostać sama z Nevinem. Jego niechęć do mnie była niczym skałą, nie pozostawił mi ani kawałeczka gruntu, na którym mogłabym się oprzeć. Z jego twarzy czytałam, że lepiej będzie, jeśli odejdę, zamiast próbować przemówić do jego serca lub rozumu.

- Więc wróciłaś - powiedział, unosząc brew. - Ale nie zamierzasz zostać.

- Nie. - Nie miało sensu go oszukiwać. - Mój dom jest teraz w Bostonie.

Spojrzał na mnie z wyższością.

- Patrząc na ten wymyślny strój, mogę odgadnąć, na czym polega twoje zajęcie. Myślisz, że matka albo ja chcemy wiedzieć, jak bardzo się zhańbiłaś? Po co tu przyjechałaś?

Tego pytania obawiałam się od początku.

- Znowu was zobaczyć - odparłam błagalnie. - Powiedzieć, że nie umarłam.

- Taką wiadomość można przesłać listownie. Od lat się do nas nie odzywałaś.

- Za to mogę tylko przeprosić.

- Siedziałaś w więzieniu? Dlatego nie mogłaś napisać? - zapytał szyderczo.

- Nie byłam pewna, czy mój list was ucieszy.

Cóż zresztą mogłabym napisać? Byłam przekonana, że rada Alejandra jest słuszna i będzie najlepiej, jeśli nigdy więcej się z nimi nie skontaktuję. Pewność, że można bezkarnie i nieodwołalnie amputować przeszłość, wynika z pychy lub głupoty młodości.

Nevin prychnięciem skwitował moją wymówkę.

- A pomyślałaś choć raz, jak twoje milczenie wpłynie na rodziców? O mało nie zabiło matki. Było powodem śmierci ojca.

- Ale mama mówiła, że zabił go byk...

- W taki sposób umarł, jasne. Byk kopnięciem roztrzaskał mu czaszkę, krew lała się na ziemię, a my w żaden sposób nie mogliśmy jej zatamować. Ale czy kiedykolwiek widziałaś, żeby ojciec tracił czujność, zajmując się bydłem? Nie. Doszło do tego, bo miał złamane serce. Od tego listu od zakonnicy był innym człowiekiem.

Obwinił siebie, bo odesłał cię z domu. I pomyśleć, że wciąż byłby z nami, gdybyś dała mu znać, że żyjesz! - Nevin walnął pięścią w stół.

- Mówiłam, że bardzo mi przykro. Okoliczności nie pozwalały...

- Nie chcę słuchać twoich wymówek. Powiedziałaś, że nie byłaś w więzieniu. Wracasz, wyglądając jak najbogatsza kurwa w Bostonie. Mogę się domyślić, jak bardzo trudne były dla ciebie te trzy ostatnie lata. Niczego więcej nie chcę słyszeć. - Odwrócił się ode mnie, chuchając na skrwawione kłykcie. - Zapomniałem zapytać: co z dzieckiem? Zostawiłaś je u swego stręczyciela?

Policzki miałam rozgrzane jak węgielki.

- Ucieszy cię wieść, że dziecko się nie urodziło. Poroniłam.

- Ach. Wola Boga, jak powiadają. Kara za twoje niegodziwości, za to, że się zadałaś z tym diabłem St. Andrew z wielkiego domu. - Uradowany moją wiadomością, Nevin nie zwlekał z wygłoszeniem swego zdania. - Nigdy nie potrafiłem pojąć, że taka sprytna dziewczyna może być tak zaślepiona. Jestem mężczyzną jak on, wiem, co mężczyźni myślą... - Urwał. Pragnęłam zetrzeć z jego twarzy wyraz triumfu, ale nie potrafiłam. Niewykluczone, że miał rację. Może istotnie potrafił zajrzeć w myśli Jonathana, rozumiał go lepiej niż ja i przez wszystkie te lata usiłował chronić mnie przed pokusą. Moja klęska była jego klęską.

Raz jeszcze wytarł zranioną dłoń.

- Jak długo zamierzasz zostać?

- Nie wiem. Kilka tygodni.

- Czy matka wie, że nie wróciłaś na dobre? Że nas opuścisz? - zapytał surowo Nevin, choć w jego głosie pobrzmiwała też nutka uciechy, że znowu złamię matce serce.

Pokręciłam głową.

- Nie możesz zostać zbyt długo - przestrzegł. - W przeciwnym razie śnieg zatrzyma cię do wiosny.

Ile czasu zajmie przekonanie Jonathana, by pojechał ze mną do Bostonu? Czy zdołałabym przetrwać zimę w St. Andrew? Sama myśl o długich, mrocznych dniach spędzonych w ciasnym domu z bratem sprawiała, że ogarniała mnie klaustrofobia.

Niven zanurzył zakrwawioną pięść w wiadrze z wodą, obmywając rany, które sam sobie zadał.

- Na czas wizyty możesz zamieszkać u nas. Osobiście wyrzuciłbym cię na zbity pysk, ale nie dam sąsiadom powodu do plotek. Musisz się jednak przyzwoicie zachowywać, w przeciwnym razie będziesz musiała stąd odejść.

- Oczywiście. - Przesunęłam drżącą dłońią po jedwabnej spódnicy.

- I pod żadnym pozorem nie sprowadzisz tu tego drania St. Andrew. Zakazałbym ci widywania się z nim, skoro mieszkasz pod moim dachem, ale wiem, że i tak do niego pójdziesz, a mnie okłamiesz.

Naturalnie miał rację. Na razie jednak musiałam udawać skruszoną.

- Cokolwiek rozkażesz, bracie. Dziękuję.

ROZDZIAŁ 34

Pierwszy wieczór w domu był trudny. Jednak nie przypomniałam sobie weselszej kolacji. Powrót Glynnis ze sklepu Watfordów dał nam znowu okazję do radości z naszego spotkania (nie cieszył się tylko Nevin, który nie potrafił wybaczyć). Podczas gdy w piekarniku piekły się biskwity, ja niczym Święty Mikołaj rozdawałam prezenty. Maeve i Glynnis tańczyły ze sztukami jedwabiu, przyciśniętymi do piersi, i planowały, jakie śliczne suknie sobie uszyją, matka o mało nie rozplakała się na widok szala. Ich radość tylko podsyciła gniew Nevina; dzięki Bogu nie przywiozłam nic dla niego (wiedziałam, że wrzuciłby prezent do ognia), bo pewnie spoliczkowałby mnie i wyrzucił z domu.

Po kolacji, gdy z talerzy zniknęły ostatnie okruchy, a świece przygasły, siedziałyśmy przy stole i matka z siostrami opowiadały mi o wszystkim, co się stało w miasteczku od mojego wyjazdu: nieudane zbiory, choroby, jeden czy dwóch nowych mieszkańców. No i naturalnie zgony, narodziny i śluby. Ze szczegółami relacjonowały wesele Jonathana, przypuszczały bowiem, że chcę wiedzieć, jakie rarytasy podano (nie miały pojęcia o egzotycznych

potrawach i napojach, trafiających na nasz stół w Bostonie), a także kto z przedsiębiorców robiących interesy z rodziną podjął się trudów podróży przez rzeki i lasy, by wziąć udział w ceremonii.

- Smutne, że Kapitan tego nie dożył - powiedziała moja matka.

A dziecko! Z ich tonu można by wnioskować, że dziecko jest owocem wspólnych działań całego miasteczka. Wszyscy (z wyjątkiem Nevina) bardzo się nim interesowali.

- Jakie imię nadał jej Jonathan? - zapytałam i zanurzyłam ostatni kawałek chleba w wołowym tłuszczu.

- Ruth po jego matce - odparła Glynnis, przewracając oczami.

- To dobre chrześcijańskie imię - upomniała ją matka. - Jestem pewna, że zależało im na imieniu z Biblii.

Pokiwałam palcem.

- Ale nie Jonathanowi czy Evangeline. Idę o zakład, że skłoniła ich do tego jego matka. Możecie mnie cytować.

- Niewykluczone, że pomyśli, by jak najszybciej urodziło się im dziecko, też pochodził od pani St. Andrew. - Maeve na moment wstrzymała oddech i spojrzała na siostrę, szukając u niej poparcia, potem mówiła dalej: - To był strasznie trudny poród, Lanore. O mało nie stracili Evangeline. Jest taka drobna...

- I młoda...

Wszystkie pokiwałyśmy głowami.

- I młoda - westchnęła Maeve. - Podobno akuszerka powiedziała jej, żeby przez jakiś czas nie miała dzieci.

- To prawda - potwierdziła Glynnis.

- Dość tego! - Nevin uderzył nożem w stół. Podskoczyłyśmy. - Człowiek nie może spokojnie zjeść kolacji, musi słuchać plotek o tym dandysie?

- Nevin... - zaczęła matka, ale jej przerwał:

- Nie chcę więcej w nim słuchać. Sam sobie jest winien, że się

z tą dziewczyną ożenił. To skandal, ale niczego lepszego się po nim nie spodziewam - burknął mój brat. Przez ułamek sekundy niemal uwierzyłam, że zganił matkę i siostry, by oszczędzić mi dalszej rozmowy o dzieciach. Wstał od stołu i podszedł do fotela koło paleniska, w którym ojciec siadał po kolacji. Widok Nevina w tym fotelu, z fajką ojca w ustach, wydał mi się dziwny.

Sądząc z pozycji księżycy na niebie, dochodziła północ, gdy zrezygnowałam z bezskutecznych prób zaśnięcia i zesłam ze stryszku. Dogasający ogień zdobił ściany migotliwą, stłumioną poświatą. Ogarnięta niepokojem, nie mogłam znieść myśli o uwięzieniu w czterech ścianach, - potrzebowałam towarzystwa. Zwykle o tej porze szykowałam się do nocy w łóżku Adaira; siedząc teraz na ławie, stwierdziłam, że łaknę, nie, umieram wprost z pragnienia fizycznej rozkoszy. Ubrałam się i wymknęłam na dwór tak cicho, jak to było możliwe. Mój woźnica spał w stodole, gdzie ciepło zapewniały mu koce oraz spędzające noc pod tym samym dachem zwierzęta. Nie zamierzałam siodłać starego kasztana, wyrwać biedaka z zasłużonego wypoczynku, ruszyłam więc pieszo w jedynym kierunku, który przyszedł mi na myśl: do miasteczka. Dla każdej innej osoby nawet tak krótki marsz byłby samobójczy, chwycił ostry mróz i wiał przenikliwy wiatr, na mnie jednak pogoda nie miała wpływu i pokonałam niewielki dystans bez zmęczenia. Zanim się obejrzałam, dotarłam do domów na obrzeżach miasteczka.

Co dalej robić? St. Andrew nie było wielkim miastem. W nielicznych domach świeciły się lampy. Miasteczko spało, ale pub Daniela Daughtery'ego był czynny, bo z pojedynczego okna padała smuga światła. Zawahałam się przy drzwiach: czy postąpię rozsądnie, pokazując się tu o tej porze? Niewiele kobiet odwiedzało ten lokal i nigdy nie robiły tego samotnie. Wiadomość szybko

dotrze do Nevina i utwierdzi go w przekonaniu, że jestem pospolitą kurwą. Silniejszy od tych wątpliwości okazał się powab rozgrzanych ciał, cichy gwar rozmów, rozlegający się od czasu do czasu głośny śmiech. Strząsnęłam błoto z butów i otworzyłam drzwi.

W pubie było kilku gości (na szczęście, zważywszy na szczupłość lokalu), dwóch drwali, pracujących u Jonathana, i Tobey Ostergaard, brutalny ojciec biednej Sophii, który z szarą cerą i martwymi oczyma, utkwionymi w ścianie, sam wyglądał jak trup. Wszystkie głowy zwróciły się do mnie, Daughtery posłał mi szczególnie nieprzyjemne, obleśne spojrzenie.

- Piwo - powiedziałam niepotrzebnie, w ofercie był tylko ten jeden trunek.

Pub niegdyś był częścią domu Daughtery'ego, ale po naleganiach żony postawiono ścianę odgradzającą izbę od sali barowej z kontuarem, małym stolikiem i nierównymi stołkami, zbitymi z rozmaitych kawałków drewna. W cieplejsze miesiące w stodole, którą od domu dzieliła błotnista ścieżka, odbywały się gry hazardowe, a czasami walki kogutów. W większości klienci nie zostawali w pubie, przychodzili tylko z antąkiem po piwo do wypicia w domu przy posiłkach, jako że warzenie było żmudnym zajęciem, a powszechnie uważano, że Daughtery robi to najlepiej w miasteczku.

- Słyszałem, że wróciłaś. - Daughtery przyjął ode mnie zapłatę. - Wygląda na to, że Boston potraktował cię dobrze. - Otwarcie mi się przyglądał, oceniając moją garderobę. - Co taka wiejska dziewczyna jak ty zrobiła, żeby kupić sobie te ładne rzeczy?

Podobnie jak mój brat, Daughtery musiał się domyślać - wszyscy musieli się domyślać - jakim sposobem zostałam majątną kobietą. Nikt nie miał odwagi rzucić mi tego prosto w twarz i

rozniewały mnie insynuacje Daughtery'ego, bo popisował się przed klientami. Cóż jednak mogłam poczuć? Znad kufła uśmiechnęłam się do niego tajemniczo.

- Zrobiłam to, co wielu, wielu innych uczyniło, by poprawić swój los: związałam się z ludźmi dysponującymi środkami, panie Daughtery.

Jeden z drwali opuścił pub wkrótce po moim przyjściu, za to drugi poprosił, bym usiadła z nim przy stoliku. Dosłyszał wzmiankę Daughtery'ego o Bostonie i bardzo chciał porozmawiać z kimś, kto niedawno był w tym mieście. Był młody, może dwudziestoletni, miał miłe usposobienie i schludny wygląd, czym różnił się od większości robotników. Powiedział mi, że pochodzi z biednej rodziny, mieszkającej na obrzeżach Bostonu. Do Maine przyjechał za pracą. Zarabiał dobrze, ale nie był w stanie znieść odosobnienia, tęsknił za różnorodnością i rozrywkami miasta. W oczach zabłyśły mu łzy, gdy opisywałam Public Garden w słoneczną niedzielę i czarną lśniącą taflę rzeki Charles przy pełni księżycy.

- Miałem nadzieję, że wyjadę stąd przed śniegami - powiedział, wpatrując się w kufel. - Słyszałem jednak, że St. Andrew potrzebuje robotników na zimę i płaci im hojnie. Ci, co zostali na zimową zmianę, powiadają, że to strasznie samotny czas.

- Moim zdaniem to kwestia punktu widzenia.

Daughtery uderzył kubkiem o klonowy kontuar i oboje z drwalem podskoczyliśmy.

- Dopijcie piwo, zamykam. Czas, byście poszli do swoich łózek.

Staliśmy pod drzwiami, tuląc się do siebie w ochronie przed wiatrem. Nieznajomy przycisnął usta do mego ucha, a żar tkwiący w jego słowach sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. Młodzieniec wyznał, że od dawna nie cieszył się kobiecym towarzystwem.

Ma niewiele pieniędzy, mimo to odważył się zapytać, czy nie poszłabym z nim.

- Ufam, że nie wyciągnąłem błędnych wniosków na temat twojej profesji - dodał z nerwowym uśmiechem - ale kiedy sama weszłaś do pubu...

Nie mogłam zaprzeczyć: trafił w sedno.

Ukradkiem wsunęliśmy się do stodoły Daughtery'ego, przyzwyczajone do nocnych gości zwierzęta nie zareagowały. Młody drwal rozpiął spodnie i włożył mi swego ptaszka w dłoń. Moje pieszczoty wkrótce sprawiły, że pogrążył się w nieznośnej rozkoszy. Zapewne powrót do St. Andrew i spotkanie z Jonathanem podsycało moją żądzę. Dłoń na mym ciele może i należała do młodego drwala, lecz w mej wyobraźni to była dłoń Jonathana. Postąpiłam lekkomyślnie, przywołując jego obraz, ale tamtej nocy kombinacja cielesnej uciechy i wspomnień stanowiła przedsmak przyszłych doznań i rozbudziła pragnienie, by mieć więcej. Przyciągnęłam do siebie młodzieńca i jedną nogę postawiłam na beli siana, by umożliwić mu dostęp pod moje halki.

Młody drwal wszedł we mnie, czułam jego twardą męskość i łagodną dłoń. Próbowałam sobie wmówić, że to Jonathan, ale na próżno. Może Adair miał rację, może wyniknie jakaś korzyść z uczynienia Jonathana jednym z nas. Ów straszliwy głód powiedział mi, że muszę spróbować, w przeciwnym razie nie znajdę zaspokojenia do końca życia - to jest na wieczność.

Osiągając orgazm, młody drwal głośno westchnął, a potem podał mi chusteczkę.

- Proszę wybaczyć moją bezpośredniość, panienko - szepnął mi gorąco do ucha - ale lepszego bzykanka nie miałem w życiu. Musisz być najbardziej utalentowaną kurwą w Bostonie!

- Kurtyzana - poprawiłam go łagodnie.

- Nie będę udawał, że jestem w stanie zapłacić ci w sposób, do jakiego bez wątplenia jesteś przyzwyczajona... - Sięgnął do kieszeni po pieniądze, ale powstrzymałam go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Nieważne. Zatrzymaj pieniądze, obiecaj tylko, że nikomu słowem o tym nie wspomnisz.

- Och, nie, panienko, nie powiem, chociaż zapamiętam do końca życia!

- Tak jak ja - odparłam, chociaż wszystko wskazywało na to, że ten słodki młodzieniec będzie tylko jednym z licznej procesji, a jeśli dopisze mi szczęście - ostatnim, którego raz na zawsze zastąpi Jonathan.

Patrzyłam, jak drwal odchodzi w noc, kierując się na drogę prowadzącą do posiadłości rodziny St. Andrew, potem sama ciasno otuliłam się płaszczem i ruszyłam w kierunku przeciwnym. Gorące nasienie spływało mi po udach i czułam znajomy dreszcz zadowolenia, który pojawiał się zawsze, gdy brałam mężczyznę w seksualną niewolę. Nie mogłam się doczekać przeżywania tej rozkoszy z Jonathanem i zaskoczenia go moimi nowo nabytymi umiejętnościami.

Droga prowadziła koło kuźni, z przyzwyczajenia więc spojrzałam na domek Magdy. Przez szal, którym zakryła jedyne okno, sączyło się światło, co oznaczało, że Magda nie śpi. Zabawne, jak w przeszłości zazdrościłam jej tego domku - choć chyba nie przestałam, bo serce zabiło mi szybciej na wspomnienie prostych skarbów, które w dzieciństwie tak mi zaimponowały. Dom Adaira był elegancki, wypełniony drogocennymi przedmiotami, ale po przekroczeniu progu człowiek nieodwołalnie tracił wolność. Magda była panią swego domu i nikt nie mógł jej tego odebrać.

Gdy stałam przy ścieżce, drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł jeden z drwali (dzięki Bogu, bo czułabym się strasznie,

gdybym musiała oglądać sąsiada przy tej robocie). Magda wyszła za nim, przez moment stali w smudze światła padającej z pokoju. Śmiali się. Magda otuliła ramiona płaszczem, odprowadzając klienta po schodkach. Uskoczyłam w cień, by oszczędzić drwalowi zakłopotania, ale Magda mnie zauważyła.

- Kto tam? - zawołała. - Nie chcę żadnych kłopotów.

Stałam na środku ścieżki.

- Ja na pewno ich pani nie przysporzę, pani Magdo.

- Lanore? Czy to ty? - Wyciągnęła szyję. Wyminęłam zataczającego się drwała i wbiegłam na ganek, by uścisnąć Magdę. Wydawała się bardziej krucha niż w przeszłości.

- Boże drogi, dziewczyno, mówili mi, że przepadłaś - rzekła, gdyśmy weszły do środka. W pokoju panowała duchota od ognia palącego się w małym kominku i żaru dwóch ciał, które niedawno się nie oszczędzały (piżmowy zapach wciąż unosił się w powietrzu, drwale nie przesadzali z kąpielami i potrafili do cna zaśmierdnąć), zsunęłam więc płaszcz. Magda okręciła mnie, by lepiej się przyjrzeć mojej eleganckiej sukni.

- Panno McIlvrae, sądząc z twojego wyglądu, doskonale sobie radzisz.

- Nie mogę powiedzieć, że to praca, z której jestem dumna.

Magda spojrzała na mnie z naganą.

- Mam rozumieć, że na swój szczęśliwy los trafiłaś zwykłą drogą, dostępną dla młodych kobiet?... - Kiedy nie odpowiedziałam, gwałtownym ruchem strząsnęła pelerynę. - Cóż, dobrze wiesz, jakie mam zdanie w tej sprawie... To przecież nie zbrodnia, że wybieramy jedyną otwartą przed nami drogę i odnosimy sukces... Gdyby Bóg nie chciał, żebyśmy zarabiała na życie jako

kurwy, zapewniłby nam inne środki utrzymania. Lecz tego nie uczynił.

- Właściwie nie jestem kurwą. - Dlaczego czułam, że muszę wyjaśnić jej swoje położenie? - Jest pewien mężczyzna, który zapewnia środki...

- Wyszłaś za niego za mąż?

Pokręciłam głową.

- Więc jesteś jego utrzymanką. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu, jakby informowała mnie o posadzie, o którą się staram. Nalała dżinu do dwóch szklaneczek, pociemniałych ze starości, a ja opowiedziałam jej o moim życiu w Bostonie i o Adairze. To była ulga, że komuś mogłam o nim mówić, chociaż naturalnie przedstawiłam wersję ocenioną, bez elementów, które najchętniej bym usunęła ze swojego życia: jego gwałtownych napadów gniewu, zmienności nastrojów, tego, że od czasu do czasu sypia z mężczyznami. Powiedziałam jej, że jest przystojny, bogaty i we mnie zadurzony. Magda kiwała głową, słuchając mojej historii.

- Bardzo dobrze, Lanore, dopilnuj tylko, żeby odłożyć trochę pieniędzy, które na ciebie wydaje.

W świetle świecy widziałam jej twarz wyraźniej. Te trzy lata pozostawiły na niej ślad. Delikatna skóra obwisła przy ustach i na szyi, w czarnych włosach srebrzyły się siwe pasma, niegdyś śliczna bielizna była poszarzała i postrzępiona. To bez znaczenia, że jest jedyną dziwką w miasteczku, nie będzie mogła zbyt długo uprawiać swej profesji. Młodszy drwale przestaną ją odwiedzać, a starsi, którzy wciąż będą płacić za jej usługi, z pewnością zaczną traktować ją źle. Nie minie wiele czasu, a zostanie pozbawioną przyjaciół starą kobietą w miasteczku, w którym życie jest surowe.

Do sukni przypiętą miałam perłową broszę, prezent od Adaira. Moja rodzina nie znała się na biżuterii, dlatego otwarcie nosiłam przy nich ten klejnot, lecz Magda musiała wiedzieć, że wart jest fortunkę. Na początku myślałam, że powinnam dać broszę moim bliskim, mieli do niej większe prawo niż ta kobieta, zdecydowałam jednak, że zostawię im pieniądze. Odpięłam broszę i podałam Magdzie. Przyjrzała się jej, przekrzywiając głowę.

- Och, Lanore, nie musisz tego robić. Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Chcę, żebyś ją wzięła...

Machnięciem kazała mi cofnąć dłoń.

- Wiem, co myślisz. Zamierzam niedługo przejść na emeryturę. Sporo udało mi się odłożyć, stary Charles St. Andrew powinien był od razu do mnie przysyłać wypłaty drwali i zaoszczędzić im fatygi noszenia pieniędzy w kieszeni przez dzień albo dwa, tyle czasu u mnie spędzali. - Roześmiała się. - Nie, wołę, byś ją sobie zostawiła. Teraz może w to nie wierzysz, bo jesteś młoda, piękna i masz mężczyznę, który ceni twoje towarzystwo, ale pewnego dnia wszystko to przeminie i pożałujesz broszy.

Oczywiście nie mogłam jej powiedzieć, że taki dzień w moim wypadku nigdy nie nadejdzie. Uśmiechnęłam się z wysiłkiem, przypinając broszkę na miejsce.

- Na wiosnę mam zamiar przeprowadzić się na południe, gdzieś bliżej wybrzeża - ciągnęła Magda. Rozejrzała się po pokoju, jakby podejmując decyzję, co zabrać, a co zostawić. - Może znajdę miłego samotnego wdowca i się ustatkuję.

- Nie wątpię, że cokolwiek zrobisz, fortuna będzie ci sprzyjać, bo serce masz wielkie - rzekłam i wstałam. - Powinnam już wracać do rodziny, a tobie pozwolić na nocny spoczynek. Dobrze było znowu cię zobaczyć, Magdo.

Uścisnęłyśmy się, Magda serdecznie pogładziła mnie po plecach.

- Dbaj o siebie, Lanore. Bądź ostrożna. I pamiętaj, w żadnym razie nie zakochaj się w swoim dżentelmenie. My, kobiety, najgorsze decyzje podejmujemy pod wpływem miłości. - Odprowadziła mnie do drzwi, pomachała na pożegnanie. Lecz prawda jej słów położyła się ciężarem na moim sercu i do domu wracałam nie tak wesoła jak wcześniej.

Zastanawiając się nad powodami swego przygnębienia, uznałam, że powodem jest to, iż okłamałam Magdę. Nie chodziło tylko o ukrycie jego - naszego - sekretu, bo to akurat było zrozumiałe. Ale jeśli ktokolwiek w St. Andrew wybaczyłby Adairowi jego dziwne skłonności, to właśnie Magda, a mimo to wolałam ukryć przed nią prawdę o jego charakterze i naturze naszego związku. Kobieta nade wszystko pragnie być dumna ze swego mężczyzny, a ja najwyraźniej nie byłam. Jak mogłam być dumna z cech, które Adair ze mnie wy dobył, które dostrzegł od pierwszego spojrzenia? Nie mogłam zaprzeczyć, że podzielałam jego mroczne pragnienia. Chociaż budził we mnie lęk, podejmowałam każde seksualne wyzwanie, które mi rzucał. Więc może to nie Adaira się wstydziłam, lecz samej siebie.

Takie myśli krążyły mi w głowie, gdy owinięta ciasno peleryną w ochronie przed porywami wiatru śpieszyłam do rodzinnej chaty. Wbrew mej woli powracały wspomnienia wszystkich strasznych występków, które popełniłam, a które sprawiły mi przyjemność, nic dziwnego więc, że zadawałam sobie pytanie, czy jeszcze mogę zostać zbawiona.

ROZDZIAŁ 35

Kiedy obudziłam się nazajutrz, usłyszałam, jak ze względu na mnie matka i Maeve szepczą w kuchni. Dla nich musiałam być leniwym wałkoniem, zakopanym pod kocami, wysypiającym się do południa i marnującym najbardziej produktywną część dnia, choć od dawna tak wcześnie nie wstawałam.

- No, no, popatrzcie, kto się wreszcie obudził! - zawołała matka znad paleniska, gdy usłyszała, jak odrzucam przykrycie.

- Wyobrażam sobie, że Nevin miał parę słów do powiedzenia o moich obyczajach - odparłam, schodząc po drabinie.

- Mało brakowało, a ściągnąłby cię za nogi, ale jakoś udało się nam go powstrzymać - rzekła Maeve, podając mi ubranie, które ogrzało się na krześle przy palenisku

- No tak. Wieczorem nie mogłam zasnąć, więc poszłam do miasteczka - przyznałam.

- Lanore! - Matka upuściła nóż. - Rozum postradałaś? Mogłaś zamarnąć na śmierć! O gorszych rzeczach już nie wspomnę. - Spojrzała porozumiewawczo na Maeve; obie dobrze wiedziały, że niewiele pozostało mi cnoty, którą musiałabym chronić, i to odebrało jej głosowi zdecydowanie.

- Zapomniałam, jak mroźne bywają tu noce - skłamałam.
- I dokąd poszłaś?
- Założę się, że nie do kościoła - roześmiała się Maeve.
- Nie, nie do kościoła. Byłam w pubie Daughtery'ego.
- Lanore...
- Zależało mi tylko na towarzystwie, nic więcej. Nie przywykłam do takich spokojnych wieczorów. W Bostonie prowadzę zupełnie inne życie. Będziecie musiały jakoś to znieść. - Zawiązałam w pasie tasiemki spódnicy, potem podeszłam do matki i pocałowałam ją w czoło.

- Ale teraz nie jesteś w Bostonie, moja droga - zgañiła mnie matka.

- Nie przejmuj się tym zanedto - powiedziała Maeve. - Przecież Nevin także od czasu do czasu tam bywa. Skoro mężczyźni mogą to robić, nie rozumiem, dlaczego tobie mielibyśmy zabronić... - Tu zerknęła na matkę, by sprawdzić jej reakcję. - Po prostu musimy się do tego przyzwyczaić.

Więc Nevin chodzi do Daughtery'ego: muszę być ostrożna. Jeśli dowie się o moich nocnych figlach, będę miała poważne kłopoty.

Przerwało nam pukanie do drzwi. Jeden ze służących rodziny St. Andrew podał mi kremową kopertę, zaadresowaną do mnie. W środku był liścik skreślony starannym pismem matki Jonathana, w którym zapraszała nas na kolację dzisiaj wieczorem. Służący czekał na odpowiedź.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytałam, chociaż łatwo było to odgadnąć. Maeve i matka tańczyły jak Kopciuszek, kiedy się dowiedział, że idzie na bal. - A Nevin? Z pewnością odmówi.

- Bez wątpienia. Powołując się na zasady - odparła Maeve.

- Żałuję, że wasz brat nie ma lepszej głowy do interesów - mruknęła matka. - Mógłby wykorzystać tę okazję do przekonania Jonathana, żeby regularnie od nas kupował. Połowa miasteczka żyje dzięki tej rodzinie. Kto inny kupi naszą wołowinę? Oni, bo mają tych wszystkich ludzi do wykarmienia... - Pewnie uważała rodzinę St. Andrew za skąpców, gdyż wynajętym robotnikom serwowali dziczyznę złapaną w swoich lasach.

Wróciłam do drzwi.

- Proszę powiedzieć pani St. Andrew, że z radością przyjmujemy zaproszenie. Przyjdziemy na kolację we czwórkę.

Na kolacji w otoczeniu obu rodzin czułam się surrealistycznie. To nigdy się nie zdarzyło przez cały czas, gdy w dzieciństwie przyjaźniliśmy się z Jonathanem, i wołałabym tylko z nim siedzieć przed kominkiem w jego gabinecie. To byłoby jednak niestosowne, jako że teraz miał żonę i dziecko.

Jego siostry już osiągnęły wiek wczesnego staropanieństwa i nabrały swoich zwyczajów, mierząc moje tryskające życiem siostry takim wzrokiem, jakby to były wypuszczone na swobodę małpki. Biedny opóźniony umysłowo Benjamin siedział obok swej matki. Oczy miał utkwione w talerzu, usta zaciśnięte, i dokładał starań, by pozostać w bezruchu. Pani St. Andrew od czasu do czasu klepała go po dłoni, co najwyraźniej działało uspokajająco na nieszczęśnika.

Miejsce po lewej ręce Jonathana zajmowała Evangeline; wyglądała jak dziecko, któremu pozwolono usiąść przy stole z dorosłymi. Różowymi paluszkami dotykała każdego elementu nakrycia, jakby nie była pewna, do czego wszystkie te piękne sztuce służą. Co chwila zerknęła na męża niczym pies upewniający się o obecności swego pana.

Widok Jonathana z rodziną, która zawsze będzie na nim polegać, sprawił, że poczułam litość do niego i wielkie zmęczenie.

Po posiłku, sarniej łopatce i tuzinie pieczonych przepiórek, po których na talerzach zostały stosy łakomie obranych do czysta kości, Jonathan rozejrzał się po stołownikach, niemal wyłącznie kobietach, i zaprosił mnie do dawnego gabinetu Kapitana, który teraz należał do niego. Pani St. Andrew już chciała zaprotestować, ale powiedział:

- Nie ma mężczyzny, który mógłby pójść wypalić ze mną fajkę, a ja chciałbym porozmawiać z Lanny w cztery oczy, jeśli pozwolisz. Jestem przekonany, że z wami szybko by się znudziła.

Ruth uniosła brwi, choć jego siostry nie sprawiały wrażenia urażonych. Może chciał im oszczędzić zakłopotania, które bez wątplenia czułyby w moim towarzystwie - nie mam cienia wątpliwości, że uznały mnie za kurwę, a Jonathan wymusił na nich to zaproszenie.

Zamknawszy drzwi, nalał whisky do szklaneczek i nabił fajki tytoniem, potem usiedliśmy w fotelach przysuniętych do kominka. Na początku chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że zniknęłam w Bostonie. Przekazałam mu bardziej szczegółową wersję historii, którą opowiedziałam rodzinie: bogaty Europejczyk zatrudnił mnie w charakterze amerykańskiej towarzyszki. Jonathan nie krył sceptycyzmu, wyraźnie nie mogąc się zdecydować, czy kwestionować moje słowa, czy po prostu bawić się opowieścią.

- Powinieneś rozważyć przeprowadzkę do Bostonu. Życie tam jest o wiele prostsze - powiedziałam, zapalając fajkę. - Jesteś bogaty. Gdybyś mieszkał w wielkim mieście, mógłbyś korzystać z uciech życia.

Pokręcił głową.

- Nie możemy opuścić St. Andrew. Tutaj są lasy, nasze źródło utrzymania. Kto poprowadziłby wyręby?

- Pan Sweet, tak jak robi to teraz. Albo inny zarządca. W taki sposób majątni ludzie, posiadający wiele przedsiębiorstw, prowadzą interesy. Nie istnieje powód, dla którego ty i twoja rodzina musicie znosić udręki tutejszych surowych zim.

Jonathan wpatrywał się w ogień, pociągając z fajki.

- Można by pomyśleć, że moja matka z radością powróci do swojej rodziny, ale w żadnym razie nie zdołamy jej przekonać do wyjazdu z St. Andrew. Nie przyzna tego na głos, lecz przywykła do swej pozycji towarzyskiej. W Bostonie byłaby kolejną bogatą wdową, co więcej, na jej status mógłby wpłynąć fakt, że tyle czasu spędziła w „dziczy”. A poza tym, Lanny, pomyślałaś, co stałoby się z miasteczkiem, gdybyśmy wyjechali?

- Wasza firma wciąż tu będzie. Nadal będziesz płacił mieszkańcom za to wszystko, za co płacisz im teraz. Jedyne różnica polegać będzie na tym, że razem z rodziną zaczniesz prowadzić życie, na jakie zasługujecie. W Bostonie są lekarze, którzy zajmują się Benjaminem. W niedziele będziesz spotykał się z sąsiadami, co wieczór chodził na przyjęcia i partyjki kart jako członek miejskiej elity.

Jonathan obrzucił mnie pełnym niedowierzania wzrokiem, który kazał mi pomyśleć, że to, co mówił o matce, jest zwykłą wymówką. Może to on bał się opuścić St. Andrew, jedyne miejsce, które znał, nie chciał zostać małą rybką w rozległym, pełnym większych ryb stawie.

Nachyliłam się ku niemu.

- Czy to nie byłaby dla ciebie nagroda, Jonathanie? Wspólnie z ojcem pracowaliście i zbudowaliście fortunę. Nie masz pojęcia, co czeka na ciebie poza tymi lasami, szczerzymi jak mury więzienia.

Chyba go tym dotknęłam.

- To nie tak, że nigdy nie wyjeżdżałem z St. Andrew. Byłem w New Fredericton.

Mieli tam odbiorców drewna. Pnie spławiano rzeką Allagash do rzeki St. John, a w New Fredericton cięto je na deski albo robiono z nich węgiel drzewny. Charles zabrał w podróż syna, gdy ten był jeszcze nastolatkiem, ale niewiele o tym wiedziałam. Zastanawiając się teraz, doszłam do wniosku, że Jonathana nie ciekawi świat rozciągający się poza naszym małym miasteczkiem.

- Trudno New Fredericton porównać z Bostonem - rzekłam z naganą. - A gdybyś przyjechał do Bostonu, miałbyś okazję poznać mojego pracodawcę. To europejski arystokrata, właściwie księżę, choć przede wszystkim prawdziwy koneser rozkoszy. Człowiek bardzo do ciebie podobny. - Usiłowałam przebiegle się uśmiechnąć. - Gwarantuję, że na zawsze odmieni twoje życie.

Zmierzył mnie uważnym wzrokiem.

- „Koneser rozkoszy”? A ty skąd o tym wiesz, Lanny? Myślałem, że jesteś jego damą do towarzystwa.

- Można pełnić funkcję pośrednika w wielu różnych sprawach.

- Przyznaję, zaintrygowałaś mnie - powiedział, choć w jego głosie pobrzmiewało zadowolenie z siebie.

Po części czułam smutek, że Jonathana nowe obowiązki sprowadziły na ziemię i w najmniejszym stopniu nie jest ciekaw pokus, które mu oferuję, choć byłam też przekonana, że dawny Jonathan wciąż w nim się kryje, muszę go tylko obudzić.

Od tamtej kolacji większość wieczorów spędzaliśmy razem. Szybko się przekonałam, że nie ma żadnych przyjaciół. Nie wiedziałam, dlaczego tak jest, bo przecież w miasteczku nie brakowało mężczyzn, którzy z ochotą cieszyliby się pozycją towarzyską i ewentualnymi korzyściami finansowymi, wynikającymi z bliskiej znajomości z Jonathanem. On jednak nie należał do głupców. To

byli ci sami mężczyźni, którzy jako chłopcy mieli mu za złe urodę, status i bogactwo, a także to, że los ich ojców zależy od Kapitana.

- Kiedy wyjedziesz, będę za tobą tęsknił - powiedział Jonathan podczas jednego z tych wieczorów, spędzanych w jego gabinecie przy fajkach nabitych doskonałym tytoniem. - A może zostałąbyś tutaj? Nie musisz wracać do Bostonu, jeśli problemem są pieniądze. Dam ci pracę, pomożesz rodzinie, którą osierocił twój ojciec.

Ciekawe, czy zastanawiał się wcześniej nad tą propozycją, czy też złożył ją spontanicznie? Nawet gdyby znalazł dla mnie jakąś posesję, jego matka nie zgodziłaby się, by syn zatrudnił kobietę upadłą. Istotnie, postąpiłabym słusznie wobec bliskich, choć w duchu się wzdygnęłam. Dręczył mnie nienazwany strach przed skutkami okazania nieposłuszeństwa Adairowi.

- Nie potrafiłabym zrezygnować z miasta teraz, gdy je poznałam. Czułbyś to samo.

- Już ci wyjaśniłem...

- Nie musisz podejmować decyzji pod wpływem chwili. W końcu przeniesienie całej rodziny do Bostonu to nie jest drobiazg. Jedź ze mną, spędź w Bostonie jakiś czas. Rodzinie powiesz, że to podróż w interesach. Przekonasz się, czy miasto odpowiada twoim gustom. - Zręcznie przeczyściłam cybuch drutem (tę umiejętność posiadałam, zajmując się fajką wodną Adaira) i postukałam fajką o tackę, by usunąć popiół. - Podróż mogłaby przynieść ci wiele korzyści. Adair wprowadzi cię w towarzystwo, przedstawi właścicielom tartaków i tak dalej. W St. Andrew nie istnieje kultura! Nie masz pojęcia, ile tracisz, nie chodząc na przedstawienia i koncerty. A jak sądzę, najbardziej zafascynuje cię to... - konspiracyjnie pochyliłam się ku niemu tak, że nasze głowy niemal się stykały - ...że Adair jest bardzo podobny do ciebie, jeśli chodzi o przyjemności dżentelmena.

- Tak powiadasz. - Na jego twarzy malowało się błaganie, bym mówiła dalej.

- Kobiety wprost rzucają się na niego. Wszelkiego rodzaju kobiety. Z towarzystwa, pospolite, a kiedy nuży go takie towarzystwo, zawsze zostają mamzelki.

- Mamzelki?

- prostytutki. W Bostonie roi się od prostytutek wszelkiego rodzaju. Masz do wyboru eleganckie burdele i ulicznice. Aktorki i śpiewaczki, które chętnie zostaną twoimi utrzymankami za cenę ładnie umeblowanych pokoi i pieniędzy na wydatki.

- Chcesz powiedzieć, że muszę zwrócić się do aktorki albo śpiewaczki, jeśli chcę mieć kobietę, która dotrzyma mi towarzystwa? - zapytał, odwracając wzrok. - Czy w Bostonie wszyscy mężczyźni płacą za towarzystwo kobiet?

- Jeśli chcę mieć ją na wyłączność - odparłam, z wolna odzyskując panowanie nad sobą. - Te kobiety z reguły lepiej znają się na sztuce miłości niż większość zwykłych niewiast. - Miałam nadzieję, że podsycę jego ciekawość. Nadeszła pora na wręczenie jednego z prezentów od Adaira. - To od mojego pracodawcy - powiedziałam, wręczając mu małe zawiniątko z czerwonego jedwabiu, zawierające talię rozpustnych kart. - Od jednego dżentelmena dla drugiego.

- Zabawne - ocenił, oglądając uważnie każdą kartę po kolei. - Widziałem podobną w New Fredericton, chociaż nie była tak... pomysłowa. - Kiedy podniósł czerwony jedwab, by na powrót zawinąć karty, pomiędzy fałd wytoczył się drugi podarek, o którym zapomniałam.

Jonathan głośno westchnął.

- Dobry Boże, Lanny, kto to jest? - W dłoni trzymał miniaturowy portret Uzry i przyglądał mu się oczarowany. - To fantazm, kreacja umysłu jakiegoś artysty?

Nie dbałam o ton jego głosu, żaden dżentelmen nie mówiłby

tak w obecności kobiety, na której podobno mu zależy, cóż jednak miałam począć? Portret miał go skusić i najwyraźniej swoje zadanie spełnił.

- Och nie, zapewniam, że to kobieta z krwi i kości. Jest konkubina mojego pracodawcy, odaliską, którą przywiózł ze szlaku jedwabnego.

- Wygląda na to, że twój pracodawca prowadzi dziwny dom. Konkubina otwarcie trzymana w Bostonie? Nie sądziłbym, że to zaakceptują. - Wodził spojrzeniem od portretu do mnie, marszcząc czoło. - Nie rozumiem... dlaczego twój pracodawca przysłał mi prezenty? Jaki ma w tym interes? Na Boga, co mu o mnie powiedziałaś?

- Szuka odpowiedniego towarzysza i ma wrażenie, że mógłbyś być jego pokrewną duszą. - Jonathan był podejrzliwy, może się obawiał, że zainteresowanie nieznajomego ma związek z jego majątkiem. - Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że bostończycy go rozczarowali. Są dość nudni. Mój pracodawca nie potrafi znaleźć wśród nich duszy podobnej do swojej, gotowej realizować wszelkie fantazje...

Jonathan jednak puszczał moje słowa mimo uszu. Przyglądał mi się tak uważnie, że zaczęłam się obawiać, iż mimo woli powiedziałam coś obraźliwego.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Chodzi o to, że... tak bardzo się zmieniłaś - odparł wreszcie.

- Nie będę przeczyć. Zmieniłam się całkowicie. Pytanie brzmi, czy ty jesteś tą zmianą rozczarowany?

Zamrugnął, w jego ciemnych oczach mignął ból.

- Przyznać muszę, że tak, trochę. Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby cię nie zranić, ale nie jesteś tą dziewczyną, która stąd wyjechała. Stałaś się kobietą światową... jesteś jego kochanką, prawda? - zapytał z wahaniem.

- Niezupełnie. - Przypomniałam sobie termin sprzed wielu lat. - Jestem jego duchową żoną.

- „Duchową żoną”?

- Wszystkie nimi jesteśmy. Odaliska, ja, Tilde... - Uznałam, że lepiej nie wspominać o Alejandrze i Donie, nie miałam bowiem pojęcia, jak Jonathan zareaguje na taki układ.

- Ma trzy żony pod jednym dachem?

- A także inne kobiety...

- I tobie to nie przeszkadza?

- Może obdarzać swymi względami, kogo zechce. Tak samo jak my. To istotnie różni się od wszystkiego, o czym słyszałeś, ale... tak, ten układ mi odpowiada.

- Wielkie nieba, Lanny, w głowie mi się nie mieści, że jesteś tą dziewczyną, którą wiele lat temu całowałem w kościelnej zakrystii. - Rzucił mi nieśmiałe spojrzenie, jakby nie wiedział, jak się zachować. - Wiesz, biorąc pod uwagę tę rozmowę o swobodzie w obdarzaniu innych względami, chyba nie będzie rzeczą niestosowną, jeśli poproszę cię... o kolejny pocałunek? Chcę się upewnić, że ty naprawdę jesteś tą Lanny, którą kiedyś znałem.

Na taki rozwój wypadków liczyłam. Wstał z fotela i nachylił się ku mnie, ujmując moją twarz w obie ręce, ale w jego pocałunku było wahanie.

O mało serce mi nie pękło.

- Jonathanie, byłam pewna, że nigdy więcej cię nie zobaczę, a co dopiero poczuję twoje usta na moich. Myślałam, że umrę z tęsknoty za tobą. - Wodząc wzrokiem po jego twarzy, pojęłam, że tylko nadzieja na ponowne spotkanie z Jonathanem utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach. Teraz byliśmy razem i nie zamierzałam dać się oszukać. Wstałam i przytuliłam się do niego, a on po krótkim wahaniu mnie objął. Cieszyłam się, że wciąż mnie pożąda, choć wszystko się zmieniło od czasu, gdy byliśmy razem, nawet zapach jego skóry i włosów. W dłoniach na swej talii wyzuwałam rezerwę. Pocałunki smakowały inaczej. Był wolniejszy,

delikatniejszy, smutniejszy. Kochał się ze mną słodko, lecz bez dawnej gwałtowności. Może powodem było to, że znajdowaliśmy się w jego domu, tuż obok były jego żona i matka. A może dręczyły go wyrzuty sumienia, że zdradza biedną Evangeline.

Leżeliśmy potem na kanapie. Głowa Jonathana wciąż spoczywała pomiędzy moimi piersiami w jedwabnym gorsecie, zdobionym koronką, wciąż był we mnie. Gładziłam go po włosach z sercem dudniącym z rozkoszy. Tak, odczuwałam sekretne uniesienie, że skłoniłam go, by uległ żądzy. A jeśli chodziło o jego żonę, czekającą posłusznie gdzieś w głębi domu - cóż, czyż nie ona pierwsza ukradła mi Jonathana? Przysięga małżeńska niewiele znaczyła, skoro Jonathan wciąż mnie pragnie, skoro jego serce należy do mnie. Moje ciało drżało od jego pożądania. Pomimo wszystkiego, co przydarzyło się nam przez te trzy lata rozłąki, bardziej niż kiedykolwiek byłam przekonana, że łącząca nas więź nie została zerwana.

ROZDZIAŁ 36

Quebec, dzisiaj

Luke zatrzymuje się na kolację niedaleko zjazdu z autostrady, Lodzuwa bowiem potrzebę wytchnienia od niekończącej się szarej wstęgi drogi. Kiedy zajmują miejsca w boksie restauracji, pożycza laptopa od Lanny, by przeczytać wiadomości i sprawdzić pocztę. Oprócz zwykłej masy e-maili od administracji szpitala („Przypomina się pracownikom, by nie parkowali na wschodnim parkingu, który przeznaczony jest na składowanie śniegu usuniętego z innych części...”) nie dostał wiadomości od nikogo innego. Nikt nie zauważył jego nieobecności. Luke z roztargnieniem przesuwa kursorem po ekranie, choć nie ma potrzeby powtórnego sprawdzenia. Już ma wyłączyć laptopa, kiedy rozlega się sygnał. Ktoś przysłał mu e-maila.

Spodziewa się spamu, kolejnego radosnego, lecz bezosobowego zaproszenia z banku, by założył lokatę, lub czegoś równie pozbawionego sensu, ale nie, to wiadomość od Petera. Luke czuje zakłopotanie, wykorzystał dobroduszość kolegi. Peter to raczej

znajomy niż przyjaciel, ponieważ jednak w hrabstwie jest niewielu anestezyjologów, a Luke pracuje w izbie przyjęć, widują się częściej niż pozostali lekarze. Seria nieszczęść, która ostatnio spadła na Luke'a, sprawiła, że zachowywał się mniej serdecznie niż zwykle, ale Peter jest jednym z nielicznych, którzy wciąż z nim rozmawiają.

„Gdzie jesteś?”, pisze Peter. „Nie sądziłem, że planujesz taki długi wyjazd. Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierasz komórki. Wszystko w porządku? Nie miałeś wypadku? Nie jesteś ranny? Martwię się o ciebie. ZADZWOŃ DO MNIE”. Na końcu podane są numery wszystkich telefonów Petera i numer komórki jego żony.

Luke zamyka e-maila, zaciskając szczękę. *Boi się, że przeży-wam załamanie*, uświadamia sobie. Zdaje sobie sprawę, że zachowuje się dziwnie, ujmując rzecz delikatnie, ale ludzie w mieście obchodzą go na palcach, bojąc się wspomnieć o Tricii i rozwodzie czy śmierci jego rodziców. Ich zdaniem nie radzi sobie z nawałem nieszczęść. Dopiero w tej chwili Luke pojmuje, że wyjazd z miasta w towarzystwie kobiety oderwał jego myśli od tej tragicznej sytuacji. Od miesięcy nie było chwili, by nie czuł się okropnie. Teraz po raz pierwszy może myśleć o swoich córkach bez chęci do płaczu.

Nabiera powietrza głęboko w płuca i wypuszcza je powoli. *Nie wyciągaj pochopnych wniosków*, mówi sobie. Peter jest miły, cierpliwy. Nie zagroził, że zwróci się na policję. Jest najlepiej przystosowanym człowiekiem, z jakim obecnie Luke ma do czynienia, choć pewnie dlatego, że w St. Andrew mieszka od niedawna. Młody lekarz nie zdążył się jeszcze zarazić charakterystyczną dla miasteczka obcością, zimną rezerwą, purytańską skłonnością do wydawania osądów.

Przez chwilę Luke czuje pokusę, by zadzwonić do Petera. Peter to łącznik z prawdziwym światem, światem, który istniał, zanim

Luke pomógł Lanny uciec przed policją, zanim zaczął słuchać jej fantastycznej historii, zanim przespał się z pacjentką. Peter mógłby go przekonać, by wrócił do rzeczywistości. Luke znowu głęboko oddycha. Pytanie brzmi, czy chce dać się przekonać.

Otwiera e-maila od Petera i naciska opcję „odpowiedz”. „Przykro mi z powodu samochodu”, pisze. „Niedługo zostawię go w miejscu, gdzie policja go znajdzie i odstawi do ciebie”. Zastanawia się nad tym, co napisał, i uświadamia sobie, co to naprawdę znaczy: wyjechał i nie zamierza wracać. Zalewa go wielka ulga. Przed naciśnięciem klawisza „wyślij”, dopisuje jeszcze: „Weź mojego pickapa. Jest twój”.

Luke idzie do toalety, a kiedy wraca do suwa, Lanny już w nim siedzi, wpatrując się przed siebie z pozbawionym radości uśmiechem.

- Co się stało? - pyta Luke, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Nic... - Lanny opuszcza wzrok. - Kiedy poszłam zapłacić rachunek, zobaczyłam, że mają alkohol na sprzedaż. Poprosiłam o butelkę glenfidditcha, ale kobieta odmówiła. Powiedziała, że muszę poczekać, aż mój ojciec wyjdzie z toalety.

Luke sięga do klamki.

- Pójdę, jeśli ci zależy...

- Nie. Zresztą nie chodzi o szkocką, tylko o to, że ciągle mi się to zdarza. Mam tego dość, i tyle. Zawsze biorą mnie za nastolatkę, traktują jak dziecko. Może i wyglądam smarkato, ale nie myślę jak nastolatka i czasami po prostu nie chcę być tak traktowana. Zdaję sobie sprawę, że młody wygląd czasami pomaga, ale, na Boga... - Kręci głową, zaraz się jednak prostuje. - Zróbmy dla niej przedstawienie. Oczy wyjdą jej z orbit.

Zanim Luke ma czas odpowiedzieć, Lanny łapie go za kołnierz, ciągnie ku sobie i zaczyna całować. Pocałunek trwa i trwa, Luke'owi kręci się w głowie. Ponad ramieniem Lanny widzi

kobietę, która siedzi jak sparaliżowana w kasie, z ustami i oczami, otwartymi szeroko ze zgrozy.

Lanny puszcza go i śmiejąc się, uderza w deskę rozdzielczą.

- Jedźmy, tatusiu, poszukajmy hotelu, żebyśmy mogła solidnie cię wypieprzyć.

Luke się nie śmieje. Mimowolnie wyciera usta.

- Nie rób tak. Nie lubię, kiedy biorą mnie za twojego ojca. Czuję się przez to jak... - *Jak potwór, którym nie jestem*, myśli, ale nie mówi tego na głos.

Lanny momentalnie cichnie, zarumieniona ze wstydu, i bezradnie patrzy na swoje dłonie.

- Masz rację. Przepraszam. Nie chciałam wprawiać cię w kłopotanie. To się więcej nie powtórzy.

ROZDZIAŁ 37

Boston, rok 1819

Tamten rozkoszny akt na kanapie nie był ostatni. Dokładaliśmy starań, by spotykać się jak najczęściej, chociaż okoliczności, łagodnie mówiąc, wcale nam nie sprzyjały, i schadzki odbywaliśmy w szopie z sianem na skraju pastwiska, w której unosił się aromat suchej trawy (później jednak musieliśmy starannie oczyścić ubrania z każdego nasionka i źdźbła) albo w stodole z końmi za domem, gdzie zamykaliśmy się w pomieszczeniu z uprzężami i cicho łączyliśmy nasze ciała pośród kołyszających się wędzideł i cugli.

Byłam zaskoczona, że podczas tych chwil z Jonathanem, gdy wdychałam jego oddech, a krople jego potu spadały mi na twarz, w moje myśli wkradał się Adair. Dziwiły mnie wyrzuty sumienia, jakbym go zdradzała, ale przecież na swój sposób byliśmy kochankami. Pod tym czał się strach przed karą, którą wymierzy mi Adair, nie za sypianie z innym, ale za miłość do innego. Dlaczego miałam czuć strach i winę, skoro wykonywałam jego polecenie?

Może chodziło o to, że na dnie serca wiedziałam, iż kocham Jonathana, tylko Jonathana. On jest najważniejszy.

Gdy leżeliśmy w sianie, odzyskując siły po akcie miłosnym, Jonathan pocałował mnie w rękę i szepnął:

- Lanny, zasługujesz na coś lepszego.

- Spotykałabym się z tobą w lesie, w jaskini, na polu, gdyby to był jedyny sposób na zobaczenie się z tobą. Miejsce jest nieważne, liczy się tylko to, że jesteśmy razem.

Piękne słowa, wyznania kochanków. Kiedy jednak gładziłam go po policzku, nie mogłam nic poradzić na to, że moje myśli zaczynały błądzić. Wędrowały w niebezpieczne zakątki, dotykały spraw, które lepiej byłoby pozostawić w spokoju, takich jak okoliczności mojego nagłego wyjazdu z St. Andrew i milczenie Jonathana w tej kwestii. Odkąd wróciłam, ani razu nie zapytał mnie o dziecko. Chciał zapytać, wyczuwałam to, gdy pomiędzy nami zapadała wymuszona cisza, gdy łąpałam jego ukradkowe spojrzenia wypełnione smutną powagą. *Kiedy wyjechałaś z St. Andrew...* lecz te słowa pozostawały niewypowiedziane. Pewnie przypuszczał, że dokonałam aborcji, jak mu powiedziałam tamtego dnia w kościele. Pragnęłam jednak, by poznał prawdę.

- Jonathanie - zaczęłam cicho, przesuwając przez palce czarny sznurek - zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ojciec wysłał mnie z miasteczka?

Wstrzymał oddech, w jego bezruchu wyczułam wahanie. Po krótkiej chwili odparł:

- O twoim wyjeździe dowiedziałem się poniewczasie... Postąpiłem źle, nie szukając cię wcześniej, nie próbując się przekonać, czy nie stało ci się coś złego. - Z roztargnieniem bawił się koronkami na moim gorsecie.

- Jak moja rodzina wytłumaczyła powody?

- Mówili, że pojechałaś się opiekować chorym krewniakiem. Po twoim wyjeździe trzymali się na uboczu. Raz zapytałem jedną

z twoich sióstr, czy mieli od ciebie wiadomość i czy mogliby dać mi twój adres, bo chciałbym do ciebie napisać, ale bez słowa pośpiesznie odeszła. - Oderwał głowę od moich piersi. - Nie tak było? Nikim się nie opiekowałeś?

Jego naiwność mnie rozbawiła.

- Jediną osobą, która potrzebowała opieki, byłam ja. Wysłali mnie, żebym urodziła dziecko. Nie chcieli, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Lanny! - Przycisnął dłoń do mej twarzy, ale ją strząsnęłam. - A czy ty...

- Nie ma dziecka. Poroniłam. - Teraz mogłam wypowiedzieć te słowa bez emocji, bez drżenia głosu, zaciśniętego gardła.

- Przykro mi z powodu wszystkiego, przez co musiałaś sama przechodzić... - Usiadł, niezdolny oderwać ode mnie oczu. - Czy to ma coś wspólnego z tym człowiekiem? Tym Adairem?

Jestem przekonana, że spochmurniałam.

- Nie chcę o tym mówić.

- Z jakimi udrękami musiałaś się zmagać, moja biedna, dzielna Lanny? Powinnaś była do mnie napisać, powiadomić o swoim położeniu. Zrobiłbym wszystko dla ciebie, wszystko, co w mojej mocy... - Objął mnie (moje ciało tęskniło za jego dotykiem), ale potem zmienił zdanie i odsunął się. - Straciłem rozum? Co... co my robimy? Nie dość wyrządziłem ci krzywd? Jakie mam prawo zaczynać od nowa, jakby to była jakaś zabawa? - Schował głowę w dłoń. - Musisz mi wybaczyć mój egoizm, głupotę...

- Do niczego mnie nie zmusiłeś - odrzekłam, próbując go uspokoić. - Ja też tego pragnęłam. - Gdybym tylko mogła cofnąć swoje słowa; popełniłam błąd, mówiąc o dziecku, które od dawna było martwe. Przeklinałam siebie, że uległam swej małostkowości. Chciałam, by Jonathan wiedział o moich cierpieniach i przyznał się do udziału w nieszczęściach, które na mnie spadły, ale to

obróciło się przeciwko mnie.

- Nie możemy dłużej tego ciągnąć. To ostatnia... komplikacja... jakiej w życiu potrzebuję. - Jonathan wstał. Widząc, jaka jestem wstrząśnięta i zraniona, ciągnął: - Wybacz szczerą, droga Lanny. Dobrze jednak wiesz, że mam rodzinę, żonę, małą córeczkę, obowiązki. Nie mogę ryzykować ich szczęścia dla kilku skradzionych chwil rozkoszy z tobą... A my nie mamy przyszłości. Nasz romans tylko by cię zranił.

Nie kocha mnie na tyle mocno, by ze mną zostać - ta prawda rozcięła mi serce jak długi ostry nóż. Zabrakło mi tchu i poczułam gniew. Czy dopiero teraz to sobie uświadomił, choć nasze potajemne schadzki trwają od jakiegoś czasu? A może cierpiałam, bo po raz drugi odrzucał mnie dla Evangeline? Wyznać muszę, że gdy siedziałam tam oszołomiona, najpierw pomyślałam o zemście. Rozumiem teraz, że wzgardzone kobiety zwracają się do diabła, w takich chwilach potrzeba zemsty jest silna, ale możliwości jej dokonania niedostateczne. Gdyby zjawił się przede mną Lucyfer i przyrzekł, że w zamian za moją duszę skaże Jonathana na wieczne męki piekielne, z radością bym się zgodziła. Zawarłabym pakt z samym diabłem, by się zemścić na niewiernym kochanku.

A może nie było potrzeby wzywania diabła, podpisywania kontraktu krwią. Może już to uczyniłam.

Nie miałam pojęcia, jak zrealizować plany Adaira, a na myśl, że mogę go zawieść, robiło mi się niedobrze z przerażenia. Sądziłam, że zdołam zwabić Jonathana do Bostonu dzięki miłości i seksualnym uciechom, ale poniosłam klęskę. Żal i wyrzuty sumienia skłoniły go do zerwania ze mną, chociaż przyrzekł na zawsze pozostać moim przyjacielem, a jeśli zajdzie potrzeba, także dobroczyńcą.

Czekałam w nadziei, że zmieni zdanie i wróci do mnie, lecz wraz z upływającymi dniami stawało się jasne, że tego nie uczyni. *Wizyta*, błagałam, *przyjedź do Bostonu z wizytą*, ale odmawiał. Jednego dnia twierdził, że nie ufa matce i boi się, że pod jego nieobecność doprowadzi w miasteczku do konfliktów, innego - że w interesach pojawiły się komplikacje, które wymagają jego uwagi.

Ostatecznie jednak to zawsze córeczka powstrzymała go od wyjazdu.

- Evangeline nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym na długi okres zostawił ją z moją rodziną, a ze mną nie może pojechać, bo dziecko jest za małe - powiedział, jakby rzeczywiście znajdował się na łasce żony i córki, jakby nigdy nie przedkładał własnych pragnień ponad ich życzenia, choć był obowiązkowym ojcem i mężem. Mogłabym uwierzyć w tego rodzaju wymówki, gdyby wypowiadał je ktoś inny, ale nie Jonathan, którego znałam.

Chodzi jednak o to, że zbliżające się opady śniegu nagliły mnie do wyjazdu. Wyczuwałam, że stanie się coś strasznego, jeśli na zimę pozostanę w St. Andrew. Rozgniewany moim nieposłuszeństwem Adair skrzyknie swoje piekielne ogary i przybędzie do miasteczka, a któż wie, jakie krzywdy ten okrutnik bez serca może wyrządzić niewinnym mieszkańcom, odcięty od reszty świata przez śniegi? Przypomniałam sobie historie, które Alejandro i Dona opowiadali mi o barbarzyńskiej przeszłości Adaira, o najazdach na wsie i mordowaniu tych, którzy się mu sprzeciwiali. Pomyślałam o dziewczynach gwałconych przez Adaira, o tym, jak podał mi narkotyk i wykorzystał dla własnej rozrywki. Obcowanie z bostońską socjetą sprawiło, że Adair trzymał w ryzach swoje brutalne skłonności, nie wiadomo jednak, co by się stało w samotnym, zasypanym śniegiem miasteczku. A ja byłabym odpowiedzialna za sprowadzenie nieszczęścia na moich sąsiadów.

Pewnego wieczoru siedziałam w pubie Daughtery'ego i smętnie rozmyślałam o swej trudnej sytuacji, licząc po cichu, że wpadnę na czułego drwala, którego wcześniej tu spotkałam, kiedy w progu pojawił się Jonathan. Znałam ten wyraz jego twarzy: nie przyszedł do pubu, łaknąc towarzystwa. Tryskał zadowoleniem. Wracał z sekretnej schadzki.

Drgnął na mój widok, ale nie mógł wyjść, nie odzywając się do mnie.

- Lanny, co ty tu robisz? To nie jest miejsce, które powinna odwiedzać samotnie dama.

- Och, ale ja nie jestem damą, prawda? - odparłam ostro, choć zaraz pożałowałam, że okazałam rozgoryczenie. - A dokąd miałabym pójść? Nie mogę pić w towarzystwie matki i brata, nie jestem w stanie znieść ich dezaprobaty. Ty przynajmniej możesz wrócić do swego wielkiego domu i w gabinecie spokojnie wypić szklanczkę. Nie wspominając, że alkohol masz lepszej jakości. A poza tym, czy o tej porze nie powinieneś być w domu z żoną? Nabroiłeś dzisiaj, czuję to wyraźnie.

- Znając cię, nie przypuszczałbym, że tak pochopnie mnie osądzisz. Dobrze, powiem ci prawdę, skoro się tego domagasz. Byłem z inną kobietą. Spotykałem się z nią przed twoim nieoczekiwanym powrotem. Ja też mam kochankę. To Anna Kolsted.

- Anna Kolsted jest mężatką.

Wzruszył ramionami.

Dygotałam z wściekłości.

- Więc nie zerwałeś tego romansu nawet po pięknej przemowie, którą mi wygłosiłeś kilka dni temu?

- Nie... nie mógłbym zerwać z nią nagle, nie wyjaśnwszy, co się stało.

- I co, powiedziałaś, że doznałeś duchowego objawienia i zdecydowałaś, że więcej się z nią nie zobaczysz? - zapytałam, jakbym miała do tego prawo.

Jonathan milczał.

- Czy ty się nigdy niczego nie nauczysz, Jonathanie? To nie może dobrze się skończyć - rzekłam lodowato.

Jonathan ściągnął usta i odwrócił wzrok. Widziałam, jak gotują się w nim od dawna tłumione pretensje.

- Wygląda na to, że ciągle mi to powtarzasz, prawda? - Po między nami zawisło imię Sophii.

- Bo zawsze jest tak samo. Ona się w tobie zakocha i będzie chciała mieć cię na wyłączność. - Strach i smutek wezbrały w mym sercu jak tamtego dnia, gdy znalazłam Sophię w rzece. Nie sądziłabym, że po tych wszystkich przejściach jej zjawa wciąż będzie miała wpływ na mnie. Może było tak dlatego, że czasami zastanawiałam się, czy dobrze się sprawiłam, idąc za jej przykładem. - To nieuniknione, Jonathanie. Każdy, kto cię zna, chce cię mieć dla siebie.

- Mówisz z własnego doświadczenia, czy tak?

Jego ostry ton na sekundę zamknął mi usta. Nie ulegało wątpliwości, że żywi do mnie urazę, choć nie wiedziałam o co.

- Ci, do których należysz, zwykle żałują swego szczęśliwego losu - powiedziałam sarkastycznie. - Może powinieneś zapytać o to swoją żonę. Pomyślałeś, jak twój romans z panią Kolsted odbije się na biednej Evangeline, jeśli się o nim dowie?

Jonathan ogarnął nagły jak burza gniew. Zerknął przez ramię, by się upewnić, że Daughtery jest zajęty i nikt nas nie słyszy, potem złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

- Na rany Chrystusa, Lanny, miej nade mną litość. Ożeniłem się z dzieckiem. Miała dopiero czternaście lat, kiedy ją poślubiłem. Kiedy wziąłem ją do małżeńskiego łóża, po wszystkim płakała. Płakała, rozumiesz? Moja matka ją przeraża, w towarzystwie siostr słowa nie potrafi z siebie wykrztusić. Nie potrzeba mi

dziecka, Lanny. Potrzebuję kobiety. Gorzko żałuję, że uległem ojcu i zgodziłem się na to małżeństwo. On chciał następcy, tylko na tym mu zależało. Zobaczył młodzieńką dziewczynę, która miała przed sobą wiele lat rodzenia dzieci, i dogadał się ze starym McDougalem, jakby Evengeline była kłaczą. - Przeczesał dłonią włosy. - Nie masz pojęcia, jak teraz wygląda moje życie, Lanny. Nie ma nikogo prócz mnie, kto mógłby się zająć prowadzeniem interesów, Benjamin wciąż jest bezradny jak czterolatek. Siostry są głupiutkie. Po śmierci ojca... cóż, wszystkie jego kłopoty zwały się na mnie. Los miasta zależy od pieniędzy mojej rodziny. Czy wiesz, ilu osadników kupiło ziemię za pożyczki od mojego ojca? Jedna surowa zima i jeśli zabraknie im smykałki do rolnictwa, przestaną spłacać raty. Mogę przejąć ich ziemię, ale co mi przyjdzie z kolejnej podupadłej farmy? Wybacz więc, proszę, że wziąłem sobie kochankę, by choć na chwilę uciec przed odpowiedzialnością.

Utkwiłam wzrok w osadzie na dnie kufla.

- Nie wyobrażasz sobie, jakie kuszące są twoje propozycje - ciągnął, tocząc szalonym wzrokiem. - Oddałbym wszystko, by uwolnić się od obowiązków! Ale nie mogę i myślę, że rozumiesz moje powody. To byłby koniec nie tylko mojej rodziny, ale całego miasteczka. Zmarnowane życie tylu ludzi. Może trafiłaś na chwilę mojej słabości, kiedy wróciłaś, Lanny, ale te ostatnie kilka lat dało mi twardą nauczkę. Nie mogę sobie pozwolić na egoizm.

Zapomniał, jak kiedyś mi powiedział, że dla mnie pragnie wszystko zostawić, rodzinę i majątek? Że marzy, byśmy w jego świecie byli tylko my dwoje? Kobieta rozsądniejsza niż ja ucieczyłaby się, widząc, że Jonathan dojrzał i przyjął na swe barki obowiązki, poczułaby dumę, że jej ukochany radzi sobie z odpowiedzialnością, która słabszego może by załamała. Ja nie byłam ani ucieszona, ani dumna.

Rozumiałam go jednak. Na swój sposób kochałam to miasteczko i nie chciałam oglądać jego upadku. Mimo że moja rodzina już przeżywała trudności, mimo że sąsiedzi traktowali mnie źle i plotkowali za moimi plecami, nie mogłam usunąć podpory, dzięki której miasteczko istniało. Przygnębiona siedziałam naprzeciwko Jonathana, współczułam mu z powodu udręku, z których mi się zwierzył, lecz w środku czułam wzbierającą panikę. *Zawiodę Adaira*. Wielkie nieba, co ja mam począć?

Popijaliśmy piwo, pogrążeni w ponurych rozmyślaniach. Wydawało się jasne, że powinnam zrezygnować z Jonathana i skoncentrować się na własnym problemie: co robić dalej? Czy jest takie miejsce, w którym Adair nie zdołałby mnie odnaleźć? Nie miałam najmniejszej ochoty na ponowne przeżywanie tamtych straszliwych tortur.

Zapfęciliśmy i wyszliśmy na ścieżkę. Milczeliśmy, zajęci własnymi niewesołymi myślami. Noc była mroźna, niebo czyste i jasne od księżyca i gwiazd, tylko niekiedy przestłoniętych cienkimi obłokami.

Jonathan położył mi dłoń na ramieniu.

- Wybacz ten wybuch i zapomnij o moich problemach. Masz pełne prawo pogardzać mną za to, co ci powiedziałem. W żadnym razie nie chciałybym obarczać cię moim brzemieniem. Zostawiłem konia w stodole Daughtery'ego; pozwól, że odwiozę cię do domu.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, że nie trzeba, bo wolałabym zostać sama, na ścieżce rozległy się czyjeś kroki.

Było późno, panował mróz, przy takiej temperaturze ludzie siedzieli w domu.

- Kto tam? - zawołałam do postaci kryjącej się w cieniu. Zaraz też w smudze księżycowej poświaty pojawił się Edward Kolsted z flintą w dłoni.

- Idź swoją drogą, panno McIlvrae, nic do ciebie nie mam.

Kolsted pochodził z jednej z biedniejszych rodzin w mieście i nie mógł rywalizować z Jonathanem o niczyje uczucia. Był chudy, miał twarz poznaczoną dziobami po ospie, przedwcześnie jak na jego młody wiek łysiejące brązowe włosy i luki w uzębieniu. Wycelował flintę w pierś Jonathana.

- Nie bądź głupi, Edwardzie. Są świadkowie: Lanny i mężczyźni w pubie... chyba że ich wszystkich także chcesz zabić - zwrócił się Jonathan do przyszłego mordercy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zmarnowałeś moją Annę, a ze mnie zrobiłeś przedmiot kpiny. Będę dumny, jak wszyscy się dowiedzą, że pomściłem swoją hańbę. - Lekko uniósł lufę. Przeszedł mnie dreszcz przerażenia. - Popatrz tylko na siebie, ty fikuśny pawiu - prychnął Edward. Trzeba przyznać Jonathanowi, że nawet się nie poruszył. - Myślisz, że ktoś w miasteczku będzie po tobie płakał? Nikt, szanowny panie. Wszyscy mężczyźni gardzą tobą. Myślisz, że nie wiemy, co knujesz, uwodząc nasze żony, rzucając na nie urok? Zadałeś się z Anną dla przelotnej rozrywki i ukradłeś mi najcenniejszą rzecz, jaką miałem. Jesteś diabłem, miasteczko odetchnie, kiedy się ciebie pozbędziemy. - Głos Edwarda wznosił się coraz wyżej, mimo to była pewna, że nie zrealizuje swojej groźby. Chciał tylko przestraszyć Jonathana, upokorzyć go i zmusić, by błagał o wybaczenie, co temu rogowcowi przywróciłoby godność. Nie zamierzał posuwać się do zabicia rywala.

- Chcesz, żebym był diabłem, tak? To by ci odpowiadało, uwolniło cię od winy. - Jonathan opuścił ręce. - Prawda jednak jest taka, że twoja żona to nieszczęśliwa kobieta, a to ma niewiele wspólnego ze mną, za to wiele z tobą.

- Kłamca! - krzyknął Kolsted.

Jonathan postąpił ku niemu, a mnie skrzyły się wnętrzności. Nie byłam pewna, czy Jonathan pragnie śmierci, czy też nie zamierza pozwolić, by Kolsted chował się przed prawdą. Może czuł,

że jest to winien swojej kochance, a może nasza kłótnia w pubie skłoniła go do podjęcia decyzji, rzecz jednak w tym, że wyglądał na rozgniewanego, Kolsted zaś nabrał przekonania, że powodem tej wściekłości jest miłość Jonathana do Anny.

- Gdyby twoja żona była szczęśliwa, nie szukałaby mojego towarzystwa. Ona...

Stara flinta Kolsteda wypaliła, z lufy wystrzelił biało-siny kłębek ognia, który dostrzegłam kącikiem oka. To wszystko stało się tak szybko: huk jak grzmot, płomień jak błyskawica i Jonathan nagle zatoczył się do tyłu, a potem upadł na ziemię. W świetle księżycza przelotnie dostrzegłam ściągniętą twarz Kolsteda.

- Zastrzeliłem go - mruknął, jakby sam siebie chciał upewnić.
- Zastrzeliłem Jonathana St. Andrew.

Uklękałam na zamarznętej ziemi, przytuliłam Jonathana. Jego ubranie nasiąkało krwią, plamy pojawiały się na płaszczu. Rana była głęboka i poważna. Objęłam go za zębra i gniewnie spojrziałam na Kolsteda.

- Gdybym miała strzelbę, zastrzeliłabym cię bez wahania. Zejdź mi z oczu.

- Nie żyje? - Kolsted wyciągnął szyję, ale zabrakło mu odwagi, by podejść do człowieka, do którego wypalił z flinty.

- Za sekundę wszyscy się zbiegną, a jeśli cię tu znajdą, już po tobie - syknęłam ostrzegawczo. Chciałam, by zniknął, już słysząc było ruch w pubie, zaraz ktoś wyjdzie, żeby sprawdzić, co się stało. Musiałam ukryć Jonathana, zanim go zobaczą.

Kolsteda nie trzeba było dwa razy ponaglać; ze strachu, nagłych wyrzutów sumienia albo braku ochoty na poniesienie konsekwencji swego czynu zabójca Jonathana zerwał się jak spłoszony koń i pognął w mrok. Objęłam Jonathana i zaciągnęłam do stodoły Daughtery'ego. Odsunęłam połę jego płaszczu i surduta,

odslaniając ranę w piersi. Krew tryskała z dziury blisko serca.

- Lanny - wychrypiał, szukając mojej dłoni.
- Jestem przy tobie, Jonathanie. Nie ruszaj się.

Zakrztusił się i zakaszłał. Nie było dla niego pomocy, bsądząc z bliskości strzału i lokalizacji rany. Rozpoznałam wyraz jego twarzy: rysy sztywniały mu w agonii. Stracił przytomność.

Z podwórza dobiegły głosy, ludzie wyszli z pubu na ścieżkę. Nikogo nie widząc, wycofali się.

Spojrzałam na piękną twarz Jonathana. Jego wciąż ciepłe ciało ciążyło mi na kolanach. Ogarnięta paniką czułam, jak serce mi wali. *Utrzymaj go przy życiu. Utrzymaj go przy życiu za wszelką cenę.* Przytuliłam go mocniej. Istniał tylko jeden sposób, by go uratować.

Delikatnie położyłam go na ziemi, znowu rozsunęłam poły jego ubrania. Dzięki Bogu był nieprzytomny, w przeciwnym razie nigdy nie zdobyłabym się na dokonanie tego przekłętogo czynu. Czy mi się uda? Może coś źle zapamiętałam, może równie potężna magia zaczyna działać dopiero po wyrecytowaniu specjalnego zaklęcia? Nie było czasu na domysły.

Przesuwałam palcami po rąbku stanika, szukając maleńkiej srebrnej fiołki. Kiedy ją znalazłam, rozprułam szew. Dygoczącymi dłońmi wyciągnęłam korek i rozsunęłam wargi Jonathana. Pozostała tylko kropla, mniejsza niż kropla potu. Modliłam się, by to wystarczyło.

- Nie opuszczaj mnie, Jonathanie. Nie jestem w stanie bez ciebie żyć - szepnęłam mu do ucha, bo tylko to przyszło mi do głowy. Ale potem przypomniałam sobie to, co powiedział mi Alejandro owego dnia, gdy przeszłam transformację, i z całej siły zaprzagnęłam, by nie było za późno.

- Z mej ręki i woli - wyrzekłam, czując się przy tym głupio.

Dobrze wiedziałam, że nie mam władzy nad niczym w niebie, piekle czy ziemi.

Kłęczałam z głową Jonathana opartą o mój podolek i gładziłam go po włosach, czekając na znak. Z własnego przejścia pamiętałam tylko uczucie spadania, gorączkę płonąca mi w ciele jak ogień i o wiele późniejsze przebudzenie w ciemności.

Znowu objęłam Jonathana. Przestał oddychać i stawał się coraz zimniejszy. Otuliłam go płaszczem, zadając sobie pytanie, czy niepostrzeżenie zdołam dotrzeć z nim na rodzinną farmę. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale innego wyjścia nie miałam, a wcześniej czy później ktoś przeszuka stodołę Daughtery'ego.

Osiadłam wierzchowca Jonathana, zdumiona, że przestałam się bać tego diabelskiego ogiera. Ze zrodzoną z konieczności siłą, o którą się nie podejrzewałam, przerzuciłam Jonathana przez koński grzbiet, sama wskoczyłam na siodło i wypadłam przez otwarte drzwi stodoły.

Niejeden mieszkaniec utrzymywał potem, że widział, jak Jonathan St. Andrew tamtej nocy wyjeżdża z miasta, co bez wątpienia przyczyniło się tylko do mnożenia teorii o jego zniknięciu.

Na rodzinnej farmie skierowałam się prosto do stodoły i obudziłam woźnicę. Musieliśmy natychmiast wyjechać, nie mogłam ryzykować czekania do rana, kiedy bliscy Jonathana zaczną go szukać. Kazałam woźnicy zaprząć konie. Kiedy protestował, że jest zbyt ciemno, odparłam, że księżyc świeci wystarczająco mocno, i dodałam:

- Ja ci płacę, więc musisz mnie słuchać. Masz kwadrans na przygotowanie powozu.

Kufry z odzieżą musiałam zostawić, z pewnością obudziłabym rodzinę, gdybym wróciła do domu. W tamtej chwili myślałam wyłącznie o tym, by wywieźć Jonathana z miasta.

Gdy powóz toczył się po zaśnieżonej drodze, zerknęłam zza firanki, czy ktoś w domu nas usłyszał, ale panowała w nim ciemność. Wyobrażałam sobie, jak rano stwierdzą, że mnie nie ma, i z rozpaczą będą się zastanawiać, dlaczego w taki sposób ich opuściłam, mój wyjazd wyda im się równie tajemniczy jak trzyletnie milczenie. Wyrządzałam wielką niesprawiedliwość matce i siostrze, co bardzo mnie bolało, lecz prawda jest taka, że łatwiej było je rozczarować niż stracić na zawsze Jonathana albo okazać nieposłuszeństwo Adairowi.

Jonathan leżał na ławce, owinięty w swój płaszcz i moją futrzaną narzutę, a pod przekrzywioną pod dziwnym kątem głową zamiast poduszki miał moją pelerynę (zimna nie musiałam się obawiać). Nie poruszał się, jego pierś nie wznosiła się i nie opadała w oddechu, skóra była biała jak lód. Nie odrywałam wzroku od jego twarzy, czekając na pierwszą oznakę życia, on jednak pozostawał w absolutnym bezruchu i zaczynałam się zastanawiać, czy nie poniosłam porażki.

ROZDZIAŁ 38

Nim wstał dzień, oddaliliśmy się od miasteczka na wiele mil. Powóz kołysał się po wyboistym i pustym leśnym szlaku, a ja czuwałam przy Jonathanie. Mogło się okazać, że jestem jak wdowa, która towarzyszy zwłokom męża w drodze na miejsce wiecznego spoczynku.

Dobrze po wschodzie słońca Jonathan wreszcie się poruszył. Wtedy już nabrałam przekonania, że nie wróci; przez wiele godzin drżałam i pociłam się, ogarnięta nudnościami i nienawiścią do samej siebie. Pierwszą oznaką życia był tik w prawym policzku, trzepotanie rzęs. Ponieważ wciąż był blady jak trup, nie wierzyłam własnym oczom, ale zaraz usłyszałam cichy jęk. Rozchylił usta i otworzył oczy.

- Gdzie jesteśmy? - wychrypiął ledwo dosłyszalnie.
- W powozie. Nie ruszaj się. Zaraz poczujesz się lepiej.
- W powozie? A dokąd jedziemy?
- Do Bostonu. - Cóż innego miałam mu powiedzieć?
- Do Bostonu! Co się stało? Czy ja... - pewnie przed oczyma stanęła mu ostatnia rzecz, którą zapamiętał: my dwoje siedzący w

pubie Daughtery'ego - ...przegrałem zakład? Upiłem się i zgodziłem z tobą pojechać...

- Nie było żadnej umowy - przerwałam, klękając obok niego, by otulić go futrem. - Jedziemy, bo musimy. Nie możesz dłużej zostać w St. Andrew.

- O czym ty mówisz, Lanny? - Rozgniewany Jonathan próbował mnie odepchnąć, ale brakowało mu sił. Pod kolanem poczułam coś twardego, ostrego jak kamyk i moje palce natrafiły na okrągłą ołowianą kulkę.

Pocisk z flinty Kolsteda.

Podniosłam go i pokazałam Jonathanowi.

- Poznajesz to?

Z wysiłkiem skupił wzrok na małym ciemnym kształcie w mojej dłoni. Obserwowałam, jak wraca mu pamięć o kłótni na ścieżce i błysku, który zakończył jego życie.

- Strzelano do mnie - powiedział, oddychając ciężko. Położył dłoń na podartych warstwach odzieży, sztywnych od zaschniętej krwi. Pomacał skórę, ale była cała. - Nie ma rany. Kolsted musiał chybić - stwierdził z ulgą.

- Jak to możliwe? Widzisz krew, dziury w ubraniu. Kolsted nie chybił, Jonathanie. Strzelił prosto w serce i zabił cię.

Zacisnął powieki.

- Mówisz bez sensu. Nie rozumiem.

- Tego nie da się pojąć - odrzekłam, biorąc go za rękę. - To cud.

Usiłowałam mu to wyjaśnić, choć Bóg wie, że sama niewiele rozumiałam. Opowiedziałam mu swoją historię i historię Adaira. Pokazałam maleńką fiolkę, teraz pustą, i dałam do powąchania utrzymujący się w niej ohydny zapach. Słuchał, patrząc na mnie, jakbym była szalona.

- Każ woźnicy zatrzymać powóz - oznajmił. - Wracam do St. Andrew, nawet jeśli będę musiał iść pieszo.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Zatrzymaj powóz! - krzyknął, podnosząc się z ławki i waląc

pięścią w dach. Próbowałam go skłonić, by usiadł, ale woźnica go usłyszał i powóz stanął.

Jonathan pchnięciem otworzył drzwiczki i wyskoczył w świeży, głęboki do kolan śnieg. Woźnica, któremu na wąsach zamarzał oddech, przyglądał się nam niepewnie ze swej grzędy.

- Zaraz wrócimy. Roztop śnieg i napój konie - poleciłam, by dać mu zajęcie, i pobiegłam za Jonathanem, z trudem brnąc przez śnieg w długiej sukni. Wreszcie złapałam go za ramię.

- Musisz mnie wysłuchać. Nie możesz wrócić do St. Andrew, zmieniłeś się.

Odepchnął mnie.

- Nie wiem, co się z tobą działo przez ten czas, ale... Mogę tylko podejrzewać, że straciłaś rozum.

Kurczowo chwyciłam go za mankiet, jakbym w ten sposób mogła go powstrzymać.

- Udowodnię ci to. Przyrzekasz, że ze mną pojedziesz?

Spojrzał na mnie, jakby spodziewał się jakiejś sztuczki.

- Niczego ci nie obiecuję.

Puściłam go i gestem dałam znać, by poczekał. W kieszeni płaszcza znalazłam mały, ale solidny nóż. Rozdarłam suknię, ujęłam nóż oburącz i wbiłam go w swoją pierś po rękojeść, nie wydając przy tym nawet westchnienia.

Pod Jonathanem ugięły się kolana, ale odruchowo wyciągnął do mnie rękę.

- Dobry Boże! Jesteś szalona! Co ty wyprawiasz...

Wokół rękojeści wezbrała kałuża krwi, wsiąkając w suknię, wkrótce też cały przód zalala szkarłatna plama. Wyciągnęłam nóż, a potem złapałam Jonathana za rękę i przycisnęłam jego palce do rany. Chciał się odsunąć, ale trzymałam go mocno.

- Dotknij, zobacz, co się dzieje, i powiedz, że mi nie wierzysz.

Wiedziałam, co się stanie. To była salonowa sztuczka, którą Dona nam prezentował, kiedy gromadziliśmy się w kuchni, żeby odetchnąć po wieczorze spędzonym w mieście. Siadał przed paleńskim, rzucał surdut na oparcie krzesła, podwijał obszerne rękawy koszuli i nożem dźgał się głęboko w ramię. Alejandro, Tilde i ja patrzyliśmy, jak dwie krawędzie świeżej czerwonej rany zbliżają się do siebie, bezradne niczym przekłęci kochankowie, i łączą w gładkim uścisku. Rzecz nieprawdopodobna, powtarzana raz po raz ze skutkiem tak pewnym jak to, że słońce wschodzi. (Dona śmiał się przy tym gorzko, kiedy jednak teraz powtórzyłam tę sztuczkę, przekonałam się, że wywołuje ona specyficzne doznania. Chodziło o ból, którego łaknęliśmy, lecz nie potrafiliśmy sobie zadać. Było w nas pragnienie samobójstwa, a mieliśmy tylko przelotną przyjemność bezbolesnego samookaleczenia. Jakże sobie nienawidziliśmy, każde na swój sposób!)

Jonathan zbladł, gdy poczuł, że rozdarte ciało się zasklepia.

- Co to jest? - szepnął przerażony. - W tym musi maczać palce diabeł.

- Nic o tym nie wiem, nie potrafię tego wytłumaczyć. Co się stało, to się nie odstanie, nie da się od tego uciec. Nie będziesz taki jak przedtem, nie możesz dłużej mieszkać w St. Andrew. A teraz chodź ze mną - odparłam.

Zwiotczał na całym ciele i nie opierał się, gdy położyłam mu dłoń na ramieniu i poprowadziłam go do powozu.

Jonathan nie otrząsnął się z szoku przez całą podróż. To był dla mnie niespokojny okres, ponieważ chciałam się dowiedzieć, czy odzyskałam przyjaciela i kochankę. Zawsze to on decydował i teraz czułam się nieswojo w roli przywódcy. Postępowałam niemądrze, oczekując innej reakcji, w końcu jak długo sama trwałam

w przygnębieniu w domu Adaira, nie chcąc uwierzyć w to, co mi się przytrafiło?

Podczas rejsu do Bostonu nie wychodził z ciasnej kabiny, ani razu nie postawił stopy na pokładzie. To pewnie rozbudziło ciekawość załogi i pasażerów, chociaż więc morze było gładkie jak stół, powiedziałam, że zachorował. Przynosiłam mu zupę i piwo z mesy, mimo że nie musiał nic jeść i apetyt całkiem go opuścił. Wkrótce miał się przekonać, że jedliśmy z nawyku, pocieszając się udawaniem, że wciąż jesteśmy tacy jak dawniej.

Kiedy statek zawinął do portu w Bostonie, Jonathan po wielu godzinach, spędzonych w półmroku kabiny, wyglądał dziwnie. Błady i nerwowy, z oczami zaczerwienionymi od braku snu, opuścił kabinę odziany w zniszczone ubranie, zakupione w Camden w sklepiku handlującym używaną odzieżą. Stał na pokładzie, znośząc ciekawskie spojrzenia pasażerów, którzy bez wątpienia się zastanawiali, czy tajemniczy pasażer nie umarł. Obserwował żywienie na nabrzeżu, szeroko otwierając oczy na widok tłumów, i był chyba trochę przerażony. Jego niewiarygodną urodę przytłumiły ciężkie przejścia, a ja pragnęłam, by w czasie pierwszego spotkania z Adairem nie wyglądał tak marnie. Zależało mi, by Adair od razu zobaczył, że nie kłamałam, opowiadając o urodzie mego przyjaciela - cóż za niemądra próżność!

Przeszliśmy ledwo dwadzieścia kroków po nabrzeżu, gdy zobaczyłam Donę z kilkoma służącymi. Dona ubrany był we wspólniały żałobny strój z czarnymi strusimi piórami w kapeluszu. Otulony w pelerynę, opierał się na lasce, górując nad zwykłymi ludźmi niczym Ponury Kosiarz. Na nasz widok na jego twarzy pojawił się złowrogi uśmiech.

- Skąd wiedziałeś, że dzisiaj wracam? Że płynę tym statkiem?
- zapytałam. - Nie przedziłam o swoich zamiarach.

- Och, Lanore, strasznie jesteś naiwna. Adair zawsze wie o takich sprawach. Wyczuł twoją obecność na horyzoncie i przysłał mnie do portu. - Po tych słowach całą swoją uwagę zwrócił na Jonathana, nie próbując nawet ukryć, że mu się przygląda. - Przedstaw mnie swojemu przyjacielowi.

- Jonathanie, to jest Donatello - rzekłam krótko.

Jonathan nie poruszył się, nie powitał nowego znajomego, aczkolwiek nie potrafiłam stwierdzić, czy dlatego, że nie podoba mu się szacujące spojrzenie Dony, czy też dlatego, że wciąż jest w szoku.

- Nie mówi? Nie zna manier? - zapytał Dona. Kiedy Jonathan nie odpowiedział na prowokację, Dona zignorował afront i zwrócił się do mnie: - Gdzie są twoje bagaże? Służący...

- Czy bylibyśmy tak ubrani, gdybyśmy mieli inne rzeczy? Musiałam wszystko zostawić. Ledwo wystarczyło mi pieniędzy na powrót do Bostonu. - Oczyma wyobraźni ujrzałam kufer, który stał w kącie matczynego domu. Kiedy sprawdzą jego zawartość (nie od razu, choć przecież będą wiedzieli, że nie wrócę), znajdą w środku skórzaną sakiewkę, wypełnioną złotymi i srebrnymi monekami. Cieszyłam się, że nie zdążyłam wziąć pieniędzy; czułam, że tyle jestem winna moim bliskim, to były srebrniki Adaira, którymi zapłacił mojej rodzinie za to, że na zawsze mnie utraciła, tak jak stłumił swoje wyrzuty sumienia, przed wiekami zostawiając pieniądze swoim bliskim.

- Bardzo jesteś konsekwentna. Przyszedłeś do nas, nie mając nic, a teraz przyprowadzasz przyjaciela i znowu oboje nic nie macie. - Dona wyrzucił ręce w górę, jakby ubolewał nade mną, ale wiedziałam, że jest poirytowany: chociaż Jonathan był w fatalnym stanie, w oczy rzucała się jego wyjątkowa uroda. Zostanie ulubieńcem Adaira, przyjacielem, z którym Dona w żaden sposób nie

będzie mógł konkurować. Dona straci przychylność Adaira, nie można było na to poradzić, i Włoch pojął to w chwili, gdy zobaczył Jonathana.

Gdyby wiedział, o co chodzi, nie marnowałby sił na zazdrość, nasz przyjazd bowiem stał się początkiem końca dla nas wszystkich.

W drodze do posiadłości Adaira Jonathan odzyskał po części siły. To była jego pierwsza bytność w mieście tak wielkim, zróżnicowanym i wspaniałym jak Boston, i jego oczyma na nowo przeżywał swój przyjazd tutaj przed trzema laty: tłumy ludzi na zakurzonych ulicach, obfitość sklepów i pubów, niezwykle kilkupiętrowe domy z cegły, mnóstwo powozów zaprzężonych w piękne, dobrze utrzymane konie, modnie ubrane kobiety, pokazujące dekolt i długie białe szyje. Po jakimś czasie Jonathan musiał cofnąć się od okna i zamknąć oczy.

No i oczywiście dom Adaira był wspaniały, chociaż wtedy Jonathan oswoił się już ze wspaniałością. Posłusznie dał się wprowadzić do holu z wielkim żyrandolem i lokajami w liberii, którzy kłaniali się dostatecznie nisko, by dobrze obejrzeć zabłocone buty Jonathana. Z jadalni ze stołem nakrytym na osiemnaście osób wyszliśmy na korytarz, gdzie kręcone schody wiodły na piętro do pokoi sypialnych.

- Gdzie jest Adair? - zapytałam jednego z lokajów; chciałam już to mieć za sobą.

- Tutaj - rozległ się głos za moimi plecami.

Okręciłam się na pięcie. Adair ubrany był z wystudiowaną nie-dbałością, czarne włosy związane miał wstążką w stylu europejskich dżentelmenów. Podobnie jak Dona, zmierzył Jonathana uważnym spojrzeniem, jakby ustalał cenę za niego. Jonathan usiłował zachować obojętność, popatrzył na Adaira, potem odwrócił

wzrok, ja jednak wyczuwałam napięcie w powietrzu, iskrę porozumienia. Mistycy nazywają to więzią pomiędzy duszami, których przeznaczeniem jest podróż w czasie od jednej formy do drugiej. Może był to taniec samców walczących o zwycięstwo, którzy jeszcze nie wiedzą, jak krwawa okaże się ich bitwa, a może po prostu chodziło o to, że Jonathan wreszcie spotkał człowieka, od którego zależałam.

- Więc to jest ten przyjaciel, o którym tyle opowiadałaś - powiedział Adair; udawał, że to zwyczajna okazja, wizyta starego znajomego.

- Z przyjemnością przedstawiam ci pana Jonathana St. Andrew. - Dołożyłam starań, by jak najlepiej udać ton kamerdynera, ale żadnego z mężczyzn to nie rozbawiło.

- A ty jesteś... - Jonathanowi zabrakło słowa, by nazwać Adaira z mojej fantastycznej opowieści, bo rzeczywiście, jak należało go określić? Jako potwora? Ogra? Demona? - Lanny mówiła mi... o tobie.

Adair uniósł brew.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że nie poplątała wszystkiego ze śmiesznymi wytworami własnej wyobraźni. Pewnego dnia musisz mi powtórzyć, co mówiła. - Strzelił palcami na Donę. - Zaprowadź naszego gościa do jego pokoju. Z pewnością jest zmęczony.

- Ja go zaprowadzę... - zaczęłam, ale Adair mi przerwał.

- Nie, Lanore, zostań ze mną. Chciałbym z tobą porozmawiać.

W tamtej chwili pojąłam, że mam kłopoty: Adair gotował się z gniewu, który ukrywał ze względu na gościa. Patrzyliśmy, jak Dona idzie z sennym Jonathanem po krętych schodach. Kiedy zniknęli nam z oczu, Adair odwrócił się i z całej siły uderzył mnie w twarz.

Trzymając się za policzek, padłam na podłogę.

- A to za co?

- Zmieniłaś go, prawda? Ukradłaś mój eliksir, zabrałaś Jonathana dla siebie. Myślałaś, że się nie zorientuję? - Stał nade mną, dyszał i dygotał.

- Nie miałam wyboru! Zastrzelono go... umierał...

- Myślisz, że jestem głupi? Ukradłaś eliksir, bo od samego początku zamierzałaś związać go ze sobą. - Adair złapał mnie za rękę, postawił na nogi i rzucił mną o ścianę. Znowu czułam przerażenie jak wtedy w piwnicy, kiedy skrępowana diaboliczną uprzężą, bezradnie padałam ofiarą jego przemocy. Uderzył mnie ponownie i znowu upadłam. Dotknęłam policzka i przekonałam się, że jest zakrwawiony. Skóra pękła, ból promieniował aż do czaszki, chociaż rana już zaczynała się zasklepiać.

- Czy wróciłabym, gdybym chciała ci go ukraść? - Ślizgając się na jedwabiu, czołgałam się niby rak, by uciec poza zasięg rąk Adaira.. - Nie, uciekłabym i zabrała go ze sobą. Było tak, jak ci mówiłam... Zabrałam fiolkę, to prawda, ale na wszelki wypadek. Miałam przeczucie, że stanie się coś strasznego. Ale naturalnie wróciłam do ciebie. Jestem lojalna - mówiłam, choć w sercu miałam mord, wściekłość, że mnie uderzył, a ja nic na to nie potrafię poradzić.

Adair przyglądał mi się, rozważając moją deklarację, ale mnie nie uderzył, tylko się odwrócił i odszedł. Jego ostrzeżenie odbiło się echem w holu:

- Przekonamy się, jak szczerą jest ta twoja rzekoma lojalność. Nie myśl, że na tym koniec, Lanny. Zniszczę więc pomiędzy tobą a tym mężczyzną i twoje przywiązanie do niego nic nie będzie warte. Na próżno kradłaś i intrygowałaś. Jesteś moja, a jeśli sądzisz, że nie potrafisz odwrócić skutków twego uczynku, to się

mylisz. Jonathan także będzie mój.

Leżałam na podłodze i trzymałam się za policzek, walcząc z paniką. Nie mogłam pozwolić, by odebrał mi Jonathana, by zerwał więź z jedyną osobą, na której mi zależało. Jonathan był wszystkim, co miałam i czego pragnęłam. Bez niego życie straci wszelki sens, a tylko ono mi pozostanie.

ROZDZIAŁ 39

Quebec, dzisiaj

Dochodzi północ, kiedy wjeżdżają do Quebec City. Lanny prowadzi Luke'a do najlepszego hotelu w starej części miasta, wysokiego, podobnego do fortecy budynku z balkonami, z których w powiewach zimnego nocnego wiatru łopoczą chorągwie. Ciesząc się, że przyjechał nowym suvem, a nie starym pic-kapem, Luke wręcza parkingowym kluczyki i razem z Lanny wchodzi do lobby.

Pokój hotelowy jest chyba najbardziej luksusowym miejscem, w którym Luke kiedykolwiek mieszkał, przy nim hotel, gdzie spędzał miesiąc miodowy, wydaje się mizerny. Pościel z doskonałego lnu, miękkie poduchy i puchowa kołdra pokrywają wielkie łóżko. Luke sadowi się na wygodnym materacu i celuje pilotem w telewizor z płaskim ekranem. Za kilka minut powinny się zacząć lokalne wiadomości, a on jest ciekaw, czy pojawi się wzmianka o ucieczce ze szpitala w Maine kobiety podejrzanej o popełnienie morderstwa. Ma nadzieję, że St. Andrew znajduje się za daleko i jest zbyt nieważne, by informacje na jego temat dotarły do Quebecu.

Jego wzrok wędruje do leżącego w nogach łóżka laptopa Lanny. Mógłby sprawdzić, czy w sieci coś jest, nagle jednak ogarnia go nieracjonalny strach, że jeśli wpisze w wyszukiwarkę dane swoje i Lanny, umożliwi policji wyśledzenie ich przez internetowe połączenia i naciśnięcie podejrzanych klawiszy. Choć wie, że to niemożliwe, serce zaczyna mu walić. Doprowadza się na skraj paranoi, mimo że nie jest pewien, czy ma do tego powód.

Lanny wychodzi z łazienki, otoczona obłokiem ciepłego wilgotnego powietrza. Tonie w hotelowym szlafroku, zbyt obszernym dla jej kruchej postaci. Na ramiona zarzuciła ręcznik, mokre włosy spadają jej na oczy. Z kieszeni żakietu wyławia paczkę papierosów. Częstuje Luke'a, ale on odmawia.

- Ciśnienie wody jest boskie - mówi Lanny, posyłając smugę dymu w kierunku zraszaczy, dyskretnie umieszczonych w suficie.
- Powinieneś wziąć długi prysznic.

- Za minutę.

- Jest coś w telewizji? Szukasz czegoś o nas?

Luke potakuje, wykręcając stopy w skarpetkach w kierunku ekranu. Przez ekran przesuwa się błyszcząca czołówka wiadomości, potem poważny mężczyzna w średnim wieku zaczyna czytać zapowiedzi, podczas gdy jego partnerka z uwagą kiwa głową. Lanny siedzi odwrócona tyłem do ekranu i wyciera włosy. Po siedmiu minutach za prezenterem pojawia się fotografia Luke'a. To pozowane zdjęcie ilustruje każdą wzmiankę o nim w szpitalnym biuletynie.

- ...zaginął wczoraj wieczorem po udzieleniu w szpitalu Aroostook General pomocy lekarskiej kobiecie podejrzanej o morderstwo, i władze obawiają się, że przytrafiło mu się coś złego. Policja prosi o telefon wszystkich, którzy mają jakieś informacje o miejscu pobytu lekarza...

Cała wiadomość trwa mniej niż minutę, ale widok własnej twarzy na ekranie telewizora budzi w nim lęk i Luke nie pojmuje

sensu słów prezentera. Lanny wyjmuje mu pilota z dłoni i wyłącza telewizor.

- Więc cię szukają - mówi.

Jej głos wyrывa go z otępienia.

- Nie muszą przypadkiem odczekać czterdziestu ośmiu godzin, nim zaczną człowieka uważać za zaginionego? - zapytał z niejakim oburzeniem, jakby potraktowano go niesprawiedliwie.

- Nie będą czekać, myślą, że grozi ci niebezpieczeństwo.

A grozi?, zastanawia się Luke. Czy Joe Duchesne wie o czymś, o czym ja nie wiem?

- Podali moje nazwisko. W hotelu...

- Nie ma powodu do zmartwienia. Wynajęliśmy pokój na moje nazwisko, pamiętasz? Policja z St. Andrew nie ma pojęcia, kim jestem. Nikt tego nie połączy. - Dziewczyna odwraca się i wydmuchuje kolejny kłęb dymu. - Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi. Jestem ekspertem od ucieczek.

Luke ma wrażenie, że mózg kurczy mu się w czasie, jakby chciał się wydostać na zewnątrz. Dopiero teraz w pełni uświadamia sobie swój uczynek: Duchesne czeka, by z nim porozmawiać. Peter bez wątpienia powiedział policji o suwie i e-mailu, więc nie mogą dłużej korzystać z samochodu. Aby wrócić do domu, będzie musiał przekonująco okłamać szeryfa, a potem powtarzać to kłamstwo wszystkim mieszkańcom St. Andrew, może do końca życia. Zamyka oczy i głęboko oddycha. Podświadomość kazała mu pomóc Lanny. Gdyby tylko zdołał uciszyć dzwon alarmowy w głowie, podświadomość powiedziałaaby mu, czego naprawdę pragnie, dlaczego opuścił własne życie i uciekł z tą kobietą, paląc za sobą mosty.

- Czy to oznacza, że nie mogę wrócić? - pyta.

- Jeśli na tym ci zależy - odpowiada Lanny ostrożnie. - Będą cię wypytywać, ale z tym dasz sobie radę. Chcesz wrócić do St.

Andrew? Do farmy rodziców, domu wypełnionego ich rzeczami, do nieobecności córek? Do szpitala leczyć swoich niewdzięcznych sąsiadów? Niepokój Luke'a rośnie.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Posłuchaj mnie, Luke. Wiem, co myślisz. - Siada tuż obok niego, tak blisko, żeby nie mógł się od niej odwrócić. Luke czuje spod szlafroka słaby aromat perfumowanego mydła. - Chcesz wracać, ponieważ tylko tamto życie znasz. Mężczyzna, którego zobaczyłam w izbie przyjęć, wyglądał na przytłoczonego i zmęczonego. Sporo przeżyłeś w związku z rodzicami, byłaś żoną. Straciłeś dzieci... Nic tam na ciebie nie czeka. To pułapka. Wrócisz do St. Andrew i nigdy więcej stamtąd nie wyjedziesz. Zestarzejesz się, otoczony przez ludzi, których guzik obchodzisz. Wiem, co czujesz. Jesteś samotny i boisz się, że dożyjesz swych dni samotny w tym wielkim domu. Nie będzie przy tobie nikogo, z kim mógłbyś porozmawiać, zjeść kolację, kto pomógłby ci znosić ciężary życia. Boisz się starości: kto się tobą zaopiekuje tak, jak ty opiekowałeś się rodzicami, kto będzie trzymał cię za rękę, kiedy nadejdzie śmierć? - Jej słowa były brutalnie szczere i Luke nie mógł tego znieść. Lanny objęła go, a kiedy jej nie odepchnął, przytuliła się, kładąc mu głowę na ramieniu. - Masz rację, obawiając się śmierci. Śmierć zabrała wszystkich, których znałam. Trzymałam ich w objęciach do ostatniej chwili, pocieszałam, płakałam, kiedy odeszli. Samotność to straszna rzecz. - Słowa wydają się nieprawdopodobne w ustach tak młodej kobiety, ale jej smutek jest namacalny. - Ja zawsze mogę przy tobie być, Luke, nie odejdę. Będę z tobą do końca twojego życia, jeśli tego chcesz.

Luke się nie odsuwa, choć zastanawia się nad jej słowami. Lanny nie proponuje miłości - a może tak? - nie, Luke wie to na pewno, nie jest głupcem. Chociaż nie jest to także propozycja przyjaźni. Luke nie pochlebia sobie, że zapalali do siebie

sympatią jak dwie pokrewne dusze, bo przecież znają się niecałe trzydzieści sześć godzin. Wydaje mu się, że rozumie sens oferty tej ślicznej młodej kobiety. Ona potrzebuje towarzysza. Luke podążył za instynktem, którego istnienia dotąd w sobie nie podejrzewał, i spełnił życzenia Lanny. Dziewczyna widzi, że to się może udać. W rewanżu on może opuścić swoje dawne, skomplikowane życie bez konieczności rozwiązywania umowy z dostawcą prądu. Poza tym nigdy nie będzie sam.

Pozwała, by Lanny go obejmowała i gładziła po plecach. Dotyk jej dłoni sprawia mu przyjemność, rozjaśnia myśli i sprowadza w jego serce spokój po raz pierwszy od chwili, gdy szeryf wszedł z nią do szpitala.

Zdaje sobie sprawę, że jeśli będzie zbyt mocno się zastanawiał, mgła powróci. Czuje się jak postać z baśni, jeśli jednak przestanie myśleć o tym, co się dzieje, jeśli stłumi ciekawość dalszego ciągu jej historii, konsternacja powróci. Czuje pokusę, by nie kwestionować niewidzialnego świata Lanny. Skoro jej słowa przyjmuje za prawdę, to kłamstwem są jego przekonania, dotyczące śmierci. Ale jako lekarz Luke był świadkiem końca życia, stał obok, gdy życie uciekało z pacjenta. Akceptował śmierć jako jedną z prawd absolutnych, a teraz słyszy, że wcale tak nie jest. W traktat życia niewidzialnym atramentem wpisano wyjątki. Jeśli śmierć nie jest prawdą absolutną, to które z tysięcy faktów i przekonań, jakimi karmiono go przez całe życie, także może okazać się kłamstwem?

To znaczy, o ile opowieść dziewczyny jest prawdziwa. Choć podążał za nią w posłusznym otępieniu, wciąż nie potrafi się otrząsnąć z podejrzeń, że go oszukuje. Nie ulega wątpliwości, że Lanny to doskonała manipularka - jak wielu psychopatów. Ale to nie jest dobra pora na takie rozmyślania. Lanny ma rację: jest

zmęczony, przytłoczony i boi się, że wyciągnie niewłaściwe wnioski, podejmie złe decyzje.

Kładzie głowę na poduszce pachnącej lawendą i przytula się do ciepłego ciała dziewczyny.

- Nie ma powodu do zmartwień, na razie nigdzie się nie wybieram. Przede wszystkim nie dokończyłaś swojej opowieści. Chcę usłyszeć, co zdarzyło się dalej.

ROZDZIAŁ 40

Boston, rok 1819

Wyszliśmy tamtego wieczoru, pierwszego wieczoru Jonathana w Bostonie. Okazja była spokojna, koncert w wykonaniu pianisty i mało znanej śpiewaczki, mimo to uważałam, że zabieranie go z domu, kiedy jest w szoku i zdezorientowany, to zły pomysł. Dyskrecja była drugim imieniem Adaira, wbił je nam do głowy opowieściami o tym, jak podejrzewany o czarną magię ledwo zdołał uciec przed rozwścieczonym tłumem, galopując przy świetle księżyca i zostawiając za sobą fortunę, której zgromadzenie zabrało mu dziesiątki lat, a któż mógł wiedzieć, co w tym stanie może się wymknąć Jonathanowi. Adair nie dał się jednak przekonać, tylko polecił nam, byśmy w kufrach znaleźli wieczorowy strój. W końcu odebrał Donie cudowny francuski frak (Jonathan był tego samego wzrostu, ale miał szersze ramiona) i kazał służącej godzinami ślęczeć nad poprawkami, podczas gdy my pudrowaliśmy się, perfumowali i ubierali.

Tylko że Jonathan nie mógł przedstawiać się swoim nazwiskiem, prawda?

- Musisz zapamiętać, że nazywasz się inaczej - mówił

Adair, gdy w holu służący podawali mu płaszcz i kapelusz. - Nie możemy pozwolić, by do twojej wioski dotarła wiadomość, że Jonathana St. Andrew widziano w Bostonie. Powód był oczywisty. Rodzina Jonathana z pewnością będzie go szukać. Ruth St. Andrew nie pogodzi się z tajemniczym zniknięciem syna, każe przeszukać całe miasteczko, lasy i rzekę. Kiedy na wiosnę stopnieją śniegi, a ciała nigdzie nie odnajdą, pani St. Andrew dojdzie do wniosku, że Jonathan wyjechał z własnej woli, i być może zarzuci szerszą sieć. Nie mogliśmy zostawiać za sobą okruszków, śladów, które doprowadziłyby ją na nasz próg.

- Dlaczego się upierasz, by dzisiaj z nim wyjść? Dlaczego nie pozwoliś mi w spokoju wypocząć? - zapytałam z irytacją, kiedy wsiadaliśmy do powozu. Spojrzał na mnie jak na niedorozwiniętą.

- Bo nie chcę, żeby się zamknął w ciemnym pokoju i snuł smętne rozważania o tym, co za sobą zostawił. Powinien się cieszyć światem i jego uciechami.

Uśmiechnął się do Jonathana, chociaż ten ponuro wpatrywał się w okno powozu, ignorując nawet dłoń Tilde, która prowokacyjnie igrała na jego kolanie. Coś w tej odpowiedzi wydało mi się podejrzane, a nauczyłam się wierzyć intuicji, która zawsze trafnie odgadywała, kiedy Adair kłamie. On chciał, by Jonathana widziano w miejscu publicznym, choć nie miałam pojęcia, z jakiego powodu.

Powóz zatrzymał się przed wysokim majestatycznym domem, należącym do członka rady miejskiej i prawnika, którego żona oszalała na punkcie Adaira, aczkolwiek powinnam raczej powiedzieć, że oszalała na punkcie tego, co sobą reprezentował: europejskiego wyrafinowania i przynależności do arystokracji (gdyby tylko wiedziała, że w rzeczywistości gościła syna wędrownego

robotnika rolnego, wieśniaka, który na rękach miał nie tylko ziemię, ale i krew). Na czas urządzanych przez żonę przyjęć mąż wyjeżdżał na farmę położoną na zachód od miasta, i bardzo dobrze, bo pewnie umarłby na apopleksję, gdyby wiedział, co się wtedy wyprawia i na co idą jego pieniądze.

Nie dość, że żona radnego zwykle przez większość wieczoru wisiła Adairowi na ramieniu, to jeszcze próbowała go zainteresować swoimi córkami. Choć Ameryka nie tak dawno wywalczyła sobie niepodległość i odrzuciła monarchię na rzecz demokracji, niektórzy wciąż zadurzeni byli w arystokratycznym splendorze; żona radnego zapewne na dnie serca pragnęła, by jedna z jej córek poprzez małżeństwo zdobyła tytuł. Spodziewałam się, że pani domu wyjdzie naprzeciw Adairowi z szelestem taftowych spódnic, polecając córkom, by stanęły bliżej hrabiego - w końcu bez problemu mógł zajrzeć im w dekolt.

Kiedy do sali balowej wkroczył Jonathan, zapadła cisza, a potem rozległ się szmer. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego. Tilde poprowadziła go ku Adairowi, który rozmawiał z panią domu.

- Pozwoli pani, że przedstawię... - Tu Adair podał nowe nazwisko Jonathana, zwodniczo pospolite: Jacob Moore.

Żona radnego bez słowa uniosła ku niemu wzrok.

- To mój amerykański kuzyn, uwierzyłaby pani? - Adair przyjaźnie objął Jonathana za szyję. - Mamy krewnych w Anglii ze strony matek. Daleka gałąź rodziny... - Adair urwał, jako że po raz pierwszy od jego przyjazdu do Ameryki nikt go nie słuchał.

- Jest pan od niedawna w Bostonie? - zapytała Jonathana gospodyni, nie odrywając od niego oczu. - Bo z pewnością bym pana zapamiętała, gdybym widziała go wcześniej.

Stałam z Alejandrem przy stole z ponczem i obserwowaliśmy, jak Jonathan się jąka; nie ulegało wątpliwości, że potrzebuje pomocy Adaira.

- To nie będzie takie łatwe, jak Adair sądzi. - Alejandro uniósł szklaneczkę w ich kierunku. - Takiej twarzy nie da się ukryć. Wieść się rozejdzie, może nawet dotrze do tej waszej nieszczęsnej wioski.

Jest pilniejszy problem, pomyślałam, obserwując Jonathana i Adaira. Kobiety otoczyły nie europejskiego arystokratę, ale wysokiego nieznanego. Wpatrywały się w niego zza wachlarzy, zarumienione czekały, aż zostaną mu przedstawione. Widywałam wcześniej taki wyraz twarzy i w tamtej chwili pojęłam, że to się nigdy nie zmieni. Dokądkolwiek Jonathan pójdzie, kobiety będą próbowały go posiąść na własność, bez cienia zachęty z jego strony narzucać się ze swymi względami. Już w St. Andrew miałam konkurencję, teraz w żadnym razie nie mogę liczyć na to, że Jonathan będzie tylko mój. Zawsze będę musiała się nim dzielić z innymi.

Tamtego wieczoru Adair wydawał się zadowolony z faktu, że Jonathan znajduje się w centrum uwagi, w gruncie rzeczy z uwagą obserwował reakcje gości. Ja jednak zadawałam sobie pytanie, jak długo to potrwa. Adair nie należał do tych, co godzą się na rolę drugoplanową, zawsze musiał być gwiazdą. Jonathan nie miał wyboru.

- Obawiam się, że niedługo zaczną się kłopoty - mruknęłam do Alejandro.

- Z Adairem zawsze są kłopoty, pytanie tylko, jak poważne.

Zostaliśmy na przyjęciu dłużej, niż sądziłam: noc ustępowała fioletowemu brzaskowi, gdyśmy znużeni wrócili do domu. Dostrzegłam, że wbrew sobie Jonathan wyszedł nieco ze swej skorupy. Policzki znaczyły mu rumieńce (za dużo wypił?) i wyraźnie się rozluźnił.

W milczeniu szliśmy po schodach, ostry stukot obcasów o marmurową podłogę niósł się echem po wielkim domu. Tilde

pociągnęła Jonathana za rękę, pokazując drzwi swej sypialni, ale uwolnił się od niej i pokręcił głową. Jeden po drugim dworzanie znikali za złożonymi drzwiami, aż zostaliśmy we troje: Jonathan, Adair i ja. Już miałam odprowadzić Jonathana, pocieszyć go trochę, a jeśli dopisze mi szczęście, zostać w jego łóżku, ale Adair objął mnie w pasie, przyciągnął do siebie, pogładził po staniku i tiurniurze. Kopnięciem otworzył drzwi swego pokoju.

- Przyłączysz się do nas? - zapytał Jonathana ze znaczącym mrugnięciem. - To powinna być pamiętna noc dla uczczenia twojego przyjazdu. Lanore potrafi nas obu zadowolić, wcześniej robiła to wiele razy. Musisz na własne oczy zobaczyć: ma dar kochania dwóch mężczyzn równocześnie.

Jonathan pobladł i cofnął się.

- Nie? Więc może innym razem, kiedy będziesz bardziej wypoczęty. Dobrej nocy. - Adair pociągnął mnie za sobą. W jego słowach kryło się jednoznaczne przesłanie: jestem pospolitą kurwą. W taki sposób zamierzał zabić uczucie Jonathana do mnie i pojęłam, jaka byłam głupia, wątpiąc, że mu się to nie uda. Nim zatrzęsły się drzwi, unikałam spojrzenia w oczy wstrząśniętego, zranionego Jonathana.

Rano zebrałam ubranie i w halce, boso pobiegłam pod sypialnię Jonathana. Stałam chwilę i nasłuchiwałam, czy już się obudził. Gorąco pragnęłam usłyszeć zwykłe odgłosy porannego rytuału, szelest pościeli, chlupot wody w miednicy, bo wydawało mi się, że wtedy wszystko będzie w porządku. Nie miałam pojęcia, czy zdołam spojrzeć mu twarz. Chciałam od niego zapewnień, które słyszy ukarane dziecko, ale zabrakło mi odwagi, by zapukać. To zresztą nie miało znaczenia: w pokoju panowała absolutna cisza, a wzięwszy pod uwagę wyczerpujący poprzedni dzień, nie zdziwiłabym się, gdyby Jonathan przespał całą dobę.

Wróciłam więc do siebie, umyłam się i przebrałam w czysty strój, po czym zesłam na dół w nadziei, że mimo wczesnej pory służący zaparzyli już kawę. Ku swemu zaskoczeniu w jadalni zastałam Jonathana, który siedział przy parującym mleku i chlebie. Uniósł ku mnie wzrok.

- Już się obudziłeś - powiedziałam niemądrze.

Wstał i odsunął krzesło naprzeciwko sobie.

- Od dzieciństwa prowadzę życie farmera, z pewnością pamiętasz zwyczajnie panujące w St. Andrew. Jeśli po szóstej jeszcze śpisz, w południe całe miasteczko będzie o tobie gadać. Usprawiedliwiony jest tylko człowiek na łożu śmierci - odparł sucho. Senny młodzieniec niósł niezgrabnie filiżankę, wylewając kawę na spodek. Postawił ją przede mną, skłonił się i odszedł.

Chociaż długo rozważałam, jak się wytłumaczyć przed Jonathanem, nic nie wymyśliłam. Nie miałam pojęcia, jak zacząć, bałam się więc delikatnym uszkiem filiżanki.

- To, co wczoraj w nocy widziałeś...

Jonathan uniósł dłoń; twarz miał spiętą, jakby nie chciał o tym rozmawiać, ale wiedział, że innego wyboru nie ma.

- Nie wiem, dlaczego tak zareagowałem... W St. Andrew nie ukrywałeś, jak wygląda twoja sytuacja. Jeśli sprawiałem wrażenie zaszokowanego... cóż, nie spodziewałem się, że ten Adair złoży taką propozycję. - Odchrząknął. - Lanny, zawsze byłaś dla mnie dobrą przyjaciółką...

- To się nie zmieniło.

- ...ale skłamałbym, gdybym powiedział, że to mną nie wstrząsnęło. On nie jest typem mężczyzny, którego kobieta powinna pokochać. - Powiedzenie tych słów wiele go kosztowało. Wpatrywał się w stół. - Kochasz go?

Czy sądził, że byłabym zdolna do pokochania kogoś poza nim? Ale w jego głosie nie brzmiała zazdrość, tylko troska.

- Tu nie chodzi o miłość - odparłam ponuro. - Musisz to zrozumieć.

Twarz mu się zachmurzyła, jakby coś wpadło mu do głowy.

- Powiedz, że cię... nie zmusza... do robienia tych rzeczy.

Zarumieniłam się.

- Niezupełnie.

- Więc dlaczego chcesz z nim być?

- Skoro teraz tu jesteś - zaczęłam, a on się wzdrygnął, choć nie wiedziałam dlaczego. W tamtej chwili chciałam go uprzedzić o możliwych zamiarach Adaira. - Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć o Adairze, choć pewnie się tego domyśliłeś, bo poznałeś Donę i Alejandra. Oni... - Zawahałam się, nie byłam bowiem pewna, ile jeszcze zdoła znieść Jonathan po tym wszystkim, co go spotkało w ciągu ostatniej doby.

- Są pederastami - powiedział wprost, unosząc filiżankę do ust. - Kiedy człowiek spędza życie w otoczeniu drwali, którzy do towarzystwa mają tylko mężczyzn, zaczyna takie rzeczy wyczuwać.

- Sypiają z Adairem. Widzisz, to człowiek bardzo dziwny. Ma obsesję na punkcie seksu w każdej postaci, ale nie ma w tym miłości ani czułości. - Urwałam, nie dodałam, że Adair wykorzystuje seks jako karę, jako sposób na zmuszenie nas do posłuszeństwa, do przeprowadzenia swojej woli. Nie powiedziałam tego, bo się bałam, tak samo jak wcześniej Alejandro ze strachu nie uzmysłowił mi prawdy.

Jonathan patrzył na mnie, marszcząc czoło.

- W coś ty mnie wplątała, Lanny?

Ujęłam go za rękę.

- Przykro mi, Jonathanie, naprawdę bardzo przykro. Musisz w to uwierzyć. Ale... choć może ci się to nie spodoba, dla mnie

pociechą jest twoja obecność. Byłam taka samotna. Potrzebowałam cię.

Uściskał moją dłoń, choć z ociąganiem.

- Poza tym, co miałam począć? - mówiłam dalej. - Kolsted cię zastrzelił. Wykrwawiałaś się na śmierć w moich objęciach. Gdybym nic nie zrobiła, byłbyś...

- Martwy, wiem. Chodzi tylko o to... Mam nadzieję, że pewnego dnia nie będę tego żałował.

Tamtego dnia Adair posłał po krawca. Oznajmił, że Jonathan potrzebuje garderoby, jego nowy gość nie będzie pokazywał się publicznie w źle dobranych i niedopasowanych strojach. Jako że każde z nas miało bzika na punkcie ubrań, Drake przybiegł, zanim jeszcze posprzątało po śniadaniu, prowadząc za sobą orszak pomocników z belami najnowszych wzorów wełny i aksamitu, jedwabiu i brokatu z Europy, skrzynkami pełnymi kosztownych guzików z masy perłowej i kości oraz mosiężnych sprzączek do pantofli. Wyczuwałam, że Jonathanowi to się nie podoba, nie chce mieć długu u Adaira, ale nic nie powiedział. Siedziałam na taborecie i pożerałam wzrokiem śliczne tkaniny w nadziei, że przy okazji także dostanę jedną lub dwie suknie.

- Wiesz, przydałyby mi się nowe rzeczy - zwróciłam się do Adaira, podnosząc do policzka różową satynę, by sprawdzić, czy pasuje do mojej cery. - Całą garderobę zostawiłam w St. Andrew i musiałam sprzedać ostatnią sztukę biżuterii, żeby zapłacić za stątek do Bostonu.

- Nawet mi o tym nie przypominaj - odparł sucho.

Drake kazał stanąć Jonathanowi na pudełku przed największym lustrem w domu i zajął się pomiarami za pomocą sznurka, cmokając z uznaniem dla idealnych proporcji.

- Ojej, ależ pan jest wysoki - mówił, przesuając dłońmi po plecach, biodrach, a wreszcie (o mało nie zemdlałam) po wewnętrznej stronie nogi Jonathana. - Lewa nogawka dżentelmena - mruknął niemal miłośnie do pomocnika zapisującego liczby.

Zamówienie było duże: trzy surduty i pół tuzina par spodni, w tym skórzane bryczesy do jazdy konnej, tuzin koszul, w tym jedna bardzo elegancka, zdobiona koronką, na uroczyste wieczory, co najmniej tuzin fularów. Buty. Po trzy pary jedwabnych i bawełnianych skarpet z podwiązkami. A to były tylko najpilniejsze potrzeby, dalsze zlecenia muszą poczekać na nowe dostawy tkanin z Londynu i Paryża. Drake wciąż notował, gdy Adair położył przed nim olbrzymi rubin; żaden nic nie powiedział, ale sądząc z uśmiechu krawca, zapłata go uszczęśliwiła. Nie orientował się, że to błyskotka wyjęta z pełnego kuferka, jednego spośród wielu. Adair miał skarby pochodzące z czasów wojen krzyżowych. Klejnot tej wielkości był dla niego rzeczą równie pospolitą jak grzyb.

- A także płaszcz dla mego towarzysza. Podszyty grubą satyną - dodał, obracając rubinem jak bączkiem.

Rubin przyciągnął uwagę zebranych i tylko ja dostrzegłam, jak Adair mierzy Jonathana przeciągłym spojrzeniem, od pleców do jędrnych pośladków. Było to spojrzenie tak intensywne i otwarcie zdradzające zamiary, że serce mi się ścisnęło z obawy przed tym, co przyszłość może przynieść mojemu Jonathanowi.

Kiedy krawiec pakował swoje rzeczy, Adaira odwiedził nieznajomy, surowy mężczyzna z dwiema księgami i przenośnym kompletem do pisania, składającym się z piór i kałamarza, w dłoniach. Adair bez słowa zaprowadził go do swojego gabinetu.

- Wiesz, kto to jest, Alejandro? - zapytałam, patrząc na zamykające się drzwi.

- Adwokat. Podczas twojej nieobecności Adair zatrudnił prawnika. To zrozumiałe, przebywa tutaj, a musi zająć się sprawami

dotyczącymi jego posiadłości w starym kraju. Co jakiś czas pojawiają się drobiazgi, ale to bez większego znaczenia - odparł Alejandro, jakby uważał sprawę za najnudniejszą z możliwych, przestałam więc o tym myśleć - na jakiś czas.

- To jakiś nonsens - powiedział Jonathan, kiedy Adair mu oznajmił, że przyjdzie malarz, by zrobić szkice do portretu olejnego.

- Przesłupstwem byłoby nie uwiecznić twego piękna - sprzeciwił się Adair. - Ludzie znacznie bardziej pospolici zachowali swój wizerunek dla potomnych i ich marne podobizny wiszą na ścianach rodzinnych posiadłości. Wystarczy się rozejrzeć po tym domu. - Adair wskazał obrazy, które wynajęto razem z nieruchomością, dostarczając lokatorowi przodków. - Poza tym pani Warner mówiła mi, że to utalentowany artysta, a ja chcę się przekonać, czy jest wart swego orszaku wielbicieli. Powinien dziękować Bogu za modela takiego jak ty. Twoja twarz może ugruntować jego karierę.

- Nic mnie nie obchodzi cudze kariery - odpalił Jonathan, ale wiedział, że przegrał tę potyczkę. Pozował malarzowi, choć nie był chętny do współpracy: garbił się, podpierał twarz dłonią, nadąsany niczym chłopiec, który za karę został po lekcjach. Przez całą sesję siedziałam pod oknem i wpatrywałam się jak urzeczona w Jonathana, na nowo odkrywając jego urodę w wykonywanych węglem szkicach. Malarz cmokał z namysłem, bez wątpienia ucieiszony szczęśliwym trafem, dzięki któremu mógł malować równie olśniewającego człowieka i jeszcze za ten przywilej dostać zapłatę.

Dona, który w przeszłości był modelem, siedział ze mną, pozornie po to, by studiować technikę malarza, zauważyłam jednak, że większą uwagę zwraca na Jonathana.

- Stał się jego ulubieńcem - stwierdził w pewnym momencie.
- Świadczy o tym portret, Adair ma podobizny tylko swoich faworytów. Na przykład odaliski.

- A na czym polega bycie jego faworytem?

Dona spojrzał na mnie z ukosa.

- Och, nie udawaj, sama także przez krótki czas byłaś jego faworytką. W pewnym sensie wciąż jesteś. Sama więc wiesz, że to uciążliwe. Przez cały czas oczekuje niepodzielnej uwagi, jest wymagający i szybko się nudzi, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. - Dona z wyższością wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że jest szczęśliwy, nie musząc ciągle wymyślać nowych sposobów, by doprowadzić Adaira do orgazmu. Przyglądałam mu się uważnie: był przystojnym mężczyzną, choć jego urodę nieodwołalnie zepsuło skrywane w sercu poczucie nieszcześcia. W wyrazie oczu i grymasie ust odczytać można było złośliwość.

- Więc kazał namalować tylko tych dwoje? - zapytałam, wracając do poprzedniego tematu. - Tylko Uzrę i Jonathana?

- Och, było kilkoro innych. Wyłącznie olśniewająco pięknych. Zostawił obrazy w starym kraju jak twarze aniołów zamknięte w sejfie. Stracili jego względy. Może pewnego dnia je zobaczysz. - Przekrzywił głowę, mierząc Jonathana krytycznym wzrokiem. - To znaczy obrazy.

- Obrazy... - powtórzyłam. - A ci, co stracili względy - co się z nimi stało?

- Niektórzy odeszli. Naturalnie z błogosławieństwem Adaira. Nikt bez tego nie odchodzi. Rozpierzchli się jak liście niesione wiatrem... Rzadko ich widzujemy. - Umilkł na chwilę, potem mówił dalej: - Chociaż spotkałaś Jude'a, jak teraz o tym myślę. Jego odejście nie było dla nas stratą. Cóż to za diaboliczny pomysł, żeby podawać się za kaznodzieję. Grzesznik w szatach świętego. -

Dona wybuchnął śmiechem, jakby nic zabawniejszego nie potrafił wymyślić: jeden z przeklętych, udający kapłana.

- Mówiłeś, że tylko niektórzy odeszli. A co z resztą? Czy ktokolwiek odszedł bez pozwolenia Adaira?

Dona obdarzył mnie złośliwym uśmiechem.

- Nie udawaj głupiej. Czy Uzra zostałaaby tutaj, gdyby ucieczka była możliwa? Jesteś z Adairem dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie jest ani beztroski, ani sentymentalny. Albo odchodzisz za jego zgodą albo... no cóż, nie pozwoli, żeby ktoś mógł się na nim zemścić albo zdradzić go przed niewłaściwymi ludźmi, prawda? - Dona nic więcej nie powiedział o naszym tajemniczym panu.

Spojrzał na mnie, najwyraźniej uznał, że lepiej będzie, jeśli nic więcej nie ujawni, i wyszedł, zostawiając mnie ze swoimi słowami.

Mniej więcej w tym samym czasie na drugim końcu pokoju wybuchnęło zamieszanie, gdy Jonathan gwałtownie wstał z krzesła.

- Mam dość tych bzdur, dłużej tego nie zniosę - oznajmił i także wyszedł. Rozczarowany artysta mógł tylko patrzeć, jak jego szczęśliwy traf opuszcza pokój. W rezultacie nie powstał portret olejny Jonathana, Adair zmuszony był zadowolić się szkicem węglem, który oprawiony, za szkłem wisiał w jego gabinecie. Nie wiedział, że to był ostatni z jego faworytów, uwieczniony na obrazie, że wkrótce miał nadejść kres wszystkich jego intryg i dziwacznych zachowań.

ROZDZIAŁ 41

Po pierwszym sukcesie Adair wszędzie zabierał ze sobą Jonathana. Poza zwykłymi wieczornymi rozrywkami zaczął wynajdywać zajęcia tylko dla nich dwóch, nas zostawiając samym sobie. Adair i Jonathan jeździli na wyścigi konne na wieś, na kolacje i dyskusje w klubie dżentelmena, na wykłady na Harvardzie. Słyszałam, że Adair zabrał Jonathana do najbardziej ekskluzywnego burdelu w mieście, gdzie wybrali pół tuzina dziewcząt, które miały obu ich obsługiwać. Orgia sprawiała wrażenie czegoś w rodzaju rytuału, który miał ich związać na podobieństwo przysięgi przypieczętowanej krwią. Adair gorliwie zapoznawał Jonathana ze swymi ulubionymi sposobami spędzania czasu, układał stosy książek na nocnym stoliku przy jego łóżku (te same, które dawał mi do czytania, kiedy wziął mnie pod swoje skrzydła), kazał przyrządzać dla niego specjalne potrawy. Mówiło się nawet o powrocie do starego kraju, by Jonathan mógł poznać życie wielkich europejskich miast. To było tak, jakby Adair zamierzał stworzyć dla nich obu wspólną przeszłość, chciał swoje życie uczynić życiem Jonathana. Obserwowanie jego poczynąń było przerażające, ale

wszystko to zajmowało myśli Jonathana. Od naszego wyjazdu z St. Andrew nie wspominał o obawach o rodzinę i miasteczko, choć bez wątplenia o tym myślał. Może swym milczeniem wyświadczał mi przysługę, skoro w żaden sposób nie mogliśmy zmienić naszego położenia.

I tak to trwało, obaj przebywali głównie ze sobą. Pewnego dnia Adair odciągnął mnie na bok. Odpoczywaliśmy w salonie, pozostała trójka wprowadzała Jonathana w tajniki licytacji w faraona, a ja i Adair siedzieliśmy na otomanie niczym zadowoleni rodzice, podziwiający swoje potomstwo, uczestniczące w zgodnej zabawie.

- Spędziłem z twoim Jonathanem trochę czasu i wyrobiłem sobie opinię o nim... Chciałabyś ją poznać? - zapytał Adair cicho, tak by tamci go nie usłyszeli. Wzrok miał utkwiony w Jonathanie.

- On nie jest takim mężczyzną, za jakiego go bierzesz.

- Skąd wiesz, co o nim myślę? - Usiłowałam wydawać się pewna siebie, ale nie mogłam powstrzymać drżenia w głosie.

- Myślisz, że pewnego dnia odzyska rozsądek i odda ci się bez reszty - rzekł z sarkazmem, który wskazywał, jak mało mu się to wydaje prawdopodobne.

Będzie tylko mój... czyż Jonathan nie złożył już takiej przysięgi, choć niewiele z tego przyszło? Pewnie zdradził Evangeline w miesiąc po ślubie. Uśmiechnęłam się z wysiłkiem, nie zamierzałam dać Adairowi satysfakcji, że mnie zranił.

Adair zmienił pozycję, założył nogę na nogę.

- Nie powinnaś brać sobie do serca jego niestałości. Nigdy w taki sposób nie pokocha żadnej kobiety. Nie jest zdolny do uczucia zwyciężającego jego własne pragnienia i żądze. Powiedział mi, jak go dręczy świadomość, że przez niego jesteś nieszczęśliwa...

Z całej siły wbiłam paznokcie w dłoń, choć nie towarzyszył temu ból.

- ...ale nie potrafi znaleźć wyjścia. Dla większości mężczyzn rozwiązanie samo by się nasuwało: albo spełnić pragnienia kobiety, albo zupełnie z nią zerwać. On jednak wciąż łaknie twego towarzystwa, więc to drugie wyjście nie wchodzi w grę. - Westchnął cokolwiek teatralnie. - Nie rozpaczaj. Nie wszystko stracone. Może nadejdzie dzień, gdy będzie zdolny do pokochania jednej kobiety, i istnieje szansa, jakkolwiek mizerna, że będziesz nią ty.

Marzyłam, by go uderzyć. Rzucić się na niego, zacisnąć mu dłoń na szyi i udusić.

- Jesteś na mnie zła, czuję to. - Mój bezsilny gniew wyraźnie go bawił. - Zła, że mówię ci prawdę.

- Jestem zła, bo mnie okłamujesz - odparłam. - Próbujesz zniszczyć moje uczucie do Jonathana.

- Zdołałem cię zdenerwować, prawda? Zgoda, przyznaję, zwykle wiesz, kiedy kłamię - i jesteś jedyną, która tę umiejętność posiada, moja droga - ale tym razem nie kłamię. Niemal tego żałuję. Gdybym kłamał, nie czułabyś się tak bardzo zraniona, prawda?

To było nie do zniesienia: Adair mi współczuł, a równocześnie próbował zwrócić mnie przeciwko Jonathanowi. Spojrzałam na ukochanego, zaabsorbowanego grą w karty. Od początku wyczuwałam obecność Jonathana niczym miłe wibrowanie w głowie, i to dawało mi wielką pociechę. Ostatnio jednak zauważyłam u niego podskórną melancholię i założyłam, że to smutek spowodowany opuszczeniem Evangeline i córki. Ale jeśli Adair istotnie powiedział mi prawdę, może chodziło o to, że przez niego jestem nieszczęśliwa? Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy przeskoda dla naszej miłości, w gruncie rzeczy niemożność, nie leży po stronie Jonathana? Bo rzeczą niemal nieludzką wydawała się niezdolność do całkowitego oddania się jednej osobie.

Moje rozmyślenia przerwał kobiecy śmiech, Tilde zamasztywym zwycięskim gestem rzuciła karty na stół. Jonathan spojrział na nią i z jego oczu wyczytałam, że z nią spał. Spał z Tilde, choć nie wydawała mu się atrakcyjna, choć wiedział, że należy się przed nią pilnować, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli się dowiem, będę zdruzgotana. Ogarnęła mnie rozpacz, bo byłam bezradna.

- Co za strata. - Adair szeptał mi do ucha jak wąż w rajcu. - Ty, Lanore, jesteś zdolna do idealnej miłości, jakiej nigdy dotąd nie widziałem. Dlaczego wolisz marnować ją na kogoś tak niegodnego uczucia jak Jonathan...

Jego szept unosił się w nocnym powietrzu niczym aromat perfum.

- Co ty mówisz? Proponujesz siebie jako godniejszy obiekt mojej miłości? - zapytałam, wypatrując odpowiedzi w jego wilczych oczach.

- Zrobiłbym to, gdybyś mogła mnie pokochać, Lanore. Chodzi jednak o to, że gdybyś naprawdę mnie poznała, przekonałabyś się, że na to nie zasługuję. Może jednak pewnego dnia spojrzysz na mnie tak, jak patrzysz na Jonathana? To wydaje się niemożliwe, przecież oddałaś mu serce, ale kto wie? Raz na jakiś czas, acz rzadko, widywałem rzeczy niemożliwe - powiedział przebiegle, ale kiedy chciałam poprosić go o wyjaśnienia, zmarszczył tylko nos i wybuchnął śmiechem. Potem wstał, wołając, że chce wziąć udział w następnej partyjce faraona.

Zostawiona sama sobie, poszłam do gabinetu poszukać książki, która oderwałaby moje myśli od tej rozmowy. Gdy mijałam biurko Adaira, światło ze świecy padło na stos papierów, a mój wzrok, jak za sprawą magii - na nazwisko Jonathana zapisane ręką Adaira.

Z jakiego powodu Adair pisze o Jonathanie? To list do przyjaciela? Wątpiłam, by na całym świecie miał choć jednego. Przysunęłam karty do świecy.

Polecenia dla Pinnerly'ego (jak się dowiedziałam, to nazwisko nosił adwokat)

Otworzyć dla Jacoba Moore'a konto w Bank of England na kwotę ośmiu tysięcy funtów (fortuna) przeniesionych z konta... (tu widniało nazwisko, którego nie znałam).

Pinnerly miał otworzyć kilka innych kont na nazwisko Jonathana i wpłacić na nie pieniądze podjęte z kont nieznanym w Amsterdamie, Paryżu i Sankt Petersburgu. Przeczytałam to dwukrotnie, lecz nadal nic nie pojmowałam. Odłożyłam kartę na miejsce.

Wyglądało na to, że Adair zadurzył się w Jonathanie po uszy i chciał go zabezpieczyć jak, nie przymierzając, adoptowanego syna. Przyznaję, byłam trochę zazdrosna i zadawałam sobie pytanie, czy dla mnie Adair też założył fundusz. Ale jaki miałoby to sens, skoro nigdy mi o tym nie powiedział? Musiałam schlebiać mu i błagać o pieniądze jak wszyscy pozostali. Cała ta sprawa tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że Adair szczególnie zainteresował się Jonathanem.

Jonathan zaakceptował nowe życie. W każdym razie nie protestował, że Adair włącza go w swoje rozrywki i grzeszki, nie wspominał też o St. Andrew. Jedną tylko słabostką Adair nie podzielił się jeszcze ze swym faworytem, choć Jonathan pewnie by się ucieszył, gdyby mu ją zaoferowano. Tą słabostką była Uzra.

Jonathan mieszkał z nami od trzech tygodni, kiedy mu ją przedstawiono. Adair poprosił go, by poczekał w salonie (ja zazdrośnie siedziałam przy jego boku), a potem wprowadził Uzrę, jak zwykle odzianą w powłóczystą pelerynę. Kiedy puścił jej rękę,

tkanina opadła na ziemię, odstawiając odaliskę w całym przepychu. Kazał jej zatańczyć dla Jonathana, kołysać biodrami i wykonywać skomplikowane gesty rękoma, sam zaś śpiewał zaimprovizowaną pieśń. Później polecił służącym, by przynieśli fajkę wodną. Usiedliśmy na poduchach rozrzuconych na podłodze i podawaliśmy sobie rzeźbiony ustnik z kości słoniowej.

- Jest urocza, prawda? Nie potrafiłem się z nią rozstać. Co nie znaczy, że nie sprawia kłopotów, to prawdziwy diabeł. Rzuca się z dachów i okien. Zupełnie się nie przejmuje, że mam przez nią ataki. Wciąż płonie nienawiścią do mnie. - Przesunął palcem po nosie Uzry, nie zważając na jej minę, mówiącą, że gdyby mogła, odgryzłaby mu palec. - Zapewne dlatego przez wszystkie te lata nie przestałem się nią interesować. Opowiem wam, jak to się stało, że Uzra jest ze mną.

Słyszając swoje imię, Uzra stężała.

- Spotkałem ją w czasie podróży po krajach mauretańskich - zaczął Adair, ignorując jej zdenerwowanie. - Towarzyszyłem szlachcicowi, który negocjował uwolnienie swego brata. Ów brat postąpił bardzo nierozważnie, próbując ukraść skarb jednemu z wodzów. W tamtym czasie cieszyłem się sławą wojownika. Miałem pięćdziesięcioletnie doświadczenie władania szablą. Szlachcic zatrudnił mnie do pomocy i za moją lojalność płacił żywą gotówką. W taki oto sposób znalazłem się na Wschodzie i na swej drodze spotkałem Uzrę.

Zdarzyło się to na targu w wielkim mieście, szła za ojcem, zgodnie ze zwyczajem odziana od stóp do głów. Widziałem tylko jej oczy, ale to wystarczyło, pojąłem, że muszę zobaczyć więcej. Podążyłem za nimi do ich obozu na obrzeżach miasta. Z rozmowy z wielbłądnikami dowiedziałem się, że jej ojciec jest wodzem nomadycznego plemienia, a przybyli do miasta, by oddać ją sułtanowi, jakiemuś nieudolnemu księciu w zamian za życie ojca.

Biedna Uzra zupełnie znieruchomiła, przestała nawet palić fajkę. Adair nawinął kosmyk jej płomienistych włosów na palec i szarpnął, jakby udzielając reprimandy za obojętność.

- Znalazłem namiot, w którym usługiwało jej kilkanaście służących. Utworzyły wokół niej krąg i przekonane, że w ten sposób zasłoniły ją całkowicie, pomogły się jej rozebrać, zsunęły szaty z cynamonowej skóry, rozpuściły włosy... Wybuchł prawdziwy chaos, kiedy wpadłem do środka. - Roześmiał się gardłowo. - Kobiety z krzykiem się rozbiegły, wpadając jedna na drugą, próbując uratować się przede mną. Jak mogły myśleć, że wybiorę jedną z nich, skoro przede mną stał ten hipnotyzujący nagi duszek? A Uzra wiedziała, że przyszedłem po nią, świadczył o tym wyraz jej oczu. Ledwo zdążyła się okryć szatą, kiedy chwyciłem ją na ręce i wyniosłem. Zawiozłem ją na pustynię, wiedziałem, że tam nikt nas nie znajdzie. Tamtej nocy brałem ją raz po raz, nie zważając na jej szlochy. - Adair mówił, jakby nie miał czego się wstydzić, jakby jego prawo do niej było tym samym, czym prawo do wody gaszącej pragnienie. - Słońce wzeszło, nim gorączka zaczęła mi mijać i nasyciłem się jej urodą. Pomiędzy aktami zapytałem, dlaczego miała zostać oddana sułtanowi. Okazało się, że powodem był przesąd żywiony przez jej plemię, zgodnie z którym dziewczyny z zielonymi oczami przyniesie im plagi i cierpienia. Bali się, idioci, i zwrócili do sułtana. Ten rozkazał jej ojcu, że albo ją wyda, albo sam zginie. Rozumiecie, musiała umrzeć, by odwrócić klątwę.

Wiedziałem, że nie jestem jej pierwszym mężczyzną, zapytałem więc, kto odebrał jej dziewictwo. Brat? To musiał bez wątpienia być krewny, bo kto inny zdołałby się do niej zbliżyć? Okazało się, że uczynił to ojciec. Możecie w to uwierzyć? - zapytał, przychając, jakby to była najbardziej niewiarygodna rzecz, o której w życiu słyszał. - Był wodzem, patriarchą nawykłym do przeprowadzania swej woli, ale kiedy Uzra skończyła pięć lat, domyślił się z

jej karnacji, że nie jest jej ojcem. Żona go zdradziła, w dodatku z cudzoziemcem, sądząc po zielonych oczach dziecka. Nic nie powiedział, po prostu zabrał ją na pustynię i wrócił bez niej. Po dwunastych urodzinach Uzra zajęła miejsce matki w jego łożu; oznajmił, że jest córką kurwy, że nie łączą ich więzy krwi, więc prawo tego nie zabrania. Miała tylko nikomu o tym nie wspominać. Służba rozczulała się nad dziewczynką, która tak przywiązała się do ojca, że nie potrafiła znieść ani chwili z dala od niego.

Zapewniłem, że to bez znaczenia. Nie zamierzałem oddać jej temu cudacznemu, przesądnemu sułtanowi ani odesłać z powrotem do ojca, by mógł jeszcze raz wziąć ją siłą, a potem jak tchórz postać na śmierć.

Przez całą opowieść raz po raz ścisnęłam Uzurę za rękę, dając jej znać o moim współczuciu, ale w martwych zielonych oczach odaliski widziałam, że przeniosła się w inne miejsce, daleko od jego okrucieństwa. Jonathan także był zakłopotany. Adair mówił dalej, nie zważając na to, że jako jedyne go bawiła ta historia:

- Postanowiłem uratować jej życie. Jak pozostałym. Powiedziałem, że skończyły się jej udręki. Teraz rozpocznie nowe życie i będzie ze mną na zawsze.

Kiedy opium zaczęło działać i Adair zapadł w sen, oboje z Jonathanem ukradkiem opuściliśmy pokój. Wziął mnie za rękę i poprowadził korytarzem.

- Boże wielki, Lanny, jak mam rozumieć tę historię? Powiedz mi, proszę, że wymyślał, przesadzał...

- To dziwne... powiedział, że uratował jej życie „jak pozostałym”, ale z tej historii wynika, że Uzra wcale nie jest taka jak oni.

- Co to znaczy?

- Mówił mi, w jaki sposób Alejandro, Tilde i Dona do niego trafili. Uczynili straszne rzeczy, zanim spotkał ich Adair. - Wsunęliśmy się do pokoju Jonathana, sąsiadującego z pokojem Adaira,

mniejszego, choć wyposażonego w sporą garderobę i widok na ogród. A także drzwi do sypialni Adaira. - Myślę, że dlatego ich wybrał: bo są zdolni do robienia złych rzeczy. Tego szuka w towarzyszach. Wad.

Zrzuciliśmy kilka warstw ubrania, by wygodniej ułożyć się obok siebie na łóżku. Jonathan czule objął mnie w tali. Opium zaczynało działać także na nas, ogarniała mnie senność.

- To nie ma sensu... Dlaczego w takim razie wybrał ciebie? - zapytał Jonathan. - Ty nigdy nikogo nie zraniłaś.

To była najlepsza okazja, by wyznać, że popchnęłam Sophie do samobójstwa. Już otworzyłam usta, ale... nie mogłam tego zrobić. Jonathan uważał mnie za niewinną, wątpił, czy moje miejsce jest w tym domu. Myślał, że jestem niezdolna do nikczemności, a ja nie mogłam zniszczyć tego wizerunku.

Zapewne równie znaczące było to, że nie zapytał, dlaczego jego wybrano, co Adair w nim dostrzegł. Jonathan znał siebie i wiedział, że czai się w nim zasługujące na karę zło. Może ja też o tym wiedziałam. Oboje na swój sposób byliśmy grzeszni.

- Chciałem ci o czymś powiedzieć - mruknął Jonathan sennie, zamykając oczy. - Niedługo wyjeżdżam z Adairem. Chce mnie gdzieś zabrać... zapomniałem gdzie. Może do Filadelfii... choć po tej opowieści wcale nie cieszy mnie perspektywa podróży w jego towarzystwie...

Przyciągając do siebie jego rękę, przez cienką bawełnę koszuli dostrzegłam znak na ramieniu. W czarnych kropkach było coś chorobliwie znajomego, odsunęłam więc rękaw i zobaczyłam cienkie czarne linie na skórze.

- Skąd to masz? - zapytałam, siadając przerażona. - To Tilde zrobiła swoimi igłami, prawda?

Jonathan ledwo otworzył oczy.

- Tak, tak, kilka dni temu, kiedy wyszliśmy się napić...

Przyjrzałam się uważnie tatuazowi: to nie była heraldyczna tarcza, ale dwa kręgi z długimi, ognistymi ogonami, splecionymi jak zgięte palce. Różnił się od mojego, ale już taki widziałam: zdobił plecy Adaira.

- Taki sam ma Adair - wykrztusiłam z trudem.

- Tak, wiem... Upierał się, żebym też taki miał. Symbolizuje, że jesteśmy braćmi czy coś równie bzdurnego. Zgodziłem się, żeby przestał marudzić.

Dotykając kciukiem tatuazu, poczułam zimny dreszcz: to, że Adair kazał go Jonathanowi zrobić, coś oznaczało, ale nie wiedziałam co. Chciałam błagać Jonathana, by nie wyjeżdżał z Adairem, by się mu sprzeciwił... dobrze jednak znałam nieunikniony rezultat takiego szaleństwa. Nic więc nie mówiłam, tylko długo leżałam, słuchając regularnego oddechu Jonathana, niezdolna otrząsnąć się z wrażenia, że nasz wspólny czas dobiega końca.

ROZDZIAŁ 42

Quebec City, dzisiaj

Luke budzi się przy najśłabszym odgłosie ludzkich cierpień. Jest zdezorientowany, jak zawsze, gdy coś wyrywa go z drzemki. Początkowo myśli, że zaspał i spóźni się na dyżur, dopiero kiedy gwałtownym ruchem o mało nie zrzuca budzika, choć wcale nie zadzwonił, uświadamia sobie, że jest w hotelu, że towarzyszy mu tylko jedna osoba i że ta osoba płacze.

Drzwi do łazienki są zamknięte. Luke delikatnie puka, a kiedy Lanore nie reaguje, otwiera je. Lanny siedzi skulona w wannie, jest kompletnie ubrana. Ogląda się przez ramię i Luke widzi, że na policzkach ma czarne smugi tuszu niczym przerażający klaun z horroru.

- Hej, wszystko w porządku? - pyta, wyciągając do niej rękę. - Co ty tu robisz?

Przyjmuje jego pomoc i wychodzi z wanny.

- Nie chciałam cię budzić.

- Po to tu jestem. - Prowadzi ją łóżka, a Lanny zwija się w jego objęciach jak dziecko.

- Przepraszam... dopiero zaczynam sobie... uświadamiać - szlocha.

- Źe odszedł - kończy za nią Luke. To ma sens, do tej pory koncentrowała się na ucieczce. Teraz, gdy ma to za sobą i wie, że nie grozi jej zdemaskowanie, poziom adrenaliny spadł i Lanny musi poradzić sobie ze świadomością, że najważniejsza osoba w jej życiu odeszła. Nigdy więcej nie zobaczy ukochanego.

Luke myśli o chwilach, gdy w holu szpitala mijał płaczącą osobę, której przekazano złą wiadomość, kobietę kryjącą twarz w dłoniach, otępiełego mężczyznę. Czy potrafi zliczyć sytuacje, gdy wychodził z sali operacyjnej, ściągając rękawice i maskę, i kręcił głową, zbliżając się do czekającej żony, z kamienną twarzą uparcie spodziewającej się dobrej nowiny. Nauczył się budować mur pomiędzy sobą a bliskimi chorych, bo nie można dać się wciągnąć w ich ból. Pozostaje tylko kiwanie głową i dzielenie smutku, ale tylko przez chwilę. Jeśli lekarz zacznie brać na swe barki cudze brzemię, nie wytrwa roku w szpitalu.

Dziewczyna dygocze w jego ramionach, jej smutek nie ma końca, cierpienie mogłoby rozbić świat na pół. Spada w otchłań żalu i nie istnieje sposób, by ją powstrzymać. Luke przypuszcza, że pewnie jest wzór na okres trwania żałoby, choć chyba ma związek z tym, jak długo znaliśmy zmarłego. Widywał wdowy z pięćdziesięcioletnim stażem małżeńskim, które umierały uśmiechnięte, bo wierzyły, że połączą się z mężami. Ona nie może liczyć na ulgę. Ile czasu minie, zanim Lanny zacznie godzić się z codziennym bólem nieobecności Jonathana, nie wspominając już o świadomości, że to ona go zabiła? Ludzie tracą równowagę psychiczną z mniej ważnych powodów, nie ma gwarancji, że ktoś zdoła przetrwać po czymś takim.

Pomoże jej, musi jej pomóc. Sądzi, że ma odpowiednie przygotowanie („Pani Parker, zrobiliśmy dla pani syna wszystko, co w

naszej mocy, ale obawiam się...”), i liczy, że jej smutek spłynie po nim jak woda po teflonie.

Lanny przestaje płakać i trze oczy wierzchem dłoni.

- Lepiej? - pyta Luke, unosząc jej twarz. - Chcesz wyjść, odechnąć świeżym powietrzem?

Lanny potakuje.

Po kwadransie idą, trzymając się za ręce. Lanny umyła dokładnie twarz. Opiera się na ramieniu Luke'a jak zakochana dziewczyna, ale jej usta wyginają się w najsmutniejszym uśmiechu, jaki widział świat.

- Masz ochotę na drinka? - pyta Luke. Wchodzą do mrocznego modnego baru i Luke zamawia dwie whisky.

- Uważaj, jesteś bez szans, upiję cię tak, że spadniesz pod stół - ostrzega Lanny, śmiejąc się ponuro. Stukają się szklaneczkami, jakby świętowali. I rzeczywiście, po pierwszej kolejce Luke'a ogarnia ciepło, które zapowiada początek alkoholowego oszołomienia, Lanny natomiast wypija trzy i niewiele po niej widać.

- Chciałbym cię o coś zapytać. Chodzi... o niego - mówi Luke, jakby to, że nie wypowiada na głos imienia, było mniej bolesne. - Jak mogłaś tak bardzo go kochać po tym wszystkim, co przez niego przeszedłaś? Mam wrażenie, że na ciebie nie zasługiwał...

Lanny podnosi pustą szklaneczkę za krawędź jak szachowego pionka.

- Mogłabym podać całą masę wymówek, na przykład że tamtych czasach żony spodziewały się, że mężowie będą mieli romanse. Albo że Jonathan był takim typem mężczyzny i musiałam to zaakceptować. Tylko że to nie byłaby prawda... Nie wiem, jak to wyjaśnić. Zawsze pragnęłam, by odwzajemniał moją miłość. On mnie kochał, wiem o tym, ale nie w sposób, na jakim mi zależało. To zresztą przydarzało się wielu ludziom, których znałam. Jedno nie kocha drugiego na tyle mocno, by przestać pić, uprawiać

hazard czy uganiać się za innymi. Jedno jest dawcą, drugie biorcą. Dawca pragnie, by biorca się zmienił.

- Ale to nigdy nie następuje - mówi Luke, choć zadaje sobie pytanie, czy rzeczywiście zawsze tak jest.

- Bywa, że dawca rezygnuje, choć czasami to niemożliwe. Ja nie potrafiłam zrezygnować z Jonathana. Wybaczałam mu absolutnie wszystko.

Luke widzi, że w jej oczach wzbierają łzy, zmienia więc temat.

- A Adair? Z tego, co mówiłaś, wynika, że chyba cię kochał...?

- Jego miłość jest jak miłość ognia do lasu. - Lanny śmieje się niewesoło. - Przynaję, początkowo mnie zmylił. W jednej chwili był czarujący, w drugiej mnie upokarzał. To były wyłącznie gierki i sztuczki. Myślę, że chciał się przekonać, czy potrafi sprawić, że go pokocham. Bo wiesz, sądzę, że nikt nigdy go nie kochał. - Nie-
ruchomieje z dłońmi splecionymi na kolanach. Oczy zachodzą jej łzami. - Popatrz, coś narobił... zaraz znowu się rozplącę. Nie chcę płakać w barze. Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie. Wracajmy do hotelu. Zapalimy skręta.

Luke jaśniej na wspomnienie sporej plastikowej torebki wypełnionej aromatyczną zawartością.

- Jestem gotów wypalić cały worek, jeśli to poprawi ci humor.

- Mój bohater. - Lanny bierze go pod ramię. Wracają do hotelu, czując na twarzach ostre porywy wiatru. Luke żałuje, że nie może zrobić jej zastrzyku z morfiny, który stłumiłby cierpienie, dał chwilę wytchnienia. Porządkuje myśli, kręcąc głową. Uczyniłby wszystko, by Lanny znowu była szczęśliwa, ale nie chce stać się sługą jej bólu.

W łóżku Lanny przyciska słone usta do jego warg.

- To pytanie wiele razy sobie zadawałam... Dlaczego Jonathan nie potrafił mnie pokochać? - pyta znużonym szeptem. - Czy to

miało związek ze mną... Powiesz mi prawdę? Czy - według ciebie - nie jestem warta miłości?

To pytanie zbija go z tropu.

- Nie wiem, dlaczego Jonathan nie odwzajemniał twojego uczucia, ale myślę, że popełnił wielki błąd.

Jonathan był idiotą, tylko głupiec mógł odrzucić taką bezbrzeżną miłość, myśli Luke.

Lanny patrzy na niego z niedowierzaniem, ale też z uśmiechem, a potem zasypia. Luke przyciąga ją do siebie, otulając ramieniem jej ciało sylfidy, układając rozrzucone kończyny. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek tak się czuł, wyjątkiem była tylko ta okropna wizyta w pizzerii, kiedy chciał zapakować córki do wynajętego samochodu i zabrać ze sobą do Maine. Wie, że postąpił słusznie, nie ulegając wówczas smutkowi, dziewczynkom jest lepiej z matką, ale do ostatniego dnia prześladować go będzie obraz, gdy od nich odjeżdżał. Tylko głupiec odrzuca taką miłość.

Lanny. Gotów jest zrobić wszystko, by chronić tę kruchą kobietę, by jej pomóc. Żałuje, że na wzór pijawek wysysających krew nie potrafi usunąć z niej jadu. Gdyby mógł, przejąłby truciznę od niej, ale wie, że może jedynie z nią być.

ROZDZIAŁ 43

Boston, rok 1819

Pewnego wieczoru ze snu wyrwało mnie popielate światło. Koło łóżka pojawiła się Uzra z małą oliwną lampką w dłoni. Musiało być bardzo późno, bo w domu panowała cisza jak w grobie. Uzra wzrokiem prosiła, żebym wstała, i tak też zrobiłam.

Swoim zwyczajem bezszelestnie wysunęła się z pokoju. Podążyłam jej śladem niezgrabnie. Odgłos moich pantofli na dywanach był ledwo szeptem, ale w spokojnym domu odbijał się echem na korytarzach. Mijając sypialnię, Uzra osłoniła lampę dłonią i niepostrzeżenie zdołałyśmy dotrzeć do schodów prowadzących na strych.

Podzielono go na dwie części, w jednej znajdowały się kwatery dla służby, w drugiej, mniejszej i niewykończonej, przechowywano różne rzeczy i właśnie tam ukrywała się Uzra. Poprowadziła mnie przez labirynt kufrów służących jej jako barykada przeciwko światu do niewiarygodnie wąskich schodów, na końcu których były małe drzwi. Musiałyśmy skulone przecisnąć się przez nie do pomieszczenia wyglądającego jak brzuch wieloryba: zebrami były

krokwie, ceglany komin gardłem. Przez nieosłonięte okna, za którymi ciągnął się podjazd do powozowni, wpadały do środka promienie księżyca. Uzra wolała mieszkać w tej norze, niż być w pobliżu Adaira. To było smutne miejsce, zbyt gorące latem, zbyt zimne zimą, samotne jak księżyc.

Minęłyśmy jej łóżko, odgrodzone przezroczystymi kwadratami organzy, zwisającymi z krokwi jak pranie na sznurze; Uzra nosiła je jako sarongi. Samo posłanie, zrobione z dwóch pledów z salonu, zwiniętych w krąg, przypominało prymitywne legowisko dzikiego zwierzęcia. Obok posłania wznosił się stos błyskotek. Były wśród nich brylanty wielkości winogrona, woal z cienkiej złotej siatki, noszony do kompletu z czadorem, ale też drobiazgi, które mogłoby zbierać dziecko: piękny sztylet z ostrzem jak wąż w ruchu, pamiątka z kraju jej urodzenia, miedziane lusterko. Gestem nakazała mi iść za sobą, przestałam więc gapić się na jej biedne mieszkanie, znak oporu przeciwko Adairowi.

Stanęłyśmy przed ścianą. Ja nic nie widziałam, ale ona padła na kolana i usunęła kilka desek, odsłaniając tunel. Z oliwną lampką w dłoni, rzuciła się bez strachu w mrok niczym szczur nawykły do wędrowania między ścianami. Odetchnęłam i ruszyłam za nią.

Pokonawszy na czworakach mniej więcej sześć metrów, znaleźliśmy się w pomieszczeniu bez okien. Uzra uniosła wysoko lampkę, bym mogła zobaczyć, gdzie jesteśmy: pokój w części dla służby, z małym kominkiem i drzwiami. Podeszłam do nich i nacisnęłam klamkę - były zamknięte. Sporo przestrzeni zajmował ogromny stół, zastawiony butelkami, słojami i najróżniejszymi przedmiotami, w kredensie obok także pełno było pojemników wszelkiego kształtu i rozmiaru, okrytych woskowaną tkaniną lub zatkaanych korkiem. W koszykach pod stołem zobaczyłam szyszki, łożdgi roślin, wysuszone części zwierząt. Pomiędzy dzbanami

utknęto kilka starych, rozsypujących się książek. Na talerzykach stały świece.

Głęboko odetchnęłam: w powietrzu unosiły się miriady aromatów, były wśród nich zapachy przypraw, lasu i kurzu, ale też inne, których nie potrafiłam nazwać. Stałam i wolno się rozglądałam. Sądzę, że od razu pojęłam, czym jest ten pokój i co oznacza jego istnienie, ale nie chciałam tego przyznać.

Wzięłam jedną z książek, oprawną w błękitne płótno, zdobione ręcznymi literami i skomplikowanymi symbolami. Ostrożnie przewracając ciężkie karty, przekonałam się, że napisana została ręcznie. Wzory i ilustracje przedstawiające użyteczne części roślin lub ludzkie organy znajdowały się obok wersów sporządzanych starannym pismem, lecz w języku, którego nie znałam. Rysunki więcej mi powiedziały, rozpoznawałam bowiem symbole z dzieciństwa i z książek Adaira: pentagramy, wszechwidzące oko i tak dalej. Księga była cudownym dziełem, wytworem setek godzin pracy, i emanowała latami spędzonymi w ukryciu, tajemnicami i intrygami. Nie ulegało wątpliwości, że była przedmiotem zazdrości innych, ale jej zawartość stanowiła dla mnie zagadkę.

Druga księga była jeszcze starsza i miała drewniane okładki, związane rzemykiem. W środku znajdowały się luźne karty, sądząc z różnaitości gatunków papieru, był to raczej zbiór notatek niż jednorodny tom. Odnosiłam wrażenie, że pismo należy do Adaira, ale tego języka także nie znałam.

Uzra poruszyła się niespokojnie, zadzwięczały dzwoneczki na łańcuszku zdobiącym jej kostkę. Nie chciała długo przebywać w tym pomieszczeniu, a ja nie miałam do niej pretensji. Adair zamknął je z określonego powodu: nie życzył sobie, żeby ktokolwiek przypadkiem tu trafił. Kiedy odstawiałam księgę na miejsce, Uzra zbliżyła się i chwyciła mnie za rękę. Przynęła lampę i na

widok tatuażu, o którym dawno zapomniałam, wydała jęk niby zdychający kot.

Podstawiła mi swoją rękę pod nos. Miała ten sam tatuaż w tym samym miejscu, nieco większy, acz wykonany bardziej prymitywnie, przez artystę nie tak zręcznego jak Tilde. Spoglądała na mnie oskarżycielsko, jakbym sama to sobie zrobiła, choć rozumiałam, co chce mi przekazać.. Adair napiętnował nas obie. Jego zamiary wobec mnie nie mogły odbiegać od tego, co planował dla niej.

Trzymając wysoko lampę, raz jeszcze rozejrzałam się po pokoju. Przypomniałam sobie słowa Adaira, opisującego pomieszczenie w wieży, w którym więził go medyk. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego tutaj potrzebne mu było identyczne pomieszczenie, ukryte w najdalszym zakątku domu. Pojęłam, czym to miejsce jest, i przeszedł mnie lodowaty dreszcz. W uszach rozbrzmiała mi przygnębiająca opowieść Adaira o porwaniu i służbie u medyka. Tylko że... teraz zadawałam sobie pytanie, z którym z tych dwóch mężczyzn spędziłam tyle miesięcy, który brał mnie do swego łóża i któremu powierzyłam życie człowieka najważniejszego dla mnie na całym świecie? Adair chciał, by jego dwór wierzył, iż jest skrzywdzonym wiejskim chłopcem, który pomścił swe udreki i teraz się cieszy, że zabił okrutnego i nieludzkiego tyrana. W rzeczywistości jednak w tym przystojnym młodzieńcu krył się potwór dysponujący potęgą i niszczący życie innych, zdolny do przechodzenia z ciała do ciała. Zostawił na pastwę wieśniaków własną zrujnowaną przez upływ czasu powłokę z uwięzionym w środku chłopcem, którego ostatnie chwile życia wypełniało straszliwe przerażenie, musiał bowiem płacić za okrucieństwa medyka. To kłamstwo okazało się skuteczne, przez setki lat nikt go nie zdemaskował. Ja poznałam prawdę i teraz pytanie brzmiało, co powinnam w tej sytuacji zrobić?

Mogłam podejrzewać Adaira o oszustwo, ale potrzebowałam dowodu, by potwierdzić straszliwą prawdę przed samą sobą, jeśli już nie przed innymi. Uzra szarpnęła mnie za rękaw, złapałam więc kartę z jednej z ksiąg oraz garść ziół z zakurzonych słoików ze stołu. Za kradzież tych rzeczy mogła mnie spotkać straszliwa kara, sam Adair opowiedział mi przecież o pogrzebaczu owiniętym w szmatę i gradzie ciosów, ale musiałam mieć pewność.

Rozpoczęłam od wizyty u profesora Harvardu, którego poznałam na przyjęciu u Adaira, przy czym nie był to wcale podwieczorek czy spotkanie z intelektualistami, tylko bardzo specjalny wieczór. Odnalazłam go w gabinecie w Wheydon Hall, ale był ze studentem. Widząc, że czekam na korytarzu, odprawił młodzieńca i wyszedł po mnie z niezwykle czarującym uśmiechem na diabelskiej starej twarzy. Może się obawiał, że zamierzam go szantażować, bo kiedy ostatni raz go widziałam, dosiadał płatnego kochanka młodszego od studentów i dumnie piał. A może liczył, że przynoszę zaproszenie na następane przyjęcie.

- Moja droga, co cię do mnie sprowadza? - zapytał, klepiąc mnie po ręce. - Tak rzadko spotyka mnie zaszczyt odwiedzin ślicznych młodych dam. Jakże się miewa nasz wspólny przyjaciel hrabia? Ufam, że zdrowie mu dopisuje?

- Jak zwykle na nic się nie skarży - odparłam zgodnie z prawdą.

- I czemuż zawdzięczam tę wizytę? Chodzi o następny wieczorek...? - Oczy płonęły mu dotkliwym głodem, obawiam się, że jego apetyt rozbudziło zbyt częste oglądanie świeżych młodych chłopców.

- Miałam nadzieję, że może mi pan wyświadczyć przysługę - odparłam, sięgając do woreczka po skradzioną kartę. Takiego papieru nigdy nie widziałam, był gruby, szorstki, brunatny jak

papier pakowy u rzeźnika. Uwolniony z drewnianych okładek, zaczynał się zwijać w rulon.

- Hm? - mruknął profesor, wyraźnie zaskoczony. Wziął jednak kartę i przysunął do twarzy, podnosząc okulary na czoło, by dokładnie jej się przyjrzeć.

- Skąd pani to ma, moja droga?

- Od pewnego antykwariusza - skłamałam. - Twierdzi, że stoi u niego skrzynia pełna starodawnych ksiąg, dotyczących tematu drogiego sercu Adaira. Pomyślałam, że mogłabym kupić mu te książki w prezencie, lecz nie znam języka. Chciałabym, żeby ktoś potwierdził, iż antykwariusz nie kłamie. Ostrożności nigdy za wiele.

- Istotnie - mruknął profesor. - No cóż, papier nie pochodzi z żadnej tutejszej manufaktury, niewykluczone, że został wyprodukowany na własny użytek przez autora. Pani jednak chodzi o język, czy tak? - Uśmiechnął się skromnie; był profesorem języków starożytnych, tyle zapamiętałam z krótkiej prezentacji na przyjęciu, choć nie pamiętałam, których dokładnie. - Powiedziałabym, że to pruski. W każdym razie podobny. Bardzo stary, przypuszczalnie archaiczna forma pruskiego. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. - Zdjął z półki opasły tom i zaczął przerzucać stronicę.

- Może mi pan powiedzieć, o czym to jest?

- A jakiej odpowiedzi się pani spodziewa? - zapytał ciekawie, wciąż kartkując książkę.

Odchrząknęłam.

- Że to o magii. Jakimś jej rodzaju.

Znieruchomiał i utkwiał we mnie wzrok.

- Alchemia? - zapytałam ciszej. - O przekształcaniu jednych rzeczy w drugą?

- Och, moja droga, karta z całą pewnością dotyczy magii,

przypuszczalnie to zaklęcie albo inkantacja. Nie potrafię dokładnie stwierdzić. Może gdyby zostawiła pani u mnie kartę na kilka dni... - Uśmiechał się przebiegle. Wiedziałałam dość o pracy uczonych, by podejrzewać, co mógłby zrobić, gdybym zostawiła u niego kartę: zbudowałby na niej swą karierę, wykorzystując ją jako podstawę do traktatu, i nigdy więcej bym jej nie zobaczyła. Albo, co gorsza, Adair odkryłby, że karta zaginęła, znalazła się w rękach rozpustnego profesora... cóż, stwierdzić, że dla mnie źle by się to skończyło, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Profesor uniósł brwi w oczekiwaniu, ale ja pochyliłam się nad biurkiem i chwyciłam kartę.

- Nie, to wykluczone, ale dziękuję panu za tę uprzejmą propozycję. Wystarczy to, co mi pan powiedział. - Zerwałam się z krzesła i skoczyłam do drzwi. - I bardzo proszę, niech pan nie wspomina o tym Adairowi, dobrze? Jeśli chodzi o prezenty, trudno go zadowolić, a ja chcę mu sprawić niespodziankę.

Stary profesor zdawał się nieco zaskoczony, gdy w pośpiechu opuszczałam jego gabinet.

Następnie poszłam na poszukiwanie akuszerki.

Trudno było ją znaleźć. Akuszerki stawały się rzadkością w miastach w rodzaju Bostonu, gdzie przyjmowanie porodów niemal w całości przeszło w ręce lekarzy, w każdym razie do nich zwracały się kobiety, które mogły sobie na ich usługi pozwolić. Co więcej, nie chodziło mi o zwykłą akuszerkę, tylko wiejską babkę, znającą się na leczeniu ziołami i tak dalej. Taką, którą sto lat wcześniej w tym samym mieście sąsiedzi uznaliby za czarownicę i powiesili albo utopili.

Uliczne kurwy powiedziały, gdzie znajdę akuszerkę, jako że tylko na nią mogły liczyć, gdy chciały wyleczyć się z trypra albo pozbyć niechcianej ciąży. Czułam, jak dreszcz przebiega mi po

plecach, gdy wchodziłam do ciasnej izdebki, unosił się w niej odór kurzu, pyłków i zgnilizny, całkiem podobny do tego w zamkniętym pokoju Adaira na strychu.

- Usiądź, skarbie, i powiedz, z czym przychodzisz - rzekła, gestem wskazując taboret po drugiej stronie kominka, w którym palił się słaby ogień. Była starszą kobietą o twardym, doświadczonym spojrzeniu, ale z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- Muszę wiedzieć, co to jest, proszę pani. Czy widziała pani kiedyś coś takiego? - Z torebki wyjęłam chusteczkę do nosa i rozwinęłam. Garść ziół stwardniała i rozpadła się na maleńkie łodyżki i drobinki zeschniętych brunatnych listków. Uniosła jedną do oczu, potem rozkruszyła w palcach i powąchała.

- To miodła, moja droga. Używana do leczenia wielu chorób. Choć rzadko występuje w tych stronach, a jeszcze rzadziej widuje się ją w naturalnej postaci. Można dostać syropy i eliksiry, bo chodzi o to, by ją rozpuścić i uzyskać jak najwięcej. Jak na nią trafiłaś? - zapytała rzeczowo, jakby na targu dokonywała zakupu. Może sądziła, że chciałam zaproponować jej kupno. Otrzeпаła dłonie nad ogniem, fragmenty liścia spadły w płomień.

- Niestety, tego nie mogę pani powiedzieć - odparłam, wciskając w jej dłoń monetę. Wzruszyła ramionami, lecz ją przyjęła i od razu schowała do kieszeni. - Mam jeszcze jedną prośbę. Chciałabym, żeby pani przyrzędziła mi środek powodujący głęboki sen, niekoniecznie spokojny. Musi jednak bardzo szybko wprowadzić człowieka w stan nieświadomości.

Akuszerka długo, bez słowa mi się przyglądała, zastanawiając się chyba, czy w nie zamierzam kogoś otruć, bo jak inaczej można było zrozumieć taką prośbę? W końcu powiedziała:

- Nie mogę mieć z tym nic wspólnego, gdyby z jakiegoś powodu sprawą zajęła się policja.

- Ma pani moje słowo. - Położyłam jej na dłoni pięć kolejnych monet, małą fortunkę. Powiodła wzrokiem od mojej twarzy do monet, potem zacisnęła rękę.

Wracając powozem do domu, rozwinęłam chusteczkę okrywającą białą bryłkę, którą dała mi akuszerka. Bryłka, biała i twarda jak kamień, była (czego wtedy nie wiedziałam) śmiertelnie trującym fosforem, zapewne kupionym od robotnicy z fabryki zapalek, która z kolei go ukradła w miejscu pracy. Akuszerka obchodziła się z fosforem ostrożnie, jakby nie miała ochoty brać go do ręki; poleciła, żebym rozgniotła bryłkę w moździerz i zmieszała z winem albo innym alkoholem, dodając laudanum.

- Bardzo ważne jest, żeby go rozpuścić. Mogłabyś użyć samego laudanum, ale potrzeba czasu, żeby zaczęło działać. Fosfor działa od razu, tylko że... jeśli człowiek przyjmie taką ilość, skutki mogą być naprawdę fatalne - oznajmiła z nieomylnym błyskiem w oku.

Przygotowałam sobie plan, bardzo niebezpieczny, wychodząc jednak od akuszerki, mogłam myśleć tylko o prawdziwym Adairze. Współczułam głęboko nieszczęsnemu wiejskiemu chłopcu, pozbawionemu nawet grobu, bo nie było zwłok, które można by oddać ziemi. Jego przystojne ciało stało się własnością człowieka, który je przejął za pomocą czarnej magii.

A jeśli chodzi o zakończenie historii medyka - cóż, w żaden sposób nie mogłam stwierdzić, ile w tym było prawdy. Może odwiedził rodzinę Adaira i zostawił pieniądze z poczucia winy lub w podzięce za to, że oddali mu swego pięknego syna. A może było to kłamstwo, dodane po to, by historia nabrała tragicznego wymiaru, by w sercu słuchacza wzbudzić sympatię i współczucie, by stłumić podejrzenia. A utrata królestwa? Ryzyko wkalkulowane... choć może było warto, bo w ostatecznym rozrachunku zyskał nowe doskonale naczynie dla swej starej nieszczęsnej duszy. Jeśli

jednak go nie powstrzymam, odbierze mi rzecz najcenniejszą dla mnie na całym świecie - Jonathana.

Przystojny, silny i niezwykle męski wiejski chłopak musiał wydawać się medykowi darem Boga. Ale tutaj, w nowym świecie, jego ciało miało swoje ograniczenia. A raczej dotyczyło to twarzy: była niepokojąco egzotyczna, oliwkowa, z kręconymi niesfornymi włosami. Widziałam, jak członkowie bostońskiej socjety marszczyli nosy, jak w ich oczach pojawiała się nieufność, gdy spotykali Adaira. Tutaj, pomiędzy potomkami Brytyjczyków, Holendrów i Niemców, którzy nigdy nie widzieli Araba czy Turka, którzy mieli niewolników z całkiem podobnymi włosami, ciało wieśniaka było przeszkodą. Teraz rozumiałam zimne, szacujące spojrzenie Adaira, gdy przyglądał się urodziwemu uczonemu ze szpotawą nogą, którego znalazła Tilde, i jego pożądliwe uznanie dla nieskazitelnej urody Jonathana. Wysłał swoje psy gończe w świat, by szukały idealnego naczynia. Ale tu, w Bostonie, czas dla Adaira się skończył i potrzebował nowego ciała, które zaakceptowałyby panowie tego świata.

Zależało mu na Jonathanie. Pragnął narzucić jego powierzchowność jak maskę. Ludzie lgnęli do Jonathana jak pszczoły do miodu, oszołomieni jego niezwykłą urodą. Mężczyźni pragnęli się z nim przyjaźnić, krążyć wokół niego niby planety wokół słońca. Kobiety oddawały mu się bez reszty - nikt nie wiedział o tym lepiej niż ja. Zawsze otaczać go będą tłumy, otwierać się przed nim, nie zdając sobie sprawy, że w tym pięknym ciele kryje się zło, które tylko czeka, by ludzi wykorzystać.

A ponieważ nikt nie znał tajemnicy Adaira, nikt nie mógł go powstrzymać. Nikt z wyjątkiem mnie.

ROZDZIAŁ 44

Kiedy przyjechałam do domu, panował w nim zamęt. Służący biegali po schodach jak woda spływająca ze zbocza, kryli się w spiżarkach, byle dalej od hałasu dochodzącego z góry. Ktoś walił w drzwi, szczękały zasuwki. Rozpoznałam stłumione głosy Tilde, Dony i Alejandro.

- Adair, co się dzieje?

- Wpuść nas!

Pobiegłam na górę i zastałam całą trójkę, stłoczoną bezradnie u stóp schodów prowadzących na strych. Nie mieli ochoty przerwać tego, co działo się za zamkniętymi drzwiami. Dochodziły nas okropne hałasy: krzyki Uzry, wrzaski Adaira, odgłos ciała uderzającego w ciało.

- Co się dzieje, Alejandro? - zapytałam.

- Wiem tylko tyle, że Adair poszedł szukać Uzry.

Pomyślałam o historii Adaira. Medyk wpadł w furję z powodu skradzionych rzeczy.

- Musimy tam wejść! On robi jej krzywdę! - Chwyciłam za klamkę, ale nawet się nie poruszyła. Adair zamknął drzwi na klucz.

- Przynieście siekiere, młot, cokolwiek! Musimy je wyłamać! -

krzyknęłam, ale oni popatrzyli tylko na mnie, jakbym postradała zmysły. - Nie rozumiecie, do czego jest zdolny...

Hałasy ucichły.

Po kilku minutach zgrzytnął klucz w zamku i pojawił się błądy jak kreda Adair. W dłoni trzymał węzowy sztylet Uzry, na mankiecie jego koszuli jaskrawiła się czerwona plama. Rzucił nóż na ziemię i wyminął nas, idąc do swego pokoju. Dopiero wtedy znaleźliśmy ciało.

- Miałś coś z tym wspólnego, prawda? - zwróciła się do mnie Tilde. - Widzę wyrzuty sumienia na twojej twarzy.

Nie odpowiedziałam. Żołądek mi się ścisnął, gdy patrzyłam na Uzrę. Miała rany w piersi i podcięte gardło - na tym Adair musiał skończyć, bo padła na ziemię z odchyloną głową i pasmem skręconych włosów, za które ją trzymał. W umyśle zabrzmiały mi słowa „z mojej ręki i woli”: wypowiedział je, dając jej życie wieczne, i teraz, gdy ją zabił. Drgnęłam, widząc tatuaż na jej ręce, odrzuconej bezwładnie na bok. W ostatecznym rozrachunku jego znak nie zawierał żadnej treści. Adair cofał przysięgę, kiedy mu to odpowiadało.

Kłótnia mogła dotyczyć czegokolwiek i nigdy nie będę wiedziała tego na pewno, ale to, że nastąpiła akurat teraz, wykluczało raczej powód inny niż sekretny pokój. Adair w jakiś sposób odkrył, że zabrano z niego rzeczy, i obwinił o to Uzrę. A ona nie wyprowadziła go z błędu. Albo chciała mnie chronić (co bardzo prawdopodobne), albo z radością przyjęła najlepszą szansę na uwolnienie się przez śmierć.

Wzięłam te przedmioty, dobrze wiedząc, jaka może być za to kara, nie sądziłam tylko, że konsekwencje poniesie Uzra. Nie przypuszczałam też, że Adair kogokolwiek z nas zabije, a zwłaszcza ją. W jego naturze leżało raczej wymierzenie brutalnej kary i

zatrzymanie ofiary, by z przerażeniem czekała, kiedy znowu ze-
chce to zrobić. W żadnym razie nie pomyślałabym, że zamorduje
Uzrę, sądziłam bowiem, że na swój sposób ją kocha.

Uklękałam obok niej i ujęłam ją za rękę, ale już była lodowata,
nasze dusze pewnie szybciej opuszczały ciało, radując się swobo-
dą. Straszne, lecz planując naszą ucieczkę, nawet o Uzrze nie po-
myślałam. Chociaż wiedziałam, jak rozpaczliwie pragnęła się stąd
wydostać, nie przyszło mi do głowy, by pomóc nieszczęsnej
dziewczynie, która przez tyle lat padała ofiarą chorych obsesji
Adaira, która była dla mnie dobra i pomagała mi w tym domu
pełnym wilków. Nie próbowałam się jej odwdziaczyć. Ten ja-
skrawy dowód mego egoizmu sprawił, że musiałam zadać sobie
pytanie, czy jednak nie jestem pokrewną duszą dla Adaira.

Jonathan usłyszał hałasy i przybiegł na piętro. Widząc martwą
Uzrę, chciał wpaść do pokoju Adaira i rozprawić się z nim. Musie-
liśmy powstrzymywać go oboje z Doną.

- I po co? - krzyknęłam. - Możecie okładać się pięściami do
końca świata i żaden nie będzie miał nawet siniaka! Choćbyście
nie wiem jak pragnęli wzajemnie się zabić, nie jesteście w stanie
tego dokonać!

Jakże pragnęłam powiedzieć mu prawdę, że Adair nie jest tym,
za kogo go bierzemy, że jest o wiele potężniejszy, bardziej nie-
bezpieczny i pozbawiony skrupułów, niż nam się wydaje, ale nie
mogłam ryzykować. Obawiałam się, że Adair intuicyjnie wyczuje
mój strach.

Poza tym nie mogłam podzielić się z Jonathanem swymi podej-
rzeniami. Teraz wszystko wiedziałam. Czułe spojrzenia, którymi
Adair obrzucał Jonathana, nie oznaczały pociągu seksualnego,
lecz o wiele głębszą zaborczość. Pragnął go dotykać, pieścić i
gładzić, ponieważ zamierzał posiąść to doskonałe ciało. Był gotów
zamieszkać w ciele, któremu nikt nie potrafił się oprzeć.

Adair polecił, byśmy oczyścili palenisko w kuchni i zbudowali

katafalk. Pomywaczka i kucharka uciekły, kiedy z Doną i Alejandro usunęliśmy wszystkie garnki, wymietliśmy popiół i wyszorowaliśmy poczerńiałe ściany pieca. Pod katafalkiem z drewnianych desek ułożyliśmy stos pogrzebowy: podpałka z gałązek i szyszek polanych łożem, prasowana słoma i drewno. Owinięte w biały len ciało spoczęło na katafalku.

Podpałka od razu zajęła się ogniem, grubym polanom zabrało to więcej czasu i minęła prawie godzina, nim w górę uniosły się wielkie płomienie. Żar w kuchni był nieznośny. W końcu ogień dotarł do ciała. Najpierw pożarł całun, wysyłając tańczące płomiki wzdłuż splotów, i tkanina zwinęła się niczym skóra. Chmura czarnego popiołu uniosła się do komina. Odór, obcy i przerażający, wprawił nas w niepokój. Tylko Adair potrafił go znieść; usadowiony w fotelu przysuniętym do paleniska obserwował etapy spalania: włosy, ubranie, skóra miękkiego ramienia, ukryte pod nią mięśnie. Ciężkie od płynów ciało zaczęło się smażyć i smród wypełnił dom.

- Wyobrażacie sobie ten smród, wydobywający się z domu na ulicę? Czy on myśli, że sąsiedzi tego nie poczują? - zapytała z irytacją Tilde. Z podrażnionych dymem oczu płynęły jej łzy.

Zbici w gromadkę w progu kuchni, patrzyliśmy na Adaira, po jakimś czasie jednak Dona i Tilde wymknęli się do swoich pokoi, mruczając coś ponuro. Alejandro i ja zostaliśmy.

Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, ogień przygasł. Dom zasnuty był białym dymem o kwaśnym zapachu spalonego drewna. Dopiero kiedy palenisko całkiem wystygło, Adair podniósł się z fotela. Mijając Alejandra, położył mu dłoń na ramieniu.

- Każ wymieść popioły i rozrzucić je na wodzie - rozkazał zduszonym głosem.

Alejandro wołał zrobić to osobiście. Kucnął w piecu i wierzbową miotłką zgarbiał pozostałości na szufelkę.

- Tyle popiołu - mruknął, nieświadom mojej obecności.
- Chyba z drewna. Z Uzry musiało zostać niewiele więcej niż garść. - Miotłka natrafiła na jakiś twardy przedmiot i Alejandro zaczął grzebać w palenisku. Znalazł poczerniały kawałek kości. - Powiniennem to zachować dla Adaira? Pewnego dnia może się ucieszy, że ma tę kość. Tego rodzaju rzeczy są potężnymi talizmanami - zastanawiał się, obracając fragment w palcach jak rzadki okaz. Zaraz jednak wrzucił go do wiadra. - Chyba jednak nie.

Po tamtym wydarzeniu Adair odseparował się od nas. Dzień spędził w swoim pokoju, a nazajutrz przyjął tylko jednego gościa, adwokata Pinnerly'ego, który przybył z teczką wypchaną dokumentami. Po godzinie prawnik opuścił gabinet tak poczerwieniały na twarzy, jakby brał udział w wyścigu. Zaczepiłam go przy drzwiach, wyrażając troskę o jego stan i proponując, że podam mu coś zimnego do picia.

- Bardzo pani miła - powiedział, popijając lemoniadę wielkimi haustami i wycierając czoło. - Obawiam się, że nie mogę długo zostać. Wasz pan stawia spore wymagania, przekraczające zdolności zwykłego prawnika. Przecież nie mogę rozkazać czasowi, żeby tańczył, jak mu zagram - burknął, ale zauważył, że dokumenty zaraz wysypią się z torby, więc zaczął je z powrotem upychać.

- Doprawdy? Istotnie, jest wymagający, ośmielam się jednak rzec, że pan sprawia wrażenie dostatecznie mądrego, by poradzić sobie z każdym zadaniem, które Adair przed panem postawił - odparłam, bezwstydnie mu pochlebiając. - Proszę mi więc powiedzieć, jakiego cudu się od pana spodziewa?

- Serii skomplikowanych transferów pieniężnych z europejskich miast, przy czym o niektórych nigdy wcześniej nie słyszałem - powiedział, ale uznawszy, że lepiej nie przyznawać się do

swych braków przed domownikiem klienta, dodał pośpiesznie: - Och, to drobiazg, niech pani nie zwraca na mnie uwagi. Ze znużenia padam z nóg, moja droga. Wszystko zostanie wykonane jak trzeba. Proszę sobie nie zaprzętać ślicznej główki takimi sprawami. - Poklepał mnie po dłoni protekcyjnie. Miałam ochotę gwałtownym ruchem strzepnąć jego rękę, ale wówczas nie powiedziałby mi tego, co chciałam wiedzieć.

- I to wszystko? Przesunięcie pieniędzy z jednego miejsca na drugie? Przecież człowiek tak mądry jak pan poradzi sobie z tym jednym palcem. - Zilustrowałam swoje słowa obscenicznym gestem małego palca wchodzącego w otwór; widziałam, jak wykonywali go płatni chłopcy, i zawsze dla większości mężczyzn zawierał jednoznaczne przesłanie, byłam więc pewna, że zwróci uwagę prawnika. Tak też się stało. Zdawało się, że dyskrekcja wysypuje mu się z uszu jak trociny z pękniętej zabawki, gdy wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami. Jeśli wcześniej nie podejrzewał, że w tym domu mieszkają dziwki, teraz wiedział to na pewno.

- Moja droga, czy ty...

- O co jeszcze Adair pana prosił? Pewna jestem, że nie są to sprawy, które zajmą panu czas do późnego wieczora i nie pozwolą na przyjęcie gościa...

- Bilety na jutrzejszy dyliżans do Filadelfii - odparł pośpiesznie - ale od razu mu rzekłem, że to wykluczone. Dlatego mam wynająć prywatny powóz...

- Na jutro! - wykrzyknęłam. - Tak szybko wyjeżdża?

- I nie zabiera pani ze sobą, moja droga. Nie. Była pani w Filadelfii? To niezwykle miasto, więcej w nim życia niż w Bostonie, acz nie jest to miejsce, które powiedzmy pani Pinnerly skłonna byłaby odwiedzić. Chętnie je pani pokażę...

- Zaraz! Skąd pan wie, że z nim nie pojedę? Powiedział to panu?

Prawnik uśmiechnął się do mnie z niezwykłą uprzejmością.

- Och, niepotrzebnie się pani denerwuje. On nie ucieka z inną kobietą. Gdyby wasz pan zwrócił się do mnie o radę, powiedziałbym, że na dłuższą metę o wiele prościej by było, gdyby tego młodzieńca zaadoptował...

- Jonathana? - Miałam ochotę potrząsnąć prawnikiem, żeby przestał paplać, wyciągnąć nazwisko z jego ust jak opornego ślimaka z muszli. - To znaczy Jacoba. Jacoba Moore'a?

- Tak, jego. Zna go pani? Będzie bardzo majątnym człowiekiem, tyle mogę pani powiedzieć. Niech się pani nie gniewa, że to mówię, ale chyba powinna pani rozważyć zajęcie się tym gościem, zanim wieść się rozejdzie... hm... - Ostatnim zdaniem Pinnerly sam wpędził się w kozi róg, a mnie przyjemność sprawiało obserwowanie, jak próbuje się wyplątać z tej nieprzyjemnej sytuacji. Odchrząknął. - Nie znaczy to, że choć przez sekundę wyobrażałem sobie, iż pani... i ów beneficjent hrabiego... Przepraszam, posunąłem się dalej, niż pozwala na to moja pozycja...

Skromnie klasnęłam w dłonie.

- Też tak sądzę.

Oddał mi szklankę i wziął torbę.

- Proszę mi wierzyć, że żartowałem. Ufam, że nie wspomni pani hrabiemu o... hm...

- O pańskiej gadatliwości? Nie, panie Pinnerly, wszystko można mi zarzucić z wyjątkiem niedyskrecji.

Zawahał się.

- Przypuszczam, że wizyta o północy...?

Pokręciłam głową.

- Nie wchodzi w grę.

Posłał mi żalosne spojrzenie, rozdarty pomiędzy żalem a pragnieniem, a potem pośpiesznie opuścił dziwny dom swego

najbardziej niesamowitego klienta, szczęśliwy (o tym jestem przekonana), że stąd odchodzi.

Na konta Jonathana przeniesiono ogromne kwoty, nazajutrz miała się rozpocząć brzemenna w skutki podróż do Filadelfii. Adair był gotów do realizacji swego planu, a to oznaczało, że dla mnie i Jonathana czas się skończył. Musiałam działać natychmiast albo przez całą wieczność żałować.

Posłałam do Edgara, głównego kamerdynera, którego obowiązki polegały na nadzorowaniu służby i prowadzeniu domu. Miał podejrzliwe i zdradzieckie serce, jak wszyscy tutaj, od pana począwszy na pomywacze skończywszy, przez co chcę powiedzieć, że należało zakładać, iż pracy nie wykona dobrze, a zaledwie w stopniu absolutnie koniecznym. To okropna cecha u służącego, jeśli chcesz, by twój dom prowadzony był dobrze, ale idealna w sytuacji, gdy konwenanse i skrupuły wyrzuciłeś za okno.

- Edgarze - rzekłam, splatając surowo dłonie jak doskonała pani domu. - Trzeba przeprowadzić remont w piwniczce na wina i Adair chce, żebym się tym zajęła pod jego nieobecność. Poślij kogoś do murarza, żeby dzisiaj po południu dostarczył do domu taczkę kamieni i taczkę cegieł. Powiedz murarzowi, że wszystko będzie gotowe do rozpoczęcia pracy, gdy hrabia wyjedzie w podróż. Za tę pracę zapłacimy mu podwójnie. - Kiedy Edgar spojrział na mnie chytrze (piwnica od początku była w okropnym stanie, więc skąd teraz ten pośpiech?), dodałam: - Nie musisz zaprzętać tym głowy Adairowi, przygotowuje się do podróży. Powierzył mi załatwienie tej sprawy, oczekuję więc jej wykonania. - Potrafiłam traktować służbę wyniośle i Edgar dobrze wiedział, że lepiej mi się nie narażać. Odwróciłam się i odeszłam majestatycznym krokiem, by zająć się następnym etapem planu.

ROZDZIAŁ 45

Nazajutrz od wczesnego świtu trwały gorączkowe przygotowania do podróży. Adair całe rano spędził na wybieraniu strojów, które ze sobą zabierał, potem kazał służącym je spakować i załadować do wynajętego powozu. Jonathan zamknął się w swoim pokoju i też miał się szykować do wyjazdu, wyczuwałam jednak, że nie ma na to najmniejszej ochoty. W powietrzu wisiała zapowiedź awantury.

Ukryłam się w spiżarni i w mózdzierzu metodycznie miazdzyłam fosfor. Rozkładając potrzebne rzeczy, strasznie się denerwowałam, ponieważ byłam pewna, że Adair wyczuje mój nastrój i zorientuje się, że coś jest nie w porządku. Przecież nie znałam prawdziwego zakresu jego mocy, jeśli tak można to nazwać. Dotarłam już jednak zbyt daleko i nie miałam wyboru, musiałam położyć na szali życie swoje i Jonathana, by zrealizować sprawę do końca.

W domu zapanował spokój i może to była sztuczka płataną mi przez wyobraźnię, ale powietrze zdawało się wibrować od niewypowiedzianych emocji: porzucenia, urazy, gniewu na Adaira za to,

jak postąpił z Uzrą, niepewności, co przyszłość niesie dla nas wszystkich. Niosąc tacę z doprawionym alkoholem, mijałam zamknięte pokoje. Zatrzymałam się przed sypialnią Adaira, z której od godziny, gdy służący zabrali kufry, nie dobiegł żaden odgłos. Zapukałam raz i nie czekając na odpowiedź, weszłam do środka.

Adair siedział sztywno w fotelu przysuniętym do ognia, rzecz sama w sobie nietypowa, jako że zwykle obnażony do pasa leżał na poduchach. Teraz jednak ubrał się już do podróży i wyglądał jak prawdziwy dżentelmen. Miał na sobie spodnie, buty, kamizelkę i koszulę z wysokim kołnierzem i jedwabną krawatką; surdut wisiał na oparciu drugiego fotela. Garnitur uszyty z ciemnoszarej wełny miał bardzo mało zdobień, czym różnił się od innych ubrań Adaira. Adair nie włożył peruki, tylko wyszczotkował włosy i związał je w ogon. Na jego twarzy malował się smutek, jakby wyruszał w tę podróż pod przymusem, nie z własnej woli. Kiedy uniósł rękę, dostrzegłam, że obok ma fajkę wodną; a w powietrzu rozchodził się słodki aromat najsilniejszej odmiany opium. Adair zaciągnął się, przymykając oczy.

Postawiłam tacę na stoliku przy drzwiach i kucnęłam obok niego na podłodze, delikatnie odsuwając mu z czoła kosmyki.

- Pomyślałam, że zanim wyjedziesz, spędzę z tobą chwilę. Przyniosłam ci coś do picia.

Wolno otworzył oczy.

- Cieszę się, że tu jesteś. Zamierzałem wyjaśnić ci sens tej podróży. Pewnie zastanawiasz się, dlaczego jadę z Jonathanem, a nie z tobą.

Stłumiłam impuls, by powiedzieć, że już to wiem, i czekałam na dalszy ciąg.

- Wiem, że z trudem znosisz rozłąkę z Jonathanem, ale zabieram ci go tylko na parę dni. - W jego głosie pobrzmiwała kpina. - Jonathan wróci, natomiast ja udam się w dalszą podróż. To może

trochę potrwać... Czuję potrzebę samotności. Ta potrzeba co jakiś czas się we mnie odzywa i chcę wtedy być sam ze swymi myślami i wspomnieniami.

- Jak możesz mnie zostawić? Nie będziesz za mną tęsknił? - zapytałam, usiłując nadać głosowi kokieteryjne brzmienie.

Przytaknął.

- Będę tęsknił, ale nic na to nie można poradzić. Zabieram Jonathana, bo chcę mu pewne rzeczy wyjaśnić. Podczas mojej nieobecności będzie prowadził dom. Opowiedział mi o swych powinnościach związanych z prowadzeniem rodzinnej firmy i pilnowaniem, by długi sąsiadów nie doprowadziły całego miasteczka do bankructwa, więc zarządzanie rachunkami jednego domu raczej nie sprawi mu kłopotów. Wszystkie pieniądze przeniosłem na jego konto. On będzie tu rządził, a ty i reszta musicie wykonywać jego polecenia.

To brzmiało całkiem prawdopodobnie i na ułamek sekundy ogarnęła mnie wątpliwość, czy nie pomyliłam się w ocenie sytuacji. Znałam jednak Adaira zbyt dobrze, by uwierzyć, że sprawy są takie proste, jak je przedstawiał.

- Pozwól, podam ci coś do picia - powiedziałam, wstając z podłogi.

Wybrałam aromatyczną whisky, na tyle mocną, by zamaskowała smak fosforu. W spiżarce przez papierowy lejek ostrożnie wsypałam do niej proszek i dołałam buteleczkę laudanum, zakorkowałam i delikatnie wstrząsnęłam. Z proszku uniosło się kilka połyskliwych drobin, modliłam się więc, by fosfor nie utworzył osadu w szklance Adaira.

Nalewając miksturę, zauważyłam na komodzie przedmioty, zapewne przygotowane do zabrania w podróż:

związany wstążką rulon papieru, tak starego i szorstkiego, że nie wątpiłam, iż pochodzi ze zbioru w drewnianych okładkach, który widziałam w ukrytym pokoju. Obok leżała tabakierka i flakonik jak na perfumy, zawierający około uncji brunatnego płynu o nieprzyjemnym wyglądzie.

- Proszę. - Podałam pełną szklankę Adairowi. Sobie też nalałam, chociaż zamierzałam wypić tylko łyżeczek, by nie wzbudzić w nim podejrzeń. Wydawał się mocno oszołomiony opium, aczkolwiek dobrze wiedziałam, że samo opium nie wystarczy, by pozbawić go przytomności.

Wróciłam na miejsce u jego stóp i uniosłam ku niemu spojrzenie pełne (taką miałam nadzieję) podziwu i troski.

- Od wielu dni jesteś przygnębiony. Powodem są kłopoty z Uzrą. Nie zaprzeczaj, masz prawo być tym zdenerwowany, miałeś ją przy sobie przez setki lat. Musiała wiele dla ciebie znaczyć.

Westchnął i pozwolił, bym mu podała ustnik fajki; pragnął oderwać się od swych myśli. Wyglądał na chorego, poruszał się wolno i był opuchnięty. Może cierpiał z powodu zamordowania odaliski, może ze strachem myślał o porzuceniu dotychczasowego ciała i przejściu do następnego, w końcu sporo czasu minęło, odkąd uczynił to ostatnio, niewykluczone też, że był to proces bolesny. A może bał się dodania kolejnego nikczemnego postępuku do długiej listy swych grzechów, z których pewnego dnia zostanie rozliczony.

Po kilku pociągnięciach z fajki spojrzał na mnie przez przy-mrużone powieki.

- Boisz się mnie?

- Bo zabiłeś Uzrę? Miałeś swoje powody. Nie do mnie należy ocena twego postępowania. Takie obowiązują tu zasady. Ty jesteś panem.

Zamknął oczy i na powrót oparł głowę o fotel.

- Ty zawsze byłaś najrozsądniejsza, Lanore. Z pozostałymi nie da się żyć. Patrzą na mnie oskarżycielsko. Traktują lodowato, chowają się przede mną. Powiniennem wszystkich zabić i zacząć od nowa.

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że to nie jest pusta groźba, kiedyś zrobił to z inną grupą swych dworzaków. Wymordował ich w ataku furii. Jak na życie, które miało trwać wiecznie, była to wielce niebezpieczna egzystencja.

Musiałam powstrzymać dreszcze, gładząc go po czole.

- Co zrobiła, by zasłużyć na taką karę? Powiesz mi?

Odepchnął moją dłoń i znowu pociągnął z fajki. Wypił już, więc nalałam mu następną porcję whisky. Pozwalałam, by niezgrabnie gładził mnie po twarzy swymi splamionymi krwią rękami, i kołowałam jego wyrzuty sumienia nieszczerymi zapewnieniami, że miał prawo zabić odaliskę.

W pewnej chwili ujął moją dłoń, spoczywającą na jego skroni, i zaczął przesuwając palcami po żyłach na moim przegubie.

- Chciałabyś zająć miejsce Uzry? - zapytał cokolwiek niespokojnie.

Pomyślałam, że wstrząsnął, ale dołożyłam starań, by tego nie dostrzegł.

- Ja? Nie zasługuję na to... nie jestem taka piękna jak Uzra. Nie byłabym w stanie dać ci tego, co ona.

- Ty możesz dać mi to, czego ona nie chciała. Nigdy mi nie uległa. Pogardzała mną przez wszystkie te dni, kiedy byliśmy razem. W tobie wyczuwam... przeżyliśmy szczęśliwe chwile, prawda? Rzekłbym wręcz, że był czas, kiedy mnie kochałaś. - Przycisnęła rozpalone usta do mojego przegubu. - Gdybyś się zgodziła, sprawiłbym, że łatwiej by ci było mnie kochać. Byłabyś tylko moja, nie dzieliłbym się tobą z nikim. Co ty na to?

Wciąż pieścił mój nadgarstek, a ja usiłowałam znaleźć odpowiedź, która nie zabrzmiałaby fałszywie. W końcu to on udzielił jej za mnie.

- Chodzi o Jonathana, tak? Czytam to w twoim sercu. Wolisz się z nikim nie wiązać, bo on może cię zechce. Ja pragnę ciebie, ty pragniesz Jonathana. Cóż... może ten dylemat da się rozwiązać, Lanore, i oboje dostaniemy to, na czym nam zależy.

Jego słowa zdawały się potwierdzać wszystkie moje podejrzania i krew zastygła mi w żyłach.

Wyjątkowa zdolność Adaira do wybierania grzesznych dusz miała go zgubić. Bo widzisz, w moim wypadku dokonał trafnego wyboru. Wypatrzył mnie spośród wielu, wiedział, że jestem taką kobietą, co to bez wahania będzie poiła trucizną mężczyznę, który przed chwilą wyznał jej miłość. Kto wie, gdyby chodziło tylko o mnie, gdyby stawką była tylko moja przyszłość, może podjęłabym inną decyzję. Lecz Adair częścią tego planu uczynił Jonathana. Przypuszczalnie sądził, że to mnie uszczęśliwi, że jestem na tyle płytka, by kochać go i być z nim, jeśli będzie miał piękną powierzchowność Jonathana, ja natomiast wiedziałam, że pod rysami mego ukochanego kryć się będzie zła do szpiku kości natura Adaira, pobrzmiwać w każdym jego słowie. Cóż mogłam począć?

Wypuścił moją dłoń, pozwolił, by fajka wysunęła mu się z ręki. Ruchy Adaira zwalniały jak w nakręcanej zabawce, której kończy się sprężyna. Wziąwszy pod uwagę, co zamierzałam zrobić temu mężczyźnie, musiałam mieć pewność. Absolutną. Nachyliłam się ku niemu blisko i zapytałam:

- Ty jesteś medykiem, prawda? Człowiekiem, o którym mi opowiadałeś?

Potrzebował chwili, by pojąć moje słowa, ale nie zareagował gniewem. Wręcz przeciwnie, jego usta wolno wygięły się w uśmiechu.

- Taka jest bystra ta moja Lanore. Zawsze byłaś najbystrzejsza, od razu to w tobie dostrzegłem. Ty jako jedyna wiedziałaś, kiedy kłamię... Znalazłaś eliksir. A także pieczęć... o tak, wiem, wyczułem twój zapach na aksamicie. W całym moim życiu ty pierwsza rozwiązałaś zagadkę, prawidłowo odczytałaś tropy. Zdemaskowałaś mnie. Przewidziałem, że tak będzie.

Był ledwo przytomny i zdawał się nie wiedzieć, że przy nim jestem. Chwyciłam go za kłapy kamizelki i musiałam mocno nim potrząsnąć, by zwrócić na siebie uwagę.

- Adair, powiedz, co zamierzasz zrobić z Jonathanem? Chcesz przejąć jego ciało, prawda? Tak samo postąpiłeś z tamtym wiejskim chłopakiem, który był twoim służącym. Powiedz, taki masz plan?

Uniósł powieki i utkwiał we mnie przerażające oczy, o mało nie wytrącając mnie z równowagi.

- Gdyby to było możliwe... gdyby tak się stało... czy będziesz mnie nienawidzić, Lanore? A przecież nie różniłbym się od mężczyzny, którego znasz, którego obdarzasz uczuciem. Kochałaś mnie, Lanore, czułem to.

- To prawda - zapewniłam.

- Wciąż miałabyś mnie, a równocześnie miałabyś Jonathana, ale bez jego niezdecydowania, bez obojętności na twoje uczucia, bez cierpienia, egoizmu i żalu. Kochałbym cię, Lanore, a ty byłabyś pewna mej miłości. Z Jonathanem to niemożliwe, od niego nigdy tego nie uzyskasz.

Wstrząsnął mną, bo wiedziałam, że mówi prawdę. Jego słowa okazały się prorocze, były jak klątwa, którą na mnie rzucił, skazując na wieczne nieszczęście.

- Wiem, że nie. A mimo to... - mruknęłam, nie przestając gładzić go po twarzy i próbując ocenić, do jakiego stopnia jest przytomny. Wydawało się nieprawdopodobne, by ktoś po przyjęciu takiej dawki trucizny wciąż był świadomy. - Mimo to wybieram Jonathana - dokończyłam stanowczo.

W szklistych oczach Adaira błysnął cień zrozumienia. Gdzieś na dnie umysłu pojmował, że dzieje się z nim coś strasznego, że nie potrafi się poruszyć. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa, choć próbował z tym walczyć, dygocząc w konwulsjach niczym ofiara udaru; z ust płynęła mu strużka śliny. Skoczyłam na równe nogi i cofnęłam się, bo wyciągnął ku mnie ręce, zaraz jednak znieruchomiał, a potem cały zwiotczał. Nieruchomy jak trup i szary jak mętna woda zwałił się z fotela na podłogę.

Nadeszła pora na krok ostateczny. Wszystko zostało wcześniej przygotowane, ale teraz potrzebowałam pomocy Jonathana. Pobiegłam do jego pokoju i bez pukania wpadłam do środka. Krążył od ściany do ściany, choć przygotował się do wyjścia: przez ramię miał przewieszony płaszcz, w dłoni kapelusz.

- Jonathanie! - wykrztusiłam zadyszana, zagradzając sobą drzwi.

- Gdzieś ty była? - zapytał z gniewem. - Wszędzie cię szukałem... Czekałem w nadziei, że do mnie przyjdiesz, ale dłużej nie mogłem tego znieść. Powiem mu, że nie mam zamiaru z nim wyjeżdżać. Powiem, że z nim zrywam i opuszczam ten dom.

- Poczekaj, jesteś mi potrzebny, Jonathanie. Musisz mi pomóc.

Mimo swego gniewu dostrzegł, jaka jestem roztrzęsiona, odłożył więc płaszcz i kapelusz. Pośpiesznie opowiedziałam mu wszystko, przekonana, że muszę wydawać się szalona, nie miałam bowiem czasu zastanowić się nad takim kształtem tej historii, by nie sprawiała wrażenia paranoi. Kuliłam się w duchu, ponieważ teraz Jonathan zobaczył, jaka naprawdę jestem, zdolna do popełnienia nikczemności, do skazania innej osoby na straszliwe cierpienia - po tym wszystkim, co przeszłam, wciąż byłam tą samą dziewczyną, która okrutnie i bez wahania zmusiła Sophie do samobójstwa. Jonathan z pewnością zerwie ze mną na zawsze.

Spodziewałam się, że odejdzie i nigdy więcej go nie zobaczę.

Kiedy skończyłam mówić o tym, jak Adair planował zniszczyć mu duszę i przejąć ciało, ze wstrzymanym oddechem czekałam, że mnie wyśmieje albo obrzuci obelgami, nazwie wariatką, narzuci płaszcz i trzaśnie drzwiami. Ale tego nie zrobił.

Ujął mnie za rękę i poczułam więź pomiędzy nami, od jakiegoś czasu zupełnie nieobecną.

- Uratowałaś mnie, Lanny. Kolejny raz - powiedział łamiącym się głosem.

Widząc Adaira leżącego na podłodze nieruchomo jak trup, Jonathan się wzdygnął, ale zaraz pomógł mi skrępować potwora i zakneblować mu usta miękką ścierką. Kiedy jednak chciał połączyć więzy na rękach i nogach, wyginając ciało naszego jeńca w pozycję całkowitej bezbronności, przypomniałam sobie straszliwą uprzęż. Powróciło do mnie miazdzące poczucie beznadziei i nie potrafiłam tak samo potraktować Adaira, chociaż to on był moim katem. Nie wiadomo, jak długo pozostanie w tej pozycji, nim ktoś go odnajdzie i uwolni, a to wydawało się nadmiernie okrutną karą, nawet dla niego.

Owinęliśmy Adaira w jego ulubioną sobolową narzutę, mającą stanowić jedyną pociechę w celi. Wymknęłam się pierwsza, bo gdyby Jonathana zobaczyło któreś z trójki pozostałych i zaczęło zadawać mu pytania, mógłby odpowiedzieć, że niesie mnie. Ustaliliśmy, że się spotkamy w piwnicy.

Zbiegłam kuchennymi schodami i czekałam, oparta o lodowato zimną kamienną ścianę. Niepokoiłam się o Jonathana, na którego rzuciłam całe ryzyko związane z wyniesieniem Adaira z pokoju. Co prawda, pozostali zamknęli się w swoich pokojach, wstrząśnięci śmiercią Uzry i zamętem towarzyszącym wyjazdowi Adaira,

ale to w żaden sposób nie gwarantowało, że Jonathan na żadnego z nich się nie natknie. Bez trudu mógł go zauważyć któryś ze służących i jedno spojrzenie wystarczyło, by zniweczyć nasz plan. Wreszcie pojawił się Jonathan z bezwładnym zawiniątkiem w ramionach.

- Widział cię ktoś? - zapytałam, ale on pokręcił głową.

Poprowadziłam go przez kręty labirynt na najniższy poziom piwnicy, do podobnego jaskini pomieszczenia, w którym przechowywano wino. Oddzielone od pozostałych części, wyłożone kamieniami i grubą warstwą ziemi, utrzymującymi stałą temperaturę, najbardziej przypominało lochy zamku. W głębi znalazłam niszę wykutą w solidnych kamiennych fundamentach budynku; prawdopodobnie niegdyś zamierzano poszerzyć piwniczkę na wino, ale pracy nie dokończono, wszędzie dokoła leżały kamienie i drewno. Wczorajsze dostawy cegieł i kamienia ułożono pod ścianą razem z wiadrem zaprawy, przykrytym wilgotną szmatą, teraz prawie suchą. Jonathan spojrzął na nie, potem na mnie. Nie musiałam mu nic mówić. Rzucił Adaira na zimną i wilgotną ziemię, potem bez słowa zdjął surdut i podwinął rękawy.

Dotrzymywałam mu towarzystwa, kiedy zamuroвывał niewielkie wejście do celi najpierw cegłami, potem kamieniami, by upodobnić je do reszty ściany. Spokojnymi ruchami wyrównywał kamienie kielnią, korzystając z doświadczeń nabytych we wcześniejszej młodości, ja tymczasem nie odrywałam spojrzenia od ciemnej postaci Adaira, wydającej się ledwo cieniem.

Kiedy nadeszła godzina wyjazdu, ukradkiem wróciłam na górę i poleciłam woźnicy, by ruszał, bo wprawdzie podróżnicy zmienili zdanie, ale chcą, by bagaż zgodnie z planem dotarł na pierwszy postój. Edgarowi mimochodem napomknęłam, że pan wyjechał nieco przed czasem, by uniknąć hucznych pożegnań. Puste pokoje

Adaira i Jonathana pozornie potwierdzały moje słowa, i Edgar tylko wzruszył ramionami, wracając do swoich obowiązków. Podejrzywałam, że powtórzy to innym, jeśli go zapytają. Jonathan przerywał pracę, gdyśmy słyszeli jakieś poruszenia, które zdawały się ku nam zbliżać. Przez większość czasu w głębokiej piwnicy panowała niezwykła cisza, z góry dobiegały nas tylko nieliczne odgłosy, choć i to było dziwne, zważywszy na to, że pomiędzy parterem a piwniczką znajdowały się pomieszczenia z zapasami. Mimo to bardzo się denerwowałam, przekonana, że inni mogą mnie szukać. Pragnęłam też mieć za sobą ten straszliwy czyn. *Człowiek w celi jest potworem*, powtarzałam sobie, by stłumić rosnące wyrzuty sumienia. *Nie jest tym, którego znałam*.

- Pośpiesz się, proszę - mruknęłam, usadowiona na starej beczce.

- Nic na to nie poradzę, Lanny - odparł Jonathan przez ramię, nie wypadając z rytmu. - Twoja trucizna..

- Wcale nie moja! Nie tylko moja! - krzyknęłam, zeskakując w zdenerwowaniu z beczki.

- Trucizna w końcu przestanie działać, węzły mogą się poluznić, knebel wypadnie, ale ściana nie może nas zawieść. Musi być tak mocna, jak to tylko możliwe.

- Bardzo dobrze - odparłam, wykręcając dłonie i chodząc niespokojnie. Wiedziałam, że nawet najsilniejsza trucizna nie jest w stanie zabić Adaira, ale miałam nadzieję, że będzie po niej spał wiecznie albo że uszkodzi mu mózg i nigdy nie wróci mu pamięć tego zdarzenia. Nie był czarodziejską istotą, nie był demonem ani aniołem. Tak samo jak ja nie potrafił siłą woli rozplatać więzów czy przenikać przez ściany. A to oznaczało, że w końcu obudzi się w ciemności, nie mogąc usunąć knebla z ust, by wołać o pomoc, i kto wie, jak długo tam pozostanie, żywcem pogrzebany.

Chwilę stałam przy nowo wybudowanej ścianie, by się przekonać, czy poczuję elektryczną iskrę obecności Adaira, ale nic

takiego nie nastąpiło. Niewykluczone, że powodem były silne środki nasenne i owa więź powróci, kiedy Adair odzyska przytomność - i jaką to wówczas może być dla mnie torturą, dzień za dniem odczuwać jego straszliwe cierpienie i nie móc nic na to poradzić. Nie potrafię ci powiedzieć, przez ile nocy rozmyślałam o tym, co zrobiłam Adairowi; były okresy, kiedy niemal postanawiałam, że go uwolnię. W tamtym czasie jednak nie pozwalałam sobie o tym myśleć. Było za późno na litość czy wyrzuty sumienia.

Jonathan wymknął się wieczorem, kiedy pozostali wyszli, by spędzić czas na zwykłych rozrywkach. Miałam przedsmak zmagañ, które będę toczyć z Jonathanem, bo ledwo znalazł się na ulicy, odwrócił się do mnie i zapytał:

- Teraz możemy wrócić do St. Andrew, prawda?

Westchnęłam.

- St. Andrew to ostatnie miejsce, do którego możemy się udać, bo tam najszybciej zostaniemy zdemaskowani. Nigdy się nie postarzejemy, nigdy nie zachorujemy. Ludzie, do których wrócisz, z czasem zaczną patrzeć na ciebie z przerażeniem. Zaczną się ciebie bać. Czy tego chcesz? Jak moglibyśmy się wytłumaczyć? Wiesz, że nie możemy, i pastor Gilbert z pewnością uznałby nas za czarnoksiężników.

Twarz mu się zachmurzyła, ale nic nie powiedział.

- Musimy zniknąć, pojechać tam, gdzie nikt nas nie zna, i liczyć się z tym, że w każdej chwili trzeba będzie uciekać. Musisz mi zaufać, Jonathanie, polegać na mnie. Mamy tylko siebie.

Nie sprzeciwił się, tylko pocałował mnie w policzek i ruszył w kierunku zajazdu, w którym następnego dnia mieliśmy się spotkać.

Nazajutrz rano powiedziałam pozostałym, że jadę do Filadelfii

do Adaira i Jonathana. Kiedy Tilde podejrzliwie uniosła brew, powtórzyłam to, co powiedział mi Adair: że miał dość ich oskarżycielskich spojrzeń z powodu tego, co zrobił z Uzrą, i że oni nie byli w stanie mu wybaczyć, a ja tak. Następnie udałam się do Pinnerly'ego po listę kont założonych na nazwisko Jonathana. Prawnik początkowo nie chciał wręczyć mi prywatnych dokumentów Adaira, ale zmienił zdanie po dziesięciu minutach, które spędziłam na jego kolanach w pokoiku na tyłach gabinetu, czym jest dziesięć minut nierządu w zamian za zabezpieczenie finansowe na przyszłość? Jonathan z pewnością by mi wybaczył, nie wątpiłam w to, zresztą nigdy nie miał się o tym dowiedzieć.

Pozostali nic wprost mi nie zarzucili, ale odnosili się do mnie sceptycznie i z czujnością; gromadzili się w kątach i na ciemnych podestach, by szeptać między sobą. W końcu jednak zajęli się swoimi sprawami i mogłam niepostrzeżenie pobiec do gabinetu. Potrzebowaliśmy z Jonathanem pieniędzy na ucieczkę, w każdym razie do czasu, gdy zyskamy dostęp do funduszy, które Adair dla siebie przygotował.

Ku memu zaskoczeniu Alejandro siedział zgarbiony nad stołem, głowę kryjąc w dłoniach. Patrzył obojętnie, jak przekładam pieniądze ze szkatułki do sakiewki; było rzeczą naturalną, że wiozę Adairowi dodatkową kwotę do wykorzystania w podróży. Przekrzywił jednak zaintrygowany głowę, kiedy ze ściany zdjęłam wykonany węglem portret Jonathana. Tylko tej jednej rzeczy nie mogłam tu zostawić. Wyjęłam portret z ramy, z jednej strony okryłam bibułą, z drugiej giemzą, po czym zwinęłam w ciasny rulon i związałam czerwonym jedwabnym sznurkiem.

- Dlaczego zabierasz rysunek? - zapytał. - Będzie tutaj, jak wrócisz. A może nie zamierzasz wrócić?

- Nie znam planów Adaira - odparłam niefrasobliwie.

- Nigdy dotąd tak nie postępował - rzekł Alejandro, zapominając o pytaniu z rozpaczą człowieka, który godzi się z nieuniknionym. - To bardzo... niespodziewane. Bardzo dziwne. Zupełnie nie wiem, co począć.

- Wszystko kiedyś się kończy - zauważyłam i nonszalancko wyszłam z gabinetu.

Czekałam w powozie, aż służący zniosą moje kufry i przymocują taśmami z tyłu. Powóz z szarpnięciem ruszył, a ja zniknęłam na rojnych ulicach Bostonu.

Część IV

ROZDZIAŁ 46

Quebec, dzisiaj

Luke i Lanny siedzą przy stole w pokoju hotelowym, przed sobą mają eleganckie filiżanki z białej porcelany z kawą i talerz z nietkniętymi croissantami. Cztery paczki papierosów zamówione ze śniadaniem spoczywają w srebrnej misie.

Luke upija kolejny łyk białej od śmietanki kawy. Ostatnia noc była ciężka, skutki alkoholu i trawki widać na jego twarzy, podczas gdy Lanny ma gładką, jędrną cerę. I rysy przepojone smutkiem.

- Podejrzewam, że próbowałaś dowiedzieć się czegoś o tym zakłęciu - mówi w pewnym momencie Luke.

Lanny nie kryje rozbawienia.

- Jasne, choć wcale nie jest łatwo znaleźć prawdziwego alchemika. W każdym mieście szukałam ludzi z upodobaniem do czarnej magii. I w każdym mieście tacy byli, jedni działali otwarcie, inni w konspiracji. - Kręci głową. - W Zurychu przy wąskiej bocznej uliczce w centrum znalazłam antykwariat sprzedający rzadkie okazy, starożytne czaszki z inskrypcjami, oprawne w ludzką skórę pisma w języku, którego nikt nie rozumie. Sądziłam,

że jeśli istnieją znawcy nekromancji, to powinni nimi być właściciele tego sklepu, którzy całe życie poświęcili na odkrywaniu arkanów magii. Ale oni znali tylko plotki. Nic z tego nie wyszło. I dopiero w obecnym stuleciu, mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, usłyszałam wreszcie coś, co wydało mi się zbliżone do prawdy. To było w Rzymie, na prozzonej kolacji poznałam profesora historii. Specjalizował się w renesansie, ale prywatnie interesował się alchemią. Kiedy go zapytałam, czy słyszał o miksturze powodującej nieśmiertelność, wyjaśnił, że prawdziwy alchemik nie potrzebuje takiej mikstury, ponieważ celem alchemii jest przekształcenie człowieka, wyprowadzenie go na wyższy poziom istnienia. To jak z rzekomym poszukiwaniem zaklęcia zmieniającego zwykły metal w złoto: powiedział, że to alegoria, ponieważ w rzeczywistości chodziło o transformację zwykłego człowieka w istotę czystsza. - Lanny schyla głowę i przesuwa filiżankę, spodek pozostawia ślad na białym adamaszku. - Możesz sobie wyobrazić, jaka byłam sfrustrowana. Ale profesor dodał, że słyszał o rzadkim eliksirze, który wywołuje skutek podobny do tego, który opisałam. Ów eliksir miał zmieniać przedmioty... na podobieństwo alchemika, tak chyba należy to ująć. Ożywiał na przykład golema, który stawał się służącym alchemika. Elixir przywracał także życie umarłym. Profesor sądził, że duch, który napełniał przedmiot lub zmarłego, pochodził ze świata demonów. - W jej głosie zabrzmiała pogarda dla siebie. - Zadaniem demona było wypełnianie poleceń. Więcej nie chciałam słuchać, nie mogłam. Później nigdy już nie szukałam wyjaśnień.

Siedzą w milczeniu i przez kratę pod oknem obserwują ruch uliczny, jadące jeden za drugim samochody. Poranne słońce zaczyna się przedzierać przez chmury, rozpalając sztućce i srebrną

misę. Całe ich otoczenie jest białe, srebrne, szklane, czyste i sterylne, a to, o czym rozmawiali - mrok, śmierć - wydaje się odległe o milion mil.

Luke bierze papierosa, toczy między palcami i odkłada.

- Zostawiłaś Adaira zamurowanego w domu. I nigdy nie wróciłaś, by sprawdzić, czy... się nie wydostał?

- Jasne, że taka możliwość mnie niepokoiła - mówi Lanny, kiwając niemal niedostrzegalnie głową. - Ale poczucie więzi zniknęło. Nie miałam na czym się oprzeć. Bałam się, co zastanę, ale poszłam tam raz, drugi, by zobaczyć, czy dom wciąż stoi. Stał... Bardzo długo mieszkali w nim ludzie. Okrężałam przecnicę, usiłując wyczuć obecność Adaira. Nic. A gdy kolejny raz wróciłam, okazało się, że jest w nim dom pogrzebowy, uwierzysz? Dzielnica popadła w ruinę. Wyobrażałam sobie pomieszczenia, w których zajmują się ciałami, usytuowane w piwnicach kilka kroków od grobu Adaira. Niepewność była nie do zniesienia... - Lanny gasi niedopałek i natychmiast zapala następnego papierosa. - Kazałam mojemu prawnikowi złożyć właścicielom domu pogrzebowego ofertę kupna. Jak mówiłam, była recesja, o takiej cenie nie mogli nawet marzyć... Zgodzili się. Kiedy się wyprowadzili, natychmiast tam poszłam. To nie był ten sam dom, który zapamiętałam, tyle się w nim zmieniło. Piwnica pod głównymi schodami została przebudowana: cementowa podłoga, piec, bojler. Drugą, tylną część zostawiono w spokoju. Nie założono prądu. Było tam ciemno i wilgotno.

Poszłam na miejsce, gdzie... zostawiliśmy Adaira. Nie można było odróżnić starego muru od części, którą zbudował Jonathan, czas sprawił, że złąły się w jedno. Wciąż jednak zza kamieni nic do mnie nie docierało, nie wyczuwałam niczyjej obecności. Nie miałam pojęcia, co myśleć. Ogarnęła mnie pokusa, by zburzyć

ścianę. To było jak perwersyjny głos w głowie, który każe ci skoczyć z balkonu, kiedy za bardzo zbliżyłeś się do krawędzi. - Lanny uśmiecha się smutno. - Oczywiście tego nie zrobiłam. Wręcz przeciwnie, kazałam wzmocnić ścianę zbrojeniem i cementem. Musiałam być ostrożna, nie chciałam, by została uszkodzona podczas przebudowy. Teraz jest solidna. Sypiam lepiej.

To jednak nie była prawda, Luke przekonał się o tym, choć spędzili ze sobą niewiele czasu. Musi wyprowadzić ją z tej mrocznej wilgotnej piwnicy z człowiekiem, którego skazała na wieczne więzienie. Wyciąga rękę i ujmuje jej dłoń.

- Twoja historia jeszcze się nie skończyła, prawda? Oboje z Jonathanem opuściliście dom Adaira. Co stało się potem?

Lanny przez chwilę ignoruje jego pytanie, wpatrzona w trzymany w palcach niedopałek.

- Spędziliśmy ze sobą kilka lat. Na początku to było najlepsze wyjście. Mogliśmy wzajemnie się sobą opiekować, a właściwie pilnować. To był okres wypełniony przygodami. Podróżowaliśmy z miejsca na miejsce, bo musieliśmy, bo nie wiedzieliśmy, jak przetrwać. Nauczyliśmy się tworzyć dla siebie nowe tożsamości, zachowywać anonimowość, chociaż Jonathanowi sprawiało to wielką trudność, bo przyciągał uwagę. Ludzie zawsze Ignęli do jego niezwyklej urody. Potem jednak stawało się coraz bardziej oczywiste, że jesteśmy ze sobą, bo ja tego pragnę. Taka namiastka małżeństwa, acz pozbawionego intymności. Byliśmy jak stare stadło, związane paktem bez miłości. Zmusiłam go do roli wiaromnego męża.

- Nie musiał cię zdradzać - sprzeciwia się Luke.

- To leżało w jego charakterze. Kobiety nieustannie okazywały mu względy. - Lanny prychnęła cicho, po czym strzepuje popiół

na spodek, którego używają jako popielniczki. - Oboje byliśmy nieszczęśliwi. Doszło do tego, że przebywanie w obecności drugiego sprawiało ból, tak bardzo wzajemnie się skrzywdziliśmy i tyle raniących słów sobie powiedzieliśmy. Bywało, że go nienawidziłam i pragnęłam, by sobie poszedł. Wiedziałam, że tę decyzję musi podjąć on, ponieważ ja nigdy nie znajdę w sobie dość sił. A potem pewnego dnia obudziłam się i znalazłam na poduszce liścik. - Uśmiecha się ironicznie, jakby przywykła do obserwowania swego bólu z dystansu. - Napisał w nim: „Wybacz mi. Tak będzie najlepiej. Przynajmniej, że nie będziesz mnie szukać. Jeśli zmienię zdanie, sam Cię odnajdę. Proszę, byś respektowała moje życzenia. Twój na zawsze J.” - Lanny milknie, miażdżąc papierso-
sa na spodku. Z miną ponurą, acz nieco rozbawioną patrzy w okno. - W końcu znalazł w sobie odwagę, by odejść. Jakby czytał mi w myślach. Jego odejście naturalnie sprawiło mi wielki ból. Pragnęłam umrzeć, byłam pewna, że nigdy więcej go nie zobaczę. Ale trzeba żyć dalej, prawda? Zresztą i tak wyboru nie miałam, chociaż pomaga udawanie, że jakiś wybór masz.

Luke wspomina to uczucie wyczerpania napięciem, dni, kiedy on i Tricia nie potrafili przebywać w tym samym pomieszczeniu. Siedział w ciemności i próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby się rozstali, i znowu wrócił mu spokój. Z góry wiadomo było, że odejdzie Tricia, nie mogła oczekiwać, że Luke opuści swoje dzieci i dom rodzinny, ale gdy wyjechała z dziewczynkami i został sam, wcale nie poczuł się lepiej. Miał wrażenie, jakby coś przemocą mu odebrano, jakby mu amputowano część ciała.

Luke pozwala, by Lanny uporała się ze swym bólem, potem mówi:

- Ale na tym się nie skończyło, prawda? Przecież znowu się spotkaliście.

Wyrazu jej twarzy nie da się odgadnąć, jest równocześnie promienny i mroczny.

- Tak, to prawda.

ROZDZIAŁ 47

Paryż, miesiąc temu

Pochmurny dzień. Odsunęłam zasłonę i spojrzałam na cienki skrawek nieba, widoczny z drugiego piętra mojego domu, jednego w rzędzie starych kamienic w Piątej Dzielnicy. W Paryżu zaczynała się zima, a to znaczyło, że każdy dzień będzie szary.

Włączyłam komputer i stojąc przy biurku, mieszałam kawę ze śmietanką. Następujące po sobie odgłosy włączających się programów wydają mi się przyjemne niczym świergot ptaków albo inne dźwięki, świadczące o życiu innym niż moje. Uwielbiam normalność i pragnę w swoje pozbawione formy istnienie wtłoczyć możliwie najwięcej rutyny.

Napiłam się kawy. Nie jest mi potrzebna do otrząśnięcia się z sennosci jak niektórym ludziom, piję ją po prostu z nawyku. Rzadko sypiam, jestem nocnym markiem. Do świtu z obowiązku przygotowywałam materiały do książki, na którą podpisałam umowę, ale śmiertelnie mnie to znudziło, zajęłam się więc katalogowaniem kolekcji ceramiki i oglądałam powtórki w amerykańskiej

telewizji. Osiągnęłam etap, na którym zaczęłam myśleć, że wyślę kolekcję na jakiś uniwersytet albo do muzeum, gdzie więcej ludzi będzie mogło ją podziwiać. Znużyło mnie obcowanie z tyloma przedmiotami, które napierały na mnie jak dłonie wyciągnięte z grobu. Odczuwałam potrzebę pozbycia się niektórych z nich.

Tamtego dnia gorąca i aromatyczna kawa podziałała na mnie cudownie, sprawiła, że czułam się spokojna i zdecydowana, co było przeciwieństwem mego zwykłego nastroju, mieszaniny roz-targnienia i niepokoju. Doznanie było tak obce, że przez krótką chwilę nie potrafiłam sobie przypomnieć, który jest rok, bo od dawna nie miałam w domu kalendarza.

Poczta skończyła się ładować i spojrzałam na listę nadawców. Głównie chodziło o interesy: mój prawnik, redaktor z niepewnego małego wydawnictwa, publikującego moje cenne monografie z zakresu starożytnej azjatyckiej ceramiki, zaproszenie na przyjęcie. Przez ostatnie dwadzieścia lat zarabiałam na życie jako fałszywy ekspert od chińskich filiżanek. Nową tożsamość oparłam na kolekcji bezcennej porcelany, którą chiński pracodawca wcisnął mi w objęcia, kiedy wsiadałam na brytyjski statek, by uciec przed rozruchami nacjonalistów. To było w innym życiu - kolejna historia, której nikt nie znał. Taką wybrałam dla siebie rolę i jeśli za-nadto się nad tym nie zastanawiałam, jakoś sobie radziłam.

Na liście był adres, którego nie znałam. Z Zairu - och, tylko że teraz to państwo nosiło nazwę Demokratycznej Republiki Konga. Pamiętałam, kiedy Kongo było belgijską kolonią. Zmarszczyłam czoło: czy znam kogoś z Zairu? Zapewne to prośba o wsparcie albo jakiś oszust, udający afrykańskiego księcia, prosi o pomoc w przejściowych problemach finansowych. Mało brakowało, a usu-nęłabym wiadomość, zmieniłam zdanie w ostatniej chwili.

„Droga Lanny”, przeczytałam. „Wita Cię jedyny człowiek, od którego nie spodziewałaś się wiadomości. Na początku pozwól,

że podziękuję Ci za respektowanie mojej ostatniej prośby, byś po naszym rozstaniu nie próbowała mnie szukać...”

Cholernie niewinne słowa, migoczące w pikselach na ekranie. Najechałam myszą na ikonę *Drukuj*. Drukuj, cholera, muszę wziąć te słowa w dłonie.

„...Mam nadzieję, że wybaczysz mi to natręctwo. Mimo iż to bardzo wygodny sposób komunikacji, nigdy nie pozbyłem się wrażenia, że korespondowanie za pomocą e-maili jest mniej uprzejme i właściwe niż napisane listu. Z tego samego powodu korzystanie z telefonu wydaje mi się trudne. Jestem jednak pod presją czasu, dlatego wybrałem Internet. Za kilka dni będę w Paryżu i bardzo chciałbym się z Tobą zobaczyć. Mam nadzieję, że Twój rozkład dnia na to pozwoli. Proszę, odpisz, czy będziesz mogła się ze mną zobaczyć... z wyrazami sympatii, Jonathan”.

Pośpiesznie usiadłam, położyłam palce na klawiszach. Co mam napisać? Tyle spraw kotłowało się we mnie, tłumionych przez dziesięciolecia milczenia. Pragnęłam z kimś porozmawiać, ale nikogo takiego nie było, więc mówiłam do ścian, nieba, gołębi, gargulców przyczepionych do iglic katedry Notre Dame. *Dzięki Bogu, myślałam, że nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz. Przepraszam. Przepraszam. Czy to znaczy, że mi wybaczyłeś? Czekalam na ciebie. Nie wyobrażasz sobie, co poczułam, widząc twoje imię na ekranie komputera. Czy mi wybaczyłeś?*

Zawahałam się, zacisnęłam dłonie w pięści i zaraz je rozprostowałam. Zawisły nad klawiaturą. W końcu napisałam: „Tak”.

Oczekiwanie na dzień jego przyjazdu było torturą. Usiłowałam trzymać w cuglach zniecierpliwienie, ale nie potrafiłam powstrzymać się od marzeń po tej nagłej wiadomości od Jonathana. Dobrze wiedziałam, że nie powinnam rozbudzać w sobie

nadmiernych nadziei, lecz gdzieś na dnie serca żywiłam nieprawdopodobnie romantyczne złudzenie, związane z Jonathanem, i dlatego pozwalałam sobie na wyobrażenia szczęśliwej przyszłości, by znowu odczuć tę radość. Minęło bardzo wiele czasu, odkąd miałam na co czekać.

W drugim e-mailu Jonathan opowiedział mi o swoim życiu. W latach trzydziestych skończył w Niemczech studia medyczne, a potem jeździł do biednych i odległych miejsc, by tam pracować jako lekarz. Kiedy dysponowało się podejrzanymi dokumentami, łatwiej było do siebie przekonać władze w zapadłych rejonach, gdzie pilnie potrzebowano lekarza. Pracował z trędowatymi w Azji, ofiarami ospy na subkontynencie. Gorączka krwotoczna sprowadziła go do Afryki Środkowej i tam pozostał, obecnie prowadzi przychodnię w obozie uchodźców niedaleko granicy z Ruandą. To nie są operacje na otwartym sercu, napisał, ale rany postrzałowe, dyzenteria, szczepienia przeciwko odrze, cokolwiek potrzeba.

Cóż mogłam mu odpisać poza potwierdzeniem czasu i miejsca naszego spotkania? Myśl, że Jonathan jest lekarzem, aniołem miłosierdzia, podniecała mnie i niepokoiła. On jednak chciał się dowiedzieć, co robiłam od naszego ostatniego spotkania, siedziałam więc przed komputerem i nie miałam pojęcia, co napisać, by nie wydało się żenujące. Odkąd się z nim rozstałam, nie było mi łatwo. Przez większość czasu po prostu dryfowałam, postępowałam głupio, egoistycznie, bo wtedy wydawało mi się to konieczne. Teraz wreszcie w moim życiu zapanował spokój niemal klasztorny, acz nie do końca sama go wybrałam. Pogodziłam się z tym.

Jonathan z pewnością zauważył mój unik, ale mówiłam sobie, że przecież mnie zna i nie ma złudzeń, że w czasie naszej rozłąki szczególnie się zmieniałam, w każdym razie nie tak dramatycznie

jak on. Pierwszy e-mail do Jonathana pełen był uprzejmych formułek: nie mogę się doczekać naszego spotkania, tak cię cieszę, że zobaczę go na własne oczy, i tak dalej.

Dzień jego przyjazdu się zbliżał, a ja uległam niemądrym, pełnym nadziei złudzeniom. Istniała możliwość, że Jonathan zechce zobaczyć mój dom, kazałam więc sprzątacze przyjść na początku tygodnia, kupiłam też ekstrawagancki bukiet kwiatów, który byłby na miejscu na królewskim ślubie. Do lodówki włożyłam szampana, z piwniczki przyniosłam butelkę doskonałego starego caberнета.

W noc poprzedzającą spotkanie nie mogłam spać. Siedziałam przed lustrem i zastanawiałam się, czy wydam mu się inna. Uważnie studiowałam swoje odbicie. Neurotyczne było to przekonanie, że w moim wyglądzie zaszyły zmiany, ta fantazja, że jestem jak inne kobiety, jak aktorki w reklamach, które martwią się zmarszczkami mimicznymi albo kurzymi łapkami. Nic się nie zmieniło, wiedziałam o tym, wciąż wyglądałam na studentkę z wiecznie nadąsaną buzią, miałam tę samą gładką cerę, którą Jonathan widział w dniu, gdy wyjechał. Urodziłam się ładna, ale nie piękna, przekleństwo i łaska mojego życia, bo byłam dość urodziwa, by zyskać aprobatę, ale nie dość piękna, by mężczyźni za mną szaleli. Emanowałam młodzieńczym pragnieniem seksu, choć w rzeczywistości zaznałam go aż nadto w swoich licznych wcieleeniach. Nie chciałam wydać mu się zdesperowana, ale nic na to nie mogłam poradzić. Zawsze desperacko będę go pragnęła.

Patrząc w lustro, zadawałam sobie pytanie, czy dziwne i szalone będzie to nasze spotkanie w tłumie ludzi, którzy niedawno przyszli na świat. Kiedy na siebie spojrzemy, świat równie dobrze może stanąć w miejscu. Ile lat minęło od dnia, gdy Jonathan mnie

opuścić? Sto sześćdziesiąt? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, w którym to było roku. Zaskoczyło mnie, że teraz nie odczuwam takiego gwałtownego, dotkliwego bólu jak wtedy, że po dziesiątkach lat pojawiło się tylko tępe pulsowanie, które chętnie ustąpiło miejsca chęci, by go zobaczyć.

Odłożyłam lusterko. Pora czegoś się napić. Otworzyłam butelkę schłodzonego szampana. Po co zostawiać go na jutro, na okazję, która bez wątpienia nie nadejdzie? Przecież wystarczającym powodem do świętowania jest to, że Jonathan odezwał się do mnie po tak długim czasie. Postanowiłam zdusić nadzieję w zarodku, nim zmienię pościel albo powieszę dodatkowe ręczniki w łazience. Miał tylko się ze mną zobaczyć, nic więcej.

Spotkajmy się w lobby o dwunastej w południe, napisał w e-mailu. Ledwo mogłam się doczekać, miałam ochotę pójść do hotelu godzinę wcześniej albo od razu zapukać do jego pokoju. To jednak byłoby żałosne, lepiej będzie, jeśli udam, że mam swoją dumę i potrafię nad sobą zapanować. Tak więc dopiero wtedy, gdy wskazówki zegara w moim gabinecie doczołgały się do jedenastej, wysłałam z domu, zatrzymałam taksówkę i z pewną nonszalancją poleciłam kierowcy, by zawiózł mnie do hotelu Prix St. Germaine. Przez tylne okno taksówki patrzyłam, jak moja spokojna uliczka zostaje za mną niczym malowane tło karuzeli, gdy zaczyna grać muzyka.

Znałam hotel Prix St. Germaine, ale nigdy w nim nie byłam. Ten cichy stary hotelik znajdował się przy niemodnej ulicy na lewym brzegu i był odpowiednim miejscem dla lekarza z buszu, który w Paryżu zamierza spędzić kilka dni. Powietrze w lobby było stęchłe, a ściany, jeśli miały w ogóle jakiś kolor, to brunatny. Recepcjonista z profesjonalnie ponurą miną nie odrywał ode mnie wzroku, gdy siadałam w jednym ze skórzanych klubowych foteli.

Czy wszystkie hotelowe hole wyglądają jak pokój wstrzymujący oddech? Wybrałam fotel, z którego widziałam windę. Ozdobny stary zegar nad drzwiami wskazywał 11.48.

Jonathan zawsze kazał innym czekać. Wyobrażałam sobie, że odkąd został lekarzem w buszu, nauczył się punktualności.

Na stoliku leżała poranna gazeta. Nigdy nie śledziłam wydarzeń na świecie i rzadko fatygowałam się kupowaniem prasy. To, co się działo, wprawiało mnie w dezorientację, ponieważ wszystko było do siebie podobne. Oglądałam wieczorne wiadomości i ogarniało mnie nieprzyjemne wrażenie *déjà vu*. Rzezie w Afryce. W Ruandzie? Nie, zaraz, to było w 1993 roku. A może w Kongu belgijskim albo Liberii? Zamach na głowę państwa. Krach na giełdzie. Epidemia, ale czego: polio, ospy, tyfusu czy AIDS? Z bezpiecznego dystansu obserwowałam wszystkie te przerażające plagi dręczące ludzkość. Strasznie było oglądać takie morze cierpienia i nie móc niczego zmienić. Byłam duchem stojącym w drugim planie.

Rozumiałam, co pociągało Jonathana w medycynie, dlaczego chciał się wyposażyć w umiejętności pozwalające na zmniejszenie tragedii dziejących się na świecie, zakasać rękawy i zabrać się do pracy, choć wiedział, że nie da się zlikwidować chorób nawet w jednej małej wiosce. Rozmyślając, mimowolnie wpatrywałam się w gazetę.

Nagle uniosłam głowę, wyczułam bowiem, że Jonathan się zbliża.

Drzwi wejściowe się otworzyły i nachyliłam się, wypatrując znajomej postaci, ale zaraz na powrót się odprężyłam. Mężczyzna, który wszedł, miał na sobie pogniecione spodnie khaki, podniszczoną tweedową marynarkę, etniczną chustkę na szyi, przeciwsłoneczne okulary i kilkudniowy zarost na twarzy.

Z rękoma w kieszeniach podszedł prosto do mnie. Uśmiechał się. I wtedy już wiedziałam.

- Tak mnie witasz? Nie pamiętasz, jak wyglądam? Może powinienem był ci wysłać aktualne zdjęcie - powiedział.

Zaproponował, żebyśmy wyszli na zewnątrz, wyglądałam, jakbym zaraz miała zemdleć. Ujął mnie pod ramię i trzymał mocno. Znaleźliśmy cichy zakątek w parku; były tam betonowe alejki, ławki i samotne drzewo w każdym rogu, które mimo to stwarzały wrażenie natury.

- Miło cię widzieć.

Nie potrafiłam wykrztusić odpowiedzi, zresztą nie było to potrzebne. Wydawało się absurdem, że od tak dawna był nieobecny w moim życiu, i widząc go teraz, nie sądziłam, by cokolwiek na świecie mogło nas rozdzielić. Pragnęłam go dotykać, całować, przesuwając dłońmi po jego ciele i upewniając się, że naprawdę tu ze mną jest. Chociaż jednak znaliśmy się dobrze, pomiędzy nami stało ponad sto lat rozłąki, poza tym coś w jego nastawieniu mówiło mi, by nie działać pochopnie.

Kiedy kolory wróciły mi na twarz, poszliśmy do kafejki, w której spędziliśmy wiele godzin. Przy kawie i dziesiątkach papierosów marki Lillet (dla mnie, choć doktor Jonathan tego nie pochwalał) opowiadaliśmy sobie wydarzenia z kilku kolejnych egzystencji. Historie z buszu były fascynujące; zdumiało mnie, że Jonathan może być szczęśliwy w kraju tak suchym i nieurodzajnym, jak Maine było chłodne i obfite. Że potrafi siedzieć w namiocie niczym medytujący heretyk, cierpliwie napełniać strzykawki i nie zważać na krążące nad głową moskity. Moskity, gorączka zachodniego Nilu, jakie to miało dla niego znaczenie? Na ochotnika wyruszył do doliny, w której wybuchła epidemia dengi. Na własnych plecach niósł leki, kiedy land rover nie dał rady przeprowić się przez rzekę. Podziwiałam go, a równocześnie te opowieści

o narażaniu się na niebezpieczeństwo budziły we mnie niepokój.

- Jak mnie znalazłeś po tak długim czasie? - Zadałam wreszcie pytanie, które chciałam zadać od samego początku. Uśmiechnął się tajemniczo i upił kolejny łyk aperitif.

- To zabawna historia. Krótka rzecz ujmując, dzięki współczesnej technologii i szczęściu. Od dawna chciałem cię odszukać, ale nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. Pierwszym tropem była pewna książeczka, którą zobaczyłem w domu kolegi...

- „Nefrytowa pagoda” - domyśliłam się.

- Właśnie - potwierdził. - Czytając ją dziecku kolegi, rozpoznałem cię na ilustracjach. Po krótkich poszukiwaniach dowiedziałem się, że modelka, Beryl Fowles, była Brytyjką mieszkającą w Szanghaju...

- Zawsze lubiłam to nazwisko. Sama je wymyśliłam.

- ...więc wynająłem człowieka, żeby odnalazł wszelkie możliwe informacje o Beryl Fowles. Ale minęło kilkadziesiąt lat.

- Mimo to mnie odnalazłeś.

- Wynająłem detektywa, który sprawdził, kto odziedziczył pieniądze Beryl, i tak dalej, ale ślad w końcu się urwał.

- Nie poddałeś się jednak?

Jonathan znowu się do mnie uśmiechnął.

- W tym miejscu pojawia się technologia. Znasz ten internetowy program rozpoznawania fotografii, pomagający odnaleźć w sieci zdjęcia własne lub przyjaciół? Użyłem obrazka z książki i, cholera jasna, zadziałało. Nie było łatwo, musiałem sporo się namęczyć, ale trafiłem na jedną zgodność, zdjęcie wielkości znaczka pocztowego, które przedstawiało autorkę małej monografii o zażytkowych chińskich filizankach... Nigdy bym nie pomyślał, że zostaniesz ekspertem od chińskiej porcelany. W każdym razie

twój wydawca powiedział, jak się z tobą skontaktować.

Chińskie filizanki powierzył mi mój pracodawca w Szanghaju, u którego się zatrudniłam po tym, gdy pozowałam do zdjęć w księżce. Tak oto moja ostatnia wielka przygoda w Chinach doprowadziła Jonathana do mnie.

Późnym popołudniem wylądowaliśmy w moim domu; wypiliśmy szampana i trzy czwarte butelki caberneta z *foie gras* i grzanekami. Jonathan nalegał, więc oprowadziłam go po domu, ale po każdym kolejnym pokoju wpadałam w coraz większe zakłopotanie. Zdziwiłam samą siebie tą masą przedmiotów, które nagromadziłam przez lata, traktując je jako zabezpieczenie na nieuchronną przyszłość. Jonathan był uprzejmy, chwalił moją przeczność, wyrażającą się w ratowaniu rzadkich i pięknych obiektów dla przyszłych pokoleń, chociaż chciał tylko złagodzić moje wyrzuty sumienia. Lekarz z buszu nie podróżował z frachtowcem pełnym bibelotów, na niego nie czekał magazyn pamiątek. Natrafiłam na pudełko, którego nie widziałam od dwudziestu lat, pełne cennej biżuterii, prezentów od wielbicieli: pierścionek z rubinem wielkości winogrona, spinka z błękitnym brylantem. Widok takiego nadmiaru budził niesmak, wepchnęłam więc pudełko do szafy, w której dotąd zalegało.

Dalej było jeszcze gorzej: rzeczy przeszmyglowane z odległych krajów podczas moich szalonych lat. Jonathan z całą pewnością wiedział, czym są te pięknie rzeźbione posągi Buddy, ręcznie tkane dywany, uroczyse zbroje. Skarby, które wymieniałam na karabiny, zabierałam, trzymając właściciela na muszce, albo zdzierając z trupów. Zamykając drzwi do tych pokoi, przysięgałam sobie w duchu, że się wszystkich tych rzeczy pozbędę, odeślę do muzeów w krajach pochodzenia. Jak mogłam tak długo mieszkać z nimi pod jednym dachem, nie poświęcając im myśli?

Ostatnim pokojem na ostatnim piętrze była moja sypialnia. Panowała w niej smutna atmosfera pokoju niewykorzystywanego zgodnie z przeznaczeniem. Pod wysokimi wąskimi oknami stało szwedzkie łóżko z kotarą z białej bawełny, materac okrywała jasnobłękitna pościel. Osiemnastowieczny francuski sekretarzyk na cienkich nogach służył jako stolik komputerowy, przed nim stało biedermeierowskie krzesło. Na stole leżały papiery i różne drobiazgi, na oparciu krzesła wisiał szlafrok z popielatego jedwabiu. Całość miała wygląd pokoju, w którym dopiero co zdjęto okrycia z mebli i który wciąż oczekuje na lokatora.

Jonathan stał przed obrazem wiszącym naprzeciwko łóżka. Nazwisko artysty dawno poszło w zapomnienie, pamiętałam jednak wyraźnie dzień, w którym wykonano szkic. Jonathan nie chciał pozować do portretu, ale Adair nalegał, i malarz przedstawił modela siedzącego w niedbałej pozie, zachmurzonego, ponurego, a zarazem fascynującego. Myślał, że swoją niechętną postawą zepsuje obraz, a rezultat okazał się całkowicie przeciwny. Oboje przyglądaliśmy się portretowi, cofnięci w czasie o dwadzieścia lat.

- Tyle skarbów zgromadziłaś w tym domu... Wierzyć mi się nie chce, że zachowałaś ten głupi obrazek - powiedział Jonathan. Widząc ból na mojej twarzy, złagodniał i ujął mnie za rękę. - To oczywiście, że tak zrobiłaś... Cieszę się z tego. - Oboje po raz ostatni spojrzeliśmy na szkic i wyszliśmy z pokoju.

Kiedy noc zapadła, Jonathan leżał wyciągnięty na sofie w salonie, a ja siedziałam na podłodze, oparta o podłokietnik. Przez wiele godzin snuliśmy opowieści. Zmieniłam zdanie i ujawniłam nieco ze wstydliwego okresu, kiedy to szukałam przygód w towarzystwie pewnego szaleńca imieniem Sawa. Był jednym z nas, jedynym,

którego kiedykolwiek spotkałam, i należał do wczesnych towarzyszy Adaira. Miał to nieszczęście, że Adair wiele stuleci temu znalazł go błędzącego w zamieci w Sankt Petersburgu. Nie zwierzył mi się ze szczegółów swego rozstania z Adairem, ale mogłam się ich domyślić: Sawa miał zmienne usposobienie i niewyparzony język.

Nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, dlatego też wędrowaliśmy po kontynentach jak wygnańcy. Choć urodzony w krainie lodu i śniegu, Sawa czuł niewytłumaczalny pociąg do upału i słońca, co oznaczało, że głównie przebywaliśmy w północnej Afryce i środkowej Azji. Z nomadami podróżowaliśmy przez pustynię, przez Przełęcz Chajberską szmuglowaliśmy broń. Uczyliśmy beduinów posługiwania się długą bronią, mieszkaliśmy nawet przez jakiś czas z Mongołami (imponowały im niezwykle jeździeckie umiejętności Sawy). Byliśmy razem do końca dziewiętnastego wieku, kiedy z powodu burzy piaskowej utknęliśmy w hotelu w Kairze. Przyczyną rozstania nie była kłótnia, żaden brzydki incydent nie sprowokował nas do wyrzucenia z siebie tłumionych od dawna uraz. Po prostu pojęliśmy, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Przypuszczalnie powinniśmy byli się rozejść dziesiątki lat wcześniej, ale zbyt łatwe było życie z kimś, komu niczego nie trzeba tłumaczyć. Wciąż się kontaktowaliśmy mniej więcej co dwadzieścia lat pijanym telefonem albo kartką z okazji rzadko obchodzonego święta, zupełnie jak to bywa ze starym, rozwiedzionym małżeństwem.

- A ty? - Wykorzystałam okazję, by zmienić temat, bo wyczerpało mnie to odgrzebywanie wspomnień. - Z całą pewnością nie spędziłeś całego tego czasu sam. Ożeniłeś się ponownie?

Wykrzywił usta, ale nic nie odpowiedział.

- Nie mów mi, że byłeś samotny. To byłoby smutne.

- Cóż, nie użyłbym tego określenia. Lekarz w takich wioskach rzadko bywa samotny, wszyscy domagają się jego uwagi i są szczęśliwi z powodu jego obecności... Częstowali mnie, zapraszali na uroczystości. Brałem udział w ich życiu. - Oczy mu się kleiły, na twarzy zagościł smutek. Nakryłam go pledem. Na moment uniósł powieki.

- Wracam do Maine. Chcę znowu zobaczyć tamte strony. Dlatego cię znalazłem, Lanny. Chcę, żebyś pojechała ze mną. Pojedziesz ze mną?

Musiałam zwalczyć łzy.

- Oczywiście, że tak.

ROZDZIAŁ 48

Do Ameryki wróciliśmy jednym z tych gigantycznych airbusów. Jonathan zasnął, ledwo samolot wystartował z Orly. Z Nowego Jorku poleciliśmy do Bangor, a tam wynajęliśmy suwa, którym pojechaliśmy na północ. Nie widziałam tych okolic przez dwa stulecia i choć może to dziwnie zabrzmieć, niektóre części prawie wcale się nie zmieniły. W pozostałych były asfaltowe szosy, wiktoriańskie domostwa, rozległe uprawne pola, wąskie rury systemu irygacyjnego na horyzoncie. Patrząc na to wszystko przez okno wielkiego, wygodnego samochodu, łatwo mogłam oszukać samą siebie, że nigdy tu nie byłam. A potem droga z pól skręciła w ogromne lasy. Zanurzyliśmy się w zimny chłód pod koronami gigantycznych drzew, które zasłaniały niebo. Samochód jechał w górę i w dół, mijał wielkie omszałe głązy, wyłaniające się z ziemi. Wszystko to dobrze pamiętałam. Zobaczyłam drzewa i cofnęłam się o dwieście lat, falą powróciły wspomnienia mojego pierwszego, prawdziwego życia, które mi odebrano. To samo musiał czuć Jonathan.

Instynkt powiedział nam, że nasz dom się zbliża. Podróż samochodem minęła szybko. Kiedy ostatnio ją odbywaliśmy, spędziliśmy tygodnie w powozie; Jonathan był w szoku po tym, co mu zrobiłam, i prawie się do mnie nie odzywał.

Wjeżdżając do miasteczka, milczeliśmy. Jakże wszystko się zmieniło. Nie mogliśmy nawet być pewni, że droga, główna droga biegnąca przez środek miasta, była tym samym zakurzonym szlakiem, który dwa wieki temu prowadził do dopiero się rozwijającego St. Andrew. Gdzie jest kościół i cmentarz? Czy stąd nie powinniśmy widzieć zboru? Jechałam wolno, byśmy mogli nałożyć miasteczko, które znaleźliśmy, na to, które teraz rozciągało się przed naszymi oczyma.

Przynajmniej St. Andrew nie upodobniło się do innych miast w Ameryce, gdzie każdy sklep, restauracja i hotel są produktem międzynarodowych korporacji, identycznym w każdym innym miejscu świata. Odznaczało się niejaką indywidualnością, nawet jeśli utraciło swój pierwotny charakter. Zniknęły rozległe farmy, w promieniu piętnastu kilometrów nie było śladu drwali. W ich miejsce pojawiła się branża turystyczna. Po obu stronach głównej ulicy znajdowały się sklepy ze sportową odzieżą, firmy prowadzone przez wyszorowanych białych ludzi w postrzępionych ubraniach, którzy zabierali innych białych ludzi na wyprawy przez las, spływy kajakowe nurtem Allagasti albo całodzienne wędkowanie, przy czym zdobycz wracała do rzeki, kiedy została obdarzona stosownym podziwem. Tam gdzie dawniej były domostwa, budynki gospodarcze, kuźnia Tinky'ego Talbota i sklep Watfordów, teraz znajdowały się sklepy i restauracje. W końcu ze zdumieniem stwierdziliśmy, że zbor kongregacjonalistów został zburzony, a centrum miasteczka zajmują sklep żelazny, lodziarnia i poczta. Przynajmniej cmentarz pozostawiono w spokoju.

Nowe pokolenie mieszkańców pewnie uważało, że tak jest dobrze i miło, i gdybym nie znała miasteczka sprzed dwóch wieków, nie miałabym żadnych zastrzeżeń. Teraz jednak St. Andrew zarabiała na życie spełnianiem kaprysów nieznanym, a to wydawało się degradacją, jak przekonanie się, że w domu twojego dzieciństwa mieści się teraz burdel albo, co gorsza, sklepik spożywczy. St. Andrew przehandlowało duszę za łatwiejsze życie, ale kim byłam, by to oceniać?

Wynajęliśmy pokój w ośrodku poza miastem; przeznaczony dla sezonowych myśliwych i wędkarzy ośrodek Dunratty'ego był jak stary motel, podniszczony na skutek nieuniknionego zaniedbania. Z założenia miał pociągać mężczyzn, którzy oczekiwali niejakego odosobnienia. Rząd dziesięciu domków ciągnął się od recepcji. Poprosiliśmy o pokój położony najbliżej lasu. Recepcjonista nic nie powiedział, tylko dyskretnie sprawdził, czy mamy broń lub sprzęt wędkarski, a niczego nie znalazłszy, wolno, z rezygnacją wrócił do pracy. Zapytał, czy jesteśmy małżeństwem, jakby sądził, że jeden z jego ponurych domków zostanie wykorzystany w charakterze miłosnego gniazdka. W ośrodku nie ma nikogo prócz nas, powiedział, możemy więc liczyć na całkowity spokój. Gdybyśmy go potrzebowali, znajdziemy go w domu (wskazał przy tym dość mgliście kierunek), poza tym nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Domek był obrzydliwy, obity tanimi panelami, z dachem ze sklejki. W środku stały dwa metalowe łóżka w stylu z czasów Wielkiego Kryzysu, niewiele większe od pojedynczych, ale o wiele mniejsze od podwójnych, rozdzielone małą komódką, na której stała ceramiczna lampa. Dwa wytarte fotele ustawiono naprzeciwko trzydziestoletniego na oko telewizora. Pod jedną ścianą był mały okrągły stolik i trzy kuchenne taborety. Jedne drzwi prowadziły do niewielkiej funkcjonalnej kuchni, drugie do lekko

zatechłej łazienki. Roześmiałam się, kiedy Jonathan rzucił walizki na łóżko.

- Zostajemy? - zapytałam z niedowierzaniem. - Musi być jakieś przyjemniejsze miejsce, może w miasteczku.

Jonathan nie odpowiedział, stał przed rozsuwanymi szklanymi drzwiami. Za prostym drewnianym tarasem rozciągały się lasy, konary potężnych drzew górowały nad nami, poruszane wiatrem. Otworzyliśmy drzwi, a gdy wyszliśmy, otuliło nas świeże powietrze. Stojąc na niewielkim tarasie, długo wpatrywaliśmy się w gęsty las. To był dom, który znaliśmy, odnalazł nas.

- Zostajemy - odparł Jonathan.

Okolo piątej po południu wyszliśmy z domku, bo chcieliśmy się rozejrzeć, zanim zajdzie słońce. Poruszanie się po mieście było trudne, drogi prowadziły nas w zupełnie innym kierunku, niż oczekiwaliśmy - rezultat rozmaitych przebudów. Obecny układ ulic zaprojektowały nowoczesne firmy zajmujące się wyrębem, szlaki wiodły w las bez widocznego powodu i łączyły się z autostradą, którą z kolei dojechaliśmy do miejsca, gdzie rzeka St. John wpływa do Allagasti. Po dwóch falstartach znaleźliśmy drogę, która przypominała nam szlak prowadzący do domu Jonathana. Kiedy bez słowa skinął głową, pojechaliśmy nią do końca.

Przez tunel pod splątanymi konarami drzew dotarliśmy na łąkę, która niegdyś była pastwiskiem przed domem rodziny St. Andrew. Drogę przesunięto, nie biegła rowem koło lodowni, a potem w górę, do siedziby, ale rozpoznałam ukształtowanie terenu. Podjazd prowadził prosto do domu, wciąż stojącego na wzniesieniu. Przyspieszyłam, oboje chcieliśmy go zobaczyć, zaraz jednak zwolniłam. Dom wciąż stał, lecz tylko ktoś, kto niegdyś w nim mieszkał, mógł go rozpoznać.

Niegdyś wspaniały, teraz popadł w minę. Był niby trup pozostawiony na łasce żywiołów, szkielet pozbawiony cech charakterystycznych dla żywego człowieka. Ściany się zapadły, farba złuszczyła, brakowało dachówek i paneli. Nawet rząd sosen, tworzących w przeszłości zaporę przed wiatrem, teraz się przerzedził, wyglądały na niekochane, jak drzewa, które rosną na cmentarzu.

- Nikt w nim nie mieszka - stwierdził Jonathan.

- Kto by pomyślał - odparłam, nie wiedząc, jak zareagować. - Och, Jonathanie... przynajmniej wciąż jest na swoim miejscu. Widziałeś, tam gdzie był mój dom, teraz są wyłącznie skrzyżowania. Świat idzie dalej, prawda?

Jonathan milczeniem skwitował moją próbę wprowadzenia wesołego nastroju. Zawróciliśmy i ruszyliśmy do miasta.

Na kolację poszliśmy do małej restauracji w centrum. To była restauracja w tym sensie, że serwowano tu posiłki, ale pod żadnym innym względem nie przypominała lokali, w których bywałam. Należało raczej nazwać ją jadłodajnią: kilkanaście stołów z laminowanymi blatami i metalowymi krzesłami, ceratowe obrusy, papierowe serwetki, karty dań w poślizniętym plastiku, choć można było bezpiecznie się założyć, że menu nie uległo zmianie od dwudziestu lat. Poza mną i Jonathanem było trzech innych gości, mężczyzn w dżinsach, flanelowych koszulach i czapkach, którzy siedzieli przy oddzielnych stolikach. Kelnerka przypuszczalnie także gotowała. Podając karty dań, przyjrzała się nam krytycznie, jakby się zastanawiała, czy ma nas obsłużyć. Z radia płynęła słodka muzyka country.

Zamówiliśmy potrawy, których za granicą od dawna, o ile kiedykolwiek, nie jedliśmy: smażone filety z sumą, kurczaka i kluski, potrawy niemal egzotyczne w swej obcości. Wolno popijaliśmy piwo z butelki, niewiele mówiąc, oboje bowiem mieliśmy

wrażenie, że pozostali goście nas obserwują. Kelnerka - włosy jak skręcone druty i wyraźne bruzdy na twarzy - spojrzała znacząco na wół opróżnione talerze, dopiero potem zapytała, czy chcemy deser.

- Ciasto jest dobre - oznajmiła obojętnie, jakby wygłaszała ogólną uwagę.

- Czy wizyta w domu była dla ciebie rozczarowaniem? - zapytałam, kiedy kelnerka podała nam następne piwo.

Jonathan pokręcił głową.

- Powinienem się chyba tego spodziewać, ale nie byłem przygotowany.

- Tyle tu się zmieniło, choć pod pewnymi względami wciąż jest tak samo. Jestem kompletnie zdezorientowana. Gdyby nie ty, wyjechałabym.

Wyszliśmy na ulicę. Wszystko było zamknięte z wyjątkiem małego baru o nazwie Blue Moon, jeśli sądzić po absurdalnym neonowym szyldzie w kształcie półksiężyca. Brzmiało to romantycznie, ale przez okno dojrzałam, że pełno w nim mężczyzn, kierowców ciężarówek i drwali, którzy w telewizji oglądają transmisję sportową. Z części handlowej miasta doszliśmy na cmentarz. Księżyc oświetlał nagrobki, mogliśmy swobodnie między nimi błądzić.

Cmentarz był zaniedbany i zarośnięty. Dzikie jeżyny, pokrzywy i krzewy porastały zrujnowany kamienny mur i dwie kolumny, które niegdyś stały przy wejściu, a także część nagrobków. Po wielu mroźnych zimach niektóre tablice pękły, inne uległy erozji lub zostały zniszczone przez wandalów. Szłam szybkim krokiem między grobami, nie mając ochoty w ten sposób odwiedzać dawnych sąsiadów, Jonathan tymczasem przesuwiał się od nagrobka do nagrobka, próbował odczytywać inskrypcje, wrywał zialska, które je zasłaniały. Widząc, jaki jest smutny i zraniony, musiałam stłumić impuls, by ująć go za łokieć i wyprowadzić.

- Popatrz, grób Isaiaha Gilberta! - zawołał. - Umarł w roku... 1842.

- Piękny wiek. Długo żył - odpowiedziałam z miejsca, gdzie paliłam, otrząsając się ze wspomnień i zawrotu głowy.

Przy następnym grobie Jonathan kucnął, rozglądając się po cmentarzu.

- Ciekawe, czy jest tu ktoś, kogo znamy.

- Niektórzy na pewno wyjechali, to nieuniknione. Znalazłeś kogoś z mojej rodziny?

- A nie powinni być na katolickim cmentarzu po drugiej stronie miasta? - zapytał, idąc wolno alejką. - Możemy tam pojechać, jeśli chcesz.

- Nie, dzięki. Nie jestem ciekawa.

Wiedziałam, że Jonathan trafił na coś ważnego, kiedy ukląkł przy wielkim podwójnym nagrobku z szorstkiego, zniszczonego upływem czasu kamienia. Widziałam tył tablicy, nie mogłam więc odczytać inskrypcji.

- Czyj to grób? - zapytałam, podchodząc do niego.

- Mojego brata. - Jonathan gładził wyryte litery. - Benjamina.

- I Evangeline. - Położyłam dłoń na drugiej części. Evangeline St. Andrew. Ukochana żona. Matka Ruth.

- Więc się pobrali.

- Chodziło o honor rodziny? - zapytałam, przesuwając palcami po napisie. - Żyła dość krótko.

- A Benjamina pochowano obok niej, nigdy ponownie się ożenił.

Przez następną godzinę odnaleźliśmy także matkę Jonathana i jego córkę Ruth, ostatnią z rodziny St. Andrew, mieszkającą w tym miasteczku. Grobów sióstr nie było i Jonathan miał nadzieję, że wyszły za mąż, opuściły miasteczko, założyły szczęśliwe rodziny gdzieś indziej i zostały pochowane obok mężów w weselszym otoczeniu. Że zdołały uciec przed melancholią St. Andrew.

Wróciliśmy do domku. Z Francji przeschmuglowałam dwie butelki doskonałego caberneta. Odkorkowaliśmy jedną i odstawiliśmy, by wino oddychało na stole, a sami położyliśmy się do łóżka. Tuliłam Jonathana; kiedy zimne dreszcze przestały nim wstrząsać, zdjęłam z niego ubranie. Okryci miękką ze starości pościelą z białej bawełny, popijaliśmy wino i rozmawialiśmy o naszym dzieciństwie, o rodzeństwie, przyjaciółach, wrogach, niegdyś tak nam bliskich, a teraz od dawna martwych, zmienionych przez rozkład w składnik ziemi, podczas gdy my w sposób niewytłumaczalny wciąż żyliśmy. Nawet teraz nie potrafiłam się zmusić, by powiedzieć mu o Sophii. Kiedy Jonathan zapadł w sen, rozplakałam się - a płakać miałam często.

ROZDZIAŁ 49

Nie odbywaliśmy więcej wycieczek w przeszłość, nie odwiedzaliśmy cmentarzy, nie szukaliśmy w lesie ścieżek niegdyś dobrze znanych, a teraz ledwo widocznych i upiornych. Spacerowaliśmy brzegiem Allagash i zamiast wspominać wypadki, które tu albo tam się zdarzyły, oglądaliśmy łosie i jelenie, podziwialiśmy promienie słońca, igrające na wodzie. Spędzaliśmy czas spokojnie.

A ten czas, spędzany w jego towarzystwie, był jak alkohol, którego nie miałam dość. Myślałam, że może uda się nam zagubić tu, gdzie wszystko się zaczęło. Może Jonathan zechce pozostać w znajomym miejscu. Nie musielibyśmy mieszkać w samym St. Andrew; miasto bardzo się zmieniło i pobyt tutaj mógłby wprowadzić nas w niepokój. Znaleźlibyśmy sobie działkę w lasach, zbudowali tam samotny domek, gdzie żylibyśmy z dala od wszystkiego i wszystkich. Bez gazet, bez zegara, bez naglącego tykania czasu, odbijającego się echem w uszach. Nie musielibyśmy co pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat wyjeżdżać, by pojawiać się jako ktoś inny w innym kraju niczym kurczak świeżo wykluty z jajka, lecz przynajmniej w sercu być osobami, którymi zawsze byliśmy i od których nie potrafiliśmy uciec.

Pewnego wieczoru owinięci w kurtki siedzieliśmy na zniszczonym tarasie domku, piliśmy wino ze szklanek i patrzyliśmy na księżyc. Jonathan skierował rozmowę na przeszłość, co napełniło mnie niepokojem. Zastanawiał się, czy Evangelinie miała trudne, nieszczęśliwe życie po jego zniknięciu i czy to on był powodem przedwczesnej śmierci matki. Powtarzałam, że bardzo mi przykro, ale Jonathan nie chciał tego słuchać, kręcił głową i mówił, że to była jego wina, bo bardzo źle mnie potraktował, wykorzystując moją miłość do niego. Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Ale tak bardzo cię pragnęłam - powiedziałam. - Wina nie leży wyłącznie po twojej stronie.

- Chodźmy do lasu - zaproponował. - Do tego brzeziniowego zagajnika, gdzie się spotykaliśmy. Często o tym myślałem, to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Myślisz, że te brzozy wciąż tam rosną? Byłoby mi przykro, gdyby ktoś je ściął.

Wstawieni i rozgrzani alkoholem, wsiedliśmy do Suva, chociaż musiałam wrócić do domku po koc i latarkę. Przyciskałam otwartą butelkę wina do piersi, Jonathan prowadził. Musieliśmy zostawić samochód na poboczu traktu i ostatnie kilkaset metrów przejść pieszo.

Udało nam się odnaleźć polanę, choć i ona się zmieniała. Młode drzewka urosły, ale osiągnąwszy określoną wielkość, zatrzymały się. Najdłuższe gałęzie połączyły się, tworząc baldachim i rzucając cień na sadzonki, które usiłowały piąć się w górę. Pamiętałam tę polanę z dzieciństwa, to tutaj się spotykaliśmy, by śmiać się i opowiadać sobie historie ze swego samotnego życia, ale czas odebrał jej wyjątkowe piękno. Przestała być czarowna i wdzięczna, teraz niczym nie różniła się od innych fragmentów lasu.

Rozłożyłam koc na ziemi. Leżeliśmy na plecach, usiłując poprzez liście dojrzeć nocne niebo, ale widać je było tylko

w małych fragmentach. Chcieliśmy wierzyć, że to jest miejsce naszych spotkań, oboje jednak wiedzieliśmy, że może się ono znajdować pięć kroków na zachód albo sto metrów w lewo; krótko mówiąc, było to miejsce dobre jak każde inne w tych lasach, pod warunkiem że korony drzew nie są tu nazbyt gęste, a my leżymy i oglądamy gwiazdy.

Rozmowa o dzieciństwie przypomniła mi o brzemienu, które przez cały ten czas nosiłam. Nadeszła pora, by powiedzieć Jonathanowi prawdę o Sophii. Dawne sekrety mają największą moc, dlatego obawiałam się jego reakcji. Dzisiaj wieczorem nasze spotkanie po długiej rozłące może się zakończyć, Jonathan na zawsze ze mną zerwie. Te obawy omal nie skłoniły mnie do wycofania się, ale nie mogłam pozwolić, by ta sprawa nadal nade mną wisiała. Musiałam przemówić.

- Jonathanie, muszę ci coś powiedzieć. To dotyczy Sophii.

- Hm?

- Zabiła się przeze mnie. To moja wina. Okłamałam cię, kiedy zapytałeś, czy się z nią widziałam. Groziłam jej.

Powiedziałam, że jej życie będzie zrujnowane, jeśli urodzi dziecko, bo ty nigdy się z nią nie ożenisz, nie chcesz mieć z nią więcej do czynienia. - Zawsze mi się wydawało, że zaleję się łzami podczas tego wyznania, ale tak nie było. Tylko zęby zaczęły mi szczekać.

Odwrócił się do mnie, ale nie potrafiłam w mroku dojrzeć wrazu jego twarzy. Minęło kilka sekund, nim odpowiedział:

- Czekaaś tak długo, by mi to powiedzieć?

- Wybacz mi, proszę...

- Wszystko w porządku, naprawdę. Wiele o tym myślałem. Śmieszne, jak z czasem inaczej postrzegasz różne sprawy. Wtedy uważałem, że rodzice nigdy nie pozwolą mi ożenić się z Sophią, ale jak właściwie mogliby mnie powstrzymać? Gdybym zagroził,

że opuszczę rodzinę, żeby być z Sophią i dzieckiem, nie wydziedziczyliby mnie. Ustąpiliby. Byłem ich jedyną nadzieją na to, by firma trwała, by po ich śmierci Benjamin i dziewczęta nie zostali bez opiekuna. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie wiedziałem, co robić, i zwróciłem się do ciebie. To nie było w porządku, teraz to widzę. Dlatego... na równi z tobą ponoszę odpowiedzialność za samobójstwo Sophii.

- Ożeniłbyś się z nią?
- Sam nie wiem... niewykluczone, że tak, dla dobra dziecka.
- Kochałeś ją?
- Minęło tyle czasu, nie pamiętam dokładnie swoich uczuć. -

Może mówił prawdę, ale nie zdawał sobie sprawy, że taką odpowiedzią doprowadza mnie do szaleństwa. Byłam przekonana, że kobiety są w jego życiu najważniejsze, i pragnęłam się dowiedzieć, jakie miejsce zajmuję, kto mnie wyprzedza, kto jest za mną. Pragnęłam uproszczenia naszej skomplikowanej historii, przecież po tylu, tylu latach sprawy musiały się uporządkować. Teraz Jonathan chyba już wie, co czuje.

Siedziałam, nie dotykając go, i to mnie denerwowało. Potrzebowałam jego dotyku, by zyskać pewność, że nie czuje do mnie nienawiści. Nawet jeśli nie obwiniął mnie o śmierć Sophii, wstrętem mogły napawać go wszystkie straszne rzeczy, które w życiu zrobiłam.

- Zimno ci? - zapytałam.
- Trochę. A tobie?

- Nie, ale mogę się koło ciebie położyć? - Zdjęłam kurtkę i przykryłam nas oboje. Para naszego oddechu wisiała nad nami niczym zjawa na tle nocnego nieba.

- Masz lodowatą rękę. - Uniosłam jego dłoń i pochuchałam, a potem pocałowałam każdy palec z osobna. Pogładziłam go po

policzku. - Twarz też masz zimną. - Nie protestował, kiedy całowałam jego zarośniętą przystojną twarz, prosty nos i cienkie jak bibułka powieki. Nie sprzeciwiał się, kiedy odsunęłam jego ubranie, odsłaniając pierś i lędźwie. Potem sama się rozebrałam i przytuliłam do niego, czując na pośladkach flanelową podszewkę kurtki.

Kochaliśmy się na tym kocu pod gwiazdami, ale między nami zaszła zmiana. Akt był czuły, niespieszny, niemal ceremonialny - ale czy mogłam narzekać? Żar młodzieńczej namiętności minął, w jego miejsce pojawiła się czułość, ale i tak napełniło mnie to smutkiem. Jakbyśmy się ze sobą żegnali.

A kiedy było po wszystkim, nachylałam się nad nim jak dżokej i jego oddech muskał moje ucho. W końcu Jonathan wciągnął spodnie, ja zaś z kieszeni wyjęłam paczkę papierosów. Smuga dymu uniosła się w zimnym powietrzu, ciepło, które poczułam w płucach, podziałało na mnie uspokajająco. Paliłam, Jonathan gładził mnie po głowie.

Już przedtem zadawałam sobie pytanie, jak zakończy się ta podróż. Jonathan nic nie mówił, nie wiedziałam więc, czego się spodziewać. Nie zarezerwowaliśmy lotu na konkretną datę, a on nie wspomniał, kiedy oczekują go w obozie uchodźców. Co nie znaczyło, że nasz pobyt będzie długo trwał, nie spotkało nas tu nic poza rozczarowaniem (przeplatany szaloną tęsknotą za szczęśliwym zakończeniem), poza przypomnieniem o stracie. Powitały nas tylko drzewa i piękne niebo.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że to ja jestem powodem melancholii Jonathana. Zawiodłam go albo wciąż nie zdołałam mi wybaczyć. Nie rozmawialiśmy o jego odejściu, zakładałam, że znam przyczynę: po latach frustracji i pretensji nie mogłam dłużej znieść, że ciągle zawodzi moje oczekiwania.

Teraz jednak nie chodziło o bycie razem na zawsze, lecz o coś innego, nie potrafiłam tylko sprecyzować, o co. Pragnął być ze mną, to nie ulegało wątpliwości, w przeciwnym razie nie prosiłby, żebym z nim wyjechała. Gdyby nadal się gniewał, nie skontaktowałby się ze mną, nie przysłał mi e-maila, nie pił szampana, nie całował, nie pozwolił, bym tuliła się do niego w łóżku. Przy nim zawsze dręczyła mnie niepewność, ciężar mojej miłości był jak głaz zawieszony u szyi.

- Co chcesz robić jutro? - zapytałam z udaną nonszalancją, gasząc papierosa w ziemi, a Jonathan uniósł twarz ku gwiazdom i zamknął oczy. - No dobrze - powiedziałam przeciągle, kiedy nie odpowiadał. - Jak długo chcesz tu zostać? Nie ponaglam cię, zostanę tak długo, jak zechcesz.

Uśmiechnął się, ale wciąż milczał. Położyłam się na boku, oparłam na łokciu.

- Zastanawiałeś się, co będziemy robić dalej? Myślałeś... o nas?

Wreszcie otworzył oczy.

- Lanny, poprosiłem cię, żebyś tu ze mną przyjechała, bo miałem powód. Nie domyśliłaś się?

Pokręciłam głową.

Sięgnął po butelkę wina i napił się, potem mi ją podał. Była prawie pusta.

- Wiesz, dlaczego chciałem, żebyśmy tu wrócili?

Znowu pokręciłam głową.

- Zrobiłem to dla ciebie.

- Dla mnie?

- Miałem nadzieję, że to cię uszczęśliwi, jeśli wrócimy tu razem, zawrzemy pokój po tym, gdy cię opuściłem. Ta podróż nie była dla mnie - powrót tutaj to dla mnie piekło. Wiedziałem, że tak będzie. Zawsze żałowałem, że nie mogłem nic zrobić dla

mojej rodziny, żony i córki, które sądziły, że je opuściłem. Oddałbym wszystko, żeby tamto wróciło.

Jak mógł tak nagle się zmienić, stać się taki niedobry? Miałam wrażenie, jakby między nami wyrastała niewidzialna lodowata ściana.

- To nie była twoja wina - odparłam, jakbyśmy oboje nie wiedzieli, czyja to jest wina. Nie miałam ochoty na wino, oddałam więc butelkę Jonathanowi. - Jaki sens mówić o tym, Jonathanie? Ani ty, ani ja nie zdołamy w żaden sposób odwrócić biegu wydarzeń. Co się stało, to się nie odstanie.

- Co się stało, to się nie odstanie - powtórzył, po czym wypił resztę wina. Wpatrywał się w ciemność, starannie unikając mojego wzroku. - Jestem znużony, Lanny. Nie zdołam dłużej znieść tego niekończącego się kołowrotu dni... Próbowałem wszystkiego, co przychodziło mi do głowy, by jakoś dawać sobie radę.

- Proszę, Jonathanie, jesteś pijany. I zmęczony...

Butelka spadła na miękką ziemię, gdy Jonathan usiadł prosto.

- Wiem, co mówię. Dlatego prosiłem, żebyś ze mną przyjechała. Tylko ty możesz mi pomóc.

Wiedziałam, do czego zmierza: życie toczy się cyklami, nawet najgorsze rzeczy powracają, następując ci na pięty. Kłóciliśmy się o to co wieczór przez miesiące - lata? - zanim mnie opuścił. Rozkazywał, błagał, groził. To był prawdziwy powód jego odejścia: odszedł nie dlatego, że ciągle sprawiał mi zawód, ale dlatego, że ja nie chciałam mu dać jedynej rzeczy, na której mu zależało. Towarzyszyłyby nam nieustannie jego pragnienie ucieczki przed wszystkim, o czym chciał zapomnieć: zaniedbane obowiązki, martwe dziecko, zdrada ze strony osoby, która najmocniej go kochała. A uciec mógł tylko w jeden sposób.

- Nie możesz mnie o to prosić. Zgodziliśmy się, że nie możesz wymagać ode mnie takiej strasznej rzeczy. Nie możesz zostawić mnie samej z... tym.

- Nie sądzisz, że zasłużyłem na wolność, Lanny? Musisz mi pomóc.

- Nie mogę.

- Chcesz, żebym powiedział, że jesteś mi to winna?

To zabolalo, bo nigdy wcześniej tego nie mówił. Jakimś sposobem zdołał się powstrzymać od rzucenia mi w twarz tych słów, choć w pełni sobie na nie zasłużyłam. *Jesteś mi to winna, ponieważ tymi to zrobiłaś. Rzuciłaś na mnie klątwę.*

- Jak możesz tak mówić! - krzyknęłam żałośnie, zamierzając oddać cios, sprawić, by poczuł się tak samo okropnie, jak ja przez niego. - Odszedłeś i przez tyle, tyle lat kazałeś mi się zastanawiać?

- Ale nie byłaś sama. W pewien sposób wciąż przy tobie byłem. Nieważne, gdzie mieszkałaś, wiedziałaś, że ja też gdzieś tam jestem. - Jonathan z trudem usiadł, ciężko oddychając. - Ale w moim życiu wszystko się zmieniło. Mam ci coś do powiedzenia. Nie chciałem tego robić, Lanny, nie chciałem cię ranić, ale musisz zrozumieć, dlaczego znowu cię o to proszę. Dlaczego dla mnie jest to takie ważne. - Odetchnął głęboko. - Widzisz, zakochałem się.

Spodziewał się, że źle zareaguję na tę wiadomość o najlepszej rzeczy, jaka mogła mu się przydarzyć. Otworzyłam usta, by po gratulować, ale nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

- To była Czeszka, pielęgniarka. Poznaliśmy się w obozie, pracowała dla innej organizacji charytatywnej. Pewnego dnia wezwano ją do Nairobi na naradę. Przez radio dostałem wiadomość, że zginęła w wypadku samochodowym w mieście. Zajął mi cały dzień, żeby helikopterem polecieć po jej ciało. Spędziliśmy ze

sobą zaledwie kilka lat. Nie potrafiłem uwierzyć w tę niesprawiedliwość, czekałem tak długo, żeby znaleźć kobietę, która była mi przeznaczona, a los dał nam tylko chwilę. - Mówił spokojnie, bez żalu, sądzę, że chciał mnie oszczędzić. Mimo to czułam, jak moje wnętrze zawiązuje się w supeł.

- Rozumiesz teraz? Dłużej nie mogę.

Pokręciłam głową, zdecydowana, że wobec jego cierpienia będę twarda.

- Nie chcę cię ranić - mówił dalej. - Wiem, że dobrze znasz ból, który odczuwam. Mam ci powiedzieć, jaka była cudowna? Jak musiałem ją pokochać? Jak nie wyobrażam sobie życia bez niej?

- Ludzie codziennie to przeżywają - zdołałam wydusić. - Czas mija, ty zapominasz. Jest łatwiej.

- Nieprawda. Nie dla mnie. Wiem o tym tak samo jak ty. - Może w tamtej chwili trochę mnie nienawdził. - Dłużej tak nie mogę. Nie zniosę jej straty, nie potrafię pogodzić się z myślą, że nic, absolutnie nic nie powstrzyma tego bólu. Oszaleję i na zawsze będę uwięziony w tym ciele. Nie możesz mnie na to skazywać. Nie chciałem w taki sposób cię o to prosić. Nie zamierzałem mówić ci o niej... tak nieoczekiwanie. Ale mnie zmusiłaś, a teraz, gdy już wiesz... nie możemy zawrócić. Wszystko jest jasne, wiesz, czego od ciebie chcę. Musisz mi pomóc.

Złapał butelkę i uderzył nią w kamień. Otoczyła nas kaskada wysokich i przeraźliwych nut. Jonathan trzymał w dłoni szyjkę, ostre krawędzie zielonego szkła wyglądały jak bukiet. To była jedyna broń, jaką dysponowaliśmy, prymitywna i gwałtowna. Chciał się wykrwawić na śmierć.

Nie możesz zostawić mnie samej, bez ciebie.

Pragnęłam mu to powiedzieć, ale nie byłam w stanie. Przedstawił argument, z którym nie mogłam dyskutować: utracił ukochaną i nie potrafił dalej żyć. Nadeszła pora, by pozwolić mu odejść.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Zorientowałam się, że płacę, kiedy powiew wiatru uderzył w moje mokre policzki, wywołując zimno podobne do ognia. Jonathan wyciągnął rękę i dotknął moich łez.

- Wybacz mi, Lanny. Wybacz, że do tego doszło. Przykro mi, że nie mogłam dać ci tego, czego pragnęłaś. Próbowałam, nie wiem nawet jak bardzo się starałam uczynić cię szczęśliwą, ale mi się nie udało. Zaslugujesz, by ktoś cię pokochał tak, jak zawsze marzyłaś. Modlę się, byś znalazła taką miłość.

Wolnym ruchem odebrałam mu butelkę. Jonathan podniósł koszulę i odsłonił się, a ja przeniosłam wzrok ze swojej dłoni na jego bladą klatkę piersiową, połyskującą sino w świetle księżyca.

Powinniśmy byli mieć wielką miłość.

Kłęczeliśmy naprzeciwko siebie. Dygotaliśmy, ponieważ wiedzieliśmy, że innego wyjścia nie mamy. Nie mogłam spojrzeć mu w twarz. Po prostu przycisnęłam się do niego, wiedząc, że krawędź szkła dokona reszty. Zielone zęby wbiły się głęboko w jego ciało, krew trysnęła mi na palce. Jonathan cichutko westchnął.

A potem cofnęłam dłoń i na białej skórze pojawiły się trzy głębokie rysy, z których wyciekło więcej krwi. Jonathan zgarbił się, padł na brzuch, a potem przekręcił się na plecy, dłonie słabo przyciskając do rany, z której płynął bulgoczący strumień krwi. Byłam zdumiona, że ciało tak szybko przestało walczyć. Oczekiwałam, że rana się zasklepi, ale na próżno. Tyle krwi. *Obudź się*, słyszałam z oddali własny głos. *Musisz się obudzić*.

I obudziłam się w lesie, a mój ukochany się kołysał, wstrząsany konwulsjami, dławił się i kaszlał, ale się uśmiechał. Jego pierś wolno się podnosiła i opadała, pojęłam wtedy, że już raz widziałam Jonathana w takim stanie. To było w stodole Daughtery'ego. W tej samej chwili rzuciłam się ku niemu, przyciskałam jego koszulę do ran, niemądrze próbując powstrzymać śmiertelny krwotok.

Jonathan pokręcił głową i próbował odepchnąć moją rękę. W końcu mogłam go tylko trzymać w objęciach.

Wtedy też dotarła do mnie świadomość straty. Jonathan zawsze był, nawet przez lata naszej rozłąki, i w tyle głowy zawsze słyszałam wibrowanie, przynoszące pociechę. Teraz pozostała mi tylko wielka próżnia. Straciłam najważniejszą rzecz w moim życiu. Nie miałam nic. Byłam samotna, przygniatał mnie ciężar świata i nikt nie mógł mi pomóc. Popęłniłam błąd. Pragnęłam, by Jonathan powrócił. Lepiej być egoistką. Wołałabym jego wieczną pogardę od tego uczucia. To było nie do zniesienia, czuć to wszystko i nie móc w żaden sposób tego zmienić.

Trzymałam jego ciało przez długi czas, aż krew ostygła, a mnie okryła śliska warstwa. Nie pamiętam, kiedy go wypuściłam z ramion. Nie pamiętam, jak biegłam przez las i krzykiem błagałam niebios, by się nade mną zlitowały i pozwoliły mi umrzeć. Niech dla mnie także się to skończy. Nie jestem w stanie żyć bez niego. Nie pamiętam, jak znalazłam się na autostradzie, jak wędrującą bez celu znalazł mnie szeryf z zastępcą. Dopiero kiedy w kajdanach wsadzili mnie do wozu, pojęłam, że najbardziej pragnę być z powrotem lesie, przy Jonathanie, umrzeć z nim, tak byśmy mogli na zawsze być razem.

ROZDZIAŁ 50

Paryż, dzisiaj

Wąski korytarz wypełniony jest skrzyniami z surowego, kłującego drzazgami drewna. Młotek, gwoździe i robocze rękawice leżą na stoliku obok stosu poczty. Luke znosi po schodach marmurowe popiersie, twarz ma czerwoną z wysiłku. Popiersie jest drugie z pary jadącej do Bargello we Florencji, jednego z wielu włoskich muzeów, które ze względu na swoje niezwykle zbiory renesansowej rzeźby wygrało z Uffizi, pierwsze już spoczywa w oddzielnej skrzyni. Ze ściany pracę obserwuje jedyne dzieło sztuki, które na zawsze tu pozostanie, portret Jonathana wykonany węglem, który Lanny zabrała z domu Adaira. Przeniesiono go tutaj z sypialni, gdzie wisiał naprzeciwko łóżka, chociaż Luke'owi wcale by nie przeszkadzało, gdyby tam pozostał. Nie był zdolny do zazdrości o człowieka z portretu, tak samo jak nie potrafił nienawidzić złotego zachodu słońca czy katedry Notre Dame.

Lanny wychodzi z gabinetu z zapieczetowaną kopertą w dłoni.

W kopercie znajduje się list z przeprosinami za zabranie dzieła sztuki prawowitemu właścicielowi, kimkolwiek był. List (identyczny towarzyszy każdej wysyłce), jest zwięzły i mglisty, brak w nim szczegółów informujących, jak, kiedy i przez kogo dzieło sztuki zostało przywłaszczone. Lanny pracowała nad nim przez wiele dni i czytała kolejne wersje Luke'owi, zanim we dwoje wybrali ostateczną. Przy pracy nosili lateksowe rękawiczki, by nie zostawiać odcisków palców. Lanny zleciła wysyłkę i anonimowe przekazanie darów swemu paryskiemu prawnikowi, którego wybrała ze względu na jego przywiązanie do klientów i elastyczne podejście do prawa. Nie martwiła się, że zostanie wyśledzona jako nadawczym, niezależnie od tego, jak usilne starania podejmą muzea i inni odbiorcy.

Jeśli chodzi o Luke'a, trochę mu żal, że te wszystkie cuda opuszczają dom tuż po jego przyjeździe. Wolałby mieć trochę więcej czasu na zapoznanie się z tą największą na świecie prywatną kolekcją dzieł sztuki i przedmiotów użytkowych. Lanny nie przesadzała, kiedy mówiła, że jej dom jest bardziej zdumiewający od każdego muzeum. Górne piętra zapchane są skarbami, powrzuconymi bez ładu i składu. Za każdym razem, kiedy Luke wyjmuje jeden obiekt, odkrywa dziesięć następnych. I nie są to wyłącznie rzeźby i obrazy, ale też stosy książek, bez wątpienia wiele pierwszych wydań, orientalne dywany z jedwabiu tak cienkie, że po zwinięciu mieszczą się w damskiej bransolecie, japońskie kimona i tureckie kaftany z wyszywanego jedwabiu, wszelkiego rodzaju szable, miecze i broń palna, greckie wazy, rosyjskie samowary, misy z nefrytu, bitego złota, kamienia. Kilka komód pełnych jest sakiewek z jedwabiu i aksamitu, z których każda zawiera wysadzane klejnotami biżuterię. Są też kompletne zaskoczenia, na przykład w pudełku z wachlarzem Luke znalazł liścik do Lanny

napisany przez lorda Byrona. Większości słów nie potrafi odczytać, ale jest pewien, że w treści pojawiło się imię Jonathana. Lanny twierdzi, że nie pamięta, o czym Byron pisał, ale jak można zapomnieć list od jednego z największych poetów świata? To jest dom szalonej kolekcjonerki, próbującej zrekompensować jakiś niezdefiniowany, nieprzepracowany brak w swym życiu, niewolniczo uzależnionej od gromadzenia pięknych rzeczy. Lanny wielkodusznie odłożyła na bok kilka przedmiotów, które zostaną umieszczone w funduszu powierniczym dla córek Luke'a; wystarczą na zapłacenie czynszu w dobrych college'ach.

Luke odkrywa, że poza kolekcją zabytkowej chińskiej ceramiki Lanny nie podjęła żadnej próby spisania swoich zbiorów, dlatego zmusza ją, by katalogowała każdy wysyłany przedmiot: opis, przypuszczalne miejsce nabycia, nazwisko osoby lub nazwa instytucji, która go otrzyma. Myśli, że pewnego dnia będzie czerpała z tego pociechę, mogąc wspominać swoje odległe przygody i nie będąc obciążona ich materialnymi dowodami.

Zajmowanie się wysyłką dobrze robi Lanny, odrywa jej myśli od Jonathana, chociaż nie całkowicie: Luke przyłapał ją kilka razy, kiedy płakała w łazience albo w kuchni, czekając, aż zagotuje się woda na herbatę. Ostatnio jednak zdarza się to coraz rzadziej, a pozbywanie się zawartości domu sprawiło, że poweselała. Mówi, że czuje się spokojniejsza, że pokutuje za złe rzeczy, które zrobiła. Raz powiedziała nawet, że ma nadzieję, że jeśli bardzo się postara zadośćuczynić za swoje grzechy, uzyska wybaczenie i urok zostanie zdjęty. Będzie mogła zestarzeć się z Lukiem, opuścić ziemię mniej więcej w tym samym czasie. Nigdy więcej nie cierpieć kompletnej samotności. Tego rodzaju rozmowy o zależności od magicznej interwencji wpędzają Luke'a w zakłopotanie, choć wzięwszy pod uwagę okoliczności, zdaje sobie sprawę, nie powinien (w całości) odrzucać tego rodzaju spraw.

Lanny wkłada list pod popiersie i Luke przybija wieko drewnianej skrzyni. Kurier przychodzi o drugiej po dzienną porcję wysyłki, a Luke zdążył spakować tylko dwa popiersia. Miał nadzieję, że przygotuje co najmniej pół tuzina skrzyń. Musi przyspieszyć tempo.

Kiedy odkłada młotek, by wytrzeć czoło, zauważa stos korespondencji. Na wierzchu leży gruba koperta z Ameryki, więc od-ruchowo wysila wzrok, by przeczytać adres. Nadawcą jest kancelaria adwokacka z Bostonu, która pilnuje domu czy raczej krypty Adaira. Luke pośpiesznie przegląda stos: jest tam siedem listów od tego samego prawnika, pierwszy prawie sprzed roku. Otwiera usta, by coś powiedzieć do Lanny, która z torebką przewieszoną przez ramię z roztargnieniem szuka kluczy do domu.

- Mam wizytę u fryzjera, ale powinnam wrócić przed przyjazdem kuriera. Kupić coś na lunch? Na co miałbyś ochotę?

- Zaskocz mnie - odpowiada Luke.

Cieszy się, że Lanny wróciła do dawnej rutyny, co jest znakiem, że nie poddała się rozpacz, a zwłaszcza, że tak szybko przyjęła go do swojego życia. Luke uwielbia, kiedy są we dwoje, bo dobrze im razem. Rzuciła palenie, ponieważ ją o to poprosił, nie mogąc znieść widoku papierosa w jej dłoni, chociaż wie, że nikotyna nie stanowi dla niej zagrożenia. Lanny dzieli się z nim wszystkim: ulubioną piekarnią, ulubionym popołudniowym spacerem, staruszkami, z którym gawędzi w parku. Luke jest szczęśliwy, mogąc robić dla niej różne rzeczy, opiekować się nią, bo Lanny wdzięczna jest za każdy objaw troski i uwagi. Czy ją kocha? Luke sceptycznie, naprawdę sceptycznie podchodzi do myśli, że miłość może narodzić się tak szybko, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, kim jest Lanny i o czym mu opowiedziała, choć, z drugiej strony, odczuwa też oszołomienie, które nie było jego udziałem od narodzin córek.

Po wyjściu Lanny Luke wraca na piętro w poszukiwaniu następnego przedmiotu do wysyłki. Musi pamiętać, by zostawić Lanny załatwienie sprawy z kurierem, ponieważ po południu sama ma spotkanie z dyrektorem wolontariatu w Mercy International, organizacji, która wysyła lekarzy w strefy wojny, do obozów uchodźców i przychodni dla bezdomnych. To była ostatnia organizacja, dla której pracował Jonathan; niedługo po przyjeździe Luke'a i Lanny z Quebecu ktoś się do niej odezwał, ponieważ Jonathan zostawił jej adres jako adres kontaktowy na czas swej nieobecności. Nie wrócił w wyznaczonym terminie, więc chcieli się dowiedzieć, co się z nim stało. Lanny na moment odebrała mowę, ale szybko się pozbierała i powiedziała, że zna innego lekarza, który chętnie będzie z nimi współpracował przez okres pobytu w Paryżu. Luke cieszy się z tej możliwości i z faktu, że Lanny wie, iż nie byłby szczęśliwy, gdyby nie mógł wykorzystywać swych lekarskich umiejętności, ma także nadzieję, że jego zarządzała francuszczyzna okaże się dość dobra dla emigrantów z Haiti i Maroka.

Wybiera następny przedmiot do wysyłki, wielką tapiserię, która pojedzie do muzeum tkalnictwa w Brukseli. Zwinięto ją jak dywan i upchnięto przy biblioteczce wypchanej najrozmaitszymi drobiazgami. W górnej części drzwi biblioteczka nie ma szyby i kiedy Luke próbuje wyszarpnąć tapiserię, z półki coś spada.

Pochyla się i podnosi małe zawiniątko z giemzy; w sposobie, w jaki je wykonano, rozpoznaje typowy dla Lanny ryzykowny sposób pakowania przedmiotów. W zakurzonej starej skórze coś jest. Luke rozwija zawiniątko bardzo uważnie - kto wie, jaki kruchy przedmiot może być w środku? - i widzi maleńki metalowy obiekt. Mówiąc dokładnie, jest to fiolka wielkości dziecięcego paluszka. Chociaż zaśnieżona i pociemniała ze starości, widać delikatne zdobienia. Luke drżącymi palcami podnosi wieczko i wyciąga zatyczkę. Jest sucha.

Luke wacha pustą fiołkę. Myśli gonią mu jak szalone: fiołka może i jest sucha, ale istnieją sposoby na analizowanie osadu. Mogliby wysłać ją do laboratorium, znaleźć składniki eliksiru, proporcje, a potem spróbować go przyrządzić. Po próbach i błędach w końcu odnieśliby sukces, a to oznaczałoby, że byłby z Lanny na zawsze. Przestałaby się obawiać samotności. Naturalnie inni ludzie także byliby zainteresowani nieśmiertelnością. Oboje z Lanny sprzedawaliby eliksir za niewiarygodne sumy, umieszczaliby go na języku klientów niby opłatki komunii. Mogliby też postąpić wielkodusznie (w końcu ile pieniędzy potrzebuje człowiek?) i przekazać go wielkim umysłom do zbadania. Kto wie, jaki wpływ miałyby to na naukę i medycynę? Elixir regenerujący uszkodzoną tkankę zrewolucjonizowałby leczenie ran i chorób.

To mogłoby wszystko zmienić. A także ujawnić przed światem stan Lanny.

Mimo to... Luke podejrzewa, że analiza osadu niczego nie zdradzi. Niektóre rzeczy opierają się badaniu, nie można ich analizować w zimnym świetle dnia. Promil przypadków nie da się wyjaśnić ani powtórzyć. Kiedy studiował medycynę, słyszał o niektórych, opowiadali o nich starzy mądrzy profesorowie na zakończenie wykładu, szeptali studenci, wychodząc z sali po sekcji zwłok. Są lekarze odrzucający takie historie, przekonujący, że życie to kwestia mechaniki, a ciało to nic więcej jak system, coś w rodzaju domu. Że żyjesz tak długo, jak długo jesz, pijesz, stosujesz się do reguł, jakby stanowiły one przepisy na życie, ponieważ ciało jest tylko naczyniem zawierającym twoją świadomość.

Luke jednak wie, że to nie jest takie proste. Nawet gdyby chirurg otworzył ciało Lanny - jaki to byłby koszmar, rany usiłujące się zasklepić pod dłońmi i narzędziami - nie byłby w stanie stwierdzić, który organ uległ zmianie i uczynił ją nieśmiertelną. Taki

sam skutek miałyby badania krwi, biopsje, prześwietlenia. Podobnie można dokonać analizy eliksiru, rozdać przepis tysiącom farmaceutów, by go powtórzyli, ale Luke nie sądzi, by któryś był w stanie odtworzyć pierwotny efekt. W Lanny działa jakaś siła, Luke ją wyczuwa, ale nie ma pojęcia, czy jest ona duchowa, magiczna, chemiczna czy może jeszcze inna. Wie tylko, że ta łaska, będąca życiem Lanny, tak jak wiara i modlitwa, najlepiej działa w samotności, chroniona przed sceptycyzmem i brutalną siłą rozumu, bo jeśli jej stan zostanie przekazany do wiadomości publicznej, może się rozpaść w pył lub wyparować jak rosa w promieniach słońca. Przypuszczalnie dlatego pozostali, ci, o których opowiadała mu Lanny, Alejandro, Dona i diaboliczna Tilde, nigdy się nie ujawnili.

Luke toczy fiolkę w palcach jak papierosa, a potem pośpiesznym ruchem kładzie ją na ziemi i całym ciężarem na nią następuje. Fiolka gniecie się łatwo, jakby była wykonana z papieru. Luke podchodzi do okna, otwiera je i wyrzuca metal tak daleko, jak potrafi, ponad dachami sąsiedzkich domów, rozmyślnie nie śledząc trajektorii jego lotu. Natychmiast czuje ulgę. Może powinien był porozmawiać z Lanny, zanim zniszczył fiolkę, ale nie - wie, co Lanny by odpowiedziała. Sprawa załatwiona.

Ten niezwyklej debiut, po części będący powieścią historyczną, po części fantastyczną, jest historią nieodwzajemnionej miłości, która oślepia, a w końcu niszczy...

Kiedy doktor Luke Findley rozpoczyna wieczorny dyżur w szpitalu w swoim miasteczku St. Andrew, położonym w najbardziej wysuniętym na północ zakątku stanu Maine, spodziewa się kolejnych pacjentów z drobnymi obrażeniami i ofiar awantur domowych, tymczasem policja przywozi młodą kobietę imieniem Lanny. Zimą niewielu obcych przybywa do tego odludnego miasteczka w najbardziej wysuniętym na północ zakątku Maine, a nieznajoma dziewczyna oskarżona jest o zamordowanie człowieka i pozostawienie jego ciała w lasach. Lanny twierdzi, że oboje mieszkali w miasteczku dwieście lat temu.

Luke zafascynowany słucha jej opowieści, pomagając dziewczynie uciec przed policją, co dla niego oznacza porzucenie dotychczasowego życia.

Człowiek w lesie, Jonathan, jest synem założyciela miasteczka i miłością Lanny. Dziewczyna popełnia straszliwy występki w nadziei, że dzięki temu zdobędzie go na własność, i początkowo

wszystko wskazuje na to, że jej marzenia się urzeczywistnią. Kiedy jednak zachodzi w ciążę, rodzice wysyłają ją do klasztoru w Bostonie, by uchronić rodzinę przed hańbą, a Jonathan nie próbuje jej pomóc, wręcz przeciwnie, żeni się z inną. W Bostonie Lanny, za wszelką cenę pragnąc zachować dziecko, jedyne ogniwo łączące ją z ukochanym, ucieka, lecz na jej drodze staje uroczy, acz przerażający Adair, człowiek obdarzony ponadnaturalnymi mocami, wśród których jest też zdolność czynienia ludzi nieśmiertelnymi. W taki oto sposób Lanny wymyka się śmierci i wkracza w świat Adaira, świat niezwyklej rozkoszy zmysłowych i pozornie nieograniczonej władzy. Poznaje jego dzieje: urodził się w czternastowiecznych Węgrzech w biednej rodzinie wędrownych parobków i został przez bliskich sprzedany na służbę tajemniczemu i złowrogiemu medykowi. Medyk, biegły w alchemii i czarnej magii, zdołał stworzyć eliksir nieśmiertelności. Podał go chłopcu, ten jednak, gorąco nienawidząc swego pana, namówił wieśniaków, by medyka zabili. Od tamtej pory Adair krąży po świecie, dobierając sobie towarzyszy, których czyni nieśmiertelnymi (ale też jedynie on może ich zabić).

Teraz Adair z sobie tylko znanych powodów pragnie do grona swych zdradzieckich dworaków włączyć odznaczającego się niezwykłą urodą Jonathana, wysyła więc Lanny do Maine, by namówiła go do przyjazdu do Bostonu. Dziewczynie wydaje się to urzeczywistnieniem jej największego pragnienia: być na zawsze ze swym ukochanym, ale kiedy jednak Jonathan dołącza do nieśmiertelnych, przekonuje się, że Adair nie jest tym, za kogo go bierze, a jego zamiary wobec Jonathana są o wiele gorsze, niż sądziła. Teraz od niej zależy, czy uratuje ukochanego i siebie od straszliwego losu, który trwać miał przez całą wieczność.

„Wieczni” to opowieść o sile miłości, która demoralizuje, skłania do popełniania najgorszych czynów, i o odwadze, by dla miłości bez reszty się poświęcić i zyskać rozgrzeszenie.